

# Sodoma i Gomora





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

MARCEL PROUST

# *Sodoma i Gomora*

TLUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# *Sodoma i Gomora*



# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Kobieta będzie miała Gomorę,  
a mężczyzna Sodomę.*

*Alfred de Vigny*

## PIERWSZE ZJAWIENIE SIĘ MĘŻCZYZNO-KOBIET, POTOMKÓW TYCH MIESZKAŃCÓW SODOMY, KTÓRYCH OSZCZĘDZIŁ OGIEŃ NIEBIESKI

Wspomniałem, że znacznie wcześniej, niż udałem się owego dnia (dnia, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii) do księstwa Błajejów, którą to wizytę opowiedziałem przed chwilą, czatowałem na ich powrót i żem uczynił podczas swoich czatów odkrycie dotyczące specjalnie pana de Charlus, ale tak ważne samo w sobie, że dotąd odkładałem jego opis, aż do chwili kiedy mogę mu zapewnić dosyć miejsca i przestrzeni. Opuściłem, jak wspomniałem, cudowny i tak szczęśliwie obrany na szczycie domu punkt obserwacyjny, skąd oko obejmuje kapryśne stoki wiodące je aż do pałacu Bréquigny, z włoska wesoło strojne różową kampaniłą remizy margrabiego de Frécourt. Kiedym sądził, że księstwo Błajejowie już za chwilę będą wracali, uznałem za praktyczniejsze ulokować się na schodach. Żałowałem trochę swojego pobytu na wysokościach. Ale o tej porze — było już po śniadaniu — żal mój miał mniej racyj, bo nie byłbym widział — jak widziałem rano — mikroskopijnych figurek, jakimi stawali się na odległość lokaje z pałacu Bréquigny, wstępujący powoli po stromym zboczu z piórkiem do okurzenia w ręce, między szerokimi przezroczystymi płatami miki, tak przyjemnie odcinającymi się na czerwonych blankach.

W braku pola do kontemplacji geologicznych przerzuciłem się na kontemplacje botaniczne; poprzez okiennice patrzałem na drzewko księżnej i na jej szacowną roślinę, wystawiane na dziedzińcu z tą samą wytrzymałością, z jaką się oprowadza panny na wydaniu, i zadawałem sobie pytanie, czy nieprawdopodobny owad zjawi się opatrnościowym trafem, aby odwiedzić gotowy na jego przyjęcie samotny słupek. Ciekawość ośmielała mnie trochę; zeszedłem aż na parter, do okna również otwartego, z okiennicami zamkniętymi tylko do połowy. Słyszałem wyraźnie gotującego się do wyjścia Jupiena, który nie mógł mnie dojrzeć przez storę, za którą stałem nieruchomy. Naraz cofnąłem się gwałtownie z obawy, aby mnie nie zobaczył pan de Charlus, który, idąc do pani de Villeparisis, mijał wolno dziedziniec; z brzuszkiem, postarzały w świetle dziennym, szpakowaty. Trzeba było niedyspozycji pani de Villeparisis (następstwo choroby margrabiego de Fierbois, z którym baron osobiście był śmiertelnie poróżniony), aby pan de Charlus — może pierwszy raz od czasu swego istnienia — zdecydował się na wizytę o tej godzinie. Właściwością Guermantów było, że zamiast się stosować do światowego życia zmieniali je wedle swoich osobistych nawyków (nie światowych, jak sądzili, tym samym godnych, aby im ustępowała owa rzecz bez znaczenia — światowość). Tak na przykład pani de Marsantes nie miała „dnia”, ale była co rano dla swoich przyjaciółek w domu od dziesiątej do południa; baron, zachowując ranek na lekturę, na szperanie po antykwarzach itd., nie składał nigdy wizyt wcześniej niż między czwartą a szóstą po południu. O szóstej siedł do klubu albo na spacer do Lasku.

Po chwili cofnąłem się znowu, nie chcąc, aby mnie dojrzał Jupien; zbliżała się godzina jego biura, skąd wracał aż na obiad, i to nie zawsze, od tygodnia bowiem siostrzenica jego bawiła z pomocnicami gdzieś na wsi u klientki, aby skończyć jej suknię. Następnie, zdając sobie sprawę, że nikt mnie nie może widzieć, postanowiłem się już nie ruszać z obawy, aby nie przeoczyć — o ile cud miałby się zdarzyć — beznadziejnego prawie przybycia (poprzez tyle przeszkód, odległości, utrudnień, niebezpieczeństw) owada wysłanego z tak daleka w ambasadzie do dziewczycy od dawna wyczekującej nadaremnie.

Wiedziałem, że to wyczekiwanie nie jest całkowicie bierne, tak samo jak u męskiego kwiatu, którego pręciki obróciły się samorzutnie, iżby owad mógł łatwiej przyjąć ich pyłek; tak samo znajdujący się tutaj żeński kwiat, w razie gdyby owad przybył, wygiąłby

zalotnie swoje słupki i, aby ów owad lepiej mógł weń wnikać, zrobiłby to nieznacznie — niby obłudna, lecz namiętna dziewczyna — pół drogi. Prawami świata roślinnego rządzi znów coraz wyższe prawa. Jeżeli wizyta owada, to znaczy przeniesienie pyłku z innego kwiatu, potrzebna jest zazwyczaj do zapłodnienia, to dlatego że samo zapłodnienie — zapłodnienie kwiatu przez siebie samego — spowodowałoby, niby małżeństwa powtarzane w jednej i tej samej rodzinie, degenerację i bezpłodność; krzyżowanie natomiast dokonywane przez owady daje następnym pokoleniom tego samego gatunku nieznaną ich poprzednikom żywotność. Ale ten rozmach może być nadmierny, gatunek może się rozwijać przesadnie; wówczas, jak antytoksyna broni przed chorobą, jak gruczoł tarczowy miarkuje naszą tuszę, jak kłęska karze dumę, zmęczenie rozkosz, sen zaś daje z kolei wypoczynek po zmęczeniu, tak wyjątkowy akt samozapłodnienia przychodzi we właściwym punkcie, aby uregulować, zahamować, wrócić do normy kwiat, który z niej za bardzo wyszedł.

Refleksje moje biegły po linii, którą opiszę później; z oczywistej chytrłości kwiatów wyciągnąłem już konsekwencje tyżące się nieświadomej partii literackiego dzieła. Naraz ujrzałem pana de Charlus wychodzącego od margrabiny. Upłynęło ledwie kilka chwil od jego wejścia. Może dowiedział się od sędziwej krewniaczki — lub tylko przez służącego — o polepszeniu lub raczej o zupełnym wyleczeniu tego, co było u pani de Villeparisis prostą niedyspozycją. W tej chwili pan de Charlus sądził, że nikt nań nie patrzy; mrużył oczy od blasku słońca, z twarzy jego znikło owo napięcie, ustąpiło sztuczne ożywienie, jakie podtrzymywała u barona podnieta rozmowy oraz wysiłek woli. Blady był jak marmur; nos miał bardzo wydatny, despotyzm spojrzenia nie dawał już jego delikatnym rysom wymowy psującej piękność ich rysunku; w tej chwili pan de Charlus był już tylko Guermantem, zdawał się już wyrzeźbiony — on, Palamed XV — w kaplicy Combray. Ale te typowe rysy rodzinne przybierały na twarzy pana de Charlus subtelność bardziej uduchowioną, łagodniejszą zwłaszcza. Żałowałem dla niego, że tę uprzejmość, słodycz, tak dobroduszenie rozkwitające na jego twarzy w chwili, gdy wychodził od pani de Villeparisis, baron kazi zazwyczaj taką gwałtownością, tyloma przykrymi dziwactwami, plotkarstwem, oschłością, podejrziwością i arogancją, że je kryje pod sztuczną brutalnością. Mrugając oczami w słońcu, zdawał się niemal uśmiechać; na twarzy jego, oglądanej niejako w chwili spokoju i jak gdyby w naturalnej postaci, było coś tak serdecznego, bezbronnego, że nie mogłem się wstrzymać od myśli, jak wściekły byłby pan de Charlus, gdyby wiedział, że ktoś nań patrzy; bo ten człowiek tak rozkochany w męskości i tak się nią pyszniący, człowiek, któremu wszyscy wydawali się wstrętne zniewieściali, przypominał mi w tej chwili — tak dalece miał przelotnie jej rysy, wyraz, uśmiech — przypominał mi w tej chwili kobietę. Miałem się znów cofnąć, aby mnie baron nie spostrzegł; nie zdążyłem ani nie potrzebowałem tego uczynić. Bo cóż ujrzałem! Twarz w twarz, na tym dziedzińcu, gdzie się z pewnością nigdy nie spotkali (pan de Charlus przychodził do pałacu Guermantów jedynie po południu, w godzinach, gdy Jupien był w biurze), baron, otwarty nagle szeroko przymknięte oczy, spoglądał z nadzwyczajną uwagą na eks-krawca stojącego w progu sklepu, gdy ten, przygwożdżony nagle do miejsca widokiem pana de Charlus, wrosły w ziemię jak roślina, patrzył z zachwytem na brzuszki podstarzałego barona. Ale, rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca, kiedy pan de Charlus zmienił pozę, zachowanie się Jupiena — jak gdyby zgodnie z prawidłami tajemnej sztuki — dostroiło się do niej natychmiast. Baron, który starał się teraz ukryć swoje wrażenie, ale który, mimo przybranej obojętności, oddalał się z widocznym żalem, chodził tam i z powrotem, puszczał wzrok w przestrzeń w sposób mający uwydatnić piękność jego oczu, przybierał minę zalotną, niedbałą, śmieszłą. Otóż Jupien, natychmiast tracąc uniżony i pocziwy wyraz, jaki zawsze u niego znałem, podniósł — w doskonałej symetrii z baronem — głowę, wygiął zwycięsko talię, wsparł z pocieszłą arogancją rękę na biodrze, wypinał siedzenie, dobierał pozy z zalotnością godną orchidei wobec opatrznociowego bąka. Nie wiedziałem, że on może być tak antypatyczny! Ale nie posądzałem go także, aby był zdolny zaimprovizować swoją partię w tej niemo rozgrywanej się scenie, która (mimo że Jupien pierwszy raz znalazł się w obecności pana de Charlus) zdawała się od dawna wypróbowana; do takiej doskonałości dochodzi się samorzutnie jedynie wtedy, kiedy się spotka na obczyźnie krajana: wówczas porozumienie dokonywa się samo przez się, obaj znajdują wspólny język, mimo że się nigdy z sobą nie widzieli.

Scena ta nie była zresztą wprost komiczna; nacechowana była jakąś dziwnością lub, jeśli kto woli, naturalnością, której piękno wciąż rosło. Daremnie pan de Charlus przybierał obojętną minę, spuszczał od niechcenia powieki, chwilami podnosił je, kierując wówczas na Jupiena baczne spojrzenie. Sądził z pewnością, iż podobna scena nie powinna się zbyt przeciągać w tym miejscu, bądź z racji, które zrozumiemy później, bądź przez owo poczucie krótkości wszystkich rzeczy, które każe nam pragnąć, aby każda strzała trafiała do celu, i które czyni czymś tak wzruszającym grę wszelkiej miłości. Za każdym razem, kiedy pan de Charlus patrzył na Jupiena, starał się, aby jego spojrzeniu towarzyszyło słowo, co je czyniło czymś nieskończeniem odmiennym od spojrzeń, kierowanych zazwyczaj na osobę mało znajomą nam lub nieznaną. Patrzył na Jupiena ze znamionym uporem człowieka, który ma powiedzieć: „Daruje pan moją niedyskrecję, ale ma pan na plecach długi biały włos” albo: „Jeżeli się nie myłę, musi pan być także z Zurychu; zdaje mi się, że pana często spotykał u handlarza starożytności”. Podobnie, co dwie minuty, wzrok pana de Charlus zdawał się usilnie zadawać Jupienowi jedno i to samo pytanie, niby owe pytające frazy Beethovena, powtarzane bez końca w równych odstępach i mające — z przesadnym zbytkiem przygotowań — sprowadzić nowy motyw, zmianę tonacji, nawrót. Ale właśnie piękno spojrzeń pana de Charlus i Jupiena pochodziło stąd, że te spojrzenia — na razie przynajmniej — nie zdawały się do czegoś prowadzić. To piękno oglądałem pierwszy raz w osobach barona i Jupiena. W oczach jednego i drugiego wschodziło niebo nie Zurychu, ale jakiegoś wschodniego miasta, którego nazwy jeszcze nie odgadłem. Jaki bądź wzgląd mógł wstrzymać pana de Charlus i eks-krawca, porozumienie ich zdawało się faktem, i te zbyteczne spojrzenia były już tylko rytualnymi niejako przegrywkami, podobnymi fetom, jakie się wydaje przed postanowionym małżeństwem. Zbliżając się jeszcze do natury — a mnogość tych porównań jest dość naturalna, ile że ten sam człowiek, jeżeli go obserwujemy przez kilka minut, wydaje się kolejno człowiekiem, człowiekiem-ptakiem lub człowiekiem-owadem itd. — rzekłoby się, dwa ptaki, samiec i samica: samiec starający się posuwać naprzód, samica — Jupien — nieodpowiadająca już żadnym znakom na ten manewr, lecz patrząca na swego nowego kochanka bez zdziwienia, z niedbałą bacznością, uznając z pewnością tę postawę za bardziej zalotną i jedynie celową, z chwilą gdy samiec uczynił pierwsze kroki i poprzestawał na gładzeniu swoich piór.

Wreszcie jednak obojętność przestała widocznie Jupienowi wystarczać; od pewności podboju do tego, aby się kazać gonić i pożądać, był tylko krok; decydując się iść do swoich zajęć, Jupien wyszedł za bramę. Bądź co bądź, odwrócił parę razy głowę, zanim wyszedł na ulicę, gdzie baron, drżąc, iż zgubi jego ślad, pomknął żywo, aby go dogonić. Idąc baron pogwizdywał z miną fanfaronu i krzyknął: „Do widzenia!” odźwiernemu, który, podpity i podejmując swoich gości w pokoiku za kuchnią, nawet nie usłyszał.

W tej samej chwili, w której pan de Charlus wypadł z bramy, pogwizdując niby duży bąk, drugi — ten prawdziwy — wleciał w dziedziniec. Kto wie, czy to nie ów tak długo oczekiwany przez orchideę owad przynosił jej rzadki pyłek, bez którego groziłoby jej wieczne dziewictwo.

Ale nie mogłem śledzić ruchów owada, bo po kilku minutach, bardziej absorbując moją uwagę, Jupien (może po to, aby wziąć paczkę, którą zabrał później, a której pod wpływem wzruszenia, w jakie go wprawił widok pana de Charlus, zapomniał; może po prostu z naturalniejszej przyczyny), Jupien wrócił, wiodąc za sobą barona. Ten, zdecydowany przyspieszyć bieg rzeczy, poprosił eks-krawca o ogień, ale natychmiast zauważył:

— Proszę pana o ogień, ale widzę, że zapomniałem cygar.

Prawo gościnności zwyciężyło reguły kokieterii.

— Niech pan wejdzie, otrzyma pan wszystko, czego pan zapagnie — rzekł krawiec, na którego twarzy wzgarda ustąpiła miejsca radości.

Drzwi sklepowe zamknęły się za nimi i nie mogłem już nic słyszeć. Straciłem z oczu bąka; nie dowiedziałem się, czy to był owad potrzebny orchidei, ale nie wątpiłem — co się tyczyło bardzo rzadkiego owada i uwięzionego kwiatu — o cudownej możliwości sparzenia się ich, skoro pan de Charlus (proste zestawienie opatrnościowych trafów różnego rodzaju i bez najmniejszej pretensji naukowej kojarzenia pewnych praw botaniki oraz tego, co czasem nazywają — bardzo źle — homoseksualizmem), który od lat przychodził do tego domu jedynie w nieobecności Jupiena, dziś, wskutek przypadkowej

niedyspozycji pani de Villeparisis, spotkał go, a wraz z nim szczęście chowane dla ludzi z rodzaju barona przez jedną z tych istot, które mogą być (ujrzymy to później) nieskończenie młodsze i piękniejsze od Jupiena, przez człowieka przeznaczonego na to, aby tamci mieli swoją cząstkę rozkoszy na tej ziemi: mężczyznę lubiącego jedynie starszych panów.

To, com powiedział tutaj, miałem zrozumieć aż w kilka minut później, tak ściśle łączy się z rzeczywistością jej dar stania się niewidzialną, aż ją jakaś okoliczność odrze z tego daru. W każdym razie, w tej chwili byłem bardzo nierad, że już nie słyszę rozmowy eks-krawca z baronem. Naraz spostrzegłem ów sklep do wynajęcia, oddzielony od sklepu Jupiena jedynie cienkim przepierzeniem. Aby tam się dostać, trzeba mi było jedynie wrócić do naszego mieszkania, iść do kuchni, zejść schodami kuchennymi do piwnic, przejść piwnicami całą szerokość dziedzińca i, doszedłszy do sutereny (gdzie jeszcze przed kilku miesiącami stolarz miał skład drzewa, a gdzie Jupien zamierzał trzymać węgle), przebyć kilka stopni wiodących do sklepu. W ten sposób odbyłbym całą drogę w ukryciu, nie widziałby mnie nikt. Było to najbezpieczniej. Ale nie tę drogę obrałem: sunąc wzdłuż muru, obszedłem po prostu dziedziniec, starając się, aby mnie nie widziano.

Jeżeli mnie nikt nie ujrzał, sądzę, że zawdzięczam to raczej przypadkowi niż roztropności. A dla faktu, że obrałem postanowienie tak nierozważne (podczas gdy iść piwnicami było tak bezpiecznie), widzę trzy możliwe racje, przyjąwszy, że w ogóle była jaka. Najpierw swoją niecierpliwość. Następnie może mgliste wspomnienie sceny w Montjouvain, kiedy stałem ukryty za oknem panny Vinteuil. W istocie, tego rodzaju rzeczy, których byłem świadkiem, zawsze miały w swojej inscenizacji charakter najbardziej nieostrożny i najmniej prawdopodobny, tak jakby podobne odkrycia miały być nagrodą jedynie aktu pełnego ryzyka, mimo iż po części tajemnego. Trzecią wreszcie rację zaledwie śmiem wyznać z powodu jej dzieciństwa, mimo iż była ona, jak sądzę, podświadomie rozstrzygająca. Od czasu jak chcąc sprawdzić — i przekonać się o ich zawodności — zasady wojskowe Roberta, śledziłem bardzo szczegółowo wojnę Boerów, doprowadziło mnie to do odczytywania dawnych opisów odkryć, podróży. Te opowiadania rozpały mnie i stosowałem je w życiu codziennym, aby w sobie wyrobić więcej odwagi. Kiedy ataki choroby trzymały mnie przez wiele dni i nocy nie tylko bez snu, ale bez spoczynku, bez picia i jedzenia, w chwili gdy wyczerpanie i ból stawały się beznadziejne, myślałem o jakimś wyrzuconym na brzeg podróżniku, zatrutym zabójczymi ziołami, dygocącym z gorączki w sukniach zmoczonych wodą morską, który wszelako, czując się lepiej po upływie dwóch dni, puszczał się na oślep na poszukiwanie mieszkańców, mających się może okazać ludożercami. Te przykłady krzepiły mnie, wracały mi nadzieję: wstyd mi było chwilowej rozpacz. Myśląc o Boerach, którzy, mając na wprost siebie armię angielską, nie lękali się odsłonić, przebywając kawał szczerzego pola, zanim znów dopadli gąszczu, myślałem sobie: „Ja miałbym być tchórzliwszy, kiedy teatrem operacyjnym jest tylko własny dziedziniec i kiedy mnie — który bez cienia lęku miałem kilka pojedynków w momencie sprawy Dreyfusa — grozi jedynie wzrok sąsiadów, mających co innego do roboty niż patrzeć na dziedziniec”.

Ale kiedy się znalazłem w sklepie, starając się, o ile możliwości, aby podłoga nie trzeszczała, i zdając sobie zarazem sprawę, iż najlżejszy szmer w sklepie Jupiena słyhać w mojej kryjówce, osądziłem, do jakiego stopnia Jupien i pan de Charlus byli nierozważni i jak bardzo traf im sprzyjał.

Nie śmiałem się poruszyć. Masztalesz księstwa de Guermantes, korzystając z pewnością z ich nieobecności, przeniósł niedawno do sklepu, gdzie się znajdował, drabinkę przechowywaną dotąd w remizie. Gdybym wszedł na tę drabinkę, mógłbym otworzyć okienko i słyszeć wszystko tak, jakbym był w samym pokoju Jupiena. Ale bałem się narobić hałasu. Zresztą to było zbyt bezsensowne. Nie potrzebowałem nawet żałować, że znalazłem w sąsiednim sklepie dopiero po upływie kilku minut. Bo, sądząc z tego, com usłyszał w pierwszej chwili w lokalu Jupiena — a były to same nieartykułowane dźwięki — przypuszczam, że wymieniono tam niewiele słów. Prawda, iż dźwięki były tak gwałtowne, że gdyby im wciąż nie towarzyszył, o oktawę wyżej, równoległy jęk, mógłbym przypuszczać, że to jakiś człowiek tuż obok morduje drugiego i że potem morderca wraz ze swoją zmartwychwstałą ofiarą biorą kąpiel, aby zatrzeć ślady zbrodni. Wywnioskowałem stąd później, że jeżeli jest jakaś rzecz równie hałaśliwa jak cierpienie, to jest nią rozkosz, zwłaszcza kiedy się z nią łączy — w braku obawy dziecka, co nie mogło grozić

tutaj, mimo (niezbyt przekonującego) przykładu z *Żywotów świętych* — natychmiastowa troska o kwestie czystości. Wreszcie, po upływie mniej więcej pół godziny (w czasie której wdrapałem się ostrożnie na drabinę, aby patrzeć przez zamknięty zresztą lufcik), zawiązała się rozmowa. Jupien odmawiał energicznie wzięcia pieniędzy, które mu pan de Charlus chciał wręczyć.

Po upływie pół godziny pan de Charlus wyszedł.

— Czemuś ty się tak ogolił — rzekł do barona Jupien pieszczotliwym tonem. — To takie ładne, piękna broda.

— Fe! To obrzydliwe — odparł baron. Ale wciąż jeszcze stał w progu i wypytywał Jupiena o jakieś szczegóły dotyczące dzielnicy. — Nie wiesz nic o kasztaniarzu na rogu, nie po lewej, to ohyda, ale po parzystej stronie, wielki chłop, bardzo czarny? A aptekarz naprzeciwko, jest tam bardzo miłusi goniec, który rozwozi lekarstwa.

Te pytania zmroziły zapewne Jupiena, bo prostując się z urazą zdradzonej „wielkiej miłości”, odparł:

— Widzę, że pan ma serce jak dom zajezdny

Wyrzut ten, wygłoszony bolesnym, lodowatym i mizdrzącym się tonem, musiał być dotkliwy dla pana de Charlus; aby zatrzeć złe wrażenie wywołane jego ciekawością, zwrócił się do Jupiena (zbyt cicho, abym mógł dosłyszeć słowa) z prośbą wymagającą z pewnością przedłużenia ich pobytu w sklepie. Krok ten wzruszył snadź krawca na tyle, aby zatrzeć jego urazę, bo popatrzał na twarz barona — tłustą i przekrwioną pod szpakowatymi włosami — z upojoną miną człowieka, którego miłość własną pogłaskano rozkosznie. Decydując się przychylić do próśb pana de Charlus, po uwagach pozbawionych dystynkcji, jak: „Ależ masz wielką pupę”, Jupien rzekł do barona z uśmiechem, wzruszony, dumny i wdzięczny:

— No, dobrze już, dobrze, ty mój smarkaty.

— Jeżeli wracam do kwestii konduktora tramwajowego — podjął wytrwały pan de Charlus — to dlatego że, poza wszystkim innym, mogłoby mi się to przydać w pewnych wypadkach, na przykład z okazji powrotów. Zdarza mi się w istocie, jak kalifowi przebiegającemu Bagdad w postaci prostego kupca, iść za jakąś interesującą osobką, której sylwetka mnie zaciekawi.

Uderzyło mnie tutaj to samo, co mnie już raz zastanowiło u Bergotte’a. Gdyby miał kiedy odpowiadać przed sądem, użyłby nie tych wyrażeń, które by najsnadniej mogły przekonać sędziów, ale wyrażeń *à la* Bergotte, które mu podsuwał jego swoisty temperament literacki i których użycie sprawiało mu przyjemność. Podobnie pan de Charlus, mówiąc z pokątnym krawcem, posługiwał się językiem, jakiego by używał z ludźmi swojej sfery. Przesadzał nawet swoje tiki: czy że nieśmiałość, z którą silił się walczyć, popychała go do nadmiernej dumy, czy że, przeszkadzając mu panować nad sobą (bo jesteśmy bardziej oniśmieleni wobec osoby nienależącej do naszej sfery), kazała mu odsłonić, obnażyć swoją naturę, w istocie dumną i trochę niepoczytalną, jak mówiła pani de Guermantes.

— Aby nie zgubić tropu — ciągnął baron — skaczę jak student, jak młody i piękny medyk do tego samego tramwaju co młoda osobka, o której mówimy w rodzaju żeńskim jedynie dla zachowania reguły (tak jak się mówi o panującym: „Czy wasza wysokość jest zdrowa”). Jeżeli osobka zmieni tramwaj, biorę — może wraz z mikrobami dzumy — tę niewiarygodną rzecz zwaną „przesiadką” i numer, który — mimo że go wręczają *mnie!* — nie jest zawsze numerem II! Przesiadam się w ten sposób trzy lub cztery razy. Dobiłam czasem o jedenastej wieczór Dworca Orleańskiego, i trzeba wracać! Gdybyż to był tylko Dworzec Orleański! Ale raz na przykład, nie mogąc wcześniej nawiązać rozmowy, dojechałem do samego Orleanu w jednym z tych okropnych wagonów, gdzie się ma jako widok, między trójkątnymi robótkami, tak zwanymi „szydełkowymi”, fotografie architektonicznych arcydzieł okręgu kolejowego. Było tylko jedno miejsce wolne, miałem na wprost siebie, jako monument historyczny, „widok” katedry orleańskiej, najbrzydszej we Francji i równie męczącej do oglądania w ten sposób wbrew woli, co gdyby mi kazano podziwiać jej wieże w szkiełku obsadek z „widokami”, od których dostaje się zapalenia oczu. Wysiadłem w Aubrais równocześnie z młodą osobą, którą, niestety, rodzina (wówczas gdy ją ją posądzalem o wszystkie przywary z wyjątkiem tej, aby miała rodzinę) oczekiwała na peronie! Czekać na pociąg, który by mnie odwiózł do Paryża, miałem za całą pociechę jedynie dom Diany de Poitiers. Mimo iż ta Diana czarowała jednego

z moich królewskich przodków, wołałbym piękność bardziej aktualną. Toteż aby mieć lekarstwo na nudę tych samotnych powrotów, chętnie bym poznał jakiegoś posługacza od wagonów sypialnych, jakiego konduktora osobowego pociągu. Niech cię to nie razi — zakończył baron — to wszystko jest kwestia odcieni. Wobec młodych ludzi z towarzystwa na przykład nie pragnę wcale fizycznego posiadania, ale znajduję ukojenie aż wtedy, kiedym się w nich domacał, nie dosłownie, tkliwej struny. Skoro zamiast zostawiać moje listy bez odpowiedzi młody człowiek nie przestaje pisać do mnie, kiedy jest moralnie *mój*, jestem uspokojony lub przynajmniej byłbym uspokojony, gdybym zaraz nie zaczął pragnąć innego. To dosyć ciekawe, prawda? *A propos* młodych ludzi z towarzystwa, czy nie znasz czegoś takiego pośród tych, co bywają tutaj?

— Nie, *mój* dzidziusiu. A, owszem, jest jeden brunet, bardzo wysoki, z monoklem, który wciąż się śmieje i ogląda.

— Nie orientuję się, kogo ty masz na myśli...

Jupien uzupełnił portret, ale pan de Charlus nie mógł dojść, o kogo chodzi, bo nie wiedział, że eks-krawiec jest z gatunku ludzi liczniejszych, niż się mniema, którzy nie pamiętają koloru włosów mniej znajomych im osób. Ale dla mnie, który znałem ten defekt Jupiena i zastąpiłem bruneta blondynem, portret ten odpowiadał dość ściśle księciu de Châtellerault.

— Aby wrócić do młodych ludzi nie z ludu — podjął baron — w tej chwili mam głowę zaproszoną szczególnym chłopakiem, młodym inteligentem, który traktuje mnie wściekle niegrzecznie. Nie ma żadnego poczucia olbrzymiej osobistości, jaką jestem ja, a mikroskopijnego wibriona, jakim jest on. Ostatecznie, mniejsza, ten młody osioł może ryczeć, ile mu się podoba, wobec mojej dostojnej szaty biskupiej.

— Biskup! — wykrzyknął Jupien, który nic nie zrozumiał z ostatnich słów pana de Charlus, ale którego słowo „biskup” wprawilo w osłupienie. — Ależ to całkiem nie pasuje z religią — rzekł.

— Mam trzech papieży w rodzinie — odparł pan de Charlus — i prawo noszenia się czerwono z racji tytułu kardynalskiego; siostrzenica kardynała, mojego wujecznego dziadka, wniosła memu dziadkowi tytuł diuka, który substytuowano. Widzę, że moje metafory zostawiają cię głuchym, a historia Francji obojętnym. Zresztą — dodał baron, nie tyle może w sensie konkluzji, co w sensie ostrzeżenia — ten urok, jaki wywierają na mnie młode osoby, które mnie unikają, ze strachu rozumie się, bo jedynie szacunek zamyka im usta i nie pozwala im krzyczeć, że mnie kochają, ten urok wymaga u nich znamienitej rangi społecznej. A i tak ich udana obojętność może mimo to mieć wręcz przeciwny skutek. Głupio przeciągana mierzi mnie. Dam ci przykład zaczerpnięty w klasie, która ci będzie bliższa. Kiedy odnawiano *mój* pałac, nie chcąc wzniecać zazdrości między damami z mitrą, które walczyły o to, aby móc opowiadać, że u nich mieszkał, przeniosłem się na kilka dni do „hotelu”, jak się to nazywa. Znając jednego ze służących, wskazałem mu interesującego małego „strzelca”, który się okazał oporny na moje propozycje. W końcu, przywieziony do ostateczności, aby mu dowieść, że moje intencje są czyste, ofiarowałem mu śmiesznie wysoką sumę jedynie za to, aby przyszedł na pięć minut porozmawiać do mojego pokoju. Czekałem na próżno. Nabrałem wówczas do niego takiego wstrętu, że u wychodził służbowymi schodami, aby nie musieć oglądać gęby tego małego ladaco. Dowiedziałem się później, że nie dostał żadnego z moich listów: wszystkie przejęto! Pierwszy list skreślił służący, który był zazdrosny; drugi — portier dzienny, który był cnotliwy; trzeci — portier nocny, który się kochał z młodym „strzelcem” i sypiał z nim o godzinie, w której Diana wstaje. Mimo to *mój* wstręt przetrwał i choćby mi przyniesiono tego boy’a na srebrnym półmisku, odepchnąłbym go ze wstrętem. Ale patrz, co za nieszczęście: wdaliśmy się w rozmowę o rzeczach serio i teraz przepadło dla nas to, na co liczyłem. Ale mógłbyś mi oddać wielkie usługi, służyć mi za pośrednika... Chociaż nie, sama ta myśl wróciła mi jurność, czuję, że nic nie jest skończone.

Od początku tej sceny huska opadła mi z oczu; pan de Charlus zmienił się w nich tak kompletnie i tak nagle, jak gdyby go dotknięto różdżką czarnoksiężką. Dotąd, ponieważ nie rozumiałem, nie widziałem. Przywara (tak się mówi dla wygody słownictwa), przywara każdego człowieka towarzyszy mu na sposób owego ducha niewidzialnego ludziom, dopóki nie znali jego obecności. Dobroć, fałsz, nazwisko, stosunki światowe są czymś nie do odgadnięcia, człowiek nosi je ukryte. Sam Ulisses zrazu nie poznał Atene. Ale



bogowie są natychmiast dostrzegalni bogom; i niemniej szybko podobny odgaduje podobnego, jak się to okazało z panem de Charlus i Jupienem. Dotąd patrzałem na pana de Charlus tak, jak roztargniony człowiek patrzy na kobietę brzemienną, której zmienionej figury nie zauważył. I gdy ona powtarza mu z uśmiechem: „Tak, jestem trochę zmęczona w tej chwili”, on dopytuje się uparcie: „Co pani jest?”. Ale niech mu ktoś powie: „Jest w ciąży”, nagle spostrzeże brzuch i będzie widział tylko ten brzuch. Intelpekt otwiera nam oczy, rozprószona omyłka przydaje nam jeden zmysł więcej.

Ci, co nie lubią szukać przykładu tego prawa w znajomych sobie „panach de Charlus”, których długi czas nie podejrzewali, aż do dnia, gdy na gładkiej powierzchni osobnika podobnego do innych zjawily się, wypisane nieczytelnym dotąd atramentem, głoski składające słowo drogie dawnym Grekom, ci, jeśli chcą zrozumieć, iż otaczający ich świat ukazuje się im zrazu nagi, odarty z tysiąca ornamentów, które nastrocza świadomym, niech sobie tylko przypomną, ile razy w życiu zdarzyło im się być blisko popełnienia gafy. Nic na neutralnej twarzy danego osobnika nie mogło im wskazać, że ów osobnik jest właśnie bratem, narzeczonym lub kochankiem kobiety, o której mieli powiedzieć: „Co za krowa!”. Szczęściem słowko szepnięte im w porę przez sąsiada zatrzymuje im na wargach nieszczęsne wyrażenie. Natychmiast zjawiają się niby *Mane, Tekel, Fares* te słowa: to jest narzeczony albo: to jest brat, albo: to jest kochanek kobiety, której nie wypada nazywać przy nim „krową”. I ta nowa świadomość pociągnie za sobą przegrupowanie, cofnięcie lub posunięcie się naprzód cząstki wiadomości — uzupełnionych obecnie — jakie się posiadało o reszcie rodziny. Daremnie w panu de Charlus inna istota, różniąca go od innych ludzi, łączyła się niby w centaurze koń z człowiekiem, daremnie ta inna istota zespalała się z baronem — nie spostrzegłem jej dotąd nigdy. Teraz abstrakcja zmaterializowała się; zrozumiana nareszcie istota straciła natychmiast swoją czapkę-niewidkę; przeobrażenie pana de Charlus w nową osobę było tak zupełne, że nie tylko kontrasty jego twarzy, głosu, ale retrospektywnie nawet przyływy i odpływy jego stosunku do mnie, wszystko, co wydawało się dotąd mojej inteligencji czymś bezładnym, stawało się zrozumiałe, oczywiste. Tak zdanie nieprzedstawiające żadnego sensu, dopóki pozostaje rozłożone na rozsypane przypadkowo litery, wyraża — skoro te litery ułożyć we właściwym porządku — myśl, której niepodobna już będzie zapomnieć.

Co więcej, zrozumiałem teraz, czemu przed chwilą, widząc barona wychodzącego od pani de Villeparisis, mogłem uważać, że on wygląda na kobietę: był kobietą! Należał do rasy istot, mniej paradoksalnych, niż się wydaje, których ideałem jest męskość właśnie dlatego, że ich natura jest żeńska, a które w życiu są podobne jedynie z pozoru do innych mężczyzn; tam gdzie każdy nosi — wypisaną w tych oczach, którymi widzi wszystko we wszechświecie — sylwetkę wyrytą w soczewce źrenicy, u nich nie jest to sylwetka nimfy, lecz efeba. Rasa, na której ciąży przekleństwo i która musi żyć w kłamstwie i krzywoprzysięstwie, bo wie, że jej pragnienie, stanowiące dla wszelkiej istoty największą słodycz życia, jest niepodobne do wyznania, karalne i hańbiące; rasa, która musi się zapierać swojego Boga, bo nawet chrześcijanie, kiedy się jawią przed kratkami sądowymi jako oskarżeni, muszą, wobec Chrystusa i Jego imienia, bronić się niby od potwarzy od tego, co jest treścią ich życia; synowie bez matki, której muszą kłamać całe życie, nawet w chwili gdy jej zamykają oczy; przyjaciele bez przyjaźni, mimo wszystkich uczuć, które często budzi ich czar i których serce ich, często dobre, mogłoby kosztować; ale czy można nazwać *przyjaźnią* stosunki wegetujące jedynie dzięki kłamstwu; stosunki, w których pierwszy ufny i szczerzy wylew sprawiłby, że by ich odrącono ze wstrętem, chyba że mają do czynienia z umysłem bezstronnym, nawet współczującym, ale który wówczas, zmylony w danym przedmiocie konwencjonalną psychologią, z wyznanego błędu wywiedzie przywiązanie najbardziej błędowi temu obce, tak jak niektórzy sędziowie łatwiej przyjmują i usprawiedliwiają morderstwo u zbrojców, a zdradę u Żydów, z motywów zaczerpniętych z grzechu pierworodnego i z fatalności rasy. Kochankowie — przynajmniej wedle mojej pierwotnie naszkicowanej teorii, która, jak się to okaże, zmieni się w przyszłości, a w której najbardziej by ich to zmartwiło, gdyby ta sprzeczność nie była skryta ich oczom siłą tego samego złudzenia, które im dawało widzieć i żyć — kochankowie, dla których jest niemal zamknięta możliwość tej miłości, dającej im przez swoje nadzieje siłę zniesienia tyłu niebezpieczeństw i takiego osamotnienia, gdyż szaleją właśnie za mężczyzną nie mającym nic z kobiety, za mężczyzną nie będącym zbrojcem i tym samym niezdolnym

ich kochać; tak iż pragnienie ich byłoby na zawsze nieugaszone, gdyby pieniądze nie wydawały im na łup prawdziwych mężczyzn i gdyby wyobraźnia nie ukazywała im prawdziwych mężczyzn w zbroczeniach, z którymi się prostytuują. Honor mają jedynie z łaski, wolność — prowizoryczną aż do odkrycia zbrodni; sytuację — chwiejną, jak ów poeta wczoraj fetowany w salonach, oklaskiwany we wszystkich teatrach Londynu, nazajutrz wypędzony ze wszystkich oberży, nie mający gdzie głowy skłonić, obracający żarna jak Samson i mówiący jak on:

Dwie płcie umrą, każda po swojej stronie;

wyzuci nawet — z wyjątkiem dni wielkiej niedoli, kiedy ciżba skupia się koło ofiary jak Żydzi koło Dreyfusa — z sympatii, czasem z towarzystwa podobnych sobie, budzą w nich wstręt przez to, że im ukazują to, czym tamci są; są dla nich lustrem, co, nie pochlebając im już, zdradza wszystkie skazy, których nie chcieli zauważyć u siebie, i przekonuje ich, że to, co nazywali swoją miłością (i z czym, igrając ze słowami, skojarzyli przez zmysł socjalny wszystko to, co poezja, malarstwo, muzyka, rycerstwo, ascetyzm mogły przydać miłości), wypływa nie z obranego przez nich ideału piękności, ale z nieuleczalnej choroby. I — znów jak owi Żydzi (z wyjątkiem niektórych, chcących obcować jedynie z ludźmi swojej rasy, mających w ustach zawsze rytualne słowa i uświęcone żarciki) — stronią jedni od drugich, szukając tych, którzy są ich największym przeciwieństwem, którzy ich nie chcą; i wybaczą im objawy wstrętu, upajając się ich uprzejmością; ale tak samo jak Żydzi złączeni z podobnymi sobie przez ostracyzm, jaki ich wspólnie dotyka, przez hańbę, w jaką popadli, nabierają w końcu, od prześladowań podobnych prześladowaniu Izraela, fizycznych i moralnych cech rasy. Czasami piękni, często ohydni znajdują (mimo wszystkich drwin, jakimi osobnik bardziej mieszany, lepiej zasymilowany z przeciwną rasą i na pozór mniej stosunkowo zboczony, obsypuje większego zbroczeniaka) w towarzystwie podobnych sobie wytchnienie, a nawet oparcie własnej egzystencji; tak iż, przecząc, aby byli rasą (której nazwa jest największą zniewagą), demaskują chętnie tych, co zdołali ukryć, że do niej należą, nie tylko aby im szkodzić (co również zresztą się zdarza), ile by wytłumaczyć samych siebie; szukają — jak lekarz zapalenia wyrostka robaczkowego — inwersji nawet w historii, z lubością przypominając — jak Izraelici mówią o Jezusie — że Sokrates był jednym z nich, nie pamiętając, że nie było zbroczeniów wówczas, gdy homoseksualizm był normą — jak nie było antychrześcijan przed Chrystusem — że jedynie hańba tworzy zbrodnię, ponieważ dała przetrwać tylko tym, co byli oporni na wszelkie upomnienia, na wszelki przykład, na wszelką karę, na skutek wrodzonego usposobienia tak specjalnego, że budzi w innych ludziach (mimo że mogą się z nim łączyć wysokie przymioty moralne) większy wstręt niż niektóre przywary najbardziej sprzeczne z moralnością, jak kradzież, okrucieństwo, zła wiara — przywary lepiej rozumiane, zatem łatwiej usprawiedliwione przez ogół. Ci ludzie stanowią masonerię rozleglejszą, skuteczniejszą i mniej podejrzaną niż loże masonskie, bo opiera się na tożsamości gustów, potrzeb, nawyków, niebezpieczeństw, wtajemniczenia, wiedzy, frymarki, słownictwa; masonerię, w której nawet ci jej członkowie, którzy nie chcą się znać wzajem, natychmiast się poznają po naturalnych lub umownych, mimowolnych lub celowych znakach, odsłaniających żebrakowi pobratymca w wielkim panu, któremu ów zamyka drzwiczki od karety, ojcu w narzeczoną córki, pacjentowi, penitentowi, klientowi w lekarzu, w księdzu, w adwokacie; wszyscy zmuszeni chronić swój sekret, ale uczestniczący w sekrecie drugich, którego reszta ludzkości nie podejrzewa. Dla tych ludzi najnieprawdopodobniejsze romanse stają się prawdą, bo w tym romantycznym, anachronicznym życiu ambasador jest przyjacielem zbrodniarza, księżę — z ową swobodą manier, którą daje arystokratyczne wychowanie, a której nie miałby drobnomieszczanin — wychodząc od księżnej, idzie na schadzki z apaszem. Jest to część społeczności ludzkiej potępiona, ale część ważna, podejrzana tam, gdzie jej nie ma, rozsiadająca się zuchwale i bezkarnie tam, gdzie jej nie odgadują; licząca adeptów wszędzie, wśród ludu, w armii, w świątyni, na galerach, na tronie; żyjąca wreszcie — przynajmniej jej największa część — w przymilnej i niebezpiecznej czułości z ludźmi innej rasy, wyzywająca ich, igrająca z nimi mówiąc o zbroczeniu, tak jakby ono nie było ich udziałem: gra, którą ułatwiło zaślepienie lub fałsz tamtych, gra, która może się przeciągać przez lata, aż do dnia skandalu, który pożera tych pogromców.

Aż do tej pory zmuszeni są ukrywać swoje życie, odwracać spojrzenia od tego, na czym chcieliby je zatrzymać, zatrzymywać je na tym, od czego chcieliby je odwrócić; muszą zmieniać rodzaj przymiotników w swoim słownictwie. Ten przymus socjalny lekki jest w porównaniu z wewnętrznym przymusem, jaki zboczenie — lub to, co się niewłaściwie tak nazywa — nakłada im już nie w stosunku do innych, ale w stosunku do nich samych, i tak, aby im samym nie wydawało się zboczeniem. Ale niektórzy, praktyczniejsi, bardziej spieszący się, nie mający czasu sami wychodzić na targ ani wyrzec się uproszczeń życia oraz tej oszczędności czasu, jaką może dać kooperacja, stworzyli sobie dwa towarzystwa, z których drugie składa się całkowicie z istot im podobnych.

Uderza to u tych, którzy są biedni i przybywają z prowincji, bez stosunków, z jedną ambicją, aby zostać kiedyś jeden sławnym lekarzem, inny adwokatem, jeszcze bez przekonania, bez manier, których spodziewają się szybko nabyć, tak jak do swego pokoiku w Quartier Latin kupują meble wedle tego, co zauważą i przejmą u tych, co się już „wybili” w jakimś pożytecznym i poważnym zawodzie, w którym oni pragnęliby zająć zaszczytne miejsce. U tych ów specjalny pociąg, odziedziczony bez ich wiedzy, jak talent do rysunku, do muzyki, jak ślepotą, jest może jedyną żywotną i despotyczną oryginalnością, która pewnego wieczora każe im poświęcić jakieś pożyteczne dla ich kariery zebranie w towarzystwie ludzi, od których poza tym przejmują sposób mówienia, myślenia, ubierania się, czesania. W swojej dzielnicy, gdzie odwiedzają jedynie kolegów, nauczycieli lub jakiegoś wpływowego i życzliwego krajana, szybko odkryli innych młodych ludzi, których ten sam specjalny gust zbliża do nich, tak jak w małym miasteczku zbliżą się z sobą nauczyciel i rejent, obaj zamilowani w muzyce kameralnej lub kolekcjonujący średnio-wieczną kość słoniową; w przedmiot swojej rozrywki wkładając ten sam zmysł utylitarny, tego ducha zawodowego, jakiego przestrzegają w swojej karierze, spotykają ich na zebraniach, gdzie tak samo nie dopuszcza się żadnego profana, jak na wspólnych zebraniach amatorów starych tabakierek, japońskich sztychów, rzadkich kwiatów, gdzie przyjemność kształcenia się, pożytek wymiany i obawa współzawodnictwa rodzi, jak na giełdzie marek pocztowych, zarazem solidarność specjalistów i dzikie rywalizacje kolekcjonerów. Nikt zresztą w kawiarni, gdzie oni mają swój stolik, nie wie, co to jest za zebranie; czy to jest towarzystwo rybołówców, dziennikarzy lub „dzieci Indre”, tak bardzo zachowanie ich jest poprawne, wzięcie wstrzemięźliwe i chłodne, tak dalece nie śmieją się przyglądać inaczej niż ukradkiem młodym elegantom, młodym „lwom”, którzy o kilka kroków dalej szumnie paradują ze swymi damulkami. I ci, co ich podziwiają nie śmiejąc podnieść oczu, dowiedzą się aż w dwadzieścia lat później, kiedy jedni będą na progu Akademii, a drudzy starymi klubowcami, że najbardziej uroczy wśród tamtych, obecnie gruby i szpakowaty Charlus, był w istocie podobny do nich, ale gdzie indziej, w innym świecie, pod innymi godłami, z obcymi ich cechami, których odmiennosć wprowadziła ich w błąd. Takie ugrupowania bywają mniej lub więcej zaawansowane; i jak Unia Lewicy różni się od Federacji Socjalistycznej, a jakieś stowarzyszenie muzyczne mendelsonistów od Schola Cantorum, tak w pewne wieczory, przy innym stoliku, znajdują się ekstremiści, u których błysnie na chwilę spod mankietu bransoletka, czasem naszyjnik spod kołnierza koszuli, którzy swoimi natrętnymi spojrzeniami, swoim gruchaniem, piskami, śmieszkami, pieszczotkami wypłaszają gromadkę uczniów. Tych obsługuje garson z grzecznością, pod którą czai się oburzenie; ten sam garson, który w pewne wieczory, kiedy obsługuje dreyfusistów, z przyjemnością wezwałby policji, gdyby mniej cenił satysfakcję zgarniania napiwków.

Tym organizacjom zawodowym smak przeciwstawia gusty samotników; dość naturalnie zresztą, gdyż naśladuje w tym właśnie owych samotników, którzy sądzą, że nic bardziej się nie różni od zorganizowanego zboczenia niż to, co się im samym wydaje niezrozumianą miłością; i co prawda też z pewną sztuczością, bo te rozmaite klasy, tak jak odpowiadają różnym typom fizjologicznym, tak też odpowiadają kolejnym momentom ewolucji patologicznej lub tylko socjalnej. I rzadkie w istocie jest, aby — prędzej lub później — samotnicy nie roztopili się w końcu w takich organizacjach, czasem przez proste znużenie, dla wygody (jak ci, co będąc długo największymi tego przeciwnikami, zakładają w końcu u siebie telefon, przyjmują państwa Iéna lub zaopatrują się u Potina). Są tam zresztą raczej źle widziani, bo w ich życiu stosunkowo czystym brak doświadczenia, przerost wyobraźni, na którą są skazani, silniej wycisnęły w nich swoiste cechy

zniewieścianości, które zawodowcy starali się zatrzeć. I trzeba przyznać, że u wielu z tych adeptów kobieta nie tylko wewnętrznie kojarzy się z mężczyzną, ale jest wstrętnie widoczna u tych ludzi wstrząsanych histerycznym spazmem ostrego śmiechu, który skręca im ręce i kolana, u tych osobników nie więcej już podobnych do ogółu ludzi niż owe małpy z podkrążonymi i melancholijnymi oczami, z chwytnymi nogami, ubrane w smoking i czarną krawatkę; tak iż mniej czysci od nich uważają tych nowych adeptów za kompromitujące i niechętnie tolerowane towarzystwo; przyjmuje się ich wszelako i wówczas korzystają z owych ułatwień, za pomocą których handel, wielkie przedsiębiorstwa przeobraziły życie jednostek, udostępniły produkty dotąd zbyt luksusowe, a nawet trudne do dostania, i teraz zalewają ich nadmiarem tego, czego oni sami nie zdołaliby odkryć i w największym tłumie. Ale, nawet przy tych niezliczonych ułatwieniach, ucisk społeczny jest jeszcze zbyt ciężki dla niektórych, zwłaszcza tych, co nie wyzwolili się jeszcze z ucisku duchowego i wciąż uważają swój rodzaj miłości za rzadszy, niż jest. Zostawmy na chwilę tych, którym wyjątkowy charakter ich skłonności każe spoglądać z góry na kobiety, gardzić nimi i którzy czynią z homoseksualizmu przywilej wielkich geniuszów i wspaniałych epok. Ci, kiedy się starają nawracać na swój gust, zwracają się, przez żarliwość apostołstwa, tak jak inni głoszą syjonizm, integralny pacyfizm, saintsimonizm, wegetarianizm i anarchię, nie tyle do tych, którzy im się wydają predysponowani — jak czyni morfinoman z morfiną — ile do tych, którzy się im wydają godni. Niektórzy, kiedy ich zająć rano jeszcze w łóżku, ukazują cudowną głowę kobietą — tak dalece wyraz twarzy jest wspólny i symbolizuje całą płęć: potwierdzają to nawet ich włosy, zwoje ich są tak kobiece, pukle spadają tak naturalnie na policzki, że podziwiamy, iż młoda kobieta, młoda dziewczyna, Galatea ledwo budząca się w nieświadomości ciała mężczyzny, w którym jest zamknięta, mogła tak genialnie, sama z siebie, nie nauczywszy się od nikogo, skorzystać z najmniejszych szczelin swego więzienia, znaleźć to, co jej było potrzebne do życia. Bez wątpienia, młody człowiek z tą uroczą głową nie mówi: „Jestem kobietą”. Nawet jeżeli — z tylu możebnych przyczyn — żyje z kobietą, może się zaprzecć własnej kobiecości, może przysiąc, że nigdy nie miał nic z mężczyznami. Ale niech go kobieta ujrzy takim, jakim myśmy go pokazali, w łóżku, w pidżamie, z nagimi ramionami, z nagą szyją w fali ciemnych włosów. Pidżama zmieniła się w stanik kobiecy, głowa w główkę ładnej Hiszpanki. Kochankę przerażają te zwierzenia uczynione jej oczom, prawdziwsze, niżby mogły być słowa, a nawet czyny; zwierzenia, których zresztą czyny — jeżeli tego nie uczyniły dotąd — nie omieszkają potwierdzić, bo wszelka istota bieży za swoją rozkoszą, a jeżeli ta istota nie jest zbyt skażona, szuka jej w płci przeciwnej sobie. A dla zboczeńca zboczenie zaczyna się nie wtedy, kiedy nawiązuje stosunki z kobietami (zbyt wiele przyczyn może mu to nakazywać), ale wtedy, kiedy doznaje z nimi rozkoszy. Młody człowiek, któregośmy tu próbowali odmalować, był tak oczywiście kobietą, że kobiety, które spoglądały nań pożądliwie, były skazane (poza wypadkiem jakichś specjalnych skłonności) na to samo rozczarowanie co te, które w komediach Szekspira są zwiedzione przez przebraną młodą dziewczynę, podającą się za młodzieńca. Tu oszukaństwo jest podobne i sam zboczeniec wie o tym, zgaduje zawód, jakiego po zdjęciu kostiumu dozna kobieta; czuje, jakim źródłem poetyckiej fantazji jest to płciowe *qui pro quo*. Nic to również, że nawet swojej wymagającej kochance (o ile ona nie jest gomorejką) nie wyzna: „Jestem kobietą”; pomimo to, z jakimiż chytrściami, z jaką zwinnością, z jaką wytrwałością pnącej się rośliny owa nieświadoma, a oczywista kobieta szuka organu męskiego! Wystarczy spojrzeć na te włosy w puklach na białej poduszce, aby zrozumieć, że jeżeli wieczorem ten młody człowiek wymknie się rodzicom, wbrew nim, wbrew sobie, to nie po to, aby spieszyć do kobiet. Kochanka może go karcić, zamykać; nazajutrz mężczyzno-kobieta znajdzie sposób uczepienia się mężczyzny, jak powój zaczepia swoje wąsy tam, gdzie znajdzie łopatę lub grabie. Czemu podziwiając w twarzy tego osobnika subtelności, które nas wzruszają, naturalną słodycz obcą mężczyznom, czemu mielibyśmy rozpaczać, dowiadując się, że ten młody człowiek szuka towarzystwa bokserów? To są różne fizjognomie tej samej rzeczywistości. I nawet ta fizjognomia, która nas odpycha, jest najbardziej wzruszająca, bardziej niż wszystkie delikatności, bo przedstawia cudowny, nieświadomy wysiłek natury: poznanie płci przez nią samą; mimo oszukaństw płci objawia się skryte dążenie, aby się wymknąć ku temu, co początkowy błąd społeczeństwa od niej oddalił. Jedni — ci, co mieli dziecięctwo z pewnością najbardziej nieśmiało — prawie nie troszczą się o materialny

gatunek otrzymywanej rozkoszy, byleby ją mogli skojarzyć z męską twarzą. Inni znów, o zmysłach niewątpliwie gorętszych, zdecydowanie lokalizują swoją fizyczną rozkosz. Ci zgorzysiliby może swoimi wyznaniami przeciętny ogół. Żyją może mniej wyłącznie pod znakiem Saturna, bo dla nich kobiety nie są całkowicie wykluczone jak dla tych, dla których nie istniałyby one poza konwersacją, kokieterią, miłością cerebralną. Drudzy za to poszukują kobiet lubiących kobiety; one mogą im dostarczyć młodego człowieka, mogą wzbogacić przyjemność, jaką oni znajdują w jego towarzystwie; co więcej, mogą na ten sam sposób znaleźć u kobiety tę samą rozkosz co u mężczyzny. Stąd pochodzi, że ci, co kochają owych pierwszych, zazdrośni są jedynie o przyjemność, jaką ci mogliby znaleźć z mężczyzną; tylko ta przyjemność wydałaby się im zdradą, skoro nie znają miłości kobiet, praktykowali ją tylko ze zwyczaju i po to, aby sobie zabezpieczyć możliwość małżeństwa, przy czym tak dalece nie wyobrażają sobie rozkoszy, jaką może dać kobieta, iż fakt tej rozkoszy kosztowanej przez ich ukochanego nie może im sprawić bólu; drudzy natomiast często budzą zazdrość przez swoje miłostki z kobietami. Bo w swoich z nimi stosunkach grają oni dla kobiety, mającej pociąg do kobiet, rolę kobiety; równocześnie zaś kobieta daje im w przybliżeniu to, co znajdują w mężczyźnie; tak iż zazdrosny przyjaciel cierpi od myśli, że przedmiot jego ukochania sparzony jest z tą, która jest dlań prawie mężczyzną, a zarazem czuje, że przyjaciel niemal mu się wymyka, bo dla tych kobiet ów mężczyzna jest czymś, czego on sam nie zna — rodzajem kobiety.

Nie mówmy również o młodych urwisach, którzy przez jakieś dzieciństwo, aby podrażnić przyjaciół, zgorzyc rodzinę, z osobliwym uporem przybierają strój podobny do sukien kobiecych, różują sobie wargi, podczerniają oczy; pomińmy ich, bo odnajdziemy ich ponoszących zbyt okrutną karę za swoją komedię, całe życie daremnie siłących się surowym purytańskim wzięciem naprawić szkodę, jaką sobie wyrządzili, pchani przez tego samego demona, jaki popycha młode kobiety z Faubourg Saint-Germain do tego, aby żyć w sposób skandaliczny, aby zdeptać wszystkie formy, okryć hańbą rodzinę aż do dnia, w którym wytrwale i bez powodzenia zaczną się wdrapywać na skarpe, z której tak je bawiło schodzić lub raczej skąd schodziły parte jakąś zagadkową siłą.

Zostawmy wreszcie na później tych, co zawarli pakt z Gomerą. Będziemy mówili o nich wówczas, gdy pan de Charlus ich pozna. Zostawmy wszystkich tych, z tego czy owego gatunku, którzy zjawiają się kolejno, i, aby skończyć wstępne rozważania, powiedzmy tylko słowo o tych, o których zaczęliśmy mówić przed chwilą — o samotnikach. Ci, uważając swoją przywarę za bardziej wyjątkową, niż jest, żyli samotnie od dnia, gdy ją odkryli, dźwigając ją wprzód dłużej bez świadomości własnej natury, dłużej jedynie niż inni. Bo nikt nie wie od razu, że jest zboczeńcem lub poetą, lub snobem, lub złym człowiekiem. Niejeden ucniak, poznając wiersze miłosne lub oglądając sprośne obrazki, jeżeli się przytula wówczas do kolegi, wyobraża sobie tylko, że się z nim łączy we wspólnym pragnieniu kobiety. Jakim cudem nie uważałby się za podobnego innym, kiedy istotą tego, czego doznaje, odnajduje czytając panią de La Fayette, Racine'a, Baudelaire'a, Waltera Scotta — wówczas kiedy jeszcze zbyt mało umie obserwować sam siebie, aby zrozumieć to, co przydaje z własnych zasobów, i aby odgadnąć, iż — o ile uczucie jest to samo — przedmiot jest inny, i że istotą, której pożąda, jest Rob Roy, a nie Diana Vernon? U wielu, przez samoobronę instynktu, wyprzedzającą świadomość inteligencji, lustro i ściany ich pokrywają się fotografiami aktorek; tacy fabrykują wiersze w rodzaju:

Chloe to moja jedyna,  
Najmilsza moja dziewczyna,  
Włosy jej jasne jak len,  
Jej miłość czarowny sen.

Czy mamy dlatego szukać w zaraniu tych egzystencji skłonności, których nie odnajdziemy w nich później, niby owych pukli blond u dzieci, mających później wyrósć na ciemnych brunetów? Kto wie, czy fotografie kobiet nie są początkiem obłudy, a także początkiem wstępu do innych zboczeńców?

Ale samotnicy to są właśnie ci, dla których obłuda jest bolesna. Może nawet przykład Żydów, tworzących kolonię odmiennego typu, nie jest dość silny, aby wskazać, jak mało wpływu ma na nich wychowanie i z jaką sztuką umieją wrócić (może nie do czegoś



tak po prostu okrutnego jak samobójstwo, do którego wariaci, wbrew wszelkim ostrożnościom, wracają, i gdy ich wyratować z rzeki, trują się, zdobywają rewolwer itd.), ale do życia, którego ludzie innej rasy nie tylko nie rozumieją, nie wyobrażają sobie, którego niezbędnych rozkoszy nienawidzą, ale którego ciągle niebezpieczeństwo i nieustająca hańba przejęłyby ich w dodatku zgrozą. Aby ich odmalować, trzeba może uprzytomnić sobie, jeżeli nie zwierzęta nie dające się oblaskawić, młode lewki rzekomo oswojone, ale pozostające lwami, to bodaj Murzynów, których mierzi wygodne życie białych i którzy wolą ryzyko dzikiego bytowania i jego niepojęte uciechy.

Kiedy tacy pewnego dnia odkryli, że są niezdolni kłamać drugim i wraz kłamać samym sobie, zagrzebują się na wsi, uciekając przed podobnymi sobie (których uważają za nielicznych) przez wstręt do potworności lub przez obawę pokusy — a przed resztą ludzkości ze wstydu. Nie osiągnąwszy nigdy prawdziwej dojrzałości, popadłszy w melancholię, od czasu do czasu, w jakąś bezksiężycową niedzielę idą przed siebie aż do skrzyżowania dróg, gdzie, nie porozumiewszy się z nimi ani słowem, czeka na nich przyjaciel z dzieciństwa, mieszkający w sąsiednim dworze. I rozpoczynają swoje dawne igraszki na trawie, w nocy, nie wymieniając ani słowa. W ciągu tygodnia odwiedzają się wzajem, rozmawiają o bądź czym, bez żadnej aluzji do tego, co zaszło, zupełnie tak, jakby się nic nie stało i nie miało się stać nadal; jedynie w stosunkach między nimi istnieje trochę chłodu, ironii, podrażnienia i urazy, czasem nienawiści. Potem bywa, iż sąsiad puszcza się w uciążliwą podróż konno, wspina się na mule na szczyty gór, sypia w śniegu; przyjaciel jego, który utożsamia własną przywarę z wåtłością temperamentu, z domatorskim i nieśmiałym życiem, pojmując, iż ta przywara nie zagrzeje już miejsca w wyemancypowanym przyjacielu, o tyle tysięcy metrów nad poziomem morza! I w istocie tamten żeni się. Jednakże ów opuszczony nie odzyskuje zdrowia (mimo wypadków, w których, jak wskażemy, zboczenie jest uleczalne). Co rano sam odbiera w kuchni świeżą śmietankę z rąk młodego mleczarza, wieczorami zaś, kiedy żądze nazbyt go nękają, zdarza mu się pokazać drogę zabląkanemu pijakowi, nawet poprawić bluzę biednemu ślepcowi. Bez wątpienia, życie niektórych zboczeńców zmienia się na oko: przywara ich (jak się to mówi) nie zdradza się w ich obyczajach; ale nic nie ginie; ukryty klejnot odnajduje się. (Kiedy ilość moczu u chorego maleje, to znaczy, że się więcej poci, ale wydzielanie musi się odbywać.) Jednego dnia ów homoseksualista traci młodego krewniaka i z jego niepokieszonego bólu zgadujecie, że to w tę miłość, czystą może i bardziej dbałą o zachowanie szacunku niż dążącą do posiadania, przeszły jego pragnienia — w drodze „przelewu”, tak jak w budzecie, nie zmieniając całkowitej sumy, daje się niektórym wydatkom inne przeznaczenie. I jak u owych chorych, u których atak pokrzywki na jakiś czas usuwa zwykle ich dolegliwości, czysta miłość do młodego krewniaka zastąpiła niejako czasowo u zboczeńca, przez metastazę, nawyki, które prędzej lub później odzyskują miejsce zastępczej i uleczonej choroby.

Wśród tego żonaty sąsiad samotnika wrócił; wobec piękności młodej małżonki oraz czułości, jaką jej okazuje mąż, przyjaciel — w dniu, gdy ich musi zaprosić na obiad — wstydzili się przeszłości. Młoda żona, już w poważnym stanie, musi wrócić wcześniej, zostawiając męża; kiedy nadeszła godzina powrotu, ów prosi przyjaciela, aby go odprowadził kawałek. Nie podejrzewa absolutnie nic, gdy nagle, na skrzyżowaniu dróg, znajduje się na trawie, bez słowa obalony przez alpinistę, mającego zostać ojcem. I znów zaczynają się schadzki aż do dnia, gdy niedaleko zamieszka kuzyn młodej żony, z którym teraz przechadza się stale mąż. I jeżeli opuszczony przyjaciel zachodzi wieczorem i stara się doń zbliżyć, ów, wściekły, odpycha go, oburzony, iż tamten nie ma na tyle taktu, aby odgadnąć wstręt, jaki budzi teraz. Raz jeden zgłasza się jakiś nieznajomy, posłany przez niewiernego sąsiada; ale wzgardzony przyjaciel, zbyt zajęty w danym momencie, nie może przyjąć obcego i dopiero później odgaduje, w jakim celu ów obcy przyszedł.

Wówczas odludek usycha sam. Nie ma innej rozrywki, jak chodzić na stację sąsiedniego kąpieliska, aby prosić o informacje pewnego urzędnika kolejowego. Ale ten dostał awans, przeniesiono go na drugi koniec Francji; samotnik nie będzie mógł już chodzić pytać go o godziny pociągów, o cenę biletu pierwszej klasy; zanim wróci marzyć w swojej wieży, jak Gryzelda, zasiaduje się na plaży, niby jakaś dziwna Andromeda, której nie przyjdzie oswobodzić żaden Argonauta; niby jałowa meduza, która zginie na piasku. Albo tkwi leniwo przed odejściem pociągu na peronie, obejmuje tłum podróżnych spojrze-

niem, które osobnikom innej rasy wyda się obojętne, wzdurliwe lub roztargnione, ale które niby świetlny blask, jakim się stroją pewne owady, aby zwabić owady tego samego gatunku, lub jak nektar produkowany przez pewne kwiaty, by ściągnąć owady mające je zapłodnić, nie oszukałoby niepodobnego niemal do znalezienia amatora zbyt specjalnej, zbyt trudnej do ulokowania rozkoszy, którą mu proponują; kolegi po fachu, z którym nasz specjalista mógłby mówić rzadkim językiem; co najwyżej jakiś włóczęga na ulicy uda, że się nim interesuje, ale tylko dla materialnej korzyści jak ci, co w Collège de France, w sali, gdzie profesor sanskrytu wykłada w próżnię, zachodzą na wykład, ale tylko po to, aby się ogrzać.

Meduza! Orchidea! Kiedym szedł tylko za swoim instynktem, meduza brzydziła mnie w Balbec; ale kiedym umiał na nią spojrzeć jak Michelet z punktu nauk przyrodniczych i estetyki, widziałem rozkoszny lazurowy żyrandol. Czyż one nie są, z tym przezroczystym aksamitem swoich płatków, niby liliowe orchidee morza? Jak tyle istot zwierzęcego i roślinnego królestwa, jak roślina, która produkowałaby wanilię, ale która, dlatego że organ męski oddzielony jest w niej cienką ścianką od organu żeńskiego, pozostaje jałowa (o ile kolibry lub pewne pszczołki nie przeniosą pyłku z jednego kwiatu na drugi lub o ile człowiek nie zapłodni ich sztucznie), tak pan de Charlus (a tutaj słowo „zapłodnienie” trzeba brać w sensie moralnym, skoro w sensie fizycznym połączenie samca z samcem jest jałowe; ale nie jest obojętne, aby dany osobnik mógł znaleźć jedyną rozkosz, do jakiej kosztowania jest zdolny, i aby „na tym padole” wszelka istota mogła użyzyć komuś „swojej melodii, swego płomienia lub swego zapachu”), pan de Charlus był z owych mężczyzn, których można nazywać wyjątkowymi, ponieważ, choćby byli bardzo liczni, zadowolenie ich potrzeb płciowych — tak łatwe u innych ludzi — zależy od zbiegu zbyt wielu i zbyt trudnych do spotkania warunków. Dla ludzi takich jak pan de Charlus — z uwzględnieniem kompromisów, które okażą się stopniowo i które już można było przeczuć, kompromisów narzucanych przez potrzebę rozkoszy godzącą się na połowiczne przyzwolenie — miłość wzajemna, do trudności tak wielkich, czasem niezwykłych, z jakimi się spotyka u ogółu istot, przydaje trudności tak specjalne, że to, co jest zawsze bardzo rzadkie dla wszystkich, staje się u tych ludzi prawie niemożliwe; jeżeli zaś się im zdarzy spotkanie naprawdę szczęśliwe lub które natura ukaże im jako takie, szczęście ich, o wiele bardziej jeszcze niż szczęście normalnego kochanka, ma coś nadzwyczajnego, wybranego, głęboko koniecznego. Nienawiść Kapuletów i Montekich była niczym wobec wszelkiego rodzaju przeszkód, jakie trzeba było zwyciężyć, specjalnych eliminacji, jakim natura musiała poddać dość już niezwykle przypadki sprowadzające miłość, zanim eks-krawiec, wybierający się cnotliwie do biura, zachwiał się, olśniony, wobec otyłego pięćdziesięciolatka; taki Romeo i taka Julia słusznie mogą mniemać, że ich miłość nie jest kaprysem chwili, ale prawdziwym przeznaczeniem przygotowanym przez harmonię ich natur, nie tylko ich własnych, ale także natur ich przodków, przez najodleglejsze dziedziczności, tak że istota, która się parzy z nimi, należy do nich przed urodzeniem, ściągnęła ich siłą podobną sile poruszającej światy, w których spędziliśmy poprzednie nasze żywoty.

Pan de Charlus oderwał mnie od śledzenia, czy bąk przyniósł orchidei pyłek, którego oczekiwała od tak dawna, a który miała szanse uzyskać jedynie dzięki przypadkowi tak nieprawdopodobnemu, że można by go nazwać rodzajem cudu. Ale to, czego byłem świadkiem, to także był cud, sprawiony przez tego samego niemal geniusza i nie mniej cudowny. Z chwilą gdy spojrział na owo spotkanie z tego punktu widzenia, wszystko mi się w nim wydawało nasycone pięknem. Natura wymyśliła najniezwyklejsze chytryści, aby zmusić owady do zapładniania kwiatów, które bez nich byłoby niemożliwe, gdyż kwiat męski zbyt jest odległy od żeńskiego; jeśli to wiatr ma zapewnić przeniesienie pyłku, natura czyni ów pyłek o wiele łatwiejszym do odczepienia od męskiego kwiatu, o wiele łatwiejszym do pochwylenia w locie przez kwiat żeński; natura usuwa wydzielanie nektaru (zbyteczne, kiedy już nie potrzeba wabić owadów), a nawet blask płatków, które je nęca; aby zachować kwiat dla właściwego pyłku, zdolnego wydać owoc jedynie z nim, każe mu wydzielac ciecz uodporniającą go na inne pyłki; ale wszystko to wydało mi się nie bardziej cudowne niż istnienie grupy zboczeńców przeznaczonej dla rozkoszy starzejącego się zboczeńca; mężczyzn, których przyciągają nie wszyscy mężczyźni, ale — przez fenomen zgodności i harmonii, dający się porównać z tym, który reguluje zapłodnienie

u kwiatów o szyjkach trójdzielnych jak *Lythrum salicaria* — jedynie mężczyźni o wiele starsi od nich. Przykładem tej grupy stał się dla mnie Jupien; przykładem zresztą mniej zdumiewającym od innych, które wszelki herborysta ludzki, wszelki botanik moralny zdoła zaobserwować mimo ich rzadkości, a których im nastęrczy wiotki efeb, wyczekujący zalotów krzepkiego i otylego pięćdziesięciolatka, równie obojętny na zaloty innych młodych ludzi, jak jałowymi pozostają obupłciowe krótkoszyjkowe kwiaty *Primula veris*, dopóki je zapładniają jedynie inne *Primula veris* również krótkoszyjkowe, podczas gdy z radością przyjmują pyłek *Primula veris* o długiej szyjce.

Co do samego pana de Charlus zdałem sobie sprawę w dalszym ciągu, że dla niego istnieją rozmaite rodzaje skojarzenia. Niektóre przez swoją mnogość, przez swoją ledwie widoczną błyskawiczność, a zwłaszcza przez brak styczności pomiędzy dwoma uczestnikami bardziej jeszcze przypominały owe kwiaty zapłodnione gdzieś w ogrodzie przez pyłek sąsiedniego kwiatu, którego nie dotkną nigdy. Były w istocie niektóre istoty, które wystarczyło mu ściągnąć do siebie, trzymać je przez kilka godzin pod władzą swojego słowa, iżby jego pragnienie, obudzone jakimś spotkaniem, uśmierzyło się. Za pomocą prostych słów sparzenie dokonywało się równie po prostu, jak się może spełniać u wymoczków. Czasami, jak mu się to z pewnością zdarzyło ze mną owego wieczoru, kiedy mnie wezwał do siebie po obiedzie u państwa de Guermentes, zaspokojenie nastąpiło dzięki gwałtownemu wybuchowi, jakim baron bryznął w twarz swego gościa, jak niektóre kwiaty, dzięki specjalnej sprężynce, skraplają na odległość owada, czyniąc go nieświadomie swoim zdumionym partnerem. Pan de Charlus, z owładniętego stawszy się władcą uwalniał się od swego wyruszenia i, uspokojony, odprawiał gościa, który natychmiast przestał mu być pożądanym. Wreszcie sama inwersja, ponieważ pochodzi stąd, że zboczeniec zbyt podobny jest do kobiety, aby z nią mógł wejść w skuteczne stosunki, wiąże się przez to z najwyższym prawem, sprawiającym, że tyle obupłciowych kwiatów pozostaje niezapłodnionych — to znaczy z jałowością samozapłodnienia. Prawda, iż zboczeńcy poszukujący samca zadowolają się często zboczeńcem równie zniewieściałym jak oni. Ale wystarczy, że nie należą do płci żeńskiej, której oni mają w sobie bezpożytecznego embriona, co się zdarza tylu obupłciowym kwiatom, a nawet niektórym obupłciowym zwierzętom — jak na przykład ślimak — które nie mogą zapłodnić się same, ale mogą być zapłodnione przez innych obojnaków. Przez to pederasci, którzy się radzi powołują na starożytny Wschód lub na złoty wiek Grecji, sięgaliby dalej jeszcze, owych próbnych epok, gdy nie istniały ani kwiaty rozdzielnopłciowe, ani zwierzęta jednopłciowe, do tego pierwotnego obojnakstwa, którego ślad zdają się przechowywać szczątki męskich organów w budowie kobiety, a żeńskich w budowie mężczyzny.

Mimika Jupiena i pana de Charlus, zrazu dla mnie niezrozumiała, wydała mi się równie ciekawa jak owe kuszące gesty zwracane do owadów, wedle Darwina, nie tylko przez kwiaty tak zwane złożone, wznoszące obrzeżne kwiaty swoich główek, iżby były widzialne z dalsza, jak pewien kwiat różnoszyjkowy, który odchyła pręciki i zgina je, aby utorować drogę owadom, lub który ofiarowuje im kąpiel; po prostu do zapachów nektaru, do blasku płatków ściągniętych w tej chwili owady w dziedziniec.

Począwszy od tego dnia pan de Charlus miał zmienić godzinę swoich wizyt u pani de Villeparisis; nie dlatego, aby nie mógł wygodniej widywać Jupiena gdzie indziej, ale ponieważ dla niego — jak i dla mnie — popołudniowe słońce i kwiaty związały się z pewnością z jego wspomnieniem. Zresztą baron nie ograniczył się do tego, że polecił Jupienów pani de Villeparisis, księżnej de Guermentes, całej świetnej klienteli, która popędziła skwapliwie do młodej hafciarki, zwłaszcza iż damy, które się opierały lub bodaj ociągały, stały się przedmiotem straszliwych represji barona bądź dla przykładu, bądź że obudziły wściekłość pana de Charlus, przeciwstawiając się jego żądzy panowania. Baron uczynił posadę Jupiena coraz bardziej lukratywną, aż go wziął ostatecznie za sekretarza i stworzył mu byt w warunkach, które poznamy później.

— Ha! ha! Ten ci ma szczęście, ten Jupien — mówiła Franciszka, zawsze skłonna pomniejszać lub przeceniać dobrodziejstwa wedle tego, czy tyczyły jej samej, czy innych. Zresztą nie potrzebowała tutaj przesady ani nie czuła zazdrości, bo Franciszka szczerze lubiła Jupiena. — Ha! To taki dobry człowiek ten baron — dodawała — taki grzeczny, taki nabożny, taki przyzwoity. Gdybym miała córkę do wzięcia i gdybym była z bogaczy, dałabym ją baronowi z zamkniętymi oczami.

— Ale, Franciszko — mówiła łagodnie matka — dużo mężów miałaby ta córka. Pamiętaj, że już ją przyrzekłaś Jupienowi.

— A! To także człowiek, który dałby szczęście kobiecie. Tak, tak, choć są na świecie bogacze i biedacy, to nie zmienia natury w człowieku. Baron i Jupien to ten sam rodzaj ludzi.

Zresztą, w obliczu owego pierwszego odkrycia, bardzo wówczas przesadziłem indywidualny charakter tak dobranej sparzenia. Zapewne, każdy z mężczyzn podobnych panu de Charlus jest istotą nadzwyczajną, skoro, o ile nie robi ustępstw wymaganiom życia, szuka zasadniczo miłości mężczyzny z innej rasy, to znaczy mężczyzny lubiącego kobiety (i który tym samym nie będzie go mógł pokochać); wbrew temu, co sądziłem w dzieciństwie, kiedy widział Jupiena kręcącego się koło pana de Charlus na kształt orchidei robiącej awanse bąkowi, owych wyjątkowych istot, nad którymi się ubolewa, jest mnóstwo, jak się okaże w ciągu tego dzieła, z racji, którą odsłonimy aż na końcu. Oni sami skarżą się raczej na nadmiar niż na niedostatek podobnych sobie. Bo dwaj aniołowie, których umieszczono u bram Sodomy dla sprawdzenia, czy mieszkańcy — powiada Genesis — w pełni uczynili wszystkie te rzeczy, których krzyk wzbił się aż do Przedwiecznego, byli, z czego się tylko można ucieszyć, bardzo źle wybrani przez Pana, który powinien był to zadanie powierzyć jedynie sodomicie. Ten by nie opuścił płomiennego miecza ani nie złagodził kary wobec wymówki: „Jestem ojcem sześciorga dzieci, mam dwie kochanki” itd., ale odpowiedziałby na to: „Tak, ale żona twoja cierpi męki zazdrości. Ale nawet jeżeli tych kobiet nie wybrałeś w Gomorze, spędzasz noce z pastuchem z Hebronu”. I zawróciłby go natychmiast do miasta, które miał zniszczyć deszczem ognia i siarki. Przeciwnie, pozwolono uciec wszystkim wstydliwym sodomitom, nawet gdy na widok młodego chłopca odwracali głowę jak żona Lota, nie zmieniając się dlatego w słup soli. Tak iż mieli liczne potomstwo, w którym ten gest pozostał nałogowy, podobny do gestu rozwiązłych kobiet, które — udając, że patrzą na buciki wystawione za szybą — zerkają w stronę jakiegoś studenta. Ci potomkowie sodomitów — tak liczni, że można do nich zastosować inny werset Księgi Rodzaju: „Jeżeli ktoś potrafi zliczyć proch ziem, i potrafi też zliczyć to potomstwo” — osiedlili się po całej ziemi, weszli do wszystkich zawodów i wcisnęli się tak skutecznie do najbardziej zamkniętych klubów, że — kiedy sodomitę zbalotują — czarne gałki pochodzą przeważnie od sodomitów, ale takich, co gorliwie potępiają sodomie, jako że odziedziczyli kłamstwo, które pozwoliło ich przodkom opuścić to przeklęte miasto. Możliwe jest, że wrócą do niego kiedyś. To fakt, że tworzą we wszystkich krajach trącącą Wschodem kolonię — kulturalną, muzykalną, plotkarską — mającą urocze przymioty i nieznośne wady. Poznamy ich nieco głębiej w dalszych kartach tego dzieła, ale chcieliśmy prowizorycznie uprzedzić oplakany błąd, który polegałby na tym, aby, tak samo jak wzniecono ruch syjonistyczny, stworzyć ruch sodomicki i odbudować Sodomę. Otóż, zaledwie tam przybywszy, sodomici opuściliby miasto, aby nie uchodzić za jego mieszkańców, poženiliby się, trzymaliby sobie kochanki w innych miastach, gdzie by zresztą znaleźli wszystkie pożądane rozrywki. Udawaliby się do Sodomy jedynie w dniach ostatecznej konieczności, kiedy ich miasto byłoby puste, w owych czasach, kiedy głód wypędza wilki z boru, to znaczy, że wszystko działałoby się w rezultacie tak, jak się dzieje w Londynie, w Berlinie, w Rzymie, w Petersburgu lub w Paryżu.

W każdym razie, tego dnia, przed swoją wizytą u księżnej, nie patrzyłem tak daleko i byłem w rozpacz, że, pochłonięty sparzeniem się Jupiena z Charlusem, straciłem może widok zapłodnienia kwiatu przez bąka.

## *Sodoma i Gomora*

# CZĘŚĆ DRUGA, TOM PIERWSZY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Charlus w towarzystwie. — Lekarz. — Fizjonomia pani de Vaugoubert. — Pani d'Arapajon, wodotrysk Huberta Robert i wesolość Wielkiego księcia Włodzimierza. — Pani d'Amoncourt, de Citri, pani de Saint-Euverte, etc. Ciekawa rozmowa Swanna z księciem Gilbertem. — Albertyna przy telefonie. Wizyty przed moim drugim i ostatnim pobylem w Balbec. — Przybycie do Balbec. — Wahania serca.*

Ponieważ nie było mi pilno na wieczór u księstwa Gilbertów, zwłaszcza przy niepewności czy jestem proszony, stałem beczynnym na dworze; ale letni dzień, tak samo jak i ja, nie kwapił się ruszyć z miejsca. Mimo iż było już po dziewiątej, wciąż jeszcze dawał luksorskiemu obeliskowi na placu Zgody odcień różowego nugatu. Potem zmienił jego barwę, przeobrażając go w jakiś metal, tak że obelisk stał się nietylko cenniejszy, ale wydawał się jakby smuklejszy i prawie giętki. Miało się wrażenie, że możnaby go skrócić w rękę, że już może lekko wygięto to cacko. Księżyc wyglądał teraz na niebie niby ćwiartka pomarańczy, delikatnie obranej, mimo że trochę napoczętej. Ale niebawem miał się zmienić w najtwardsze złoto. Przycupnięta za nim, biedna mała gwiazdka służyła za jedyną towarzyszkę samotnej Lunie, gdy ta, osłaniając przyjaciółkę ale śmieiej sunąc naprzód, wznosiła jak nieodpartą broń, jak wschodni symbol, swój duży i cudowny złoty sierp.

Przed pałacem księżnej Marii de Guermantes spotkałem księcia de Châtellerault; nie pamiętałem już, że pół godziny temu prześladowała mnie obawa — mająca mnie zresztą niebawem znów ogarnąć — że przychodzę nie zaproszony. Człowiek niepokoi się, i często w długi czas po niebezpieczeństwie, zapomnianem dzięki roztargnieniu, przypomina sobie swój niepokój. Przywitałem się z młodym księciem i wszedłem do pałacu. Ale tutaj trzeba mi zanotować drobną okoliczność, pozwalającą zrozumieć fakt, który opiszę niebawem.

Był ktoś, kto tego wieczora (jak i poprzednich dni) dużo myślał o księciu de Châtellerault, nie domyślając się zresztą kim jest. Człowiekiem tym był szwajcar (nazywało się go w owej epoce „l'aboyeur”) księżnej Gilbertowej. Pan de Châtellerault, nie należący do najbliższych księżnej Marii — mimo że zresztą jej kuzyn — miał być w jej salonie pierwszy raz. Rodzice jego, poróżnieni od lat dziesięciu z księżną, pogodzili się z nią od dwóch tygodni, a nie mogąc tego wieczora być w Paryżu, polecili synowi aby ich reprezentował. Otóż, na kilka dni przedtem, kamerdyner księżnej Marii spotkał na Polach Elizejskich młodego człowieka, który go oczarował, ale którego tożsamości nie zdołał ustalić. Młody człowiek okazał się równie miły jak hojny; wszystkie fawory, których kamerdyner gotował się użyczyć tak młodemu paniczowi, przypadły, wręcz przeciwnie, w udziale jemu samemu. Ale pan de Châtellerault był równie płochliwy jak nieostrożny; nie miał żadnej ochoty zdradzać swego incognito, nie wiedząc z kim ma do czynienia; a gdyby wiedział, strach jego — mimo że nieuzasadniony — byłby jeszcze o wiele większy! Udawał tedy poprostu Anglika, i na wszystkie namętne pytania famulusa, pragnącego kiedyś odnaleźć człowieka, któremu zawdzięczał tyle rozkoszy i darów, księżę powtarzał jedynie przez całą avenue Gabriel: — *I do not speak french.*

Jakkolwiek, mimo wszystko — z powodu macierzystych parantel kuzyna — księżę Błażej udawał, że znajduje w salonie księżnej Guermantes Baviere coś ze stylu „Courvoisier”, szacowano powszechnie inicjatywę i inteligencję tej damy wedle pewnej inowacji, której nie spotykało się nigdzie indziej w tej sferze. Po obiedzie mianowicie, jakiegokolwiek miały być rozmiary wieczornego rautu, ustawiano u księżnej Marii krzesła w ten sposób, że powstawały małe grupki gości, często odwróconych do siebie plecami. Księżna dawała wówczas wyraz swojej inwencji towarzyskiej, przysiadając się, niby to specjalnie, do którejś z takich grup, dokąd nie lękała się zresztą ściągnąć kogoś z innej grupy. Zwróciwszy naprzykład uwagę pana Detaille — z jego oczywistą aprobatą — na ładną szyję pani de Villemur, siedzącej w innym kółku i odwróconej plecami, księżna nie wahała się rzec głośno: „Pani de Villemur, pan Detaille, wielki malarz, podziwia właśnie pani szyję”. Pani de Villemur pojmowała to jako zaproszenie do rozmowy; ze zręcznością wytrawnej



amazonki obracała z wolna krzesło o trzy czwarte koła i nie deranżując sąsiadów siadała prawie wprost twarzą do księżnej. „Pani nie zna pana Detaille?” pytała pani domu, której nie wystarczyło zręczne i dyskretne wciągnięcie gościa do rozmowy. „Nie znam jego samego, ale znam jego dzieła” — odpowiadała pani de Villemur tonem pełnym szacunku i zachęty, równocześnie, z przytomnością umysłu, którą wielu podziwiała, zwracając niedostrzegalny ukłon w stronę sławnego malarza (mimo iż zainterpelowanie go przez księżnę nie mogło uchodzić za formalną prezentację).

— Niech pan przejdzie do nas, panie Detaille, przedstawię pana pani de Villemur.

Wówczas dama ta rozwijała tyle inwencji w zrobieniu miejsca autorowi *Marzenia*, ile jej okazała przed chwilą w tem aby się zwrócić do niego. I księżna przysuwała sobie krzesło; w istocie zagadnęła panią de Villemur jedynie poto, aby mieć pretekst opuszczenia pierwszej grupy, (spędziwszy w niej przepisowe dziesięć minut) i aby przyznać ten sam okres czasu drugiej grupie. W trzy kwadransie zaszczyciła wszystkie grupy swoją wizytą, za każdym razem jakby wynikłą ot tak, niespodzianie, z upodobań księżnej, ale zwłaszcza mającą uwydatnić swobodę, z jaką wielka dama umie przyjmować.

Ale teraz goście wieczorni zaczęli napływać i pani domu usiadła niedaleko wejścia — wyprostowana i dumna, w majestacie niemal królewskim, z oczami płonącymi własnym żarem — między dwiema brzydkimi księżniczkami krwi i ambasadorką hiszpańską.

Stałem w ogonku za kilkoma osobami przybyłymi przedemną; miałem naprost siebie księżną Marję. Nie sama tylko jej piękność — wśród tylu piękności — utrwaliła mi wspomnienie tej fety. Ale twarz pani domu była tak doskonała, była niby piękny medal, tak iż zachowała dla mnie wartość jakby pamiątkową. Księżna miała zwyczaj mówić do osób, które spotkała na kilka dni przed swoim rautem: „Przyjdzie pan (albo pani), prawda?” tak jakby pragnęła porozmawiać z nimi. Ale ponieważ, przeciwnie, nie miała im nic do powiedzenia, przeto, z chwilą gdy się zjawili przed nią, przerywała jedynie na chwilę, nie wstając, bląhą rozmowę z dwiema księżniczkami krwi i z ambasadorką i dziękowała, mówiąc: „To bardzo ładnie z pana (pani) strony”... Nie aby uważała, że gość, przychodząc, dał dowód uprzejmości, ale aby podkreślić własną uprzejmość; poczem, ciskając go z powrotem w rękę, dodawała zaraz: „Zastanie pan księcia Gilberta u wejścia do ogrodu”, tak że gość szedł zwiedzać i zostawiał ją w spokoju. Niektórym nawet nie mówiła nic, pokazując im poprostu — swoje cudowne onyksowe oczy, tak jakby się przyszło jedynie na wystawę drogich kamieni.

Najbliższą osobą, mającą wejść tuż przedemną, był książę de Châtellerault.

Zmuszony odpowiadać na wszystkie uśmiechy, na wszystkie skinienia dłoni, które płynęły ku niemu z salonu, młody książę nie zauważył kamerdynera; ale ten poznał go odrazu. Za chwilę miał usłyszeć nazwisko, które tak pragnął poznać. Pytając przedwczorajszego „Anglika” jak go ma oznajmić, lokaj był nietylko wzruszony, ale czuł się niedyskretny, niedelikatny. Miał wrażenie, że zdradzi całemu światu (nie domyślającemu się absolutnie niczego) sekret, który ośmiela się oto podchwycić i ogłosić publicznie. Słyszając odpowiedź gościa: „Książę de Châtellerault”, uczuł przypływ takiej dumy, że na chwilę oniemiał. Książę spojrział nań, poznał, uczuł się zgubiony, podczas gdy kamerdynier, który opamiętał się a znał na tyle herbarz aby sam z siebie dopełnić zbyt skromne nazwanie, ryczał z zawodową energią, łagodząc ją puszką tajemnej tkliwości: „Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę de Châtellerault!”

Ale teraz przyszła kolej na mnie. Pogrążony w kontemplacji pani domu, która mnie jeszcze nie spostrzegła, nie pomyślałem o strasznych dla mnie — mimo że na inny sposób niż dla pana de Châtellerault — funkcjach tego kamerdynera, ubranego czarno jak kat, otoczonego zgrają lokajów w najkolorowszych liberjach, tęgich chwatów gotowych chwycić intruza i wyrzucić go za drzwi. Kamerdynier spytał mnie o nazwisko; wymieniłem je równie machinalnie jak skazany na śmierć daje się przywiązać do pieńka. Podniósł natychmiast majestatycznie głowę i zanim mogłem go prosić aby mnie oznajmił niezbyt głośno — celem oszczędzenia mojej miłości własnej w razie gdybym nie był zaproszony, oraz miłości własnej księżnej Gilbertowej w razie gdybym nim był — wyryczał niepokojące zgłoski z siłą zdolną wstrząsnąć sklepieniem pałacu.

Znakomity Huxley (ten, którego bratanek zajmuje obecnie wybitne stanowisko w literaturze angielskiej) opowiada, że jedna z jego pacjentek bała się zjawić w towarzystwie, bo często w fotelu, który jej wskazywano uprzejmym gestem, widziała siedzącego star-

szego pana. Była zupełnie pewna, że bądź uprzejmy gest, bądź obecność starszego pana są halucynacją, bo nie wskazano jej przecie fotela już zajętego! I kiedy, pragnąc ją wyleczyć, Huxley zmusił ją aby poszła na jakieś przyjęcie, miała chwilę przykrego wahania, zadając sobie pytanie czy uprzejmy gest, jakim jej wskazywano krzesło, jest rzeczą realną, lub też czy, ulegając swemu urojeniu, siądzie publicznie na kolanach bardzo realnego jegomościa. Ta chwila niepewności była dla niej czemś bardzo okrutnym; ale moja niepewność była może jeszcze dotkliwsza. Z chwilą gdy usłyszał grzmot swego nazwiska, niby wróżbę możliwego kataklizmu, musiałem (aby stwierdzić bodaj swoją dobrą wiarę, i tak jakby mnie nie dręczyła żadna wątpliwość) posunąć się ze zdecydowaną miną do pani domu.

Spostrzegła mnie, kiedy byłem o kilka kroków, i — co mi już nie zostawiło żadnej wątpliwości iż padłem ofiarą intrygi — zamiast siedzieć w miejscu jak dla innych gości, wstała i podeszła do mnie. W sekundę później, mogłem wydać westchnienie ulgi, niby pacjentka Huxleya, kiedy, zdecydowawszy się usiąść w fotelu, przekonała się że jest wolny i zrozumiała że to starszy pan był halunacją. Księżna wyciągnęła do mnie rękę z uśmiechem. Stała przez chwilę z wdziękiem właściwym stancy Malherbe'a, która się kończy tak:

I ażeby ich uczyć, aniołowie wstają.

Przeprosiła mnie, że księżnej Oriany jeszcze nie ma, tak jakbym ja się musiał nudzić bez niej. Aby się ze mną przywitać, wykonała dokoła mnie, trzymając mnie za rękę, pełen gracji obrót, w którego wir uczułem się porwany. Spodziewałem się niemal, że mi wręczy w tej chwili, niby danserka prowadząca kotyliona, laseczkę z rączką z kości słoniowej lub zegarek z bransoletką. Ale nie dała mi nic, i tak jakby zamiast tańczyć bostona, słuchała raczej przenaajświętszego kwartetu Beethovena, bojąc się zmacić jego podniosłe akcenty, urwała rozmowę — lub raczej nie zaczęła jej — i jeszcze rozpromieniona moim widokiem, uprzedziła mnie jedynie, gdzie się znajduje książę Gilbert.

Oddaliłem się od księżnej i nie śmiałem się już zbliżyć, czując że mi nie ma absolutnie nic do powiedzenia i że, w ogromie swojej dobrej woli, ta cudownie wyniosła i piękna kobieta, szlachetna szlachetnością owych wielkich dam, co tak dumnie niegdyś wstępowały na szafot, mogłaby tylko — nie śmiać mi ofiarować szklanki lemoniady — powtórzyć to, co mi już powiedziała dwa razy: „Zastanie pan księcia w ogrodzie”. Otóż, iść przywitać księcia Gilberta, znaczyło dla mnie czuć odradzające się pod inną formą niedawne obawy.

W każdym razie, trzeba było znaleźć kogoś, ktoby mnie przedstawił. Słysząc było — górującą nad wszystkimi rozmowami — nieustającą paplaninę pana de Charlus, rozmawiającego z J. E. księciem Sidonia, którego baron poznał przed chwilą. Wspólne zawody odgadują się, wspólne wady także. Pan de Charlus i pan de Sidonia z punktu zwięzłyli wzajem swoją wspólną wadę, potrzebę nieustającego monologu — przyczem żaden z nich nie cierpiał najmniejszego przerywania. Osądzili natychmiast, że — jak powiada słynny sonet — zło jest bez ratunku, postanowili obaj nie milczeć ale mówić, nie troszcząc się o to co może powiedzieć drugi. To spowodowało ów charakterystyczny zgiełk, podobnie jak w komediach Moliera, gdy kilka osób mówi równocześnie, a każda co innego. Dzięki swemu donośnemu organowi, baron był zresztą pewny, że przygłuszy i pokryje wątlę głos pana de Sidonia; ale nie zdołał zniechęcić swego partnera, bo gdy p. de Charlus chwycił na chwilę oddech, wypełniał przerwę szmer granda hiszpańskiego, który niezmaczenie mówił dalej. Byłbym chętnie poprosił pana de Charlus, aby mnie przedstawił księciu Gilbertowi, ale bałem się aż nazbyt słusznie, że baron gniewa się na mnie. Zachowałem się najniewdzięczniej w świecie, pozostając drugi raz głuchy na jego propozycje i nie dając znaku życia od owego wieczoru, kiedy mnie tak serdecznie odwiedził do domu. A przecież scena między Jupienem a baronem, którą widziałem tegoż popołudnia, nie mogła mi służyć wstecz za wymówkę. Nie podejrzewałem nic podobnego. Prawda iż niedawno, kiedy rodzice wyrzucali mi lenistwo i to żem sobie nie zadał jeszcze trudu napisania słówka do pana de Charlus, wypomniałem im gwałtownie, iż chcą, abym przyjął hańbiące propozycje. Ale jedynie gniew, chęć znalezienia zwrotu najprzykrzejszego dla rodziców, podyktowały mi tę kłamliwą odpowiedź. W rzeczywistości nie wyobrażałem sobie nic zmysłowego ani nawet sentymentalnego w propozycjach baro-

na. Rzuciłem to rodzicom jako czysty absurd. Ale czasami przyszłość mieszka w nas bez naszej wiedzy i słowa nasze, myśląc że kłamia, kreślą bliską rzeczywistość.

P. de Charlus byłby mi prawdopodobnie wybaczył brak wdzięczności. Ale moja obecność u księżnej Marji — jak od pewnego czasu moje wizyty u jej kuzynki — przyprawiała go o wściekłość; zdawała się urągać uroczystemu oświadczeniu barona: „Nikt nie dostanie się do tych salonów bez mojej woli”. Popeliłem poważny błąd, zbrodnię może nie do darowania, nie trzymając się uświęconej drogi. P. de Charlus wiedział, że gromy, jakie miotał na tych, co się nie uginali pod jego rozkazami lub mieli nieszczęście obudzić jego nienawiść, zaczynały tracić siłę; zdaniem wielu osób, zmieniały się, mimo wściekłości jaką w to baron wkładał, w gromy teatralne, nie zdolne już wypędzić kogokolwiek skądkolwiek. Ale może sądził, iż jego władza — uszczuplona, ale jeszcze wielka — zachowała swoją moc w oczach nowicjusów takich jak ja. Toteż nie uważałem za bezpieczne prosić barona o przysługę na tem zebraniu, gdzie sama moja obecność mogła się wydać ironicznym zaprzeczeniem jego pretensyj.

Zatrzymał mnie w tej chwili człowiek dość pospolity, profesor E... Zdziwił się, że mnie spotyka u Guermantów. Ja zdziwiłem się jeszcze bardziej, bo nigdy nie widziano dotąd — i nie ujrano później — u księżnej Marji figur tego rodzaju. Profesor wyleczył niedawno księcia Gilberta, już opatrzonych Sakramentami, z infekcyjnego zapalenia płuc; szczerą wdzięczność księżnej Marji sprawiła, że przełamano zwyczaj i zaproszono lekarza. Ponieważ nie znał absolutnie nikogo w tych salonach a nie mógł krążyć bez końca samotnie niby poseł śmierci, poznawszy mnie, uczuł — po raz pierwszy w życiu — że ma mi niezliczoną ilość rzeczy do powiedzenia, co mu pozwalało nabrać kontenansu. To była jedna z przyczyn, dla których zbliżył się do mnie. Była również i inna. Profesor miał tę ambicję, że się nigdy nie myli w diagnozie. Otóż skorowidz jego klienteli był tak obfity, że nie zawsze przypominał sobie dokładnie (jeśli tylko raz widział chorego), czy choroba poszła tą drogą, jaką on jej wyznaczył. Czytelnik pamięta może, że w chwili ataku babki, zaprowadziłem ją do profesora T... owego wieczora, kiedy sobie kazał przyszywać tyle orderów. Po tak długim czasie nie przypominał już sobie zawiadomienia o śmierci, które mu posłano.

— Szanowna babcia pańska umarła zapewne? — rzekł głosem, w którym zupełna niemal pewność pokrywała lekką obawę. — A! W istocie! Zresztą, od pierwszej minuty kiedy ją ujrzałem, prognoza moja była najzupełniej ujemna, przypominam sobie doskonale.

W ten sposób, profesor E... dowiedział się lub przypomniał sobie o śmierci babki, i muszę to rzec na jego chwałę — zarazem na pochwałę całego ciała lekarskiego — dowiadując się o tem nie zdradził satysfakcji, nie odczuł jej może. Błędy lekarzy są niezliczone. Grzeszą oni zazwyczaj optymizmem co do terapii, pesymizmem co do wyniku. „Wino? w umiarkowanej ilości nie może zaszkodzić; ostatecznie to jest środek tonizujący... Kobiety? Ostatecznie, to jest funkcja organizmu. Pozwalam panu... bez nadużyć, rozumie pan. Nadmiar jest we wszystkim szkodliwy”. I odrazu cóż za pokusa dla chorego, odstąpić od tych dwóch źródeł zdrowia — wody i czystości. W zamian za to, jeżeli chory ma coś w sercu, białko, etc. — oho! nie pociągnie długo. Z zaburzeń poważnych ale funkcjonalnych lekarz chętnie wnosi o nieistniejącym raku. Daremne byłoby odwiedzać chorego, skoro wizyty lekarza nie zdołałyby powściągnąć nieubłaganej choroby. I kiedy chory, pozostawiony samemu sobie, nałoży sobie surowy tryb życia i wyleczy się lub bodaj przetrwa, lekarz, spotkawszy go na *avenue de l'Opéra*, kiedy sądził że on od dawna spoczywa na *Père Lachaise*, dojrzy w ukłonie byłego pacjenta gest drwiącego zuchwałstwa. Wyobraźmy sobie oburzenie prezesa sądu karnego, który dwa lata temu wydał na bandytę wyrok śmierci, a obecnie spotyka go spacerującego najspokojniej! Lekarze (nie mówię tu oczywiście o wszystkich i nie zapominam o wspaniałych wyjątkach) są przeważnie bardziej zirytowani, bardziej podrażnieni naruszeniem ich werdyktu, niż radzi z jego spełnienia. Co tłumaczy, że profesor E..., mimo całego zadowolenia intelektualnego jakie musiał odczuć że się nie omylił, zdołał jednak mówić ze smutkiem o nieszczęściu które nas spotkało. Nie starał się skrócić rozmowy, która mu dawała punkt oparcia, rację pozostania dłużej w salonie. Mówił o upałach, jakie panowały w tych dniach, ale mimo że odczytany i umiejący się dobrze wysławiać, rzekł: „Czy pan nie cierpi od tej hiper-

termi?” Bo medycyna zrobiła od czasu Moliere pewne postępy w wiedzy, ale żadnego w słownictwie. Doktor dodał:

— Trzeba zwłaszcza unikać sudacji, którą podobny czas powoduje, zwłaszcza w przegrzanych salonach. Może pan temu przeciwdziałać, kiedy pan wróci do domu i będzie pan miał ochotę pić, zapomocą ciepła (co oznaczało oczywiście gorące napoje).

W związku z chorobą na którą umarła babka, przedmiot ten interesował mnie; przeczytałem niedawno w dziele wielkiego uczonego, że pocenie się działa szkodliwie na nerki, usuwając przez skórę materje, które powinnyby się wydzielać inną drogą. Ubolewałem nad kanikularnym czasem, w który umarła babka i dość byłem skłonny przypisywać mu owo nieszczęście. Nie wspomniałem o tem doktorowi E..., ale on rzekł sam z siebie: „Upały powodujące obfite poty, mają tą zaletę, że pocenie się odciąża nerki”. Medycyna nie jest wiedzą ścisłą!

Uczepiwszy się mnie, profesor E... nie miał ochoty mnie opuścić. Ale ja spostrzegłem margrabiego de Vaugoubert: składał właśnie księżnej Marji głębokie ukłony z prawa i lewa, cofnąwszy się uprzednio o krok. P. de Norpois zapoznał mnie z nim niedawno; miałem tedy nadzieję, że znalazł kogoś, kto mnie będzie mógł przedstawić panu domu. Rozmiary tego dzieła nie pozwalają mi wytłumaczyć, naskutek jakich wydarzeń młodości p. de Vaugoubert, jeden z niewielu ludzi „z towarzystwa” (może jedyny), był — jak się to nazywa w Sodomie — „w konfidencji” z panem de Charlus. Ale jeżeli nasz ambasador przy królu Teodozjuszu miał pewne wspólne przywary z baronem, były one jedynie czemś w rodzaju bardzo bladego odbicia. Owe kolejne ataki sympatji i nienawiści, w jakie wprawiała barona chęć oczarowania, a potem obawa — równie urojona — że będzie jeżeli nie shańbiony, to bodaj odkryty, przybierały u p. de Vaugoubert formę nieskończenie łagodniejszą, sentymentalną i głupią. Vaugoubert zdradzał te same wahania, ale były one raczej śmieszne wskutek jego czystości, „platonizmu” (dla którego, będąc nader ambitny, od czasów uniwersyteckich poświęcił wszelką przyjemność), a zwłaszcza wskutek jego nicości umysłowej. Ale gdy baron wybuchał przesadnymi pochwałami z prawdziwym przepychem wymowy i zaprawiał je subtelnym i gryzącym szyderstwem, zdolnym napiętnować na zawsze jego ofiarę, u pana de Vaugoubert sympatja wyrażała się przeciwnie z banalnością człowieka miernego, światowca i urzędnika, a pretensje (zwykle całkowicie urojone, jak u barona) objawiały się niezyczliwością stałą ale wycutą z dowcipu i tem bardziej rażącą, że była zazwyczaj w sprzeczności z tem co ambasador mówił pół roku wprzód i co miał może znów mówić za jakiś czas: ta regularność w zmienności dawała rozmaitym fazom życia pana de Vaugoubert poezję niemal astronomiczną, mimo że pozatem najmniej przypominał gwiazdę.

Uklon, jaki mi oddał p. de Vaugoubert, nie miał nic wspólnego z przypuszczalnym ukłonem pana de Charlus. W powitanie to, p. de Vaugoubert, prócz tysiąca mizdrzeń w jego mniemaniu wielkoświatowych i dyplomatycznych, wkładał jakąś dziarskość, lekkość, uśmiech, tak aby się wydawał z jednej strony zadowolony z życia — wówczas gdy przeżuwał zawody karjery bez przyszłości, pod grozą spensjonowania — z drugiej młody, męski i uroczy. W rzeczywistości nie śmiał już nawet oglądać w lustrze zmarszczek gromadzących się na twarzy, którą pragnąłby zachować pełną pokus! Nie iżby łaknął faktycznych zdobyczy, o których sama myśl przerażała go z przyczyny plotek, skandalów, szantażów. Przeszedłszy od infantylniej niemal rozpusty do bezwarunkowej wstrzemięźliwości, datującej od dnia gdy zamarzył o *quai d'Orsay* i o wielkiej karierze dyplomatycznej, ambasador ów miał minę zwierzęcia w klatce, rzucającego na wszystkie strony spojrzenia pełne strachu, żądzy i otępienia. Pod wpływem tego otępienia ambasador nie zastanawiał się, iż urwisy z czasu jego młodości nie są już smarkaczami, i kiedy gazeciarz krzyczał mu w nos: *La Presse!* p. de Vaugoubert drżał nietyle z żądzy, ile z przerażenia że go poznano i odkryto.

Ale, w braku rozkoszy, poświęconych niewdzięcznemu *quai d'Orsay*, p. de Vaugoubert miał nagle porywy serca — i dlatego pragnąłby się jeszcze podobać. Bóg wie, iloma listami zamęczał ministerstwo, co za chytryści rozwijał, jak wprawiał w ruch stosunki swojej żony (którą, dla jej korpulencji, dla jej wysokiego urodzenia, męskiego wyglądu, a zwłaszcza z przyczyny mierności jej męża, uważano za osobę wybitnie uzdolnioną, za istotnego ambasadora), aby wprowadzić, bez żadnej godziwej przyczyny, jakiegoś młodego człowieka — kompletne zero — do personelu poselstwa. Prawda że w kilka miesięcy

lub w kilka lat potem, wystarczyło aby niewydarzony attaché, bez cienia złej intencji, okazał nieco chłodu swemu szefowi, a już ten, uważając to za wzgardę lub za zdradę, wkładał tę samą histeryczną żarliwość w ukaranie młodzieńca, z jaką wprzód starał się go obdarzyć. Poruszał ziemię i niebo aby odwołano młodego człowieka; wiceminister otrzymywał codziennie list: „Kiedyż mnie wreszcie uwolnicie od tego ciemiegi! Dajcie mu trochę szkoły w jego własnym interesie. Potrzebuje twardej ręki”. Stanowisko attaché przy królu Teodozjuszu było z tego powodu niezbyt przyjemne. Ale we wszystkim innym, dzięki światowemu wyrobieniu, p. de Vaugoubert był jednym z najlepszych przedstawicieli rządu francuskiego zagranicą. Kiedy człowiek rzekomo bardzo zdolny, jakobin i wszechstronnie wykształcony, zastąpił go później, rychło wybuchła wojna między Francją a zaprzyjaźnioną monarchią.

P. de Vaugoubert, jak p. de Charlus, nie lubił witać pierwszy. Obaj woleli odpowiadać na ukłon, bojąc się zawsze plotek, jakie ten, do którego inaczej byliby wyciągnęli rękę, mógł o nich słyszeć od ostatniego widzenia się. Co się mnie tyczy, p. de Vaugoubert nie potrzebował sobie zadawać tego pytania; podszedłem pierwszy, choćby dla różnicy wieku. Odkłonił mi się oczarowany, uszczęśliwiony; oczy jego biegały tak, jakby z każdej strony znajdowała się zabroniona koniczyna. Pomyślałem, że wypadaloby poprosić ambasadora, aby mnie przedstawił pani de Vaugoubert, zanim go poproszę o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi. Myśl przedstawienia mnie żonie przyjął z widoczną radością; ucieszył się tem dla siebie i dla niej i powiódł mnie zdecydowanym krokiem do margrabin. Znalazłszy się przed nią i wskazując mnie dłonią i oczyma ze wszystkimi oznakami poważania, stał mimo to niemy; po chwili oddalił się zostawiając mnie z żoną. Dama podała mi rękę, nie wiedząc jednak kogo zaszczyca tą uprzejmością; odgadłem bowiem, że p. de Vaugoubert zapomniał mego nazwiska, może nawet mnie nie poznał, a przez grzeczność, nie chcąc się przyznać do tego, sprowadził akt prezentacji do samych gestów. Toteż nie wiele mnie to posunęło naprzód: jak prosić damę, nieznającą mego nazwiska, o przedstawienie mnie panu domu! Co więcej, trzeba mi było rozmawiać chwilę z panią de Vaugoubert, co mnie męczyło z dwójakiego względu. Nie miałem ochoty zasiadywać się na tej zabawie, bo umówiłem się z Albertyną (dałem jej łóżę na *Fedre*), że przyjdzie do mnie nieco przed dwunastą. Zapewne, nie byłem wcale zakochany w Albertynie; sprowadzając ją tego wieczora, kierowałem się czysto zmysłowem pragnieniem, mimo że było to w skwarnej porze roku, kiedy wyzwolona zmysłowość chętniej nawiedza organy smaku, szukając przedewszystkiem chłodu. Bardziej niż pocałunku młodej dziewczyny, pragnie oranżady, kąpieli, oglądania wreszcie tego obranego ze skórki i soczystego księżycy, gaszącego pragnienie nieba. Bądź co bądź, spodziewałem się przy boku Albertyny — która zresztą przypominała mi chłód fal — wyzbyć się żalów, jakie mi niechybnie zostawi krąg tych uroczych twarzy, bo raut księżnej Marji był przyjęciem zarówno dla panien jak dla mężatek. Z drugiej strony, burbońska i chmurna twarz imponującej pani de Vaugoubert nie miała nic powabnego.

Mówiono mi w ministerstwie, bez cienia dwuznacznej intencji, że w tem małżeństwie mąż nosi spódnicę a żona spodnie. Otóż, było w tem więcej prawdy niż przypuszczano. Pani de Vaugoubert to był mężczyzna. Czy była zawsze taka, czy stała się taką jaką oglądałem, mniejsza; w obu wypadkach miało się do czynienia z jednym z najbardziej wzruszających cudów natury, które — drugi zwłaszcza — upodobniają królestwo ludzkie do królestwa kwiatów. W pierwszej hipotezie — jeżeli przyszła pani de Vaugoubert była zawsze tak ciężko *męska* — natura, przez djaboliczną i zbawienną chytryść, daje młodej dziewczynie zwodny wygląd mężczyzny. I młodzieniec, który stroni od kobiet a chce się uleczyć, z radością bierze narzeczoną, przypominającą mu tragarza. W przeciwnym razie, jeżeli kobieta nie ma zrazu cech męskich, nabiera ich stopniowo, aby się spodobać mężowi, bodaj nieświadomie, przez rodzaj mimetyzmu, sprawiającego, iż pewne kwiaty przybierają pozór owadów, które chcą sięgnąć. Żal że nie jest kochana, że nie jest mężczyzną, zmęcza ją. Nawet poza wypadkiem który nas tu zaprzęta, któż nie zauważył, że najnormalniejsze stadła stają się w końcu do siebie podobne, czasem nawet wymieniają swoje przymioty. Były kanclerz niemiecki, książę Bülow, ożenił się z Włoszką. Po dłuższym czasie, zauważono na Pincio, ile germański małżonek nabrał włoskiej subtelności, a włoska księżniczka szorstkości niemieckiej. Aby wyciągnąć ostateczne konsekwencje z praw które kreślimy: każdy zna znakomitego francuskiego dyplomate, którego pocho-



dzenie odbijało się jedynie w jego nazwisku, jednym z najznakomitszych na Wschodzie. Dojrzewając, starzejąc się, odkrył w sobie człowieka Wschodu, którego nigdy się w nim nie podejrzewało, tak iż widząc go, żałuje się że nie nosi fezu, któryby go dopełnił.

Ale wróćmy do bardzo nieznanego obyczajów ambasadora, którego naszkicowaliśmy patryjarchalnie ociężałą sylwetę. Pani de Vaugoubert wcielała nabyty lub praistniejący typ, którego nieśmiertelnym obrazem jest księżniczka Palatynatu. Ta, zawsze w stroju do konnej jazdy, wzięwszy od męża więcej niż męskość, przejąwszy wady mężczyźni nie lubiących kobiet, denuncjuje w swoich plotkarskich listach stosunki, jakie uprawiają między sobą wszyscy magnaci dworu Ludwika XIV. Jedną z przyczyn, podkreślających jeszcze męskość kobiet takich jak pani de Vaugoubert, jest to, że opuszczenie w jakim je pozostawia mąż, wstyd z tego powodu, niweczą stopniowo wszystko co w nich jest kobiece. Nabierają w końcu przymiotów i wad będących przeciwstawieniem charakteru męża. W miarę jak on się robi płochy, zniewieściały, niedyskretny, one stają się niby pozbawionym wdzięku obrazem cnót, jakie powinienby mieć małżonek.

Ślady hańby, zgryzot, oburzenia, kaziły regularną twarz pani de Vaugoubert. Niestety, czułem że patrzy na mnie z zainteresowaniem i z ciekawością, jak na jednego z owych młodych ludzi, którzy się tak podobali panu de Vaugoubert i w których takby się pragnęła wcielić sama, teraz kiedy starzejący się małżonek ciągnął ku młodości. Patrzała na mnie z uwagą owych mieszkanki prowincji, które z żurnalu mój kopiują kostjum *tailleur*, tak „twarzowy” dla ładnej pani na rysunku (w istocie jednej i tej samej na wszystkich stronach, ale rozmnożonej złudnie w wiele osób dzięki obfitości póz i różnaitości toalet). Organiczny pociąg popychający ku mnie panią de Vaugoubert był tak silny, że ujęła mnie pod ramię, abym ją zaprowadził na szklankę oranżady. Ale uwolniłem się, mówiąc że muszę niedługo iść, a nie przedstawiłem się jeszcze panu domu.

Odległość, dzieląca mnie od wejścia do ogrodu, gdzie książę Gilbert rozmawiał z paroma osobami, nie była zbyt wielka. Ale przejmowała mnie większym strachem, niż gdyby dla jej przebycia trzeba się było wystawić na huraganowy ogień.

Wiele kobiet, które — sądziłem — mogłyby mnie przedstawić, snuło się po ogrodzie, gdzie, udając najwyższy podziw, nie bardzo wiedziały co robić. Zabawy tego rodzaju są zazwyczaj przyjemnością antycypowaną. Nabierają realności bodaj dopiero nazajutrz, kiedy stają się przedmiotem zainteresowania osób, które nie były zaproszone. Prawdziwy pisarz, wolny od głupiej próżności tylu literatów, jeżeli w artykule krytyka zawsze objawiającego dlań najwyższy podziw, widzi cytowane nazwiska miernych autorów a swego nie, nie ma czasu zastanawiać się nad tem ani się temu dziwić: wzywa go jego praca. Ale kobieta światowa nie ma nic do roboty; toteż czytając w *Figarze*: „Wczoraj księstwo Gilbertostwo de Guermantes wydali wielki wieczór etc.” wykrzykuje: „Jak to! trzy dni temu rozmawiałam godzinę z księżną Marją, i nie powiedziała mi nic!” i łamie sobie głowę dochodząc co ona mogła zrobić Guermantom. Trzeba powiedzieć, że co się tyczyło przyjęć księżnej Marji, zdziwienie zaproszonych było czasem równe zdziwieniu niezaproszonych. Bo te fety wybuchały w chwili gdy się ich najmniej spodziewano, i gromadziły ludzi, o których księżna Marja zapominała przez całe lata. A prawie wszyscy ludzie światowi są tak nieznaczący, że każdy z nich mierzy w swoim sądzie drugich jedynie miarą doznanej uprzejmości; o ile jest zaproszony, kocha ich, o ile jest pominięty, nienawidzi. Co się tyczy pominiętych, jeżeli w istocie zdarzało się księżnej Marji pomijać nawet przyjaciół, płynęło to często z obawy pogniewania „Palamedy”, który ich wyklął. Toteż mogłem być pewny, że księżna nie wspomniała o mnie panu de Charlus, inaczej nie byłoby mnie tam.

Baron stał teraz u wejścia do ogrodu, obok ambasadora niemieckiego, oparty o poręcz paradnych schodów wiodących do pałacu, tak że, mimo trzech czy czterech wielbicielek, które się zgrupowały dookoła niego i prawie go zasłaniały, każdy gość musiał podejść aby się z nim przywitać. I słyszało się kolejno: „Dobry wieczór, panie du Hazay; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Verclause; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Gouvernet; jak się masz, Filibert; dobry wieczór, droga ambasadorowo”, etc. Czyniło to ustawiczny szelest, przerywany życzliwymi rekomendacjami lub pytaniami (przyczem baron nie słuchał odpowiedzi), rzucanymi tonem łagodniejszym, sztucznie obojętnym i dobrotliwym: — Niech pani uważa, żeby się córeczka nie przeziębiła, w ogrodzie jest zawsze trochę wilgoci.

Dobry wieczór, pani de Brantes. Dobry wieczór, pani de Mecklembourg. Czy córeczka jest z panią? Czy włożyła swoją uroczą różową sukienkę? Jak się masz, Saint-Geran”.

Z pewnością była w tej postawie pycha; p. de Charlus wiedział, że jako Guermantes odgrywa ważną rolę na tej fecie. Ale była w tym nietylko duma; dla człowieka mającego zmysł estetyczny, samo to słowo *fête* nabierało jakiegoś zbytkownego i niezwykłego odcienia, jaki może ona mieć, gdy się odbywa nie u ludzi „z towarzystwa”, ale na obrazie Carpaccia lub Veroneza. Prawdopodobniejsze nawet jest, p. de Charlus, który był i niemieckim księciem, raczej musiał sobie wyobrazić ucztę z *Tannhäusera*, a siebie samego niby margrafa, znajdującego u wrót Wartburga życzliwe i dobre słowo dla każdego z zaproszonych, gdy ich wejście do zamku lub do parku wita długa, sto razy powtórzona fraza słynnego „Marsza”.

Trzeba się było jednak zdecydować. Widziałem wprawdzie pod drzewami kobiety, z którymi byłem dość blisko, ale zdawały się przeobrażone, ponieważ znajdowały się u księżnej Marji a nie u jej kuzynki i ponieważ widziałem je nie przed talerzem z saskiej porcelany, ale w cieniu kasztana. Elegancja środowiska nie grała w tym roli. Choćby była nieskończenie mniejsza niż u „Oriany”, byłbym tak samo wzruszony. Niech elektryczność zgaśnie w naszym salonie, tak że trzeba ją zastąpić lampą, a wszystko wyda się nam zmienione.

Wyrwała mnie z mojej niepewności pani de Souvré. „Dobry wieczór — rzekła podchodząc do mnie. Czy dawno pan nie widział Oriany?” — Umiała, jak nikt, tego rodzaju słowom dawać intonację, dowodzącą że ich nie wygłasza przez czystą głupotę, jak ludzie którzy, nie wiedząc o czym mówić, zaczepiają was tysiąc razy powołując się na wspólną znajomość, często nader mglistą. Rzuciła mi przeciwnie subtelne i znaczące spojrzenie, które mówiło: „Niech pan nie sądzi, że pana nie poznałam. Pan jest ten młody człowiek, którego widziałam u księżnej Oriany. Poznaję pana doskonale”.

Na nieszczęście, opieka, jaką otaczało mnie to zdanie głupie z pozoru a delikatne w intencji, była nadzwyczaj wątła i rozwiała się natychmiast, skorom z niej chciał skorzystać. Kiedy chodziło o poparcie czyjejś prośby wobec kogoś potężnego, pani de Souvré umiała równocześnie robić wrażenie w oczach petenta że go poleca, a w oczach wysokiej osobistości, że go nie poleca, tak że ten „dwuwykładny” gest otwierał pani de Souvré kredyt wdzięczności u jednego, w niczem nie obciążając jej konta u drugiego. Jakoż, kiedy, zachęcony uprzejmością damy, poprosiłem ją, aby mnie przedstawiła księciu, skorzystała z chwili kiedy pan domu patrzył w inną stronę, ujęła mnie macierzyńsko za ramiona i uśmiechając się do odwróconej twarzy księcia nie mogącego jej widzieć, pchnęła mnie ku niemu ruchem rzekomo opiekuńczym, rozmyślnie bezskutecznym, zostawiającym mnie w punkcie w którym byłem wprzód. Oto nikczemność ludzi ze „świata”.

Nikczemność innej damy, która podeszła ku mnie aby się przywitać nazywając mnie po imieniu, była jeszcze większa. Mówiąc z nią, siliłem się przypomnieć sobie jej nazwisko: pamiętałem że gdzieś jadłem z nią obiad, pamiętałem jej odezwanie się. Moja uwaga, zwrócona w głąb gdzie mieściły się owe wspomnienia, nie mogła odnaleźć jej nazwiska. Ale było tam. Myśl moja rozpoczęła z niem rodzaj gry, aby pochwycić jego zarysy, literę od której się zaczyna, i aby je oświetlić wkońcu całe. Daremny trud: czułem w przybliżeniu jego masę, ciężar, ale co się tyczy jego form, konfrontując je z mrocznym jeńcem wtulonym we wnętrzną noc, powiadałem sobie: „To nie to”. Niewątpliwie, myśl moja mogłaby stworzyć najtrudniejsze nazwiska. Na nieszczęście, nie miała stworzyć, ale odtworzyć. Wszelka czynność ducha jest łatwa, jeżeli nie jest poddana jarzmu rzeczywistości. Tu, byłem zmuszony się jej poddać. Wreszcie, nagle zjawilo mi się całe to nazwisko: „pani d'Arpajon”. Niesłusznie mówię że „zjawilo się”, bo nie ukazało mi się, jak sądzę, samorzutnie. Nie sądzę również, aby błahe i mnogie wspomnienia, odnoszące się do tej damy i wciąż wzywane przeze mnie na pomoc (w zakłęciach tego rodzaju: „No, przecież to jest owa dama zaprzyjaźniona z panią de Souvré i mająca dla Wiktora Hugo uwielbienie tak naiwne, połączone z takim lękiem i zgrozą”), nie sądzę aby wszystkie te wspomnienia bujające między mną a jej nazwiskiem, pomogły w jakiegokolwiek mierze do jego wyłowienia. W tej wielkiej ciuciubabce, jaka się odbywa w naszej pamięci kiedy chcemy odnaleźć jakieś nazwisko, nie ma stopniowań możliwości. Nie widzi się nic, potem nagle ukazuje się dokładne nazwisko, bardzo odmienne od tego cośmy zgadywali. To nie ono przyszło do nas. Nie, sądzę raczej że w miarę jak żyjemy, oddalamy się od strefy,

w której jakieś nazwisko jest wyraźne; raczej dzięki ćwiczeniu woli i uwagi, które zwiększyło ostrość wewnętrznego spojrzenia, przeniknąłem nagle półmrok i przewidziałem. W każdym razie, jeżeli istnieją przejścia między zapomnieniem a pamięcią, wówczas owe przejścia są nieświadome. Bo prowizoryczne nazwiska, przez które przechodzimy, zanim znajdziemy prawdziwe, są złudne i nie podobne doń ani trochę. To nie są nawet, ściśle mówiąc, nazwiska, ale często proste spółgłoski, których niema w odnalezionym wreszcie nazwisku. Zresztą ta praca ducha, wiodąca od nicości do realności, jest tak tajemnicza, że ostatecznie możliwe jest, że te fałszywe spółgłoski to są żerdki niezręcznie podane, aby nam pomóc uczyć się prawdziwego nazwiska.

Wszystko to — powie czytelnik — w niczem nie objaśnia nam nieużytości owej damy; ale skoro się tak długo nad tem rozwiódł, pozwól, panie autorze, zabrać sobie jeszcze minutę czasu, iżbym panu powiedział, że ubolewania godne jest, abys pan, tak młody (jak pan byłeś, lub jak był pański bohater, o ile on nie jest tobą), już miał tak mało pamięci. Nie móc sobie przypomnieć nazwiska damy, którą pan znał bardzo dobrze! To bardzo przykre, w istocie, panie czytelniku. I smutniejsze niż przypuszczasz, kiedy się w tem czuje zapowiedź czasu gdy nazwiska i imiona znikną z jasnej strefy myśli i kiedy trzeba będzie się wyrzec na zawsze nazwania sobie samemu tych, których się najlepiej znało. To przykre w istocie, aby trzeba było od młodu tyle wysiłku dla odnalezienia nazwiska, które się zna dobrze. Ale gdyby to kalectwo jawiło się jedynie w stosunku do nazwisk ledwie że znajomych, bardzo naturalnie zapomnianych i dla których nie chciałoby się podjąć trudu pamiętania, ułomność ta nie byłaby bez korzyści. „I jakich, proszę?” Takich, proszę pana, że jedynie choroba każe nam spostrzegać i uczyć się i pozwala rozkładać mechanizmy, którychby się bez tego nie poznało. Człowiekowi, który co wieczór pada jak kłoda na łóżko i przestaje żyć do chwili obudzenia się i wstania, czyż przyjdzie kiedy do głowy zrobić, jeżeli nie wielkie odkrycie, to bodaj małe spostrzeżenia dotyczące się snu? Zaledwie wie że śpi. Trochę bezsenności nie jest bezużyteczne dla ocenienia snu, dla rzucenia odrobiny światła w tę noc. Bezzawodna pamięć nie jest zbyt silnym bodźcem do studjowania zjawisk pamięci. „Ostatecznie, czy pani d’Arpajon przedstawiła pana księciu Gilbertowi?” Nie, ale zamilcz i pozwól mi podjąć opowiadanie.

Pani d’Arpajon była jeszcze małoduszniejsza od pani de Souvré, ale małoduszność jej była bardziej usprawiedliwiona. Wiedziała, że zawsze miała mało wpływów w towarzystwie. Wpływy te osłabił jeszcze jej stosunek z księciem Błażem, a zerwanie tego stosunku przez księcia zadało im ostatni cios. Zły humor, w jaki ją wprawiła moja prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi, objawił się u niej milczeniem, którem chciała naiwnie wyrazić, że nie słyszała tego com mówił. Nie czuła nawet, że mimowoli zmarszczyła brwi z gniewu. A może, przeciwnie, czuła, ale nie troszczyła się o tę sprzeczność i posłużyła się nią, aby, bez zbytnej brutalności, dać mi lekcję taktu — niemą, ale przez to tem wymowniejszą.

Zresztą, pani d’Arpajon była bardzo kwaśna; wiele spojrzeń wznosiło się w stronę renesansowego balkonu, w którego rogu, zamiast monumentalnych posągów, jakimi tak często strojono krużganki w owej epoce, pochylała się, nie mniej posągowa niż one, wspaniała księżna de Surgis-le-Duc, ta co zajęła miejsce pani d’Arpajon w sercu Błażeja de Guermantes. Pod lekkim białym tiulem, chroniącym ją od nocnego chłodu, widać było jej gibkie ciało zrywającej się bogini Zwycięstwa.

Jako jedyny ratunek pozostawał mi już tylko pan de Charlus, który przeszedł z powrotem do sali wychodzącej na ogród. Ponieważ baron udawał, że jest zatopiony w rzekomej partji wista, która mu pozwalała nie okazywać że widzi kogokolwiek, mogłem swobodnie podziwiać świadomą i artystyczną prostotę jego fraka, który, dzięki drobnym szczegółom dostrzegalnym jedynie oku krawca, robił wrażenie czarno-białej „harmonji” Whistlera; czarno-biało-czerwonej raczej, bo p. de Charlus nosił na szerokiej wstążce, przypięty do fraka, biało-czarno-czerwono emaljowany krzyż zakonu maltańskiego.

W tej chwili przerwała baronowi partję pani de Gallardon, prowadząc swego siostrzeńca, wicehrabiego de Courvoisier, ładnego chłopca o impertynenckiej minie.

— Kuzynie — rzekła pani de Gallardon — pozwoli kuzyn, że mu przedstawię mego siostrzeńca Adalberta. Adalbercie, wiesz, to sławny wuj Palamed, o którym tyle słyszałeś.

— Dobry wieczór, pani de Gallardon — odparł Charlus. I dodał, nie patrząc nawet na młodego człowieka: „Witam pana”, z nadętą miną i tonem tak wybitnie niegrzec-

nym, że wszyscy się zdumieli. Może sądząc, że pani de Gallardon ma wątpliwości co do jego obyczajów i że nie mogła sobie odmówić przyjemności zrobienia do nich aluzji, nie chciał jej dostarczyć materiału uprzejmością dla jej siostrzeńca; może chciał publicznie zmanifestować swoją obojętność dla młodych ludzi; może uważał iż rzeczony Adalbert nie potwierdził słów ciotki miną dostatecznie pełną szacunku; może wreszcie, pragnąc później zawrzeć bliższą znajomość z tak sympatycznym kuzynkiem, baron chciał sobie zapewnić korzyści uprzedniej agresji, jak owi monarchowie, którzy przed wszczęciem akcji dyplomatycznej popierają ją akcją militarną.

To aby p. de Charlus ziścił prośbę o przedstawienie mnie, okazało się mniej trudne niż sądziłem. Z jednej strony, w ciągu dwudziestu lat, ten don Kiszot bił się z tyloma wiatrakami (często byli to krewni, o których twierdził, że się źle zachowali wobec niego), tak często wykluczał kogoś — jako „osobę zupełnie niemożliwą” — z zaproszeń do takich czy innych Guermantów, iż ci zaczęli się obawiać, że się poróżnią ze wszystkimi których lubili, że się wyrzekną do śmierci towarzystwa niektórych „nowych” których byli ciekawi, poto aby się solidaryzować z grzmiącymi ale niezrozumiałymi urazami szwagra czy kuzyna, żądającego aby się dlań wyrzec żony, brata, dzieci. Inteligentniejszy od innych Guermantów, p. de Charlus widział, że jego ostracyzmy uwzględniano ledwie co drugi raz; sprzedając tedy przyszłość, bojąc się aby pewnego dnia raczej jego się nie wyrzeczono, zaczął uznawać kompromisy, spuszczać — jak się to mówi — z ceny. Co więcej, o ile zdolny był darzyć na miesiące, na lata, trwałym życiem znienawidzoną istotę — której zaproszenia nie dopuściliby za nic i raczej biłby się jak tragarz bodaj z królową (bo dostojęństwo osoby stawiającej mu opór przestawało dlań wchodzić w rachubę), w zamian za to, wybuchy jego gniewu, ponawiane zbyt często, pozostawały tem samem nieco fragmentaryczne. „Idjota, paskudny błazen! przepędzi się go tam gdzie jego miejsce, wymiecie się go do zlewu, co na nieszczęście nie obędzie się bez szkody dla zdrowotności publicznej”, ryczał baron nawet będąc sam w swoim gabinecie, przy lekturze listu, który mu się wydał nie dość pełen szacunku, lub przypomniawszy sobie jakieś powiedzenie, które mu powtórzono. Ale nowa wściekłość na drugiego „idjotę” rozpraszała poprzednią i byle pierwszy idjota okazał nieco skruchy, najsurowszy sąd o nim szedł w zapomnienie, ile że nie trwał dość długo aby stworzyć grunt pod gmach nienawiści. Toteż — mimo uraz barona do mnie — prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi byłaby może odniosła pomyślny skutek, gdybym nie wpadł na nieszczęśliwy pomysł dodania przez skrupuł (aby mnie baron nie mógł posądzić żem tu wszedł na ryzyko, licząc na niego że mi pomoże zostać):

— Pan wie, że ja znam księżstwa bardzo dobrze, księżna Marja była dla mnie bardzo uprzejma.

— Ha, w takim razie, jeżeli pan ich zna, naco panu mojej prezentacji — trzasnął odwracając się plecami i podjął swoją fikcyjną partję z nuncjuszem, ambasadorem niemieckim i jakąś figurą, której nie znałem.

Wówczas z głębi tych ogrodów gdzie niegdyś książę d'Aiguillon chował osobliwe zwierzęta, doszedł mnie, przez szeroko rozwarte okno, odgłos jakby węszenia, które wchłaniało ten cały wykwent i nie chciało zeń nic uronić. Odgłos zbliżał się, skierowałem się na los szczęścia w jego kierunku, tak iż słowa „dobry wieczór”, szepnięte mi w ucho przez pana de Bréauté zabrzmiały nie jak żelazisty i wyszczerbiony dźwięk ostrzonego noża a jeszcze mniej jak pomruk warchlaka, niszczyciela uprawnych pól, ale jak głos możliwego wybawcy. Mniej potężny niż pani de Souvré, ale mniej nieużyty, o wiele swobodniejszy z księciem niż pani d'Arpajon, żywiący może złudzenia co do mojej sytuacji w sferze Guermantów, lub może znający tę sytuację lepiej ode mnie, p. de Bréauté niełatwy był wszelako w pierwszej chwili do ujęcia, bo z drgającymi i rozdętymi nozdrzami zwracał się na wszystkie strony, wybałuszając ciekawie monokl, tak jakby się znajdował wobec pięciuset arcydzieł. Ale usłyszawszy moją prośbę, przyjął ją z zadowoleniem, poprowadził mnie do księcia i przedstawił mnie z łakomą, ceremonialną i wulgarną miną, tak jakby mu podał talerzyk ptifurów, polecając je. O ile wzięcie księcia Błażeja było — kiedy chciał — miłe, koleżeńskie, serdeczne i poufale, o tyle wzięcie księcia Gilberta wydało mi się sztywne, uroczyste, wyniosłe. Ledwie się do mnie uśmiechnął, wygłaszając poważnie: „Witam pana”. Słyszałem często, jak książę Błażej dworował sobie ze sztywności kuzyna. Ale po pierwszych słowach księcia Gilberta, które przez swój chłód i powagę

tworzyły całkowity kontrast ze słownictwem księcia Błażeja, zrozumiałem natychmiast, iż człowiekiem głęboko lekceważącym jest książę Błażej, który cię traktuje od pierwszej wizyty jak kamrata i że z tych dwóch wielkich panów człowiekiem naprawdę prostym jest Gilbert. Ujrzałem w jego sztywności większe poczucie, nie równości, bo to byłoby u niego nie do pojęcia, ale bodaj szacunku, jaki można przyznać niższemu od siebie, jak się to zdarza we wszystkich środowiskach silnie zhierarchizowanych, w sądownictwie na przykład, albo w łonie Fakultetu, gdzie generalny prokurator lub dziekan, świadomi swojej wysokiej godności, kryją może w tradycyjnej dumie więcej istotnej prostoty i — skoro się ich pozna bliżej — więcej dobroci, szczerzej naturalności, serdeczności, niż inni, nowocześniejsi od nich, w filuternej komedji filuternego koleżeństwa. „Czy pan zamierza iść drogą swego ojca”, spytał książę sztywno ale z zainteresowaniem. Odpowiedziałem zwięźle, rozumiejąc że pyta jedynie przez uprzejmość, i oddaliłem się, aby zostawić dostęp nowoprzybyłym.

Ujrzałem Swanna, chciałem z nim mówić, ale w tej chwili spostrzegłem, że książę Gilbert, zamiast przywitać się poprostu z mężem Odety, natychmiast, z siłą pompy ssącej, wciągnął go w głąb ogrodu, zdaniem niektórych osób poto aby go wyprosić za drzwi.

Mimo iż byłem tak roztargniony, że dopiero na trzeci dzień dowiedziałem się z dzienników, iż czeska orkiestra przygrywała cały wieczór i że co minutę zapalano ognie bengalskie, odnalazłem nieco przytomności na myśl, iż ujrzę słynny wodotrysk Huberta Robert.

Na polance okolonej pięknymi drzewami (niektóre były równie stare jak ten wodotrysk), widać go było zdaleka nieco z boku. Smukły, nieruchomy, stężały, kołysał na wietrze swój lekko opadający, blade i drżący pióropusz. XVIII wiek wysubtelnił wykwiłt jego linii, ale, utrwalając styl wytrysku, jakgdyby poraził jego życie; na tę odległość miało się raczej wrażenie sztuki niż poczucie wody. Nawet wilgotna mgła, zbierająca się na szczycie, zachowała charakter epoki, jak chmury gromadzące się na niebie dokoła pałaców Wersalu. Ale z bliska człowiek zdawał sobie sprawę, że, mimo iż szanując pierwotny rysunek niby kamienie starożytnego pałacu, wciąż nowe wody, posłuszne dawnym rozkazom architekta, spełniały te rozkazy dokładnie ale zdając się je gwałcić, ile że dopiero tysiąc ich ulotnych płasów mogło dać na odległość wrażenie jednego rzutu. Ten wytrysk był w istocie równie często przerywany jak mgławica opadu, podczas gdy z daleka wydawał się nieugięty, zbity, ciągły, nieprzerwany. Podszedłszy nieco bliżej, widziało się, że tę ciągłość, na pozór czysto linearną, utrwalal, we wszystkich punktach wzbijania się wodotrysku, wszędzie tam gdzie mógłby się on złamać, równoległy słup wody, wznoszący się wyżej od pierwszego, a sam, na większej i już męczącej dlań wysokości, wsparty trzecim. Z bliska, omdlałe krople opadały ze słupa wody, krzyżując się w przelocie ze swemi biegnącymi w górę siostrami; to znów, rozdarte, porwane w wir powietrza zmaconego tym ciągłym wytryskiem, bujały zanim wpadły do basenu. Swojami wahaniami, pędem w przeciwnym kierunku, hamowały i zacierały miękką parą prostolinijność i prężność tej lodygi, wznoszącej podłużną chmurę utworzoną z tysięcy kropelek, ale na pozór wymalowaną złożonym i niezmiennym bronzem, która wzbijała się nieflamiwa, nieruchoma, bystra i chybka, łącząc się z obłokami na niebie. Na nieszczęście, podmuch wiatru wystarczał aby ją strącić na ziemię, czasem nawet nieposłuszny strumień wody odszczepiał się i zmoczyłby do szpiku niebaczną i zapatrzoną ciźbę, gdyby się nie trzymała w pełnej szacunku odległości.

Jeden z takich drobnych wypadków, zdarzających się prawie tylko wówczas gdy zrywał się wiatr, był dość nieprzyjemny. Mówiono pani d'Arpajon, że książę Błażej — w istocie jeszcze nieobecny — jest z panią de Surgis w różowej marmurowej galerji, dokąd wiodła podwójna kolumnada, wznosząca się od cembrzyny basenu. Otóż, w chwili gdy pani d'Arpajon miała się zapuścić między kolumny, silny podmuch ciepłego wiatru skrzył wodotrysk i skropił tak dokładnie piękną damę, że woda, ściekając przez dekolt pod suknię, zmoczyła ją naksztalt kąpieli. Wówczas, rozległo się przerywane chrząkanie, dość silne aby je mogła słyszeć cała armja, ale przeciągające się chwilami, tak jakby się zwracało nie do całej armji lecz kolejno do każdego oddziału; to Wielki książę Włodzimierz śmiał się z całego serca, widząc prysznic pani d'Arpajon, jedną z najweselszych rzeczy (jak lubił powtarzać później), jakie widział w życiu. Kiedy parę miłosiernych osób zwracało uwagę moskalowi, że słówko współczucia z jego strony byłoby może na miejscu i sprawiłoby przyjemność tej kobiecie, która, mimo swojej dobrej czterdziestki, ocierając się

szalem, nie prosząc nikogo o pomoc, ratowała się mimo wody chlapiącej złośliwie cembrzynę basenu, Wielki książę, który miał dobre serce, uznał za właściwe dopełnić tego obowiązku. Jakoż, skoro się uciszyły ostatnie salwy śmiechu, rozległ się nowy wybuch jeszcze gwałtowniejszy od poprzednich: „Brawo, stara!” — wykrzyknął klaszcząc w ręce jak w teatrze. Pani d'Arpajon nie była rada, że chwalono jej zwinność kosztem jej młodości. I kiedy ktoś, ogłuszony szumem wody, nad którym górował wszelako grzmot Jego Wysokości, rzekł: „Zdaje się, że Jego Wysokość coś mówił do pani? — Nie, to do pani de Souvré” — odparła.

Przebyłem ogród i wróciłem na schody, gdzie nieobecność księcia Gilberta, który znikł ze Swannem, zwiększyła ciżbę gości dookoła pana de Charlus; tak, kiedy Ludwik XIV opuszczał Wersal, więcej osób było u jego brata. Baron zatrzymał mnie w drodze, podczas gdy za mną dwie damy i młody człowiek zbliżali się aby się z nim przywitać.

„Miło mi widzieć pana tutaj”, rzekł podając mi rękę. „Dobry wieczór, pani de la Trémoille, jak się masz, droga Herminjo”. Ale z pewnością wspomnienie tego, co mi powiedział o swojej zwierzchniczej roli w pałacu Guermantes zbudziło w nim, w stosunku do tego co go drażniło ale czemu nie mógł zapobiec, chęć okazania zadowolenia, któremu jego wielkopańska buta i histeryczne podniecenie dały natychmiast formę bezgranicznej ironji: „Miło, ale zwłaszcza zabawnie”. I wstrząsały go wybuchy śmiechu, mające zarazem świadczyć o jego radości i o bezsilności ludzkich słów dla jej oddania.

Tymczasem niektóre osoby, wiedząc jak baron jest nieprzystępny i skłonny do brutalnych wybuchów, zbliżyły się ciekawie, poczem z nieprzyzwoitym prawie pośpiechem brały nogi za pas. — No, niech się pan nie gniewa — rzekł baron, trącając mnie lekko w ramię — pan wie, że ja pana bardzo lubię. Jak się masz, Antjochu; jak się masz, Louis-René. Czy pan już widział wodotrysk? — spytał mnie tonem raczej twierdzącym niż pytającym. To bardzo ładne, prawda? Cudowne! Oczywiście, to mogłoby być jeszcze ładniejsze, gdyby usunąć pewne rzeczy; wówczas nie byłoby nic podobnego we Francji. Ale tak jak jest, to już należy do rzeczy najlepszych. Bréauté powie panu, że źle zrobiono wieszając lampiony; tak powie aby zatrzeć ślad że to on wpadł na ten idjotyczny pomysł. Ale, w sumie, zdołał tylko bardzo niewiele zeszpecić. O wiele trudniej jest zniekształcić dzieło sztuki, niż je stworzyć. Domyślaliśmy się już zresztą potrosze, że Bréauté ma mniej talentu od Huberta Robert.

Wsunąłem się w sznur gości, wchodzących do pałacu.

— Czy dawno widział pan moją uroczą Orianę — spytała księżna Marja, która od niedawna opuściła fotel przy wejściu i z którą wracałem do salonów. — Ma przyjść dziś wieczór, widziałam ją zaraz popołudniu — dodała pani domu. — Przyrzekła mi. Zdaje mi się zresztą, że pan je obiad z nami obiema u królowej włoskiej, w ambasadzie, we czwartek. Będą wszystkie możliwe Wysokości, to będzie bardzo onieśmielające.

Nie mogły w każdym razie onieśmielić księżnej Marji, w której salonach roilo się od książąt krwi i która mówiła „moje małe Koburgi”, tak jakby mówiła „moje pieski”. Toteż księżna Marja mówiła: „To będzie bardzo onieśmielające”, przez czystą głupotę, która u ludzi światowych przewyższa jeszcze ich próżność. O własnej genealogji wiedziała mniej niż lada profesor historii. Co się tyczy przyjaciół, starała się dowieść, że zna przydomki jakie im nadawano. Zapytawszy, czy będę w przyszłym tygodniu na obiedzie u margrabiny de la Pommelière, którą często nazywano „la Pomme”, i otrzymałszy przeczącą odpowiedź, księżna Marja zamilkła na chwilę. Potem, bez żadnej innej racji prócz świadomej chęci popisu mimowolną erudycją, banalnością i zgodnością z duchem stada, dodała: „Dosyć miła jest ta *Pomme!*”.

Podczas gdy księżna Marja rozmawiała ze mną, wkraczali właśnie do salonów księstwo Błazejowie. Ale nie mogłem odrazu podejść do nich, bo mnie złapała w przelocie ambasadorowa turecka. Pokazując mi panią domu, którą dopiero co opuściłem, wykrzyknęła, chwytając mnie za ramię:

— Cóż za rozkoszna osoba, ta księżna Marja! Co za niepospolita istota! Zdaje mi się, że gdybym była mężczyzną — dodała z odrobiną wschodniej uniżoności i zmysłowości — poświęciłabym życie temu niebiańskiemu stworzeniu.

Odpowiedziałem, że jest w istocie uroczą, ale że bliżej znam jej kuzynkę Orianę.

— Ależ nie ma żadnego porównania — rzekła ambasadorowa. — Oriana jest przemila światowa kobietka, która czerpie swój dowcip od Mémé i od Babala, podczas gdy księżna Marja to jest *ktos*.

Nigdy bardzo nie lubiłem, aby mi tak bezapelacyjnie narzucano, co mam myśleć o znajomych. I nie było żadnej racji, aby ambasadorowa turecka miała o wartości księżnej Oriany sąd kompetentniejszy od mojego.

Z drugiej strony, fakt że mnie ambasadorowa zirytowała, tłumaczy się tem, że wady prostego znajomego, a nawet przyjaciela, są dla nas niby trucizny, przeciw którym jesteśmy na szczęście „zmitrydatyzowani”. Ale, nie siląc się na żaden aparat porównań naukowych, ani wspominając o *anafilaksji*, powiedzmy, że w łonie naszych przyjacielskich lub poprostu światowych stosunków, czai się wrogość, chwilowo uleczona, ale powracająca, napadowa. Zazwyczaj mało się cierpi od tych trucizn, dopóki ludzie są „naturalni”. Mówiąc „Babal”, „Mémé” na oznaczenie osób których nie znała, ambasadorowa turecka zawieszała działanie „mitrydatyzmu”, który zazwyczaj czynił mi ją znośną. Drażniła mnie, co było tem niesprawiedliwsze, że ona mówiła tak nie dlatego aby udawać zazłość z „Mémé”, ale wskutek zbyt pospiesznej edukacji, zalecającej jej nazywać owych szlachetnych panów w sposób, który uważała za krajowy obyczaj. Przeszła kurs w ciągu kilku miesięcy, nie przebywając wszystkich stopni. Ale po zastanowieniu odkryłem, że moja niechęć do towarzystwa ambasadorowej ma inne źródło. Nie dawno temu, u „Oriany”, ta sama dyplomatyczna jejmość oświadczyła mi, że świadomą i poważną miną, że księżna Marja de Guermantes jest jej wręcz antypatyczna. Woląłem nie zastanawiać się nad tą zmianą kursu: wywołało ją zaproszenie na wieczór. Ambasadorowa była całkiem szczerą, powiadając że księżna Marja jest czarująca. Zawsze tak myślała. Ale stale dotąd nie zapraszana do księżnej, uważała za właściwe dać temu brakowi zaproszeń formę dobrowolnej i zasadniczej abstynencji. Teraz, kiedy była w salonie księżnej i prawdopodobnie miała w nim bywać nadal, sympatja jej mogła się wyrazić swobodnie. Dla wytłumaczenia trzech czwartych sądów, jakie ludzie wydają o ludziach, nie potrzeba szukać zawieszonoj miłości ani politycznych zawiści. Sąd buja w powietrzu: zaproszenie lub jego brak przechyla go na jedną lub drugą stronę. Zresztą, ambasadorowa turecka — jak mówiła baronowa de Guermantes, która zrobiła ze mną inspekcję salonów — „dobrze robiła” w towarzystwie. Była zwłaszcza bardzo użyteczna. Prawdziwe gwiazdy światowe zmęczone są występami. Kto ich jest ciekaw, musi często emigrować w drugą hemisferę, gdzie są prawie samotne. Ale kobiety podobne do ambasadorowej ottomańskiej, całkiem świeże w „świecie”, zawsze skore są błyszczeć, aby tak rzec, wszędzie naraz. Są niezmiernie użyteczne dla tego rodzaju spektaklów zwanych wieczorem czy rautem, gdzie raczej kazałyby się zanieść umierające, niżby się tam miały nie pokazać. To są statystki, na które zawsze można liczyć, nie opuszczając żadnej fety. Toteż głupie żółtodzioby, nie wiedząc że to są fałszywe gwiazdy, widzą w nich królowe szyku, podczas gdy trzebaby prawdziwej lekcji, aby im wytłumaczyć, na jakiej zasadzie pani Standish, nieznana im nawet ze słyszenia i malująca poduszki, zdala od świata, jest co najmniej równie wielką damą jak księżna Doudeauville.

W zwykłych momentach życia, oczy księżnej Oriany były roztargnione i trochę melancholijne; zapalała w nich duchowy płomień jedynie za każdym razem kiedy się miała przywitać z kimś znajomym; zupełnie tak, jakby ów ktoś był jakimś dowcipnym, miłym żartem, smacznym kąskiem, którego smak odbija się na twarzy znawcy subtelnym i radosnym wyrazem. Ale na wielkich przyjęciach, mając za wiele osób do witania, uważała że zbyt męczące byłoby gasić po każdej z nich i za każdym razem światło. Jak miłośnik literatury, idąc do teatru aby oglądać nowość jednego z mistrzów sceny, pewny że nie zmarnuje wieczoru, już oddając rzeczy w szatni dostraja usta do inteligentnego uśmiechu, ożywione spojrzenie do złośliwej aprobaty, tak wchodząc do salonu, księżna Oriana zaświecała oczy na cały wieczór. I oddając wieczorowy płaszcz o wspaniałej czerwieni Tiepolo, odsłaniając istną rubinową obróżę obejmującą jej szyję, zlustrowawszy suknię owem ostatniem, szybkim, szczegółowem i wyczerpującem spojrzeniem krawieckiem, jakim jest spojrzenie światowej kobiety, Oriana sprawdzała blask swoich oczu, tak samo jak blask innych klejnotów.

Daremnie parę „życzliwych języków”, jak p. de Janville, rzuciło się na księcia Błażeja, aby mu nie dać wejść: — Czyż ty nie wiesz, że biedny Mama jest konający? Właśnie był

u niego ksiądz z olejami. — Wiem, wiem — odpowiedział p. de Guermantes, odpychając natręta w przejściu. — Wiatyk wywarł najlepszy skutek — dodał uśmiechając się rozkosznie na myśl o reducie, której był zdecydowany nie chybić po wieczorze u Gilbertów. — Nie chcieliśmy, aby wiadano żeśmy wrócili — rzekła do mnie księżna Oriana. Nie domyślała się, że księżna Marja osłabiła zawczasu to twierdzenie, powiadając, że widziała przez chwilę swoją kuzynkę, która obiecała przyjść. Po długim spojrzeniu, którym przez pięć minut prażył żonę, ksiądz Błażej rzekł: „Powiedziałem Orianie o pańskich wątpliwościach”.

Teraz, kiedy księżna widziała że były nieuzasadnione i że nie potrzebuje nic robić aby je rozprószyć, oświadczyła że były niedorzeczne, żartowała ze mnie długo.

— Cóż za pomysł, przypuszczać, że pan nie był zaproszony! A potem, byłam przeciw ja. Czy pan sądzi, że nie potrafiłabym uzyskać dla pana zaproszenia do mojej kuzynki?

Muszę powiedzieć, że księżna robiła później często dla mnie trudniejsze rzeczy; mimo to nie wzięłam tych jej słów w sensie wyrzutu że byłam zbyt oględny. Zaczynałem poznawać ściśłą wartość mówionego lub niemego języka arystokratycznej uprzejmości; uprzejmości szczęśliwej że może nam osłodzić nasze poczucie niższości, ale nie do tego stopnia aby je rozprószyć, bo w takim razie jużby ta uprzejmość nie miała racji istnienia. „Ależ ty jesteś równy nam, o ile nie wyższy”, zdawali się wszystkimi swemi postępkami mówić Guermantowie; i mówili to we wszelki najmiły sposób, poto aby ich kochano, podziwiano, ale nie aby im uwierzono. Odgadnąć fikcyjny charakter tej uprzejmości, to oni nazywali „być dobrze wychowanym”; uwierzyć w szczerą uprzejmość, było złem wychowaniem. Otrzymałem zresztą niebawem lekcję, która pouczyła mnie najściślej o rozciągłości i o granicach pewnych form arystokratycznej uprzejmości. Było to na podwieczorku wydanym przez księżnę de Montmorency dla królowej angielskiej; utworzył się tam mały orszak posuwający się do bufetu, na czele zaś kroczyła monarchini, prowadzona pod ręką przez księcia Błażeja. Wszedłem właśnie w tej chwili. Drugą swobodną ręką ksiądz dawał mi, na odległość conajmniej czterdziestu metrów, tysiąc znaków równie przyjaznych jak zachęcających; wyraźnie mówiły one, że mogę się zbliżyć bez obawy aby mnie zjedzono na surowo zamiast sandwichów. Ale ja, który zaczynałem się doskonalić w języku dworów, zamiast się zbliżyć bodaj o jeden krok, z czterdziestu metrów odległości skłoniłem się głęboko, ale bez uśmiechu, tak jakbym miał przed sobą kogoś ledwie znajomego, poczem udałem się dalej swoją drogą w przeciwnym kierunku. Gdybym napisał arcydzieło, mniej by mnie ono podniosło w oczach Guermantów niż ten ukłon. Nie tylko nie uszedł oczu księcia, który musiał przecież odpowiadać na ukłony jakich pięciuset osób, ale i oczu księżnej, która, spotkawszy moją matkę, opowiedziała jej to zdarzenie, bynajmniej nie powiadając że źle postąpił, że powinienem się być zbliżyć. Oznajmiła, że ksiądz zachwycony był moim ukłonem, że niepodobna było zawrzeć w nim więcej rzeczy. Nie przestawano znajdować w tym ukłonie wszystkich przymiotów, nie wspominając wszakże o tym, który wydał się najcenniejszy, to znaczy że był skromny; i nie przestano mi prawić komplementów, które pojąłem nietyle jako nagrodę za przeszłość, ile jako wskazówkę na przyszłość, w rodzaju tych, jakich delikatnie udziela uczniom dyrektor konwiktu. „Nie zapominajcie, drogie dzieci, że te nagrody są nietyle dla was, ile dla waszych rodziców, aby was tu znów umieścili na przyszły rok”. W ten sposób, pani de Marsantes, kiedy ktoś z innego świata wchodził w jej sferę, chwaliła przed nim ludzi skromnych („znajduje się ich kiedy się ich szuka, a pozatem umieją być tak jakby ich nie było”), tak jak służącemu, który nie pachnie, zwraca się w pośredniej formie uwagę, że kąpiel wyborna jest dla zdrowia.

Podczas gdy rozmawiał z panią de Guermantes, zanim jeszcze opuściła się, usłyszałem głos z rodzaju który w przyszłości miałem niemylnie rozpoznawać. Był to, w danym wypadku, p. de Vaugoubert rozmawiający z panem de Charlus. Klinicysta nie czeka aż chory podniesie koszulę, ani nie potrzebuje słuchać oddechu pacjenta: głos mu wystarcza. Ileż to razy później miał mnie uderzyć w salonie akcent lub śmiech jakiegoś człowieka, który wszelako ściśle naśladował gwarę swego zawodu lub formy swojej sfery, przybierając surową dystynkcję lub poufałą rubasność; ale fałsz głosu wystarczał dla mego wycwiczzonego ucha niby widelki stroiciela; i powiadałem sobie: „To jakiś Charlus”.

W tej chwili cały personel jakiejś ambasady przeszedł, kłaniając się panu de Charlus. Mimo że moje odkrycie rzeczony choroby datowało ledwie od tego popołudnia (kiedym



spozrzegł pana de Charlus z Jupienem), nie potrzebowalby dla postawienia diagnozy pytać ani auskultować. Ale p. de Vaugoubert, rozmawiający z p. de Charlus, widocznie nie był pewny. A przecież po wątpieniach wieku młodzieńczego, powinien był już wiedzieć czego się trzymać. Zboczeniec uważa się za jedynego w swoim rodzaju w całym świecie; później dopiero wyobraża sobie — druga przesada — że jedynym wyjątkiem jest człowiek normalny. Ale p. de Vaugoubert, ambitny i płochliwy, nie oddawał się już od bardzo dawna temu, co byłoby dlań rozkoszą. Karjera dyplomatyczna miała na jego życie wpływ równający się wstąpieniu do zakonu. Połączona z pilnością w Szkole nauk politycznych, skazała go, od dwudziestego roku życia, na czystość pierwszych chrześcijan. Toteż, ponieważ każdy zmysł traci swoją siłę i żywotność i zanika kiedy go nie używać, p. de Vaugoubert — tak samo jak człowiek cywilizowany, niezdolny już do ćwiczeń fizycznych oraz pozbawiony sluchu człowieka jaskiniowego — stracił specjalną bystrość, która rzadko zawodziła pana de Charlus; i na oficjalnych obiadach, bądź w Paryżu bądź zagranicą, ambasador nie umiał już nawet rozpoznać tych, którzy pod powłoką uniformu byli w gruncie podobni jemu.

Kilka nazwisk, jakie wymienił p. de Charlus, oburzony kiedy jego samego cytowano dla jego gustów, ale zawsze lubiący demaskować skłonności innych, wprawiły pana de Vaugoubert w rozkoszne zdumienie. Nie aby po tylu latach chciał skorzystać z jakiej gratki. Ale nagle rewelacje (podobne tym, które w tragedjach Racine'a objaśniają Atalję i Abnera, że Joas jest z rasy Dawida, że zasiadająca w purpurze Estera ma krewnych żydłaków), zmieniając wygląd poselstwa X... lub jakiegoś departamentu Ministerstwa spraw zagranicznych, czyniły mu retrospektywnie owe pałace czemś równie tajemniczym jak świątynia Jerozolimka lub sala tronowa w Suzie. Wobec tej ambasady, której młody personel zbliżył się w komplecie, aby uściskać dłoń pana de Charlus, pan de Vaugoubert przybrał zachwyconą minę Elizy, wykrzykującej w *Esterze*:

Nieba! zastęp niewinnych piękności uoczy  
Ze wszech stron przybywając czaruje me oczy.  
Jakże powabna stroi wstydlivość ich twarze!

Następnie, pragnąc być bardziej „poinformowany”, z uśmiechem rzucił panu de Charlus spojrzenie głupio-pytające i pożądliwe zarazem: „Ależ tak, rozumie się”, rzekł p. de Charlus z poważną miną erudyty mówiącego do nieuka. Odtąd, Vaugoubert (co bardzo drażniło pana de Charlus) nie odrywał już oczu od tych młodych sekretarzów, których ambasador mocarstwa X..., stary wyjadacz, dobrał nader starannie. P. de Vaugoubert milczał, widziałem tylko jego spojrzenia. Ale, przyzwyczajony od dzieciństwa używać nawet rzeczom niemym języka klasyków, czytałem w oczach pana de Vaugoubert wiersze, w których Estera tłumaczy Elizie, że Mardocheusz postarał się, przez miłość swojej religii, umieszczać przy królowej jedynie dziewczęta, które tę religję wyznają.

Zapał jego, uczucia wszystkie dzieląc z nami,  
Chciał zaludnić ten pałac Syjonu córami;  
Młode i tkliwe kwiaty, łosem doświadczone,  
Pod niebo cudzoziemskie jak ja przeniesione,  
W miejscu, co od niegodnych oczu leży zdala,  
On (przezacny ambasador) troskliwie hoduje i w cnocie utrwała.

Wreszcie pan de Vaugoubert przemówił inaczej niż oczami:

— Kto wie — rzekł melancholijnie — czy w kraju, gdzie ja rezyduję, nie istnieje to samo.

— To bardzo prawdopodobne — odparł p. de Charlus — zaczynając od króla Teodozjusza, mimo że nie wiem o nim nic pozytywnego.

— Och, wcale nie!

— W takim razie, doprawdy znakomicie to udaje! Ależ się mizdrzy! Ma ten *genre* „moja mała”, rodzaj którego najbardziej nie znoszę. Nie odważyłbym się z nim pokazać na ulicy. Zresztą, musisz mieć o nim wyrobione zdanie, znany jest jak zły szeląg.

— Mylisz się co do niego najzupełniej. Jest zresztą czarujący. W dniu, w którym podpisano ugodę z Francją, król mnie uściskał. Nigdy nie byłem tak wzruszony.

— To była chwila aby mu wyznać to czego pragniesz.

— Och, Boże, co za okropność, gdyby on bodaj podejrzewał! Ale w tym względzie nie mam żadnych obaw.

Usłyszawszy te słowa (bo stałem niedaleko), natychmiast zacytowałem sobie w duchu:

Po dzień dzisiejszy zgoła kim jestem król nie wie,  
I sekret ten wciąż wiąże język mój spętany.

Ten w pół-niemym w pół-mówionym dialogu trwał niezbyt długo. Ledwie przeszedł kilka kroków z księżną Orianą, kiedy nieduża brunetka, bardzo ładna, zatrzymała ją:

— Chciałabym koniecznie pomówić z tobą. D'Annunzio ujrzał cię z łoża, napisał do księżnej de T... list, gdzie powiada, że w życiu nie widział nic równie pięknego. Oddałby życie za dziesięć minut rozmowy z tobą. W każdym razie, nawet jeżeli nie możesz albo nie chcesz, list jest w moim posiadaniu. Musisz mi naznaczyć godzinę. Są pewne dyskretne rzeczy, których nie mogę powiedzieć tutaj. Widzę, że mnie pan nie poznaje, dodała zwracając się do mnie; spotkałam pana u księżnej Parmy (gdzie nigdy nie byłem). Cesarz rosyjski życzyłby sobie, aby pańskiego ojca posłano do Petersburga. Jeżeli pan może przyjść we wtorek, właśnie będzie Izwolski, pomówilibyście o tem. Mam dla ciebie podarek, kochanie — dodała obracając się do księżnej; podarek, którego nie zrobiłabym nikomu prócz ciebie. Rękopis trzech sztuk Ibsena, które mi przesłał przez swojego starego pielęgniarza. Zachowam jedną, a dwie dam tobie.

Książę Błażej nie był zachwycony temi propozycjami. Niepewny czy Ibsen lub d'Annunzio żyją czy umarli, widział już pisarzy, dramaturgów, składających wizyty jego żonie i pakujących ją do swoich utworów. Ludzie światowi chętnie wyobrażają sobie książki jako rodzaj pudła pozbawionego jednej ściany, tak że autor coprędzej „pakuje” do środka osoby które napotka. To jest oczywiście nielojalnie, a tacy ludzie to są podejrzane figury. Zapewne, byłoby dość zabawne widywać ich „*en passant*”, bo dzięki nim, kiedy się czyta książkę lub artykuł, zna się „podszewkę” wszystkiego, można „zdrzeć maski”. Mimo wszystko, roztropniej jest poprzestać na autorach umarłych. P. de Guermantes uważał za „zupełnie na miejscu” jedynie osobnika, który prowadził rubrykę nekrologów w „*Gaulois*”. Ten przynajmniej ograniczał się do cytowania nazwiska pana de Guermantes między osobami zauważonymi „w szczególności” na pogrzebach, gdzie książę się zapisał na liście. Kiedy p. de Guermantes wołał aby jego nazwisko nie figurowało, wówczas, zamiast się zapisywać, przesyłał rodzinie zmarłego kondolencję, zapewniającą o jego bardzo żalobnych uczuciach. Jeżeli ta rodzina zamieściła w dzienniku: „pomiędzy otrzymanymi dowodami współczucia, zacytujmy list księcia de Guermantes”, etc. to nie była wina wzmiankarza, ale syna, brata, ojca zmarłej osoby, których książę piętnował jako karjerowiczów i z którymi odtąd był zdecydowany nie utrzymywać stosunków (co nazywał, nie mając ścisłego poczucia wyrażenia, „być na pieńku”).

Bądź jak bądź, faktem jest, że nazwisko Ibsena i d'Annunzia i niepewność czy jeszcze żyją wywołały zmarszczenie brwi księcia, znajdującego się jeszcze natyle blisko, aby dosłyszec rozmaite uprzejmości pani Tymoleonowej d'Amoncourt. Była to przemiła kobieta, o inteligencji — jak jej uroda — tak wdzięcznej, że jedno z dwojga wystarczyłoby aby czarować. Ale urodzona poza sferą w której żyła obecnie, marząca zrazu tylko o salonie literackim, kolejna i wyłączna przyjaciółka — bynajmniej nie kochanka, życie jej było bardzo czyste — każdego wielkiego pisarza, który jej darowywał wszystkie swoje rękopisy, pisał książki dla niej, przypadkowo weszła w faubourg Saint-Germain, gdzie jej te awantaże literackie stworzyły pewną pozycję. Miała obecnie „sytuację”, nie potrzebując rozdawać innych łask, prócz tych które rozlewała jej obecność. Ale przyzwyczajona niegdyś do lawirowania, do polityki salonowej, do świadczenia usług, zachowała ten nawyk, mimo że już jej to nie było potrzebne. Miała zawsze jakiś ważny sekret do zwierzenia, jakiegoś potentata do przedstawienia, akwarelę mistrza do ofiarowania. Było zapewne we wszystkich tych zbytecznych urokach nieco kłamstwa, ale czyniły one z jej życia błyskotliwie skomplikowaną komedię; faktem było, że ona mianowała prefektów i generałów.

Posuwając się obok mnie, księżna Oriana pozwalała lazurówemu światłu swoich oczu bujać przed sobą, ale w przestrzeni, aby uniknąć ludzi z którymi nie miała ochoty się zetknąć, a których groźną rafę odgadywała niekiedy zdala. Posuwaliśmy się między podwójnym rzędem gości, którzy wiedząc że nigdy nie poznają „Oriany”, chcieli bodaj — jako osobliwość — pokazać ją żonie: „Urszulo, prędko, prędko, chodź zobaczyć panią de Guermantes, rozmawia z tym młodym człowiekiem”. I czuło się, że nie wiele potrzeba, a weszliby na krzesła aby lepiej widzieć, jak na rewji 14 lipca lub na *Grand Prix*.

To nie znaczy, aby salon księżnej Oriany bardziej był arystokratyczny niż salon jej kuzynki. U Oriany bywali ludzie, których księżna Marja nigdy nie zgodziłaby się zaprosić, głównie z powodu męża. Nigdy nie przyjęłaby pani Alfonsowej de Rothschild, która, będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de la Trémouille i księżnej de Sagan — jak i sama Oriana — bywała u Oriany. Toż samo z baronem Hirsch, którego książe Walji przyprowadził do Oriany, ale nie do księżnej Marji, której ów baron nie przypadłby do smaku. Podobnie było z paroma znakomitościami świata bonapartystycznego a nawet republikańskiego, które zainteresowały Oriane, ale których książe Gilbert, zażarty rojalista, nie zechciałby przyjąć. Jego antysemityzm, równie zasadniczy, nie ugiął się przed żadną elegancją, choćby najbardziej uznaną w wielkim świecie, a jeżeli książe przyjmował Swanna, z którym był od niepamiętnych czasów w przyjaźni — będąc zresztą jedynym z Guermantów, który go tytułował Swannem a nie Karolem — to dla tego, że wiedząc iż babka Swanna, protestantka wydana za Żyda, była kochanką księcia de Berri, próbował od czasu do czasu wierzyć w legendę, która czyniła ojca Swanna naturalnym synem księcia krwi. W duchu tej hipotezy (zresztą fałszywej), Swann, syn katolika — będącego synem Burbona — i katoliczki, stawał się czystej krwi chrześcijaninem.

— Jakto, pan nie zna tych wspaniałości! — rzekła do mnie księżna Oriana, mówiąc o pałacu gdzieś się znajdowali. Ale, uczciwszy pałac kuzynki, skwapliwie dodała, że woli tysiąc razy swój „kącik”. — Tutaj to jest cudowne do *zwiedzania*. Ale umarłabym z melancholji, gdyby mi trzeba było spać w pokojach, gdzie się działo tyle wypadków historycznych. Miałabym wrażenie, że zostałam po zamknięciu lokalu, zapomniana, w zamku Blois, w Fontainebleau, nawet w Luwrze, i że jako jedyną ucieczkę od melancholji mogę sobie uprzytomnić, że znajduję się w pokoju, gdzie zamordowano Monaldeschiego. Jako rumianek do poduszki, to nie jest wystarczające. O, jest pani de Saint-Euverte. Byliśmy właśnie u niej na obiedzie. Ponieważ jutro urządza swoją doroczną awanturę, myślałam, że poszła spać. Ale ona nie może przepuścić najmniejszej zabawy. Gdyby ten raut był na wsi, raczej wdrapałaby się na omnibus, niżby się miała nie zjawić.

W istocie, pani de Saint-Euverte przyszła tego wieczora nietyle dla przyjemności nieominięcia cudzej fety, ile aby zabezpieczyć sukces własnej, zwerbować ostatnich gości, i poniekąd odbyć *in extremis* przegląd wojsk, mających nazajutrz paradować na jej *garden party*. Bo od wielu lat goście pani de Saint-Euverte nie byli już zgoła ci sami co dawniej. Niewieście gwiazdy świata Guermantów, wówczas tak nieliczne — obsypywane uprzejmościami pani domu — ściągnęły tam pomału swoje przyjaciółki. Równocześnie, siłą akcji posuwającej się równoległe ale w przeciwnym kierunku, z roku na rok pani de Saint-Euverte redukowałą liczbę osób nieznanymi eleganckiemu światu. Przestała odwiedzać jedną, potem drugą ze znajomych. Przez jakiś czas funkcjonował system „klas”, pozwalający, dzięki wieczorom pokrywanych milczeniem, zaprosić wyeliminowanych, aby się pobawili między sobą, co uwalniało gospodynię od zapraszania ich z godniejszymi osobami. Na co się mogli skarżyć? Czy nie mieli (*panem et circenses*) ptifurów i pięknej muzyki? Toteż, w symetrii poniekąd do dwóch księżnych na wygnaniu, które niegdyś — w początkach *salonu Saint-Euverte* — podpierały, niby dwie karjatydy, jego chwiejący się strop, widziało się w ostatnich latach jedynie dwie osoby z innej klasy zamieszane w ten wielki świat: starą panią de Cambremer, oraz żonę pewnego architekta, kobietę z pięknym głosem, do której talentu często trzeba się było uciekać. Ale nie znając już nikogo u pani de Saint-Euverte, oplakując stracone towarzyski, czując że wszystkich tam rażą, panie te robiły wrażenie istot mrących z zimna, niby dwie jaskółki, które nie odleciały na czas. Toteż następnego roku już ich nie zaproszono; pani de Franquetot próbowała podjąć kroki na rzecz kuzynki, która tak kochała muzykę! Ale ponieważ nie zdołała uzyskać odpowiedzi wyraźniejszej niż te słowa: „Ależ zawsze można wejść posłuchać muzyki, jeżeli

to ją bawi; niema w tem żadnej zbrodni!” pani de Cambremer uznała, że zaproszenie nie jest dość usilne i została w domu.

Wobec takiego przeobrażenia salonu trędowatych w salon wielkich dam (ostatnia forma, na pozór arcyelegancka, jaką ów salon przybrał), można się było zdziwić, iż osoba dająca nazajutrz najświetniejsze przyjęcie sezonu, musi się w przeddzień zwracać z ostatnim apelem do swojej armji. Ale bo też blaski salonu Saint-Euverte istniały jedynie dla tych, których światowość polega wyłącznie na czytaniu sprawozdań z „poranków” i wieczorów w „*Gaulois*” lub w „*Figarze*”, bez osobistych doświadczeń w tej mierze. Dla tych światowców, widzących świat jedynie poprzez gazetę, wyliczenie ambasadorowych angielskiej, austriackiej, etc., księżnych d’Uzès, de la Trémoille, etc., etc., wystarczało aby sobie wyobrażali salon Saint-Euverte jako pierwszy w Paryżu, wówczas gdy był jednym z ostatnich. Nie aby „wzmianki” kłamały. Większość cytowanych osób była tam w istocie. Ale każda z nich przysłała naskutek błagań, grzeczności, usług, z poczuciem że czyni pani de Saint-Euverte niezmierny zaszczyt. Takie salony, raczej unikane niż poszukiwane, dokąd się idzie niejako z bolesnego obowiązku, dają złudzenie jedynie czytelniczkom „kroniki światowej”. Przeoczą zebranie naprawdę eleganckie, gdzie pani domu mogła mieć wszystkie diuszessy płonące żądzą znalezienia się „wśród wybranych”, ale prosi z nich tylko dwie lub trzy i nie stara się o zamieszczenie nazwisk swoich gości w gazecie. To też te osoby, ignorujące lub lekceważące potęgę jaką stała się dziś „reklama”, są eleganckie dla królowej hiszpańskiej, ale nieznanne tłumowi, ponieważ królowa wie, kim one są, a tłum nie wie.

Pani de Saint-Euverte nie była z rzędu tych osób, toteż zabiegliwie przychodziła zgarnąć na jutro wszystkich zaproszonych. Pana de Charlus nie było wśród nich; za nic nie chciał bywać w tym domu. Ale on był źle z tyloma osobami, że pani de Saint-Euverte mogła to złożyć na karb charakteru barona.

Z pewnością, gdyby chodziło tylko o Oriane, pani de Saint-Euverte mogłaby się nie trudzić, skoro jej zaproszenie, dopełnione ustnie, księżna przyjęła z ową uroczą i zawodną uprzejmością, cechującą pewnych Akademików, od których kandydat wychodzi rozczulony, nie wątpiąc że może liczyć na ich głos. Ale była tam nietylko ona. Czy księżkę d’Agrigente przyjdzie? A pani de Durfort? Toteż, aby czuwać nad zbiorem, pani de Saint-Euverte uważała za praktyczniejsze przybyć sama; przymilna wobec jednych, władczą z drugimi, wszystkim pozwalała się domyślać niewiarygodnych uciech, jakich nie spotka się drugi raz, każdemu przyrzekła obecność osoby której widoku ów pragnął, lub osobistości którą właśnie potrzebował spotkać. I ta swojego rodzaju godność, w jaką pani de Saint-Euverte oblekała się jeden raz do roku — niby niektóre urzędy starożytnego świata — osoby wyprawiającej nazajutrz największe *garden party* sezonu, dawała jej chwilową ważność. Lista była ułożona i zamknięta, tak iż przebiegając zwolna salony księżnej Marji, aby szepnąć kolejno każdemu: „Nie zapomni pan (pani) jutro”, pani de Saint-Euverte kosztowała tej ulotnej chwały, że, nie przestając się uśmiechać, odwracała oczy kiedy spostrzegła jakiegoś niepożądanego kopciuszką, lub szlachciurę, wpuszczanego do „Gilberta” na zasadzie koleżeństwa ze szkolnej ławy, ale niezdolnego swoją obecnością w niczem usświetnić jej *garden party*. Wolała nie odzywać się do takiego, aby móc potem powiedzieć: „Zapraszałam ustnie i na nieszczęście nie spotkałam pana”. I tak ona, prosta Saint-Euverte, dokonywała własnymi oczami „przesiewania przez sito” gości księżnej Marji! I czyniąc to, czuła się sama prawdziwą księżną de Guermantes.

Trzeba powiedzieć, że i Oriana również nie miała w swoich ukłonach i uśmiechach tyle swobody ile możnaby przypuszczać. Po części, niewątpliwie, kiedy ich odmawiała, czyniła to dobrowolnie: „Ależ ona mnie nudzi — mówiła Oriana — czyż będę musiała mówić z nią o jej wieczorze przez godzinę?”

Przechodziła jakaś diuszessa, silna brunetka, którą brzydota jej, głupota oraz wybryki młodości wyгнаły nie z towarzystwa, ale z niektórych eleganckich kólek: „Au! — syknęła pani de Guermantes, z owem precyzyjnym i krytycznym spojrzeniem znawcy, kiedy mu ktoś pokaże fałszywy klejnot — przyjmują to tutaj!” Na sam widok osoby „z feletem”, której twarz w dodatku była usiana zbytnią ilością włochatych brodawek, pani de Guermantes stwierdzała niską jakość wieczoru. Chowała się z tą damą w dzieciństwie, ale zerwała z nią wszelkie stosunki; na jej ukłon odpowiedziała jedynie suchym sknieciem głowy. „Nie rozumiem — rzekła do mnie, jakby usprawiedliwiając się — że Marja zaprasza nas razem z temi szumowinami. Możliwe, że pozbierała gości ze wszyst-

kich parafji. U Melanji Pourtales było o wiele lepiej urządzone. Mogła sobie przyjmować święty Synod i Wielki Wschód, jeżeli miała ochotę, ale przynajmniej nie zapraszała nas w te dni”. Ale, w stosunku do wielu osób, Oriana postępowała tak przez nieśmiałość, przez obawę sceny od męża, nie lubiącego aby ona przyjmowała artystów etc. (księżna Marja protegowała ich chętnie: trzeba było uważać, aby nie wpaść u niej na jaką znakomitą śpiewaczką niemiecką), przez jakiś lęk wobec nacjonalizmu, którym, kultywując, jak p. de Charlus, „ducha Guermantów”, gardziła z punktu widzenia światowego (sądzano obecnie, dla uczczenia sztabu generalnego, pewnego generała plebejusza wyżej od niektórych diuków), któremu jednak — wiedząc że ona sama ma opinię „źle myślącej” — robiła szerokie ustępstwa, do tego stopnia, że bała się w tym antysemitycznym środowisku Swannowi podawać rękę. Co do tego punktu uspokoiła się szybko, dowiedziawszy się, że książę Gilbert nie dał Swannowi wejść i że miał z nim jakieś „wyjaśnienia”. Nie groziło jej, że będzie musiała na oczach publiczności rozmawiać z „biednym Lolem”, którego wołała lubić u siebie w domu.

— A to znowu co takiego? — wykrzyknęła księżna Oriana, widząc że jakaś nieduża osoba, wyglądająca dość szczególnie, w czarnej sukni tak skromnej że możnaby ją wziąć za nędzarkę, składa jej, wraz z mężem, głęboki ukłon. Nie poznała jej i dosyć skłonna do tego rodzaju impertynencji, wyprostowała się obrażona, spoglądając bez ukłonu z wyrazem zdumienia:

— Co to za figura, Błażeju? — spytała ze zdziwieniem, gdy p. de Guermantes, chcąc naprawić niegrzeczność żony, kłaniał się damie i ścisnął dłoń jej męża.

— Ależ to pani de Chaussepierre, byłeś bardzo niegrzeczna.

— Ja nie wiem, co to jest Chaussepierre.

— Siostrzeniec starej Chanlivault.

— Nie znam nic podobnego. Kto to jest ta kobieta, czemu ona mi się kłania?

— Ależ znasz ją doskonale, to córka pani de Charleval, Henrjety Montmorency.

— A! znałam bardzo dobrze jej matkę, była urocza, bardzo inteligentna. Poczóż ona wyszła za wszystkich tych ludzi, których ja nie znam? Powiadasz, że się nazywa Chaussepierre? — rzekła sylabizując to słowo z pytającą miną, jakby się bała omylić.

Książę objął ją surowym spojrzeniem:

— Nazywać się Chaussepierre wcale nie jest tak śmieszne jak ci się wydaje. Stary Chaussepierre był bratem owej Charleval, pani de Sennecour oraz wicehrabiny du Merlerault. To ludzie bardzo *dobrze*.

— Och, dosyć! — wykrzyknęła księżna, która jak pogromczyni nie dopuszczała nigdy wrażenia że się dała zastraszyć krwiożerczym spojrzeniom drapieźnika. — Błażeju, bajeczny jesteś. Ja nie wiem, gdzie ty wyszukujesz wszystkie te nazwiska, ale szczerze ci ich wieszczę. Jeżeli nie znałam „Chaussepierre”, w zamian czytałam Balzaka — nie ty jeden go czytałeś — a nawet czytałam Labiche’a. Wysoko cenię *Chanlivault*, dosyć jest w moim guście *Charleval*, ale wyznaję że *du Merlerault* jest arcydziełem! Zresztą, zgódźmy się, że *Chaussepierre* jest też nienajgorsze. Ty skądś pozbierałeś to wszystko, to niepodobieństwo! Pan, który chce pisać książkę, rzekła do mnie, powinien pan zapamiętać *Charleval* i *Merlerault*. Nie znajdzie pan nic lepszego.

— Narazi się poprostu na proces i pójdzie do więzienia; dajesz mu bardzo złe rady, Oriano.

— Mam dla niego nadzieję, że znajdzie łatwo młodsze osoby, kiedy ma ochotę prosić o złe rady, a zwłaszcza wprowadzić je w czyn. Ale jeżeli nie zamierza popełnić nic gorszego niż książkę!...

Dosyć daleko od nas, wspaniała i dumna młoda kobieta odcinała się harmonijnie w białej sukni, całej z diamentów i z tiulu. Pani de Guermantes spojrzała na nią w chwili gdy młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem<sup>1</sup>.

— Pańska siostra jest wszędzie najpiękniejsza; urocza jest dziś wieczór — rzekła, biorąc krzesło — do księcia de Chimay, który przechodził.

Pułkownik de Froberville (miał wuja generała tego samego nazwiska) usiadł koło nas, zarówno jak p. de Bréauté, podczas gdy p. de Vaugoubert, kołysząc się (przez nadmiar

<sup>1</sup>młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem — Proust wprowadza tu przelotnie, robiąc jej komplement, autentyczną hrabinę de Noailles, poetkę, siostrę księżnej de Chimay. [przypis redakcyjny]

grzeczności, który zachował nawet kiedy grał w tenisa, przyczem, przez to że przeproszał wysoko postawione osoby zanim odbił piłkę, nieuchronnie skazywał partję na przegranie), wracał do pana de Charlus (dotąd niemal zawiniętego w olbrzymią spódnicę hrabiny Molé, którą oficjalnie wielbił ponad wszystkie inne kobiety) i to przypadkowo w chwili, gdy grupa członków nowego ciała dyplomatycznego kłaniała się baronowi. Na widok młodego sekretarza o wyrazie szczególnie inteligentnym, p. de Vaugoubert wpił w pana de Charlus uśmiech, w którym widocznie wykwiłało jedno pytanie. P. de Charlus byłby może chętnie skompromitował kogoś, ale czując się samemu skompromitowanym przez ten uśmiech, mogący mieć tylko jedno znaczenie, wściekł się:

— Absolutnie nie wiem nic, proszę pana, zachowaj pan swoje ciekawości dla siebie. Mnie one zostawiają zupełnie obojętnym. Zresztą, w danym wypadku, trafia pan jak kulą w płot. Sądzę, że ten młody człowiek jest wręcz przeciwnie.

Tu p. de Charlus, wściekły że został wystawiony na sztych przez głupca, nie mówił prawdy. Sekretarz — w razie gdyby baron miał słusność — stanowiłby wyjątek w tej ambasadzie. Była ona w istocie złożona z figur nader różnych, po części bardzo miernych, tak że, jeżeli się szukało pobudki ich doboru, można ją było odkryć jedynie w inwersji. Stawiając na czele tej małej Sodomy dyplomatycznej ambasadora lubiącego — wręcz przeciwnie — kobiety z komiczną przesadą kobieciarza z wodwilu, który dowodził prawidłowo swoim bataljonem zbrojeńców, powodowano się jakgdyby prawem kontrastu. Mimo tego co miał przed oczami, ambasador ów nie wierzył w inwersję. Dał tego niebawem dowód, wydając swoją siostrę za *chargé d'affaires*, którego uważał bardzo fałszywie za dziwkarsza. Z tą chwilą stał się trochę krępujący i niebawem zastąpiono go nową Ekscelencją, która zapewniła jednolitość zespołu. Inne ambasady starały się rywalizować z tą, ale nie zdołały jej odebrać pierwszeństwa (jak na „konkursie generalnym”, gdzie jedno liceum zdobywa je zawsze), i trzeba było dziesięciu lat czasu, aby — gdy młodzi *attachés* innego pokroju wdarli się w tę tak zgraną całość — inna ambasada zdołała wreszcie wydrzeć żalostną palmę i kroczyć na czele.

Uspokojona co do obawy, że będzie musiała rozmawiać ze Swannem, pani de Guermantes była jedynie ciekawa rozmowy, jaką ów miał z panem domu.

— Czy pan wie, o czym mówili? — spytał książę Błazej pana de Bréauté.

— Słyszałem — odparł — że o jednoaktówce, którą pisarz Bergotte wystawił u Swannów. To było zresztą czarujące. Ale zdaje się, że aktor ucharakteryzował się na Gilberta, którego zresztą imię Bergotte w istocie chciał odmalować.

— O, toby mnie bawiło zobaczyć jak ktoś robi Gilberta — rzekła księżna uśmiechając się w zamyśleniu.

— Z powodu tej komedyjki — odparł pan de Bréauté wysuwając szczękę gryzonia — Gilbert poprosił o wyjaśnienie Swanna, który ograniczył się do odpowiedzi, uznanej zresztą powszechnie za bardzo dowcipną: „Ależ wcale nie, to nic a nic do ciebie niepodobne, ty jesteś o wiele śmieszniejszy!” — Zdaje się zresztą (dodał pan de Bréauté), że komedyjka jest urocza. Pani Molé była na tem i szalenie się bawiła.

— Jakto, pani Molé bywa tam? — rzekła księżna zdziwiona. — A, to robota Mémé! Zawsze się tak kończy z temi domami. Pewnego dnia wszyscy zaczynają tam chodzić, i ja, która dla zasady uprawiałam dobrowolną abstynencję, nudzę się wreszcie sama w swoim kącie.

Już, od tej relacji pana de Bréauté, księżna Oriana przyjęła, jak widzieliśmy, nowy punkt widzenia, jeżeli nie co do salonu Swannów, to przynajmniej co do hipotezy spotkania Swanna za chwilę. — Wyjaśnienie, jakie pan nam daje, rzekł do pana de Bréauté pułkownik de Froberville, jest najzupełniej opaczne. Mam swoje przyczyny aby wiedzieć o tem. Książę Gilbert poprostu zmył głowę Swannowi, jak mówili nasi ojcowie, i dał mu do zrozumienia, że nie ma się co pokazywać u niego, zważywszy poglądy z jakimi się afiszuje. I wedle mnie, wuj Gilbert miał po tysiąc razy słusność, nietylko że mu zmył głowę, ale powinien był skończyć od pół roku z tym jawnym dreyfusistą.

Biedny Vaugoubert, stawszy się tym razem sam z nazbyt marudnego tenisisty bezwładną piłką tenisową odbijaną bez ceremonji, znalazł się tuż koło księżnej Oriany, której przedłożył swoje atencje. Spotkał się z nieszczerólnem przyjęciem, Oriana bowiem żywiła przeświadczenie, że wszyscy dyplomaci lub politycy z jej świata są durnie.

P. de Froberville siłą rzeczy skorzystał z uprzywilejowanej sytuacji, jaką od niedawna zyskali wojskowi w towarzystwie. Na nieszczęście, o ile żona którą pojął, była bardzo autentyczną krewną Guermantów, była zarazem bardzo ubogą krewną, że zaś sam pułkownik stracił majątek, nie mieli dużo stosunków. Byli to typowi ludzie, których się pomija, poza uroczystymi okazjami, kiedy mieli szczęście stracić krewnego lub asystować jego zaślubinom. Wówczas tworzyli istotnie część wspólnoty wielkiego świata, jak owi nominalni katolicy, którzy zbliżają się do stołu pańskiego jedynie raz do roku. Materialne ich położenie byłoby nawet oplakane, gdyby pani de Saint-Euverte, wierna dawnemu przywiązaniu do nieboszczyka generała de Froberville, nie wspomagała na wszystkie sposoby tego stadła, dostarczając sukien i rozrywek dwom córeczkom. Ale pułkownik, który uchodził za „dobrego chłopca”, nie miał duszy wdzięcznej. Zawistny był o splendory swej dobrodziejki, która sławiła je sama bez wytchnienia i miary. Doroczne *garden party* było dla niego, dla jego żony i dzieci cudowną przyjemnością, której nie wyrzekliby się za skarby świata, ale przyjemnością zatrutą myślą o satysfakcjach, jakie z tej fety czerpała pani de Saint-Euverte. Obwieszczenie *garden-party* w dziennikach, które następnie, po szczegółowym sprawozdaniu, dodawały machiawelicznie: „Powrócimy do tej pięknej zabawy”, dodatkowe szczegóły dotyczące toalet, podawane przez kilka dni z rzędu, wszystko to sprawiało państwu de Froberville takie cierpienie, że, mimo iż dość pozbawieni rozrywek i wiedząc iż mogą liczyć na to popołudnie, dochodzili co roku do pragnienia aby niepogoda udaremniła zabawę, spoglądali na barometr i witali z rozkoszą zapowiedź burzy grożącej popsuciem festynu.

— Nie będę z tobą dyskutował o polityce, Froberville — rzekł pan de Guermantes — ale co się tyczy Swanna, szczerze mogę powiedzieć, że jego postępowanie wobec nas było czemś bez przykładu. On, wprowadzony niegdyś w towarzystwo przez nas, przez księcia de Chartres, dziś, powiadają, jest otwarciem dreyfusistą! Nigdy nie byłbym się tego po nim spodziewał; on, taki smakosz, umysł pozytywny, kolekcjoner, amator starych książek, członek Jockey-clubu, człowiek otoczony powszechnym szacunkiem, znawca dobrych firm (przysyłał nam najlepsze porto jakie istnieje), miłośnik sztuki, ojciec rodziny... Ha, bardzo się zawiodłem! Nie mówię o sobie, wiadomo że ja jestem stary cymbał, którego zdanie się nie liczy, ot sobie popychadło; ale choćby dla samej Oriany, nie powinien był tego robić, powinien się być otwarcie wyprzeć Żydów i popleczników skazanego. — Tak, po przyjaźni, jaką mu zawsze okazywała żona — podjął książkę, który widocznie uważał, że potępić Dreyfusa jako zdrajcę stanu, jakiegobądź by się miało przekonanie o jego winie, było rodzajem podziękowania za przyjęcie doznane w faubourg Saint-Germain — powinien się być zrzucić z tej solidarności. Bo spytaj się Oriany, ona zawsze miała słabość do niego.

Księżna, sądząc że naiwny i spokojny ton przyda dramatycznej szczeroci jej słowom, rzekła głosem uczenicy, jakgdyby pozwalając poprostu prawdzie wyjść ze swoich ust i barwiąc jedynie oczy odcieniem melancholji:

— Ależ tak, w istocie, nie mam żadnego powodu ukrywać, że byłam szczerze przywiązana do Lola.

— O widzisz, ja jej tego nie sufluję. I po tem wszystkim, on posuwa niewdzięczność do tego aby być dreyfusistą!

— A propos dreyfusistów — rzekłem — zdaje się, że prinż Von należy do nich.

— A, dobrze pan robi, że mi pan mówi o nim — wykrzyknął p. de Guermantes; byłbym zapomniał, że mnie zaprosił na poniedziałek na obiad. Czy on jest dreyfusistą czy nie, jest mi całkowicie obojętne; to jest cudzoziemiec. O to się tyle troszczę, co o króla murzyńskiego. Z Francuzem, to inna rzecz. Prawda, że Swann jest żyd. Ale do dzisiejszego dnia — wybac mi Froberville — miałem tę słabość, aby myśleć, że żyd może być Francuzem, rozumiem żyd przyzwoity, człowiek z towarzystwa. Otóż Swann był tem wszystkim w całym znaczeniu słowa. I cóż, zmusza mnie do uznania że się omylił, skoro bierze stronę tego Dreyfusa (który, winny czy nie winny, nie należy wcale do jego sfery, którego nie byłby nigdy spotkał), przeciw towarzystwu które go traktowało jak jednego ze swoich. Niema co mówić, myśmy wszyscy ręczyli za Swanna, byłbym odpowiadał za jego patriotyzm jak za własny. A, źle się nam odwdzięczył! Przyznaję, że z jego strony nigdybym się tego nie spodziewał. Lepiej go sądziłem. Był inteligentny (w swoim rodzaju oczywiście). Zapewne, wiem, że zrobił już jedno paskustwo, to swoje hanieb-

ne małżeństwo. Czy wiesz, komu małżeństwo Swanna sprawiło wielką przykrość? Mojej żonie. Oriana ma często to, co bym nazwał afektacją chłodu. Ale w gruncie ona czuje niesłychanie silnie.

Pani de Guermantes, zachwycona tą analizą swego charakteru, słuchała ze skromną miną, ale nie mówiła ani słowa, nie chcąc wprost potwierdzać pochwały, a zwłaszcza bojąc się ją przerwać. P. de Guermantes mógłby mówić godzinę na ten temat, Oriana nie ruszyłaby się z miejsca, jak podczas muzyki.

— Otóż — ciągnął książę — przypominam sobie, że kiedy się dowiedziała o małżeństwie Swanna, uczuła się jakby dotknięta; uważała, że to nieładnie ze strony człowieka, któremu okazywaliśmy tyle przyjaźni. Bardzo lubiła Swanna, strasznie ją to zmartwiło. Prawda, Oriano?

Pani de Guermantes sądziła, iż powinna odpowiedzieć na wezwanie tak bezpośrednie, co do faktycznego punktu, pozwalającego jej dyskretnie potwierdzić pochwały, które — czuła to — już się skończyły. Nieśmiałym i prostym tonem, z miną tembardziej sztuczną że chciała aby wyrażała „czucie”, rzekła z pełną umiaru słodyczą:

— To prawda, Błżej się nie myli.

— A przecież to jeszcze nie było to samo! Cóż chcecie, miłość to miłość, mimo że, mojem zdaniem, powinna zachować pewne granice. Usprawiedliwiłbym jeszcze młodego człowieka, smarkacza któryby się dał porwać utopiom. Ale Swann, człowiek inteligentny, człowiek wypróbowanej delikatności, znawca obrazów, sztuki, zaufany księcia de Chartres, samego Gilberta!

Ton, jakim mówił to pan de Guermantes, był zresztą całkiem sympatyczny, bez cienia owej pospolitości, jaką książę zdradzał zbyt często. Mówił smutno, z lekkim oburzeniem, ale wszystko oddychało w nim ową łagodną powagą, stanowiącą soczysty i szeroki wdzięk pewnych figur Rembrandta, burmestra Six na przykład. Czuło się, że niemoralność postępku Swanna w sprawie Dreyfusa nie nastęcza się nawet księciu jako problemat, tak dalece nie miał wątpliwości w tej mierze; był niby stroskany ojciec widzący jak jeden z synów, dla którego wychowania poniósł wielkie ofiary, dobrowolnie rujnuje wspaniałą sytuację jaką mu ojciec stworzył i hańbi uczciwe nazwisko wybrykami niedopuszczalnymi wedle zasad lub przesądów rodziny. Prawda, że p. de Guermantes nie okazał niegdyś równie głębokiego i bolesnego zdumienia, kiedy się dowiedział, że Saint-Loup jest dreyfusistą. Ale, po pierwsze, uważał swego siostrzeńca za zbłąkanego młodego chłopca, z którego strony — dopóki się nie poprawi — nic nie może dziwić; podczas gdy Swann był tem, co pan de Guermantes nazywał „człowiekiem zrównoważonym, człowiekiem mającym pierwszorzędną pozycję”. Powtóre, co najważniejsze, od owej epoki upłynęło sporo czasu, w ciągu którego, o ile, z historycznego punktu widzenia, wypadki mogły poczęści usprawiedliwiać tezę dreyfusistowską, opozycja antydreyfusowska zdwoiła gwałtowność i z czysto politycznej zrazu stała się obecnie socjalną. Była to teraz kwestja militarysty, patriotyzmu; fale gniewu wzniecone w społeczeństwie miały czas nabrać siły, jakiej nigdy nie mają w początkach burzy.

— Widzicie — podjął p. de Guermantes — nawet z punktu widzenia swoich drogich żydów, skoro chce ich koniecznie wspierać, Swann palnął głupstwo o nieobliczalnej doniosłości. Dowiódł, że oni są poniekąd zmuszeni używać pomocy komukolwiek ze swojej rasy, nawet jeżeli go nie znają. To niebezpieczeństwo publiczne! Byliśmy niewątpliwie zanadto łatwi, a gaffa, jaką popełnia Swann, będzie miała tem większy resonans, że on był szanowany, nawet przyjmowany, i że był niemal jedynym żydem którego się znało. Świat powie sobie: *Ab uno disce omnes*. (Satysfakcja, że znalazł tak z punktu w pamięci odpowiedni cytat, rozjaśniła dumnym uśmiechem melancholję zdradzonego magnata).

Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co naprawdę zaszło między księciem Gilbertem a Swannem i zobaczyć Swanna, o ile nie opuścił jeszcze zabawy.

— Powiem panu — rzekła księżna, której zwierzyłem swoje pragnienie — że mnie nie zależy specjalnie na tem aby widzieć Swanna, bo zdaje się, wedle tego co mówiono przed chwilą u pani de Saint-Euverte, on chciałby przed śmiercią, żebym się zapoznała z jego żoną i córką. Mój Boże, boleję niezmiernie nad tem że on jest chory, ale przecież mam nadzieję że to nie takie poważne. A przytem, ostatecznie, to nie jest powód; to byłoby doprawdy za łatwe! Pisarzowi bez talentu wystarczyłoby tylko powiedzieć: „Gło-



sujcie za mną do Akademji, bo moja żona ma umrzeć i chcę jej dać tę ostatnią radość”. Nie byłoby salonów, gdyby się trzeba było poznawać ze wszystkimi umierającymi. Mój stangret mógłby mi powiedzieć: „Moja córka jest bardzo chora, niech mnie pani wprowadzi do księżnej Parmy”. Uwielbiam Lola i sprawiłoby mi wielką przykrość odmówić mu czegoś, toteż wolę raczej nie dać mu sposobności proszenia mnie o to. Spodziewam się z całego serca, że nie jest umierający jak powiada, ale doprawdy, gdyby się coś podobnego miało zdarzyć, to nie byłby dla mnie moment zawierania znajomości z dwiema kreaturami, które mnie pozbawiły na piętnaście lat najmilszego z przyjaciół. I zostawiłby mi je na karku wówczas, gdy ta znajomość nie ułatwiłaby mi nawet widywania jego samego, skoro by już nie żył!

Tymczasem p. de Bréauté wciąż przeżuwał kłam, jaki mu zadał pułkownik de Froberville.

— Nie wątpię o ścisłości pańskich informacji, drogi pułkowniku — rzekł — ale ja mam znów swoje, z dobrego źródła. Książę de la Tour d’Auvergne powtórzył mi wszystko.

— Dziwię się, że człowiek tak świątły jak ty może jeszcze mówić „książę de la Tour d’Auvergne”, przerwał p. de Guermantes; wiesz przecie, że nie jest nim ani trochę. Istnieje już tylko jeden członek tej rodziny. To wuj Oriany, książę de Bouillon.

— Brat pani de Villeparisis? — spytałem, przypominając sobie, że ona jest z domu de Bouillon.

— Właśnie. Oriano, kłania ci się pani de Lambresac.

W istocie, widziało się chwilami rodzący się i biegnący niby spadająca gwiazda słaby uśmiech, przeznaczony przez księżnę de Lambresac dla jakiejś osoby, którą poznała. Ale ten uśmiech, zamiast się precyzować w czynnym twierdzeniu, w mowie niemej lecz jasnej, roztopiał się prawie natychmiast w jakiejś idealnej ekstazie, która nie rozróżniała nic, podczas gdy głowa pochylała się gestem namaszczonego błogosławieństwa, przypominającym ruch, jakim pochyla się ku ciżbie komuniątek zramolizowany nieco prałat. Pani de Lambresac nie była zramolizowana ani trochę. Ale znałem już ten swoisty gest staroświeckiej dystynkcji. W Combray i w Paryżu, wszystkie przyjaciółki babki miały zwyczaj się witać w towarzystwie z miną równie seraficzną co gdyby spostrzegły kogoś znajomego w kościele w chwili Podniesienia lub na pogrzebie i przesyłały mu lekkie dzieńdobry, kończące się modlitwą. Otóż, słowa pana de Guermantes miały dopełnić tego zestawienia.

— Ależ pan widział księcia de Bouillon — rzekł. — Wychodził właśnie z mojej biblioteki w chwili gdy pan wchodził: ten jegomość trochę przysadkowaty i całkiem siwy.

Był to ten, którego ja wziąłem za łyka z Combray, a w którym teraz odnajdywałem w pamięci podobieństwo z panią de Villeparisis. Podobieństwo zamierających ukłonów księżnej de Lambresac z ukłonami przyjaciółek babki zaczynało mnie interesować, dowodząc, że w zamkniętych i ciasnych środowiskach, bądź drobnego mieszczaństwa bądź arystokracji, dawne maniery przechowują się, pozwalając nam, niby archeologowi, odnaleźć, czem mogło być wychowanie, oraz cząstka duszy jaką ono odbija, w czasach wicehrabiego d’Arlincourt i Loizy Puget. Doskonała zgodność wyglądu księcia de Bouillon z rówieśnym mu małomieszczaninem z Combray lepiej mi teraz przypomniła (co mnie już tak uderzyło, kiedy widział dziadka Roberta de Saint-Loup, księcia de la Rochefoucauld, na dagerotypie, gdzie, jako strój, mina i wzięcie, zupełnie był podobny do mego wujecznego dziadka), że różnice społeczne, a także indywidualne, stapiają się na odległość we wspólnym kolorycie epoki. Faktem jest, że podobieństwo stroju, a także odbijający się w twarzy odbłask ducha epoki, zajmują w danej osobie miejsce znacznie ważniejsze niż kasta tej osoby, wypełniająca je jedynie w miłości własnej zainteresowanego i w wyobraźni drugich. Aby sobie zdać sprawę, że wielki pan z czasu Ludwika Filipa mniej różni się od mieszczańca z czasu Ludwika Filipa niż od wielkiego pana z czasu Ludwika XV, na to nie potrzeba zachodzić do galerji w Luwrze.

W tej chwili, muzyk bawarski z długimi włosami, protegowany księżnej Marji, skłonił się Orianie. Odpowiedziała skinieniem głowy, ale książę, wściekły że żona wita się z kimś kogo on nie zna, z kimś wyglądającym do tego dość osobliwie i wedle wiedzy pana de Guermantes mającym bardzo złą reputację, zwrócił się do żony z pytającą i groźną miną, jakgdyby mówił: „Co to za figura?” Położenie biednej pani de Guermantes było już dość skomplikowane i gdyby muzyk miał trochę litości nad tą małżonką-męczennicą, byłby się oddalił co żywo. Ale czy to buntując się przeciw upokorzeniu, jakie mu zadano

publicznie wobec najstarszych przyjaciół klubowych księcia Błażeja (których obecność spowodowała może potrosze jego milczący ukłon), aby okazać że z pełnym prawem, nie zaś przez uzurpację ukłonił się pani de Guermantes, czy to idąc za tajemnym i nieodpartem natchnieniem gaffy, która go popchnęła — w chwili gdy powinien był zawierzyć raczej intuicji — do zastosowania ścisłej litery form towarzyskich, muzyk podszedł jeszcze bliżej i rzekł: „Księżno, ośmielam się prosić o zaszczyt przedstawienia mnie księciu”. Pani de Guermantes była bardzo nieszczęśliwa. Ale ostatecznie, mimo iż zdradzana jako żona, była jednak księżną de Guermantes i nie mogła się uznać za wyzutą z prawa przedstawienia mężowi osób, które znała.

— Błażeju — rzekła — pozwól sobie przedstawić pana d’Herweck.

— Nie pytam się, czy pani będzie jutro u pani de Saint-Euverte — rzekł pułkownik de Froberville do pani de Guermantes, aby rozprószyć przykre wrażenie, spowodowane niewczesną pretensją pana d’Herweck. — Cały Paryż tam będzie.

Równocześnie, obracając się jednym ruchem i całym ciałem ku niedyskretnemu muzykowi, książę de Guermantes, monumentalny, niemy, rozgniewany, podobny do grzmiącego Jowisza, stał tak nieruchomo kilka sekund, z oczami płonącymi gniewem i zdumieniem, z kędzierzawymi włosami, robiącymi wrażenie że wytrysły z krateru. Następnie, jakby pod działaniem impulsu, który wyłącznie pozwalał mu dopełnić żądanej grzeczności, wyzywając postawą biorąc niejako obecnych na świadków że nie zna bawarskiego muzyka, krzyżując za plecami ręce w białych rękawiczkach, pochylił się i wymierzył muzykowi ukłon tak głęboki, nacechowany takim zdumieniem i wściekłością, tak gwałtowny i nagły, że drżący artysta cofnął się pochylając się równocześnie, aby nie otrzymać strasznego ciosu głową w brzuch.

— Ale... bo właśnie ja nie będę w Paryżu — odpowiedziała księżna panu de Froberville. — Powiem panu (do czego nie powinnam się przyznać), że doszłam swoich lat, nie znając witrażów w Montfort l’Amaury. To wstyd, ale tak już jest. Zatem, aby naprawić tę występłą ignorancję, postanowiłam wybrać się jutro obejrzeć te witraże.

Pan de Bréauté uśmiechnął się dyskretnie. Zrozumiał w istocie, że jeżeli księżna mogła wytrwać „do swoich lat”, nie znając witrażów w Montfort l’Amaury, ta artystyczna wyprawa nie nabrała nagle charakteru niecierpiącego zwłoki i mogła bez niebezpieczeństwa, skoro się ją odwlekało przez więcej niż dwadzieścia pięć lat, zaczekać jeszcze dwadzieścia cztery godzin. Nagły projekt księżnej był poprostu dekretem, w stylu Guermantów, stwierdzającym że salon Saint-Euverte stanowczo nie jest domem naprawdę *dobrze*, ale domem gdzie zaprasza się kogoś poto aby się nim pochwalić w kronice „Gaulois”; domem dającym piętno prawdziwej elegancji tym, lub w każdym razie tej (jeżeli ona będzie tą jedyną), której się tam nie zobaczy. Delikatna uciecha pana de Bréauté, zdwojona tą poetycką przyjemnością, jakiej kosztowali ludzie światowi, widząc panią de Guermantes robiącą rzeczy, których własna ich skromniejsza sytuacja nie pozwalała im naśladować, ale których sama wizja wywoływała u nich uśmiech chłopka przywiązanego do gleby, gdy widzi ludzi swobodniejszych i szczęśliwszych, przechodzących ponad nim, ta subtelna przyjemność nie miała żadnego podobieństwa z utajonym lecz bezgranicznym uczuciem szczęścia, jakiego doznał równocześnie p. de Froberville.

Wysiłki, jakie czynił p. de Froberville aby ściszyć śmiech, sprawiły, że poczerwieniał jak kogut; mimo to, przerywając słowa czkawką radości, wykrzyknął miłosiernie: — Och! biedna ciocia Saint-Euverte, ona to odchoruje! Nie! nieszczęśliwa kobieta nie będzie miała swojej księżnej, co za cios, ależ ona może kipnąć od tego! — dodał skręcając się od śmiechu. I w upojeniu nie mógł się wstrzymać od przebierania nogami i zacierania rąk. Uśmiechając się jednym okiem i kątem ust do pana de Froberville, oceniając jego uprzejmą intencję, ale zarazem śmiertelną nudę jaką wydzielał, pani de Guermantes zdecydowała się wreszcie opuścić pułkownika.

— Proszę pana, *zmuszona* już jestem pożegnać się z panem — rzekła wstając z wrazem melancholijnej rezygnacji i tak jakby to było nieszczęście dla niej. Pod czarem jej modrych oczu, głos jej, słodki i melodyjny, przywodził na myśl poetyczną skargę wróżki. — Błażej chce, żebyśmy podeszła trochę do Marji.

W rzeczywistości miała dość Froberville’a, który bez przerwy zazdrościł jej, że jedzie do Montfort l’Amaury, podczas gdy księżna była pewna, że on słyszy o tych witrażach

pierwszy raz i że, z drugiej strony, za nic nie opuściłby podwieczorku u pani de Saint-Euverte.

— Do widzenia, zaledwie z panem mówiłam, tak już jest w świecie, ludzie się nie widują, nie mówią sobie tego coby chcieli powiedzieć, zresztą wszędzie w życiu to samo! Miejmy nadzieję, że choć po śmierci świat będzie lepiej urządzony. Przynajmniej nie będzie się potrzeba wciąż dekoltować. A i to jeszcze kto wie. Będzie się może wystawiało swoje kości i swoje robaki na wielkie święta. Czemu nie? Ot, niech pan patrzy na starą Rampillon, czy pan znajdzie wielką różnicę między tem a szkieletem w wyciętej sukni. Prawda że ma potemu prawa, bo ma conajmniej sto lat. Była już jednym z owych świętych monstrów, przed którymi nie chciałam bić czołem, kiedy wchodziłam w świat. Myślałam, że ona umarła od bardzo dawna, co byłoby zresztą jedynym wytłumaczeniem widowiska jakie nam daje. To wstrząsające i liturgiczne. Istne *Campo Santo*!

Księżna opuściła pułkownika, on zbliżył się jeszcze: „Chciałbym pani jeszcze coś powiedzieć”... Trochę podrażniona, odrzekła wyniośle: „O co chodzi?” A on, obawiając się, aby w ostatniej chwili nie zmieniła planów co do Montfort l’Amaury, dodał:

— Nie śmiałem tego mówić z powodu pani de Saint-Euverte, aby jej nie zrobić przykrości, ale skoro pani nie zamierza u niej być, mogę powiedzieć, że cieszę się z tego dla pani, bo tam jest odra.

— Och, Boże! — rzekła Oriana, która się bała chorób. — Ale to dla mnie nie ma znaczenia, przechodziłam już odrę. Nie można tego mieć dwa razy.

— To lekarze tak mówią; znam ludzi, którzy mieli odrę cztery razy. Słowem, ostrzegłem panią.

Co się tyczy samego pułkownika, musiałby chyba naprawdę mieć tę fikcyjną odrę i być przykuty do łóżka, aby się zdecydował opuścić ową *garden-party*, oczekiwane od tyłu miesiący. Czekala go tam przyjemność oglądania tyłu elegancji! i większa jeszcze przyjemność oglądania pewnych rzeczy chybionych, a zwłaszcza rozkosz chwalenia się długi czas elegancjami, a ubolewania nad tem co było chybione — przesadzając lub zmyślając.

Korzystając z tego że księżna zmieniła miejsce, wstałem również i udałem się ku palarni, dowiedzieć się o Swanna.

— Niech pan nie wierzy ani słówka temu co mówił Babal, rzekła księżna. Nigdy ta gąska Molé nie wpakowałaby się w taką historję. Tak tylko opowiadają, żeby nas ściągnąć. U Swannów nikt nie bywa i nikt ich nie zaprasza. On sam to przyznaje. „Siedzimy sobie we dwójkę przy kominku”. Ponieważ on mówi zawsze *my*, nie jak król, ale za swoją żonę, nie dopytuję się bliżej. Ale ja mam dobre informacje — dodała.

Minęliśmy dwóch młodych ludzi, których uderzająca i odmienna uroda czerpała początek z jednej kobiety. Byli to dwaj synowie pani de Surgis, nowej kochanki księcia Błażeja. Lśnili wspaniałościami swojej matki, ale każdy wziął inne. W jednego przeszła, falując w męskim ciele, królewska postawa pani de Surgis; ta sama gorąca, rudawa i perłowa bladeść napływała do marmurowych lic matki i syna; drugi brat dostał w zamian jej greckie czoło, idealny nos, posągową szyję, niezgłębione oczy. W ten sposób dwoiście ich uroda, utworzona z różnych darów jakie między nich rozdzieliła bogini, dawała abstrakcyjną przyjemność myśli, że przyczyna tej piękności znajduje się zewnątrz nich; możnaby rzec, iż zasadnicze wdzięki matki wcieliły się w dwa różne ciała, że jeden z tych młodych ludzi był postawą matki i jej cerą, drugi jej spojrzeniem, niby owe boskie istoty, będące jedynie siłą i pięknnością Jowisza lub Minerwy. Byli pełni szacunku dla księcia de Guermantes, o którym mówili: „To wielki przyjaciel naszych rodziców”; mimo to, starszy uznał, że bezpieczniej jest nie witać się z księżną, której niechęć do swojej matki — nie rozumiejąc może powodów tej niechęci — znał; toteż na nasz widok lekko odwrócił głowę. Młodszy, naśladowujący we wszystkim brata, ponieważ, będąc mało inteligentny i co więcej krótkowidz, nie odważył się mieć własnego zdania, pochylił głowę pod tym samym kątem; zaczęli wsunęli się obaj do sali gry, jeden za drugim, podobni dwóm alegorycznym postaciom.

W chwili gdym miał wejść do tej sali, zatrzymała mnie piękna jeszcze margrabina de Citri, prawie z pianą na ustach. Dość szlachetnie urodzona, marzyła o świetnym małżeństwie i zrobiła je w istocie wychodząc za pana de Citri, którego prababka była z domu Aumale-Lorraine. Ale ledwo zaznała tej satysfakcji; opozycyjny jej charakter nabrał do

wielkiego świata wstrętu, który nie wykluczał zresztą światowości. Nie tylko będąc gdzieś na przyjęciu drwiła sobie ze wszystkich, ale drwiny te miały coś tak gwałtownego, że nawet ostry śmiech nie wystarczał i mienił się w chrapliwy świst. — Ha! — rzekła do mnie wskazując księżnę, która, roztawszy się ze mną była już dość daleko — aż się coś we mnie przewraca, że ona może prowadzić takie życie.

Czy te słowa były okrzykiem rozjuszonej świętej, która dziwi się, że poganie nie cisną się sami do prawdy, czy anarchisty spragnionego rzezi? W każdym razie, wykrzyknik ten był bardzo nieuzasadniony. Najpierw, życie pani de Guermantes bardzo mało się różniło (poza oburzeniem) od życia pani de Citri. Pani de Citri zdumiewała się, widząc Oriane zdolną do tego śmiertelnego poświęcenia: wybrać się na wieczór księżnej Marji! Trzeba dodać, w danym wypadku, że pani de Citri szczerze lubiła księżnę Marję, w istocie bardzo dobrą, i wiedziała, że przychodząc na jej wieczór, sprawi jej wielką przyjemność. Toteż, aby być na tym rauciu, odprosiła tancerkę, którą uważała za geniusza a która miała ją wtajemniczyć w misterja rosyjskiej choreografji. Inną przyczyną, odbierającą pewną wartość wściekłym atakom pani de Citri na widok Oriany witającej się z tym lub owym, było to, że pani de Guermantes zdradzała objawy tej samej przywary, która trawiła panią de Citri, mimo iż o wiele mniej posuniętej. Widzieliśmy zresztą, że miała jej zarodki od urodzenia. Inteligentniejsza przytem od pani de Citri, Oriana miałaby więcej od niej praw do tego nihilizmu (który nie był jedynie światowy); ale faktem jest, że pewne przymioty raczej pomagają znosić wady drugich niż każą od nich cierpieć; człowiek bardzo niepospolity mniej będzie zazwyczaj zwracał uwagi na czyjąś głupotę, niżby to uczynił głupiec. Opisałiśmy natyle obszernie rodzaj dowcipu księżnej, aby dowieść, że, o ile nie miał on nic wspólnego z wysoką inteligencją, był przynajmniej dowcipem, dowcipem umiejącym wyzyskać (jak czyni tłumacz) rozmaite formy składni. Otóż nic podobnego nie dawało pani de Citri praw do pogardzania cechami tak podobnymi do jej własnych. Uważała wszystkich za idjotów; ale w rozmowie, w listach, okazywała się raczej niższa od ludzi, których traktowała z taką wzdargą. Miała zresztą taką potrzebę zniszczenia, że kiedy prawie zupełnie wyrzekła się świata, przyjemności, których szukała wówczas, uległy jedna po drugiej jej straszliwej sile destrukcyjnej. Porzuciwszy bale i rauty dla wieczorów muzycznych, zaczęła mówić: „Pani lubi muzykę? To zależy od chwili. Ale jakież to może być nudne! Och, Beethoven, co za piła!” O Wagnerze, potem o Francku, o Debussym, nie zadawała sobie nawet trudu mówienia „piła”; poprzestawała na ruchu ręką, jakby coś piłowała.

Niebawem, nudne stało się wszystko. „Jakie to nudne, piękne rzeczy! Och! obrazy, to można oszaleć!” „Jaką pan ma słuszność, to takie nudne pisać listy”. W końcu oświadczyła nam, że samo życie to jest piła, przyczem trudno było zgadnąć, gdzie znajduje skalę porównania.

Nie wiem, czy to dla tego co księżna Oriana owego pierwszego wieczora, kiedy byłem u niej na obiedzie — powiedziała o tym pokoju, ale sala gry czy palarnia, ze swoją wzorzystą posadzką, ze swemi trójnogami, postaciami bogów i zwierząt, które mierzyły mnie wzrokiem, sfinksami wyciągniętemu na poręczach, a zwłaszcza ze swoim olbrzymim stołem z marmuru czy z emaljowanej mozaiki, okrytym symbolicznymi znakami, mniej lub więcej naśladowanymi ze sztuki etruskiej i egipskiej, ta sala do gry zrobiła na mnie wrażenie iście czarnoksięskiego pokoju. Otóż, na fotelu bliskim lśniącego i uświęconego stołu, p. de Charlus, nie tykający kart, nieczuły na to co się dzieje dokoła, niezdolny spostrzec mego wejścia, zdawał się czarnoksiężnikiem, całą potęgą woli i rozumu siłą się wyciągnąć horoskop. Oczy wychodziły mu z głowy niczem pytji na trójnogu; iżby zaś nic nie zamąciło jego pracy, wymagającej poniechania najprostszych ruchów, podobny rachmistrzowi wyrzekającemu się wszelkiej czynności póki nie rozwiąże swego zagadnienia, baron położył koło siebie cygaro, które dopiero co miał w ustach i na którego dokończenie nie miał już potrzebnej swobody umysłu. Widząc dwa bóstwa przycupnięte na poręczach fotelu stojącego nawprost pana de Charlus, można było przypuszczać, że ów stara się przeniknąć zagadkę sfinksu, gdyby nie chodziło raczej o zagadkę młodego i żywego Edypa, siedzącego właśnie na tym fotelu gdzie usadowił się do gry. Otóż, figura, na której p. de Charlus skupił z takim napięciem wszystkie swoje władze, nie była, prawdę mówiąc, z tych, które studjuje się zazwyczaj *more geometrico*; była to figura, którą tworzyły rysy twarzy młodego margrabiego de Surgis. Twarz ta tak bardzo pochłaniała

pana de Charlus, jakgdyby była jakąś krzyżówką, zagadką, jakimś algebraicznym problemem którego starałby się odgadnąć sekret lub znaleźć formułę. Sybilińskie znaki i figury, wypisane przed nim na tej tablicy Prawa, zdawały się tajemnym pismem, które miało pozwolić staremu czarnoksiężnikowi odczytać w jakim kierunku orientują się losy młodego człowieka. Nagle baron spostrzegł, że ja na niego patrzę; podniósł głowę jakby zbudzony ze snu i uśmiechnął się do mnie rumieniąc się. W tej chwili, drugi syn pani de Surgis podszedł aby zajrzeć bratu w karty. Kiedy p. de Charlus dowiedział się odemnie, że to są bracia, twarz jego nie mogła utaić podziwu, jaki w nim budziła rodzina płodna w tak wspaniale i tak różne arcydzieła. Entuzjazm barona zwiększyłaby jeszcze wiadomość, że obaj synowie pani de Surgis-le-Duc są dziećmi nietylko jednej matki, ale i jednego ojca. Dzieci Jowisza nie podobne są do siebie, ale to pochodzi stąd, że ów zaślubił najpierw Metys, której przeznaczeniem było dać życie roztroprnym dzieciom, potem Temidę, a potem Eurynonję, i Mnemozynę, i Leto, a dopiero na ostatku Junonę. Natomiast pani de Surgis poczęła z jednego ojca dwóch synów, którzy otrzymali od niej urodę, ale każdy inną.

Doczekałem się w końcu przyjemności ujżenia Swanna, ale nie spostrzegł mnie zrazu, bo sala była bardzo wielka. Przyjemność zmieszana ze smutkiem, którego nie odczuwali może inni goście, ale który u nich zmienił się w rodzaj urzeczenia, jakie wywierają nieoczekiwane i osobliwe kształty bliskiej śmierci — śmierci, którą czyta się już, jak powiada lud, z twarzy. I z niegrzecznym prawie zdumieniem, w które wchodziła niedyskretna ciekawość, okrucieństwo, spokojna zarazem i stroskana zaduma (połączenie *suave mari magno i memento quia pulvis*, powiedziałby Robert), wszystkie spojrzenia wlepiły się w tę twarz, której choroba tak nadgryzła policzki — niby księżyc idący do nowiu — że wyjąwszy pod pewnym kątem (tym zapewne, pod jakim Swann patrzył na siebie), zwiły się one niby wiotka dekoracja, której jedynie złudzenie optyczne może dać pozór bryły. Czy to przez brak tych policzków, których nie stało już aby zmniejszać wymiary nosa, czy że arterioskleroza, która też jest zatruciem, zczzerwieniła go tak jak czyni pijaństwo lub zniekształciła tak jak czyni morfina, wydatny nos Swanna, wprzód szarmonizowany z miłą twarzą, teraz wydawał się olbrzymi, nabrzmiały, rubinowy — raczej nos starego hebrajczyka niż ciekawego Walezjusza. Zresztą, może w tych ostatnich dniach rasa bardziej wydobyła u Swanna charakterystyczny dla niej fizyczny typ, wraz z poczuciem żydowskiej solidarności duchowej, o której Swann jakby zapominał przez całe życie, a którą obudziły zaszczepione na sobie: śmiertelna choroba, sprawa Dreyfusa, rozpętanie antysemityzmu. Są izraelici subtelni zresztą i wykwintni światowcy w których siedzą w zaciszu kulis, aby wkroczyć w danej godzinie życia niby w sztuce teatralnej: — cham i prorok. Swann doszedł wieku proroka. Zmienił się bardzo; pod wpływem choroby, całe partje jego twarzy znikły niby partje topniejącej bryły lodu. Ale mimowoli uderzyło mnie, o ile bardziej jeszcze zmienił się w moich oczach. Był to człowiek miły i kulturalny, którego zawsze widywałem z przyjemnością. Ale nie mogłem teraz zrozumieć, w jaki sposób mogłem go swego czasu stroić taką tajemnicą, że jego zjawienie się na Polach Elizejskich przyprawiło mnie o bicie serca, do tego stopnia żem się wstydził zbliżyć do jego peleryny na jedwabiu, że do drzwi mieszkania gdzie żył taki człowiek nie byłem w stanie zadzwonić bez uczucia nieskończonego zmieszania i lęku; wszystko to znikło, nie tylko z jego domu ale i z jego osoby, a myśl o rozmowie z nim mogła mi być miła lub nie, ale nie wzruszała mnie w najlżejszej mierze.

I co więcej, jak on się zmienił od tego popołudnia, kiedym go spotkał — w sumie przed kilku godzinami — w gabinecie księcia Błażeja! Czy naprawdę miał z księciem Gilbertem rozmowę, która go wstrząsnęła? To nie było konieczne. Dla człowieka, który jest bardzo chory, najmniejszy wysiłek staje się rychło przemęczeniem. Niech go bodaj trochę już zmęczonego — zmoże upał sali balowej, twarz jego rozkłada się i sinieje, jak się dzieje w niespełna dzień z dojrzałą gruszką, lub z mlekiem bliskim skwaśnienia. Co więcej, włosy Swanna przerzedziły się miejscami i, jak powiadała Oriana, potrzebowały kuśnierza; wyglądały jak wyjęte z niedostatecznie użytej kamfory.

Miałem przebyć palarnię i zbliżyć się do Swanna, kiedy na nieszczęście czyjaś ręka spoczęła na mojem ramieniu.

— Jak się masz, kochanie, jestem w Paryżu na czterdzieści osiem godzin. Zaszedłem do ciebie, powiedziano mi że jesteś tutaj, tak że tobie zawdzięcza ciotka zaszczyt mojej obecności.

Był to Saint-Loup. Wyraziłem mu zachwyt dla tej rezydencji.

— Tak, to dość wygląda na zabytek historyczny. Mnie się to wydaje mordercze. Nie siadajmy blisko wuja Palamedy, inaczej nas zagarnie. Ponieważ pani Molé (obecna faworyta!) właśnie wyszła, wujaszek jest całkiem wykończony. Zdaje się, że to istny teatr; nie opuścił jej na krok, rozstał się z nią dopiero wsadziwszy ją do powozu. Nie mam o to pretensji do wuja; poprostu wydaje mi się zabawne, że rada rodzinna, tak surowa dla mnie, składa się właśnie z krewnych, którzy najbardziej się puszczała, zaczawszy od największego hulaki ze wszystkich, wuja Charlus. Ten facet, który jest moim urzędowym opiekunem, miał w życiu tyle kobiet co sam don Juan, i w swoim wieku jeszcze nie wyprzęga! W pewnej chwili była mowa o tem, aby mnie wziąć pod kuratelę. Myślę że kiedy wszyscy ci starzy dziwkarze zbierali się aby badać kwestję i sprowadzali mnie poto aby mi prawić morały i mówić że sprawiam zgryzotę matce, nie mogli na siebie popatrzeć aby się nie śmiać. Powiem ci skład tej rady; wygląda jakby umyślnie dobrali tych, którzy najwięcej zagłądali pod spódniczki.

Wylączając pana de Charlus, co do którego zdziwienie Roberta nie bardziej zdawało mi się usprawiedliwione (ale z innych przyczyn, które zresztą miały się przeobrazić później w moim umyśle), Saint-Loup niesłusznie uważał za coś nadzwyczajnego, że lekcje rozsądku dają młodemu człowiekowi krewni, którzy sami szaleli lub jeszcze szaleją.

Gdyby odgrywał tu rolę tylko atawizm, podobieństwa rodzinne, nieuchronne byłoby aby prawiący kazanie wujaszek miał mniej więcej te same wady co siostrzeniec otrzymujący połajankę. Niema w tem zresztą ze strony wuja żadnej obłud; ulega poprostu łatwości, z jaką ludzie w każdej nowej okoliczności wierzą, że to jest „co innego”; która-to właściwość pozwala im wierzyć w błędy artystyczne, polityczne etc., nie spostrzegając, że to są te same, które brali za prawdę przed dziesięć laty z powodu innej szkoły malarstwa którą potępiali, innej sprawy politycznej, rzeczy które budziły w nich niegdyś wstręt, a które teraz przyjęli, nie poznając ich pod nowym przebraniem. Zresztą jeżeli nawet błędy wuja różnią się od błędów siostrzeńca, nie mniej dziedziczność może tu być poniekąd zasadą ich przyczynowości, skutek bowiem nie zawsze jest podobny do przyczyny jak kopia do oryginału, i nawet jeżeli błędy wuja są gorsze, ów może doskonale uważać je za mniej ciężkie.

Kiedy p. de Charlus robił pełne oburzenia wyrzuty Robertowi (który zresztą nie znał prawdziwych upodobań wuja), w owej epoce, a nawet gdyby to była jeszcze epoka, w której baron potępiał własne gusty, mógłby doskonale być szczery, znajdując — z punktu widzenia światowca — że Robert nieskończenie winniejszy jest od niego. Czyż, w chwili gdy wujowi polecono przywołać go do rozumu, Robertowi nie groziło to że znajdzie się poza nawiasem swego świata; czyż wiele brakło, aby go zbalotowano w Jockey'u; czyż nie był pośmiewiskiem z powodu szalonych wydatków na kobietę ostatniego rządu, zażyłości z literatami, aktorami, żydami, osobnikami z których ani jeden nie należał do świata; przekonań, które nie różniły się od przekonań zdrajców; zgryzoty jaką sprawiał wszystkim swoim. Jak możnaby równać to skandaliczne życie z życiem pana de Charlus, który umiał dotąd nietylko zachować ale uświetnić jeszcze swoją sytuacją rodową, będąc w towarzystwie osobą bezwzględnie uprzywilejowaną, poszukiwaną, wielbioną przez najwybrańszy świat; który, żonaty z księżniczką de Bourbon, kobietą niepospolitą, umiał ją uszczęśliwić, żywił dla jej pamięci najwyższy i najskrupulatniejszy kult, mało mający przykładów w świecie, i okazał się przez to równie dobrym mężem jak był dobrym synem!

— Ale czy ty jesteś pewny, że Charlus miał tyle kochanek? — spytałem, nie w diabolicznej intencji zdradzenia Robertowi podchwyczonego sekretu, ale bądźco bądź podrażniony tem, że on z taką pewnością i zarozumiałstwem broni fałszywego sądu. Wzruszył tylko ramionami na to, co uważał za naiwność z mojej strony. „Zresztą ja go nie potępiam (rzekł), uważam że ma zupełną słuszność”. I Robert zaczął szkicować teorię, która byłaby go przejęła zgrozą w Balbec (gdzie już nie hańba, ale śmierć zdawała mu się jedynie dostateczną karą na uwodzicieli). Bo wówczas był jeszcze zakochany i zazdrosny. Posunął się do tego, że mi zaczął zachwalać domy schadzek. „Tylko tam człowiek znajdzie trzewik na swoją nogę, to co my nazywamy w pułku *swój kaliber*.” Nie żywił już do tego

rodzaju miejsc owego wstępu, jaki objawiał w Balbec, kiedym wspomniał o czemś podobnym. Słyszając Roberta teraz, powiedziałem mu, że Bloch zapoznał mnie z zakładami tego rodzaju; ale Saint-Loup odrzekł, że zakład do którego uczęszczał Bloch, to musiała być „straszna bryndza, raj dla ubogich”. „To zależy, ostatecznie: gdzie to było?” Zbyłem go ogólnikami, bo przypomniałem sobie, że to tam oddawała się za ludwika owa Rachel, którą miał tak kochać. „W każdym razie zaprowadzę cię do znacznie lepszych, gdzie chodzą bajeczne kobiety. Kiedym go prosił, żeby mnie zaprowadził jaknajprędzej do znajomych sobie zakładów, które muszą być w istocie czemś o wiele wyższem od zakładu wskazanego przez Blocha, Robert wyraził szczery żal, że nie może tego uczynić obecnie, bo wyjeżdża jutro. „To będzie na następny raz, rzekł. Zobaczysz, są nawet młode panny — dodał z tajemniczą miną. Jest tam pewna panna de... zdaje mi się d’Orgeville, powiem ci dokładnie, córka ludzi bardzo, ale to bardzo przyzwoitych, matka jest mniej lub więcej z domu La Croix-l’Êvêque, sama śmietanka, podobno nawet trochę krewni ciotki Oriany. Zresztą wystarczy ujrzeć tę małą, zaraz się czuje że to jest panna z najlepszego domu (czułem przez chwilę rozpościerający się na głosie Roberta cień ducha Guermantów, który przeszedł niby chmura, ale bardzo wysoko i nie zatrzymał się). To mi robi wrażenie jakiejś cudownej przygody. Rodzice są zawsze chorzy i nie mogą się nią zajmować. Ba, mała pociesza się jak może, i liczę na ciebie że znajdziesz rozrywki temu dziecku!

— Och, kiedy wracasz?

— Nie wiem, ale jeżeli ci nie zależy absolutnie na diuszessach (tytuł *diuszessy* jest dla arystokracji jedynym, który oznacza rangę szczególnie świetną, tak jakby lud powiedział *pryncesa*), jest tam w innym rodzaju, pierwsza panna służąca pani Putbus.

W tej chwili pani de Surgis weszła do sali gry szukając synów. Widząc ją, p. de Charlus podszedł z uprzejmością którą margrabina była tem milej zdziwiona, ile że spodziewała się raczej lodowatego chłodu ze strony barona, który przybierał rolę protektora Oriany i jedyny w rodzinie — zbyt często pobłażliwej dla księcia Błażeja z powodu spadku po nim i przez zawiść wobec księżnej — bojkotował bez litości kochanki swego brata. Toteż pani de Surgis doskonale by zrozumiała pobudki zachowania się, jakiego się obawiała ze strony barona, ale nie podejrzewała zgoła pobudek wręcz odmiennego przyjęcia jakie ją spotkało. P. de Charlus wspomniał z zachwytem o jej portrecie, zrobionym niegdyś przez Jacqueta. Zachwyt ten wzbił się wręcz do entuzjazmu, który, o ile po części interesowny (chodziło o to aby nie dać margrabinie odejść, aby nawiązać kontakt — jak mówił Robert o armjach nieprzyjacielskich, których stan liczebny pragniemy unieruchomić w pewnym punkcie), był może również i szczery. Bo jeżeli każdy z przyjemnością podziwiał w synach królewską postawę i oczy pani de Surgis, baron mógł doświadczyć odwrotnej ale równie żywej przyjemności, odnajdując te wdzięki zespolone w ich matce, niby na portrecie, który sam nie rodzi żądz, ale karmi estetycznym podziwem te które budzi. One to właśnie dały retrospektywnie zmysłowy czar nawet portretowi Jacqueta; w tej chwili baron kupiłby chętnie ten portret, aby na nim studjować fizjologiczny rodowód młodych Surgis.

— Widzisz, że nie przesadzałem — rzekł Robert. — Popatrz tylko, jak on nadskakuje tej Surgis. I nawet powiem, że mnie to dziwi. Gdyby Oriana wiedziała, byłaby wściekła. Szczerze mówiąc, dosyć jest tutaj kobiet, aby się wujaszek nie musiał rzucać na tę — dodał Saint-Loup, który, jak wszyscy ludzie nie zakochani, wyobrażał sobie, że się wybiera przedmiot miłości, po tysiącu rozważań, wedle rozmaitych przymiotów i konwencji. Zresztą, myśląc się na punkcie wuja którego uważał za kobieciarza, Robert, pod wpływem swojej urazy, mówił o panu de Charlus zbyt lekko. Nie jest się bezkarnie czyimś siostrzeńcem. Bardzo często za pośrednictwem wuja udziela się, wcześniej lub później, dziedziczny nawyk. Możnaby tak sporządzić całą galerję portretów, pod godłem niemieckiej komedji „wuj i siostrzeniec”, gdzie ujrzałoby się wuja czuwającego bacznie, mimo iż bezwiednie, nad tem, aby siostrzeniec stał się w końcu do niego podobny.

Dodam nawet, że ta galerja byłaby niekompletna, gdyby się w nią nie wprowadziło wujów bez żadnego istotnego pokrewieństwa, ile że są jedynie wujami żony siostrzeńca. Panowie de Charlus są w istocie tak przeświadczeni, że oni jedni są dobrymi mężami, cowiej jedynymi o których kobieta nie jest zazdrosna, że zazwyczaj przez przywiązanie do siostrzenicy wydają ją również za jakiegoś Charlusa. I to wikła motek podobieństw.

A z uczuciem do siostrzenicy łączy się czasami uczucie do jej oblubieńca. Takie małżeństwa nie są rzadkie i należą często do tak zwanych szczęśliwych.

— O czym mówiliśmy? A, o tej słusznej blondynce, pokojówce pani Putbus. Ona lubi też kobiety, ale sądzę że to ci jest wszystko jedno: mogę powiedzieć szczerze, nie widziałem nigdy równie pięknego stworzenia.

— Wyobrażam ją sobie dosyć „Giorgione”?

— Szalenie Giorgione! Och, gdybym miał czas zostać w Paryżu, co za wspaniałe rzeczy byłyby do zrobienia! A potem, przechodzi się do innej. Bo miłość, widzisz, to jest skończona błaga, wyleczyłem się już z tego.

Spostrzegłem niebawem ze zdziwieniem, że Robert wyleczył się nie mniej z literatury, podczas gdy za naszym ostatnim spotkaniem zdawał mi się jedynie rozczarowany do literatów („to prawie wszystko kanalja i Spółka” — powiedział mi, co by się dało wytłumaczyć jego słuszną urazą do niektórych przyjaciół Racheli. Wytłumaczyli jej w istocie, że nigdy nie będzie miała talentu, jeżeli pozwoli Robertowi, „człowiekowi z innej rasy”, wywierać wpływ na nią, i kpili sobie zeń z Rachelą w jego obecności, na obiadach jakie dla nich wyprawiał). Ale w rzeczywistości zamiłowania literackie Roberta nie miały nic głębszego, nie wynikały z jego prawdziwej natury, były jedynie ubocznym produktem miłości do Racheli i zatarły się w nim równocześnie ze wstrętem do donżuanów i z religijną czcią dla cnoty kobiet.

— Jaki ci dwaj młodzi ludzie mają szczególny wyraz twarzy. Niech pani spojrzy na tę ciekawą pasję do gry, margrabino — rzekł p. de Charlus, pokazując pani de Surgis jej synów, tak jakby absolutnie nie wiedział kto oni są. — To muszą być jacyś synowie Wschodu, mają pewne charakterystyczne rysy, może to są Turcy — dodał równocześnie, aby potwierdzić jeszcze swoją udaną niewinność i aby dać dowód instynktownej antypatii, która, gdyby ustąpiła później uprzejmości, dowiodłaby, że ta uprzejmość dotyczy młodych ludzi jedynie jako synów pani de Surgis, ile że zaczęła się dopiero w chwili gdy się baron dowiedział kim są. Może też p. de Charlus, u którego impertynencja była darem wrodzonym i uprawianym z rozkoszą, skorzystał z minuty gdy rzekomo nie znał nazwiska młodych ludzi, aby się zabawić kosztem pani de Surgis i dać folgę swoim zwyczajnym drwinom, jak Scapin korzysta z przebrania swego pana, aby mu wrzepić porcję kijów.

— To moi synowie — rzekła pani de Surgis, z rumieńcem którego by sobie oszczędziła, gdyby nie będąc cnotliwszą, była sprytniejsza. Zrozumiałaby wówczas, że u pana de Charlus wyraz absolutnej obojętności lub szyderstwa w stosunku do jakiegoś młodego człowieka równie mało jest szczerzy, jak zdawkowy podziw okazywany kobiecie nie wyraża prawdziwej natury barona. Kobieta, którą obsypywał pochlebstwami i komplementami bez końca, mogłaby być zazdrosna o spojrzenie, jakie, rozmawiając z nią, słał w stronę mężczyzny, którego jak to udawał później — rzekomo nie zauważył. Bo owo spojrzenie było różne od tych, które p. de Charlus miał dla kobiet; spojrzenie specjalne, idące z głębi, nawet na zabawie nie zdolne się wstrzymać aby nie biec naiwnie ku młodym ludziom, niby spojrzenia krawca zdradzające jego rzemiosło sposobem w jaki natychmiast robią przegląd ubrania.

— Och, to ciekawe, odparł dość impertynencko p. de Charlus, z miną człowieka, którego myśl musiała przebyć długą drogę, zanim doszła do rzeczywistości zupełnie innej niż jego rzekome domysły. Ale ja ich nie znam — dodał, bojąc się iż zaszedł za daleko w wyrazie antypatii i że sparaliżował tem w margrabinie zamiar przedstawienia mu synów.

— Czy pan pozwoli łaskawie przedstawić ich sobie? — spytała nieśmiało pani de Surgis.

— Ależ, mój Boże, jak pani uważa; ja i owszem, ale nie jestem może figurą zbyt zabawną dla tak młodych ludzi — wyśpiewał p. de Charlus z wahającą się i chłodną miną człowieka który się zmusza do grzeczności.

— Arnulfie, Wikturnianie, chodźcie prędko — rzekła pani de Surgis. Wikturnian wstał żywo, Arnulf, wzorując się na bracie, udał się posłusznie za nim.

— Teraz kolej na synów! — rzekł do mnie Robert. — To można umrzeć ze śmiechu. Przymilałby się nawet pieskowi domowemu. To jest tem komiczniejsze, że Palamed nienawidzi żygolaków. I popatrz, jak on ich poważnie słucha. Gdybym to ja chciał mu ich przedstawić, ależ posłałby mnie na zbity łeb! Słuchaj, trzeba mi będzie przywitać się



z Orianą. Na tak krótko jestem w Paryżu, że chciałbym tutaj zobaczyć się ze wszystkimi, którym inaczej musiałbym rzucać bilety.

— Jacy oni są dobrze wychowani, jakie mają ładne wzięcie — mówił równocześnie p. de Charlus.

— Uważa pan? — odpowiedziała pani de Surgis uszczęśliwiona.

Swann, spostrzegłszy mnie z Robertem, zbliżył się do nas. Żydowska wesołość była u Swanna mniej subtelna niż jego żarty światowca.

— Dobry wieczór — rzekł. — Mój Boże, stoimy tak we trzech, świat będzie myślał, że to zebranie syndykatu. Mało braknie, a zaczną się dowiadywać, gdzie jest kasa!

Swann nie spostrzegł, że p. de Beaucerfeuil stoi za nim i słyszy. Mimowoli generał zmarszczył brwi. Usłyszeliśmy głos pana de Charlus tuż koło nas:

— Jakto, pan się nazywa Wikturnian, jak w *Gabinecie starożytności* — mówił baron, pragnąc przedłużyć rozmowę z młodymi ludźmi.

— Balzaka, tak — odparł starszy de Surgis, który nigdy nie czytał ani litery tego powieściopisarza, ale któremu nauczyciel zwrócił przed kilku dniami uwagę na zgodność jego imienia z imieniem młodego d'Esgrignon. Pani de Surgis była zachwycona, widząc że syn tak się popisał, a p. de Charlus oczarowany był tym ogromem wiedzy.

— Zdaje się, że Loubet jest całkowicie z nami, wiem z najlepszego źródła — rzekł Swann do Roberta, ale tym razem ciszej, aby generał nie słyszał. Stosunki republikańskie żony stały się dla Swanna bardziej interesujące, od czasu jak sprawa Dreyfusa stanowiła centrum jego zainteresowań. — Mówię to panu, bo wiem, że pan idzie z nami ręką w rękę.

— Ależ wcale nie tak bardzo, myli się pan całkowicie — odparł Robert. — To jest sprawa źle zaczęta, i bardzo żałuję, że w nią wpakowałem. Nie miałem tam nic do roboty. Gdyby to można było odrobić, trzymałbym się całkiem z boku. Ja jestem żołnierz, i przede wszystkim jestem za armją. — Jeżeli zostajesz chwilę z panem Swann, pójdę odszukać ciotkę, rzekł Robert do mnie. Ale ujrzałem, że poszedł rozmawiać z panną d'Ambresac; przykro mi się zrobiło na myśl, że Robert skłamał mi co do swoich możliwości zaręczyn. Rozpogodziłem się kiedyś się dowiedział, że dopiero przed pół godziną przedstawiła go pannie pani de Marsantes, która pragnęła tego małżeństwa, bo państwo d'Ambresac byli bardzo bogaci.

— Słowem — rzekł baron do pani de Surgis — widzę oto młodego człowieka wykształconego, który czytał, który wie co to jest Balzac. I tem większą przyjemność sprawia mi, że spotykam te zalety tam gdzie się one stały najrzadsze, u kogoś z mojej sfery, u jednego z naszych — dodał, kładąc nacisk na te słowa. Daremnie Guermantowie udają, że uważają wszystkich ludzi za równych: w wielkich okazjach, znalazłszy się wobec ludzi „urodzonych”, a zwłaszcza mniej dobrze „urodzonych”, którym pragnęli i mogli pochlebić, nie wahali się wyciągnąć starych wspomnień rodzinnych. Niegdyś — ciągnął baron arystokracja to znaczyło *najlepsi*, inteligencją, sercem. I oto pierwszy z naszej sfery, który wie, co to Wikturnian d'Esgrignon! Niesłusznie mówię pierwszy. Jest jeszcze Polignac, i jest Montesquiou, dodał p. de Charlus, wiedząc że to podwójne zestawienie do reszty upoi margrabinę. Zresztą, synowie pani mają się w kogo wdać, ich dziadek po kądzieli miał sławną kolekcję osiemnastowieczną. Pokażę panu moją, jeżeli mi pan zrobi tę przyjemność, aby zejść do mnie którego dnia na śniadanie; rzekł do młodego Wikturniana. Pokażę panu ciekawe wydanie *Gabinetu starożytności*, z poprawkami ręką Balzaka. Miło mi będzie skonfrontować dwóch Wikturnianów.

Nie mogłem się zdecydować na rozstanie ze Swannem. Doszedł do tego stopnia znużenia, gdy ciało chorego jest już tylko próbówką, w której śledzi się reakcje chemiczne. Twarz jego znaczyła się sinemi punkcikami, robiącymi wrażenie czegoś już niemal trupiego, i wydzielała ów swoisty zapach, jaki w liceum czyni tak przykrym pobyt w gabinecie fizycznym po „godzinie doświadczeń”. Spytałem, czy nie miał dłuższej rozmowy z księciem Gilbertem i czy nie zechciałby mi jej opowiedzieć.

— Owszem — odparł — ale niech pan idzie na chwilę z panem de Charlus i z panią de Surgis, zaczekam tutaj.

W istocie, p. de Charlus, zaproponowawszy pani de Surgis, aby opuścić ten przegrany pokój i usiąść na chwilę w drugim, nie synów zaprosił aby towarzyszyli matce, ale mnie. W ten sposób, zwabiwszy ich, stwarzał pozór, że nie zależy mu na tych młodych

ludziach. Co więcej, wyświadczał mi łaskę dość tanią, ile że pani de Surgis-le-Duc była lichy notowana.

Na nieszczęście, ledwie siedliśmy we framudze bez drzwi, zjawiła się pani de Saint-Euverte, przedmiot żarcików barona. Chcąc zamaskować niechęć, jaką budziła w panu de Charlus, lub może chcąc jawnie stawić jej czoło, a zwłaszcza okazać że jest blisko z damą, która rozmawia tak poufale z baronem, pani de Saint-Euverte rzuciła niedbale i przyjacielskie przywitanie słynnej piękności, która odpowiedziała jej, zerkając z drwiącym uśmiechem na pana de Carlus. Ale oścież była tak wąska, że kiedy pani de Saint-Euverte chciała za nami dalej zbierać jutrzejszych gości, uwięzła tam i nie mogła się wydobyć; cenna chwila, z której skwapliwie skorzystał p. de Charlus, pragnąc błysnąć impertynencką werwą w oczach matki dwóch efebów. Głupie pytanie, zadane przezemnie bez złej intencji, dostarczyło baronowi okazji do tryumfального kupletu, z którego unieruchomiona za nami biedna Saint-Euverte nie mogła stracić ani słowa.

— Czy pani uwierzy, że ten postrzelony młody człowiek — rzekł, wskazując na mnie, baron do pani de Surgis — spytał mnie (bez najmniejszej troski oto, że tego rodzaju potrzeby należy ukrywać), czy ja idę do pani de Saint-Euverte, co znaczy, jak sądzę, czy mnie brzuch boli. Staralbym się, w każdym razie, ulżyć sobie w miejscu bardziej komfortowym, niż u osoby, która, o ile mnie pamięć nie myli, święciła stulecie swoich urodzin wówczas gdy ja zaczynałem bywać w świecie, to znaczy nie u niej. A jednak kogoż bardziej warto byłoby posłuchać! Ileż wspomnień historycznych, oglądanych i przeżytych za pierwszego cesarstwa i za Restauracji; ileż sekretnych awanturek (do których robi aluzję to nazwisko; *eu* znaczy po grecku: „dobrze”, *verte* znaczy po łacinie: „obrót”). Dobrze też wyobrać naszą czcigodną babinę, do syta! Ale coby mi bronilo interwiewowania jej w przedmioocie owych namiętnych epok, to wrażliwość mego zmysłu powonienia. Bliskość tej damy wystarcza mi. Powiadam sobie nagle: „Och, Boże, rura w wychodku pękła”; otóż nie, to poprostu margrabina otworzyła usta, aby kogoś zaprosić na swój wieczór. I pojmuje pani, że gdybym miał nieszczęście iść do niej, kloaka zmieniałaby się w olbrzymią beczkę nieczystości. Nosi nazwisko mistyczne, które przypomina, że jeżeli wszystko po śmierci obraca się w proch, to i owo jeszcze za życia obraca się w łajno. Powiadają mi, że ta niestrudzona puszczalska puszcza się na *garden party*; ja bym to nazwał „zaproszeniem do przechadzki po kanałach”. — Czy pani również ma tam zamiar się zasmrodzić, spytał baron pani de Surgis, wyraźnie zakłopotanej. Bo chcąc udać przed baronem że tam nie idzie, a wiedząc że raczej oddałaby pół życia niżby się wyrzekła *garden-party* margrabiny, w kłopotcie tym obrała drogę pośrednią, to znaczy niepewność. Ta niepewność przybrała formę tak głupio i tak płasko eklektyczną, że p. de Charlus, ryzykując obrazę pani de Surgis, dla której wszakże chciał być miły, zaczął się śmiać aby jej dowieść że to „nie chwyta”.

— Podziwiam zawsze ludzi, którzy robią projekty — rzekła pani de Surgis; ja często wymawiam się w ostatnim momencie. Kwestja letniej sukni może zmienić wszystko. Zrobię wedle natchnienia chwili.

Co do mnie, byłem oburzony ohydą napaścią pana de Charlus. Byłbym rad osłodzić to organizatorce *garden-party*. Na nieszczęście, w „towarzystwie”, jak w świecie politycznym, ofiary są tak nikczemne, że nie można się długo oburzać na ich katów. Pani de Saint-Euverte, zdoławszy się wydobyć z framugi do której zatarasowaliśmy przystęp, przechodząc otarła się mimowoli o barona i przez odruch snobizmu neutralizujący w niej wszelki gniew, może nawet w nadziei nawiązania rozmowy w sposób który nie musiał być pierwszą próbą: „Och! przepraszam pana, panie de Charlus, mam nadzieję, że pana nie potrąciłam”; — wykrzyknęła tak, jakby klękała przed swoim panem. Baron nie raczył odpowiedzieć inaczej niż szerokim ironicznym śmiechem; bąknął jedynie „dobry wieczór”, tak jakby spostrzegł obecność margrabiny dopiero w chwili gdy mu się ukloniła pierwsza, co było jedną zniewagą więcej. Wreszcie z beżmiarem upodlenia, które mnie bolało za nią, pani de Saint-Euverte podeszła bliżej i wzięwszy mnie na bok, szepnęła: „Ależ co ja takiego zrobiłam panu de Charlus? Twierdzą, że nie jestem dość elegancka dla niego”, rzekła śmiejąc się na całe gardło. Nie uśmiechnąłem się. Z jednej strony wydało mi się idjotyczne iż ona udaje że wierzy lub też chce wmówić że nikt nie jest równie „szykowny” jak ona. Z drugiej strony, ludzie śmiejący się tak głośno z tego co mówią a co nie jest zabawne, uwalniają nas, biorąc wszystkie koszty wesołości na siebie, od brania w niej udziału.

— Inni upewniają mnie — ciągnęła pani de Saint-Euverte — że baron jest urażony o to że go nie zapraszam. Ale on mnie też zbyt nie zachęca! Robi wrażenie, że się dąsa na mnie (wyrażenie wydało mi się słabe). Niech się pan postara zbadać to i przyjdzie mi powiedzieć jutro. A jeżeli baron będzie miał wyrzuty sumienia i zechce panu towarzyszyć, niech go pan przyprowadzi. Wszelki grzesznik ma prawo do odpuszczenia. Tęby mi nawet sprawiło pewną przyjemność, z powodu pani de Surgis, która byłaby zła o to. Daję panu *carte blanche*. Pan ma doskonale wyczucie takich rzeczy, a ja nie chcę robić wrażenia, że łowię gości. W każdym razie na pana liczę z pewnością.

Pomyślałem, że czekanie na mnie może zmęczyć Swanna. Nie chciałem zresztą wracać za późno z powodu Albertyny; zaczęłam, pożegnawszy panią de Surgis i barona, wróciłem do Swanna do sali gry. Spytałem go, czy w sprawie, o której rozmawiał z księciem w ogrodzie, chodziło w istocie o to co p. de Bréauté (którego nie wymieniłem) nam powtórzył, a co się tyczyło jednoaktówki Bergotte'a. Parsknął śmiechem:

— Nie ma w tem ani słowa prawdy, ani jednego słowa; to całkowicie z palca wyssane i byłoby zupełnie głupie. Doprawdy, to jest niesłychana rzecz, to samoródtwo bajek. Nie pytam, kto to panu powiedział, ale byłoby doprawdy ciekawe, w ramie tak ograniczonej, przejść jedno ogniwo po drugim, aby dojść w jaki sposób to powstało. Zresztą, czy to może kogo interesować, co mi powiedział książę Gilbert? Ludzie są bardzo ciekawi. Ja nie byłem nigdy ciekawy, wyjąwszy kiedy byłem zakochany i zazdrosny. I dużom się dowiedział! Czy pan jest zazdrosny?

Powiedziałem, że nigdy nie doznawałem uczucia zazdrości, nie wiem nawet co to jest.

— Haha! w takim razie, wiesz panu. Kiedy się jest trochę zazdrosnym, to nie jest zbyt niemiłe, z dwójakiego punktu widzenia. Z jednej strony dlatego, że to pozwala ludziom nie ciekawym z natury interesować się życiem innych osób lub bodaj jednej osoby. A powtóre dlatego, że to dosyć dobrze daje czuć słodycz posiadania, wsiadania z kobietą do powozu, nie zostawiania jej samej. Ale to tylko w samych początkach choroby, lub wówczas kiedy się jest prawie wyleczonym. W innej sytuacji, to jest najokropniejsza z cierpień. Zresztą, muszę się panu przyznać, że nawet owe dwie słodycze, o których wspomniałem, mało mi są znane; pierwsza z winy mojej natury, nie zdolnej do przydługich refleksyj; druga z powodu okoliczności, z winy kobiety, — to jest chciałem rzec kobiet, o które byłem zazdrosny. Ale to nic nie znaczy. Nawet kiedy człowiekowi nie zależy na tych rzeczach, nie jest całkiem obojętne, że mu kiedyś na nich zależało; bo to było zawsze z przyczyn, które umykały się innym. Czujemy, że wspomnienie takich uczuć istnieje tylko w nas; trzeba wejść w samego siebie, aby je oglądać. Nie drwij pan sobie nadto z tej idealistycznej gwary; chcę poprostu powiedzieć, że ja bardzo kochałem życie i bardzo kochałem sztukę. I cóż, teraz, kiedy jestem nadto zmęczony na to aby żyć z drugimi, te moje dawne uczucia, tak osobiście *moje*, wydają mi się — ot, manja wszystkich kolekcjonerów! — bardzo cenne. Otwieram dla samego siebie własne serce niby witrynę; oglądam kolejno tyle miłości, których inni nie mogli znać. I o tej kolekcji, do której jestem teraz bardziej jeszcze przywiązany niż do innych, powiadam sobie — trochę jak Mazarin o swoich książkach, ale zresztą bez żadnego lęku — że bardzo głupio będzie opuścić to wszystko. Ale wróćmy do rozmowy z księciem Gilbertem; opowiem ją tylko jednej osobie, właśnie panu.

W słuchaniu Swanna przeszkadzał mi dialog, który tuż obok nas p. de Charlus, wróciwszy do sali gry, przeciągał bez końca. „I pan także czyta? Co pan wogóle robi?” — pytał hrabiego Arnulfa, który nie znał nawet nazwiska Balzaka. Ale krótki wzrok tego młodzieńca, sprawiając iż widział wszystko bardzo pomniejszone, dawał mu wejrzenie człowieka widzącego bardzo daleko, tak iż — rzadka poezja w posągowym bogu greckim — w źrenicach jego odbijały się jakby odległe i tajemnicze gwiazdy.

— Gdybyśmy się przeszli trochę po ogrodzie, rzekłem do Swanna, podczas gdy hrabia Arnulf spieszczonym głosem, zdającym się wskazywać że jego rozwój (przynajmniej umysłowy) nie jest kompletny, odpowiadał panu de Charlus z uprzejmą i naiwną ścisłością:

— Och, ja, to raczej golf, tenis, piłka nożna, zawody piesze, zwłaszcza polo.

Rzekłbyś Minerwa, która, rozszczępiwszy się, przestała w pewnym mieście być boginią mądrości i wcieliła część samej siebie w czysto sportowe, hippiczne bóstwo *Atene Hippia*.

Arnulf jeździł też do Saint-Moritz na narty, bo Pallas Trilogeneia wspina się na wysokie szczyty i dopędza jeźdźców.

— A! — odpowiedział p. de Charlus z pobłażliwym uśmiechem intelektualisty, który nie zadaje sobie nawet trudu ukrywać że kpi, ale który zresztą czuje się tak bardzo wyższy od innych i tak gardzi inteligencją ludzi najmniej głupich, że zaledwie ich odróżnia od najgłupszych, z chwilą gdy mu przypadli do smaku na inny sposób. Rozmawiając z Arnulfem, p. de Charlus uważał, że mu nadaje przez to samo godność, którą cały świat powinien uznawać i zazdrościć mu jej.

— Nie — odrzekł Swann; nadto jestem zmęczony aby chodzić, usiądźmy raczej gdzieś w kącie, nie trzymam się już na nogach.

Była to prawda, a jednak już to że zaczął rozmawiać wróciło mu trochę żywotności. Bo w najbardziej realnym zmęczeniu jest, zwłaszcza u ludzi nerwowych, cząstka, która zależy od uwagi i która się przechowuje jedynie drogą pamięci. Człowiek czuje się nagle zmęczony, kiedy się obawia że nim będzie; aby się pozbyć zmęczenia, wystarczy zapomnieć o niem. Z pewnością Swann nie należał do tych niewyczerpanych cherlaków, którzy, przybyszy zmordowani, bez duszy, ledwie się trzymając na nogach, odżywają pod wpływem rozmowy niby kwiat w wodzie i mogą godziny całe czerpać z własnych słów siły, których nie przelewają na nieszczęście w słuchaczy, coraz to bardziej przybitych, w miarę jak mówca czuje się rozbudzony. Ale Swann należał do tej silnej rasy żydowskiej, w której żywotność i odporność wobec śmierci cechuje nawet jednostki. Każdy z nich, naznaczony jakąś chorobą, jak sama rasa naznaczona jest prześladowaniem, szamoce się bez końca w straszliwych agonjach, mogących się przeciągnąć poza granice prawdopodobieństwa, kiedy widać już tylko brodę proroka ze sterczącym olbrzymim nosem, rozszerzającym się aby wciągać ostatnie tchnienia, przed godziną rytualnych modlitw, kiedy to punktualnie rozpoczyna się defilada dalekich krewnych, posuwających się z mechanicznymi gestami, niby na fryzie asyryjskim.

Poszliśmy usiąść, ale zanieśmy się oddalili od grupy, jaką p. de Charlus tworzył z dwoma młodymi Surgis i ich matką, Swann nie mógł się powstrzymać aby nie wlepić w gors pani de Surgis oczu znawcy, szeroko rozwartych i pożądlivych. Włożył monokl, aby lepiej widzieć, i rozmawiając ze mną, raz po raz słał spojrzenie w stronę tej damy.

— Oto słowo w słowo — rzekł kiedyśmy usiedli — moja rozmowa z księciem Gilbertem; a jeżeli pan sobie przypomina co mówiłem świeżo, zobaczy pan, czemu pana biorę za powiornika. A przytem jest jeszcze inna racja, o której się pan dowie kiedyś. „Mój drogi Swann — powiedział książę Gilbert; darujesz mi, jeżeli się wydawało, że cię unikam od jakiegoś czasu. (Wcale tego nie zauważyłem, będąc chory i sam unikając świata). Po pierwsze, słyszałem i przewidywałem, że w nieszczęśliwej sprawie, dzielącej nasz kraj, ty masz przekonania całkiem sprzeczne z moimi. Otóż, byłoby mi nadzwyczaj przykro, gdybyś je wyrażał w mojej obecności. Moja nerwowość na tym punkcie była taka, że kiedy przed dwoma laty żona moja usłyszała w ustach swego szwagra, wielkiego księcia heskiego, że Dreyfus jest niewinny, nietylko odparła te słowa bardzo żywo, ale nie powtórzyła mi ich, aby mnie nie drażnić. Prawie w tej samej epoce, szwedzki następca tronu przybył do Paryża i usłyszawszy prawdopodobnie że cesarzowa Eugenia jest dreyfusistką, pomylił ją z księżną Marją (dziwne pomieszenie, przyznasz Swann, kobiety na stanowisku mojej żony z hiszpanką o wiele gorzej urodzoną niż się powiada i zamężną za zwykłym Bonapartem) i powiedział jej: »Księżno, jestem podwójnie szczęśliwy, że panią widzę; wiem, że pani ma te same poglądy co ja na sprawę Dreyfusa, co mnie nie dziwi, skoro Wasza Wysokość jest Bawarką«. Co zyskało księciu następcy tę odpowiedź: »Wasza Wysokość, jestem już tylko księżną francuską i myślę tak jak wszyscy moi rodacy«. Otóż, mój drogi Swann, będzie temu półtora roku, rozmowa z generałem de Beaucerfeuil obudziła we mnie podejrzenie, że w toku procesu popełniono nie omyłkę, ale poważne nieprawidłowości”...

Przerwał nam (Swann nie chciał, aby ktoś słyszał jego opowiadanie) głos pana de Charlus, który (nie troszcząc się zresztą o nas) odprowadzał panią de Surgis i przystanął, próbując ją zatrzymać jeszcze, czy to z powodu synów, czy z powodu owej właściwej Guermantom obawy przed skończeniem się chwili obecnej — obawy pogrążającej ich w jakimś trwożliwym bezwładzie. Nieco później Swann powiedział mi w tym przedmiocie coś, co nazwisku Surgis-le-Duc odjęło w moich oczach wszelką poezję, jaką w niem znajdowa-

lem. Margrabina<sup>2</sup> de Surgis-le-Duc miała o wiele większą sytuację w świecie i o wiele piękniejsze parantele, niż jej kuzyn, hrabia de Surgis, który, będąc ubogi, żył na wsi. Ale słówko kończące tytuł, owo „le Duc”, nie miało bynajmniej początków, które mu przypisywałem i które kazały mi je zbliżyć w wyobraźni z takim Bourg-l'Abbé, Bois-le-Roi, etc. Całkiem poprostu, któryś hrabia de Surgis ożenił się za Restauracji z córką bardzo bogatego przemysłowca, pana Leduc, albo Le Duc, syna znowuż fabrykanta produktów chemicznych, najbogatszego człowieka swojej epoki, para Francji. Dla syna zrodzonego z tego małżeństwa Karol X utworzył markizat Surgis-le-Duc, ile że markizat de Surgis istniał już w rodzinie. Przyrostek mieszczańskiego nazwiska nie przeszkodził tej gałęzi skoligacić się, dzięki olbrzymiemu majątkowi, z pierwszymi rodzinami Francji. Obecna margrabina de Surgis-le-Duc, sama z wielkiego domu, mogłaby mieć pozycję pierwszorzędną. Demon perwersji pchnął ją do tego, aby, gardząc osiągniętą już sytuacją, uciec od męża i żyć najskandaliczniej. Świata, którym pogardziła mając dwadzieścia lat, wówczas gdy był u jej stóp, zaczęło jej okrutnie brakować w trzydziestym roku, kiedy od dziesięciu lat nikt, z wyjątkiem nielicznych wiernych przyjaciółek, nie kłaniał się jej; wówczas postanowiła pracowicie odzyskać, punkt po punkcie, to co posiadała od urodzenia. Tęgo rodzaju peregrynacje nie są rzadkie.

Co się tyczy wielkich panów, jej krewnych, wzgardzonych niegdyś przez nią i z kolei jej okazujących wzdargę, radość jaką byłoby dla niej ściągnąć ich do siebie, składała margrabina na wspomnienia dzieciństwa. I mówiąc to dla pokrycia swego snobizmu, mniej może kłamała niż sądziła sama. „Błażej, to cała moja młodość!” powiadała w dniu kiedy książę powrócił do niej. I w istocie, to była trochę prawda. Ale źle obliczyła, obierając go na kochanka. Bo wszystkie przyjaciółki księżnej Oriany ujęły się za prawowitą żoną i w ten sposób pani de Surgis miała się po raz drugi osunąć ze skarpy, na którą z takim trudem przyszło się jej wdrapać.

— Więc tak! — mówił do niej p. de Charlus, który starał się przedłużyć rozmowę. Złoży pani mój hołd u stóp pięknego portretu. Jakże się miewa, co się z nim dzieje?

— Ależ — rzekła pani de Surgis — niech sobie pan wyobrazi, że go już nie mam; mężowi się nie podobał.

— Nie podobał! Jedno z arcydzieł naszej epoki, równe księżnej de Châteauroux Nattiera, zresztą kuszące się o utrwalenie nie mniej majestatycznej i zabójczej piękności. Och, ten błękitny kołnierzyk! Można powiedzieć, że nigdy Ver Meer nie namalował materji bardziej po mistrzowsku. Nie mówmy tego zbyt głośno, aby Swann nie napadł na nas, chcąc pomścić swego ulubionego malarza, mistrza z Delft.

Margrabina obróciła się z uśmiechem i podała rękę Swannowi, który uniósł się nieco, aby się jej uklonić. Ale prawie bez udania — jakgdyby podeszły wiek odjął mu bądź wolę moralną, przez obojętność na opinię, bądź władzę fizyczną, przez nasilenie żądz i osłabienie sprężyn zdolnych ją ukryć — z chwilą gdy Swann, ściskając rękę margrabiny, ujrzał zbliska i z wysoka jej gors, zapuścił baczne, poważne, pochłonięte, niemal zatroskane spojrzenie w głębiny biustu, a nozdrza jego, upojone zapachem kobiety, zatrzepotały niby motyl gotowy usiąść na dojrzałym kwiecie. Opanował nagle zawrót jaki go ogarnął, a sama pani de Surgis, mimo że zażenowana, zdławiła głęboki oddech, tak żądza bywa czasami zaraźliwa. „Malarz obraził się — rzekła do pana de Charlus — i odebrał portret. Mówiono mi, że jest teraz u Diany de Saint-Euverte. — Nie uwierzę nigdy — odparł baron — aby arcydzieło miało tak zły gust”.

— Mówi o jej portrecie. I ja pogwarzyłbym z nią niegorzej od Charlusa o tym portrecie — rzekł do mnie Swann, naśladowując rozwlekły akcent uliczników i ścigając oczami oddalającą się parę. — I to by mi sprawiło z pewnością więcej przyjemności niż Charlusowi — dodał.

Spytałem, czy to, co mówią o panu de Charlus, jest prawda, w czym kłamałem dubeltowo, bo o ile nie wiedziałem aby kiedy co mówiono, wzamian za to doskonale wiedziałem od niedawna, że to o czym myślę jest prawdą. Swann wzruszył ramionami, tak jakbym powiedział niedorzeczność:

<sup>2</sup>*margrabina Surgis-le-Duc* — kilkanaście stron przedstawił nam ją Proust jako księżnę de Surgis-le-Duc. [przypis redakcyjny]

— To znaczy — rzekł — że on jest czarujący przyjaciel. Ale czy potrzebuję dodawać, że to jest czysto platoniczne? Jest bardziej sentymentalny od innych, oto wszystko; z drugiej strony, ponieważ nie posuwa się nigdy zbyt daleko z kobietami, dało to pewne pozory prawdy niedorzecznym pogłoskom, o których pan wspomina. Charlus kocha może bardzo swoich przyjaciół, ale niech pan będzie pewny, że to się nigdy nie działo gdziekolwiek w głowie i w sercu. No, teraz może będziemy mieli parę chwil spokoju. Zatem, książkę Gilbert ciągnął dalej: „Przyznam ci się, że ta myśl o możebnej nielegalności w procedurze procesu była mi nadzwyczaj przykra, z powodu kultu jaki — wiesz o tem — mam dla armji; ponowiłem rozmowę z generałem i nie miałem już niestety żadnej wątpliwości w tym względzie. Powiem ci szczerze, Swann, że myśl, aby niewinny mógł cierpieć najhaniańszką karę, nie powstała mi nawet w głowie. Ale, poprzez tę myśl o nielegalności, zacząłem studjować to, czego wprzód nie chciałem czytać, i oto wątpliwości — tym razem już nie co do form procedury ale co do samej winy — zaczęły mnie nawiedzać. Nie uważałem za potrzebne wspominać o tem żonie. Bóg wie, że stała się równie dobrą Francuzką jak ja. Mimo wszystko, w dniu gdym ją zaślubił, włożyłem tyle kokieteryj w to aby jej pokazać całą piękność naszej Francji i co było dla mnie najpiękniejsze, jej armję, że było mi zbyt okrutne dzielić się z nią podejrzeniami, które dotykały, co prawda, jedynie kilku oficerów. Ale ja jestem z rodziny wojskowych, nie chciałem wierzyć, aby oficerowie mogli się mylić. Jeszcze raz pomówiłem z Beaucerfeulem; przyznał mi, że dokonano występnych machinacyj, że *bordereau* może nie jest ręki Dreyfusa, ale że jaskrawy dowód jego winy istnieje. To był dokument pułkownika Henry. I w kilka dni później wyszło na jaw, że to jest fałszerstwo! Wówczas, w sekrecie przed księżną, zacząłem czytywać codziennie »*Siecle*«, »*Aurore*«; niebawem nie miałem już żadnej wątpliwości, nie mogłem sypiać. Zwierzyłem się ze swoich cierpień moralnych naszemu przyjacielowi, księdzu Poiré, u którego, ku memu zdumieniu, spotkałem się z tem samym przekonaniem i kazałem mu odprawić mszę na intencję Dreyfusa, jego nieszczęśliwej żony i dzieci. Wśród tego wszystkiego, pewnego rana, udając się do księżnej, ujrzałem, że pokojówka jej kryje coś co trzyma w ręku. Spytałem, śmiejąc się, co to takiego; zaczerwieniła się i nie chciała powiedzieć. Miałem największe zaufanie do żony, ale to wydarzenie wstrząsnęło mnie bardzo, a z pewnością i księżnę, której pokojówka musiała je opowiedzieć, bo moja droga Marja ledwie się do mnie odezwała przy śniadaniu. Spytałem tego dnia księdza Poiré, czy mógłby odprawić nazajutrz moją mszę za Dreyfusa...

— Oho! — wykrzyknął Swann półgłosem, urywając.

Podniosłem głowę i ujrzałem księcia Błażeja, który szedł ku nam.

— Przepraszam, że wam przeszkadzam, moje dzieci. Kochany panie — rzekł zwracając się do mnie — jestem wydelegowany do pana przez Orianę. Gilbertostwo prosili nas, abyśmy zostali u nich na kolacji w jakieś pięć czy sześć osób: tylko księżna heska, pani de Ligné, pani de Tarante, pani de Chevreuse, księżna d’Arenberg. Na nieszczęście, nie możemy zostać, bo idziemy na taką sobie małą redutę.

Słuchałem księcia, ale ilekroć mamy coś do zrobienia w oznaczonym momencie, sami polecamy pewnej osobistości, przyzwyczajonej do tego rodzaju usług, aby pilnowała godziny i uprzedziła nas w porę. Ten niejako wewnętrzny kamerdyner przypomniał mi — jak go o to przed kilku godzinami prosiłem — że Albertyna, w tej chwili bardzo daleka moim myślom, ma przyjść do mnie zaraz po teatrze. To też odmówiłem pozostania na kolacji. Nie znaczy to, abym się nie czuł dobrze u księżnej. Tak więc ludzie mogą mieć kilka rodzajów przyjemności. Prawdziwa jest ta, dla której opuszczają inną. Ale ta znowuż, jeżeli jest jawna, lub nawet jedynie jawna, może zmylić co do pierwszej, uspakaja lub wiedzie na fałszywy trop zazdrosnych, myli sąd świata. A przecież, na to abyśmy poświęcili tę przyjemność dla tamtej, wystarczyłoby trochy szczęścia lub trochy cierpienia. Czasami trzecia kategoria przyjemności poważniejszych, ale bardziej istotnych, nie istnieje dla nas jeszcze; możliwość ich wyraża się w nas jedynie jakimś żalem, zniechęceniem. A jednak tym właśnie przyjemnościom oddamy się później. Aby dać tego przykład, zupełnie mimochodem: wojskowy w czasie pokoju wyrzecz się życia światowego dla miłości, ale z chwilą wypowiedzenia wojny (i nie potrzeba tu nawet wprowadzać pojęcia patriotyzmu, obowiązku) poświęci miłość dla silniejszej niż miłość namiętności bicia się.

Próżno Swann powiadał mi, że rad jest iż może mi opowiedzieć swoją historię; czułem, że nasza rozmowa, z powodu późnej pory i dolegliwej choroby Swanna, jest dlań

jednym z owych wysiłków, których ci, co wiedzą że zabijają się niespaniem lub ekscesami, rozpaczliwie żałują za powrotem do domu; tak jak rozrzutnicy żałują swoich szalonych wydatków, co im nie przeszkodzi jutro wyrzucać znów pieniądze za okno. Począwszy od pewnego stopnia osłabienia — czy spowodowanego wiekiem czy chorobą — wszelka przyjemność zażywana kosztem snu, łamiąca przyzwyczajenia, wszelki wybryk, stają się przykrością. Świetny causeur mówi dalej przez grzeczność, przez podniecenie, ale wie, że godzina, o której mógłby jeszcze usnąć, minęła, i wie także, jakimi wyrzutami będzie się obsypywał pod wpływem bezsenności i zmęczenia, które go czekają. Już nawet chwilowa przyjemność skończyła się; ciało i duch zbyt są wyprute z sił, aby przyjmować mile to, co partnerowi rozmowy wydaje się zabawne. Tacy ludzie podobni są do mieszkania w dniu wyjazdu lub przeprowadzki, kiedy, siedząc na kuferkach z oczami wlepionymi w zegar, odczuwa się każdą wizytę jako utrapienie.

— Nareszcie sami — rzekł Swann; nie wiem już na czym stanąłem. Nieprawdaż, mówiłem panu, że książe Gilbert prosił księdza Poiré, czyby mógł odprawić mszę za Dreyfusa. „Nie — rzekł mi ksiądz (mówię *mi*, rzekł Swann, bo to książe Gilbert mówi do mnie, rozumie pan?) — bo mam inną mszę, którą również polecono mi odprawić za niego. Jakto, rzekłem, więc jest jeszcze drugi katolik przeświadczony o jego niewinności? — Widocznie. — Ale opinia tego drugiego wyznawcy musi być świeższej daty niż moja? — A jednak ten zwolennik Dreyfusa już mi kazał odprawiać msze wówczas gdy książe jeszcze wierzył w jego winę. — A, widzę że to nie ktoś z naszej sfery. — Przeciwnie! — Doprawdy, są między nami dreyfusiści? Zaciekawiasz mnie księżę; chętnie bym z nim pogadał, jeżeli znam tego rzadkiego ptaka. — Zna go książe. — A jego nazwisko? — Księżna Marja de Guermantes”. Podczas gdy ja się bałem urazić nacjonalistyczne poglądy i francuskość mojej drogiej żony, ona bała się drażnić moje przekonania religijne, moje patriotyczne uczucia. Ale na swoją rękę myślała tak jak ja, mimo iż dawniej odemnie. I to co pokojówka ukrywała wchodząc do jej pokoju, co kupowała księżnej każdego rana, to był numer »Aurore«. Mój drogi Swann, z tą chwilą pomyślałem o przyjemności, jaką ci sprawię, zwracając ci, jak bardzo moje poglądy na tym punkcie bliskie są twoich: daruj mi, żem tego nie uczynił wcześniej. Jeżeli weźmiesz pod uwagę milczenie, jakie zachowałem wobec księżnej, nie zdziwisz się, że myśleć tak jak ty byłoby mnie jeszcze bardziej oddaliło od ciebie, niż myśleć inaczej. Bo ten przedmiot stał mi się niezmiernie przykry. Im bardziej wierzę, że popełniono omyłki a nawet zbrodnie, tem bardziej krwawi się moja miłość armji. Sądziłem, że poglądy podobne do moich nie są zdolne obudzić w tobie tej samej boleści, aż powiedziano mi pewnego dnia, że ty energicznie odpierasz obelgi miotane na armję i potępiasz to iż dreyfusiści łączą się z jej wrogami. To mnie zdecydowało; przyznaję, że mi było ciężko wyznać ci, co myślę o niektórych oficerach, nielicznych na szczęście, ale ulgą jest dla mnie nie musieć stronić od ciebie, a zwłaszcza chcę abyś był przeświadczony, że jeżeli mogłem trwać w innych uczuciach, to dlatego, żem nie wątpił o słuszności wyroku. Z chwilą gdy zacząłem wątpić, mogłem pragnąć już tylko jednej rzeczy, naprawienia błędu”. Przyznaję, że słowa księcia Gilberta głęboko mnie wzruszyły. Gdyby go pan znał tak jak ja, gdybyś wiedział, z jak daleka musiał wędrować aby dojść do tego punktu, miałbyś dlań podziw, i zasługuje na to. Zresztą sąd jego nie dziwi mnie, to natura tak prawa!

Swann zapominał, że jeszcze tego dnia mówił mi przeciwnie, że o poglądach w tej sprawie Dreyfusa rozstrzyga atawizm. Conajwyżej zrobił wyjątek dla inteligencji, ponieważ u Roberta de Saint-Loup zdołała ona pokonać dziedziczność i zrobić zeń stronnika Dreyfusa. Otóż ujrzał przed chwilą, że to zwycięstwo było krótkotrwałe i że Saint-Loup przeszedł do drugiego obozu. Teraz zatem rolę przyznaną wprzód inteligencji dawał Swann prawości charakteru. W istocie, zawsze odkrywamy wstecz, że nasi przeciwnicy mieli jakieś racje aby należeć do swego stronnictwa, ale racją tą nie jest nigdy słuszność; jeżeli zaś inni myślą tak jak my, to dlatego, że inteligencja — o ile ich poziom moralny jest zbyt niski aby się nań powoływać — albo prawość charakteru — o ile nie odznaczają się bystrością umysłu — zmusiły ich do tego.

Swann przyznawał teraz bez różnicy inteligencję tym co byli jego zdania; swemu starremu przyjacielowi, księciu Gilbertowi, i memu koledze Blochowi, którego dotąd raczej unikał a którego teraz zaprosił na śniadanie. Swann zainteresował bardzo Blocha oznaj-

mieniem, że książę Gilbert jest dreyfusistą. „Trzebaby go poprosić, aby podpisał nasz adres za Picquartem; takie nazwisko sprawiłoby byczy efekt.” Ale Swann ze swoim żarliwym przekonaniem izraelity łącząc dyplomatyczny umiar światowca, którego przyzwyczajeniami zanadto nasiąkł, aby się ich móc tak późno wyzbyć, wzdragał się upoważnić Blocha do przesłania księciu — nawet samorzutnie — listy do podpisu. „On tego nie może uczynić, nie trzeba od niego żądać niepodobieństw — powtarzał Swann. — To jest uroczy człowiek, który zrobił tysiące mil, aby przybyć do nas. Może nam być bardzo użyteczny. Gdyby podpisał pańską listę, skompromitowałby się poprostu w oczach swego świata, miałby z powodu nas przykrości, może pożałowałby swoich zwierzeń i poniechałby ich na przyszłość”.

Co więcej, Swann odmówił własnego nazwiska. Uważał je za zbyt hebrajskie, aby nie miało zrobić złego wrażenia. A potem, o ile pochwalał wszystko co tyczyło rewizji procesu, nie chciał być w niczem wmieszany w kampanję antymilitarną. Nosił — czego nigdy nie robił przedtem — odznaczenie, jakie zdobył jako zupełnie młody żołnierz w r. 1870, i dodał do swego testamentu kodycył, z prośbą aby, wbrew jego poprzednim rozporządzeniom, oddano mu honory wojskowe jako kawalerowi Legji honorowej. Co zgromadziło dokoła kościoła w Combray cały szwadron owych kawalerzystów, nad których przyszłością płakała niegdyś Franciszka, kiedy sobie uprzytomniała perspektywę wojny. Krótko mówiąc, Swann odmówił podpisu na adresie Blocha, dzięki czemu, o ile w oczach wielu uchodził za zagorzałego dreyfusistę, kolega mój uznał go „letnim”, zatrutym przez nacjonalizm, bałwochwalcą munduru.

Swann opuścił mnie bez uścisku dłoni, aby uniknąć pożegnań w tej sali, gdzie miał za wielu przyjaciół; ale szepnął: „Powinienby pan odwiedzić swoją przyjaciółkę Gilbertę. Naprawdę wyrosła i zmieniła się, nie poznałby jej pan. Byłaby taka szczęśliwa!” Nie kochałem już Gilberty. Była dla mnie jak umarła, którą się długo oplakiwało; potem przyszło zapomnienie, i gdyby zmartwychwstała, nie mogłaby już wejść w życie zupełnie jej obce. Nie miałem już ochoty widzieć jej, ani nawet ochoty pokazać że mi nie zależy na jej widzeniu, mimo iż codziennie, wówczas gdym kochał, przyrzekałem sobie okazać to, kiedy jej już nie będę kochał.

Toteż, starając się już tylko zachować wobec Gilberty pozór że pragnąłbym z całego serca ją odnaleźć i że mi w tem przeszkodziły okoliczności rzekomo „niezależne od mojej woli” (które jednak zachodzą w rzeczywistości jedynie wtedy kiedy wola im nie przeciwdziała), daleki od zdradzania chłodu wobec zaproszeń Swanna, prosiłem go na odchodnym, aby wytłumaczył szczegółowo córce przeszkody jakie mnie pozbawiły i jeszcze pozbawiają możliwości odwiedzenia jej. Napiszę do niej zresztą zaraz po powrocie do domu — dodałem. Ale niech pan jej powie, że to będzie list z pogrózkami, bo za miesiąc lub dwa będę zupełnie wolny, a wówczas niech drży, bo będę u państwa tkwił równie często jak dawniej”.

Zanim się rozstałem ze Swannem, wspomniałem o jego zdrowiu. — Nie, to nie jest tak źle — odparł. Zresztą, jak panu mówiłem, jestem dość zmęczony i przyjmuje z rezygnacją wszystko co się może zdarzyć. Jedynie wyznaję, że byłoby bardzo irytujące umrzeć przed końcem sprawy Dreyfusa. Wszystkie te łajdaki mają jeszcze niejedną sztuczkę w rękawie. Nie wątpię, iż poniosą w końcu klęskę, ale ostatecznie są bardzo potężni, mają oparcie wszędzie. W chwili gdy rzeczy idą najlepiej, wszystko trzaska. Chciałbym żyć natyle, aby widzieć Dreyfusa zrehabilitowanym, a Picquarta pułkownikiem.

Kiedy Swann odszedł, wróciłem do sali balowej, gdzie znajdowała się owa księżna Marja de Guermantes, z którą — o czym nie wiedziałem wówczas — miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus<sup>3</sup>. Zauważyłem tylko, że, począwszy od pewnej epoki, baron, nie zdradzając w stosunku do księżnej Marji żadnej niechęci (która nie byłaby u niego niczem osobliwym), wciąż mając dla niej tyleż, może nawet więcej przywiązania, był wyraźnie niezadowolony i zły za każdym razem kiedy mu o niej mówiono. Nie podawał już nigdy jej nazwiska na liście osób, które pragnąłby widzieć na jakimś obiedzie.

<sup>3</sup>owa księżna Marja de Guermantes, z którą (...) miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus — całej tej partji opowiadania, zarówno jak przyszłej zażyłości bohatera utworu z księżną Marją, Proust nie rozwinął; osoba księżnej ginie z powieści prawie bez śladu. [przypis redakcyjny]



Prawda iż przedtem jeszcze słyszałem z ust jakiegoś złośliwego bywalca, że księżna Marja całkiem się zmieniła, że się kocha w panu de Charlus, ale ta obmowa wydała mi się idjotyczna i oburzyła mnie. Zauważyłem ze zdziwieniem, że kiedym coś opowiadał o sobie i kiedy w tem opowiadaniu była mowa o panu de Charlus, księżna Marja okazywała wówczas ten wyższy stopień uwagi, który sprawia, iż chory, który, słuchając jak mówimy o sobie (tem samym słuchając z roztargnieniem i obojętnie), poznaje nagle nazwę choroby którą jest dotknięty, co go równocześnie interesuje i cieszy. Kiedy naprzykład wspomniałem: „Właśnie pan de Charlus opowiadał mi...”, księżna Marja ujmowała niejako zwolnione cugle swojej uwagi. I kiedy raz powiedziałem przy niej, że p. de Charlus darzy w tej chwili dość żywym uczuciem pewną osobę, ujrzałem ze zdziwieniem w oczach księżnej odmienny i chwilowy błysk, znaczący w źrenicach niby ślad pęknięcia a zrodzony z myśli, jaką bezwiednie słowa nasze poruszyły w osobie do której mówimy — myśli sekretnej, która nie wyrazi się w słowach, ale z poruszonych przez nas głębin wzniesie się na zmienioną przez chwilę powierzchnię wzroku. Ale, jeżeli moje słowa wzruszyły księżną Marję, nie domyślałem się w jaki sposób.

Zresztą, wkrótce potem, księżna zaczęła mówić ze mną o panu de Charlus, i prawie bez ogródek. Jeżeli robiła aluzję do pogłosek, jakie nieliczne osoby rozpuszczały o baronie, to jedynie jako do niedorzecznych i haniebnych potwarzy. Ale z drugiej strony, mówiła: „Uważam, iż kobieta któraby się zajęła człowiekiem tak olbrzymiej wartości jak Palamed, powinny mieć dość inteligencji, dość poświęcenia, aby go uznać i zrozumieć całego, takim jak jest, szanować jego swobodę, jego kaprysy, starać się jedynie usuwać mu trudności i pocieszać go w strapieniach”. Otóż, przez takie odezwania się, mimo iż mgliste, księżna Marja odsłaniała to, co starała się uświetnić — w taki sam sposób, w jaki czynił to czasem sam p. de Charlus. Słyszałem wszak nieraz, jak mówił do osób niepewnych jeszcze czy plotki krążące o nim są potwarzą: „Bywałem w życiu na wozie i pod wozem; znałem ludzi wszelkiego rodzaju, tak złodziejów jak królów, a nawet, muszę powiedzieć, z lekką predylekcją do złodziejów; ściagałem piękność pod wszelką jej postacią, etc...” Tego rodzaju powiedzenia wydawały się panu de Charlus zręczne; otóż zaprzeczając pogłoskom których istnienia ktoś nie znał (lub użyczając prawdzie, przez dobry smak, przez umiar, przez troskę o prawdopodobieństwo, cząstki którą on jeden uważał za minimalną), baron odejmował ostatnie wątpliwości jednym, a budził ich zaczątek w drugich, nie mających ich jeszcze. Bo najniebezpieczniejszem ze wszystkich utajeń, jest utajenie samej winy w duszy winnego. Nieustanna jej świadomość nie pozwala mu się domyślić, jak dalece świat o niej nie wie i jak łatwo uwierzyłby pełnemu kłamstwu; ani też w zamian nie pozwala zdać sobie sprawy, przy jakim stopniu prawdy, w słowach które jemu wydają się niewinne, zaczyna się dla drugich wyznanie. Żeby zresztą czynił na każdy sposób, starając się taić tę prawdę, bo niema występków, któreby w wielkim świecie nie znajdowały życzliwego poparcia; zdarzało się, że przeinaczano całe urządzenie zamku, poto aby dać pokój jednej siostrze koło drugiej, z chwilą gdy się dowiedziano że się kochają nietylko jak siostry.

Miłość księżnej Marji zdradził mi zwłaszcza pewien oderwany fakt, przy którym nie będę się tu zatrzymywał, bo należy do całkiem innej historii. W owej historii<sup>4</sup> p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego, wobec którego baron czuł się straszliwie onieśmielony. Jednakże, aby skończyć z miłością księżnej Marji, powiedzmy, jaki drobiazg otworzył mi oczy w tej mierze. Byliśmy owego dnia sami w powozie. W chwili gdyśmy przejeżdżali koło poczty, kazała stanąć. Nie wzięła z sobą lokaja. Wysunęła z mufki list i uczyniła ruch taki, jakby chciała wysiąść aby list wrzucić do skrzynki. Chciałem ją zatrzymać, broniła się lekko, i już zdawaliśmy sobie oboje sprawę, że jej gest był kompromitujący, stwarzający wrażenie jakiegoś ukrywanego sekretu, mój zaś niedyskretny, naruszający ten sekret. Ona opamiętała się pierwsza. Zacerwieniwszy się nagle mocno, podała mi list; nie śmiałem go już nie wziąć, ale wrzucając list do skrzynki, ujrzałem niechęć adres pana de Charlus.

<sup>4</sup>należy do całkiem innej historii. W owej historii p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego — i tej historii nigdy Proust nie napisał. [przypis tłumacza]

Ale powróćmy do owego pierwszego wieczora u księżnej Marii. Poszedłem się z nią pożegnać, bo księstwo Błażejowie mieli mnie odwiedzić do domu, a bardzo się spieszyli. Ale książę chciał zamienić słówko z bratem, bo pani de Surgis zdążyła gdzieś za drzwiami szepnąć mu że baron był przemiły dla niej i dla jej synów. Ta wielka uprzejmość brata — pierwsza jaką mu okazał w tym zakresie — głęboko wzruszyła Błażeja i obudziła w nim uczucia rodzinne, nigdy zresztą nie zasypiające w nim na długo. W chwili gdyśmy się zegnali z księżną Marją, starał się, nie dziękując wprost bratu, okazać mu swoją czułość, czy że w istocie trudno mu ją było powściągnąć, czy że chciał aby baron zapamiętał, że jego zachowanie się tego wieczora nie przeszło w oczach brata niepostrzeżone — podobnie jak psu, który pięknie służył, daje się cukru, celem stworzenia w nim na przyszłość zbawiennych skojarzeń.

— I cóż, braciszku — rzekł książę zatrzymując pana de Charlus i biorąc go czule pod ramię — tak się przechodzi koło starszego brata, nie witając się z nim nawet? Nigdy cię już nie widzę, Mémé, nie masz pojęcia, jak mi tego brakuje. Przeglądając stare szparagały, znalazłem właśnie listy naszej biednej mamy, zawsze takie serdeczne dla ciebie.

— Dziękuję, Błażeju — odparł p. de Charlus zmienionym głosem, bo nigdy nie mógł bez wzruszenia mówić o matce.

— Powinienbyś się zgodzić, żebym ci urządził skrzydło w Guermentes — dodał książę.

— To ładnie widzieć dwóch braci w takich czułościach — rzekła księżna Marja do bratowej.

— Och, co do tego, nie sądzę aby można było znaleźć wielu takich braci. Zaproszę pana z nim razem — przyrzekła mi księżna Oriana. Nie jest pan z nim źle?... Ale co oni mogą mieć sobie do powiedzenia — dodała niespokojnie, bo nie słyszała dobrze co mówili. Zawsze była nieco zazdrosna o przyjemność, jaką p. de Guermentes znajdował w rozmowie z bratem, o przeszłość od której trzymał żonę trochę zdała. Czuli, że kiedy im tak jest dobrze z sobą i kiedy ona, nie mogąc powstrzymać niecierpliwej ciekawości, podchodzi do nich, obecność jej nie jest im miła. Ale tego wieczora, z ową zwyczajną zazdrością łączyła się inna. Bo jeżeli pani de Surgis opowiedziała panu de Guermentes o uprzejmości brata, iżby mu za to podziękował, równocześnie serdeczne przyjaciółki państwa de Guermentes uważały za obowiązek uprzedzić Oriane, że kochankę jej męża widziano sam na sam z jego bratem. I panią de Guermentes dręczyło to.

— Przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi niegdyś w Guermentes — ciągnął książę Błażej, zwracając się do pana de Charlus. Gdybyś tam przyjechał czasem w lecie, wskrzesiliśmy błogie dni. Przypominasz sobie starego Courveau ze swoim: Dlaczego Pascal jest wzruszający? bo jest wzru... wzru...

— Szony, wyrecytował p. de Charlus, tak jakby jeszcze wydawał lekcję nauczycielowi. A czemu Pascal jest wzruszony: bo jest wzru... bo jest wzruszający. Bardzo dobrze, zdasz egzamin, a księżna pani kupi ci słownik chiński.

— Czy pamiętam, drogi Mémé, a stary wazon chiński, który ci przywiózł Hervey de Saint-Denis, widzę go jeszcze! Groziłeś nam, że się wyniesiesz na stałe do Chin, taki byłeś zachwycony tym krajem; już wówczas lubiłeś dalekie włóczęgi. Och, ty byłeś specjalny typ; można powiedzieć, że w niczem nie miałeś gustów takich jak inni...

Ale zaledwie książę Błażej wyrzekł te słowa, ugryzł się, jak to powiadają, w język, bo znał, jeżeli nie obyczaj, to przynajmniej reputację brata. Ponieważ nie wspominał o tem nigdy, był tem bardziej zażenowany, że powiedział coś, co mogło wyglądać na dwuznaczną aluzję, a jeszcze bardziej tem, że wydał się zażenowany. Po chwili milczenia, aby zatrzeć wrażenie ostatnich słów, dodał:

— Kto wie, kochałeś się może w jakiej Chince, zanim ci przyszło kochać i rozkochać w sobie tyle białych, jeżeli mam o tem sądzić po pewnej damie, której sprawiłeś wielką przyjemność, rozmawiając z nią dziś wieczór. Jest tobą oczarowana.

Książę przyrzekł sobie nie mówić o pani de Surgis, ale w zamęcie, jaki wniosła w jego myśli świeżo popełniona gaffa, rzucił się na najbliższy temat, właśnie ten który nie powinien był się zjawiać w rozmowie, mimo że był jej powodem. Ale p. de Charlus zauważył rumieniec brata. I jak zbrodniarze, którzy, nie chcąc okazać zakłopotania, kiedy się mówi przy nich o niewykrytej zbrodni, silą się podtrzymać niebezpieczną rozmowę, odparł:

— Bardzo mnie to cieszy, ale pragnę wrócić do poprzedniego zdania, które mi się wydaje głęboko prawdziwe. Powiedziałeś, że nigdy nie miałem pojęć takich jak wszyscy; jakie to trafne; mówiłeś, że mam specjalne gusty.

— Ależ nie — zaprotestował p. de Guermantes, który w istocie nie powiedział tych słów i nie pomawiał może brata o to co one mogły znaczyć. Zresztą, czyżby się czuł w prawie dręczyć go dla anomalij, które w każdym razie zostały na tyle wątpliwe lub na tyle ukryte, aby nie szkodzić w niczem wspaniałej sytuacji barona? Co więcej, czując w sytuacji brata ewentualne oparcie dla swoich kochanek, książę powiedział sobie, że to jest warte w zamian paru miłych słów; i gdyby znał w tej chwili jakiś „specjalny” stosunek brata, i tak, w nadziei spodziewanego poparcia — skojarzonej z pietyzmem dla pewnych wspomnień — książę Błażej przeszedłby nad tem do porządku przymykając oczy, a w potrzebie użyłby bratu pomocnej ręki.

— Ależ, Błażeju; dobry wieczór Palamedzie — rzekła księżna, która trawiona irytacją i ciekawością, nie mogła już wytrzymać — jeżeliście postanowili spędzić noc tutaj, lepiej żebyśmy zostali na kolacji. Trzymacie nas obie z Marią na nogach od pół godziny.

Książę opuścił brata po znaczącym uścisku i zesłiśmy we troje po olbrzymich schodach pałacu.

Z obu stron, na najwyższych stopniach, grupowały się pary, czekające aż zajędzie powóz. Wyprostowana, odcinająca się od innych, mająca po bokach męża i mnie, księżna Oriana stała po lewej stronie schodów, już zawinięta w swój płaszcz a la Tiepolo, z szyją ujętą w rubinowy fermuar, pożerana oczami przez kobiety, przez mężczyzn, siłujących się podchwycić sekret jej elegancji i urody. Czekając na powóz na tym samym stopniu ale po przeciwnej stronie schodów, pani de Gallardon, która od dawna straciła nadzieję wizyty swojej kuzynki, odwróciła się plecami, aby nie okazać że ją widzi, a zwłaszcza nie dostarczyć dowodu że się jej księżna nie kłania. Pani de Gallardon była w fatalnym humorze, bo panowie, którzy jej towarzyszyli, uważali za obowiązek zabawiać ją Oriana.

— Nie zależy mi wcale na jej widoku — odparła — widziałem ją zresztą przed chwilą, zaczyna się starzeć, zdaje się że się nie może z tem pogodzić. Błażej sam to powiada. Ba, rozumiem ją, nie jest inteligentna, jest zła jak osa, i ma fatalne wzięcie, czuje więc że kiedy straci urodę, nie zostanie jej nic.

Włożyłem palto, co p. de Guermantes, który się bał zaziębień, zganil z powodu gorąca panującego na schodach. A pokolenie arystokracji, które mniej lub więcej przeszło przez biskupa Dupanloup, mówi (z wyjątkiem Castellane'ów) tak lichą francuszczyzną, że książę wyraził swoją myśl tak: „Lepiej jest nie nakrywać głowy przed wyjściem, przynajmniej jako tezę ogólną”.

Widzę całe to wyjście; widzę — jeżeli nie przez omyłkę pomieszczę go na tych schodach niby portret wyrwany z ramy — księcia de Sagan, dla którego to był ostatni wieczór w „świecie”, jak odkrywa głowę, aby złożyć ukłon księżnej z tak szerokim gestem szapokłaka w białą urękawiczoną rękę, stanowiącej *pendant* do gardenji w klapie iż dziw był, że to nie jest piłśniowy kapelusz z piórem owego *ancien régime*, z którego liczne twarze przodków powtórzyły się wiernie w twarzy tego wielkiego pana. Zatrzymał się zresztą tylko chwilę przy Orianie, ale jego pozy, nawet chwilowe, wystarczały, aby stworzyć cały żywy obraz i jakby historyczną scenę. Ponieważ zresztą umarł niebawem, a za życia zaledwie go widziałem, stał się dla mnie tak bardzo figurą z historii — bodaj z historii „światowej” — że zdarza mi się zdziwić, gdy pomyślę, że jego siostra i siostrzenica należą do moich znajomych.

Podczas gdyśmy schodzili w dół, wstępowała po schodach z wyrazem zmęczenia, z którym jej było do twarzy, kobieta wyglądająca na lat czterdzieści, mimo że ich miała więcej. Była to księżna d'Orvilliers, naturalna córka (jak mówiono) księcia Parmy, której słodki głos barwił się lekkim austriackim akcentem. Posuwała się, wysoka, pochylona, w białej jedwabnej sukni w kwiaty, pozwalając swojej czarującej, pulsującej i zmęczonej piersi dyszeć poprzez rząd djamentów i szafirów. Potrząsając głową niby królewska klacz, której zawadzałaby uprzęż nabijana perłami bezcennej wartości i uciążliwej wagi, wodziła swoje słodkie i urocze spojrzenia, których błękit, w miarę zużycia, nabierał jeszcze więcej słodczy. Idąc, zęgnąła większość odchodzących przyjacielskim skinieniem głowy.

— O ładnej godzinie przychodzisz, Paulinko! — rzekła księżna Oriana.

— Och, tak, bardzo żałuję. Ale doprawdy, nie było fizycznej możliwości — odparła księżna d'Orvilliers, która przejęła od Oriany ten rodzaj wyrażenia, ale okraszała je naturalną słodyczą i wyrazem szczerości, jaki tkliwemu jej głosowi dawał lekko germański akcent. Robiła wrażenie, że czyni aluzję do komplikacji życia zbyt długich do opowiedzenia, a nie poprostu do innych przyjęć, z których wracała w tej chwili. Ale nie one były przyczyną tego spóźnienia. Ponieważ książe Gilbert przez długie lata zabraniał żonie przyjmować pani d'Orvilliers, ta, kiedy uchylono interdykt, ograniczała się do rzucania biletów, aby się nie wydawało że jest spragniona zaproszeń. Po paru latach tej metody, zaczęła przychodzić sama, ale późno, jakby po teatrze. W ten sposób stwarzała pozór, że jej nie zależy na wieczorze, ani na tem aby ją tam widziano; ale że poprostu oddaje wizytę księciu Gilbertowi i księżnej Marji, jedynie dla nich, przez sympatię, w chwili gdy po odejściu większości obecnych, lepiej będzie mogła „ich mieć dla siebie”.

— Oriana doprawdy spadła na ostatni szczebel — mruzczała pani de Gallardon. — Nie rozumiem, że Błażej pozwala jej mówić z taką d'Orvilliers. To pewna, że mój mąż nie pozwoliłby mi na to.

Co do mnie, poznałem w pani d'Orvilliers kobietę, która w pobliżu pałacu Guermantes rzuciła mi długie tęskne spojrzenia, odwracała się, zatrzymywała się przed szybami sklepowymi. Księżna przedstawiła mnie; pani d'Orvilliers była urocza, ani zbyt uprzejma, ani chłodna. Spojrzała na mnie jak na wszystkich swojemi słodkimi oczami... Ale nie miałem już nigdy, ilekroć ją spotkałem, uzyskać od niej najmniejszego z owych gestów, w których zdawała się oddawać. Są specjalne spojrzenia, robiące wrażenie że ktoś nas poznaje, które młody człowiek otrzymuje od pewnych kobiet — i od pewnych mężczyzn — jedynie do dnia, w którym go w istocie poznali i dowiedzieli się że jest przyjacielem ich przyjaciół.

Oznajmiono, że powóz zajechał. Pani de Guermantes ujęła czerwoną spódnicę jakgdyby poto aby zejść i wsiąść do karety; ale powodowana może wyrzutem lub chęcią sprawienia przyjemności, a zwłaszcza skorzystania z krótkości czasu, jaką fizyczna niemożność zakreślała tak nudnemu aktowi, spojrzała na panią de Gallardon, potem, jakgdyby ją dopiero spostrzegła, przebyła, zanim zeszła na dół, całą szerokość stopnia i dotarłszy do zachwyconej kuzynki, podała jej rękę.

— Jakże dawno... — rzekła księżna. I, aby nie musieć dłużej rozwijać wszystkiego co w zakresie żalów i wyjaśnień zawierała ta formułka, obróciła się z przerażoną miną ku księciu, który zeszedłszy ze mną do karety, w istocie grzmiał, widząc iż żona zatrzymuje się przy pani de Gallardon i wstrzymuje ruch dalszych pojazdów.

— Oriana jest jednak jeszcze bardzo piękna — rzekła pani de Gallardon. — Bawią mnie ludzie, którzy mówią, że my jesteśmy chłodno z sobą; możemy — z przyczyn, w które nie potrzebujemy nikogo wtajemniczać — nie widywać się całe lata, ale i tak mamy zbyt wiele wspólnych wspomnień aby się naprawdę kiedykolwiek rozejść. W gruncie ona wie dobrze, że mnie kocha bardziej niż tylu ludzi których widuje codzień a którzy nie są z jej sfery.

Pani de Gallardon była w istocie niby ci wżgardzeni kochankowie, którzy chcą wszelkimi siłami wmówić, że są bardziej kochani, niż ci których pieści ich luba. I pochwałami swemi, któremi, bez troski o sprzeczność z tem co mówiła przed chwilą, obsypała księżnę de Guermantes, pani de Gallardon dowiodła pośrednio, że Oriana posiada do gruntu zasady, jakimi w swojej karierze winna się rządzić wielka elegantka, która, właśnie w chwili gdy jej najcudniejsza toaleta wzbudza — obok podziwu — zawiść, powinna umieć przebyć całą szerokość schodów, aby tę zawiść rozbroić.

— Uważaj choć, żeby nie zmoczyć trzewików (spadł świeżo mały deszcz), rzekł książe, jeszcze wściekły że czekał.

W czasie powrotu, z powodu szczupłości karety, czerwone trzewiki znalazły się bardzo blisko moich, a pani de Guermantes, bojąc się że mogły ich dotknąć, rzekła do księcia:

— Ten młody człowiek będzie zmuszony powiedzieć mi, jak na jakiejś karykaturze: „Niech mi pani zaraz powie że mnie pani kocha, ale niech mi pani tak nie depce po nogach”.

Moje myśli były zresztą dość daleko od pani de Guermantes. Od czasu jak Saint-Lo-up wspomnił mi o młodej panie wielkiego rodu, uczęszczającej do domu schadzek, i o pokojówce baronowej Putbus, w dwóch tych osobach tworzących jedną bryłę stre-

ściły się pragnienia budzone we mnie codzien przez tyle piękności z dwóch klas: z jednej strony pospolite i wspaniałe majestatyczne panny służące z wielkiego domu, wzdęte pychą i używające słowa „my” mówiąc o księżnych; z drugiej strony owe młode dziewczęta, których nazwisko wystarczało mi czasem wyczytać w sprawozdaniu z balu — nawet gdy ich nie widział w powozie lub pieszo — abym się w nich zakochał i abym, przeszukawszy sumiennie w skorowidzu zamki gdzie spędzają lato, marzył (często dając się zmylić podobieństwu nazwiska) kolejno o tem aby mieszkać w równiach Zachodu, na dunach Północy, w piniowych lasach Południa. Ale daremnie stapałem cały najrozkoszniejszy materiał cielesny, aby, w myśl kreślonego mi przez Roberta ideału, stworzyć lekkomyślną pannę oraz pokojówkę pani Putbus; dwóm tym przystępnym pięknościom brakowało tego, czego nie mogłem znać, dopóki bym ich nie ujrzał naocznie: indywidualności. Naprawdę miałem się męczyć, starając się — w ciągu miesięcy, w których wolałbym pokojówkę — wyobrazić sobie pannę służącą pani Putbus. Ale, po okresie, kiedy mnie wciąż nękała niespokojna żądza tyłu ulotnych istot, których często nie znałem nawet imienia, które były w każdym razie tak trudne do odnalezienia, bardziej jeszcze do poznania, niepodobne może do zdobycia, cóż za spokój wybrać z tej rozsianej, pierzchliwej, bezimiennej Piękności dwa przednie okazy, opatrzone strzałką kierunkową, co do których byłem bodaj pewny, że mogę je sobie sprokurować dowoli. Odsuwałem godzinę tej podwójnej rozkoszy, niby godzinę pracy; ale pewność, że ją będę miał kiedy zechcę, uwalniała mnie niemal od jej zrealizowania, jak owe proszki nasenne, które wystarczy mieć pod ręką aby ich nie potrzebować i zasnąć. Pragnąłem w całym świecie jedynie dwóch kobiet, których twarzy coprawda nie mogłem sobie wyobrazić, ale których nazwiska podał mi Saint-Lo-up, ręcząc za ich uczynność. Tak iż jeżeli swymi niedawnymi słowami zadał ciężką pracę mojej wyobraźni, zapewnił mi w zamian cenne odprężenie, trwały spokój woli.

— I cóż — rzekła księżna Oriana — poza balami, czy nie mogę panu być w niczem użyteczna? Czy jest salon, do którego miałby pan ochotę abym pana wprowadziła?

Odpowiedziałem, że się boję, aby jedyny salon, który budzi we mnie tę ochotę, nie był dla niej za mało elegancki. „Cóż to takiego?” spytała groźnym i chrapliwym głosem, prawie nie otwierając ust. — Baronowa Putbus”.

Tym razem księżna udała prawdziwy gniew.

— Nie, doprawdy, zdaje się że pan kpi sobie ze mnie! Nie wiem nawet, jakim cudem znam nazwisko tej klempy. Ależ to są szumowiny! To tak, jakby mnie pan prosił, żebym pana przedstawiła mojej krawcowej. A i to nie, moja krawcowa jest urocza. Pan jest trochę pomyłony, mój biedny chłopcze. W każdym razie, błagam, niech pan będzie grzeczny dla osób którym pana przedstawiłam, niech im pan rzuci bilety i pójdzie do nich z wizytą, i niech im pan nie opowiada o baronowej Putbus, której nie znają.

Spytałem, czy pani d’Orvilliers nie jest potrosze osobą lekkich obyczajów. — Och, wcale nie, myli ją pan z kimś; raczej świętula. Prawda, Błażeju? — Tak, w każdym razie nie sądzę, aby kiedy o niej coś mówiono, rzekł książę.

— Nie chce pan iść z nami na redukę? spytał. Pożyczę panu weneckiego płaszcz. Znam kogoś, komu by to zrobiło djabelną przyjemność; najpierw Orianie — tego nie potrzeba mówić — ale księżnej Parmy. Cały czas śpiewa hymny na pańską cześć, mówi tylko o panu. Szczęściem dla pana — szczęściem, bo jest trochę przejrzała — jest absolutnie cnotliwa. Bez tego, wzięłaby pana z pewnością za *cicisbeo*, jak się mówiło za czasu mojej młodości; rodzaj *cavaliere servante*.

Nie zależało mi na reducie, a zależało mi na schadzce z Albertyną. Toteż wymówiłem się. Karetą się zatrzymała, lokaj krzyknął na odźwiernego, konie parskały, aż wreszcie otwarto bramę na oścież i powóz wjechał w dziedziniec.

— Do zobaczyska — krzyknął książę.

— Żalowałam czasami, że mieszkam tak blisko Marji — rzekła do mnie księżna — bo o ile ją bardzo lubię, o tyle troszkę mniej lubię ją widywać. Ale nigdy nie żalowałam tej bliskości tak jak dzisiaj, skoro przez to tak prędko musimy się rozstać.

— No, Oriano, bez przemów.

Księżna chciała, abym wstąpił na chwilę do nich. Uśmieła się serdecznie, zarówno jak i książę, kiedym powiedział, że nie mogę, bo pewna młoda panienska ma być u mnie z wizytą. „Ma pan zabawną godzinę na przyjmowanie wizyt, rzekła. — No, moje dziecko, spieszymy się, rzekł pan de Guermantes do żony. Jest trzy kwadranse na dwunastą,

a jeszcze mamy się przebrać”... Ale natknął się na dwie damy z laskami, które surowo strzegły bramy: nie lękały się zstąpić nocną porą ze swoich wyżyn aby zapobiec skandalowi. „Błazeju, chciałyśmy cię uprzedzić, bojąc się aby cię nie ujrzano na tej reducie; biedny Amanian właśnie skończył, będzie godzina temu”. Książę przestraszył się przez chwilę. Widział sławną redutę walącą się dłań w gruz, z chwilą gdy go te przeklęte „góralki” uprzedziły o śmierci pana d’Osmond. Ale opanował się szybko i rzucił dwóm kuzynkom zdanie, w które, wraz z postanowieniem nie wyrzeczenia się przyjemności, włożył swoją niezdolność ścisłego przyswojenia sobie użytku słów: „Umarł! ale nie, przesadzają, przesadzają!” I nie zajmując się więcej kuzynkami, które, zbrojne w alpensztoki, miały się wspinać po nocy do swojej siedziby, rzucił się gorączkowo na lokaja:

— Czy mój kask przyszedł? — Tak, proszę księcia. — Jest dziurka do oddechania? Nie mam ochoty się udusić, u djaska! — Tak, proszę księcia pana. — A, kroćset bomb, to jakiś przekłety wieczór. Oriano, zapomniałem się spytać Babala, czy trzewiki z nosami są dla ciebie. — Ależ, mój drogi, skoro kostjumer z Opéra-Comique jest tutaj, powie nam wszystko. Ale ja nie sądzę, aby się to nadało przy twoich ostrogach. — Chodźmy do kostjumera, rzekł książę. Do widzenia, drogi panie, zaproponowałbym panu, żeby pan wstąpił z nami na chwilę podczas gdy będziemy przymierzali, toby pana zabawiło. Ale zagadalibyśmy się, już się robi dwunasta, a chciałbym się nie spóźnić, żeby zabawa była całkiem udana.

Mnie także było pilno pożegnać coprędzej państwa de Guermantes. *Fedra* kończyła się koło wpół do dwunastej. Licząc czas potrzebny na drogę, Albertyna musiała już być. Udałem się wprost do Franciszki: „Czy panna Albertyna jest? — Nie było nikogo”.

Mój Boże, czy to znaczyło, że nikt nie przyjdzie? Byłem w rozpacz, wizyta Albertyny była mi teraz bardziej upragniona, bo mniej pewna.

Franciszka była też w złym humorze, ale z całkiem innej przyczyny. Zasadziła właśnie córkę do stołu do soczystej wieczerzy. Ale słysząc że nadchodzi, widząc że zbraknie jej czasu na usunięcie półmisków i rozłożenie igieł i nici tak jakby chodziło o robotę a nie o kolację, rzekła:

— Zjadła właśnie łyżkę zupy, zmusiłam ją żeby coś przetrząła — rzekła aby zredukować w ten sposób do zera kolację córki i tak jakby obfitość tej kolacji była występkiem. Nawet przy śniadaniu lub przy obiedzie, kiedy popełnił ten błąd aby wejść do kuchni. Franciszka udawała zawsze że już skończyli i tłumaczyła się wręcz, mówiąc: „Chciałam zjeść *kawalek*, albo *kruszynę*. Ale uspokoilem się, widząc mnogość półmisków, których Franciszka, zaskoczona mojem nagłem wejściem — jak złoczyńca, którym nie była przecież — nie miała czasu sprzątnąć. Potem dodała: „No, idź spać, dosyć pracowałaś dzisiaj (bo chciała osiągnąć wrażenie nietylko że jej córka nic nas nie kosztuje, że żyje powietrzem, ale jeszcze że się zabija dla nas pracą). Tylko zawadzasz w kuchni i przeszkadzasz paniczowi, który spodziewa się gości. No, zabieraj się”, dodała tak, jakby musiała używać swojej powagi, aby wyprawić spać córkę, która, z chwilą gdy kolacja spaliła na panewce, była tu tylko „dla pucu” i gdybym został jeszcze pięć minut dłużej, zabrałaby się sama z siebie. I obracając się ku mnie, w tej swojej pięknej francuzczyźnie ludowej a jednak trochę indywidualnej, Franciszka rzekła: „Pan nie widzi, że aż się jej twarz zwija z ochoty do spania”. Byłem uszczęśliwiony, że nie muszę rozmawiać z córką Franciszki.

Wspomniałem, że była po mężu ze wsi obok wsi jej matki, a jednak odmiennej charakterem ziemi, uprawą roli, gwarą, zwłaszcza pewnymi właściwościami mieszkańców. Toteż „rzeźniczka” i siostrzenica Franciszki niełatwo się porozumiewały, ale miały tę wspólność, że kiedy szły razem na sprawunki, zasiadywały się godzinami „u siostry”, albo „u kuzynki”, niezdolne same z siebie skończyć jakąś rozmowę. W trakcie tej gawędy, cel, który był powodem ich wyjścia z domu, rozwiewał się do tego stopnia, że kiedy się im rzekło za powrotem: „No i co, czy pan de Norpois będzie w domu o kwadrans na siódmą? nie były się nawet w czoło, mówiąc: „Och, zapomniałam”, ale powiadały: „A! nie rozumiałam, że panu o to chodzi; myślałam, że mu się tylko trzeba kłaniać.” Jeżeli traciły głowę w ten sposób dla rzeczy powiedzianej przed godziną, w zamian za to niepodobna im było wybić z głowy tego, co raz usłyszały z ust siostry lub *kuzynki*. I tak, jeżeli rzeźniczka usłyszała gdzieś że Anglicy prowadzili z nami wojnę w roku 1870 równocześnie z Prusakami, daremnie mogłem tłumaczyć że to fałsz, co trzy tygodnie rzeźniczka powtarzała mi w trakcie rozmowy: „To skroś tej wojny, jaką Anglicy z nami prowadzili

w siedemdziesiątym, razem z Pruskiemi. — Ale mówiłem pani sto razy, że to nieprawda”. Odpowiadała (co było oznaką, że nic nie zdołało zachwiać jej przekonania): „W każdym razie, to nie jest powód, żeby do nich mieć pretensje. Od siedemdziesiątego roku dużo wody upłynęło.” Innym razem, propagując wojnę z Anglią, którą ja potępiałem, mówiła: „Juścić, że lepiej żeby wojny nie było, ale skoro musi być, lepiej niech będzie zaraz. Tłumaczyła mi dziś siostra, że od czasu tej wojny, jaką Angliki miały z nami w siedemdziesiątym, traktaty handlowe niszczą nas. Skoro się ich pobije, nie wpuści się już do Francji żadnego Anglika aż zapłaci trzysta franków wstępu, jak my płacimy teraz, jadący do Anglii.”

Taki był charakter mieszkańców tej wioski, która liczyła nie więcej niż pięciuset obywateli i którą okalały kasztany, wierzby, pola kartofli i buraków. Przy wielkiej uczciwości, głuchy upór w tem aby nie dać sobie przerywać, aby podejmować dwadzieścia razy tam gdzie stanęły kiedy im przerwano, co wkońcu dawało ich gawędom niewzruszoną konsystencję fugi Bacha.

Córka Franciszki uważała się przeciwnie za kobietę dzisiejszą, która porzuciła przestarzałe formy. Mówiła gwarą paryską i nie przepuściła nigdy utartego konceptu. Kiedy Franciszka powiedziała jej, że wracam od księżnej, rzekła: „Znam, wiem, księżna z nieprawdziwego zdarzenia”. Nie były to żarciki w zbyt dobrym smaku. Ale bardziej mnie uraziło, kiedy, pocieszając mnie wobec spóźnienia Albertyny, powiedziała: „Myślę, że może pan jej czekać do pojutra rana. Och, te dzisiejsze podfruwajki!”

Tak więc, język jej różnił się od języka jej matki, ale co ciekawsze, język matki nie pokrywał się znowuż z językiem babki, urodzonej w Bailleau-le-Pin, tak blisko stron Franciszki. Mimo to, gwary tamtejsze różniły się lekko, jak krajobrazy. W wiosce matki Franciszki grunt zniżał się do parowu, często spotykało się wierzby. I przeciwnie bardzo daleko stamtąd była we Francji miejscowość, gdzie mówiono prawie zupełnie tą samą gwarą co w Méséglise. Odkryłem to w okolicznościach, połączonych dla mnie z irytacją. W istocie, zastałem raz Franciszkę zagadaną z pokojówką z naszego domu, która była z tamtych stron i mówiła tą gwarą. Rozumiały się wcale dobrze, ja nie rozumiałem ich wcale, one wiedziały o tem, mimo to nie przestawały, usprawiedliwione, jak sądziły, radością że są krajanki, mimo iż zrodzone tak daleko od siebie. I dalej mówiły przy mnie tym obcym językiem, jak wówczas kiedy się nie chce być zrozumianym. Te malownicze studia lingwistycznej geografii i kuchennego koleżeństwa ciągnęły się w kuchni co tydzień, nie sprawiając mi wcale przyjemności.

Za każdym razem, kiedy się brama wjazdowa otwierała, odźwierny naciskał guzik elektryczny oświetlający schody. Wszyscy lokatorzy wrócili już do domu. Toteż opuściłem kuchnię i siadłem w przedpokoju. Portjera, nie dość szczelna, nie zupełnie pokrywała oszklone drzwi naszego mieszkania, przepuszczając ciemną prostopadłą smugę utworzoną przez półmrok schodów. Gdyby nagle ta smuga stała się złoto-blond, znaczyłoby to, że Albertyna weszła do bramy i że za dwie minuty będzie przy mnie; nikt inny nie mógł już przyjść o tej porze. I tak siedziałem, nie mogąc oderwać oczu od smugi, która uparcie wciąż była ciemna; wychylałem się cały, aby być pewny, że dobrze widzę; ale daremnie wytężyłem wzrok, pionowa czarna strzała, mimo mego namiętnego pragnienia, nie dawała mi owej upajającej radości, jakąbym miał, gdyby ją nagle i wróżebne czary zmieniły w promienną sztabę złota. Czy nie za wiele wzruszeń jak dla tej Albertyny, o której nie myślałem ani trzech minut na raucie u Guermantów! Ale, budząc uczucie oczekiwania, niegdyś doznawane z powodu innych dziewcząt — zwłaszcza Gilberty, kiedy się spóźniała — możliwość utraty prostej rozkoszy fizycznej sprawiała mi okrutne cierpienie moralne.

Trzeba mi było wrócić do pokoju. Franciszka udała się za mną. Uważała (skorom już wrócił z zabawy), że róża w butonierce jest zbyt duża, i przysłała mi ją odpiąć. Gest jej, przypominając mi że Albertyna mogłaby już nie przyjść i zmuszając mnie zarazem do wyznania że chciałem być dla niej strojnieszyszy, przyprawił mnie o irytację, którą zdwoił fakt, iż wyrrywając się gwałtownie, zgmiotłem kwiat i że Franciszka powiedziała: „Lepiej było dać mi ją odpiąć, niż tak zepsuć”. Zresztą najdrobniejsze słowa Franciszki drażniły mnie. Czekać, tak bardzo męczymy się nieobecnością upragnionej osoby, że niepodobna nam znieść innej obecności.

Skoro Franciszka wyszła z pokoju, pomyślałem, że jeżeli miałem dojść teraz do kwaterki wobec Albertyny, źle się stało, że się jej pokazywał tyle razy nieogolony, z kil-

kodniowym zarostem, w owe wieczory kiedy jej pozwalał przyjść aby wznowić nasze pieszczoty. Czulem, że niezbyt dba o mnie, skoro mnie zostawia samego. Aby upiększyć nieco pokój — na wypadek gdyby Albertyna przyszła jeszcze i ponieważ to była jedna z najładniejszych rzeczy jakie posiadałem — położyłem, pierwszy raz od wielu lat, na stoliku obok łóżka, ową wysadzoną turkusami teczkę, którą Gilberta kazała dla mnie zrobić na broszurę Bergotte'a i którą długo kładłem przy sobie na noc obok kuli agatowej. Zresztą, tyleż może co wciąż nieobecna Albertyna, bytność jej w tej chwili w jakimś „gdzieindziej” — dla niej widocznie milszem, a mnie nieznanem — dawała mi bolesne uczucie, które — mimo tego com przed godziną mówił Swannowi o moim braku zażdrości — mogłoby, gdybym widywał moją przyjaciółkę w mniej rzadkich odstępach, zmienić się w gorączkową potrzebę wiedzenia gdzie i z kim spędza czas. Nie śmiałem posłać do Albertyny, było za późno; ale w nadziei że wybrawszy się może z przyjaciółkami na chwilę do kawiarni, wpadłaby na myśl aby do mnie zatelefonować, przestawiłem wyłącznik i przełączając telefon na swój pokój, przeciąłem komunikację między biurem telefonicznym a lożą odzwiernego, z którą było ono zazwyczaj o tej godzinie połączone. Mieć aparat w kurytarzyku, na który wychodził pokój Franciszki, byłoby prostsze, mniej uciążliwe, ale bezcelowe. Postępy cywilizacji pozwalają każdemu ujawnić niepodejrzewane zalety lub nowe przywary, które ich czynią droższym lub nieznośniejszym dla przyjaciół. W ten sposób, odkrycie Edisona pozwoliło Franciszce nabyć jedną wadę więcej, mianowicie tę, że choćby zachodziła nie wiem jak ważna i pilna potrzeba, wzbraniała się użyć telefonu. Uciekała poprostu, kiedy się ją chciało nauczyć z nim obchodzić, jak inne służące uciekają przed szczepieniem ospy. Toteż telefon znajdował się w moim pokoju, aby zaś nie przeszkadzał rodzicom, dzwonek zastąpiony był głuchem terczeniem.

Z obawy że go nie usłyszę, nie ruszałem się. Nieruchomość moja była taka, że pierwszy raz od wielu miesięcy zauważyłem tykanie zegara. Franciszka przyszła sprzątnąć. Rozmawiała ze mną, ale ja nie znosiłem tej rozmowy, pod której jednostajnie banalną ciągłością uczucia moje zmieniały się co chwila, przechodząc od obawy do lęku, od lęku do zupełnego zwątpienia. Twarz moja, różna od zdawkowo pogodnych słów, jakimi uważałem za właściwe odpowiadać Franciszce, była — czulem to — tak zboląła, że zacząłem skarżyć na reumatyzm, aby wytłumaczyć rozdźwięk między udaną obojętnością a tym bolesnym wyrazem. Zarazem bałem się, aby rzucane zresztą półgłosem słowa Franciszki (nie na temat Albertyny, bo Franciszka sądziła że już dawno minęła godzina jej możliwego przyjścia) nie przeszkodziły mi dosłyszeć zbawczego i niepowrotnego sygnału. W końcu, Franciszka poszła się położyć; odprawiłem ją z szorstką dobroduszością, aby, odchodząc, hałasem nie pokryła dźwięku telefonu. I zacząłem na nowo słuchać, cierpieć. Kiedy czekamy, podwójna droga od ucha chwytającego dźwięki do mózgu który je rozbiera i analizuje, i od mózgu do serca, któremu mózg przekazuje swoje wyniki, jest tak szybka, że nie możemy nawet pochwycić jej trwania i że się nam wydaje iż słuchaliśmy wprost sercem.

Dręczyło mnie nieustanne pragnienie, wciąż niespokojniejsze i wciąż nie spełnione — pragnienie sygnału telefonicznego. Kiedy doszło szczytowego punktu bolesnego wznoszenia się w spiralach mojej samotnej udręki, naraz, z głębi ludnego i nocnego Paryża zbliżonego nagle do mnie, tuż koło szafy z książkami, usłyszałem — mechaniczne i wzniosłe, niby w *Tristanie* powiewająca szarfa lub fujarka pasterza — terczenie telefonu. Poskoczyłem, to była Albertyna.

— Czy nie przeszkadzasz ci, telefonując o takiej porze?

— Ależ nie... rzekłem hamując radość, bo jeżeli wspomniała spóźnioną godzinę, to z pewnością dla usprawiedliwienia się że przyjdzie za chwilę tak późno, a nie że nie przyjdzie. — Czy przyjdiesz? — spytałem obojętnym tonem.

— Ale... nie, jeśli nie potrzebujesz mnie koniecznie.

Część mojego ja, z którą druga część chciała się połączyć, mieściła się w Albertynie. Trzeba mi było, aby przyszła; ale nie powiedziałem tego odrazu; ponieważ byliśmy połączeni, powiadałem sobie, że mogę ją zawsze skłonić w ostatniej sekundzie bądź aby przyszła do mnie, bądź aby mi pozwoliła pobiec do siebie. „Tak, jestem blisko domu — rzekła — a straszliwie daleko od ciebie; nie dobrze odczytałam twój bilecik. Znalazłam go w tej chwili i złąklam się, że ty czekasz na mnie”.



Czułem że kłamie; teraz, wściekły, raczej przez potrzebę deranżowania jej niż jej widzenia, chciałem ją zmusić żeby przyszła. Ale chciałem najpierw odtrącić to, co postarałbym się uzyskać za chwilę. Ale gdzie ona jest? Ze słowami jej mieszały się inne dźwięki; trąbka cyklisty, jakiś śpiew kobiety, odległa fanfara, rozbrzmiewały równie wyraźnie jak ten drogi głos, jakby dla dowiedzenia mi, że to istotnie Albertyna w swoim obecnym środowisku jest koło mnie w tej chwili, niby grudka ziemi, z którą przeniosło się wszystkie wrosnięte w nią trawy. Odgłosy, które słyszałem, rozlegały się również w jej uchu i rozrywały jej uwagę: szczegóły prawdy, obce danemu przedmiotowi, bezużyteczne same w sobie, tem potrzebniejsze aby nam objawić oczywistość cudu; skąpe i urocze rysy określające jakąś ulicę paryską, zarazem przeszywające i okrutne rysy jakiegoś nieznanego wieczora, które, po wyjściu z *Fedry*, nie pozwoliły Albertynie przyjść do mnie.

— Na wstępie, uprzedzam cię (rzekłem), że nie mówię po to żebyś przyszła, bo o tej porze byłoby mi to bardzo nie na rękę, upadam z senności. A przy tem... mniejsza, są różne komplikacje. Ale chcę stwierdzić, że nie było możliwości niezrozumienia mojego listu. Odpowiedziałaś, że dobrze. Zatem, jeżeliś nie zrozumiała, co chciałaś przez to powiedzieć?

— Napisałam że dobrze, tylko nie bardzo już pamiętałam co „dobrze”. Ale widzę że ty się gniewasz, przykro mi... Żałuję, że poszła na *Fedrę*. Gdybym wiedziała, że z tego wynikną takie historie... dodała jak wszyscy ludzie którzy zawiniwszy w jednej rzeczy, udają iż myślą że im się wyrzuca inną.

— *Fedra* nie ma nic do roboty w moim gniewaniu się, skoro ja sam cię prosiłem, żebyś na nią poszła.

— Zatem masz do mnie żal; to bardzo przykre że już jest tak późno, inaczej przyszedłabym do ciebie, ale przyjdę jutro lub pojutrze aby się wytłumaczyć.

— Och, nie, Albertyno, proszę cię, skoroś mi zmarnowała wieczór, zostaw mnie przynajmniej w spokoju przez najbliższe dni. Nie będę wolny wcześniej aż za dwa lub trzy tygodnie. Słuchaj, jeżeli ci jest przykro zostawiać mnie pod tem wrażeniem — i w gruncie może masz słuszość — w takim razie wołę już, skoro noc jest stracona, skorom czekał do tej pory a ty jeszcze jesteś na mieście, abyś przyszła zaraz; napiję się kawy aby się rozbudzić.

— Czy nie dałoby się odłożyć tego do jutra? Doprawdy, trudno mi...

Słyszając te słowa, wyrzeczone tak jakby nie miała już przyjść, uczułem że z pragnieniem ujrzenia aksamitnej twarzy — już w Balbec kierującej wszystkie moje dni ku chwili, w której, na tle fiołkowego wrześnieowego morza znajdę się obok tego różowego kwiatu — sili się boleśnie złączyć jakiś bardzo odmienny czynnik. Już w Combray poznałem ową straszliwą potrzebę drugiej istoty; poznałem ją w stosunku do matki, tak że wręcz pragnąłem umrzeć w razie gdy mi mama powiedziała przez Franciszkę, że nie będzie mogła przyjść do mnie. Ów wysiłek dawnego uczucia w tem aby się połączyć i stopić z drugim, świeższym, mającym za rozkoszny przedmiot jedynie barwną powierzchnię, różową karnację kwiatu plaży, ów wysiłek kończy się często tem, iż stwarza (w sensie chemicznym) jedynie nowe ciało, zdolne trwać zaledwie kilka chwil. Tego wieczora przynajmniej, i na długo jeszcze, owe dwa elementy pozostały rozdzielone. Ale już przy ostatnich słowach przez telefon zacząłem rozumieć, że życie Albertyny leży (nie materialnie, oczywiście) w takiej odległości odemnie, iż trzeba by mi wciąż męczących wypraw, aby je osiągnąć; co więcej, że życie to zorganizowane jest niby fortyfikacje polowe, i to, dla większej pewności, z rodzaju tych, które później zaczęto nazywać maskowaniami.

Albertyna należała zresztą, na wyższym szczeblu towarzyskim, do tego gatunku istot, którym odzwiertna przyrzeka doręczyć twój list, skoro wrócą — aż do dnia, w którym się spostrzeżesz, że to właśnie ona, spotkana na ulicy osoba, do której odważyłeś się napisać, jest odzwiertną. Tak iż mieszka ona w istocie — ale w łóżce odzwiertnego — w domu który ci wskazała (który zresztą jest pokątnym domem schadzki, gdzie odzwiertna jest rajfurką) i podaje ci jako swój adres dom, gdzie znają ją jedynie wspólnicy, którzy nie wydadzą ci jej sekretu, skąd doręczą jej twoje listy, ale gdzie ona nie mieszka, gdzie conajwyżej złożyła jakieś rzeczy. Egzystencje rozmieszczone na pięciu czy sześciu linjach odwrotu, tak iż kiedy się chce widzieć tę kobietę, lub wiedzieć, zawsze trafia się zanadto na prawo lub na lewo, albo zawczasie lub zapóźno, i można przez miesiące, przez lata, nie wiedzieć nic. Co do Albertyny, czułem że się nie dowiem nigdy nic, że nigdy nie zdołam

się wyznać w poplątanej obfitości prawdziwych szczegółów i kłamliwych faktów. I że to będzie zawsze tak, chyba że ją zamknę w więzieniu (ale i stamtąd się ucieka), aż do końca. Tęgo wieczora, przekonanie owo przeszło mnie jedynie niepokojem, ale w niepokoju tym czułem jakgdyby drżenie przyszłych długich cierpień.

— Ale nie — odparłem; mówiłem ci już, że nie będę wolny wcześniej niż za trzy tygodnie, ani jutro, ani pojutrze...

— Dobrze, w takim razie... dobrze... wyciągam nogi i lecę... to trochę kłopotliwe, bo jestem u przyjaciółki, która...

Czułem, że Albertyna nie przypuszczała że ja przyjmę propozycję przyścia, zatem ta propozycja nie była szczerą; chciałem ją przycisnąć do muru.

— Co mnie obchodzi twoja przyjaciółka; przychodź albo nie przychodź, to twoja rzecz; to nie ja cię proszę żebyś przyszła, to ty mi to zaproponowałaś.

— Nie gniewaj się, wskakuję w fiakra i jestem za dziesięć minut.

Tak więc z owego Paryża, z którego nocnych głębokości już się wdarł do mojego pokoju, znacząc promień działania odległej istoty, głos który miał się wyłonić i zjawić po tem pierwszym zwiastowaniu, to była owa Albertyna, znana mi niegdyś pod niebem Balbec, kiedy garsonów z Grand-Hotelu, nakrywających do stołu, oślepił blask zachodu, kiedy szyby były całkiem rozsunięte, a z plaży, gdzie przechadzali się zapóźnieni przechodnie, płynęły swobodnie niedostrzegalne podmuchy wieczorne do ogromnej jadalni, kiedy goście jeszcze nie siedli do stołu i kiedy w lustrze za bufetem przesuwano się czerwone odbicie kadłuba ostatniego statku do Rivebelle i długo trwał szary refleks dymu.

Nie zastanawiałem się już, co mogło być przyczyną zapóźnienia się Albertyny, kiedy zaś Franciszka weszła do pokoju, mówiąc: „panna Albertyna przyszła”, jeżeli odpowiedziałem nie odwracając nawet głowy: „Jako, panna Albertyna przychodzi tak późno!” — była to jedynie komedia z mojej strony. Ale podnosząc wówczas oczy na Franciszkę, jakgdyby ciekaw jej odpowiedzi mającej wzmocnić pozorną szczerą moją pytania, spostrzegłem z podziwem i wściekłością, że Franciszka, zdolna rywalizować z samą Bermą w wymowie nieożywionych szat i rysów twarzy, zdołała wyuczyć swój stanik, swoje włosy (z których najbielsze wydobyła na wierzch, wystawiając je niby metrykę), szyję przygiętą zmęczeniem i posłuszeństwem. Ubolewały nad nią, że ją wyrwano ze snu i z ciepłego łóżka, w późną noc, w jej wieku, zmuszoną odziewać się na łap cap, ryzykując przeziębienie. Toteż, bojąc się że to wygląda tak jakbym się tłumaczył z późnego przyścia Albertyny, dodałem, dając upust głębokiej radości: „W każdym razie, bardzo się cieszę że przyszła, doskonale.”

Radość ta nie długo pozostała niezmacona, kiedym usłyszał odpowiedź Franciszki. Ta, nie wyrażając żadnej skargi, niby to powstrzymując nawet z całych sił nieodparty kaszel i obciążając szal jakby jej było zimno, zaczęła mi na wstępie opowiadać wszystko co powiedziała Albertynie, nie zapomniawszy spytać jej o ciotkę.

— Właśnie mówiłam, że panicz musiał się bać że ona już nie przyjdzie, bo to nie jest pora na wizyty, wnetki już będzie rano. Ale ona musiała być gdzieś, gdzie się dobrze bawiła, bo nawet nie powiedziała że jej przykro że dała paniczowi czekać; odrzekła tylko z miną taką że niby gwizdże na wszystko: „Lepiej późno niż nigdy”.

I Franciszka dodała te słowa, które mi przeszły serce:

— Mówiąc tak, sama się wydała. Byłaby może chciała się przytulić, ale...

Nie miałem czemu się tak bardzo dziwić. Wspomniałem, że Franciszka, kiedy się jej dawało jakieś zlecenie, rzadko zdawała sobie sprawę, jeżeli nie z tego co sama powiedziała (nad czym rozwodziła się chętnie), to z odpowiedzi, na którąśmy czekali. Ale, jeżeli wyjątkowo powtórzyła nam słowa (choćby najkrótsze) naszych przyjaciół, starała się naogół (bodaj akcentem, tonem, który, wedle zapewnień Franciszki, towarzyszył tym słowom) dać im coś uwłaczającego. W ostateczności, godziła się doznać w magazynie, gdzieśmy ją posłali, jakiejś „ubliży”, najprawdopodobniej zresztą urojonej, byleby, zwracając się do niej, naszej reprezentantki, przemawiającej w naszym imieniu, „ubliża” ta dosięgła rykoszetem nas samych. Pozostawało jedynie odpowiedzieć jej, że źle zrozumiała, że cierpi na manję prześladowczą i że wszyscy kupcy nie spiskują przeciwko niej. Zresztą uczucia ich mało mnie obchodziły. Inna rzecz uczucia Albertyny. I powtarzając te ironiczne słowa: „Lepiej późno niż nigdy!”, Franciszka nasunęła mi natychmiast obraz przyjaciół, w których towarzystwie Albertyna spędziła wieczór, czując się zatem z nimi lepiej niż

ze mną. „Kopyradło w płaskim kapelusidle przy jej wylupiastych oczach to śmiesznie wygląda, zwłaszcza z tym jej płaszczkiem, który powinna dać do cerowniaczki, bo cały jest pogryziony. Śmiechu warte”, dodała, jakby drwiąc sobie z Albertyny, Franciszka, która rzadko dzieliła moje wrażenia, ale doznawała potrzeby objawiania mi swoich. Nie chciałem nawet okazać, że rozumiem iż ten śmiech oznacza wzgardę i szyderstwo; ale, aby oddać cios za cios, odparłem, mimo iż nie znałem wzmiankowanego kapelusza: „To, co Franciszka nazywa płaskie kapelusidło, to jest coś poprostu czarującego... — A ja myślę, że to czysty łach”, rzekła Franciszka, wyrażając tym razem szczerze swą prawdziwą wzgardę. Wówczas (łagodnie i dobitnie, iżby moja kłamiwa odpowiedź dawała wrażenie nie gniewu lecz prawdy), ale nie zwlekając, aby nie dać czekać Albertynie, zaaplikowałem Franciszce te okrutne słowa: „Franciszka jest przecańna kobieta — rzekłem z obleśną słodyczą — jest kochana, ma tysiąc przymiotów, ale została Franciszka w tym samym punkcie co kiedy przybyła do Paryża, zarówno w znawstwie spraw toaletowych, co w tem aby należycie wymawiać i nie przekręcać wyrazów”.

I ten docinek był szczególnie głupi, bo słowa francuskie z których należytego wymawiania jesteśmy tak dumni, nie są niczem innym jak „przekręcaniem”, dokonaniem przez usta gallijskie, fałszywie wymawiające łacinę i saksońskie, ile że nasz język jest tylko wadliwą formą wymawiania paru innych języków. Geniusz języka w stanie żywym, przyszłość i przeszłość francuzczyzny, oto co mnie powinno było interesować w błędach językowych Franciszki. „Cerowniaczka” zamiast „cerowaczki” czyż to nie było równie ciekawe jak owe zwierzęta przetrwałe z odległych epok, jak wieloryb lub żyrafa, wskazujące nam etapy, jakie przebyło życie zwierzęce.

— I, dodałem, skoro od tylu lat nie umiała Franciszka niczego się nauczyć, już się Franciszka nie nauczy nigdy. Może się Franciszka pocieszyć, to jej nie przeszkodzi być bardzo zącą osobą, przyrządzać cudownie sztukamię w auszpiku, i tysiąc innych rzeczy. Kapelusz, który się Franciszce wydaje pospolity, skopiowany jest z kapelusza księżnej de Guermantes, który kosztował pięćset franków. Zresztą zamierzam niebawem ofiarować pannie Albertynie jeszcze piękniejszy.

Wiedziałem, że najbardziej może podrażnić Franciszkę myśl, że wydaję pieniądze dla osób, których ona nie lubi. Odpowiedziała kilka słów, które nagle zadyszka uczyniła mało zrozumiałemi. Kiedym się dowiedział później, że ona była chora na serce, jakież wyrzuty odczułem, że nigdy sobie nie odmówiłem okrutnej i jałowej przyjemności takiego replikowania jej. Franciszka nie cierpiała zresztą Albertyny, bo Albertyna, będąc biedną, nie mogła w niczem przydać mi blasku z którego Franciszka była dumna. Uśmiechała się życzliwie, ilekroć byłem proszony do pani de Villeparisis. Na odwrót oburzona była, że Albertyna się nie rewanżuje. Doszło do tego, że musiałem wymyślać dane mi rzekomo przez Albertynę podarki, w których istnienie zresztą Franciszka nie wierzyła nigdy ani odrobinę. Ten brak wzajemności raził ją zwłaszcza w zakresie spożywczym. To że Albertyna przyjmuje obiady mamy, kiedy nas nigdy nie proszą do pani Bontemps (przeważnie zresztą nieobecnej ile że jej mąż przyjmował „placówki”, jak niegdyś, kiedy miał dosyć ministerstwa), wydawało się jej ze strony mojej przyjaciółki niedelikatnością, którą Franciszka piętnowała pośrednio, powtarzając to popularne w Combray porzekadło: „Zjedzmy mój chleb. — Dawaj. — A teraz twój. — Jużem nie głodny”.

Udałem że mam coś do pisania. „Do kogo piszesz? — rzekła Albertyna wchodząc. — Do mojej ładnej przyjaciółeczki, do Gilberty Swann. Nie znasz jej? — Nie”.

Nie spytałem Albertyny o nic w sprawie wieczoru; czułem, że robiłbym jej wymówki i nie mielibyśmy już czasu (zważywszy późną godzinę) pogodzić się na tyle, aby przejść do pocałunków i pieszczot. Od tego chciałem też natychmiast zacząć. Zresztą, mimo iż nieco spokojniejszy, nie czułem się szczęśliwy. Strata wszelkiej busoli, wszelkiego kierunku, charakteryzująca czekanie, trwa jeszcze po przybyciu oczekiwanej istoty: zajmując w nas miejsce spokoju, dzięki któremu tak cieszyliśmy się na jej przybycie, nie pozwala nam kosztować przyjemności. Albertyna była przy mnie, ale rozprężone nerwy, dalej pełne niepokoju, czekały na nią jeszcze.

— Pragnę dobrego pocałunku, Albertyno. — Ile tylko chcesz, rzekła z całą dobrocią. Nigdy nie wydała mi się równie ładna. — Jeszcze jeden? — Ależ wiesz, że to mi sprawia

wielką, wielką przyjemność. — A mnie tysiąc razy większą, odparła. Och, jaka ładna teczka! — Weź ją, daję ci ją na pamiątkę. — Milusi jesteś...

Wyleczylibyśmy się na zawsze z romantyzmu, gdybyśmy, myśląc o osobie którą kochamy, spróbowali stać się człowiekiem którym będziemy wówczas kiedy jej już nie będziemy kochali. Teczka, agatowa kulka Gilberty, wszystko to czerpało najoczywściej niegdyś swoją wagę jedynie z czysto wewnętrznego stanu, skoro teraz była to dla mnie ot, jakaś tam teczka, jakaś tam kulka.

Spytałem Albertyny, czy chce się czegoś napić. „Zdaje mi się, że widzę pomarańcze i wodę, rzekła. To będzie pyszne”. W ten sposób mogłem kosztować, wraz z jej pocałunkami, owego chłodu, który, na raucie księżnej Marji, zdawał mi się pożądanym od nich. I pomarańcza wyciśnięta do wody wydawała mi, w miarę jak piłem, tajemne życie swego dojrzewania, swój szczęśliwy wpływ na pewne stany ciała ludzkiego (mimo iż należącego do tak odmiennego królestwa), swoją niemoc w tem aby je odżywić, ale w zamian swoją wilgoć która mogła mu być zbawienna, sto tajemnic zdradzonych przez ten owoc mojej wrażliwości, bynajmniej zaś mojej inteligencji.

Kiedy Albertyna poszła, przypomniałem sobie, że przyrzekł Swannowi napisać do Gilberty; pomyślałem, że uprzejmie będzie zrobić to zaraz. Bez wzruszenia i jakby kreśląc ostatni wiersz na nudnym wypracowaniu, wypisałem na kopercie imię Gilberty Swann, którym pokrywałem niegdyś kajety, aby sobie stworzyć złudzenie że z nią koresponduje. Bo jeżeli niegdyś ja sam pisałem to imię, teraz trud ten przypadł, siłą przyzwyczajenia, jednemu z owych licznych sekretarzy, których przyzwyczajenie sobie przybiera. Ten mógł kreślić imię Gilberty tem swobodniej, ile że, pomieszczony świeżo u mnie przez przyzwyczajenie, świeżo wstąpiwszy w moje służby, nie znał Gilberty i wiedział tylko — stąd iż słyszał jak o niej mówiłem, przyczem dla niego słowa te nie miały żadnej realności — że to jest panna, w której byłem swego czasu zakochany.

Nie mogłem oskarżać tego sekretarza o oschłość. Istota, którą byłem teraz w stosunku do Gilberty, była „świadkiem”, zdolnym najlepiej zrozumieć czem była niegdyś ona sama: teczka, kulka agatowa, stały się prosto dla mnie wobec Albertyny tem, czem były niegdyś dla Gilberty, czem były dla wszelkiej istoty, nie oglądającej ich w blasku wewnętrznego płomienia. Ale teraz żyło we mnie nowe wzruszenie, zmieniające z kolei prawdziwą wartość rzeczy i słów. I kiedy Albertyna mówiła, aby mi jeszcze podziękować: „Ja tak lubię turkusy”, odpowiedziałem: „Nie daj im umrzeć” — powierzając niejako tym kamieniom przyszłość naszej przyjaźni, która przecież tak samo nie była zdolna tchnąć uczucia w Albertynę, jak nie była zdolna przechować uczuć, wiążących mnie niegdyś do Gilberty.

W owej epoce zdarzyło się zjawisko, zasługujące na wzmiankę jedynie dlatego, że się powtarza we wszystkich ważnych momentach historii. W chwili gdym pisał do Gilberty, p. de Guermantes, ledwie wróciwszy z reducy, jeszcze w swoim kasku, pomyślał, że nazajutrz będzie musiał wdziąć oficjalnie żałobę, i postanowił przyspieszyć o tydzień kurację u wód. Kiedy wrócił w trzy tygodnie później (uprzedzam wypadki, ponieważ w tej chwili ledwie skończyłem pisać do Gilberty), przyjaciele księcia, którzy widzieli niegdyś, jak, obojętny z początku, stał się z czasem zajadłym antydreyfusistą, oniemieli ze zdumienia, słysząc jak on — tak jakby kuracja podziałała mu nietylko na pęcherz — odpowiada: „No i cóż, odbędzie się rewizja procesu i Dreyfus będzie uwolniony; nie można skazywać człowieka, na którym nic nie ciąży. Czy widzieliście kiedy takiego ramola jak Forcheville? Oficer przygotowujący Francuzów do rzeźni, to znaczy do wojny. Dziwna epoka”.

Otóż w międzyczasie, księżę Błazej poznał u wód trzy urocze damy (włoską księżną i jej dwie bratowe). Słyszcząc z ich ust kilka słów o książkach jakie czytały, o sztuce dawanej w kasynie, księżę odgadł natychmiast, że ma do czynienia z kobietami wyższej inteligencji, wobec których, jak mówił, nie był na wysokości. Tem szczęśliwszy się czuł, kiedy go włoska księżna zaprosiła na bridża. Ale ledwie znalazł się u niej, kiedy, wśród rozmowy, w zapale swego niezmaconego antydreyfusizmu powiedział: „I cóż, już się nie słyszy o rewizji procesu tego słynnego Dreyfusa”, ku wielkiemu zdumieniu usłyszał, jak księżna i jej bratowe odrzekły: „Ależ nigdy nie było się jej tak blisko. Nie można trzymać w kaźni kogoś, kto nic nie popełnił. — A? A?” wybąkał zrazu księżę, jakgdyby słysząc dziwny epitet, używany w jakimś domu dla ośmieszenia kogoś, kogo on miał do tej pory za inteligentnego człowieka. Ale tak jak, po kilku dniach, przez tchórzostwo i przez

ducha naśladownictwa, nie wiedząc czemu, krzyczy się: „Słuchaj, Koko”, na wielkiego artystę, którego wszyscy w tym domu tak nazywają, tak książe, jeszcze zdziwiony nowym zwyczajem, odpowiedział jednak: „W istocie, jeżeli nie ma nic przeciw niemu”... Trzy urocze damy uważały, że książe nie robi postępów dość szybko i poszturkiwały go trochę: „Ależ w gruncie żaden inteligentny człowiek nie mógł wierzyć, aby w tem coś było”. Za każdym razem, kiedy się zjawiał jakiś „miażdżący” fakt przeciw Dreyfusowi i kiedy książe, myśląc że to nawróci trzy urocze damy, oznajmiał go im, śmiały się do rozpuku, poczem bez trudu, z wielką subtelnością djalektyki, wykazywały, że argument jest bez wartości i zupełnie śmieszny. Książe wrócił do Paryża jako zagorzały dreyfusista. I z pewnością nie twierdzimy, aby trzy urocze damy nie były, w danym wypadku, posłankami prawdy. Ale godne uwagi jest, że co dziesięć lat, kiedy się zostawiło kogoś głęboko o czemś przeświadczonym, zdarza się, że jakaś inteligentna para, lub nawet jedna urocza dama, zaprzyjaźnia się z nim i w kilka miesięcy doprowadza go do przeciwnych poglądów. I istnieje wiele krajów, zachowujących się w tej mierze tak jak ów szczerzy człowiek; wiele krajów, które ziały nienawiścią do jakiegoś narodu, a które, w pół roku później, zmieniły uczucia i zmieniły swoje sojusze.

Nie widziałem od jakiegoś czasu Albertyny, ale w dalszym ciągu, w braku pani de Guermantes, która nie przemawiała już do mojej wyobraźni, widywałem inne wróżki i ich mieszkania równie od nich nieodłączne, jak perłowa lub emaliowa skorupa, albo karbowana wieżyczka muszli nieodłączne są od mięczaka, który ją sporządził i który się w nią chroni. Nie umiałbym sklasyfikować tych dam, tak trudność problemu była nieznacząca, niemożliwa nietylko do rozwiązania, ale do postawienia. Aby ujrzeć damę trzeba było wstąpić w jej czarodziejski pałac. Otóż jedna przyjmowała w lecie zawsze po śniadaniu; jadąc do niej trzeba było podnieść budę, tak straszliwie prażyło słońce, którego pamięć — mimo iż sobie z tego nie zdawałem sprawy — miała się zespolić z ogólnym wrażeniem. Myślałem że jadę tylko na Cours-la-Reine; ale w rzeczywistości, zanim przybyłem na zebranie, z którego człowiek praktyczny możeby się wyśmiać, doznałem — niby w czasie podróży przez Włochy — olśnienia, rozkoszy, nierozdzielnej już w mojej pamięci z owym pałacem. Co więcej, z przyczyny upalnej pory i godziny, dama zamknęła hermetycznie okienice w obszernych prostokątnych salonach parterowych, gdzie przyjmowała. Ledwie mogłem zrazu poznać gospodynię i gości, nawet księżnę Oriane, która swoim chrapliwym głosem prosiła mnie abym usiadł obok niej w fotelu Beauvais, przedstawiającym porwanie Europy. Potem rozpoznawałem na ścianach gobeliny z XVIII wieku, przedstawiające okręty o masztach strojnych w malwy pod którymi znajdowałem się niby w pałacu nie Sekwany lecz Neptuna, nad brzegiem rzeki Oceanu, gdzie księżna Oriana stawiała się bóstwem wodnym. Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczać wszystkie inne salony. Ten przykład wystarczy na dowód, że moje światowe sądy barwiły się poetyckimi wrażeniami, których nigdy nie brałem w rachubę w chwili ostatecznego podsumowania, tak iż, kiedym obliczał zalety jakiegoś salonu, rachunek mój nigdy nie był ścisły.

Niewątpliwie, te źródła błędu nie były zgoła jedyne; ale nie mam już czasu, przed wyjazdem do Balbec (gdzie, na swoje nieszczęście, wybiorę się na drugi — i ostatni — pobyt), rozpocząć obrazów „świata”, dla których miejsce znajdzie się znacznie później. Powiedzmy tylko, że do tej pierwszej fałszywej racji (życie dość rozprószone, pozwalające wnosić o mojej światowości) mego listu do Gilberty oraz powrotu do Swannów, który ów list zdawał się zwiastować, Odeta mogłaby dodać — równie nieściśle — drugą. Dotąd, aby sobie wyobrazić różne postacie, jakie świat przybiera dla danej osoby, przypuszczałem poprostu, że jakaś dama, która wprzód nie znała nikogo, zaczyna bywać wszędzie, lub że inna dama, która miała świetną pozycję, traci ją i zostaje osamotniona; w czym jesteśmy skłonni widzieć jedynie owe — czysto osobiste — zwyczaje i niżki, jakie, od czasu do czasu, powodują w danym towarzystwie, na skutek spekulacji giełdowych, głośną ruinę lub nieoczekiwane bogactwo. Otóż to nie jest tylko to. W pewnej mierze, zjawiska światowe — o wiele blabsze od ruchów artystycznych, przesilen politycznych, od ewolucji kierującej smak ogółu ku „teatrowi idei”, potem ku malarstwu impresjonistów, potem ku muzyce niemieckiej i skomplikowanej, potem ku muzyce rosyjskiej i prostej, lub ku poglądom społecznym, ku ideom sprawiedliwości, reakcji religijnej, przypływowi patryotyzmu — są jednak ich dalekiem, mglistym, niepewnym, mętnym, zmiennym odbiciem. Tak iż nawet salonów nie da się odmalować w statycznej nieruchomości, wy-

starczającej dotąd dla analizy charakterów, które również nieodzownie trzeba wciągnąć w ruch quasi-historyczny. Pociąg do nowości skłania światowców pragnących się mniej lub więcej szczerze poinformować o ewolucji intelektualnej, do odwiedzania środowisk gdzie ją mogą śledzić; każe im upodobać sobie zazwyczaj jakąś panią domu, dotąd prawie nieznaną, przedstawiającą, można rzec w samym pączku, nadzieje intelektualne, tak zwiędłe i nieświeże u kobiet, oddawna dzierżących światowe berło i nie przemawiających już do wyobraźni ponieważ zna się ich silne i słabe strony. W ten sposób, każda epoka personifikuje się w nowych kobietach, w nowej grupie kobiet; ściśle związane z tem, co w danej chwili pobudza najnowsze zaciekawienia, zdają się one, w swojej tualecie, zjawiać dopiero w tej chwili, jako nieznanymi gatunek, zrodzony z ostatniego potopu — nieodparte piękności każdego nowego Konsulatu, każdego nowego Dyrektoriatu. Ale bardzo często, pani nowego domu jest poprostu — jak pewni mężowie Stanu, którzy pierwszy raz są ministrami, ale którzy od czterdziestu lat pukali daremnie do wszystkich drzwi — z liczby kobiet, nie znanych towarzystwu, ale mimo to przyjmujących, od bardzo dawna i w braku czego lepszego, paru „dobrych przyjaciół”. Zapewne, nie zawsze jest tak, i kiedy, wraz z zadziwiającym rozkwitem rosyjskiego baletu, objawiającym nagle Baksta, Niżyńskiego, Benoista, geniusz Strawieńskiego, księżna Jurbeletiew, młoda chrzestna mateczka wszystkich tych nowych wielkich ludzi, zjawiała się mając na głowie olbrzymią drżącą egretkę, nieznaną paryżankom i budzącą we wszystkich chęć naśladowania, można było przypuszczać, że tę cudowną istotę przywieźli w swoich niezliczonych bagażach, jako najcenniejszy skarb, rosyjscy tancerze; ale kiedy obok niej, w parterowej łoży przy scenie, ujrzemy na wszystkich przedstawieniach baletu, niby prawdziwą wróżkę, nieznaną do tego dnia arystokracji, panią Verdurin, światowcom gotowym z łatwością uwierzyć że pani Verdurin świeżo wylądowała wraz z trupą Diagilewa, będziemy mogli odpowiedzieć, że ta dama istniała już w odmiennych czasach i przechodziła liczne wcielenia. Obecne wcielenie różni się od poprzednich tylko tem, że jest pierwszym, które sprowadziło wreszcie tak długo i nadaremnie wyczekiwany przez „pryncypalkę” sukces, odtąd już zapewniony i posuwający się coraz to szybszym krokiem.

Co się tyczy pani Swann, nowość, jaką reprezentowała, nie miała coprawda tego zbiorowego charakteru. Salon jej skrytykował się dokoła jednego człowieka, dokoła umiarkowanego, który, w chwili gdy jego talent się wyczerpywał, przeszedł niemal od razu z mroku do wielkiej sławy. Entuzjazm dla twórczości Bergotte'a był olbrzymi. Całe dni spędzał wystawiany na pokaz u pani Swann, która szeptała do jakiegoś wpływowego człowieka: „Pomówię z nim, napisze o panu artykuł”. Był zresztą zdolny napisać artykuł, a nawet jakąś jednoaktówkę dla pani Swann. Mimo iż bliższy śmierci, Bergotte miał się nieco mniej źle niż w epoce, gdy zachodził po wiadomości w czasie choroby mojej babki. Bo wielkie bóle fizyczne nałożyły mu djętę. Choroba jest najbardziej słuchanym z lekarzy: dobroci, wiedzy, przyrzekamy jedynie; posłuszni jesteśmy cierpieniu.

To pewna, że „paczka” Verdurinów miała obecnie nieporównanie większą żywotność, niż lekko nacjonalistyczny, bardziej jeszcze literacki, a przedewszystkiem *bergotyczny* salon pani Swann. „Paczka” była w istocie czynnym ogniskiem długiego politycznego wstrząsu, który obecnie osiągnął najwyższe nasilenie: dreyfusizmu. Ale ludzie światowi byli przeważnie tak bardzo antyrewizjonistami, że salon dreyfusistowski zdawał się czemś równie niemożliwym jak w innej epoce niemożliwy byłby salon komunardów. Księżna de Caprarola, która poznała panią Verdurin z okazji jakiejś organizowanej przez siebie wielkiej wystawy, złożyła jej długą wizytę, w nadziei skuszenia jakich interesujących elementów „małego klanu” i wcielenia ich do własnego salonu. Podczas tej wizyty, księżna (odgrywająca, na małą stopę, coś w rodzaju księżnej Oriany) wystąpiła przeciw utartym poglądom, oświadczyła że ludzie z jej sfery są idjoci, co się pani Verdurin wydało bardzo śmiało. Ale ta odwaga nie miała się posunąć aż do tego, aby, pod ogniem spojrzeń dam-nacjonalistek, ukłonić się pani Verdurin na wyścigach w Balbec.

Co się tyczy pani Swann, antydreyfusisci uznawali w niej przeciwnie to że jest „dobrze myśląca”, w czem, będąc żoną Żyda, miała podwójną zasługę. Niemniej, osoby które nigdy u niej nie były, wyobrażały sobie, że ona przyjmuje jedynie paru pokątnych izraelitów oraz uczniów Bergotte'a. W ten sposób pomieszcza się osoby, nieraz mające o ileż wyższe kwalifikacje od pani Swann, na najniższym szczeblu drabiny społecznej, czy to dla ich początków, czy że nie lubią obiadów proszonych i rautów gdzie nie widuje się ich nigdy,

tłumacząc to sobie fałszywie tem że nie były zaproszone; czy dlatego że nie mówią nigdy o swoich światowych stosunkach, ale wyłącznie o literaturze i o sztuce; czy dlatego, że ludzie kryją się z bywaniem u nich, lub że, aby nie robić niegrzeczności innym, one kryją się z tem że kogoś przyjmują; słowem dla tysiąca przyczyn, które z tej lub innej osoby czynią do reszty, w oczach niektórych, „kobietę której się nie przyjmuje”. Tak było z Odetą. Pani d’Epinoy, wybrawszy się do Odety aby ją naciągnąć na rzecz *Patrie française*, szła tam tak jakby miała zejść do swojej krawcowej. Przekonana iż zastanie tam jedynie twarze nawet nie pogardzane ale nieznanne, stanęła jak wryta, kiedy się otworzyły drzwi nie do salonu takiego jaki sobie wyobrażała, ale do czarodziejskiej sali, gdzie — niby w jakiejś feerji — w olśniewających statystkach porozkładanych po kozetkach, siedzących w fotelach, nazywających panią domu po imieniu, poznała altessy i diuszessy, które ona sama, księżna d’Epinoy, zaledwie z trudem mogła ściągnąć do siebie, i którym w tej chwili, pod życzliwym okiem Odety, margrabia de Lau, hrabia Louis de Turenne, książę Borghese, książę d’Estrées, znoszący oranżadę i ptifury, służyli za cześników i podczaszych. Ponieważ księżna d’Epinoy, nie zdając sobie z tego sprawy, utożsamiała wszelką istotę z jej wartością światową, zmuszona była odcieleśnić panią Swann i przecieleśnić ją w *kobietę elegancką*. Nieświadomość istotnego życia kobiet, nie reklamujących się w dziennikach, rozpościera na pewnych sytuacjach (przyczyniając się przez to do urozmaicenia salonów) zasłonę tajemnicy. Co się tyczy Odety, w początkach, paru mężczyzn z najwyższych sfer ciekawych Bergotte’a, bywało u niej na obiedzie w małym kółku. Miała ten świeżo nabyty takt aby się nimi nie popisywać; poprostu „mieli tam swoje nakrycie” — może przez wspomnienie „małego klanu”, którego tradycje zachowała Odeta od czasu swojej „schizmy”. Odeta zabierała ich na interesujące premiery z Bergottem, którego to zresztą dobijało. Panowie ci wspomnieli o Odecie paru kobietom ze swojego świata, zdolnym zainteresować się taką nowością. Przekonane były, że Odeta, przyjaciółka Bergotte’a, mniej lub więcej współpracowała w jego dziełach i uważali ją za tysiąc razy inteligentniejszą od najwybitniejszych kobiet z *faubourg*, z tej samej przyczyny, dla której pokładały wszystkie swoje nadzieje polityczne w pewnych republikanach dobrej marki, jak pp. Doumer i Deschanel, podczas gdy klęskę Francji widziały w personelu monarchistów, których zapraszały na obiady, takich jak Charette, Doudeauville etc.

Zmianie sytuacji Odety towarzyszyła z jej strony dyskrecja, która czyniła tę zmianę pewniejszą i szybszą, ale nie pozwalała się wcale domyślać tego faktu osobom skłonnyim oceniać wzrost i upadek jakiegoś salonu na podstawie wzmianek w „Gaulois”. Tak iż na premierze sztuki Bergotte’a odegranej w najwytworniejszej sali na jakiś cel dobroczynny, istną sensacją stał się — w loży nawprost sceny, będącej lożą autora — widok pani Swann obok pani de Marsantes, oraz tej, która, wskutek stopniowego wycofywania się księżnej Oriany (sytej honorów i mniej zdolnej do wysiłku), była w trakcie stawania się lwicą, królową epoki — hrabiny Molé. „Podczas gdy myśmy się nawet nie domyślali, że się zaczyna wspinać — powiadano sobie o Odecie, w chwili gdy ujrano hrabinę Molé wchodzącą do jej loży — ona przebywała ostatni szczebel!”

Tak iż pani Swann mogła myśleć, że ja przez snobizm zbliżam się do jej córki.

Mimo obecności świetnych przyjaciółek. Odeta słuchała sztuki z nadzwyczajną uwagą, tak jakby jedynie po to przyszła, jak niegdyś spacerowała po Lasku dla higieny i dla ruchu. Mężczyźni, którzy niegdyś mniej jej nadszkakiwali, zachodzili na balkon, niepokojąc wszystkich, cisnąc się do ręki Odety, aby się zbliżyć do imponującego kręgu, który ją otaczał. Ona, z uśmiechem jeszcze raczej uprzejmym niż ironicznym, odpowiadała cierpliwie na ich pytania, udając więcej spokoju niżby można było przypuszczać; i spokój jej był może szczerzy, ile że ta parada była jedynie publicznem uświęceniem codziennej i dyskretnie skrywanej zażyłości. Za temi trzema damami, skupiając wszystkie spojrzenia, znajdował się Bergotte, w otoczeniu księcia d’Agrigente, hrabiego Louis de Turenne i margrabiego de Bréauté. I łatwo pojąć, że dla ludzi którzy bywali wszędzie i którzy awansu mogli spodziewać się już tylko w wyszukaniach oryginalności, to stwierdzenie własnych walorów, jakiego w swoim mniemaniu dokonywali, przyjmując zaproszenia pani domu, mającej reputację wysokiego intelektualizmu, osoby u której spodziewali się spotkać wszystkich autorów dramatycznych i głośnych powieściopisarzy, była bardziej podniecająca i żywa, niż owe wieczory u księżnej Marji, które, bez żadnego programu i bez nowej atrakcji, następowały po sobie od tylu lat, mniej lub więcej podobne do te-

go, któryśmy opisali tak obszernie. W tym wielkim świecie, w świecie Guermantów, od którego ciekawość odwracała się potrosze, nowe mody intelektualne nie wcielały się w rozrywki będące ich obrazem, jak w owe bluetki Bergotte'a pisane dla pani Swann, lub owe prawdziwe posiedzenia *de salut public* (gdyby „świat” mógł się interesować sprawą Dreyfusa), na których u pani Verdurin zbierali się Picquart, Clémenceau, Zola, Reinach i Labori.

Gilberta również wzmacniała sytuację matki, bo pewien wuj Swanna zostawił pannie Swann blisko osiemdziesiąt milionów, co sprawiło że faubourg Saint-Germain zaczynało ją brać w rachubę. Odwrotną stroną medalu było, że Swann, zresztą umierający, był za Dreyfusem, ale i to nie zaszkodziło jego żonie, a nawet jej pomagało. Nie szkodziło, bo mówiono: „On jest ramol, idjota, nikt się nim nie interesuje; liczy się jedynie jego żona, a ta jest urocza”. Ale nawet dreyfusizm Swanna wychodził na dobre Odecie. Zdana na samą siebie, zaczęłyby może kobietom *szykownym* robić awanse, któreby ją zgubiły. Obecnie, kiedy Odeta wlekła męża na jakiś obiad i raut w faubourg Saint-Germain, Swann, siedząc chmurnie w kącie i widząc jak Odeta chce się przedstawić jakiejś damie-nacjonalistce, bez ceremonii mówił głośno: „Ależ Odeto, tyś chyba oszalała! Proszę cię, siedź spokojnie. To byłoby służalstwo z twojej strony przedstawiać się antysemitkom. Zabraniam ci.” Ludzie światowi, o których wszyscy się ubiegają, nie przywykli ani do takiej dumy, ani do tak złego wychowania. Pierwszy raz widzieli kogoś, kto się uważał za „coś więcej” od nich. Powtarzano sobie te wybuchy Swanna i bilety wizytowe sypały się jak deszcz do Odety. Kiedy Odeta zjawiła się z wizytą u pani d'Arpajon, wzbudziła żywy i sympatyczny odruch ciekawości. „Nie gniewacie się, że wam ją przedstawiłam? — mówiła pani d'Arpajon. Milutka jest. To Marja de Marsantes zapoznała mnie z nią. — Ależ nie, przeciwnie, zdaje się że ona jest niesłychanie inteligentna, urocza jest. Przeciwnie, chciałabym ją jeszcze kiedy spotkać, powiedz mi, gdzie mieszka”.

Pani d'Arpajon mówiła pani Swann, że się doskonale bawiła u niej przedwczoraj i z radością puściła dla niej kantem panią de Saint-Euverte. I to była prawda, bo „woleć panią Swann” stanowiło dowód, że się jest inteligentnym, coś tak jak iść na koncert zamiast na herbatkę. Ale kiedy pani de Saint-Euverte przyszła do pani d'Arpajon równocześnie z Odetą, ponieważ pani de Saint-Euverte była wielka snobka, a pani d'Arpajon, mimo iż traktując ją dość z góry liczyła się z jej recepcjami, pani d'Arpajon nie przedstawiała Odety, aby pani de Saint-Euverte nie dowiedziała się kto to taki.

Pani de Saint-Euverte wyobrażała sobie, że to musi być jakaś Wysokość, która bardzo mało się udziela, skoro ona jej nie spotkała; przeciągała tedy wizytę, odpowiadała pośrednio na to co Odeta mówiła, ale pani d'Arpajon była jak z kamienia. I kiedy pani de Saint-Euverte, zwyciężona, odeszła, pani domu mówiła do Odety:

— Nie przedstawiłam pani, bo ludzie nie bardzo lubią chodzić do niej, a ona forsownie zaprasza; nie byłaby się pani mogła wykręcić. — Och, nic nie szkodzi, powiadała Odeta z żalem. Ale zachowała pojęcie, że świat nie lubi chodzić do pani de Saint-Euverte, co było w pewnej mierze prawdą, i wnioskowała stąd, że ma sytuację o wiele wyższą od pani de Saint-Euverte, mimo że ta miała sytuację bardzo wielką, a Odeta jeszcze żadnej.

Nie zdawała sobie z tego sprawy i mimo iż wszystkie przyjaciółki pani de Guermantes żyły blisko z panią d'Arpajon, kiedy pani d'Arpajon zaprosiła panią Swann, Odeta czuła się w obowiązku usprawiedliwiać: „Idę do pani d'Arpajon, ale wydam się wam bardzo staroświecka, gdy powiem że mnie to raz i z powodu księżnej Oriany” (której nie znała zresztą).

Ludzie dystyngowani sądzili, że fakt iż pani Swann mało zna ludzi z wielkiego świata, wynika stąd, że musi być kobietą niezwykłą, prawdopodobnie wielką muzyczką, i że bywać u niej, to byłby rodzaj tytułu extra-światowego, jak np. dla księcia być doktorem filozofii. Kobiety zupełnie głupie przyciągała do Odety przeciwna racja; dowiadując się, że chodzi na *concert Colonne* i że jest zdeklarowaną wagnerjanką, wносиły stąd, że to musi być „puszczalska” i bardzo były podniecone myślą poznania jej. Ale nie czując się dość pewne siebie, bały się, że się skompromitują publicznie przyznając się do zażyłości z Odetą, i kiedy na koncercie dobroczynnym spostrzegły panią Swann, odwracały głowę, uważając za niepodobiestwo kłaniać się pod okiem pani de Rochechouart kobiecie, która zdolna była jechać do Bayreuth — to znaczy puszczać się na całego.



Każda osoba będąca z wizytą u innej stawała się inna. Pośród cudownych metamorfoz, jakie się spełniały — niby w świecie wróżek — w salonie pani Swann, p. de Bréauté, nagle podniesiony w cenie nieobecnością osób otaczających go zazwyczaj, z miną zadowoloną że się tam znajduje — tak jakby, zamiast iść na bal, włożył binokle aby siedzieć w domu i czytać „Revue des Deux-Mondes” — sam Bréauté przez tajemniczy obrzęd jakiego zdawał się dopełniać odwiedzając Odetę, wydawał się nowym człowiekiem. Wielebym dał, aby widzieć, jakim zmianom ulegały w tem nowym środowisku księżna de Montmorency-Luxembourg. Ale była to jedna z osób, którym nigdy nie możnaby przedstawić Odety. Pani de Montmorency, o wiele więcej mająca sympatji do Oriany niż Oriana do niej, powiadała ku memu wielkiemu zdziwieniu o Orianie: „Ona zna inteligentnych ludzi, wszyscy ją lubią, sądzą że gdyby miała trochę więcej wytrwałości, mogłaby sobie stworzyć salon. Ale jej na tem nie zależało, ma rację, czuje się dobrze jak jest, rozrywana przez wszystkich”. Otóż, jeżeli pani de Guermantes nie miała „salonu”, co to jest w takim razie „salon”?

Zdumienie, w jakie mnie wprawiły te słowa, było równe temu, jakie ja wzbudziłem w pani de Guermantes, mówiąc że lubię bywać u pani de Montmorency. Oriana uważała ją za starą kretynkę. „Ostatecznie — mówiła — ja muszę tam bywać, to moja ciotka, ale pan! Ona nie umie nawet ściągnąć przyjemnych ludzi”. Pani de Guermantes nie zdawała sobie sprawy, że przyjemni ludzie nie interesują mnie; że, kiedy ona mi mówi: *salon pani Arpajon* ja widzę żółtego motyla, a przy *salonie pani Swann* (pani Swann była u siebie w domu w zimie od 6 do 7) czarnego motyla o skrzydłach przysypanych śniegiem. Jeszcze ten ostatni salon-nie-salon księżna uważała — mimo że był niemożliwy dla niej — za usprawiedliwiony dla mnie z powodu „ludzi z talentem”. Ale pani de Luxembourg! Gdybym już był „stworzył” coś, coby zwróciło na mnie uwagę, Oriana orzekłaby, że trochę snobizmu może się kojarzyć z talentem. I pogłębiłem jeszcze zawód księżnej Oriany: przyznałem się jej, że chodzę do pani de Montmorency nie poto (jak sądziła) aby „zbierać wzorki” i „robić studja”. Pani de Guermantes popełniała zresztą ten sam błąd co światowi powieściopisarze, którzy bezlitośnie analizują z zewnątrz postęпки snoba lub człowieka uchodzącego za snoba, ale nie wchodzą nigdy w jego wnętrze, w epoce gdy w wyobraźni kwitnie cała wiosna towarzyska. Ja sam, kiedy sobie chciałem zdać sprawę z przyjemności, jakiej doznaję u pani de Montmorency, byłem nieco rozczarowany. Mieszkała w faubourg Saint-Germain, w starym domostwie o mnóstwie oficyn rozdzielonych małymi ogródkami. Pod sklepieniem, posążek (podobno Falconneta) wyobrażał źródło, skąd zresztą sączyła się ciągła wilgoć. Trochę dalej, odzwierciana, z oczami zawsze czerwonymi wskutek zmartwienia, neurastenji, migreny czy kataru — nie odpowiadała gościowi nigdy, ale robiła nieokreślony gest, wskazujący że księżna jest w domu, przy czem upuszczała z powiek kilka kropel do wazonika niezapominajek. Przyjemność, jaką znajdowałem w oglądaniu statuetki, bo mi przypominała gipsowego ogrodniczka w ogrodzie w Combray, była niczem w porównaniu z przyjemnością, jaką mi sprawiały wielkie schody, ciemne i dźwięczne, pełne ech, jak schody niektórych dawnych zakładów kąpielowych, z wazonami pełnymi cyneraryj błękit na błękitcie — stojącymi w sieni; a zwłaszcza dźwięk dzwonka łudzaco podobny do dzwonka w pokoju Eulalji. Ten dźwięk dopełniał miary mego entuzjazmu, ale wydawał mi się zbyt skromny abym go mógł wytłumaczyć pani de Montmorency, tak iż ta dama widziała mnie zawsze w zachwycie, którego nigdy nie zgadła przyczyny.

#### Wahania serca

Mój drugi przyjazd do Balbec był bardzo odmienny od pierwszego. Dyrektor przybył osobiście aby mnie oczekiwać w Pont-a-Coulevre, powtarzając jak bardzo ceni swoją utytułowaną klientelę, co we mnie wzbudziło obawę, że on mnie uszlachcił, aż do chwili gdy zrozumiał, że w mrokach jego gramatycznej pamięci „utytułowany” znaczy po prostu „stały”<sup>5</sup> Zresztą, w miarę jak dyrektor uczył się nowych języków, gorzej mówił dawniejszemi. Oznajmił, że mnie pomieścił na samym szczycie hotelu. „Mam nadzieję, rzekł, że pan nie dopatrzy się w tem manka grzeczności; przykro mi było dać panu pokój niegodny pana, ale uczyniłem to przez wzgląd na hałasy; w ten sposób nie będzie pan

<sup>5</sup>w mrokach jego gramatycznej pamięci „utytułowany” znaczy po prostu „stały” — *titré* zamiast *attitrée*. [przypis redakcyjny]

miał nikogo nad sobą, aby panu robił rumory. Niech pan będzie spokojny, każe zamknąć okna żeby nie trzaskały. Na tym punkcie jestem nieznośny (słowo to wyrażało nie jego myśl, którą było stwierdzenie, że na tym punkcie będzie zawsze *nieubłagany*, ale może myśl podwładnej mu służby).

Pokoje były zresztą te same co za pierwszym pobytom. Nie były niżej, ale ja wzniosłem się wyżej w szacunku dyrektora. Mogę kazać palić na kominku, jeżeli zapragnę (bo na rozkaz lekarzy, wyjechałem zaraz po Wielkiej Nocy), ale boi się, żeby nie było „rozpadlin” w suficie. „Zwłaszcza niech pan czeka z zapaleniem polana, aż poprzednie będzie skonsumowane. Bo najważniejsze jest, żeby nie zapuścić ognia w kominku, tem bardziej że, aby go trochę przystroić, kazałem na nim ustawić chiński wazon, który mógłby ulec destrukcji”.

Dyrektor powiadomił mnie ze smutkiem o śmierci dziekana z Cherbourg: „To był stary fryga” — rzekł (prawdopodobnie zamiast *wyga*); poczem dyrektor dał mi do zrozumienia, że koniec jego przyspieszyło życie *rozwlekle*, co znaczyło rozwiązało. „Już od jakiegoś czasu uważałem, że on po obiedzie spoczywa w objęciach Orfeusza (chciał powiedzieć: Morfeusza). W ostatnich czasach był tak zmieniony, że gdyby się nie wiedziało że to on, zaledwie można go było zdezyntryfikować (zapewne zamiast zidentyfikować)”.

Szczęśliwa kompensata: prezydent Sądu z Caen otrzymał „kokardę” komandora Legji honorowej. Nie ulega wątpliwości, że to zdolny człowiek, ale dano mu go z pewnością z powodu jego wielkiej legalności (lojalności?) Wspominano zresztą o tej dekoracji we wczorajszym „Echo de Paris”, w notatce z której dyrektor przeczytał dopiero pierwszy odstępek (zamiast ustępek). Polityka pana Caillaux wzięła tam tęgą pucówkę. „Uważam zresztą, że oni mają rację. Znadto nas chowają pod korcem niemieckim”. Ponieważ ten rodzaj tematów, traktowany przez hotelarza, nie zajmował mnie, przestałem słuchać. Myślałem o obrazach, które mnie znów ściągnęły do Balbec. Były bardzo różne od dawniejszych; wizja, jakiej szukałem obecnie, była równie promienna jak pierwsza była chmurna; i też miała mnie zawieść. Obrazy wybrane siłą wspomnień są tak samo dowolne, ciasne i nieuchwytnie jak te, które stworzyła wyobraźnia a zniweczyła rzeczywistość. Niema racji aby zewnątrz nas realne miejsce zawierało obrazy raczej pamięci niż marzenia. A potem, nowa rzeczywistość da nam może zapomnieć, nawet znienawidzić pragnienia, z których powodu podjęliśmy podróż.

Pragnienia, które kazały mi jechać do Balbec, wiązały się poczęści z tem, że państwo Verdurin (nigdy jeszcze nie skorzystałem z ich zaproszenia i z pewnością radzi ujrzeliby mnie u siebie, gdybym wpadł do nich na wieś przeprosić żem dotąd nie mógł złożyć im wizyty w Paryżu), wiedząc iż wielu wiernych spędza wakacje na tem wybrzeżu i wynajawszy z tego powodu na cały sezon jeden z zamków pana de Cambremer (La Raspeliere), zaprosili tam panią Putbus. Wieczorem, kiedy się o tem dowiedział (w Paryżu), wysłałem, jak istny warjat, naszego młodego lokajczyka, aby się wypytał, czy ta dama zabiera z sobą pannę służącą. Była jedenasta wieczór. Odźwierny długo nie otwierał i jakimś cudem nie wysłał w djably mego ambasadora, nie kazał wezwać policji, poprzestał na tem, że go przyjął bardzo źle, dostarczając mu zresztą upragnionej wiadomości. Oznajmił, że pierwsza panna służąca ma towarzyszyć pani najpierw do wód w Niemczech, potem do Biarritz, a wkońcu do pani Verdurin. Z tą chwilą uspokoiłem się, rad że mam coś „na wszelki wypadek”. Mogłem sobie oszczędzić pogoni na ulicach, gdzie, wobec spotkanych piękności, brak mi było owego listu rekomendacyjnego, jakim byłby wobec owej „Giorgione” fakt mojej bytności tegoż samego wieczora u państwa Verdurin, w towarzystwie jej pani. Zresztą, miałaby może o mnie jeszcze lepsze pojęcie, dowiadując się, że znam nietylko mieszczańskich lokatorów Raspeliere, ale jej właścicieli, a zwłaszcza Saint-Lo-up, który, nie mogąc mnie polecić na odległość pannie służącej (bo ta nie znała nazwiska Roberta), polecił mnie gorącym listem państwu de Cambremer. Myślał, że poza wszelką ich użytecznością dla mnie, pani de Cambremer młodsza, z domu Legrandin, interesowałaby mnie jako partnerka rozmowy. „To kobieta inteligentna, upewnił mnie. Nie powie ci rzeczy ostatecznych (rzeczy »ostateczne« zajęły miejsce rzeczy »boskich«; Robert odmieniał co kilka lat niektóre ze swoich ulubionych wyrażen, zachowując główne); ale to jest *ktoś*, ma osobowość, intuicję, umie znaleźć właściwe słowo. Od czasu do czasu jest denerwująca, papple głupstwa, aby »zadawać szyku« (rzecz tem komiczniejsza że niema

w świecie czegoś mniej szykownego niż Cambremerowie); nie zawsze jest *na wysokości*; ale w sumie to jeszcze jedna ze znośniejszych znajomości”.

Otrzymał rekomendację Roberta, państwo de Cambremer, bądź przez snobizm, wskazujący im tę drogę pośredniej uprzejmości dla Roberta, bądź przez wdzięczność że był pocziwy dla ich bratanka w Doncieres, a najprawdopodobniej przez dobroć i przez tradycje gościnności, natychmiast wystosowali długie listy, prosząc abym zamieszkał u nich, gdybym zaś wołał być swobodniejszy, ofiarowując się znaleźć mi mieszkanie. Kiedy Saint-Loup doniósł im, że mam zamieszkać w Grand-Hotel de Balbec, odpowiedzieli, że oczekują mojej wizyty zaraz po przybyciu, gdybym się zaś ociągał, nie omieszkają mnie odszukać sami, aby mnie zaprosić na swoje *garden-party*.

Bezwątpienia, nic nie wiązało w sposób organiczny pokojówki pani Putbus z okolicą Balbec, nie byłaby ona tam dla mnie jak owa wieśniaczka, którą, idąc samotny drogą do Méséglise, wzywałem tak często nadaremnie, całą siłą swego pragnienia.

Ale oddawna już nie starałem się wyciągać z kobiety jakby pierwiastka jej Nieznanego, które często nie wytrzymywało próby zwykłej prezentacji. Przynajmniej w Balbec, gdzie nie był oddawna — w braku potrzebnego a nie istniejącego związku między okolicą a tą kobietą — miałbym tę korzyść, że przyzwyczajenie nie zniweczyłoby tam we mnie poczucia realności, jak to było w Paryżu, gdzie bądź we własnym domu, bądź w znanym mi pokoju, rozkosz zażywana z kobietą nie mogła mi pośród rzeczy codziennych dać ani na chwilę złudzenia, że mi otwiera wstęp do nowego życia. (Bo jeżeli przyzwyczajenie jest *drugą naturą*, nie pozwala nam ono poznać *pierwszej*, której nie posiada ani okrucieństw ani czarów). Otóż miałbym może to złudzenie w nowej miejscowości, gdzie odradza się wrażliwość wobec promienia słońca i gdzie mojej ekstazy dopełniłaby pokojówka której pragnąłem; ale okaże się, iż, zbiegiem okoliczności, owa kobieta nietylko nie przyjechała do Balbec, ale że przybycie jej byłoby mi w najwyższym stopniu niepożądane; tak iż tego głównego celu swojej podróży nie osiągnąłem, ani nawet nie próbowałem osiągnąć. Zapewne, pani Putbus nie miała tak rychło w ciągu sezonu przyjechać do Verdurinów; ale takie upragnione przyjemności mogą być dalekie, byleby ich nadejście było pewne, i byleby w ich oczekiwaniu można było do tego czasu abdykować z zalotności, oddać się leniwie niezdolności kochania. Zresztą, nie wybrałem się do Balbec w intencji równie praktycznej jak za pierwszym razem; zawsze jest mniej egoizmu w czystej wyobraźni niż we wspomnieniu; a wiedziałem, że się znajdę w miejscu, gdzie się roi od pięknych nieznanomych których plaża nastęcza nie mniej od sali balowej. Zgóry myślałem o spacerach przed hotelem, na didze, z tym samym odcieniem przyjemności, jakiegoby mi dostarczyła pani de Guermantes, gdyby, zamiast mi wyrabiać zaproszenia na świetne obiady, częściej podsuwała moje nazwisko w domach, gdzie się tańczyło. Zawierać kobiece znajomości w Balbec byłoby mi teraz równie łatwo, jak było mi trudno niegdyś, bo miałem teraz tyleż stosunków i punktów oparcia ile ich byłem pozbawiony za pierwszym razem.

Wyrwał mnie z mojego marzenia głos dyrektora, którego rozważań politycznych nie słuchałem. Zmieniając temat, wyraził mi radość prezydenta Sądu na wieść o moim przybyciu; i że sam prezydent przyjdzie mnie odwiedzić jeszcze tego wieczora. Myśl o tej wizycie przestraszyła mnie tak bardzo (bo zaczynałem się czuć zmęczony), że prosiłem dyrektora aby temu zapobiegł (co mi przyrzekł) i aby, dla większej pewności, tego pierwszego wieczora postawił na moim piętrze na warcie swój personel. Nie wydawało się, aby go kochał zbyt. „Cały dzień muszę uganiać za nimi, bo im brakuje inercji. Gdyby mnie tu nie było, nie ruszyliby się z miejsca. Postawię lift-boya na pieczy u pańskich wrót”. Spytałem, czy ów boy został wreszcie „starszym strzelcem”. „Jeszcze nie jest dość przedawniony w hotelu — odparł dyrektor. Są inni starsi od niego. Byłby krzyk. W każdej rzeczy trzeba grandacji. Uznaję, że on ma dobrą reprezentację w swojej windzie. Ale jest jeszcze trochę za młody na takie pozycje. Z innymi, którzy są starsi, toby był kontrakt. Trochę mu brak powagi, co jest prymitywną zaletą. (Chciał powiedzieć zasadniczą, najważniejszą). Trzeba, żeby miał trochę oleju w nogach (chciał powiedzieć w głowie). Zresztą, niech się tylko zda na mnie. Ja się znam na tem. Zanim zdobyłem ostrogi jako dyrektor Grand-Hotelu, skrzyżowałem pierwszy raz szpadę u pana Paillard”. To porównanie wzruszyło mnie; podziękowałem dyrektorowi, że przybył sam aż do Pont à Coulevre. „Och, nie ma za co. To mi zajęło czas minimalny” (zamiast minimalny). Zresztą, już się przybyli.

Wstrząs w całej mojej istocie. Pierwszej nocy, odczuwając chwilową niedomogę serca i starając się opanować swój stan, schyliłem się pomału i ostrożnie aby zdjąć trzewiki. Ale ledwiem dotknął pierwszego guzika, pierś moja wzdęła się, wypełniona jakąś nieznaną i boską obecnością; łkania wstrząsały mną, łzy popłynęły mi z oczu. Istotę, która przybywała mi na pomoc, która mnie ratowała od oschłości duszy, była ta, która, na wiele lat wprzód, w identycznej chwili samotności i rozpacz, w chwili gdy nie miał już nic z siebie, weszła i wróciła mnie samemu sobie, bo ona była mną i więcej niż mną (*zawierające*, które jest czemś więcej niż *zawarte*). Ujrzałem nagle w pamięci, ujrzałem pochyloną nad mojem zmęczeniem, tkliwą, stroskaną i zawiedzioną twarz babki, takiej jaką była owego pierwszego wieczora po naszym przybyciu; twarz babki nie tej, której, ku memu zdziwieniu i zgryzocie, żalowałem tak mało i która miała tylko jej imię, ale babki prawdziwej, której żywą realność odnajdywałem w mimowolnym i pełnym przypomnieniu, pierwszy raz od czasu Pól Elizejskich, gdzie dostała ataku. Ta realność nie istnieje dla nas, dopóki nie została odtworzona naszą myślą (inaczej ludzie, którzy brali udział w olbrzymiej bitwie, byłiby wszyscy wielkimi poetami epicznymi); tak więc, w szalonej żądzy rzucenia się jej w ramiona, dopiero w tej chwili, więcej niż w rok po jej pogrzebie, naskutek tego anachronizmu, który tak często nie pozwala kalendarzowi faktów schodzić się z kalendarzem uczuć — dowiedziałem się, że ona umarła. Często mówiłem o niej od tego czasu, a także myślałem o niej, ale pod temi słowami i myślami niewdzięcznego, samolubnego i okrutnego młodego człowieka, nie było nigdy nic, coby było podobne do babki, ponieważ w swojej lekkomyślności i w swojej żądzy zabaw, oswojony z jej chorobą, zachowałem jedynie w stanie potencjalnym wspomnienie tego czem ona była. Nasza całkowita dusza — w jakimś momencie byśmy ją zważali — posiada wartość niemal urojoną, mimo obfitego bilansu jej bogactw, bo to jedno to drugie z nich nie są płynne, czy chodzi zresztą o bogactwa rzeczywiste czy o bogactwa wyobraźni; dla mnie na przykład, tak samo bogactwa dawnego nazwiska Guermantes, jak o ileż poważniejsze bogactwa prawdziwego wspomnienia babki. Bo z zaćmieniami pamięci kojarzą się odpływy serca. Zapewne istnienie ciała, podobnego dla nas do naczynia, któreby zawierało naszą duchowość, nasuwa przypuszczenie, że wszystkie wewnętrzne dobra, minione radości, wszystkie bóle są ustawicznie w naszym posiadaniu. Może równie nieścisle jest wierzyć, że one się nam wymykają lub wracają. W każdym razie, jeżeli zostają w nas, to po największej części w nieznannej dziedzinie, gdzie się nam nie zdadzą na nic i gdzie nawet najpotrzebniejsze zepchnięte są przez wspomnienia innej kategorii, wykluczając w świadomości wszelką z niemi równoczesność. Ale jeżeli odnajdziemy ramę wrażeń, w której są przechowane, one znowuż mają moc wypędzenia wszystkiego, co się nie godzi z niemi, pomieszczenia w nas wyłącznie owego ja, które je przeżyło. Otóż, ponieważ to *ja*, którem się nagle stałem znowu, nie istniało od owego odległego wieczoru, kiedy mnie babka rozebrała po przybyciu do Balbec, tedy zupełnie naturalnie, nie po obecnym dniu którego to *ja* nie знаło, ale — tak jakby istniały rozmaite i równoległe serje czasu — bez przerwy w ciągłości zaraz po owym dawnym pierwszym wieczorze stopiłem się z minutą, w której babka pochyliła się ku mnie. *Ja*, którem byłem wówczas i które znikło na tak długo, było znów tak blisko mnie, że mi się jeszcze zdawało iż słyszę poprzedzające bezpośrednio ów akt słowa, które przecież były już tylko snem; jak człowiek źle rozbudzony myśli, że słyszy tuż obok siebie odgłosy swego snu, który ucieka. Byłem już tylko tą istotą, która pragnęła się schronić w ramiona babki, wymazać ślady jej trosk obsypując ją pocałunkami; istotą, którą wyobrazić sobie wówczas kiedym był tą lub ową z osób przesuwających się we mnie od jakiegoś czasu, sprawiłoby mi tyleż trudności, ile teraz trzebaby mi wysiłków, jałowych zresztą, aby odczuć pragnienia i radości jednego z owych *ja*, którymi, na jakiś czas przynajmniej, już nie byłem. Przypomniałem sobie, jak — na godzinę przed chwilą gdy babka schyliła się tak w szlafroku ku moim trzewikom błędząc w ulicy dusznej od gorąca, przed cukiernią, myślałem, że nigdy, w mojej namiętnej potrzebie uściskania jej, nie zdołam doczekać godziny, którą mi trzeba jeszcze było spędzić bez niej. A teraz, kiedy ta sama potrzeba odradzała się, wiedziałem że mogłem czekać godziny po godzinach, że nigdy nie będzie jej już przy mnie, i dopiero odkrywałem ją, ponieważ, czując ją pierwszy raz, żywą, prawdziwą, rozsadzającą moje serce tak iż zdawało się że pęknie, odnajdując ją wreszcie, dowiedziałem się oto, że ją stracił na zawsze. Stracił na zawsze; nie mogłem zrozumieć tej sprzeczności i ćwiczyłem się w znoszeniu jej bólu: z jednej strony istnienie,

czułość, żyjące we mnie takie jak je znałem, to znaczy stworzone dla mnie; miłość, w której wszystko tak bardzo znajdowało we mnie swoje dopełnienie, swój cel, swoją busolę, że geniusz wielkich ludzi, wszystkie genjusze istniejące od początku świata nie byłyby warte w oczach babki jednej z moich wad; a z drugiej strony, skoro tylko przeżyłem na nowo, niby rzecz obecną, to szczęście, czuć je przeszyte pewnością — tryskającą jak potwarzający się fizyczny ból — pewnością nicości, która zatarła mój obraz w tym sercu, zniszczyła to istnienie, zniszczyła wstecz nasze wzajemne przeznaczenie, zrobiła z babki, w chwili gdy ją odnajdywałem niby w lustrze, poprostu obcą kobietę, której przypadek kazał spędzić kilka lat obok mnie, tak jakby mogła je spędzić obok każdego innego, ale dla której, przedtem i potem, byłem niczem i miałem być niczem.

Zamiast przyjemności zażywanych od jakiegoś czasu, jedyną którą byłoby mi możliwe odczuć w tej chwili, byłoby, poprawiając przeszłość, zmniejszyć cierpienia, jakich babka doznawała niegdyś. Otóż, przypominałem ją sobie nie tylko w tym szlafroku, stroju dostosowanym tak, że stawał się niemal ich symbolem, do utrudzeń, niezdrowych z pewnością, ale i słodkich, jakie ponosiła dla mnie; stopniowo oto przypominałem sobie wszystkie okazje, których nie przepuściłem, okazując jej swoje cierpienia, przesadzając je nieraz, sprawiając jej przykrości, które później — tak sobie wyobrażałem — zacierałem pocałunkami, jakgdyby czułość moja równie była zdolna uczynić ją szczęśliwą jak moje szczęście! I gorzej jeszcze: ja, który obecnie widziałem całe szczęście jedynie w tem, aby je móc odnaleźć rozlane w swoim wspomnieniu na płaszczyznach tej twarzy wyrzeźbionej czułością, wkładałem niegdyś obłądny szal w to aby się starać z niej wyrwać nawet najdrobniejsze przyjemności, na przykład w dniu gdy Saint-Loup fotografował babkę, kiedy, zaledwie zdolny ukryć jak mnie śmiechy jej dziecinna kokieterja — pozowanie w kapeluszu z wielkim rondem w twarzowym półświecie — pozwoliłem sobie mruknąć parę zniecierpliwionych i dotkliwych słów. I te słowa — czułem to po skurczu twarzy — osiągnęły swój cel, zraniły ją; i teraz mnie rozdzierały te słowa, teraz kiedy na zawsze stało się niepodobieństwem pocieszyć ją tysiącem pocałunków!

Ale nigdy nie zdołałbym już wymazać tego skurczu jej twarzy, ani tego cierpienia z jej serca, lub raczej z mego; skoro bowiem umarli istnieją już tylko w nas, siebie samych uderzamy bez wytchnienia, kiedy się silimy przypominać sobie ciosy, któreśmy im zadali. Tych cierpień, bodaj najokrutniejszych, czepiałem się ze wszystkich sił, bo czułem, że one są skutkiem wspomnienia babki, dowodem że to wspomnienie żyje we mnie istotnie. Czułem że już ją sobie naprawdę przypominam jedynie przez bolesć, i byłbym pragnął, aby te gwoździe, które przybijały we mnie jej pamięć, utkwily jeszcze mocniej. Nie starałem się złagodzić ani upiększyć cierpienia, udawać że babka jest tylko nieobecna i chwilowo niewidzialna, zwracając do jej fotografii (tej, którą zrobił Saint-Loup i którą miałem z sobą) słowa i modlitwy, jak do istoty rozłączonej z nami, która jednak, zachowawszy swą osobowość, zna nas i jest z nami związana nierozzerwalną harmonją. Nigdy tego nie uczyniłem, bo zależało mi nie tylko na tem aby cierpieć, ale aby szanować odrębność swego cierpienia, takiego jak je odczułem nagle i niechcący; i chciałem nadal je czuć, posłuszny jego własnemu prawom, ilekroć wracała ta tak dziwna sprzeczność krzyżujących się we mnie trwania i nicości. Wiedziałem zapewne nie to, czy z bolesnego a obecnie niezrozumiałego wrażenia wydobędę kiedyś trochę prawdy, ale wiedziałem że jeżeli tę trochę prawdy zdołam kiedy wydobyć, to jedynie z niego, z tego tak osobliwego, samorzutnego wrażenia, którego ani nie wykreśliła moja inteligencja, ani nie złagodziła małoduszność, ale którego podwójną i tajemniczą brudę wyźłobiła we mnie jak piorun, nadprzyrodzoną i nieludzką linią, sama śmierć, nagle objawienie śmierci. (Co się tyczy zapomnienia babki, w jakim żyłem dotąd, nie mogłem nawet myśleć o uczepieniu się go poto aby zeń wydobyć prawdę, skoro było ono jedynie negacją, omdleniem myśli nie zdolnem odtworzyć realnego momentu życia i zmuszonem zastąpić go konwencjonalnymi i obojętnymi obrazami.) Może jednak instynkt samozachowawczy, przemyślność inteligencji w tem aby nas chronić od bólu, zaczynały już, budując na dymiących jeszcze zgłiszczach, kłaść pierwsze podstawy swego użytecznego i złowrogiego dzieła; dzięki czemu zbytnio może kosztowałem słodczy przypomniania sobie jakichś myśli drogiej mi istoty, przypomniania ich sobie tak jakby je mogła jeszcze wyrażać, jakgdyby ona istniała, jakgdybym ja wciąż jeszcze istniał dla niej. Ale, z chwilą gdy m zdołał zasnąć, w tej prawdopodobniejszej godzinie, gdy oczy moje zamknęły się dla zewnętrznych zjawisk, świat snu (na którego

progu inteligencja i wola, chwilowo porażone, nie mogły mnie już wydzierać okrucieństwu moich prawdziwych wrażeń) odbił, załamał, w ograniczonej i obecnie przeźroczyście głębi tajemniczo oświetlonych trzewi, bolesną syntezę trwania i nicości. Świat snu, gdzie nasza podświadomość, zależna od zaburzeń organów, przyspiesza rytm serca lub oddechu, ponieważ ta sama doza przestrachu, smutku, wyrzutu, wstrzyknięta tak w nasze żyły, staje się stokroć silniejsza; z chwilą gdy, aby przebiec arterje podziemnego miasta, płyniemy na czarnej fali własnej krwi jak po wewnętrznej Lecie o sześciokrotnych skrętach, zjawiają się nam wielkie uroczyste postacie, nawiedzają nas i opuszczają, zostawiając nas we łzach.

Napróżno szukałem twarzy babki z chwilą gdy wylądowałem pod ciemnym sklepieniem; wiedziałem przecie że ona jeszcze istnieje, ale życiem zwątlonem, bładem jak życie wspomnienia; ciemność rosła, i wiatr także; ojciec, który miał mnie zaprowadzić do niej, nie przybywał. Naraz zbrakło mi oddechu, uczułem serce jakby stwardniałe, tknęło mnie, żem od wielu tygodni zapomniał napisać do babki. Co ona musi myśleć o mnie? „Mój Boże, powiadałem sobie, jaka ona musi być nieszczęśliwa w pokoiku wynajętym dla niej, tak małym jak izdebka służącej, gdzie jest sama z pielęgniarką, nie mogąc się ruszyć, bo jest wciąż trochę sparaliżowana i nie chciała ani razu wstać. Musi myśleć, że zapominam o niej od czasu gdy umarła; jak ona musi się czuć sama i opuszczona! Och, muszę pobiec ją zobaczyć, nie mogę czekać ani minuty, nie mogę czekać aż ojciec przyjdzie; ale gdzie to jest, jak ja mogłem zapomnieć adresu; byle mnie jeszcze poznała! W jaki sposób mogłem zapomnieć o niej całe miesiące? Ciemno jest, nie znajdę, wiatr przeszkadza mi iść; ale oto ojciec spaceruje przedemną, krzyczę doń: „Gdzie jest babka, powiedz mi adres. Czy się ma dobrze? Czy to pewne, że jej na niczem nie zbywa? — Ależ nie, odrzekł ojciec, możesz być spokojny. Pielęgniarka to osoba pewna. Posyłamy od czasu do czasu małą sumkę, aby jej kupiono to trochę czego jej trzeba. Pyta czasem co się z tobą dzieje. Powiadano jej nawet, że masz pisać książkę. Zdaje się, że ją to ucieszyło. Otarła łzę”. Wówczas przypomniałem sobie (tak mi się zdawało), że w krótki czas po swojej śmierci, babka powiedziała mi szlochając z pokorną miną, jak stara służąca wypędzona, jak obca: „Pozwolisz mi jednak widywać się od czasu do czasu, nie zostaw mnie zbyt wiele lat bez swoich odwiedzin. Pomyśl, żeś ty był moim wnukiem i że babcie nie zapominają”. Widząc znów tę jej twarz tak pokorną, tak nieszczęśliwą, tak słodką, chciałem biec natychmiast i powiedzieć to, com był powinien odrzec wówczas: „Ależ babciu, będziesz mnie widziała ile zechcesz, mam tylko ciebie na świecie, nie opuszczę cię już nigdy.” Ileż łez musiało ją kosztować moje milczenie, od tylu miesięcy przez które nie byłem tam gdzie ona leży; co ona musiała sobie mówić? I szlochając również, rzekłem do ojca: „Prędko, prędko, jej adres, zaprowadź mnie.” Ale ojciec odparł: „Słuchaj... ja nie wiem, czy ty będziesz mógł ją widzieć. A przytem, wiesz, ona jest bardzo słaba, bardzo słaba, to nie jest już ona, boję się że toby ci było raczej przykre. I nie przypominam sobie dokładnego numeru alei. — Ale powiedz mi, ty który wiesz; to nieprawda, że umarli już nie żyją? To z pewnością nieprawda, mimo wszystko co mówią, skoro babka jeszcze istnieje”. Ojciec uśmiechnął się smutno: „Och, bardzo mało, wiesz, bardzo mało. Sądzę, iż lepiej będzie, żebyś tam nie szedł. Nie brakuje jej nic. Wszystko zarządzono. — Ale jest często sama? — Tak, ale to lepiej dla niej. Lepiej żeby nie myślała, toby jej mogło zrobić tylko przykrość. Często przykro jest myśleć. Zresztą wiesz, ona jest bardzo wyczerpana. Zostawię ci ściśle wskazówki, abyś mógł do niej iść, ale nie widzę co byś ty tam mógł zrobić i nie sądzę aby cię pielęgniarka puściła. — Wiesz przecie, że ja będę zawsze żył przy niej, jelenie, jelenie, Francis Jammes, widelec”. Ale już przebyłem z powrotem rzekę o mrocznych skrętach, wypłynąłem na powierzchnię gdzie się otwiera świat żywych, toteż jeżeli powtarzałem jeszcze „Francis Jammes, jelenie, jelenie”, dalszy ciąg tych słów nie przedstawiał dla mnie jasnego sensu i logiki, którem znajdował w nich tak naturalnie jeszcze przed chwilą, a których nie mogłem już sobie przypomnieć. Nie rozumiałem już nawet czemu słowo „Ajax”, które wyrzekł przed chwilą ojciec, znaczyło zaraz potem, bez najmniejszej wątpliwości: „Uważaj, żebyś się nie zaziębił”. Zapomniałem zamknąć okienice i z pewnością jasny dzień mnie obudził. Ale nie mogłem znieść tego żem miał przed oczami te fale, na które babka mogła niegdyś patrzeć całe godziny; nowy obraz ich obojętnej piękności dopełniał się natychmiast myślą że ona ich nie widzi; byłbym chciał

zatkać uszy na ich szum, bo teraz promienna pełnia plaży drążyła pustkę w moim sercu; wszystko mówiło mi: „Nie widzieliśmy jej”, jak owe aleje i trawniki publicznego ogrodu, gdzie ją raz niegdyś zgubiłem, kiedy byłem całkiem mały; pod kopułą bladego i boskiego nieba dławilem się niby pod olbrzymim sinym kloszem, zamykającym horyzont, gdzie babki nie było. Aby już nic nie widzieć, obróciłem się do ściany, ale niestety, nawprost siebie miałem owo przepierzenie, które służyło nam niegdyś za rannego posła, tę ściankę oddającą posłusznie jak skrzypce wszystkie odcienie uczucia, wiernie opowiadającą babce moją obawę obudzenia jej i — jeżeli się już obudziła — obawę że mnie nie słyszała i że się nie śmie poruszyć; i natychmiast potem, niby odzew drugiego instrumentu, oznajmiającą mi jej przybycie i wróżącą spokój. Nie śmiałem się zbliżyć do tej ściany, bardziej niż do fortepianu, na którymby babka grała i który drgałby jeszcze od jej dotknięcia. Wiedziałem, że mógłbym pukać teraz, nawet silniej, że nic nie mogłoby jej już obudzić, że nie usłyszałbym żadnej odpowiedzi, że babka jużby nie przyszła. I nie prosiłem o nic więcej Boga, jeżeli istnieje niebo, jak o to, aby móc zapukać trzy razy w tę ścianę trzema lekkimi uderzeniami, które babka poznałaby wśród tysiąca i na które odpowiedziałaby również trzema, mówiącami: „Nie niepokój się, mała myszko, rozumiem że się niecierpliwisz, ale ja przyjdę”, i żebym mógł tam z nią zostać całą wieczność, która nie byłaby zbyt długa dla nas dwojga.

Dyrektor przyszedł spytać, czy nie zechcę zejść. Na wszelki wypadek, czuwał nad moją „lokata” w jadalnej sali. Nie widząc mnie, zląkł się, czym nie miał ataku dawnych duszności. Miał nadzieję, że to jest tylko mała „angina gardła” i upewnił mnie, iż słyszał, że ustępuje od tego co on nazywał „kaliptus”.

Oddał mi list od Albertyny. Nie miała przyjechać tego roku do Balbec, ale zmieniawszy projekty, jest od trzech dni nie w samym Balbec, lecz w sąsiedniej miejscowości, o dziesięć minut tramwajem. Bojąc się, że jestem zmęczony podróżą, nie zjawiała się pierwszego wieczora, ale pyta kiedy ją będę mógł przyjąć. Wypytałem się, czy zachodziła sama; nie poto aby ją zobaczyć, ale aby się urządzać tak żeby jej nie widzieć. „Ależ bezwzględnie, odpowiedział dyrektor. Pani chciała móc pana widzieć jaknajprędzej, chyba że pan ma jakieś racje absolutnie negacyjne. Widzi pan (zakończył dyrektor), że wszyscy tutaj pragną pana, definitywnie”. Ale ja nie chciałem widzieć nikogo.

A jednak, poprzedniego dnia, tuż po przybyciu, czułem że mną owłada leniwy czar życia kąpielowego. Ten sam „lift”, milczący tym razem z szacunku nie ze wzgardy, czerwony z radości, wprawił w ruch windę. Wznosząc się wzdłuż pionowego słupa, przebyłem znów to, co było niegdyś dla mnie tajemnicą nieznanego hotelu, gdzie, kiedy się przybywa jako turysta bez protekcji i znaczenia, każdy gość wracający do swego pokoju, każda panienka schodząca na obiad, każda pokojówka mijająca te dziwacznie kręte korytarze, i młoda Amerykanka schodząca na obiad z damą do towarzystwa, obrzucają cię spojrzaniem, w którym nie wyczytasz nic z tego czegośbyś pragnął. Tym razem, przeciwnie, odczuwałem leniwą przyjemność jechania windą w hotelu znanym, gdzie się czułem u siebie, gdzie dokonałem jeden raz więcej owej wciąż na nowo koniecznej operacji, dłuższej i trudniejszej niż wywrócenie powieki, a polegającej na tem, aby dać przedmiotom duszę nam bliską, w miejsce ich własnej duszy, która nas przerażała. Czyż miałbym teraz — powiadałem sobie, nie podejrzewając naglej odmiany duszy, która mnie czekała — tulać się wciąż po nowych hotelach, gdzie bym jadł obiad pierwszy raz, gdzie przyzwyczajenie nie zabiłoby jeszcze na każdym piętrze, przed każdymi drzwiami, straszliwego smoka czuwającego nad zaczarowaniem istnieniem; gdzie musiałbym się zbliżyć do owych nieznanych kobiet, skupiających się w palace-hotelach, kasynach, na plażach, i żyjących społeczeństwem rozległych kolonji polipów.

Znajdowałem przyjemność nawet w tem, że nudnemu prezydentowi sądu tak pilno było mnie oglądać; wiedziałem od pierwszego dnia łańcuchy modrych gór morza, jego lodowce i kaskady, jego wspaniałość i niedbały majestat — już przy myciu rąk, od samego wdechania — pierwszy raz od tak dawna — specjalnego zapachu zbyt perfumowanych mydeł Grand-Hotelu: zapach ten, należący równocześnie do chwili obecnej i do poprzedniego pobytu, bujał między niemi niby rzeczywisty czar swoistego życia, w którym wraca się do domu jedynie poto aby zmienić krawat. Prześcierała na łóżku, za cienie, za lekkie, za szerokie, niepodobne do podwinięcia i do utrzymania, wzdymające się dokoła kołder w ruchomych zwojach, zasmuciłyby mnie niegdyś. Kołysały jedynie, na niewygod-

nej i wzdętej krągłości swoich żagli, wspaniałe i pełne nadziei słońce pierwszego ranka. Ale ów ranek nie miał czasu się zjawić. Okrutna i boska obecność zmartwychwstała tej nocy.

Prosiłem dyrektora, żeby odszedł i zabronił komukolwiek wchodzić. Powiedziałem mu, że zostanę w łóżku, odrzucając równocześnie jego propozycję posłania do apteki po znakomity środek. Uszczęśliwiony był z mojej odmowy, bo bał się, aby goście nie odczuli przykro zapachu „kaliptusa”. Zjednało mi to jego komplement:

„Bardzo ma pan racjonalny punkt wytyczny” (zamiast punkt widzenia), oraz to zalecenie: „niech pan uważa, żeby się pan nie powalał o drzwi, bo poleciłem zamki rozpuścić oliwą, a gdyby funkcjonariusz pozwolił sobie zapukać do pana, dostanie smarowanie (zapewne wcieranie). I niech się pilnują, bo ja nie lubię powtórności (zapewne powtarzania dwa razy tego samego). Ale czy pan nie życzy sobie, żebym panu kazał podać trochę starego wina którego mam na dole antolek? Nie przyniosę go panu na srebrnej tacy jak głowy Jonatana i uprzedzam pana, że to nie jest Château-Laffite, ale coś mniej więcej alogicznego (chciał powiedzieć analogicznego). A możeby panu usmażyć małą solę, coś lekkiego?”

Odmówiłem wszystkiego, ale uderzyło mnie, że dyrektor — człowiek który tyle się musiał napodawać tej ryby! — wymawia jej nazwę (*la sole*) jak *saule*, wierzba.

Mimo obietnic dyrektora, przyniesiono mi nieco później zagięty bilet wizytowy margrabiny de Cambremer. Przybywszy aby mnie odwiedzić, stara dama kazała spytać czy jestem w domu, a kiedy się dowiedziała że przyjechał dopiero wczoraj i że jestem cierpiący, nie należała. Zatrzymawszy się z pewnością przed apteką lub przed sklepikiem, dokąd lokaj, zeskakując z kozła, wchodził, płacił jakiś rachunek lub czynił zakupy, margrabina odjechała do Féterne w swojej starej landarze zaprzężonej w parę koni. Dość często zresztą słyszano jej turkot i podziwiano ten ceremonjał na uliczkach Balbec oraz w paru innych nadbrzeżnych miejscowościach między Balbec a Féterne. Nie aby postoje przed sklepami były celem owych wypraw. Celem był jakiś podwieczorek, garden-party w sąsiednim dworze lub mieszczańskim domu — bardzo niegodnych margrabiny. Ale ta, mimo że nieskończenie przerastając urodzeniem i majątkiem miejscową drobną szlachtę, tak bardzo, w swojej doskonałej dobroci i prostocie, obawiała się sprawić komuś zawód, że spieszyła na najmizerniejsze zebranie w okolicy. Z pewnością, zamiast robić tyle drogi, poto aby słuchać w dusznym saloniku śpiewaczki przeważnie bez talentu, którą, jako wielka dama i renomowana artystka, musiała przesadnie komplementować, margrabina wolałaby przejechać się poprostu na spacer lub siedzieć w Féterne w swoim cudownym ogrodzie, u którego stóp zamierała wśród kwiatów senna fala zatoki. Ale wiedziała, że pan domu — ziemianin czy obywatel z Maineville-la-Teinturière lub z Chattoncourt-l'Orgueilleux zapowiedział gościom jej obecność. Otóż, gdyby pani de Cambremer wyjechała tego dnia na spacer nie pokazując się na tej fecie, groziło to że któryś z gości przybyły z jednej z nadmorskich plaż mógł usłyszeć i zobaczyć powóz margrabiny, co by jej odjęło wymówkę, że musiała tego dnia zostać w domu. Wprawdzie gospodarze domu widywali często panią de Cambremer na koncertach u ludzi, nie będących (ich zdaniem) właściwym dla niej towarzystwem; ale nieznaczna wynikała stąd w ich oczach obniżka sytuacji nazbyt łaskawej margrabiny, znikła natychmiast, kiedy chodziło o nich samych. Gorączkowo zadawali sobie pytanie, czy dama ta zjawi się na ich „podwieczorku”. Co za ulga w odczuwanym od kilku dni niepokoju, jeżeli, po pierwszym kawałku odśpiewanym przez pannę domu lub przez jakiegoś letnika-amatora, któryś gość oznajmił (niechybny znak, że margrabina przybędzie!), że widział konie sławnego powozu, stojące przed zegarmistrzem lub przed drogerją. Wówczas, pani de Cambremer (która w istocie nie omieszkała się zjawić w towarzystwie synowej oraz gości bawiących u niej w tej chwili, poprosiwszy wprzód dla nich o zaproszenie, udzielone z jakąż radością!) odzyskiwała cały swój blask w oczach gospodarstwa, dla których nagroda jej spodziewanego przybycia była może ostateczną a tajemną przyczyną decyzji, jaką powzięli przed miesiącem, aby podjąć kłopoty i koszty tego zebrania. Widząc margrabinę na swoim podwieczorku, przypominali sobie już nie łaskawość, z jaką bywała również u mniej godnych sąsiadów, ale dawność jej rodu, wspaniałość zamku, pychę jej synowej, z domu Legrandin, która swoją arogancją uwydatniała młdą nieco dobroduszną teściową. Już mieli uczucie, że w „kronice światowej” „Gaulois” czytają notatkę, którą, zamknawszy wszystkie drzwi



na klucz, sami wysmażą w rodzinie, o „zakątku Bretanii kipiącym zabawą, o *ultra select* podwieczorku, po którym zachwyceni goście, zanim opuścili gościnne progi, uprosili miłych gospodarstwa o rychłe *bis*”. Codziennie oczekiwali gazety, niespokojni że jeszcze w niej nie widzą swego podwieczorku i że posiadali może panią de Cambremer jedynie dla swoich gości, a nie dla rzeszy czytelników. Wreszcie nadchodził błogosławiony dzień: „Obecny sezon w Balbec jest wyjątkowo świetny. Jest moda na prozzone popołudniowe koncerty etc.” Bogu dzięki, nazwisko pani de Cambremer wolne było od błędów ortograficznych i „wymienione wśród innych” ale na pierwszym miejscu. Poczem wyrzekali na niedyskrecję dzienników, zdolną spowodować pretensje osób, których nie można było zaprosić, oraz pytali się obłudnie przy pani de Cambremer, kto mógł mieć tę perfidję, aby posłać to „echo”, o którym margrabina, życzliwym tonem wielkiej damy, mówiła: „Rozumiem, że to państwa drażni, ale co do mnie, mogę być jedynie szczęśliwa, że się dowiedziano o mojej obecności u drogich państwa”.

Na bilecie, który mi wręczono, pani de Cambremer skreśliła wiadomość że wyprawia „podwieczorek” pojutrze. I z pewnością jeszcze dwa dni temu, mimo iż byłem dość zmęczony życiem światowem, byłoby dla mnie prawdziwą przyjemnością kosztować go dla odmiany w tych ogrodach, gdzie, dzięki położeniu Féterne, rosły na wolności figi, palmy, krzaki róż, aż do samego morza, nieraz śródziemnomorsko spokojnego i błękitnego, po którym mały jacht właścicieli wędrował przed rozpoczęciem się fety, aby z drugiej strony zatoki zbierać po plażach znaczniejszych gości. Kiedy wszyscy już przybyli, jacht, chroniąc ich aksamitnymi zasłonami od słońca, służył za salę jadalną, wieczorem zaś odwoził z powrotem tych których przywiózł. Był to zbytek uroczy, ale tak kosztowny, że po części dlatego aby mu sprostac, pani de Cambremer starała się na rozmaity sposób pomnożyć dochody, między innymi wynajmując — pierwszy raz — jedną ze swoich posiadłości, bardzo odmienną od Féterne: la Raspelière.

Tak, dwa dni wcześniej, taki poranek gromadzący nieznaną mi prowincjonalną szlachtę, w nowej ramie, jakimż byłby dla mnie urozmaiceniem po „wielkim świecie” paryskim. Ale teraz, przyjemności nie miały już dla mnie żadnego sensu. Napisałem tedy do pani de Cambremer z przeproszeniem, podobnie jak godzinę wprzód kazałem odprawić Albertynę: zgrzyzota zniweczyła we mnie tak kompletnie możność pragnienia czegoś, jak silna gorączka odbiera apetyt...

Matka miała przybyć nazajutrz. Zdawało mi się, że mniej jestem niegodny żyć obok niej, że rozumiałbym ją lepiej teraz, kiedy wszelkie obce i małe życie ustąpiło miejsca przypływowi rozdzierających wspomnień, które opasywały i uszlachetniały moją i jej duszę swoją cierniową koroną. Tak sądziłem; ale w rzeczywistości, od prawdziwych zgrzyzot, jak zgrzyzota mamy, które odbierają człowiekowi dosłownie życie na długi czas, czasami na zawsze, z chwilą gdy się straciło ukochaną istotę, daleko jest do owych zmartwień mimo wszystko przejściowych, jak miało być moje, zmartwień które odchodzą szybko jak przyszły późno, których doznaje się aż w długi czas po wypadku, bo trzeba je było zrozumieć aby je odczuć; zmartwień, których tylu ludzi doznaje, a od których to co mnie dręczyło obecnie, różniło się jedynie ową tonacją mimowolnego wspomnienia.

Co się tyczy zgrzyzoty równie głębokiej jak matczyna, miałem ją poznać kiedyś — okaże się to w dalszym ciągu opowiadania — ale nie teraz, ani nie tak jak sobie wyobrażałem. Mimo to, jak aktor, który powinien znać swoją rolę i być od dawna na swoim miejscu, ale który przybył dopiero w ostatniej sekundzie i przeczytawszy ledwie raz swój tekst, umie, kiedy przyszedł moment jego „kwestji”, udawać natyle zręcznie aby nikt nie spostrzegł jego spóźnienia, moje całkiem świeże zmartwienie pozwoliło mi — kiedy matka przybyła — mówić do niej tak, jakgdybym zawsze je odczuwał. Myślała poprostu, że obudził je widok miejsc, oglądanych niegdyś z babką (a to przecież nie było to). Pierwszy raz wówczas — i dlatego że czułem ból, który był niczem w porównaniu z jej boleścią, ale który mi otwierał oczy — uświadomiłem sobie z przerażeniem, co ona mogła cierpieć. Pierwszy raz zrozumiałem, że to martwe spojrzenie bez łez (co sprawiało, że Franciszka niezbyt współczuła z mamą) właściwe jej od śmierci babki, zatrzymało się na tej niepojętej sprzeczności wspomnienia i nicości. Pozatem, kiedy ją ujrzałem, zawsze w krepach, ale strojnieszą w tem nowem miejscu, bardziej uderzyło mnie zaszłe w niej przeobrażenie. Nie dość powiedzieć, że straciła wszelką wesołość; stopiona, stężała w jakiś błagalny obraz, robiła wrażenie jakby się bała żywszym ruchem lub głosem urazić

bolesną obecność, nie opuszczającą jej ani na chwilę. Ale zwłaszcza z chwilą gdy ją ujrzałem wchodzącą w krepach, spostrzegłem — co uszło mojej uwagi w Paryżu — że to już nie matkę miałem przed sobą, ale babkę. Jak w królewskich i książęcych rodzinach, ze śmiercią naczelnika rodu syn przybiera jego tytuł i z księcia Orleanu, księcia Tarentu lub księcia des Laumes staje się królem Francji, diukiem de la Trémoille, diukiem de Guermantes, tak często, w drodze innego rodzaju intronizacji, pochodzącej z głębszego źródła, umarły chwytą żywego, który staje się podobnym doń następcą, dalszym ciągiem jego przerwanego życia. Może wielkie zmartwienie, towarzyszące, u córki takiej jak mama, śmierci matki, wcześniej tylko kruszy powłokę poczwardki, przyspiesza metamorfozę, która bez tego przesilenia, mijającego etapy i przeskakującego nagle całe okresy, spełniłaby się jedynie wolniej. Może w żalu po osobie której już niema, kryje się jakaś sugestia, dająca naszym rysom podobieństwo, które istniało już w stanie utajonym, a zwłaszcza zachodzi zawieszenie naszej aktywności bardziej indywidualnej (u matki jej rozsądek, jej żartobliwa wesołość, odziedziczone po ojcu), którym, dopóki żyła ukochana istota, nie obawialiśmy się, bodaj jej kosztem, dawać upustu, a które przeciwwały cechy, jakie mieliśmy wyłącznie z niej. Skoro raz ta istota umarła, mielibyśmy skrupuł być innym; podziwiamy już tylko to czem ona była, czem my sami byliśmy już — ale z obcą domieszką — a czem odtąd mamy być wyłącznie. I właśnie w tym sensie (nie zaś w owym tak mętnym i fałszywym sensie, w jakim się to rozumie powszechnie) można rzec, że śmierć nie jest bezużyteczna, że umarły nadal oddziałują na nas. Działa nawet bardziej niż żywy, skoro bowiem prawdziwa realność wydzieliła się tylko przez ducha, jest przedmiotem procesu duchowego, znamy naprawdę jedynie to, co musimy odtworzyć myślą, czego nie dostrzegamy w codziennym życiu...

Wreszcie, w tym kulcie żalu po naszych Zmarłych, popadamy w bałwochwalstwo tego co oni kochali. Nietylko matka nie mogła się rozstać z torebką babki, droższą jej niż gdyby była z szafirów i diamentów, z jej mufką, ze wszystkimi temi strojami które podkreślały jeszcze podobieństwo między nimi dwiema, ale także z tomikami pani de Sévigné, które babka miała zawsze z sobą; z egzemplarzem, którego matka nie zamieniłaby nawet na sam rękopis listów. Zartowała niegdyś z babki, która ani razu nie napisała do niej bez zacytowania czegoś z pani de Sévigné lub z pani de Beausergent. Otóż w każdym z trzech listów, jakie dostałem od mamy przed jej przybyciem do Balbec, mama cytowała panią de Sévigné, tak jakby te trzy listy nie ona pisała do mnie, ale babka do niej.

Mama chciała wyjść trochę, aby zobaczyć plażę, o której babka, pisząc do niej, opowiadała jej codzień. Ujrzałem ją z okna: trzymając w ręku parasolkę — „*en tout cas*” — swojej matki, szła, cała w czerni, nieśmiały i nabożnym krokiem po piasku, który deptały przed nią ukochane stopy, tak jakby szła szukać zmarłej, którą fale miały przynieść. Aby jej nie dać jeść obiadu samej, musiałem z nią zejść. Prezydent sądu i wdowa po dziekanie prosili abym ich przedstawił matce. I wszystko co miało związek z babką było jej tak drogie, że uczuła się niezmiernie wzruszona, zachowała wdzięczne wspomnienie słów, które jej rzekł prezydent, a zabolalo ją i oburzyło, że wdowa po dziekanie nie znalazła ani słowa wspomnienia dla zmarłej. W rzeczywistości prezydent równie mało troszczył się o babkę co dziekanowa. Współczujące słowa jego a milczenie jej — mimo że matka widziała w nich taką różnicę — były jedynie różną formą wyrażenia owej obojętności, jaką mamy wobec zmarłych. Ale sądzę, że matce były słodkie zwłaszcza słowa, w które mimo woli przelałem nieco swojego bólu. (Mimo całej jej czułości dla mnie, musiał ten ból być mamie miły, jak wszystko co zapewniało babce trwanie w sercach.)

Przez następne dni matka stale schodziła usiąść na plaży, aby robić ściśle to co robiła jej matka; czytała jej dwie ulubione książki, *Pamiętniki* pani de Beausergent i *Listy* pani de Sévigné. Nie mogła znieść — tak jak nikt z nas — aby nazywano panią de Sévigné „dowcipną markizą”, tak samo jak Lafontaine’a „pocziwcem”. A kiedy czytała w tych listach słowa: „moja córko”, miała uczucie, że to matka mówi do niej.

Nieszczęściem, w jednej z owych pielgrzymek w których chciała być sama, spotkała na plaży pewną damę z Combray, w towarzystwie córek. Zdaje mi się, że nazywała się pani Poussin. Ale myśmy ją nazywali zawsze: „Ładnie zaśpiewasz”, bo tem ustawicznie powtarzaniem zdaniem ostrzegała córki przed nieszczęściami, jakie sobie gotują na przyszłość; naprzykład mówiąc do jednej, która tarła sobie oczy: „Kiedy dostaniesz porządnego zapalenia, dopiero ładnie zaśpiewasz”. Zdaleka słała mamie długie zbolale ukłony, świad-

czące nie o współczuciu lecz o stylu wychowania. Moglibyśmy nie stracić babki i mieć same powody do szczęścia. Damie tej, która pędziła dość ustronne życie w Combray w olbrzymim ogrodzie, nic nie było dość słodkie; miała zwyczaj spieszcząć słowa a nawet nazwiska. Wydawało się jej za twarde nazywać „łyżką” srebrny instrument którym lała swoje syropy: mówiła „łyżeczka”; bałaby się urazić słodkiego piewce Telemaka, zwągo poprostu Fénelon — jak ja czyniłem z pełną świadomością rzeczy, mając przyjaciela, najdroższego, najinteligentniejszego, dobrego i dzielnego, niezapomnianego wszystkim co go znali, Bertranda de Fénelon<sup>6</sup> — i zawsze wymawiała „Fénelon”. Mniej słodki zięć tej pani Poussin (nazwiska jego zapomniałem), będąc rejentem w Combray, uciekł z kasą i przyprawił między innymi mego wuja o stratę dość znacznej sumy. Ale większość mieszkańców Combray tak lubiła innych członków tej rodziny, że nie spowodowało to żadnego ochłodzenia stosunków; ubolewano jedynie nad panią Poussin. Nie przyjmowała gości, ale ilekroć się przechodziło koło jej ogrodu, przystawało się mimowoli, podziwiając jego cudowny mrok, nie mogąc rozpoznać nic więcej. Nie zawadzała nam w Balbec, gdzie spotkałem ją tylko raz, w chwili gdy mówiła do córki gryzącej paznokcie: „Kiedy ci zaczniesz porządnie obierać, ładnie zaśpiewasz”.

Podczas gdy mama czytała na plaży, ja siedziałem sam w pokoju. Przypominałem sobie ostatnie czasy życia babki i wszystko związane z niemi: drzwi wchodowe, które trzymano otwarte, kiedyśmy szli na jej ostatni spacer. W przeciwieństwie do tego wszystkiego, reszta świata wydawała mi się zaledwie realna, a cierpienie moje zatruwało wszystko. W końcu, matka zmusiła mnie abym wyszedł. Ale na każdym kroku jakiś zapomniany widok kasyna, ulicy, którą, czekając na nią pierwszego wieczora, zaszedłem aż do pomnika Duguay-Trouina, bronił mi posuwać się dalej, niby wiatr z którym niepodobna walczyć; spuszczałem oczy, aby nie widzieć. I odzyskawszy trochę sił, wracałem do hotelu, gdzie wiedziałem iż, choćbym czekał najdłużej, nie znajdę babki, którą odnalazłem tam niegdyś pierwszego wieczora.

Ponieważ wychodziłem pierwszy raz, wielu służących, których jeszcze nie widziałem, przyglądało mi się ciekawie. W samym progu hotelu, młody strzelec<sup>7</sup> zdjął czapkę aby mi się uklonąć i włożył ją szybko. Sądziłem że Aimé, wedle swego wyrażenia, „dał mu hasło” aby był dla mnie uprzejmy. Ale w tej chwili ujrzałem, że tak samo uchylił czapki dla kogoś innego, kto właśnie wchodził. Istotą rzeczy był fakt, że ów młody człowiek wogóle umiał w życiu jedynie zdejmować i wkładać czapkę, i robił to bardzo dobrze. Zrozumiawszy że jest niezdolny do czego innego i celuje właśnie w tej czynności, spełniał ją możliwie największą ilość razy dziennie, co mu zyskiwało dyskretną lecz powszechną sympatię klientów, a także sympatię portjera, który miał za zadanie przyjmować „strzelców”: poza tym rzadkim okazem, nie mógł znaleźć ani jednego, któryby nie wyleciał ze służby w ciągu tygodnia, ku wielkiemu zdumieniu Aimégo, mówiącego: „Przecież w tym fachu żąda się od nich tylko tyle żeby być grzecznym, to nie powinno być takie trudne”. Dyrektorowi zależało także, aby mieli to co on (zmieszawszy *prezencję* i *reprezentację*) nazywał piękną „prezencją”.

Wygląd trawnika za hotelem zmienił się wskutek urządzenia paru grządek z kwiatami, oraz usunięcia nietylko egzotycznego krzewu, ale strzelca, który pierwszego roku dekorował na zewnątrz wejście giętką lodygą swojej talji i niezwykłym kolorem włosów. Wyjechał z pewną polską hrabiną, która wzięła go za sekretarza; w czem naśladował dwóch starszych braci i siostrę daktylografkę, wyrwanych z hotelu przez osobistości różnych krajów i różnych płci, wrażliwe na ich młode wdzięki. Pozostał jedynie najmłodszy brat, którego nikt nie chciał, bo zezował. Był bardzo szczęśliwy, kiedy polska hrabina

<sup>6</sup>*Bertrand de Fénelon* — przyjaciel Prousta, który padł na froncie w początkach wielkiej wojny. Wiele z jego sympatycznych rysów weszło w fizjonomię Roberta de Saint-Loup. Szczegół ten, jak wiele innych, świadczy, jak dalece sam Proust zajmuje chwilami miejsce bohatera opowiadania. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>*strzelec* — często powtarzające się u Prousta wyrażenie „strzelec” (*chasseur*) okazało się u nas dla wielu zagadkowe. Dowodzi to, że obyczajowość jednej epoki staje się rychło obca następnym pokoleniom. Strzelec był to za czasów Prousta (także i u nas w Polsce) służący w pańskich domach, przeznaczony zwłaszcza do posyłek, a przekształcony zapewne z prawdziwego strzelca, z którego zachował kurtkę z zielonemi wyłogami i czapkę z piórkiem. Wzorem pańskich domów, strzelec przeszedł i do hoteli, w tym samym charakterze służącego do szczególnych zleceń. Przed kilku laty jeszcze grano w Warszawie farsę francuską *Strzelec od Maxyma*. Strzelec nie odpowiada późniejszemu boyowi, ponieważ strzelcem mógł być zarówno młody chłopiec (zwłaszcza w hotelach) jak i dorosły mężczyzna. [przypis tłumacza]

i protektorowie dwóch innych braci zawitali na jakiś czas do hotelu w Balbec. Bo mimo iż zazdrościł braciom, kochał ich i mógł w ten sposób przez kilka tygodni uprawiać uczucia rodzinne. Czyż księżniczka Fontevault nie miała zwyczaju — opuszczając swoje mniszki — dzielić gościny, jaką Ludwik XIV ofiarowywał drugiej Mortemart, jej siostrze a swojej kochance, pani de Montespan? Co się tyczy tego chłopca, był w Balbec pierwszy rok, nie znał mnie jeszcze, ale usłyszawszy że starsi jego koledzy, zwracając się do mnie, mówią mi po nazwisku, naśladował ich od pierwszej chwili, zadowolony bądź że stwierdza swoje obycie w stosunku do osobistości najwidoczniej znanej, bądź że się stosuje do zwyczaju, którego nie znał pięć minut przed tem, ale który uważał za obowiązujący.

Rozumiałem doskonale urok, jaki ten wielki *Palace* mógł mieć dla pewnych osób. Był wyreżyserowany jak teatr, a liczna rzesza statystów ożywiała nawet jego architekturę. Mimo iż gość był tylko rodzajem widza, był zarazem ustawicznie wmieszany w widowisko, nie tylko jak w owych teatrach, gdzie aktorzy odgrywają jakąś scenę w sali widzów, ale tak jakby życie widza rozgrywało się wśród przepychów sceny. Tenista mógł wracać w białej flanelowej kurtce, odzwierny, aby mu wręczyć pocztę, przywdział niebieski frak ze srebrnymi galonami. Jeżeli tenista nie chciał wchodzić pieszo, był mimo to wmieszany między aktorów, jadąc na piętro w asyście równie bogato przybranego lift-boya. Korytarze osłaniały bieganie panien służących i pokojówek, nadmorskich piękności, do których amatorzy „subrettek” docierali siłą kunsztownych zachodów. Na dole przeważał element męski, który, dzięki wczesnej i próżniaczej młodzieńczości owej służby, robił z tego hotelu rodzaj ucieleśnionej i wciąż dawanej na nowo tragedji judeo-chrześcijańskiej. Toteż na ich widok, mimowoli powtarzałem sobie nie owe wiersze Rasyna, które mi przysły na myśl u księżniczki Marji, gdy p. de Vaugoubert patrzył na młodych dyplomatów kłaniających się panu de Charlus, ale inne wiersze Rasyna, tym razem już nie z *Estery* lecz z *Atalji*; od hallu bowiem — tego, co w XVII wieku nazywano Portykiem — „kwitnący lud” młodych strzelców stał, zwłaszcza w godzinach podwieczorku, niby młodzi izraelici z chóru Rasyna. Ale nie sądzę, aby który z nich zdołał udzielić nawet tej mętnej odpowiedzi, jaką Joas znajduje dla Atalji, kiedy ta pyta młodocianego księcia: „Jaki twój urząd, dziecię?” bo oni nie mieli żadnego. Co najwyżej, gdyby ktoś spytał którego z nich, jak nowa królowa: „Cały ten lud, w tem miejscu dzisiaj zgromadzony — jakież ma zatrudnienie?” mógłby powiedzieć: „Przyglądam się harmonji wspaniałych obrzędów — i przydaję im blasku”. Czasami, któryś z młodych statystów podchodził do ważniejszej figury, poczem piękny efeb wsiąkał w chór, i o ile to nie była chwila kontemplacyjnego odprężenia, wszyscy splatali swoje bezcelowe, pełne szacunku, dekoracyjne i codzienne ewolucje. Bo z wyjątkiem „wychodni”, chowani „zdala od świata” i nie przekraczający granic dziedzińca, wiedli tę samą rytualną egzystencję co lewicy w *Atalji* i wobec tej „młodej i wiernej gromadki” igrającej u stóp schodów, pokrytych wspaniałymi dywanami, mogłem sobie zadawać pytanie, czy wchodzi do Grand-Hotelu w Balbec czy do świątyni Salomona.

Wracałem wprost do swego pokoju. Myśli moje krążyły zazwyczaj koło ostatnich dni babki, koło tych cierpień, którem przeżywał na nowo, potęgując je tym elementem, trudniejszym jeszcze do zniesienia niż nawet cierpienie cudze i przydanym do nich przez naszą okrutną litość; kiedy myślimy, że tylko odtwarzamy boleść ukochanej istoty, litość nasza przesadza ją; ale może to ta litość ma rację, nie zaś świadomość własnego bólu jaką mają ci co go cierpią, nie zdający sobie sprawy ze smutku własnego życia, który litość widzi i nad którym tak cierpi. Bądź co bądź, moja litość przewyższyłaby w nowym skurczu cierpienia babki, gdybym wiedział wówczas to, czego długo nie wiedziałem, że babka, w wilgę śmierci, w chwili świadomości i upewniwszy się że mnie niema, wzięła mamę za rękę i przycisnąwszy do tej ręki spalone gorączką wargi, rzekła: „Bądź zdrowa, córeczko, żegnaj na zawsze.” I może w to wspomnienie matka musiała się wciąż wpatrywać tak bacznie.

Potem wróciły mi słodkie wspomnienia. Była moją babką, ja jej wnukiem. Wyrazy jej twarzy zdawały się pisane w języku istniejącym wyłącznie dla mnie; ona była wszystkim w moim życiu, inni istnieli tylko poprzez nią, poprzez sąd jakiegoby mi o nich udzieliła; ale nie, nasze stosunki były zbyt przelotne, aby mogły nie być przygodne. Nie zna mnie już, nie ujrzę jej nigdy. Nie byliśmy stworzeni wyłącznie dla siebie wzajem, była obca. Tej obcej oglądałem właśnie fotografię, zdjętą przez Roberta.

Spotkawszy Albertynę, mama, pod wrażeniem miłych rzeczy jakie Albertyna powiedziała o babce i o mnie, nalegała abym się z nią zobaczył. Naznaczyłem więc spotkanie. Uprowadziłem dyrektora, aby poprosił Albertynę do salonu. Oświadczył, że ją zna oddawna, jak również jej przyjaciółki, o wiele zanim doszły do „wieku dostalości”, ale że ma do nich żal z powodu tego co mówiły o hotelu. Musiały chyba nie być dobrze „poinfirmowane”, aby tak mówić. Chyba że je poczerniono (oczerniono). Zrozumiałem łatwo, że słowa „dostalość” użył zamiast dojrzałość.

Oczekując godziny, kiedy miał ujrzeć Albertynę, wpatrywałem się — niby w rysunek, którego się w końcu nie widzi, przez to że się mu za długo przyglądało — w fotografię zdjętą przez Roberta, kiedy nagle pomyślał na nowo: „To babcia, ja jestem jej wnuk”, jak cierpiący na amnezję odnajduje swoje imię, jak chory zmienia osobowość. Franciszka weszła, aby mi powiedzieć, że Albertyna już jest; widząc fotografię, dodała:

— Biedna pani, jaka podobna, jak żywa, nawet tę brodaweczkę ma na twarzy; tego dnia kiedy pan margrabia ją sfotografował, była bardzo chora, dwa razy się jej słabo zrobiło. „Ale, Franciszko — powiedziała do mnie — nie trzeba żeby mój wnuczek wiedział o tem”. Dobrze to ukrywała, była zawsze wesoła w towarzystwie. Tylko powiem tyle, uważałam że starsza pani robi się chwilami jakaś nudna. Ale to prędko mijało. I potem mówiła tak: „Gdyby mi się coś przytrafiło, trzeba żeby miał mój portret. Nigdy nie dałam się zdejmować”. Wówczas posłała mnie do pana margrabiego, prosząc żeby panu nie mówił że to ona prosiła, czyby jej nie mógł wyfotografować. Ale kiedy wróciłam z tem że i owszem, nie chciała już, bo się jej zdawało, że bardzo źle wygląda. „To jeszcze gorsze (powiadała), niż żeby nie miał żadnej fotografii”. Ale że starsza pani nie była wcale głupia, poradziła na to, niby kładąc wielki kapelusz z opuszczonym rondem, że nic nie było znać, kiedy nie była w słońcu. Była bardzo kontentna ze swojej fotografii, bo w tej chwili ona nie myślała żeby miała wrócić żywa z Balbec. Darma jej powtarzałam: „Proszę pani, nie trzeba tak, to grzech gadać takie rzeczy”; nic nie pomogło, takie miała zdanie. Ano cóż, już było sporo czasu, jak nic nie mogła jeść. Dlatego wysyłała panicza het daleko na obiad z panem margrabią. Wtenczas, zamiast iść do sali jadalnej, udawała że czyta, a kiedy powóz pana margrabiego odjechał, kładła się do łóżka. Bywało, że chciała sprowadzić naszą panią, żeby przyjechała ją jeszcze zobaczyć. A potem znów się bała, że ją przestraszy, niby że jej jeszcze nic takiego nie mówiła. „Widzi Franciszka — powiadała — lepiej niech tam siedzi z mężem”.

Patrząc na mnie, Franciszka spytała nagle, czy mi „jest niedobrze”. Odpowiedziałem, że nie, a ona dodała:

— Panicz mnie tutaj trzyma w miejscu i każe gadać z sobą. Może już ta wizyta do pana przyszła. Muszę zejść. To nie jest osoba na tutaj. I taka skakalska jak ona, mogła już odlecieć. Nie lubi czekać. O, teraz, panna Albertyna, to cała figura!

— Myli się Franciszka, panna Albertyna jest bardzo dobra na tutaj, za dobra na tutaj. Ale niech ją Franciszka przeprosi, że jej nie będę mógł dziś przyjąć.

Co za potop „litosiernego” gadulstwa rozpętałbym we Franciszce, gdyby widziała że płacze! Ukryłem to starannie. Inaczej zyskałbym jej sympatię. Ale ona zyskała moją. Nie dość wchodzimy w serce tych biednych sług, które nie mogą patrzeć jak płacemy, tak jakby płacz sprawiał nam ból, lub może im sprawiał ból. Raz kiedy byłem mały, Franciszka powiedziała mi: „Nie płacz tak, paniczu, nie lubię kiedy panicz tak płacze”. Nie lubimy wykrzykników, zakłęcz; źle czynimy: zamykamy w ten sposób serce na patos wsi, na legendę, w jakiej biedna służąca, odprawiona może niesłusznie za kradzież, pobladała, spokorniała nagle tak jakby zbrodnią było być oskarżoną, powołując się na uczciwość swego ojca, roztacza zasady swojej matki, rady swojej babki. Zapewne, ta sama służąca która nie może znieść naszych łez, wpędzi nas bez skrępowań w zapalenie płuc, bo pokojówka lubi przeciągi i grzeczność nie pozwala ich skasować. Bo trzeba, aby nawet ci, co mają rację, jak Franciszka, nie mieli racji, iżby Sprawiedliwość była rzeczą niemożliwą. Nawet skromne przyjemności sług spotykają się z odmową lub szyderstwem państwa. To jest zawsze jakiś drobiazg, ale głupio sentymentalny, antyhigieniczny. Toteż mogą powiedzieć: „Jakto, tylko tyle żądam w ciągu całego roku i odmawiają mi.” A przecież państwo przyzwoliliby o wiele więcej, byleby to nie było głupie i niebezpieczne dla nich — lub dla samych państwa. Z pewnością niepodobna się oprzeć pokorze biednej pokojówki, drżącej, gotowej się przyznać do tego czego nie popełniła, mówiącej: „odejdę dziś

jeszcze, jeżeli trzeba.” Ale trzeba też umieć nie pozostać nieczułym — mimo uroczystej i groźnej banalności jej zakłęk, mimo jej dziedzictwa po matce i godności jej „stron” — dla starej kucharki, udrapowanej w nieskazitelne życie i pochodzenie, trzymającej miotłę jak berło, strojącej swoją rolę w styl tragedji, przerywającej ją szlochem, prostującej się majestatycznie. Tęgo dnia przypomniałem sobie lub wyroilem takie sceny, skojarzyłem je z naszą starą służącą i od tej chwili, mimo wszystkiego złego jakie mogła zrobić Albertynie, ukochałem Franciszkę przywiązaniem przerywanem to prawda, ale z rodzaju najsilniejszych, tych co mają za podłoże litość.

Cierpiałem cały dzień, siedząc przed fotografią babki. Zadawała mi tortury. Mniej wszelako, niż mi ich zadały wieczorem odwiedziny dyrektora. Kiedym wspomniał o babce, a on ponawiał kondolencje, naraz rzekł (bo lubił używać słów, które przekręcał):

— To tak jak w dniu, kiedy szanowna babka pańska miała ową apleksję, chciałem pana uprzedzić o tem, bo z przyczyny klejenteli, nieprawdaż, to mogło przynieść ujmę zakładowi. Lepiej byłoby, żeby starsza dama wyjechała tego samego dnia. Ale ona błagała mnie żebym nic nie mówił i przyrzekła mi że już nie będzie miała apleksji, albo że za pierwszą apleksją wyjedzie. Coprawda służba doniosła mi, że miała drugą. Ale cóż, byliście państwo starzy klienci, którym człowiek chciałby wygodnie, i ostatecznie, skoro się nikt nie skarżył...”

Tak więc, babka miała ataki i kryła je przedemną! Może w chwili gdym był dla niej najmniej miły, kiedy musiała, mimo iż cierpiąc, udawać że jest w dobrym humorze, żeby mnie nie drażnić i uchodzić za zdrową, żeby jej nie wydalono z hotelu! „Apleksja”! nigdy bym nie wymyślił tej formy, która, w zastosowaniu do kogoś innego, wydałaby mi się może śmieszna; ale tu, w swojej osobliwej inowacji dźwiękowej, podobnej do oryginalnego dysonansu, pozostała długo czemś zdolnem obudzić we mnie najboleśniejże wrażenia.

Nazajutrz, na prośbę mamy, poszedłem wyciągnąć się trochę na piasku, lub raczej w wydmach, tam gdzie się można schować w ich fałdach, i gdzie wiedziałem że Albertyna i jej przyjaciółki nie zdołają mnie odnaleźć. Powieki moje, przymknięte, przepuszczały tylko jedyne światło, całkiem różowe — światło wewnętrznych ścian oczu. Potem zamknęły się całkiem. Wówczas zjawiła mi się babka siedząca w fotelu. Zdawała się tak słaba, robiła wrażenie że żyje mniej niż ktokolwiek. Mimo to, słyszałem jej oddech; czasem znak jakiś okazywał, że rozumiała to cośmy mówili z ojcem. Ale próżno ją ścisakałem, nie mogłem zbudzić tkliwego spojrzenia w jej oczach, ani trochę koloru na policzkach. Była nieobecna, robiła wrażenie że mnie nie kocha, że mnie nie zna, może nie widzi. Nie mogłem zgadnąć sekretu jej obojętności, przygnębienia, milczącego niezadowolenia. Pociągnąłem ojca na bok: „Widzisz przecie — rzekłem — jasne jest, że rozumiała dokładnie wszystko. To kompletne złudzenie życia. Gdyby tak sprowadzić twojego kuzyna, który twierdzi, że umarli nie żyją? Oto już więcej niż rok jak umarła i w rezultacie żyje ciągle. Ale czemu nie chce mnie uściskać? — Patrz, jej biedna głowa opada. — Ale ona chciała iść na Pola Elizejskie. — To szaleństwo! — Doprawdy sądzisz że toby jej mogło zaszkodzić, że mogłaby bardziej umrzeć? Nie możliwe jest, aby mnie już nie kochała. Czy choćbym ją całował, nie uśmiechnie się do mnie nigdy? — Cóż chcesz, umarli są umarli”.

W kilka dni później, słodko mi było patrzeć na fotografię sporządzoną przez Roberta; nie budziła wspomnienia tego, co mi powiedziała Franciszka, dlatego że mnie to wspomnienie już nie opuszczało, przyzwyczailem się do niego. Ale w stosunku do pojęcia jakie sobie wytworzyłem o jej tak ciężkim, tak bolesnym stanie owego dnia, fotografia, korzystając jeszcze ze sztuczek, zdolnych mnie oszukać nawet gdy mi je odsłonięto, ukazywała mi ją tak wytworną, tak niefrasobliwą w tym kapeluszu kryjącym nieco twarz, że mi się wydawała mniej nieszczęśliwa i zdrowsza niż sobie wyobrażałem. A mimo to, policzki jej, mając, bez jej wiedzy, własny wyraz, coś ołowianego, błędnego, jak wzrok zwierzęcia, które się czuje wybrane i naznaczone, dawały babce fizjognomję skazanej na śmierć, bezwiednie posępną, nieświadomie tragiczną, której nie rozumiałem, ale która nie pozwalała nigdy mamie patrzeć na tę fotografię — fotografię, która się jej zdawała nietyle portretem matki, ile portretem matczynej choroby, zniewagi, jaką ta choroba wyrządzała spoliczkowanej brutalnie twarzy.

Potem, któregoś dnia, zdecydowałem się powiadomić Albertynę, że ją przyjmę niebawem. Bo pewnego przedwcześnie upalnego ranka, tysiączne krzyki bawiących się dzieci, baraszkujących letników, gazeciarzy, opisały mi ognistemi rysami, splecionemi z sobą

płomykami, gorącą plażą, którą lekkie fale skrapiały swoim chłodem; wówczas zaczął się, zmieszany z pluskiem wody, koncert symfoniczny, w którym skrzypce wibrowały niby zabląkany na morzu rój pszczół. I natychmiast zapragnąłem znów usłyszeć śmiech Albertyny, ujrzeć jej przyjaciółki, owe dziewczęta odcinające się na tle fal, żyjące w moim wspomnieniu jako nieodłączny urok, swoista flora Balbec; i postanowiłem wysłać przez Franciszkę słówko do Albertyny, umawiając się na przyszły tydzień, podczas gdy morze, przybierając łagodnie, za każdym bryzgiem pokrywało całkowicie kryształowymi falami melodię, której frazy jawiły się oddzielnie, niby owi aniołowie lutniści, na szczycie włoskiej katedry wznoszący się między grzebieniami modrego porfiru i pieniącego się jaspisu.

Ale w dniu kiedy Albertyna przyszła, było znów brzydko i chłodno; zresztą nie miałem sposobności usłyszeć jej śmiechu; była w bardzo złym humorze. „Balbec jest okropne w tym roku, rzekła. Postaram się nie siedzieć tutaj długo. Wiesz, że tu jestem od Wielkiej Nocy, więcej niż miesiąc! Niema nikogo. Wierz mi, to doprawdy niezbyt rozkoszne”.

Mimo świeżego deszczu i nieba zmieniającego się co chwila, odprowadziwszy Albertynę aż do Epreville (bo Albertyna, wedle swego wyrażenia, „kursowała” między tą plażą, gdzie pani Bontemps miała willę, a Incarville, gdzie była „na stacji” u rodziców Rozamundy), skierowałem się sam w stronę owego gościńca, którym toczył się powóz pani de Villeparisis, kiedyśmy jeździli na spacer z babką. Kałuże wody, których nie osuszyło błyszczące słońce, zmieniały grunt w prawdziwe bagnisko. Pomyślałem o babce, która niegdyś nie umiała przejść dwóch kroków, aby się nie zachłapać. Ale z chwilą gdym doszedł do drogi, to było prawdziwe olśnienie. Tam gdzie widziałem z babką w sierpniu jedynie liście i jakby rusztowanie jabłoni, teraz, jak okiem sięgnąć, jabłonie kwitły z niesłychanym przepychem, z nogami w błocie a w toalecie balowej, nie troszcząc się o to aby nie zniszczyć najcudowniejszego różowego atlasu, jaki można sobie wyobrazić, błyszczącego w słońcu; odległy horyzont morza dawał im tło jakgdyby japońskiej ryciny; kiedy podniosłem głowę, aby spojrzeć na niebo poprzez kwiaty, które przepuszczały jego roz pogodzony, niemal fiołkowy błękit, rzekłbyś że się rozsuwają, aby ukazać głęb tego raj. Pod tym lazurem, lekki ale zimny podmuch wiatru wprawiał w drżenie czerwieniące się bukiety. Błękitne sikory przysiadły na gałęziach i skakały pobłaźliwie między kwiatami tak jakby jakiś amator egzotyizmu i barw sztucznie stworzył to żywe piękno. Ale piękno to wzruszało do łez, bo choćby najdalej zaszło w swoim wyrafinowaniu, czuło się że jest naturalne, że te jabłonie są tam w szczerem polu jak chłopci, na gościńcu francuskim. Następnie, po promieniach słońca przyszły nagle promienie deszczu, posiekały pręgami cały widnokrąg, pochwyciły szereg jabłoni w szarą sieć. Ale te dalej wznosiły swoją kwitnącą i różową piękność na wietrze, który stał się lodowaty w tej ulewie: to był dzień wiosny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Tajemnice Albertyny. Dziewczęta, które widzi w lustrze. — Nieznajoma dama. — Lift-boy. — Pani de Cambremer. — Rozkosze pana Nissim Bernard. Pierwszy szkic dziwnego charakteru Morela. — Pan de Charlus na obiedzie u Verdurinów.*

W obawie aby przyjemność czerpana w tej samotnej przechadzce nie osłabiła we mnie wspomnienia babki, starałem się ożywić to wspomnienie, myśląc o jakimś jej wielkim cierpieniu duchowym; na moje wezwanie, zgryzota ta starała się wzniesić w moim sercu, strzelała w niem w górę olbrzymimi filarami, ale moje serce było z pewnością dla niej za małe, nie miałem siły unieść tak wielkiej boleści, uwaga moja umykała się w chwili gdy ta zgryzota przeobrażała się cała i łuki jej waliły się zanim się spotkały, tak jak się załamują fale zanim zamkną swoje sklepienie.

Jednakże, już z samych moich snów, mógłbym poznać, że mój smutek z powodu śmierci babki malał, ponieważ babka jawiła mi się w snach mniej udręczona pojęciem, jakim sobie tworzył o jej nicości. Widziałem ją wciąż chorą, ale na drodze do wyzdrowienia, miała się lepiej. I jeżeli robiła aluzję do tego co wycierpiała, zamykałem jej usta pocałunkami i upewniałem, że teraz jest wyleczona na zawsze. Byłbym chciał dowieść sceptykom, że śmierć jest doprawdy chorobą, z której się wychodzi. Nie znajdowałem jedynie u babki dawniejszej bogatej samorzutności. Słowa jej były jedynie osłabioną, po-

wolną odpowiedzią, niemal prostym echem moich słów; ona sama była już tylko odbiciem mojej myśli.

Byłem jeszcze niezdolny doznawać na nowo fizycznego pragnienia, mimo to Albertyna zaczynała budzić we mnie jakby żądzę szczęścia. Pewne, wciąż bujające w nas marzenia o odwzajemnianej czułości chętnie łączą się, mocą jakiegoś powinowactwa, ze wspomnieniem kobiety, z którą zazналиśmy rozkoszy, pod warunkiem że to wspomnienie stało się nieco mgliste. To uczucie zbliżało mnie do obrazów Albertyny łagodniejszych, mniej wesołych, nieco odmiennych od tych które byłoby mi nastroczyło pragnienie fizyczne; że zaś owo uczucie było zarazem mniej naglące, chętnie odłożyłem jego realizację do następnej zimy, nie starając się widzieć Albertyny w Balbec przed jej wyjazdem. Ale nawet pośród żywego jeszcze smutku, pragnienie fizyczne odradza się. W łóżku, gdzie mi kazano codziennie długo odpoczywać, pragnąłem aby Albertyna wskrzesiła nasze dawniejsze igraszki. Czyż nie zdarza się, że w tym samym pokoju, w którym stracili dziecko, małżonkowie znów splatają się w uścisku, dając brata małemu zmarłemu? Próbowałem się oderwać od tego pragnienia, idąc do okna popatrzeć na morze. Podobnie jak w pierwszym roku, morze rzadko było jednakie. Ale pozatem nie było też prawie nic podobne do morza z owego pierwszego roku, czy że teraz była wiosna z jej burzami, czy że, gdybym nawet przybył w tej samej porze co za pierwszym razem, inna, zmienniejsza pogoda mogłaby odradzić to wybrzeże niektórym morzom leniwym, mglistym i nikłym, jakie widziałem wówczas, w gorące dni, śpiące na plaży, podnoszące niedostrzegalnie w miękkim pulsowaniu modre łono; czy zwłaszcza dlatego, że moje oczy, nauczone przez Elstira utrzymywać właśnie czynniki które niegdyś chętnie wyłączałem, patrzyły długo na to, czego w pierwszym roku nie umiały widzieć. Owa tak mnie uderzająca wówczas sprzeczność między sielskimi spacerami z panią de Villeparisis a płynnym, niedostępnym i mitologicznym sąsiedztwem wiekiutego Oceanu nie istniała już dla mnie. I przeciwnie, w pewne dni, samo morze zdawało mi się teraz prawie wiejskie. W dość rzadkie dni prawdziwej pogody, gorąco wyżłobiło na wodach, niby w polu, zakurzoną i białą drogę, poza którą ostrze rybackiego statku sterczało niby wiejska dzwonnica. Holownik, ukazujący jedynie komin dymiący w oddali niby odległa fabryka, podczas gdy na horyzoncie białe i wydęte prostokąt, wymalowany z pewnością przez żagiel ale osobliwie zwarty i jakby wapienisty, przywodził na myśl zalany słońcem róg jakiejś budowli, szpitala lub szkoły. I chmury i wiatr, w dniu kiedy się kojarzyły ze słońcem, dopełniały jeżeli nie błędnego sądu, to bodaj złudy pierwszego spojrzenia, sugestji zrodzonej przez nie w wyobraźni. Bo ciągnęła gra ostro od siebie odcinających się barw, jak te które są na wsi wyrazem odmiennych a sąsiadujących pól; szorstkie, żółte i jakby błotniste nierówności powierzchni wód; stoki i wzgórze, kryjące oczom łódź gdzie ekipa zwinnych majtków zdawała się sprzątać zboże, wszystko to w burzliwe dnie robiło ocean czemś równie zmiennym, równie stałym, równie urozmaiconym, ludnym, cywilizowanym, jak dostępna powozowi ziemia, po której jeździłem niegdyś i kędy znów miałem podjąć niebawem spacer. I raz, nie mogąc się już oprzeć swojemu pragnieniu, zamiast się położyć, ubrałem się i pojechałem po Albertynę do Incarville.

Chciałem ją prosić, aby mnie odwiozła do Douville, skąd wybierałem się do Feteme z wizytą do pani de Cambremer i do la Raspelière do pani Verdurin. Albertyna zaczekałaby na mnie przez ten czas na plaży i wrócilibyśmy razem w nocy. Wsiadłem do małej kolejki, której wszystkich przydomków nauczyłem się niegdyś od Albertyny i jej przyjaciółek; nazywano ją to *samouarek* z powodu lokomotywy, to *gąsienica* bo się ledwo wlokła, to *transatlantyk* z powodu przeraźliwej syreny, którą ostrzegała przechodniów; usadowiłem się w wagonie, gdzie byłem sam; świeciło wspaniałe słońce, było duszno, spuściłem niebieską storę, tak iż przepuszczała tylko jeden promień słońca. Ale natychmiast ujrzałem babkę, taką jak siedziała w pociągu w czasie podróży z Paryża do Balbec, kiedy, cierpiąc nad tem że piję piwo, wołała nie patrzeć, zamknąć oczy i udawać że śpi. Ja, który nie mogłem niegdyś znieść cierpienia, jakie babka odczuwała widząc męża pijącego koniak, narzuciłem jej nietylko ten ból, że piłem w jej oczach, z cudzej namowy, napój który uważała za zgubny dla mnie, ale zmusiłem ją do tego aby mi pozwoliła raczyć się nim do woli; co więcej, przez swoje dąsy, przez swoje ataki duszności, zmuszałem ją aby mi pomagała to czynić, aby mi doradzała, w ostatecznej rezygnacji, której niemię i zrozpaczony obraz, z oczami zamkniętymi aby nie widzieć, miałem teraz w pamięci.



Takie, wspomnienie niby dotknięcie różdżki przywróciło mi duszę, którą traciłem od jakiegoś czasu; cóż ja mógłbym robić z Rozamundą, kiedy wargi moje przebiegało jedynie rozpaczliwe pragnienie ucałowania zmarłej; o czym mógłbym mówić z Cambremerami i Verdurinami, kiedy serce moje biło tak silnie dlatego że się w niem odtwarzał co chwila ból, jaki babka cierpiała niedyś.

Nie mogłem wytrzymać w tym wagonie. Z chwilą gdy pociąg zatrzymał się w *Maineville-la-Teinturière*, wysiadłem odrzekając się swoich projektów, doszedłem do skalistego brzegu i szedłem jego krętymi drogami. *Maineville* nabrało od jakiegoś czasu niemałej ważności i specjalnej reputacji, ponieważ dyrektor licznych kasyn, handlarz szczęścia, zbudował niedaleko stamtąd, z niesmacznym przepychem, zdolnym rywalizować ze stylem *Palace*, zakład, do którego powrócimy jeszcze, a który, mówiąc poprostu, był pierwszym domem publicznym dla eleganckiego świata, jaki przyszło komu na myśl zbudować na wybrzeżach Francji. Był jedyny. Każdy port ma swój taki dom, ale dobry wyłącznie dla marynarzy i dla amatorów egzotyizmu, których bawi oglądać tuż obok odwiecznego kościoła, makarełę niemal równie starą, czcigodną i omszałą, stojącą przed osławioną bramą i wyczekującą powrotu statków rybackich.

Oddalając się od olśniewającego domu „rozkoszy”, bezczelnie wznoszącego się mimo daremnie kierowanych do mera protestów rodzin, wróciłem na brzeg i szedłem jego krętymi drogami ku *Balbec*. Usłyszałem wołanie głogów, nie odpowiadając na nie. Te uboższe sąsiadki kwitnących jabłoni krytykowały, mimo iż uznając ich świeżą cerę, ciężkość owych odzianych różowemi płatkami córek grubych fabrykantów jablecznika. Wiedziały, że one same, choć skąpiej uposażone, są jednak bardziej poszukiwane i że na to aby się podobać, wystarczy im ich pogniecionej bieli.

Kiedy wróciłem, odźwierny oddał mi kartę, w której margrabia i margrabina de *Geneville*, wicehrabia i wicehrabina d’*Amfreville*, hrabia i hrabina de *Berneville*, margrabia i margrabina de *Graincourt*, hrabia d’*Amenoncourt*, hrabina de *Maineville*, hrabia i hrabina de *Franquetot*, hrabina de *Chaverny* z domu d’*Aigleville*, udzielali mi wiadomości o swojej żałobie. Zrozumiałem, czemu mi przesłano tę kartę, dopiero wówczas, kiedym ujrzał nazwiska margrabiny de *Cambremer* z domu *du Mesnil la Guichard*, margrabiego i margrabiny de *Cambremer*, i kiedym wyczytał, że zmarła, kuzynka *Cambremerów*, nazywała się *Eleonora Eufrazja Humbertyna de Cambremer*, hrabina de *Criquetot*. Na całej przestrzeni tej prowincjonalnej rodziny, której prospekt wypełniał szereg drobnych i gęstych wierszy, nie było ani jednego mieszczanina — tak samo zresztą ani jednego znanego tytułu — było natomiast całe pospolite ruszenie miejscowej szlachty, która kazała śpiewać w swoich nazwiskach — były to nazwy wszystkich interesujących miejscowości w okolicy — radosnym końcówkom na *ville*, na *court*, czasami głuchszym na *tot*. Strojne dachówkami ich zamku lub tynkiem kościoła, z trzęsącą się głową ledwo przerażającą sklepienie lub fasadę gmachu i tylko poto aby się ustroić w latarnię normandzką lub w murek spadzistego dachu, nazwiska te robiły wrażenie, że otrąbiły wici wszystkich ładnych miasteczek, spiętrzonych lub rozrzuconych na pięćdziesiąt mil wokoło, i że je ustawiły w porządnym szyku, bez żadnej luki, bez żadnego intruza, na zwartej i prostokątnej warcabnicy arystokratycznej karty w czarnej obwódce.

Matka udała się do swego pokoju, dumając nad tem zdaniem pani de *Sévigné*: „Unikam wszelkich osób, które chcą mnie rozerwać po tobie; nie mówiąc tego wprost, chcą mi przeszkodzić myśleć o tobie, i to mnie obraża”; a to dlatego że prezydent sądu powiedział jej, że powinnyby się rozerwać. Do mnie szepnął: „O, księżna *Parmy*”. Mój strach pierzchnął, kiedym ujrzał, że kobieta, którą mi pokazywał, nie ma żadnego związku z Jej Królewską Wysokością. Ale ponieważ księżna kazała zatrzymać pokój aby zano-cować w hotelu kiedy będzie wracała od pani de *Luxembourg*, nowina ta odniosła dla wielu osób ten skutek, że brały każdą nowoprzybyłą za księżną *Parmy* — dla mnie zaś ten, że poszedłem się zamknąć na swoim poddaszu.

Nie byłbym chciał zostać sam. Była ledwie czwarta. Prosiłem *Franciszkę*, aby pojechała po *Albertynę* z prośbą by spędziła wieczór ze mną.

Sądzę iż skłamałbym powiadając, że już się zaczęła bolesna i ciągła nieufność, jaką miała budzić we mnie *Albertyna*; a tem bardziej specjalny, zwłaszcza gomorejski charakter, jaki miała przybrać ta nieufność. Z pewnością od tego dnia — ale to nie był pierwszy — oczekiwanie moje zabarwiło się pewnym niepokojem. *Franciszka*, puściw-

szy się w drogę, siedziała tak długo, że zaczynałam tracić nadzieję. Nie zapaliłam lampy. Już się dobrze ściemniło. Wiatr szeleścił chorągwią na kasynie. Katarynka, przystanąwszy przed hotelem, grała walce wiedeńskie, wątlejsza jeszcze w ciszy wybrzeża na którym wzbierało morze, podobna do głosu, któryby wyrażał i wzmagał denerwującą pustkę tej niespokojnej i fałszywej godziny. Wreszcie Franciszka wróciła, ale sama.

— Spieszyłam ile mogłam, ale panna nie chciała iść, niby że nie jest dość ładnie uczesana. Godzinę bez mała siedziała i pomadowała się; będzie istna perfumerja tutaj. Idzie już, przystanęła po drodze, żeby się przyrzadzić przed lustrem. Myślałam, że już ją tu zastanę.

Długi czas jeszcze minął, zanim Albertyna przyszła. Ale wesołość, przymilność, jakie wniosła tym razem, rozprószyły mój smutek. Oznajmiła mi (nawspak temu, co mówiła kiedyś), że zostanie przez cały sezon i spytała, czy nie moglibyśmy, jak pierwszego roku, widywać się codziennie. Odpowiedziałem, że obecnie jestem zbyt smutny i że raczej będę po nią przysyłał od czasu do czasu w ostatniej chwili, jak w Paryżu. „Jeżeli kiedy będzie ci ciężko, albo jeżeli będziesz miał ochotę, nie krępuj się — rzekła; poślij po mnie, przylecę w te pędy; a jeżeli się nie boisz, że to może narobić zgorzienia w hotelu, zostaną tak długo jak zechcesz”.

Przyprowadzając Albertynę, Franciszka miała wyraz uszczęśliwiony, jak zawsze kiedy podjęła dla mnie jakiś trud i zdołała mi sprawić przyjemność. Ale sama Albertyna nie grała w tej radości żadnej roli, i zaraz nazajutrz Franciszka powiedziała mi głębokie słowa: „Panicz nie powinien widywać się z tą panną. Ja dobrze widzę, jaki ona ma charakter; narobi paniczowi samych zmartwień”.

Odprowadzając Albertynę, ujrzałem w jadalni przez szyby księżną Parmy. Popatrzałem na nią tylko, starając się aby mnie nie widziała. Ale przynaję, że znajdowałem pewną wielkość w królewskiej grzeczności, z której uśmiechałem się u Guermantów. Zasadą jest, że panujący są wszędzie u siebie, ceremonja zaś wyraża to w martwych i czczych zwyczajach, jak np. ten aby pan domu trzymał kapelusz w ręce we własnym salonie, dla stwierdzenia że nie jest już u siebie, ale u panującego. Otóż, księżna Parmy nie uświadamiała sobie może tego pojęcia, ale była niem tak przesiąknięta, że wszystkie jej postęпки, doraźnie narzucone przez okoliczności, wyrażały je. Kiedy wstała od stołu, wręczyła duży napiwek Aimému, tak jakby on tam był wyłącznie dla niej, i jakby, opuszczając jakiś zamek, wynagradzała kamerdynera przydzielonego do jej służby. Nie ograniczyła się zresztą do napiwku, ale z wdzięcznym uśmiechem rzekła mu kilka miłych i pochlebnych słów, wziętych w spadku po matce. Jeszcze trochę, a byłaby mu powiedziała, że hotel jest doskonale prowadzony, Normandja kwitnąca, i że ona, ze wszystkich krajów w świecie, najbardziej kocha Francję. Druga sztuka monety przeszła z rąk księżnej do rąk piwnicznego, którego kazała zawołać i któremu, niby generał po rewji, pragnęła wyrazić zadowolenie. W tej chwili przyszedł lift-boy, przynosząc Jej Wysokości jakąś odpowiedź; i on także otrzymał miłe słówko, uśmiech i napiwek, wszystko z dodatkiem ciepłych i pokornych słów, mających dowieść, że ona, księżna Parmy, nie jest niczem więcej niż oni. Ponieważ Aimé, piwniczny, lift-boy i inni sądzili, że byłoby niegrzecznie nie uśmiechnąć się całą gębą do osoby, która się do nich uśmiecha, niebawem otoczyła księżnę gromadka służby, z którą rozmawiała życzliwie; że zaś tego rodzaju obejście było nieznanne w wielkich hotelach, osoby, przechodzące tamtędy, nie znając nazwiska księżnej, myślały, że to jest jakaś stała klientka Balbec, która, wskutek swego niskiego urodzenia, lub w interesie zawodu (może żona komiwojażera pracującego w szampanach?) mniej odcina się od służby, niż naprawdę szykowni goście. Co do mnie, myślałem o pałacu w Parmie, o nawpół religijnych, nawpół politycznych przestrojach dawanych tej księżniczce, która postępowała z ludem tak, jakby go miała sobie zjednać na czas przyszłego panowania. Więcej jeszcze: jakby już panowała.

Wróciłem do pokoju, ale nie czułem się sam. Słyszałem, że ktoś gra miękko utwory Schumanna. Z pewnością zdarza się, iż ludzie, nawet ci których najbardziej kochamy, przesycają się wydzielałym się z nas smutkiem lub nerwowością. Ale jest coś, co może doprowadzić do rozdrażnienia, jakiego nie osiągnie nigdy żywa osoba: mianowicie fort-pian.

Albertyna poleciła mi abym sobie zapisał daty, w których miała być nieobecna, bawiąc po parę dni u przyjaciółek. Kazała mi też zanotować ich adresy, na wypadek gdybym

jej potrzebował którego z owych wieczorów, bo żadna z przyjaciółek nie mieszkała zbyt daleko. Co sprawiło, że nieraz przyszło mi szukać jej od jednej do drugiej z dziewcząt, które oploty się całkiem naturalnie dokoła niej niby girlandy kwiatów. Śmiem wyznaczyć, że niejedna z tych przyjaciółek — nie kochałem jeszcze Albertyny — dała mi na tej czy innej plaży chwile rozkoszy. Te młode życzliwe towarzyszy nie wydawały mi się zbyt liczne. Ale niedawno znów myślałem o nich, przypomniały mi się ich imiona. Policzyłem, że w ciągu tego jednego sezonu dwanaście dziewcząt użyło mi swoich nikłych faworów. Jedno imię przypomniało mi się później — trzynastka! Wówczas, z jakimś dziecinnym okrucieństwem, chciałem poprzestać na tej liczbie. Niestety, przyszło mi na myśl, że zapomniałem pierwszej, Albertyny, której już nie było, a która była czternastą.

Wróćmy do toku opowiadania. Zapisałem sobie nazwiska i adresy dziewcząt, u których zastałbym Albertynę w dniu, kiedyby jej nie było w Incarville, ale myślałem, że z tych dni skorzystam raczej poto, aby się wybrać do pani Verdurin. Zresztą, pragnienia nasze w stosunku do różnych kobiet nie zawsze mają równą siłę. Jednego wieczora nie możemy się obyć bez tej, która później, przez miesiąc lub dwa, ledwie że działa na nas. Nie tu miejsce studjować przyczyny odmian. W momentach fizycznego wyczerpania, chwilową naszą starczość pociąga obraz kobiety, którą całowałoby się zaledwie w czoło. Co się tyczy Albertyny, widywałem ją rzadko, i jedynie w bardzo nieliczne wieczory, kiedy nie mogłem się bez niej obyć. Jeżeli mnie chwyciło takie pragnienie, a ona była zbyt daleko od Balbec aby Franciszka mogła tam dotrzeć, posyłałem lift-boya do Egreville, do Sogne, do Saint-Frichoux, prosząc go, aby się zwolnił nieco wcześniej. Wchodził do mojego pokoju, przyczem stale nie zamykał drzwi; o ile bowiem odrabiał sumiennie swoją „harówkę”, bardzo ciężką, polegającą od piątej rano na ciągłym sprzątanii, nie mógł się zdobyć na trud zamknięcia drzwi, a kiedy mu się zwróciło uwagę że są otwarte, wracał, i osiągając maximum wysiłku, przymykał je lekko. Z demokratyczną dumą, która go cechowała i której nie dosięgają w zawodach wyzwolonych członkowie liczniejszych profesji, adwokaci, lekarze, literaci, nazywający innego adwokata, literata lub lekarza: „*mon confrère*”, on, posługując się słusznie terminem zastrzeżonym dla ciał szczuplejszych, jak na przykład akademje, powiadał, mówiąc o strzelcu, pełniącym funkcję lift-boya co drugi dzień: „Spróbuję się postarać, aby mnie zastąpił kolega” (*mon collègue*). Ta dumna nie przeszkadzała mu, celem dopełnienia tego, co nazywał „swojem uposażeniem”, przyjmować za drogę napiwków, które ściągnęły nań nienawiść Franciszki: „Tak, za pierwszym razem kiedy go się widzi, wzięłoby się go za jakiego aniołka, ale są dni, że on patrzy na człowieka jak ten zbój. Wszystko to wyludzacz”. Kategorja, w której Franciszka tak często mieściła Eulaję i którą — gotując tem jakież nieszczęścia! — już obejmowała Albertynę, dlatego że często widziała, jak wypraszałem od mamy, dla mojej niebogatej przyjaciółki, drobiazgi, świecidełka. Franciszce wydawało się to rzeczą nie do przebaczenia, bo pani Bontemps miała tylko jedną służącą „do wszystkiego”.

Niebawem lift-boy, zdjawszy to co jabym nazwał liberją, a co on nazywał *uniformem*, zjawiał się w słomkowym kapeluszu, z laseczką, idąc starannie wystudjowanym krokiem, wyprostowany, bo matka jego zalecała mu, aby się starał nigdy nie robić wrażenia „robotnicarza” lub „strzelca”. Tak samo jak, dzięki książkom, wiedza dostępna jest dla robotnika, który przestaje być robotnikiem kiedy skończył pracę, tak samo, dzięki słomkowemu kapelusikowi i parze rękawiczek, elegancja stawała się dostępna dla lift-boya, który, skończywszy pod wieczór wozić gości, sądził że, jak młody chirurg skoro zdejmie kitel, lub wachmistrz Saint-Loup bez munduru, stał się skończonym światowcem. Nie był zresztą bez ambicji, ani bez talentu w manipulowaniu swoją klatką, tak aby nie uwięznąć między dwoma piętrami. Ale język jego był wadliwy. Wierzyłem w jego ambicje, ponieważ, mówiąc o odźwiernym który był jego zwierzchnikiem, powiadał: „Mój odźwierny”, tym samym tonem, jakim człowiek posiadający w Paryżu to co strzelec nazwał by „pałacym” mówiłby o swoim portjerze. Co do języka lift-boya, ciekawe jest, że ten chłopak, który słyszał pięćdziesiąt razy dziennie gości mówiących „winda”, sam mówił zawsze „wienda”. Pewne rzeczy były szczególnie drażniące u tego lift-boya; np. cokolwiek bym mu powiedział, zawsze przerywał mi wykrzyknikiem: „Ma się wie! albo: „Ma się wi!” co wyrażało albo to że moja uwaga jest tak oczywista iż każdy byłby wpadł na nią, albo też przesunęło na niego całą zasługę, jakby to on zwrócił na to uwagę. „Ma się wie” albo „Ma się

wi”, wykrzykiwane z największą energją, powtarzało się co dwie minuty w jego ustach, na rzeczy na które nigdyby nie wpadł, co mnie tak drażniło, że natychmiast mówiłem coś wręcz przeciwnego, aby mu dowieść że nie rozumie nic. Ale przy mojem drugim twierdzeniu mimo że było nie do pogodzenia z poprzedniem, odpowiadał tak samo: „Ma się wie”, „Ma się wi”, tak jakby te słowa były nieuniknione.

Z trudnością przebaczałem mu również to że używa pewnych terminów technicznych — które byłyby z tej przyczyny bardzo odpowiednie w sensie dosłownym — jedynie w przenośni, co im dawało intencję niby to dowcipną a w gruncie głupawą, naprzykład słowo „pedały”. Nigdy nie używał tego słowa, kiedy jechał na rowerze. Ale jeżeli szedł pieszo i spieszył się aby zdążyć na czas, wówczas dla określenia że szedł szybko, powiadał: „Ma się wi, że się wyciągało pedały”.

Lift-boy był raczej mały, źle zbudowany i dosyć brzydki. To nie przeszkadzało, że za każdym razem, kiedy mu się mówiło o młodym człowieku wysokim i smukłym, powiadał: „A, tak, wiem, jest zupełnie mojego wzrostu”. Pewnego dnia, czekając na jego powrót z odpowiedzią i słysząc kroki na schodach, otworzyłem przez niecierpliwość drzwi i ujrzałem Strzelca pięknego jak Endymion, z rysami niewiarygodnie doskonałemi; szedł z poleceniem jakiejś damy, której nie znałem. Kiedy lift-boy wrócił, wówczas, podkreślając jak niecierpliwie czekałem jego odpowiedzi, opowiedziałem mu, że myślałem że to on wraca, ale że to był strzelec z hotelu Normandzkiego. „A tak, wiem który, rzekł; tam jest tylko jeden; chłopiec mojego wzrostu. Z twarzy jest do mnie podobny tak, że możnaby nas pomylić; powiedziałby kto dwa bliźniaki.” Do tego chciał zawsze okazać, że wszystko rozumiał od pierwszej sekundy, co sprawiało, że kiedy mu ktoś dawał zlecenie, odpowiadał: „Tak, tak, tak, tak, tak, rozumiem wybornie”, pewnym i inteligentnym tonem, który mi dawał jakiś czas złudzenie; ale ludzie w miarę jak się ich poznaje są jak metal zanurzony w odczynniku; widzi się jak pomału tracą swoje przymioty (a czasem wady).

Zanim mu wydałem zlecenie, spostrzegłem że zostawił drzwi otwarte; zwróciłem mu na to uwagę, gdyż bałem się, aby nas kto nie usłyszał; uwzględnił moje życzenie i wrócił zmniejszwszy szparę. „Żeby panu zrobić przyjemność. Ale niema nikogo na całym piętrze, prócz nas dwóch”. W tej samej chwili usłyszałem przechodzącą najpierw jedną osobę, potem dwie, potem trzy. Drażniło mnie to z obawy niedyskrecji, ale zwłaszcza dlatego, że widziałem, iż jego to wcale nie dziwi i że to jest normalny ruch. „Tak, to pokojówka z obok, idzie po swoje rzeczy. Och, to jest nic, to piwniczny odnosi klucze. Nie, nie, to nic, może pan mówić, to mój kolega odbiera służbę”. Że zaś racje, dla których wszyscy ci ludzie przechodzili, nie zmniejszały mojej obawy że mogą mnie usłyszeć, przeto, na mój formalny rozkaz, poszedł — nie zamknąć drzwi — to byłoby nad siły tego cyklisty, który marzył o motocyklu — ale przymknąć je nieco bardziej. „Teraz jesteśmy całkiem spokojni”. Byliśmy w istocie tak spokojni, że jakaś Amerykanka weszła i wyszła, przepaszając że pomyliła numer pokoju. „Przyprowadzisz mi tę panienkę — rzekłem zatrzasnąwszy sam drzwi ze wszystkich sił, co sprowadziło innego strzelca dla sprawdzenia czy okno nie jest otwarte. — Przypominasz sobie dobrze: panna Albertyna Simonet. Zresztą masz napisane na kopercie. Masz jej tylko powiedzieć, że to odemnie. Przyjdzie bardzo chętnie — dodałem, aby go zachęcić i aby się zanaćto nie upokarzać. — Ma się wi! — Ale nie, to wcale nie jest naturalne że przyjdzie chętnie. To bardzo uciążliwe wybrać się tutaj z Bemeville. — Pewnie! — Powiesz jej, żeby przyjechała z tobą. — Tak, tak, tak, rozumiem doskonale, odpowiadał owym ścisłym i sprytnym tonem, który oddawna przestał na mnie robić „dobre wrażenie”, bo wiedziałem że jest niemal mechaniczny i że poza swoją pozorną ścisłością kryje otchłań tumaństwa i głupoty. — O której godzinie będziesz z powrotem? — Nie trza na to dużo czasu, powiadał windziarz, który, wbrew prawdom wygłaszanym w *Uczonych Białogłowach* przez Belizę, stale posługiwał się formą trza zamiast trzeba. Mogę bardzo dobrze tam iść. Właśnie skasowano teraz wychodnię, bo jest w salonie śniadanie na dwadzieścia osób. A to była moja pora na wyjście. Tak że należy mi się, żebym trochę wyszedł wieczór. Wezmę rower. W ten sposób będę pędko”. I w godzinę później zjawiał się, powiadając: „Pan długo czekał, ale panienka jest ze mną. Jest na dole. A! dziękuję, a odźwierny czy się nie będzie gniewał na mnie? — Pan Paweł? on nawet nie wie, gdzie ja byłem. Nawet portjer nie ma tu nic do gadania”. Ale raz, kiedy mu zleciłem: „Trzeba koniecznie żebyś panienkę przyprowadził”, powiedział

z uśmiechem: „Pan wie, że nie znalazłem panienki. Niema jej tam. A nie mogłem zostać dłużej; bałem się, że mi się stanie tak jak memu koledze, którego wypędzono z hotelu”.

Nie przez złośliwość się uśmiechał, ale przez nieśmiałość. Myślał, że zmniejszy wagę swojej winy, obracając ją w żart. Tak samo, kiedy mówił: „*Pan wie*, że panienki nie znalazłem”, to nie dlatego aby sądził w istocie że ja to wiem. Przeciwnie, był pewny że nie wiem, a zwłaszcza bał się mnie. Toteż powiadał „pan wie”, aby sobie samemu oszczędzić wzruszeń, jakie przebywał, wymawiając słowa mające mnie o tem powiadomić. Nie powinno się nigdy wściekać na tych, którzy, przyłapani przez nas na błędzie, zaczynają się podśmiechiwać. Nie robią tego dlatego aby sobie drwili, ale drżą że możemy być niezadowoleni. Bądźmy bardzo miłosierni, bądźmy bardzo łagodni dla tych co się śmieją. Zmieszanie lift-boya, podobne do prawdziwego ataku, spowodowało u niego nie tylko apoplektyczną czerwoność, ale zmianę języka, który nagle stał się gminny. W końcu wytłumaczył mi, że Albertyny niema w Egreville, że miała wrócić dopiero o dziewiątej, i że jeżeli czasem — chciał powiedzieć „przypadkiem” — wróciłaby wcześniej, powtórzonoby jej zlecenie i w każdym razie byłaby u mnie przed pierwszą w nocy.

## *Sodoma i Gomora*

# CZĘŚĆ DRUGA, TOM DRUGI

## ROZDZIAŁ II (CIAĞ DALSZY)

Jeszcze nie tego wieczora zresztą zaczęła się utrwać moja okrutna nieufność. Nie; powiedzmy odrazu (mimo iż fakt zdarzył się aż w kilka tygodni później), urodziła się ona z pewnej uwagi doktora Cottard. Albertyna i jej przyjaciółki chciały mnie owego dnia wyciągnąć do kasyna w Incarville. Nie byłbym się tam z nimi spotkał, ponieważ chciałem się wreszcie wybrać do pani Verdurin, która mnie zapraszała kilka razy; ale zatrzymało mnie — właśnie w Incarville — popsucie się kolejki, wymagające pewnego czasu na reparację. Spacerując na stacji w oczekiwaniu aż skończą, znalazłem się nagle nos w nos z doktorem Cottard, przybyłym do Incarville na konsylium. Wahałem się, czy mam się przywitać, wobec tego że nie odpowiedział mi na żaden list. Ale uprzejmość nie objawia się u wszystkich ludzi jednako. Nie przeszedłszy za młodu tresury światowej, Cottard był pełen dobrych intencji, których się nie znało, o których się wątpiło, aż do dnia gdy je miał sposobność objawić. Przeprosił mnie, otrzymał moje listy, oznajmił moją bytność w Balbec Verdurinom, którzy — powiadał — mają wielką ochotę mnie widzieć i do których radził mi się wybrać. Chciał mnie nawet zabrać do nich tego wieczora, bo wybierał się tam kolejką na obiad. Ponieważ nie byłem całkiem zdecydowany, a mieliśmy trochę czasu do pociągu (naprawa miała potrwać dłużej), zaciągnąłem doktora do kasyna. Było to jedno z kasyn, które mi się zdawały tak smutne wieczorem, w dniu pierwszego przybycia, a obecnie pełne było zgiełku dziewcząt, tańczących w braku tancerzy z sobą. Anna podbiegła do mnie w glisadach. Myślałem, że odjadę za chwilę z Cottardem, kiedy nagle odrzuciłem stanowczo jego propozycję, zdjęty zbyt gwałtowną chęcią zostania z Albertyną; a to dlatego, że usłyszałem jej śmiech. I ten śmiech wywołał we mnie wrażenie różowych karnacji i pachnących tkanek, o które zdawał się ocierać; ten śmiech, ostry, zmysłowy, wyzywający, niby zapach geranji, niósł z sobą jakieś cząsteczki niemal dające się zważyć, drażniące i tajemne.

Jedna z dziewcząt — nie znałem jej — siadła do fortepianu, Anna zaprosiła Albertynę do walca. Myśląc z rozkoszą że zostanę w kasynie z dziewczętami, zwróciłem uwagę doktora, jak one dobrze tańczą. Ale on, z owym specjalnie lekarskim spojrzeniem i ze złem wychowaniem ignorującym okoliczność że to są moje znajome (mimo iż widział jak się ze mną witały), odpowiedział:

— Tak, ale rodzice są dosyć lekkomyślni, że pozwalają córkom nabierać takich przyzwyczajęń. To pewna, że swoim córkom nie pozwoliłbym bywać tutaj. Czy są bodaj ładne? Nie dobrze rozróżniam rysy. O, popatrz pan — dodał wskazując Albertynę i Annę, które wtulone w siebie, walcowały zwolna — zapomniałem binokli i nie widzę dobrze, ale one są z pewnością w pełni orgazmu. Ludzie nie wiedzą, że kobiety osiągnają to zwłaszcza przez piersi. A popatrz pan, ich piersi stykają się kompletnie.

W istocie, kontakt piersi Albertyny i Anny nie przerywał się ani na chwilę. Nie wiem, czy usłyszały lub odgadły uwagę Cottarda, ale odsunęły się od siebie, wciąż walcując. Anna szepnęła coś Albertynie; ta zaśmiała się tym samym przenikliwym i głębokim śmiechem, jaki słyszałem przed chwilą. Ale wzruszenie, o jakie mnie przyprawił teraz ów śmiech, było mi już tylko okrutne; miałem wrażenie, że Albertyna komunikuje nim Annie jakiś rozkoszny i tajemniczy dreszcz. Dźwięczał ten śmiech jak pierwsze lub ostatnie akordy nieznanej zabawy. Odszedłem z Cottardem, rozmawiając z roztargnieniem, myśląc jedynie chwilami o scenie, którą przed chwilą oglądałem. Nie znaczyło to, aby konwersacja doktora była interesująca. Stała się nawet w tej chwili cierpka, bo właśnie spostrzegliśmy doktora du Boulbon, który nas nie widział. Przyjechał spędzić jakiś czas po przeciwnej stronie zatoki Balbec, gdzie zasięgano często jego porady. Otóż, mimo że Cottard zwykł był oświadczać, że nie uprawia medycyny na wakacjach, spodziewał się wyrobić sobie na tem wybrzeżu pierwszorzędną praktykę, w czym, jak mniemał, przeszkodził mu doktor du Boulbon.

Rzecz prosta, że miejscowy lekarz z Balbec nie mógł być groźny dla Cottarda. Był to poprostu praktyk bardzo sumienny, który umiał wszystko i któremu nie możnaby wspo-

mnieć o najlżejszym swędzeniu, aby nie zalecił natychmiast, w skomplikowanej receptce, odpowiedniej maści, zmywania lub kataplazmu. Jak mówiła w swoim ładnym języku Marja Gineste, on umiał „zamawiać” skaleczenia i rany. Ale nie był firmą. Ten lekarz sprawił Cottardowi mały kłopot. Profesor, od czasu jak chciał zamienić swoją katedrę na katedrę terapii, wyspecjalizował się w intoksykacjach. Intoksykacje, niebezpieczna nowość w medycynie, służąca do odnowienia etykietek aptekarzy, których wszelki produkt (z wyjątkiem leków „sympatycznych”) uznaje się za zgoła nie toksyczny a nawet dezintoksykujący. To jest modna dziś reklama; zaledwie natomiast przetrwało gdzieś u dołu, nieczytelnymi literami, jak wąty ślad poprzedniej mody, zapewnienie, że dany produkt został starannie zdezinfekowany. Intoksykacje służą też do uspokojenia chorego, który dowiaduje się z radością, że jego paraliż jest tylko niedomaganiem toksycznym. Otóż, pewien Wielki książę, przybyły na kilka dni do Balbec, mając oko straszliwie obrzmiałe, wezwał Cottarda, który, w zamian za kilka stufrankówek (profesor nie trudził się taniej), ujrzał w zapaleniu oka stan toksyczny i przepisał djetę dezintoksykującą. Kiedy oko nie kłęśło, Wielki książę zwrócił się do miejscowego lekarza w Balbec, który w pięć minut wydobyl jakiś pyłek. Nazajutrz nie było śladu.

Ale niebezpieczniejszym rywalem był luminarz chorób nerwowych. Był to człowiek rumiany, jowialny, zarówno dlatego że obcowanie ze zwyrodnieniami nerwowymi nie przeszkadzało mu miewać się bardzo dobrze, jak również poto aby pokrzepić chorych szerokim śmiechem i uściskiem dłoni, choćby miał swoim atletycznym ramieniem pomóc ich później ubrać w kaftan bezpieczeństwa. Bądź co bądź, kiedy się z nim rozmawiało w towarzystwie, choćby o polityce lub o literaturze, słuchał człowieka z życzliwą uwagą, jakby zadając sobie pytanie: „Z jakim wypadkiem mamy do czynienia?” nie wypowiadając się od razu, tak jakby chodziło o konsultację. Ale ostatecznie ten lekarz, przy całym swoim talencie, był specjalistą. Toteż cała wściekłość Cottarda wyładowała się na doktorze du Boulbon. Pożegnałem zresztą niebawem zaprzyjaźnionego z Verdurinami profesora, przyrzekając że ich odwiedzę niebawem.

Ból, jaki mi sprawiły jego słowa dotyczące Albertyny i Anny, był głęboki, ale najgorszych jego ukłuc nie odczułem natychmiast, podobnie jak się zdarza w zatruciach działających dopiero po pewnym czasie.

Owego wieczora kiedy lift-boy poszedł po Albertynę, mimo jego zapewnień nie przyszła. To pewna, że wdzięki danej osoby mniej często są przyczyną miłości, niż jakieś słowa w tym rodzaju: „Nie, dziś wieczór nie będę wolna”. Nie bardzo zwracamy uwagę na to zdanie, kiedy jesteśmy z przyjaciółmi; jesteśmy weseli cały wieczór, nie nawiedza nas pewien obraz; przez ten czas, obraz ów kąpie się w odpowiednim płynie; za powrotem znajdujemy kliszę już wywołaną i zupełnie wyraźną. Spostrzegamy, że życie nie jest tem życiem które bylibyśmy porzucili dla lada drobnostki wczoraj, o ile bowiem nadal nie lękamy się śmierci, nie śmiemy już myśleć o rozłące.

Zresztą, począwszy nie od pierwszej w nocy (godziny, którą windziarz zapowiedział), ale od trzeciej, nie doznawałem już jak dawniej bólu wynikłego ze zmniejszających się szans aby się Albertyna zjawiła. Pewność, że już nie przyjdzie, przyniosła mi zupełny spokój, świeżość; ta noc była pro prostu jedną z wielu nocy spędzonych bez Albertyny; przyjąłem to za punkt wyjścia. I z tą chwilą, myśl że ją ujrzę nazajutrz albo w inne dni, odcinając się na tej przyjętej przezemnie nicości, stawała się słodka. Czasami, w ciągu tych wieczorów oczekiwania, ucisk serca wynika z leku, który się zażyło; cierpiący interpretuje fałszywie swój niepokój: myśli, że cierpi z powodu osoby która nie przychodzi. Miłość rodzi się w tym wypadku, jak pewne choroby nerwowe, z niedokładnego wytłumaczenia sobie przykrego uczucia. Wytłumaczenie, którego lepiej nie prostować, przynajmniej w zakresie miłości, które to uczucie (cobądź jest jego przyczyną) jest zawsze omyłką.

Nazajutrz, kiedy Albertyna napisała do mnie, że dopiero wróciła do Epreville, że tem samem nie dostała mojego listu na czas, i że zajdzie, jeśli pozwolę, do mnie wieczorem, miałem wrażenie, iż poza słowami jej listu — jak poza temi, które mi mówiła raz przez telefon — czuję obecność uciech i osób, które przełożyła nademnie. Jeszcze raz wstrząsnęła mną całym bolesna ciekawość dowiedzenia się co ona mogła robić, utajona miłość, którą się zawsze nosi w sobie; przez chwilę mogłem myśleć, że ta miłość przywiąże mnie do Albertyny: ale dygotała tylko w miejscu; ostatnie jej pomruki ścichły, a nie ruszyła z miejsca.

Źle zrozumiałem za pierwszym swoim pobytem w Balbec charakter Albertyny; Anna może również. Sądziłem, że to była dziecinność; ale nie wiedziałem, czy wszystkie nasze błagania nie zdołałyby jej zatrzymać i skłonić do poniechania jakiejś *garden-party*, wycieczki na osłach lub pikniku. W czasie drugiego pobytu w Balbec, zacząłem podejrzewać, że ta dziecinność była jedynie pozorem, *garden-party* tylko parawanem, jeśli nie wykrętem. Działa się pod rozmaitemi formami rzecz następująca (to znaczy rzecz widziana przezemnie, od mojej strony szkła, które nie było zgoła przezroczyste, przyczem nie mogłem wiedzieć, co było prawdą z drugiej strony). Albertyna obsypywała mnie najgorętszymi zaklęciami czułości. Patrzała na zegarek, bo miała być z wizytą u pewnej damy, która jakoby przyjmowała codziennie o piątej w Infreville. Dręczony podejrzaniem, czując się zresztą cierpiący, prosiłem Albertynę, błagałem ją, aby została ze mną. Było to niemożliwe (miała już tylko pięć minut czasu), bo toby bardzo pogniewało tę damę, nie zbyt gościnną i podejrzliwą, i — jak mówiła Albertyna — przenudną. „Ależ można przecież opuścić wizytę. — Nie, ciotka mnie uczyła, że trzeba być przede wszystkim grzeczną. — Ależ widziałem, że tak często byłaś niegrzeczna. — To nie jest to samo, ta pani obraziłaby się i narobiłaby mi historii z ciotką. I tak nie jestem już z nią zbyt dobrze. Ciotce zależy na tem, abym tam raz była. — Ale skoro ona przyjmuje codzien?” Na to, Albertyna, czując że wpadła, zmieniała argumenty. „Rozumie się, że przyjmuje codzien. Ale dziś umówiłam się u niej z przyjaciółkami. W ten sposób będzie mniej nudno. — W takim razie, Albertyno, wolisz tę osobę i swoje przyjaciółki ode mnie, skoro, aby nie ryzykować wizyty trochę nudnej, wolisz mnie zostawić samego, chorego, z moim smutkiem? — O to nie chodzi, że byłoby nudno. Ale robię to przez poświęcenie dla nich. Mam je odwiedzić kabrioletem. Inaczej nie miałyby żadnej możliwości powrotu”.

Zwróciłem uwagę Albertyny, że są z Infreville pociągi do 10 wieczór. „To prawda, ale wiesz, możliwe jest, że nas zatrzymają na obiad. Ta pani jest bardzo gościnną. — No więc odmówisz. — Pogniewałabym ciotkę. — Zresztą, możecie zostać na obiedzie i wrócić o dziesiątej. — To trochę mało czasu. W takim razie ja nigdy nie mógłbym być gdzieś na obiedzie i wrócić pociągiem. Ale wiesz, Albertyno, zrobimy rzecz bardzo prostą; czuję, że mi powietrze dobrze zrobi; skoro nie możesz puścić kantem tej damy, odwiozę cię do Infreville. Nie bój się, nie pójdę aż do *wieży Elżbiety* (willa owej damy), nie zobaczę ani tej damy ani twoich przyjaciółek”.

Albertyna robiła wrażenie, że otrzymała straszny cios. Słowa się jej rwały. Powiedziała, że kąpiele morskie jej nie służą. „Może ci to przykrość sprawia, żebym jechał z tobą? — Ależ skądże, jak możesz tak mówić, wiesz, że największa przyjemność dla mnie, to być z tobą”.

Nastąpił nagły zwrot:

— Skoro mamy jechać na spacer, czemu nie pojechalibyśmy w drugą stronę Balbec, zjedlibyśmy obiad razem. Tobo było tak miło. W gruncie rzeczy, ta strona jest o wiele ładniejsza. Zaczynam mieć dość Infreville i całej reszty, wszystkich tych dziur zielonych jak szpinak. — Ale przyjaciółka ciotki się obrazi? — No to co, to się potem odobrazi. — Nie, nie trzeba być dla nikogo niegrzeczna. — Ale ona nawet tego nie zauważy, ona przyjmuje codzien, czy będę u niej jutro, pojutrze, za tydzień, za dwa, i tak będzie na czas. — A twoje przyjaciółki? — Och, dość często mnie puszczały kantem, kolej na rewanż. — Ale od strony, którą mi proponujesz, niema pociągów po dziewiątej. — No więc, cóż to szkodzi, dziewiąta wyborna godzina. A potem nie trzeba się nigdy kłopotać o kwestję powrotu. Zawsze się znajdzie jakiś wózek, rower, w braku czego lepszego ma się nogi. — Zawsze się znajdzie, Albertyno, co ty pleciesz! Od strony Infreville, gdzie stacyjki są usiane gęsto, owszem. Ale od tamtej strony... to już nie to samo. — Nawet od tamtej strony. Przyrzekam ci, że cię odstawię zdrowym i całym.

Czułem, że Albertyna wyrzeka się dla mnie czegoś ułożonego, czego nie chciała mi powiedzieć, i że jest ktoś, kto będzie nieszczęśliwy jak ja wprzód. Widząc, że to czego chciała nie jest możliwe (skoro zamierzyłem jej towarzyszyć), zdecydowała się poprostu zrezygnować. Wiedziała, że to się da naprawić. Bo, jak wszystkie kobiety mające kilka miłostek naraz, posiadała niezawodny atut: podejrzanie i zazdrość. Z pewnością nie starała się ich podsycać, przeciwnie. Ale zakochani są tak podejrzliwi, że natychmiast zwęszą kłamstwo. Tak, iż Albertyna nie była lepsza od innych; wiedziała z doświadczenia (nie zgadując ani trochę, że zawdzięcza to zazdrości), że zawsze odnajdzie tego, którego



pewnego wieczora wystrychnęła na dudka. Nieznana osoba, której zrobiła dziś zawód dla mnie, będzie cierpiała, będzie ją za to kochała tem więcej (Albertyna nie wiedziała, że to dlatego), i aby nie cierpieć dłużej, wróci sama z siebie do niej, tak jak jabym to uczynił. Ale nie chciałem ani jej robić przykrości, ani męczyć się, ani wchodzić na straszliwą drogę śledztwa, wielopostaciowego, niezliczonego nadzoru.

— Nie, Albertyno, nie chcę ci psuć przyjemności, jedź do Infreville do swojej damy, czy też do osoby której ona jest pseudonimem, to mi wszystko jedno. Prawdziwą przyczyną tego że nie jadę z tobą, jest fakt, że ty tego nie pragniesz, że spacer ze mną nie byłby tem na co się cieszyłaś, czego dowodem jest, że zaprzeczyłaś sama sobie więcej niż pięć razy, nawet nie zauważywszy tego.

Biedna Albertyna bała się, że jej sypki, z których nie zdawała sobie sprawy, mogły być poważniejsze. Nie wiedząc dokładnie co skłamała, rzekła:

— To bardzo możebne, żem coś naplotła. Morskie powietrze odbiera mi wszelką zdolność myślenia. Mówię co chwila jedno nazwisko za drugie.

Słyszając potwierdzenie tego, co jedynie lekko podejrzewałem, uczułem ból jakby dotkliwej rany, co mi dowiodło, że Albertyna nie potrzebowałaby w tej chwili wielu tkliwych zapewnień na to abym jej uwierzył.

— Więc dobrze, niech będzie, jadę — rzekła tragicznym głosem, zerkając równocześnie na zegarek aby sprawdzić, czy się nie spóźni do owej innej osoby, teraz kiedy jej dałem pretekst nie spędzenia wieczoru ze mną. — Jesteś niegodziwy. Zmieniam wszystkie plany, aby z tobą spędzić miły wieczór, a ty nie chcesz i zarzucasz mi kłamstwo. Nigdy nie byłeś jeszcze tak okrutny. Morze będzie moim grobem. Nie ujrzę cię już nigdy. (Serce zabiło mi przy tych słowach, mimo iż byłem pewny, że wróci jutro, co też się stało). Utopię się, rzucę się w wodę. — Jak Safo. — Jeszcze jedna zniewaga więcej; podejrzewasz nie tylko moje słowa, ale i uczynki. — Ależ, kochanie, ja nie miałem najmniejszego zamiaru, przysięgam ci: wiesz, że Safo rzuciła się w morze. — Nie, nie, ty nie masz do mnie żadnego zaufania.

Ujrzała, że ma już ledwo parę minut czasu, bała się przepuścić okazję, i wybierając pożegnanie najkrótsze (za co przeprosiła mnie zresztą przyszedłszy nazajutrz: zapewne tego dnia tamta osoba nie była wolna), uciekła pędem ze zrozpaczoną miną, krzycząc: „Zegnaj na zawsze”. I może była w rozpacz. Bo, wiedząc lepiej odemnie co robi w tej chwili, surowsza i pobłażliwsza zarazem dla siebie niż ja byłem dla niej, może bała się, mimo wszystko, że, po sposobie w jaki się ze mną rozstała, nie zechcę jej widzieć na oczy. Otóż, zdaje mi się, że jej zależało na mnie, tak że ta druga osoba bardziej była zazdrosna i więcej cierpiała odemnie.

W kilka dni potem, w Balbec, kiedyśmy byli na sali balowej w kasynie, weszły siostra i kuzynka Blocha. Obie bardzo wyładniały, ale nie kłaniałem się im już z powodu moich towarzyszek, ile że młodsza, kuzynka Blocha, żyła niemal publicznie z aktorką, z którą się zapoznała za mego pierwszego pobytu. W związku z aluzją jaką ktoś zrobił półgłosem w tym względzie, Anna rzekła do mnie: „Och, na tym punkcie jestem jak Albertyna; niema rzeczy, któraby nas przejmowała większym wstrętem”. Co się tyczy Albertyny, siedzącej koło mnie na kanapie, odwróciła się plecami do obu podejrzanych dziewcząt i zaczęła rozmawiać ze mną. Mimo to, zauważyłem, że w chwili gdy się zjawiły panna Bloch i jej kuzynka, gest ów poprzedziło w oczach Albertyny nagłe i głębokie skupienie, które twarzy figlarnego dziewczęcia dawało czasami wyraz poważny, niemal tragiczny, i potem zostawiało cień smutku. Ale tuż potem Albertyna zwróciła do mnie oczy, które mimo to pozostały osobliwie nieruchome i marzące.

Panna Bloch i jej kuzynka odeszły w końcu, śmiejąc się hałaśliwie i wydając niezbyt przyzwoite okrzyki. Spytałem Albertyny, czy jedna z nich, blondynka (ta co była przyjaciółką aktorki), to nie ta sama, która wczoraj dostała nagrodę na corso kwiatowem.

— Och, nie wiem — rzekła Albertyna — czy która z nich jest blondynka? Powiem ci, że mnie one nie zbyt interesują, nigdy im się nie przyglądałam. Czy która z nich jest blondynka? — zwróciła się pytająco i swobodnie do przyjaciółek.

W stosunku do osób, które Albertyna spotykała codzien na didze, nieświadomość ta wydała mi się zbyt jaskrawa aby nie miała być udana. „I one również nie robią wrażenia, aby się nam zbyt przyglądały, rzekłem do Albertyny, pragnąc — może nieświadomie — w razie gdyby Albertyna miała pociąg do kobiet — odjąć jej wszelki żal, dowodząc że

nie ściągnęła na siebie uwagi tych dziewcząt, oraz że — biorąc rzecz ogólniej — nie jest przyjęte, nawet u najbardziej zepsutych, interesować się osobami, których się nie zna.

— Nie patrzyły na nas, właśnie! — odparła niebacznie Albertyna. — Cały czas nic innego nie robiły.

Skąd możesz wiedzieć — rzekłem; — obrócona byłaś plecami.

— No a to? — odparła, wskazując nawprost nas wielkie lustro, którego nie zauważyłem. Zrozumiałem teraz, że Albertyna, wciąż rozmawiając ze mną, nie przestała się uważnie wpatrywać w to lustro swemi pięknymi i skupionymi oczami.

Poczawszy od dnia gdy Cottard wszedł ze mną do kasyna w Incarville, mimo iż nie podzielałem opinii doktora, Albertyna wydała mi się nie ta sama co wprzód; widok jej drażnił mnie. Ja sam zmieniłem się, w tym samym stopniu w jakim ona zdawała mi się inna. Straciłem dawną życzliwość; w jej obecności, jak i poza oczy, wówczas gdy jej to ktoś mógł powtórzyć, mówiłem o niej w sposób nader przykry. Ale nie zawsze. Pewnego dnia dowiedziałem się, że Albertyna i Anna wybierają się we dwie do Elstira. Nie wątpiłem, że czynią to w tej intencji, aby mogły w powrotnej drodze bawić się jak pensjonarki udawaniem młodych dziewcząt o podejrzanych gustach, znajdując w tem sekretną rozkosz, która mi ścisła serce. Zjawiłem się tedy niespodzianie u Elstira, bez zapowiadania się, aby im pokrzyżować plany i pozbawić Albertynę spodziewanej przyjemności. Ale zastałem tylko Annę. Albertyna wybrała inny dzień, w którym miała być tam z ciotką. Wówczas powiedziałem sobie, że Cottard musiał się omylić; korzystne wrażenie, jakie na mnie zrobiła obecność Anny samej, przez jakiś czas podtrzymywało we mnie przychylniejszy nastrój dla Albertyny. Ale nie trwał on dłużej, niż kruche zdrowie owych delikatnych osób, którym, mimo chwilowego polepszenia, lada co wystarczy aby je znów wpędzić w chorobę.

Albertyna wciągała Annę w owe igraszki, które, nie posuwając się zbyt daleko, nie były może zupełnie niewinne; cierpiąc od tego podejrzenia, odsunąłem je wreszcie. Za ledwie się z niego wyleczyłem, odradzało się w innej formie. Ujrzałem Annę, jak jednym z owych wdzięcznych ruchów, które jej były właściwe, skłoniła pieszczotliwie głowę na ramię Albertyny, ucałowała ją w szyję, nawpół przymykając oczy; to znów wymieniły spojrzenia; albo słówko jakieś wymknęło się komuś, kto je widział same, idące się kąpać; drobnostki nasycające atmosferę, którą większość ludzi oddycha przez cały dzień bez uszczerbku dla zdrowia lub humoru, ale trujące i płodne w nowe cierpienia dla istoty predysponowanej. Czasami, nawet nie widząc Albertyny ani słysząc o niej, odnajdywałem w pamięci jakąś pozę Albertyny w towarzystwie Gizeli; pozę która zrazu wydawała mi się niewinna, teraz zaś wystarczała, aby zniweczyć odzyskany z trudem spokój. Nie potrzebowałem już nawet z zewnątrz wdechać niebezpiecznych zarazków; ulegałem, jakby powiedział Cottard, autointoksykacji. Przypominało mi się wówczas wszystko czegom się dowiedział o miłości Swanna do Odety, o tem jak go Odeta całe życie oszukiwała. W gruncie rzeczy, jeżeli się nad tem zastanowię, hipotezę, która mi kazała pomału zbudować cały charakter Albertyny i interpretować boleśnie każdy moment życia, którego nie mogłem kontrolować w całości, było wspomnienie i świadomość charakteru pani Swann, takiej jaką znałem z opowiadań. Opowiadania te sprawiły, że później wyobraźnia moja snuła domysły, wedle których Albertyna, zamiast być dobrą dziewczyną, mogłaby być równie zepsuta, równie zdolna do oszukiwania jak ex-kokota; i myślałem o wszystkich cierpieniach, jakieby mnie czekały, w razie gdybym ją miał kiedy pokochać.

Pewnego dnia, gdyśmy stali razem przed Grand Hotelem na didze, mówiłem Albertynie przykre i upokarzające rzeczy; na co Rozamonda rzekła: „Och, jakżeś ty się dla niej zmienił; dawniej była tylko ona, ona grała pierwsze skrzypce, a teraz traktujesz ją gorzej psa”.

Aby jeszcze bardziej podkreślić swój stosunek do Albertyny, obsypywałem czułościami Annę, którą — w razie gdyby była dotknięta tą samą przywarą — łatwiej mógłbym usprawiedliwić z powodu jej chorowitej i neuropatycznej kompleksji. Naraz ujrzeliśmy wyjeżdżające truchtem z ulicy prostopadłej do digi dwukonne lando pani de Cambremer. Prezydent, który właśnie zbliżał się do nas, poznawszy powóz, cofnął się gwałtownie, nie chcąc aby go widziano w naszym towarzystwie; poczem, kiedy osądził, że oczy margrabiny mogą się spotkać z jego oczami, złożył jej głęboki ukłon. Ale powóz zamiast jechać

dalej (jak można było przypuszczać) ulicą Morską, wjechał w bramę hotelu. Nie upłynęło ani dziesięć minut, kiedy lift-boy przybiegł zdyszany, aby mnie uprzedzić:

— Pani margrabina de Camembert przyjechała do jaśnie pana. Szukałem w pokoju, szukałem w czytelni, nie mogłem znaleźć jaśnie pana. Na szczęście, wpadło mi na myśl wyjrzeć na plażę.

Jeszcze nie skończył swoich wywodów, kiedy margrabina posunęła ku mnie w towarzystwie swojej synowej, oraz jakiegoś bardzo ceremonjalnego pana. Prawdopodobnie wracała z wizyty lub herbatki w sąsiedztwie, uginając się pod ciężarem nietyle starości, ile mnóstwa kosztownych przedmiotów, jakimi uważała za uprzejmiejsze i godniejsze swego stanowiska obwiesić się, aby się wydać możliwie paradna osobom którym składała wizytę. Było to w sumie owe „wylądowanie” Cambremerów, którego tak bardzo obawiała się babka, kiedy chciała zataić przed panem Legrandin, że się może wybierzemy do Balbec. Wówczas mama śmiała się z obaw przed czymś, co uważała za niemożliwe. I oto wreszcie fakt ziścił się, ale innemi drogami, i bez udziału Legrandina.

— Czy mogę zostać, jeżeli to panu nie przeszkadza — spytała Albertyna (w której oczach zostało kilka łez, spowodowanych mojem przykrem obejściem przed chwilą; zauważyłem te łzy, udając że ich nie widzę, ale nie bez satysfakcji); — miałabym coś panu do powiedzenia.

Kapelusz z piórami, w którym tkwiła szpilka z szafirem, zasadzony był ladajak na peruce pani de Cambremer, niby godło którego wywieszenie jest konieczne ale wystarczające, miejsce obojętne, elegancja umowna a nieruchomość zbyteczna. Mimo upału, zacna dama włożyła dżetową mantylkę podobną do dalmatyki, na to zaś gronostajową etolę, której obecność zdawała się mieć związek nie z temperaturą i porą roku, lecz z charakterem ceremonji. A na piersi pani de Cambremer, baranowska korona wisiała na łańcuszku naksztalt biskupiego krzyża. Pan, który jej towarzyszył, to był słynny adwokat paryski, z dobrej rodziny, który przyjechał na trzy dni do państwa de Cambremer. Był to jeden z tych ludzi, którym ich znakomite kwalifikacje zawodowe każą potrosze gardzić własnym zawodem i którzy mówią naprzykład: „Wiem, że jestem dobrym mówcą, toteż już mnie to nie bawi!” albo — „Nie bawi mnie już operować, wiem że dobrze operuję”. Owym ludziom, inteligentnym, *artystom*, dojrzałość ich, hojnie uposażona sukcesem, przynosi blask owej „inteligencji”, owej „artystycznej natury”, którą koledzy w nich uznają i która daje im coś zbliżonego do smaku i sądu. Zapalają się do malarstwa — nie do malarstwa wielkiego artysty, ale artyści bądź co bądź bardzo wybitnego, obracając swoje wielkie dochody czerpane z wykonywanego zawodu na zakupy jego dzieł. Malarz Le Sidaner był wybranym artystą tego przyjaciela Cambremerów, zresztą miłego człowieka. Adwokat mówił inteligentnie o książkach, ale nie o książkach prawdziwych mistrzów, tych co osiągnęli pełnię. Jedyną przykrą wadą tego dyletanta było to, że używał, i to stale, pewnych gotowych zwrotów, naprzykład: „poniekąd”, co dawało rzeczy, o której mówił, coś ważnego i nieupełnego zarazem.

Pani de Cambremer skorzystała — jak mi oznajmiła — z podwieczorku u znajomych w pobliżu, aby mnie odwiedzić, jak to przyrzekła Robertowi de Saint-Loup. „Pan wie, że on ma niedługo zjechać na kilka dni w nasze strony. Wuj jego Charlus jest na wilegaturze u swojej szwagierki, księżnej de Luxembourg; Saint-Loup skorzysta tedy ze sposobności, aby wpaść do ciotki i odwiedzić swój dawny pułk, gdzie go bardzo kochają, bardzo cenią. Często widzimy u siebie oficerów, którzy mówią o nim z ogromnemi pochwałami. Jakby to było ładnie, gdybyście panowie zrobili nam tę przyjemność i przybyli we dwójkę do Féterne”.

Przedstawiłem pani de Cambremer Albertynę i jej przyjaciółki. Pani de Cambremer wymieniła nasze nazwiska swojej synowej. Ta, lodowata ze szlachetkami, z którymi sąsiedztwo Féterne zmuszało ją do stosunków, zazwyczaj tak sztywna z obawy aby się nie spospolitować, podała mi przeciwnie rękę z promiennym uśmiechem, bezpieczna i rozanielona wobec przyjaciela pana de Saint-Loup. Przytem Robert (mający więcej światowej dyplomacji niż się do tego przyznawał) doniósł jej, że jestem bardzo dobrze z Guermantami. Bo pani de Cambremer-młodsza, odmiennie od teściowej, miała dwie grzeczności, niezmiernie różne od siebie. W razie gdybym ją poznał przez jej brata, pana Legrandin, byłaby mi użyczyła conajwyżej pierwszej grzeczności, suchej i nieznośnej. Ale dla przyjaciela Guermantów stawała się całą uśmiechem.

Najwygodniejszym lokalem dla przyjęcia gości była czytelnia, miejsce niegdyś tak groźne, gdzie teraz wchodziłem po dziesięć razy dziennie, wychodząc swobodnie, władczo, jak owi łagodni warjaci, od tak dawna mieszkający w zakładzie, że im lekarz powierza klucz. Toteż zaproponowałem pani de Cambremer, że ją tam zaprowadzę. Że zaś salon ów nie budził już we mnie nieśmiałości i nie przedstawiał dla mnie uroku — fizjognomja rzeczy zmienia się dla nas jak fizjognomja osób — zaproponowałem jej to bez wzruszenia. Ale odmówiła, wołała zostać na dworze; siedliśmy tedy na tarasie. Znalazłem tam tomik pani de Sévigné, którego mama nie zdążyła zabrać w pospiesznej ucieczce, kiedy się dowiedziała, że ktoś przyjechał do mnie. W tej samej mierze co babka obawiała się tych inwazyj obcych ludzi i z obawy że skoro się pozwoli osaczyć, nie zdoła się już wymknąć, uciekała z chyżością, z której zawsze z ojcem żartowaliśmy sobie.

Pani de Cambremer starsza trzymała w ręku, wraz z pastorałem parasolki, kilka haftowanych woreczków, torebkę, złotą sakiewkę, z której zwisały sznury granatów i koronkowa chusteczka. Zdawało mi się, że wygodniej byłoby jej złożyć wszystko na krześle; ale czułem, że byłoby niewłaściwe i daremne prosić, aby odłożyła insygnia swego pasterskiego objazdu i światowego kapłaństwa. Patrzyliśmy na spokojne morze, na którym tu i ówdzie mewy pływały niby białe kwiaty. Z powodu poziomu zwykłej „średniej”, do jakiego nas zniża rozmowa towarzyska jak również chęć podobania się nie zapomocą przymiotów nieznanym nam samym, ale zapomocą tego co (uważamy) powinno być w smak naszym partnerom, instynktownie zacząłem mówić do pani de Cambremer z domu Legrandin w ten sposób, w jakiby to uczynił jej brat. „Mają — rzekłem wskazując mewy — nieruchomości i białość lilij wodnych”. I w istocie, robiły wrażenie martwych przedmiotów kołysanych przez fale, a znowuż przez kontrast fale zdawały się ożywione świadomością, nabierały życia.

Stara margrabina niestrudzenie sławiła wspaniały widok na morze, jaki mieliśmy w Balbec, i zazdrościła mi go, ile że z la Raspelière (gdzie zresztą nie mieszkała w tym roku) widzi fale jedynie z daleka. Miała dwa osobliwe nawyki, wynikające równocześnie z jej żarliwej miłości sztuki (zwłaszcza muzyki) i z niedomagań uzębienia. Za każdym razem kiedy mówiła o Pięknie, jej gruczoły ślinowe — jak u niektórych zwierząt w momencie rui — ulegały hipersekrecji takiej, że w kąciku warg, ocienionych małym wąsikiem, bezzębne usta starej damy przepuszczały parę kropel, nie będących tam na swoim miejscu. Natychmiast polykała je z głębokim westchnieniem, jak ktoś, kto chwyta oddech. Wreszcie, jeżeli chodziło o szczyty muzycznego piękna, w entuzjazmie swoim podnosiła ręce do góry i wygłaszała jakieś ogólnikowe sądy, energicznie przeżute i w potrzebie wychodzące nosem.

Co do mnie, nigdy nie przyszło mi na myśl, aby pospolita plaża w Balbec mogła w istocie przedstawiać „widok morza” i proste słowa pani de Cambremer zmieniały moje pojęcia w tej mierze. Oświadczyłem w zamian, że zawsze słyszałem cuda o nieporównanym widoku w la Raspelière, posiadłości położonej na wzgórzu, gdzie, w wielkim salonie o dwóch kominkach, cały rząd okien pozwala, poprzez ogród i wśród liści, oglądać morze aż poza Balbec, podczas gdy przez drugi rząd okien widzi się dolinę. „Jaki pan jest miły, i jak to dobrze powiedziane: *morze wśród liści*. To czarujące; rzekłoby się... wachlarz”. I po głębokim wdechu, mającym schwycić ślinę i osuszyć wąsy, uczułem, że komplement jest szczery. Ale margrabina z domu Legrandin pozostała chłodna, aby tem okazać wzgardę nie dla moich słów, ale dla słów teściowej. Zresztą nietylko gardziła inteligencją teściowej, ale ubolewała nad jej uprzejmością, bojąc się zawsze, że ludzie mogą mieć nie dosyć wysokie pojęcie o Cambremerach. „I jaka ta nazwa ładna — dodałem. Chciałoby się znać pochodzenie wszystkich tych nazw. — Co do tej, mogę ją panu objaśnić — odparła stara dama uprzejmie. To siedziba rodzinna, po mojej babce Arrachepel; to nie jest ród znakomity, ale dobra i bardzo stara rodzina prowincjonalna. — Jakto, nie znakomity? — przerwała sucho synowa. Cały witraż w katedrze w Bayeux pełen jest ich herbów, a główny kościół w Avranches zawiera ich nagrobki. Jeżeli te stare nazwy pana bawią, przybywa pan o rok za późno. Postaraliśmy się o probostwo w Criquetot mimo wszystkich trudności związanych ze zmianą diecezji — dla dziekana z okolicy, w której ja mam swój osobisty majątek ziemski, bardzo daleko stąd, w Combray, gdzie dobry ksiądz bał się popaść w neurastenję. Na nieszczęście, w jego wieku, powietrze morskie nie posłużyło mu, neurastenja się wzmogła, i proboszcz wrócił do Combray. Ale przez czas

gdy był naszym sąsiadem, przetrząsnął tu wszystkie stare papiery i napisał dość ciekawą broszurkę o okolicznych nazwach. To go zresztą rozpało do tego przedmiotu, bo zdaje się, że ostatnie lata poświęcił pisaniu dzieła o Combray i okolicach. Prześle panu jego broszurę o okolicach Féterne. To praca iście benedyktyńska. Znajdzie pan tam rzeczy bardzo interesujące o naszej starej Raspelière, o której moja teściowa mówi o wiele za skromnie.

— W każdym razie, w tym roku — odparła starsza pani de Cambremer — la Raspelière nie jest już nasza i nie należy do mnie. Ale czuć, że pan ma duszę malarza; powinienby pan rysować: takbym panu chętnie pokazała Féterne, o wiele piękniejsze niż la Raspelière.

Bo, od czasu jak Cambremerowie wynajęli tę posiadłość państwu Verdurin, wspaniałe położenie la Raspelière przestało się im nagle wydawać tem, czem było dla nich przez tyle lat, to znaczy jedyną w okolicy siedzibą mającą widok zarazem na morze i na dolinę; zauważyli w zamian nagle — po czasie — tę niedogodność, że trzeba było wjeżdżać pod górę i zjeżdżać poto aby się tam dostać i wrócić. Krótko mówiąc, możnaby myśleć, że jeżeli pani de Cambremer wynajęła swoją posiadłość, to nie tyle poto aby zwiększyć dochody, ile aby dać odpocząć koniom. I mówiła jaka jest szczęśliwa, że może wreszcie mieć wciąż morze tak blisko w Féterne, ona, która przez tak długi czas (zapominała o dwóch miesiącach spędzanych w Féterne), widziała morze zawsze z góry i jakby w panoramie. „Odkrywam je na starość — mówiła — i tak się tem cieszę! To prawdziwa rozkosz. Wynajęłabym la Raspelière darmo, aby musieć mieszkać w Féterne”.

— Aby wrócić do tematów bardziej interesujących — podjęła siostra Legrandina, która mówiła do starej margrabiny „mamo”, ale z biegiem lat zrobiła się dla niej bardzo niegrzeczna — mówił pan o liljach wodnych; przypuszczam, że pan zna te, które malował Claude Monet. Co za geniusz! Interesuje mnie to tem bardziej, że w pobliżu Combray, w okolicy gdzie, jak panu mówiłam, mam majątek...

Ale wolała nie mówić za wiele o Combray.

— A, to z pewnością cykl, o którym mówił nam Elstir, największy malarz współczesny — wykrzyknęła Albertyna, która dotąd się nie odezwała.

— A, widzę, że pani kocha sztukę — wykrzyknęła pani de Cambremer, która z głębokim westchnieniem wciągnęła strumyk śliny.

— Pozwoli mi pani woleć Le Sidanera — rzekł adwokat, uśmiechając się z miną znawcy. Że zaś cenił, lub wiedział iż ceniono niegdyś pewne „zuchwalstwa” Elstira, dodał: — Elstir był utalentowany, należał niemal do awangardy, ale nie wiem czemu przestał trzymać krok, zmarnował życie.

Pani de Cambremer przyznała słuszność adwokatowi co do Elstira, ale, ku wielkiemu zmartwieniu gościa, zrównała Moneta z Le Sidanerem. Nie można powiedzieć, żeby była głupia; kipiła inteligencją, która — czułem to — była mi całkowicie bezużyteczna. Właśnie słońce zniżało się, mewy były teraz żółte, jak lilje na innem płótnie z tej samej serji Moneta. Rzekłem, iż znam ten cykl i dodałem (wciąż naśladowując język jej brata, którego nazwiska nie śmiałem jeszcze wspomnieć), iż bardzo żałuję, że nie przyszło jej na myśl przyjechać raczej wczoraj, bo o tej samej godzinie byłaby mogła podziwiać istne oświetlenie Poussina. Gdyby jakiś normandzki szlachciura, nieznanący Guermantów, powiedział jej że powinna była przyjechać wczoraj, pani de Cambremer-Legrandin wyprostowałaby się z pewnością z obrażoną miną. Ale co się mnie tyczy, mógłbym z nią być o wiele jeszcze poufalszy, i tak znalazłbym w niej jedynie miękka i kwitnącą słodycz; mogłem, w upale tego pięknego popołudnia, kosztować dowoli tego wielkiego kołacza z miodem, jakim pani de Cambremer stawiała się tak rzadko. Kołacz ten zastąpił ptifury, które mi nie przyszło na myśl poczęstować gości. Ale nazwisko *Poussin*, nie uszczuplając grzeczności kobiecie światowej, obudziło protest estetyki. Słyszac je, pani de Cambremer powtórzyła na sześć zawodów, prawie tuż po sobie owo lekkie klaśnięcie językiem, jakim wyraża się dziecku, które właśnie zrobiło jakieś głupstwo, zarazem naganę za to co już zrobiło i zakaz na przyszłość:

— Na Boga, po malarzu takim jak Monet, który jest poprostu geniusz, niechże pan nie wymienia starego majstra bez talentu jak Poussin. Powiem wręcz, że on mi się wydaje najtępszą piłą, jaka istniała pod słońcem. Cóż pan chce, ja nie mogę przecież tego nazwać malarstwem. Monet, Degas, Manet, tak, to są malarze! To bardzo ciekawe —

do dała wlepiając badawcze i zachwycone spojrzenie w mglisty punkt przestrzeni, gdzie spozstrzegła własną myśl — to bardzo ciekawe, dawniej wołałam Maneta. Teraz rozumiem się, podziwiam zawsze Maneta, ale sądzę, że może wolę jeszcze od niego Moneta. Och, katedry!

Wkładała tyleż skrupułu co gorliwości w zaznajomienie mnie z ewolucją własnego smaku. I czuć było, że fazy, przez jakie przeszedł ten smak, były wedle niej nie mniej ważne niż różne etapy samego Moneta. Nie miałem zresztą powodu być dumny z tego że mi zwierzyła swoje entuzjazmy, bo nawet wobec najbardziej ograniczonej prowincjonalnej gąski nie wytrwała pięciu minut bez odczucia tej potrzeby. Kiedy jakaś szlachcianka z Avranche, nie zdolna odróżnić Mozarta od Wagnera, mówiła przy pani de Cambremer: „Nie trafiliśmy w Paryżu na żadną interesującą nowość; byliśmy raz w Opéra-Comique, dawano *Pelleasa i Melisandę*, to okropne”, pani de Cambremer nietylko wrzała w duszy, ale musiała wykrzyknąć: „Ależ jakże, to arcydzieło”, i podejmowała dysputę. Był to może nawyk z Combray, przejęty od sióstr mojej babki, które nazywały to: „walczyć za dobrą sprawę” i lubiły obiady, gdzie co tygodnia musiały bronić swoich bogów, przeciw filistynom. Podobnie pani de Cambremer lubiła sobie „popędzać krew” „użerając się” o sztukę, jak inni o politykę. Broniła Debussy’ego, tak jakby broniła przyjaciółki pomawianej o złe prowadzenie się. Musiała przecież rozumieć, że powiadając: „ale jakże, to arcydzieło”, nie może zaimprovizować u osoby, którą przyprowadzała w ten sposób do porządku, całej ewolucji kultury artystycznej, u której szczytu zgodziłyby się z sobą, nie potrzebując dysputować.

— Muszę zapytać Le Sidanera, co on myśli o Poussinie — rzekł adwokat. — To odludek, mruk, ale ja go umiem pociągnąć za język.

— Zresztą — ciągnęła pani de Cambremer — nienawidzę zachodów słońca, to romantyzm, to opera! Dlatego nie cierpię domu teściowej, z jego południowemi roślinami. Zobacz pan, to wygląda jak park w Monte-Carlo. Wolę raczej pańskie wybrzeże. To smutniejsze, szersze; jest tu mała dróżka, skąd się nie widzi morza. W dżdżyste dni, niema tam nic prócz błota — to cały świat! Podobnie w Wenecji nienawidzę *Canale Grande*, a nie znam nic bardziej wzruszającego jak małe uliczki. Zresztą, to kwestia atmosfery.

— Ale — rzekłem, czując iż jedynym sposobem zrehabilitowania Poussina w oczach pani de Cambremer jest powiadomić ją, że Poussin stał się znów modny — pan Degas upewnia, że nie zna nic równie pięknego jak Poussiny w Chantilly.

— A? Nie znam Poussinów w Chantilly — rzekła pani de Cambremer, która nie chciała być innego zdania niż Degas — ale mogę mówić o tych co są w Luwrze, istne ohydy.

— On je także niezmiernie podziwia.

— Muszę je obejrzeć jeszcze raz. Wszystko to już zatarło mi się trochę w głowie — odparła po chwili milczenia, tak jakby przychylny sąd, jaki miała z pewnością niebawem wydać o Poussinie, miał zależeć nie od biuletynu, który jej właśnie zakomunikowałem, ale od dodatkowego i tym razem ostatecznego zbadania, jakiemu zamierzała poddać Poussina w Luwrze, aby mieć możliwość skorygowania swego sądu. Zadowolając się tem co było początkiem kasacji (bo, o ile jeszcze nie podziwiała Poussina, odroczyła swój wyrok do drugiej sesji) i nie chcąc dłużej trzymać pani de Cambremer na mękach, zwróciłem się do jej teściowej, powiadając że mi tylko służył o cudownych kwiatach w Fêterne. Skromnie zaczęła mówić o ogródku wiejskim, jaki ma koło domu, dokąd co rano biegnie w szlafroku prosto ze swego pokoju nakarmić pawie, wybierać świeżo zniesione jajka, zrywać cynje lub róże, które okalając na stole jajka na śmietanie lub fryturę z ryb, przypominają jej ulubione aleje w ogrodzie.

— Tak, to prawda, że mamy dużo róż — rzekła — nasze rozarium jest prawie za blisko domu, bywają dni, że głowa mnie boli od zapachu. Przyjemniejszy jest taras w la Raspelière, gdzie wiatr przynosi woń róż, ale już mniej odurzającą.

Zwróciłem się do synowej:

— To cały *Pelleas* — rzekłem, aby zadowolić jej zmysł modernizmu — ten zapach róż, wznoszący się aż na taras. W partyturze jest ten zapach tak silny, że ja, który cierpię na *hay-fever* i na *rose-fever*, kichałem za każdym razem, kiedy słyszałem tę scenę.

— Co za arcydzieło *Pelleas* — wykrzyknęła pani de Cambremer — zwarjowana jestem na tym punkcie; poczem, zbliżając się do mnie z gestami dzikiej kobiety odprawiającej zaloty, wspomagając się palcami aby brać urojone nuty, zaczęła nucić coś, co, jak sądzę, było dla niej pożegnaniem Pelleasa, i ciągnęła z gwałtowną natarczywością, tak jakby rzeczą szczególnej wagi było to, aby mi pani de Cambremer przypomniała w tej chwili tę scenę, lub raczej aby mi dowiodła, że ją sobie przypomina. — Sądzę, że to jest jeszcze piękniejsze niż *Parsival* — dodała; bo w *Parsivalu* największym pięknociom towarzyszy jakaś otęcza fraz melodyjnych, tem samem skoro melodyjnych — mniej wartościowych.

— Wiem, że pani jest wielką artystką — rzekłem do starszej pani de Cambremer. Bardzo bym pragnął usłyszeć panią.

Pani de Cambremer-Legrandin zaczęła patrzeć na morze, aby nie brać udziału w rozmowie. Znajdując że to co lubi jej teściowa nie jest muzyką, uważała talent, urojony wedle niej, a w rzeczywistości bardzo wybitny, jaki przyznawano margrabinie, za wirtuozerję bez głębszej wartości. Prawda, że jedyna żyjąca jeszcze uczenica Chopina twierdziła słusznie, że sposób grania, „czucie” mistrza, przeszły za jej pośrednictwem jedynie w panią de Cambremer, ale grać tak jak Chopin było wątpliwą rekomendacją dla siostry Legrandina, która stawiała polskiego muzyka na najniższym szczeblu arcyzmu.

— Och! odlatują — wykrzyknęła Albertyna, pokazując mewy, które, wyzbywając się na chwilę swego kwiatowego incognito, wzbily się wszystkie naraz ku słońcu.

— *Przeszkadzają im chodzić ich skrzydła olbrzymie* — zacytowała pani de Cambremer, myląc mewy z albatrosami.

— Bardzo je lubię, widywałam je w Amsterdamie — rzekła Albertyna. Czują morze, przychodzą oddychać niem nawet poprzez kamienie ulic.

— A, była pani w Holandji, zna pani Ver Meery — spytała apodyktycznie pani de Cambremer, takim tonem, jakby powiedziała: „Zna pani Guermantów”, bo snobizm, zmieniając przedmiot, nie zmienia akcentu. Albertyna odpowiedziała że nie; myślała, że to są jakieś żywe osoby. Ale nie zdradziła się z tem.

— Bardzobym się cieszyła, gdybym mogła zagrać panu — rzekła pani de Cambremer. — Ale pan wie, ja gram tylko rzeczy, które nie interesują już pańskiej generacji. Byłam wychowana w kulcie Chopina — dodała cicho, bo bała się synowej, dla której Chopin nie był muzyką, tem samem grać go dobrze lub źle było określeniem pozbawionem sensu. Uznawała, że teściowa miała technikę, perliste pasaże. „Nikt we mnie nie wmówi, że to jest artystka” — konkludowała pani de Cambremer-Legrandin. Ponieważ uważała się za „awangardzistkę” i glosiła (jedynie w sztuce) że „nigdy dość na lewo”, wyobrażała sobie nietylko że muzyka postępuje ale że postępuję po jednej linii i że Debussy jest rodzajem nad-Wagnera, jeszcze trochę bardziej zaawansowanym niż Wagner. Nie zdawała sobie sprawy, że jeżeli Debussy nie był równie niezawisły od Wagnera jak ona sama miała myśleć za kilka lat (bo zawsze, bądź jak bądź, posługujemy się zdobytą bronią, aby się do reszty wyzwolić od tego kogośmy chwilowo przewyciężyli), starał się jednak po przesycie, jaki zaczynały rodzić utwory zbyt kompletne, gdzie wszystko jest wyrażone — czynić zadość przeciwnej potrzebie. Teorje, rozumie się, popierały chwilowo tę reakcję; teorje podobne tym, które w polityce usprawiedliwiają ustawy przeciw zakonom, wojny wschodnie (zacfane nauczanie, żółte niebezpieczeństwo etc., etc.). Powiadano, że epoka pośpiechu wymaga sztuki pospiesznej, zupełnie tak, jakby mówiono, że przyszła wojna nie może trwać dłużej niż dwa tygodnie, lub że, wskutek kolei żelaznych, ulegną zaniedbaniu ukochane dylizansom zakątki, których modę wszelako auto miało przywrócić. Zalecano nie męczyć uwagi słuchacza, jakgdybyśmy nie rozporządzali rozmaitemi uwagami, tak iż właśnie od artysty zależy obudzić najwyższe ich sfery. Bo ci, co ziewają ze znużenia po dziesięciu wierszach płaskiego artykułu, odbywali co rok podróz do Bayreuth aby usłyszeć *Tetralogję*. Zresztą miał przyjść dzień, kiedy, na jakiś czas, Debussy'ego miano ogłosić równie płytkim jak Massenet, a podrygi Melizandy zepchnąć do rangi podrygów *Manon*. Bo teorje i szkoły, niby mikroby i ciała krwi, pożerają się wzajem i swoją walką stwarzają ciągłość życia. Ale ów czas jeszcze nie przyszedł.

Jak ze zwyczajki na giełdzie korzysta cała partja walorów, tak pewna ilość autorów korzystała z reakcji, bądź że nie zasługiwali na poprzednie lekceważenie, bądź poprostu że byli wprzód jego przedmiotem, co pozwalało powiedzieć coś nowego, biorąc ich w obronę. I zaczęto nawet poszukiwać w przeszłości paru śmiałych talentów, na których reputację

— zdawałoby się — obecny prąd nie powinienby mieć wpływu, ale których nazwisko jeden z nowych mistrzów wspomniał, podobno życzliwie. Często było to dlatego, że wszelki mistrz, choćby jego szkoła miała być najbardziej ekskluzywna, sądzi wedle swego indywidualnego poczucia, oddaje sprawiedliwość talentowi wszędzie gdzie go spotka, a nawet mniej niż talentowi, jakimś szczęśliwemu natchnieniu, które go ujęło niegdyś, które się wiąże z jakimś lubym momentem jego młodości. Innym razem dlatego, że pewni artyści z innej epoki osiągnęli w prostym utworze coś z tego, co do czego mistrz pomału zdał sobie sprawę że on sam chciał tego dokonać. Wówczas widzi w tym starym artyście jakby prekursora; ceni w nim, w zupełnie innej formie, wysiłek chwilowo i częściowo pokrewny. Są fragmenty Turnera w malarstwie Poussina; rytm Flauberta u Monteskiusza. Czasami zresztą te wieści o kulcie mistrza były wynikiem omyłki, zrodzonej niewiedząco jak i obnoszonej wśród jego wiernych. Wówczas cytowane nazwisko korzysta z firmy, pod której protekcją zjawilo się w dobrej chwili; o ile bowiem wybór mistrza płynie ze swobody i z prawdziwego smaku, o tyle szkoły kierują się już tylko doktryną. W ten sposób, duch, idąc swoim zwykłym biegiem, który posuwa się naprzód zygżakiem, zbaczając to w jednym to w drugim kierunku, skierował światło z góry na pewną ilość dzieł, do których potrzeba bądź sprawiedliwości, bądź odnowy, albo gust Debussy'ego, albo jego kaprys, albo jakieś jego słowa, może nigdy nie powiedziane, dołączyły utwory Chopina. Sławione przez znawców cieszących się powszechnym mirem, korzystając z podziwu, jaki budził *Peleas*, odnalazły one nowy blask, i nawet ci, co ich nie słyszeli na nowo, tak pragnęły je polubić, że czynili to mimo woli, chociaż ze złudzeniem swobody. Ale pani de Cambremer-Legrandin spędzała część roku na prowincji. Nawet w Paryżu, będąc przeważnie chora, dużo przebywała u siebie. Brak ten odbijał się naprawdę zwłaszcza w doborze wyrażań, które się pani de Cambremer wydawały modne, a które byłyby odpowiedniejsze w języku pisanym; odcień, którego nie czuła, bo raczej czerpała te wyrażenia z lektury niż z rozmowy. Rozmowa jest potrzebna nie tyle dla ścisłego poznania poglądów, co dla znajomości nowego słownictwa. Bądź co bądź, to odmłodzenie „nokturnów” nie było jeszcze obwieszczone przez krytykę. Nowina o niem rozeszła się jedynie przez rozmowy „młodych”. Pani de Cambremer-Legrandin nie wiedziała tego. Zrobiłem sobie tę przyjemność, aby ją uświadomić, ale zwracając się z tem do teściowej (jak kiedy na bilardzie, aby dosięgnąć kulę, gra się na bandę), że Chopin nie tylko nie jest niemodny, ale jest ulubionym muzykiem Debussy'ego. „O, to zabawne”, rzekła z porozumiewawczym uśmiechem synowa, tak jakby to był jedynie paradoks rzucony przez autora *Peleasa*. Niemniej było teraz pewne, że będzie już słuchała Chopina z szacunkiem, a nawet z przyjemnością. Toteż moje słowa, wybijając godzinę wyzwolenia dla starej margrabiny, sprowadziły na jej twarz wyraz wdzięczności a zwłaszcza radości. Oczy jej zabłysły jak oczy Latude'a w sztuce pod tytułem *Latude albo trzydzieści pięć lat więzienia*, a pierś jej odetchnęła wiatrem od morza z ową głębią, jaką Beethoven tak dobrze oddał w *Fideliu*, kiedy jeńcy oddychają wreszcie „ożywcem powietrzem”. Co do niej samej, sądziłem, że złoży na moim policzku swoje wąsate wargi. „Jakto, pan lubi Chopina? On lubi Chopina, on lubi Chopina”, wykrzyknęła namiętnie i przez nos, tak jakby powiedział: „Jakto, pan zna także panią de Franquetot?” z tą różnicą, że moje stosunki z panią de Franquetot byłyby jej głęboko obojętne, podczas gdy moja znajomość Chopina wtrąciła ją w rodzaj artystycznej ekstazy. Hipersekrecja gruczołów ślinowych nie wystarczała już. Nie próbując nawet zrozumieć roli Debussy'ego w odrodzeniu Chopina, uczuła tylko, że mój sąd jest przychylny. Ogarnął ją entuzjazm muzyczny. „Elodjo! Elodjo! on lubi Chopina?” — piersi jej wzdęły się, zatrzepotała rękami. „Och, ja to zaraz uczulam, że pan jest muzyk w duszy — wykrzyknęła. Ja rozumiem, pan, taki hhartysta, że pan to kocha. To takie piękne!” I głos jej stał się tak żwirowaty, jak gdyby, dla wyrażenia zapału dla Chopina, napelniła, wzorem Demostenesa, usta wszystkimi kamykami całej plaży. Wreszcie nastąpił odpływ, sięgając aż do woalki, której margrabina nie miała czasu zabezpieczyć i która zwilgła, poczem margrabina haftowaną chusteczką otarła ślinę, którą zrosiło jej wąsy wspomnienie Chopina.

— Mój Boże — rzekła pani de Cambremer-Legrandin — zdaje mi się, że mama zasiaduje się trochę zbyt długo; zapomina mama, że będziemy dziś mieli na obiedzie wuja de Ch'nouvelle. A przytem Cancan nie lubi czekać.



Cancan pozostał dla mnie niezrozumiały, myślałem, że chodzi może o psa. Ale co się tyczy kuzynów de Ch'nouville, było tak. Z wiekiem osłabła u młodej margrabinie przyjemność, jaką znajdowała w tem aby ich nazwisko wymawiać w ten sposób. A jednak jeżeli niegdyś zdecydowała się na swoje małżeństwo, to dlatego, aby kosztować tej przyjemności. W innych grupach światowych, kiedy mówiono o Chenouville'ach, był zwyczaj poświęcać „*e muet*” z partykuły, przynajmniej za każdym razem kiedy partykułę *de* poprzedzało słowo kończące się samogłoską, w przeciwnym razie bowiem musiało się położyć nacisk na *de*, ile że język sprzeciwia się wymowie *Madam' d' Ch'nonceaux*. Mówiło się: pan d'Chenouville. U Cambremerów tradycja była odmienna, lecz równie despotyczna. W każdym wypadku łykało się nieme *e* nazwiska Chenouville. Czy nazwisko było poprzedzone słowem *mon cousin* czy *ma cousine*, zawsze brzmiało de „Ch'nouville”, a nigdy de Chenouville. (O ojcu tych Chenouville mówiono *notre oncle*, bo mieszkańcy Féterne nie byli na tyle „szykowni”, aby wymawiać „onk”, tak jakby to zrobili Guermantowie, których rozmysłny żargon, znoszący spółgłoski i sfrancuziający obce nazwiska, był równie trudny do zrozumienia jak język starofrancuski lub jakaś nowoczesna gwara). Wszelka osoba wchodząca do rodziny otrzymywała natychmiast w przedmiocie Ch'nouville ostrzeżenie, którego pani Legrandin-Cambremer nie potrzebowała. Jednego dnia, słysząc młodą pannę mówiącą „*ma tante d'Uzai*”, „*mon onk de Rouan*” nie od razu poznała dostojne nazwiska, które przywykła wymawiać *Uzès* i *Rohan*; odczuła zdumienie, zakłopotanie i wstyd człowieka, mającego przed sobą przy stole świeżo wynaleziony przyrząd, którego użytku nie zna i którym nie śmie zacząć jeść. Ale następnego wieczora i nazajutrz powtarzała z zachwytem: „*ma tante d'Uzai*” z owem skasowaniem końcowego *s*, które ją zdumiało wczoraj, ale którego nieznaną wydała się jej obecnie czemś tak gminnym, że kiedy jedna z przyjaciółek wspomniała coś o portrecie księżnej d'Uzès, panna Legrandin odparła jej cierpko i wyniośle: „Mogłabyś choć wymawiać jak się należy: „*Marne d'Uzai*”. Odtąd rozumiała, że na mocy przemiany materij stałych w elementy coraz to subtelniejsze, znaczny i tak chlubnie nabyty majątek ojca, staranne wychowanie, pilnie słuchane wykłady profesorów Caro i Brunetière, koncerty Lamoureux, wszystko to miało się zmienić w parę, aby znaleźć swoją ostateczną sublimację w rozkoszy mówienia kiedyś: „Ciotka d'Uzai”. Nie przeszkadzało to jej planować zachowania stosunków — przynajmniej w pierwszych czasach małżeństwa — nie z pewnymi przyjaciółkami, które lubiła i które zdecydowała się poświęcić, ale z niektórymi innymi, których nie lubiła a którym chciała móc powiedzieć (skoro poto wyszła za mąż:): „Przedstawię cię ciotce d'Uzai”, kiedy zaś przekonała się że ta zażyłość jest nazbyt trudna: „Przedstawię cię ciotce de Ch'nouville”, albo „zaproszę cię na obiad z memi kuzynami Uzai”. Małżeństwo z panem de Cambremer dostarczyło pannie Legrandin sposobności wymawiania pierwszego z tych zdań, ale nie drugiego, gdyż świat, w którym żyli jej teściowie, nie był tym, który sobie wyobrażała i o którym nie przestała marzyć. Toteż, kiedy powiedziawszy mi o Robercie de Saint-Loup (posługując się przytem wyrażeniem Roberta, o ile bowiem ja, rozmawiając z panią de Cambremer, używałem zwrotów Legrandina, ona, mocą odwrotnej sugestji, odpowiadała mi w dżalekcie Roberta, nie wiedząc że ten dżalekt przejęty jest od Racheli), zbliżając wielki palec do wskazującego i mrużąc oczy tak jakby oglądała coś nieskończenie delikatnego, co zdołała pochwycić, rzekła: „Ma ładny gatunek inteligencji”, wyśpiewała jego panegiryk z takim zapalem, że można było przypuszczać, iż jest w nim zakochana (utrzymywano zresztą, że niegdyś, w czasach Doncières, Robert był jej kochankiem); w rzeczywistości zaś jedynie poto, abym mu to powtórzył i aby skończyć słowami:

— Pan jest bardzo blisko z księżną Orianą. Ja jestem cierpiąca, prawie nie bywam, a wiem że ona żyje w ścisłym kółku dobranych przyjaciół, co bardzo aprobuję, toteż znam ją raczej mało, ale wiem, że to jest kobieta zupełnie niepospolita.

Wiedząc, że pani de Cambremer ledwo zna księżnę, chcąc się uczynić równie maleńki jak ona, prześlizgnąłem się nad tym tematem i odrzekłem margrabinie, że znałem zwłaszcza jej brata, pana Legrandin. Na to nazwisko przybrała ten sam wymijający ton jakim ja mówiłem o pani de Guermantes, ale z odcieniem niezadowolenia, bo przypuszczała, że ja to mówię poto żeby poniżyć nie siebie lecz ją. Czy ją żarła rozpacz, że jest z domu Legrandin? Tak przynajmniej twierdziły siostry i szwagierki jej męża, szlachcianki z prowincji, nie znające nikogo i nie wiedzące nic, zazdroszczące pani de Cambremer inteligencji,

wykształcenia, majątku i wdzięków, które miała zanim zaczęła chorować. „Ona nie myśli o niczym innym, to ją zabija”, powtarzały na prawo i lewo te żmijki, mówiąc o pani de Cambremer, zwłaszcza zaś mówiąc o niej z „plebejuszem”, bądź aby, o ile był głupi i nadęty, podkreślić całą hańbę braku urodzenia oraz swoją uprzejmość, bądź też, jeżeli był inteligentny i nieśmiały i brał to do siebie, aby mieć przyjemność, mimo iż przyjmując go dobrze, zrobienia mu pośrednio impertynencji. Ale co się tyczy bratowej, te damy myliły się. Pani de Cambremer nie cierpiała wcale nad tem że jest z domu Legrandin, bo prosto zapomniała o tem. Uraziło ją, że jej to przypomniałem, i zamilkła tak jakby mnie nie rozumiała, nie uważając za potrzebne sprawdzać ani potwierdzać moich wspomnień.

— Kuzynostwo nie są główną przyczyną naszego pośpiechu — rzekła starsza pani de Cambremer, która była prawdopodobnie mniej od synowej czuła na przyjemność wymawiania „Ch’nouvelle”. — Ale, aby pana nie męczyć zbyt licznym towarzystwem, nasz gość — rzekła wskazując na adwokata — nie śmiał przyprowadzić tutaj żony i syna. Przechadzają się po plaży czekając na nas i zaczynają się zapewne nudzić.

Kazałem ich sobie dokładnie opisać i pobiegłem ich szukać. Żona miała twarz okrągłą jak niektóre kwiaty z rodziny jaskrowatych i dość duże znamię pod okiem. A że pokolenia ludzi zachowują swoje cechy jak gatunek roślin, ten sam znak, który mógłby pomóc do sklasyfikowania odmiany, wzdymał się pod okiem syna. Moja uprzejmość dla jego rodziny wzruszyła adwokata. Zainteresował się moim pobytem w Balbec. „Musi się pan czuć trochę nieswojo, bo tu są po największej części cudzoziemcy”. Mówiąc tak, przyglądał mi się bystro, bo nie lubiąc cudzoziemców, mimo że miał wśród nich wielu klientów, chciał się upewnić, czy ja nie jestem wrogi jego ksenofobji, w którym-to wypadku wycofałby się, mówiąc: „Oczywiście, pani X może być uroczą kobietą... To kwestja poglądów”. Nie mając w owej epoce żadnej opinji o cudzoziemcach, nie zaprzeczyłem; adwokat uczuł się tedy na bezpiecznym gruncie. Posunął się tak daleko, że mnie zaprosił, abym kiedy przyszedł w Paryżu obejrzeć jego kolekcję Le Sidanera i abym z sobą ściągnął państwa de Cambremer (widocznie uważał mnie za ich bliskiego znajomego). „Zaproszę pana razem z Le Sidanerem — rzekł, przekonany, że ja będę żył odtąd nadzieją tego szczęsnego dnia. Zobacz pan, co to za uroczy człowiek. I jego obrazy zachwycą pana. Rozumie się, że ja nie mogę rywalizować z wielkimi kolekcjonerami, ale sądzę że mam większość jego najlepszych płócien. To pana zainteresuje, zwłaszcza bezpośrednio po Balbec, bo to są motywy morskie, przynajmniej w znacznej części”.

Żona i syn adwokata, obdarzeni roślinną biernością, słuchali z nabożeństwem. Czuć było, że w Paryżu ich dom jest świątynią Le Sidanera. Tego rodzaju świątynie mają swoją użyteczność. Kiedy bożyszczce ma wątpliwości co do samego siebie, łatwo zatyka szczeliny własnej opinji o sobie nie zaprzeczonemi świadectwami istot, które poświęciły życie jego dziełu.

Na znak synowej, pani de Cambremer wstała, mówiąc do mnie:

— Skoro pan nie chce zamieszkać w Féterne, czy pan nie zechciałby choć wpaść kóregoś dnia na śniadanie, jutro naprzykład?

I w swojej rozlewności, aby mnie skłonić, dodała: „*Odnajdzie* pan hrabiego de Crise-noy”, którego wcale nie zgubiłem, z tej prostej przyczyny że go nie znałem. Stara margrabina zaczynała błyskać przed moimi oczami innymi jeszcze pokusami, ale urwała nagle. Prezydent sądu, który wracając, dowiedział się, że pani de Cambremer jest w hotelu, szukał jej potajemnie wszędzie; później zaczął się i udając że ją spotyka przypadkiem, podszedł aby się przywitać. Zrozumiałem, że pani de Cambremer nie ma zamiaru obejmować prezydenta zaproszeniem. Znał ją wszakże o wiele dłużej niż ja, będąc od wielu lat stałym gościem podwieczorków w Féterne, których mu tak zazdrościłem za pierwszego pobytu. Ale dawność nie jest wszystkim dla ludzi światowych. Chętniej chowają swoje śniadania dla nowych znajomych, podniecających jeszcze ich ciekawość, zwłaszcza kiedy ich poprzedza przemożna i ciepła rekomendacja, jak w tym wypadku Roberta de Saint-Loup. Pani de Cambremer przyjęła ze pewnością, że prezydent nie słyszał jej słów zwróconych do mnie; ale, aby uśmierzyć swoje wyrzuty, była dlań nadzwyczaj uprzejma.

W blasku, który topił na horyzoncie pożłociste, zazwyczaj niewidoczne wybrzeże Rivelle, rozpoznaliśmy, ledwie oderwane od promiennego lazuru, wstające z wód różowe, srebrne, nieuchwytnie dzwonki, dzwoniące na Anioł Pański w pobliżu Féterne. — To jest także dosyć „Peleas” — rzekłem do pani de Cambremer-Legrandin. Wie pani

scenę, o której myślę. — Rozumie się, że wiem — odparła; — ale „wcale nie wiem” mówiły jej głos i jej twarz, nie dostrojone do żadnego wspomnienia, jak i uśmiech zawisły w powietrzu. Starsza dama nie mogła się uspokoić, że dzwonki słychać aż tutaj, i wstała przypomniawszy sobie że jest już późno.

— W istocie — rzekłem — zazwyczaj z Balbec nie widzi się tego wybrzeża i nie słyszy się go również. Musiała się pogoda odmienić i w dwójnasób poszerzyć horyzont. Chyba że te dzwonki przychodzą tu po panie, bo widzę że skłaniają panie do odjazdu, są dla pań dzwonkiem obiadowym.

Prezydent, mało wrażliwy na dzwony, patrzył ukradkiem na digę, zrozpaczony że tego wieczora jest tak wyludniona.

— Jest pan prawdziwy poeta — rzekła do mnie pani de Cambremer. — Czuć w panu coś tak wibrującego, tak artystycznego; niech pan przyjedzie, zagram panu Chopina — dodała, podnosząc ręce w ekstazie i mówiąc chrapliwym głosem, jakby ktoś przesypanywał żwir. Potem nastąpiło połknięcie śliny i stara dama instynktownie otarła chustką lekką szczołeczkę swoich amerykańskich wąsików. Prezydent oddał mi niechętnie wielką przysługę, biorąc margrabinę pod ramię, aby ją zaprowadzić do powozu, z pewną dozą rubasności, śmiałości i ostentacji, dyktującą mu wzięcie, na które nie odważyliby się inni, a które w wielkim świecie bywa dość mile widziane. Był zresztą, od tylu lat, o wiele bardziej obyty odemnie. Błogosławiąc go, nie śmiałem go naśladować i siedłem obok pani de Cambremer-Legrandin; zapragnęła obejrzeć książkę, którą trzymałem. Widząc nazwisko pani de Sévigné, skrzywiła się; zaczęła, posługując się słowem wyczytanym w pewnych dziennikach, ale które, użyte w tej kombinacji, w zastosowaniu do pisarza z XVII wieku, robiło dziwne wrażenie, spytała: — Czy pan naprawdę uważa, że to jest ktoś? — Margrabina dała lokajowi adres cukierni, dokąd miała wstąpić, zanim ruszyli drogą różową od wieczornego kurzu, w którym błękitniały niby zady końskie wybrzuzszenia skał. Spytała starego stangreta, czy jeden koń, skłonny do przebiegów jest ciepło okryty, czy podkova drugiego nie uwiera. „Napiszę do pana w sprawie o którejśmymy mówili — rzekła półgłosem. Widziałam, że pan rozmawiał o literaturze z synową, ona jest urocza” — dodała, mimo że nie myślała tego, ale przywykła i zachowała przez dobroć to przyzwyczajenie — mówić to, aby nie wyglądało, że jej syn ożenił się dla pieniędzy. „A przytem — dodała margrabina entuzjastycznie żując te ostatnie słowa — ona jest taka hhhartystka!” Poczem wsiadła do powozu, kiwając głową, podnosząc pastorał parasolki, i ruszyła przez ulice Balbec, przeciążona ornamentami swego kapłaństwa, niby stary biskup na objeździe pasterskim.

— Zaprosiła pana na śniadanie — rzekł do mnie surowo prezydent, kiedy powóz się oddalił a ja wracałem w dziewczętami. Jesteśmy z sobą trochę chłodno. Ona uważa, że ja ją zaniedbuję. Ba, ja jestem człowiek łatwy w pożyciu. Kiedy mnie ktoś potrzebuje, zawsze jestem gotów stanąć do apelu. Ale oni chcieli wziąć mnie za łeb. Och, wówczas — dodał z wiele mówiącą miną, podnosząc palec jak ktoś kto waży każde słowo — hola, to nie ze mną. Toby był zamach na swobodę moich wywczasów. Musiałem powiedzieć: „Stop!” Pan jest, zdaje się, z nią bardzo dobrze. Kiedy pan będziesz w moim wieku, zobaczysz pan, że świat, to bardzo niewiele, i będziesz żałował, żeś przywiązywał tyle wagi do tych głupstw. No, idę się trochę przejść przed obiadem. Bywajcie, dzieci — krzyknął, tak jakby już był o pięćdziesiąt kroków.

Kiedym się pożegnał z Rozamondą i z Gizelą, ujrzały ze zdziwieniem, że Albertyna zatrzymała się i nie idzie z niemi. — Albertyno, co ty tam robisz, wiesz która jest godzina? — Wracajcie — odrzekła z powagą. — Ja mam do pomówienia z nim — dodała, wskazując na mnie z pokorną miną. Rozamonda i Gizela popatrzały na mnie, jakby zdjęte nowym szacunkiem. Cieszyłem się świadomością, że bodaj na chwilę jestem, w obecności Rozamondy i Gizeli, czemś ważniejszym dla Albertyny, niż godzina powrotu, niż przyjaciółki, i że mogę nawet mieć z nią ważne sekrety, w które niepodobna byłoby ich wtajemniczyć. — Czy nie ujrzymy cię dziś wieczór? — Nie wiem, to będzie zależało od niego. W każdym razie, do jutra.

— Chodźmy do mojego pokoju — rzekłem, kiedy się przyjaciółki oddaliły. Wsiadliśmy do windy, Albertyna zachowała przy lift-boyu milczenie. Konieczność uciekania się do osobistej obserwacji i do dedukcji, aby poznać drobne sprawy „państwa”, owych szczególnych ludzi, którzy rozmawiają między sobą a nie mówią do nich, rozwija u „pra-

owników” (jak *lift* nazywał służbę) większą zdolność odgadywania myśli niż u „pryncypałów”. Narządy zanikają albo stają się silniejsze lub subtelniejsze wedle tego czy ich potrzeba rośnie lub maleje. Od czasu jak istnieją koleje żelazne, obawa spóźnienia się na pociąg nauczyła nas liczyć się z minutami, gdy u dawnych Rzymian, u których nietylko astronomia była mniej dokładna ale życie mniej pospieszne, pojęcie już nie minut, ale nawet stałych godzin zaledwie że istniało. Toteż *lift* zrozumiał (i myślał opowiedzieć to swoim kolegom), żeśmy byli oboje z Albertyną mocno zaabsorbowani. Ale mówił do nas bez przerwy, bo zbywało mu taktu. Równocześnie widziałem na jego twarzy, w miejsce zwykłych oznak sympatii i radości że mnie wiezie windą, wyraz niezwyklego przygnębienia i niepokoju. Ponieważ nie znałem przyczyny, tedy, chcąc go wyrwać z tego nastroju (mimo że bardziej zajęty byłem Albertyną), pouczyłem go, że dama, która właśnie odjechała, nazywa się margrabina de Cambremer a nie Camembert. Na piętrze które mijaliśmy w tej chwili, spostrzegłem niosącą wałek do łóżka szpetną pokojówkę, która mi się ukloniła z szacunkiem, w nadziei napiwku przy odjeździe. Byłbym rad wiedzieć, czy to jest ta, której tak pragnąłem w ów pierwszy wieczór w Balbec; ale nigdy nie mogłem się dowiedzieć na pewno. Lift przysiągł mi, że zwykłą szczerością fałszywych świadków, ale nie porzucając stroskanej miny, że jednak margrabina podała nazwisko Camembert. I prawdę mówiąc, dość naturalne było, że on usłyszał nazwisko już mu znane. Ponieważ zarazem miał o szlacheństwie i o charakterze nazw z których się tworzą tytuły, pojęcia bardzo mętne, wspólne wielu osobom nawet będącym czemś więcej niż chłopiec od windy, nazwisko Camembert wydało mu się tem prawdopodobniejsze; ten ser jest powszechnie znany, nie było tedy nic dziwnego, że związane margrabstwo z tak zaszczytną sławą — o ile nie margrabstwo użyczyło sławy serowi. Mimo to, ponieważ widział że ja nie chcę wyglądać na człowieka który się omylił i ponieważ wiedział że panowie lubią aby słuchano ich najbliższych kaprysów i przyjmowano ich najoczywistsze kłamstwa, przyrzekł mi, jako dobry sługa, mówić na przyszłość *Cambremer*. Prawda, że żaden kupiec w mieście, ani żaden wieśniak w okolicy, gdzie nazwisko i osoba Cambremerów były doskonale znane, nie mogliby podzielić omyłki tego lift-boya. Ale personel *Grand-Hotel de Balbec* nie składał się bynajmniej z tubylców. Przybywał w prostej linii, wraz z całym materiałem, z Biarritz, z Nizy i z Monte-Carlo, przyczem jedną część kierowano do Deauville, drugą do Dinard, a trzecią zachowywano dla Balbec.

Ale bolesny niepokój lift-boya rósł. Na to aby zapomniał objawiać mi swoje oddanie zwykłymi uśmiechami, musiało mu się wydarzyć jakieś nieszczęście. Może go oddalono? W takim wypadku przyrzekłem sobie postarać się aby go zatrzymano, bo dyrektor obiecał mi ratyfikować wszystko co postanowię w sprawie personelu. „Może pan robić co pan zechce, rektyfikuję to zgóry”. Naraz, kiedym miał wysiąść, zrozumiałem rozpacz, przybitą minę chłopca. Wskutek obecności Albertyny, nie dałem mu pięciu franków, które wręczałem mu zwykle, wsiadając do windy. I ten głuptas, zamiast zrozumieć że ja nie chcę przy trzeciej osobie popisywać się napiwkami, zaczął drżeć, przypuszczając, że to już skończone raz na zawsze, że już mu nie dam nigdy nic. Wyobrażał sobie, że popadłem w „mizerję” (jakby powiedział książę Błażej), i to przypuszczenie nie budziło w nim żadnego współczucia dla mnie, ale straszliwy samolubny zawód. Pomyślałem, że byłem mniej niedorzeczny niż uważała matka, kiedy pewnego dnia nie śmiałem cofnąć przesadnie wygórowanej ale gorączkowo oczekiwanej sumy, jaką mu dałem dnia poprzedniego. Zarazem sens, przypisywany dotąd przezemnie (i bez żadnej wątpliwości) stale rozradowanej minie, w której nie wahałem się dojrzeć oznak przywiązania, wydał mi się mniej pewny. Widząc windziarza, gotowego w swojej rozpaczyci rzucić się z piątego piętra, zastanawiałem się, gdyby układ naszych warunków społecznych się zmienił (naprzykład w razie rewolucji), czy zamiast grzecznie dla mnie manewrować windą, *lift*, stawszy się burżujem, nie zrzuciłby mnie z niej, i czy w pewnych klasach nie ma więcej fałszu niż w wielkim świecie, gdzie niewątpliwie chowa się na chwilę naszej nieobecności ujemne sądy o nas, ale gdzie, w razie gdybyśmy popadli w nieszczęście, stosunek do nas nie byłby obelżywy.

Nie można wszelako powiedzieć, aby w całym hotelu w Balbec ten windziarz był najbardziej interesowny. Z tego punktu widzenia personel dzielił się na dwie kategorie; z jednej strony ci, co czynili różnicę między gośćmi, czulsi na umiarkowany napiwek starego szlachcica (zdolnego zresztą zwolnić ich od ćwiczeń wojskowych, dzięki poleceniu

do generała de Beautreillis) niż na przesadną hojność jakiegoś niebieskiego ptaka, zdradzającego tą hojnością brak obycia, który jedynie w jego obecności zwał się „dobrocią”; z drugiej strony ci, dla których szlachectwo, inteligencja, sława, sytuacja, wzięcie, nie istniało — znali jedynie cyfrę. Dla tych istniała tylko jedna hierarchia; pieniądze, które ktoś ma, lub raczej które daje. Może i sam Aimé, mimo iż pretendując — dla wielkiej ilości hotelów w których służywał — do wielkoświatowego obycia, należał do tej kategorii. Co najwyżej zabarwiał on ten typ oceny orientacją socjalną i genealogiczną; gdy naprzykład o księżnej de Luxembourg mówił: „Czy tam jest dużo pieniędzy?” pytajnik ten miał na celu osiągnięcie lub definitywne sprawdzenie informacji, zanim sprokurował klientowi kuchmistrza do Paryża, lub zanim mu zapewnił w Balbec stolik na lewo, przy wejściu, z widokiem na morze. Bądź co bądź, Aimé, nie pozbawiony interesowności, nie byłby jej zdradził głupią rozpaczą jak ów lift-boy.

Zresztą, naiwność chłopca upraszczała może sytuację. To jest wygoda wielkiego hotelu lub zakładu takiego jak ten w którym niegdyś praktykowała Rachel, że bez przejść, na lodowatej dotąd twarzy służącego lub kobiety, widok stufrankówki — tem bardziej tysiącfrankówki — nawet ewentualnie danej komuś innemu, wywołuje uśmiech i gotowość do usług. Naodwrot w polityce, w stosunkach między kochankami, istnieje zbyt wiele rzeczy między pieniądzem a usługą. Tyle, że nawet ci, u których pieniądz budzi w końcu uśmiech, często nie zdolni śledzić wewnętrznego procesu który te rzeczy łączy, uważają się za drażliwszych, stają się drażliwsi. I z tych ceremonij destylują się w końcu formuły: „Wiem, co mi pozostaje uczynić, jutro znajdę mego trupa”. Toteż w eleganckim towarzystwie mało spotyka się powieściopisarzy, poetów, wszystkich tych wspaniałych istot, mówiących właśnie o tem o czem nie należy mówić.

Skorośmy zostali sami i weszli w korytarz, Albertyna rzekła: „Co ty masz przeciwko mnie?” Czy moja brutalność wobec niej była przykra mnie samemu? Może była z mojej strony jedynie nieświadomym podstępem, mającym doprowadzić Albertynę do tej wylękłej i błagalnej postawy, któraby mi pozwoliła poddać ją śledztwu, a może dowiedzieć się, która z moich dwóch oddawna stworzonych hipotez jest prawdziwa. Bądź co bądź, kiedy usłyszałem jej pytanie, uczulem nagły przyływ szczęścia, jak ktoś, kto osiąga oddawna upragnionego celu. Zanim jej odpowiedziałem, doprowadziłem ją aż do drzwi. Otwierając, spowodowałem odpływ różowego światła które wypełniało pokój i biały muślin firanek rozpiętych na wieczorze zmieniało w połyskującą materję koloru jutrzeńki. Podszedłem do okna, mewy znów siedziały na falach, ale teraz były różowe. Pokazałem je Albertynie. „Nie odwracaj rozmowy — rzekła — bądź szczery jak ja”. Skłamałem. Oświadczyłem, że wprzód musi wysłuchać wyznania, wyznania wielkiej miłości jaką żywię od dłuższego czasu do Anny; i dokonałem tego wyznania z prostotą i szczerością godną wielkiego aktora, taką jaką się ma w życiu wyłącznie niemal dla wyrażenia miłości której się nie czuje. Powtarzając kłamstwo, do jakiego się uciekłem z Gilbertą przed pierwszym Balbec, ale odmieniając je nieco, aby tem pewniej przekonać Albertynę o tem że jej nie kocham, posunąłem się do zwierzenia, że niegdyś omal się w niej nie zakochałem, ale że za wiele czasu minęło, że teraz jest już dla mnie tylko dobrym kolegą, i że choćbym chciał, nie umiałbym już wskrzesić w sobie gorętszych dla niej uczuć. Zresztą, upewniając z naciskiem Albertynę o swoim chłodzie, podkreślałem jedynie wyraźniej — z powodu specjalnej okoliczności i dla specjalnego celu — i zaznaczałem silniej ów dwoiśty rytm, jaki przybiera miłość u wszystkich tych, którzy zbyt mało ufają sobie na to by wierzyć że kobieta mogłaby ich kiedy pokochać, a także aby oni sami mogli pokochać prawdziwie. Znają siebie samych na tyle, aby wiedzieć, że przy najróżniejszych kobietach doznawali tych samych nadziei, tych samych lęków, wymyślali te same romanse, wymawiali te same słowa; zarazem zdają sobie sprawę, że ich uczucia i postęпки nie są w ścisłym i koniecznym związku z ukochaną kobietą, ale przechodzą obok niej, obryzgują ją, opływają ją tak jak fala oblewa skały, a uczucie własnej niestałości zwiększa w nich jeszcze niewiarę w miłość tej kobiety, której miłości takby pragnęli. Skoro ona jest tylko prostym przypadkiem który się znalazł w sferze naszych pragnień, czemu przypadek miałby sprawić abyśmy wzajem byli celem jej pragnień? Toteż, odczuwając potrzebę wylania na nią wszystkich uczuć, tak różnych od uczuć poprostu ludzkich jakie budzi w nas bliźni, tych uczuć tak swoistych jakimi są uczucia miłosne, uczyniwszy krok naprzód, wyznając tej którą kochamy naszą tkliwość, nasze nadzieje, tuż potem, lękając się ją zra-

zić, zawstydzeni też poczuciem że język jakim do niej mówimy nie zrodził się umyślnie dla niej, że już nam służył i będzie służył dla innych, że o ile ona nas nie kocha, nie może nas zrozumieć i w takim razie mówiliśmy z brakiem smaku i bezwstydem pedanta produkującego wobec nieuków niedostępne im subtelności, ta obawa, ten wstyd, sprowadzają ów kontr-rytm, odpływ, potrzebę podjęcia znów ofensywy — choćby cofając się wstecz, odbierając gwałtownie uprzednio wyznaną sympatię — potrzebę odzyskania szacunku, władzy; podwójny rytm przejawia się w rozmaitych okresach tej samej miłości, we wszystkich analogicznych okresach miłości pokrewnych sobie, u wszystkich istot, które się bardziej analizują niż cenią. Ale jeżeli ów rytm był nieco silniej zaakcentowany niż bywa zazwyczaj w rozmowie takiej jak obecna moja z Albertyną, to poprostu dlatego, aby mi pozwolić szybciej i energiczniej przejść do przeciwnego rytmu, któryby skandowała moja czułość.

Jakgdyby Albertynie było trudno uwierzyć w to com mówił o mojej niemożności pokochania jej na nowo z powodu zbyt długiej przerwy, popierałem to, com nazywał dziwactwem swego charakteru, przykładami zaczerpniętymi z osób, z którymi, z ich czy ze swojej winy, przepuściłem godzinę zakochania się, nie mogąc, mimo najszczerzej chęci, odnaleźć jej później. Robiło to wrażenie równocześnie że się tłumaczę — niby z niegrzeczności — z tej niezdolności pokochania Albertyny na nowo, i że się jej staram uprzytomnić psychologiczne racje tego, jakby swoiste dla mnie. Ale tłumacząc się w ten sposób, omawiając obszernie stosunek z Gilbertą, z którą było w istocie ścisłą prawdą to, co było tak mało podobne do prawdy w stosunku do Albertyny, czyniłem jedynie swoje zapewnienia w równym stopniu prawdopodobnymi, w jakim udawałem iż powątpiewam o ich prawdopodobieństwie. Czując iż Albertyna ocenia to, co uważała za moją „otwartość” i uznaje oczywistość moich wywodów, przeproszałem ją za ową otwartość, mówiąc że wiem iż człowiek zawsze jest niemily kiedy mówi prawdę i że ta prawda musi się jej zresztą wydawać niezrozumiała. Podziękowała mi przeciwnie za szczerość i dodała, że doskonale rozumie tak częsty i naturalny stan ducha.

Uczyniwszy to wyznanie urojonych uczuć dla Anny, obojętności zaś dla Albertyny, aby się wydać całkiem szczerym i naturalnym, upewniłem ją nawiasem, jakby przez grzeczność, że nie należy tej obojętności brać zbyt dosłownie; poczem mogłem wreszcie, bez obawy zdradzenia Albertynie mojej miłości, mówić do niej ze słodyczą, której wzbraniałem sobie od tak dawna. To było rozkoszne. Niemal pieściłem swoją powiernicę; kiedyś jej mówił o tej którą rzekomo kochałem, lży nabiegały mi do oczu. Ale przechodząc do faktu, powiedziałem wreszcie Albertynie, że wie co to jest miłość, jej podejrzliwości, cierpienia, i że, jako mojej dawnej przyjaciółce, zależałoby jej może na tem, aby położyć koniec zgrzyzotom jakie mi sprawia, nie wprost, skoro nie ją kocham (o ile mi to wolno powtórzyć bez urażenia jej), ale pośrednio, godząc w moją miłość do Anny. Przerwałem, aby podziwiać i pokazać Albertynie wielkiego samotnego i spieszącego się ptaka, który w oddali, smagając powietrze regularnem biciem skrzydeł, leciał z całą chyżością ponad plażą upstrzoną blaskami podobnymi do podartych kawałeczków czerwonego papieru, i przebywał ją nie zwalniając lotu, nie odwracając uwagi, nie zbaczając z drogi, niby wysłannik niosący bardzo daleko pilne i ważne zlecenie. „On przynajmniej idzie prosto do celu!” rzekła Albertyna z akcentem wyrzutu.

— Mówisz tak, bo nie wiesz, cobym ci chciał powiedzieć. Ale to jest takie trudne, że wolę raczej poniechać tego; jestem pewien, żebyś się pogniewała; wówczas zyskam tylko tyle że się w niczem nie zbliżę do szczęścia z tą którą kocham, a stracę dobrą przyjaciółkę.

— Ale skoro ci przysięgam, że się nie pogniewam.

Miała minę tak słodką, tak smutno uległą i oczekującą odemnie szczęścia, że ledwo mogłem się wstrzymać aby nie ucałować — z tym samym prawie rodzajem przyjemności, jaki miałbym całując matkę — tej nowej twarzy, nie wabiącej już ożywioną i zarumienioną minką krnąbrnej i przewrotnej kotki o różowym i zadartym nosku, ale uderzającej pełnią przygnębienia i smutku, rozplywającą się szerokimi falami dobroci. Patrząc na Albertynę w oderwaniu od swojej miłości, jako od chronicznego szaleństwa nie mającego z nią związku, stawiając się na jej miejscu, z rozczuleniem patrzyłem na tę pocziwą dziewczynę, nawykłą do tego aby z nią postępowano przyjaźnie i lojalnie, a którą ja, ów dobry kolega jakiego miała prawo się we mnie spodziewać, dręczyłem od całych tygodni, dochodząc w tem wreszcie szczytu. I przez to że brałem rzeczy z czysto ludzkiego

punktu, będącego poza nami dwojgiem i w którym moja zazdrosna miłość znikła, czułem głęboką litość, która byłaby mniej głęboka, gdybym nie kochał Albertyny. Zresztą, w rytmicznej oscylacji, wiodącej od wyznań do kłótni (najpewniejszy, najskuteczniej niebezpieczny sposób, aby, zapomocą sprzecznych i kolejnych poruszeń, stworzyć węzeł nie do rozwiązania, wiążący nas trwale z jakąś osobą), we wstecznym ruchu stanowiącym jeden z dwóch elementów rytmu, poco rozróżnić jeszcze odpływy ludzkiego współczucia, które, przeciwstawione miłości, mimo że mające może nieświadomie tę samą przyczynę, wydaje w każdym razie te same skutki? Przypominając sobie później wszystko cośmy zrobili dla kobiety, zdajemy sobie często sprawę, że postęпки natchnione chęcią okazania że się kocha, zyskania miłości, zdobycia jej dowodów, zajmują bodaj że nie więcej miejsca niż postęпки wynikłe z ludzkiej potrzeby naprawienia win względem ukochanej istoty, przez prosty moralny obowiązek, tak jakby się jej nie kochało.

„Ale, ostatecznie, co ja takiego zrobiłam?” pytała Albertyna. Zapukał ktoś, to był chłopiec od windy; ciotka Albertyny, przejeżdżając koło hotelu, zatrzymała się na wszelki wypadek, aby zobaczyć czy jej niema i zabrać ją. Albertyna kazała powiedzieć, że nie może zejść, żeby siadano do stołu nie czekając na nią; nie wie, o której wróci. „Ale ciotka się pogniewa? — Cóż znowu! Zrozumie wybornie”. Tak więc — w tej chwili przynajmniej, chwili która się może nie powtórzy — rozmowa ze mną stawała się dla Albertyny czemś tak oczywiście ważnym, że przesłaniała wszystko inne. Co więcej, Albertyna — z pewnością instynktownie streszczając kanony familijnego kodeksu, przypominając sobie okoliczności, w których, kiedy karjera pana Bontemps była w grze, nie żalowano na jakąś podróż — nie wątpiła, że to pogwałcenie godziny obiadu wyda się ciotce całkiem naturalne. Tę odległą godzinę, którą spędzała bezemnie, wśród swoich, Albertyna zbliżyła do mnie, oddawała mi ją: mogłem nią rozporządzać.

Odważyłem się wreszcie zwierzyć Albertynie, co mi mówiono o jej sposobie życia. Mimo głębokiego wstrętu (rzekłem), jaki we mnie budzą kobiety dotknięte tą przywarą, nie troszczyłem się o to, aż do chwili gdy mi wymieniono jej współniczkę; wobec mojej miłości do Anny, może pojąć, jaki mi to ból sprawiło! Byłoby może zręcznie powiedzieć, że mi cytowano również inne kobiety, które mi były obojętne. Ale nagle i straszliwa rewelacja, zawarta w słowach profesora Cottard, wniknęła we mnie aby mnie rozedrzeć, całkowicie, ale nic poza nią. I tak jak przedtem, gdyby Cottard nie zwrócił mi uwagi na ich sposób tańczenia walca, nigdy samo z siebie nie przyszłoby mi na myśl, że Albertyna mogłaby kochać Annę, lub bodaj mogłaby się z nią oddawać pieszczotom, tak samo nie umiałem przejść od tej myśli do innej — dla mnie tak różnej — że Albertyna mogłaby mieć, poza Anną, z innymi kobietami stosunki, nawet nie usprawiedliwione miłością. Albertyna — zanim mi jeszcze przysięgła że to nieprawda — objawiła — jak każda osoba która się dowie że coś takiego o niej mówiono — gniew, zmartwienie, w stosunku zaś do nieznanego oszczercy zajadłą ciekawość dowiedzenia się kto to taki, oraz chęć konfrontacji z nim, aby go móc pognać. Ale upewniła mnie, że — do mnie przynajmniej — nie ma żalu: „Gdyby to była prawda, przyznałabym się. Ale obie z Anną mamy jednaki wstręt do takich rzeczy. Oczywiście, że w naszym wieku zdarzało się nam spotkać kobiety z krótkimi włosami, z męskim wzięciem i skłonnościami takimi jak mówisz; otóż nic nas tak nie brzydzi”. Albertyna dawała mi tylko swoje słowo, słowo stanowcze, choć nie poparte dowodami. Ale to właśnie mogło mnie najlepiej uspokoić; zazdrość bowiem jest z rodziny owych chorobliwych wątpliwości, które o wiele skuteczniej leczy energia zapewnienia, niż ich prawdopodobieństwo. Cechą zresztą miłości jest, że czyni nas równocześnie nieufniejszymi i łatwowierniejszymi; każe nam podejrzewać — łatwiej niż każdą inną — kobietę którą kochamy, i także łatwiej uwierzyć jej przeczeniom. Trzeba kochać, aby się dręczyć tem że istnieją nietylko uczciwe kobiety, to znaczy aby to spostrzec; i trzeba kochać, aby pragnąć ich istnienia, czyli uwierzyć w ich istnienie. Ludzką rzeczą jest szukać bólu i natychmiast się z niego wyzwalać. Słowa zdolne to osiągnąć łatwo wydają się nam prawdą; nie mędrkuje się nad kojącym środkiem który działa. A potem, choćby istota, którą kochamy, była najbardziej złożona, może bądź co bądź ujawnić nam dwie zasadnicze osobowości, zależnie od tego, czy się nam objawi jako nasza, czy jako zwracająca swoje pragnienia w inną stronę. Pierwsza z tych osobowości posiada swoistą władzę, nie pozwalającą nam wierzyć w realność drugiej, specyficzny sekret kojenia cierpień, jakie ta druga sprawiła. Ukochana istota jest kolejno chorobą i lekiem, który usuwa

i pogarsza chorobę. Bez wątpienia, oddawna, siłą wpływu jaki przykład Swanna wywierał na moją wyobraźnię i zdolność czucia, byłem przygotowany do wierzenia w to czegom się lękał, raczej niż w to czegobym pragnął. Toteż fakt że mi sobie przypomniał historię Odety omal nie udaremnił słodczy słów Albertyny. Ale powiedziałem sobie, że o ile słuszne jest wziąć w rachubę to co najgorsze — nie tylko wtedy, kiedy, aby zrozumieć cierpienia Swanna, próbowałem się postawić na jego miejscu, ale teraz kiedy chodziło o mnie samego, i dociekając prawdy tak jakby chodziło o kogo innego — nie należał jednak, przez okrucieństwo dla samego siebie — niby żołnierz, któryby obrał posterunek nie najużyteczniejszy ale najniebezpieczniejszy — popełniać tego błędu, aby uważać jakąś hipotezę za prawdziwszą od innych, jedynie dlatego że jest najboleśniejsza. Czyż nie istniała przepaść między Albertyną, młodą dziewczyną z niezłej mieszczańskiej rodziny, a Odetą, kokotą sprzedaną dzieckiem przez własną matkę? Niepodobna słowa jednej porównywać ze słowem drugiej. Zresztą Albertyna nie miała tego interesu okłamywania mnie, jaki miała Odeta w stosunku do Swanna. A wreszcie Odeta wyznała Swannowi to, czemu Albertyna właśnie zaprzeczyła! Nie biorąc tedy w rachubę owych różnic faktycznych i odtwarzając istotne życie Albertyny jedynie wedle tego com wiedział o życiu Odety, zrobiłbym błąd logiczny, równie poważny — mimo że odwrotny — jak ów, któryby mnie skłonił do jakiejś hipotezy, dlatego że byłaby mi mniej bolesna. Miałem przed sobą nową Albertynę, widzianą już coprawda kilka razy pod koniec pierwszego pobytu w Balbec, szczerą, dobrą, Albertynę, która przez przywiązanie do mnie przebacza mi podejrzenia i stara się je rozprószyć. Posadziła mnie obok siebie na łóżku. Podziękowałem jej za to co mi powiedziała; upewniłem, że już między nami zgoda i że nigdy nie będę dla niej niedobry. Powiedziałem, że jednak powinna wracać na obiad. Spytała, czy mi nie dobrze tak. Przyciągając moją głowę, w pieszczocie, której mi używała poraz pierwszy i którą zawdzięczałem może naszej minionej zwadzie, przeciągnęła lekko język po moich wargach, starając się je rozchylić. Na początek nie rozwarłem ust. „Jakiś ty złośnik! — rzekła.

Należało mi wyjechać tego wieczora i już jej nigdy nie ujrzeć. Przeczuwałem wówczas, że w miłości niewzajemnej — czyli poprostu w miłości, bo są istoty, dla których miłość wzajemna nie istnieje — można kosztować ze szczęścia jedynie tę złudę, która mi była dana, w jednej z owych chwil, gdy dobroć kobiety, lub jej kaprys, lub przypadek, użyczą naszym pragnieniom — w doskonałej z nimi harmonji — tych samych słów, uczynków, co gdyby nas naprawdę kochała. Najrozsądniej byłoby oglądać z ciekawością, posiadać z rozkoszą ową cząsteczkę szczęścia, bez której umarłbym nie podejrzewając czem ono może być dla serc mniej trudnych lub bardziej uprzywilejowanych; przypuścić, że ta cząsteczka stanowi część rozległego i trwałego szczęścia, które mi się objawiło jedynie w tym punkcie, i aby jutrzejszy dzień nie zniweczył tego złudzenia, nie żądać żadnej łaski, po tej którą zawdzięczałem jedynie kaprynowi wyjątkowej chwili. Powiniennem był opuścić Balbec, zamknąć się w samotności, trwać w niej w harmonji z ostatnimi wibracjami głosu, w który zdołałem na chwilę tchnąć miłość i od którego żądałbym już tylko tego aby się nie zwracał więcej do mnie; z obawy aby nowem słowem, któreby musiało być już odmienne, głos ten nie zmącił dysonansem wymownej ciszy, w której, jakgdyby za pomocą jakiegoś pedału, mogłaby we mnie długo przetrwać tonacja szczęścia.

Uspokojony porozumieniem z Albertyną, zacząłem znów więcej przebywać z matką. Lubiła mi opowiadać serdecznie o czasach gdy babka była młodsza. Bojąc się, abym sobie nie wyrzucał smutków jakimi mogłem zachmurzyć schyłek tego życia, wracała chętnie do lat, gdy moje pierwsze prace sprawiały babce radość, dotychczas mi ukrywaną. Mówiliśmy o Combray. Matka powiedziała, że tam bodaj czytałem, i że w Balbec, o ile nie pracuję, powinienem robić to samo. Odpowiedziałem, że aby się otoczyć właśnie wspomnieniami z Combray i ładnymi malowanymi talerzami, chętniebym odczytał *Tysiąc i jedną noc*. Jak niegdyś w Combray, kiedy mi dawała książki na imieniny, matka sprowadziła w sekrecie — aby mi zrobić niespodziankę — równocześnie *Tysiąc i jedną noc* Gallanda i *Tysiąc nocy i jedną noc* Mardrusa. Rzuciwszy okiem na oba przekłady, matka wolałaby abym się trzymał Gallanda, mimo iż bała się wpływać na mnie przez szacunek dla swobody intelektualnej, z obawy niezręcznego wkroczenia w życie mojej myśli i w poczuciu że, będąc kobietą, z jednej strony nie posiada (jak sądziła) potrzebnej kompetencji literackiej, z drugiej nie powinna sądzić lektury młodego człowieka miarą tego



co razi ją samą. W niektórych opowieściach, na które natrafiła, zgorszyła ją niemoralność przedmiotu i brutalność wyrażen. Ale zwłaszcza, przechowując ze czcią jak relikwie nie tylko broszkę, parasolkę, mantylkę, tomik pani de Sévigné, ale także nawyki, myśli i słowa swojej matki, zastanawiając się w każdej okoliczności co powiedziała by ona, matka nie wątpiła, że sąd babki wypadłby ujemnie dla książki Mardrusa. Przypominała sobie, że w Combray, kiedy, zanim się puściłem w stronę Méséglise, czytałem Augustyna Thierry, babka, zadowolona z moich lektur i spacerów, oburzała się jednak, widząc że ten, którego nazwisko zrosło się z hemistychem „*Puis règne Mérovée*” zowie się tu Merowig; również wzbraniała się zwąc Karolingami Karlowingów, którym pozostała wierna.

Opowiedziałem matce, co babka myślała o imionach greckich, jakie Bloch, w duchu Leconte de Lisle’a, dawał bogom Homera, nakładając sobie, nawet w najprostszych rzeczach, święty obowiązek (sądził iż na tem polega talent literacki) zachowania greckiej ortografii. Mając naprzykład napisać w liście, że wino, które się u niego pija, to istny nektar, pisał po francusku nektar przez *k*, co go uprawniało do drwienia sobie z Lamartine’a. Otóż, jeżeli *Odyseja*, z której wygnano imiona Ulissesa i Minerwy, nie była już dla babki *Odyseją*, coby rzekła, widząc już na okładce zniekształcony tytuł swoich *Tysiąca i jednej nocy*, nie odnajdując już w wiernem brzmieniu, takim w jakim nawykła od niepamiętnych czasów wymawiać, nieśmiertelnie bliskich imion Szeherazady, Dinarzady. Ba, nawet uroczy Kalif i potężni Geniusze, w tej wersji, *odechrzczeni* — jeżeli można użyć tego słowa dla muzułmańskich opowieści — ledwie byli do poznania, jeden nazwany *Kalifat*, a drudzy *Genni*. Jednakże matka wręczyła mi oba dzieła; oświadczyłem, że będę czytał w dniu gdy będę nadto zmęczony aby robić spacer.

Te dni nie były zresztą liczne. Chodziliśmy na podwieczorki jak niegdyś „całą bandą”: Albertyna, jej przyjaciółki i ja, na skały nad morzem albo do fermy *Marie-Antoinette*. Ale zdarzało się, że Albertyna sprawiała mi wielką przyjemność, mówiąc: „Dzisiaj chcę być trochę sama z tobą, milej będzie wymknąć się we dwójkę”. Wówczas powiadała, że jest zajęta, że zresztą nie potrzebuje się nikomu tłumaczyć; aby zaś inne dziewczęta — o ile się i tak wybrały bez nas na spacer i na podwieczorek — nie mogły nas spotkać, szliśmy jak para kochanków sami do Bagateli lub do *Croix d’Heulan*, podczas gdy *banda*, której nigdy nie przyszłoby na myśl tam nas szukać i która nigdy tam nie chodziła, tkwiła w *Marie-Antoinette*, w nadziei że my tam przyjdziemy. Przypominam sobie upalne dni, kiedy z czoła parobków pracujących w słońcu spadała kropla potu prostopadła, regularna, przerywana, niby kropla wody z kranu i przeplatała się ze spadaniem dojrzałych owoców, które się obrywały z drzewa w sąsiedniej zagrodzie; dziś jeszcze upalne dni pozostały dla mnie — wraz z tajemnicą ukrywanej kobiety — najistotniejszą częścią wszelkiej miłości. Kiedy mi ktoś wspomni o jakiejś kobiecie — o której sam nie pomyślałbym ani przez chwilę — zmieniam plan całego tygodnia poto aby ją poznać, o ile mam ją spotkać w ustronnej fermie. Mimo iż wiem że ta aura i te warunki schadzki nie z niej płyną, zawsze się daję brać na tę dobrze mi znaną przynętę, wystarczającą aby mnie zwać. Wiem, że mógłbym pragnąć tej samej kobiety w chłód i w mieście, ale byłoby to bez akompaniamentu romantyczności, bez zakochania się; niemniej miłość, skoro, dzięki okolicznościom, raz mnie skula, jest nie mniej mocna — bardziej tylko melancholijna, tak jak w życiu stają się melancholijne nasze uczucia do osób w miarę jak się bardziej przekonywujemy o coraz to mniejszym udziale osób w tych uczuciach, obok świadomości, że nowa miłość, którą pragnęlibyśmy widzieć tak trwałą, skrócona wraz z samym naszym życiem, będzie ostatnią.

Było jeszcze w Balbec mało ludzi, mało młodych dziewcząt. Czasami widziałem którąś, przystającą na plaży — pozbawioną uroku, mimo iż wiele znaków wskazywałoby, że to jest ta sama, do której, ku swojej rozpacz, nie śmiałem się zbliżyć niegdyś, w chwili gdy wychodziła z przyjaciółkami z maneżu lub z sali gimnastycznej. Jeżeli to była ta sama (a strzegłem się wspomnieć o tem Albertynie), młoda dziewczyna, którą uważałem niegdyś za upajającą, już nie istniała. Ale nie mogłem uzyskać pewności w tej mierze, bo twarz tych dziewcząt nie przedstawiała na plaży stałej wielkości ani formy, skurczona, poszerzona, przeobrażona mojem oczekiwaniem, niepokojem mego pragnienia lub błogostanem który wystarcza sam sobie, rozmaitością wreszcie ich toalet, szybkością chodu lub przeciwnie bezruchem.

Jednakże z całkiem bliska, jakieś dwie lub trzy były urocze. Ilekroć ujrzałem któregoś z nich, miałem ochotę uprowadzić ją w aleję Tamaryszków, albo w diuny, a bardziej jeszcze na skały. Ale mimo iż pragnienie zawiera — w przeciwieństwie do obojętności — coś z owego zuchwałstwa, które jest jednostronnym początkiem ziszczenia, była jeszcze bądź co bądź między moim pragnieniem a czynem (jakim byłaby prośba o całusa) cała nieokreślona strefa wahania, nieśmiałości. Wówczas wchodziłem do cukierni i piłem duszkiem siedem czy osiem kieliszków porto. Natychmiast, w miejsce niepodobnej do wypełnienia przestrzeni między moim pragnieniem a uczynkiem, działanie alkoholu wykreślało linię łączącą je z sobą. Nie było już miejsca dla wahań ani obawy. Zdawało mi się, że młoda dziewczyna pofrunie ku mnie. Szedłem ku niej, same z siebie wychodziły z moich warg słowa: „Chętniebym się przeszedł z panią. Nie zechciałaby pani pójść ze mną nad morze; nikt by nam nie przeszkadzał w zacisznym domku za laskiem, obecnie całkiem pustym?” Wszystkie trudności życia znikły, nie było już żadnych przeszkód dla splecenia się naszych ciał. Żadnych przeszkód — przynajmniej dla mnie. Bo przeszkody nie ulotniły się dla niej, która nie piła porto. Gdyby to uczyniła, i gdyby wszechświat stracił nieco realności w jej oczach, owem długo pieszczonem a nagle udostępnionem w jej myślach marzeniem nie byłaby może wcale chęć znalezienia się w moich ramionach.

Nietylko młode dziewczęta były nieliczne, ale w tym czasie, który nie był jeszcze „sezonem”, bawiły krótko. Przypominam sobie jedną, o rudej cerze, zielonych oczach, rudych policzkach — których dubeltowy i lekki zarys podobny był do skrzydlatych nasion pewnych drzew. Nie wiem, jaki wiatr przywiał ją do Balbec i jaki znów inny uniósł ją z powrotem. Stało się to tak nagle, iż, kiedym zrozumiał że wyjechała na zawsze, czułem przez kilka dni zgrzyotę, którą odważyłem się wyznać Albertynie.

Trzeba powiedzieć, że wielu z tych dziewcząt nie znałem wcale, lub nie widziałem ich od lat. Często, pisywałem do nich, zanim je spotkałem. Cóż za szczęście, kiedy odpowiedź pozwalała wierzyć w możliwość miłości! W początkach przyjaźni dla kobiety, nawet jeżeli się przyjaźń nie ma później zrealizować, niesposób rozstać się z temi pierwszymi listami. Chce się je mieć cały czas przy sobie, jak otrzymane piękne kwiaty, jeszcze całkiem świeże, na które przestajemy patrzeć jedynie poto, aby je wdechać bardziej z bliska. Miło jest odczytywać zdanie, które się umie na pamięć; w innych zaś, mniej dosłownie znanych, chce się sprawdzić stopień czułości jakiegoś zwrotu. Czy napisała: „Kochany list pana?” I ot, mały zawód w narkotyku słodczy, wynikły bądź stąd że się czytało zbyt szybko, bądź z nieczytelnego pisma naszej korespondentki; nie napisała „kochany list pana”, ale „otrzymany list pana”. Ale reszta jest tak czuła! Och, niechże podobne kwiaty przybędą jutro! Potem, to nie wystarcza; chcielibyśmy z pismem skonfrontować spojrzenia, głos. Umawiamy się na schadzkę, i — mimo że Ona może się nie zmienić — znajdujemy Kota w butach, tam gdzieśmy się spodziewali, na zasadzie opisu lub własnego wspomnienia, spotkać wróżkę Wiwianę. Naznaczamy jej i tak schadzki na jutro, bo jednak to jest *ona*, a jej właśnieśmy pragnęli. Otóż, to pragnienie kobiety o której się marzyło, nie jest bynajmniej uwarunkowane określoną pięknnością. Te pragnienia są jedynie pragnieniem danej istoty; lekkie jak zapachy, jak storaks był pragnieniem Prothyrai, jak szafran pragnieniem eterycznym, korzenie pragnieniem Hery, mirra zapachem magów, manna pragnieniem Nike, kadzidło zapachem morza. Ale te zapachy, opiewane przez Hymny orfickie, są o wiele mniej liczne niż drogie im bóstwa. Mirra jest zapachem magów, ale także zapachem Protogonosa, Neptuna, Nereusza, Leto; kadzidło jest zapachem morza, ale także pięknej Dike, Temidy, Circe, dziewięciu Muz, Eos, Mnemozyny, Dnia, Dikaiozyny. Co do storaksu, manny i wonnych korzeni, możnaby długo wyliczać bóstwa, które je natchnęły, tak są liczne. Amfietes posiada wszystkie zapachy wyjąwszy kadzidła, a Gaja gardzi jedynie bobem i korzeniami. Podobnie było z moimi pragnieniami owych dziewcząt. Mniej liczne od nich, zmieniały się w zawody i smutki, dość podobne do siebie wzajem. Nigdy nie chciałem mirry. Zachowałem ją dla Jupiena i dla księżnej Marji<sup>8</sup> de Guermantes, bo mirra jest pragnieniem Protogonosa „o dwóch płciach, ryczącego nakształt byka niestrudzonego w orgiach, pamiętnego, niewysłowionego, zstępującego radośnie ku ofiarom Orgiofantów”.

<sup>8</sup>Nigdy nie chciałem mirry. Zachowałem ją dla Jupiena i dla księżnej Marji de Guermantes — aluzja niezrozumiała i zdająca się świadczyć że obu tym osobom Proust przeznaczał w opowiadaniu swoim inną jeszcze rolę, niż ta którą w niem posiadają. [przypis redakcyjny]

Ale niebawem sezon doszedł swojej pełni; codzień przyjeżdżał ktoś nowy. Moje coraz częstsze spacerzy, odrywające mnie od uroczej lektury *Tysiąca i jednej nocy*, miały obecnie przykrą i zatruwającą mi je przyczynę. Plaża roiła się teraz od dziewcząt, a myśl, jaką mi wsączył Cottard, jakkolwiek nie dostarczyła mi nowych podejrzeń, uczyniła mnie w tej mierze szczególnie wrażliwym i baczny na to aby się nie dać łęgnąć podobnym myślom. Ilekroć jakaś młoda kobieta przybyła do Balbec, czułem się niespokojny, proponowałem Albertynie najdalsze spacerzy, aby nie mogła poznać, a nawet, o ile się da, aby nie mogła ujrzeć nowoprzybyłej. Bałem się oczywiście szczególnie tych, które miały podejrzaną wzięcie lub złą reputację; starałem się przekonać Albertynę, że ta reputacja nie jest oparta na niczym, że jest potwarzą; czyniłem to może — nie przyznając się do tego przed sobą — z nieświadomej jeszcze obawy, że Albertyna będzie się starała zbliżyć do tej zepsutej kobiety, lub będzie żałowała, że nie może tego uczynić z mojego powodu; lub że, z mnogości przykładów, nauczy się brać lekko tak rozpowszechniony występki. Przeczając tej możliwości u każdej występnej, siliłem się wręcz wmówić Albertynie, że miłość lesbijska nie istnieje.

Albertyna gotowa była dzielić moje niedowiarstwo co do nałogów tej lub owej kobiety. „Nie, ja myślę, że ona tylko pozuje na to, poprostu snobizm”. Ale wówczas żalowałem niemal, że broniałem tej sprawy, bo byłem zły, że Albertyna, niegdyś tak surowa, może myśleć, że ta przywara jest czemś na tyle pochlebnym, na tyle interesującym, aby kobieta wolna od tych skłonności starała się przybierać ich pozory. Byłbym chciał, aby już żadna kobieta nie pojawiła się w Balbec; drżałem na myśl, że ponieważ to jest mniej więcej epoka kiedy pani Putbus miała zjechać do Verdurinów, jej panna służąca (której gustów Saint-Loup mi nie tail) mogłaby się wybrać na plażę i próbować uwieść Albertynę o ile byłby to dzień, w który mnieby przy niej nie było. Ponieważ Cottard nie krył, że Verdurinom bardzo na mnie zależy i że, nie chcąc aby się wydawało (jak on mówił) że się za mną upędzają, dużo daliby za to abym u nich bywał, zacząłem się w końcu zastanawiać, czybym nie mógł, w zamian za obietnicę, że w Paryżu sprowadzę pani Verdurin wszystkich możliwych Guermantów, wyprosić u niej aby pod jakimś pozorem powiedziała pani Putbus, że nie może jej gościć u siebie i wyprawiła ją jak najrychlej. Ponieważ jednak niepokoiła mnie zwłaszcza obecność Anny, ukojenie, jakie mi przyniosły słowa Albertyny, trwało jeszcze jakiś czas; wiedziałem zresztą, że niebawem będę go potrzebował mniej, bo Anna miała wyjechać z Rozamondą i z Gizelą, niemal w chwili największego zjazdu, tak że miała już spędzić z Albertyną jedynie kilka tygodni. Przez ten czas zresztą, wszystko co robiła i mówiła Albertyna, miało wyraźnie ten cel aby zniweczyć moje podejrzenia lub aby się im nie dać odrodzić. Starła się nigdy nie zostawać sama z Anną; kiedyśmy wracali, nalegała abym ją odprowadził aż do bramy, a kiedyśmy się gdzieś wybierali — abym wstępował po nią. Anna ze swojej strony postępowała tak samo; zdawało się, że unika Albertyny. I to wyraźne porozumienie między nimi nie było jedyną wskazówką, że Albertyna musiała wtajemniczyć przyjaciółkę w treść naszej rozmowy i prosić ją aby poczciwie pomogła uspokoić moje nedorzeczne podejrzenia.

W tym czasie zdarzył się w hotelu w Balbec skandal, który nie mógł się przyczynić do ukojenia moich udręczeń. Siostra Blocha utrzymywała od jakiegoś czasu z ex-aktorką sekretne stosunki, które niebawem przestały im wystarczać. Chciały być widziane; to dawało perwersyjny smaczek ich uciechom; pragnęły uprawiać swoje niebezpieczne igraszki na oczach całego świata. Zaczęło się w salonie gry, dokoła stołu bakaratowego, od pieszczot, które ostatecznie można było przypisać tkliwej przyjaźni. Potem rozzuchwalały się. Wreszcie, pewnego wieczora, w kącie wielkiej sali balowej (nawet nie ciemnym), na kanapie, zachowały się tak bezceremonialnie jakby były w łóżku. Dwaj oficerowie, znajdujący się opodal z żonami, poskarżyli się przed dyrekcją. Zdawało się na chwilę, że reklamacja ich odniesie skutek. Ale oficerowie mieli ten brak, że przybywszy na jeden wieczór z Netteholme, gdzie mieszkali, do Balbec, nie przedstawiali dla kasyna żadnej wartości, podczas gdy nad panną Bloch, nawet bez jej wiedzy i mimo upomnień jakich udzielił jej dyrektor, unosiła się protekcja Nissima Bernard. Trzeba powiedzieć czemu. Pan Nissim Bernard uprawiał w najwyższym stopniu cnoty rodzinne. Co rok, wynajmował w Balbec wspaniałą willę dla swego siostrzeńca i żadne zaproszenie nie odciągnęłoby go od obiadu w gniazdku rodzinnym. Ale nigdy nie jadał śniadania w domu. Codzień w południe był w Grand-Hotelu, a to dlatego, że, jak tylu innych, utrzymywał męską baletniczkę, „pi-

cola” dosyć podobnego do tych „strzelców”, o których mówiliśmy i którzy przywodzili nam na myśl młode izraelitki z *Estery* lub *Atalji*. Prawdę mówiąc, czterdzieści wiosen, które dzieliły pana Nissim Bernard od młodego picola, powinny były ubezpieczyć dziewczynę od niezbyt miłych kontaktów. Ale, jak roztropnie powiada Racine w tych samych chórach:

O Boże, z jakąż trwogą w sercu swem beźmierną,  
Śród ilu niebezpieczeństw cnota stawia kroki!  
Dusza, która cię szuka i chce ci być wierną,  
Jakże potężne zwalczać zła musi uroki!

Młody picolo, mimo że „zdala od świata chowany” w świątyni Grand-Hotelu w Balbec, nie poszedł za radą Joady:

Na bogactwie i złocie nie buduj żywota.

Znalazł może argument, powiadając „Od grzeszników roi się na ziemi”. Jakbądź się rzeczy miały i mimo że pan Nissim Bernard nie liczył nawet na tak szybki sukces, od pierwszego dnia

Czy to wskutek przestraszenia, czy z chęci pieszczoty,  
Uczuł niewinnych ramion tulące go sploty.

A od drugiego dnia, w towarzystwie pana Nissim Bernard, „zaraźliwe dotknięcie kaziło niewinność” młodego picola. Odtąd życie dziewczyny uległo zmianie. Mimo iż nosił chleb i sól, jak mu to jego bezpośredni zwierzchnik nakazywał, cała twarz jego śpiewała:

Z kwiatów na kwiaty, z rozkoszy w rozkosze — serc naszych nieśmy  
pragnienia. — Któż wie, jak długo nam życia — śpieszmy się pić jego smak.  
— Cześć i zaszczyty — ślepego jeno posłuchu nagrodą — za smutną niewinnością,  
— któżby chciał podnieść głos!

Od tego dnia, p. Nissim Bernard nigdy nie omieszkiał zająć swego miejsca przy śniadaniu (tak jakby zrobił w sali opery ktoś, kto utrzymuje „figurantkę” — w tym wypadku figurantkę bardzo specjalnego rodzaju, oczekującą jeszcze swojego Degasa). P. Nissim Bernard znajdował przyjemność w tem, aby śledzić w jadalni — aż het w odległych perspektywach, gdzie pod palmą królowała kasjerka — ewolucje młodzieńca, gorliwego w obsłudze wszystkich, a mniej gorliwego w obsłudze pana Nissima, od czasu jak ów wziął go na utrzymanie, czy że dziewczyna uważała za zbyt cenne rozwijać tyle uprzejmości dla kogoś kto go i tak kochał dostatecznie, czy że go ta miłość drażniła, lub że się obawiał iż ujawnienie jej pozbawi go innych gratek. Ale właśnie ten chłód podobał się panu Nissimowi ze wszystkiem co ukrywał; bądź przez hebrajski atawizm, bądź przez profanację uczuć chrześcijańskich osobliwie podobał sobie w ceremonji *à la* Racine, żydowskiej czy katolickiej. Gdyby to było prawdziwe przedstawienie *Estery* lub *Atalji*, pan Bernard żałowałby, że przedział wieków nie pozwolił mu znać autora, imię pana Racine, aby uzyskać dla swego protegowanego większą rolę. Że jednak ceremonia śniadania nie wyszła z pod pióra żadnego pisarza, p. Bernard starał się poprostu być w dobrych stosunkach z dyrektorem i z panem Aimé, iżby „młody izraelita” wznosił się do upragnionej godności garsona. Proponowano mu funkcje piwnicznego; ale pan Bernard skłonił młodego człowieka do odrzucenia tychże, ponieważ on sam, Nissim Bernard, nie mógłby wówczas patrzeć nań codziennie, jak krąży po zielonej jadalni i być obsługiwany przezeń jak obcy gość. Przyjemność ta była tak wielka, że co roku pan Bernard jeździł do Balbec i zawsze jadał śniadanie poza domem. Pierwszy z tych nawyków tłumaczył sobie pan Bloch poetycznym upodobaniem w zachodach słońca, szczególnie pięknych na tem wybrzeżu; drugi nałogiem starego kawalera.

Prawdę mówiąc, ta omyłka krewnych pana Nissima Bernard, którzy nie podejrzewali istotnej przyczyny jego corocznych pobytów w Balbec, oraz tego, co pani Bloch nazywała wytwornie jego „kuchennem wiarołomstwem”, ta omyłka zawierała prawdę głębszą,

prawdę drugiej kategorii. Bo p. Bernard sam nie czuł, ile miłości do plaży w Balbec, do widoku z restauracji na morze i ile maniackiego nałogu mogło wchodzić w tę pasję utrzymywania — niby młodej baletniczki innej kategorii której brak jeszcze jakiegoś Degasa — jednego ze służebników hotelu, pełniących zarazem funkcje „dziewczynek”. Toteż pan Bernard utrzymywał wyborne stosunki z dyrektorem tego teatru — czyli hotelu w Balbec — oraz inscenizatorem i reżyserem Aimé, których zachowanie się w całej tej sprawie było nienajczystsze. Można będzie — myślał — pochodzić kiedyś koło tego, aby uzyskać „pierwszą rolę” — może „maître d’hôtel’a”. Na razie, przyjemność pana Nissim Bernard, mimo iż tak poetyczna i spokojnie kontemplacyjna, miała potrosze coś z przyjemności owych kobieciarzy, którzy wiedzą zawsze — jak niegdyś Swann — że wybierając się gdzieś na wieczór, spotkają tam swoją kochankę. Ledwie usiadłszy, p. Nissim miał ujrzeć przedmiot swoich uczuć, jak kroczy po scenie, niosąc na tacy owoce lub cygara. Toteż co rano, uściskawszy siostrzenice, zatroszczywszy się o prace młodego Blocha i dawszy koniom kawałek cukru na dłoni, spieszył się gorączkowo, aby zdążyć na śniadanie do Grand-Hotelu. Mógłby wybuchnąć pożar w domu, mogłaby jego siostrzenica dostać ataku apopleksji — poszedłby prawdopodobnie i tak. Toteż bał się panicznie kataru, dla którego, będąc hipochondrykiem, zostałby w łóżku, zmuszony prosić Aimégo, aby przed podwieczorkiem przysłał mu do domu młodego przyjaciela. Lubił zresztą cały labirynt korytarzy, sekretnych gabinetów, salonów, szatni, kredensów, sieni, składających hotel w Balbec. Przez atawizm człowieka Wschodu, lubił seraje i kiedy wychodził wieczorem, widziano go jak chyłkiem bada ich zakamarki.

Podczas gdy zapuszczając się aż do suterenu — ale starając się mimo wszystko nie być widzianym i uniknąć skandalu — p. Nissim Bernard, w poszukiwaniu młodych lewitów, przywoził na myśl te wiersze z *Żydówki*:

O, władco nieba, ziemi,  
Spójrz na dzieci swe,  
Ukryj przed niewiernymi  
Tajemnice te!

ja szedłem przeciwnie do pokoju dwóch sióstr, które towarzyszyły w Balbec, jako pokojówki, pewnej starszej damie, cudzoziemce. Mimo trudności, z jaką łączyło się dla klienta zachodzić do izdebki pokojówek — i nawzajem — zaprzyjaźniłem się nader szybko, przyjaźnią bardzo żywą mimo iż niewinną, z temi dwiema młodemimi osobami, panną Marją Gineste i panią Celestą Albaret. Urodzone u stóp wysokich gór w centrum Francji, wśród strumieni i potoków (woda przepływała pod samym ich rodzinnym domem, gdzie obracała młyn; nie jeden raz dom ich zniszczyły wylewy), zachowały jakgdyby coś z ich natury. Marja Gineste była jednostajnie chyża i rwąca, Celesta Albaret bardziej leniwa i bierna, rozlana jak jezioro, ale ze straszliwymi wezbraniami kipiących fal: wówczas wściekłość jej przypominała grozę wirów wodnych, które porywają i pustoszą wszystko. Zachodziły często do mnie rano, kiedy jeszcze leżałem. Nigdy nie znałem osób tak dobrowolnie ciemnych, które absolutnie niczego nie nauczyły się w szkole, a jednak język ich miał coś tak literackiego, że gdyby nie nawskroś prymitywna naturalność tonu, możnaby brać ich sposób mówienia za afektację. Podczas gdy maczałem rogaliki w mleku, Celesta mówiła z poufalością, której nie zmieniam żadnym retuszem, mimo pochwał (przytaczam je tutaj nie żeby chwalić siebie, ale aby chwalić szczególny talent Celesty) i mimo krytyk równie fałszywych ale bardzo szczerych, jakie słowa te zdawały się zawierać w stosunku do mnie:

„Och, patrz, ten czarny djabełek z włosami jak kruk, o cóż to za szelma! ja nie wiem, na co się zapatrzyła jego matka, kiedy go na świat wydała, bo wszystko ma z ptaka. Popatrz, Marjo, nie powiedziałałoby się, że on sobie gładzi pióra; jak on obraca tę giętką szyjkę, wygląda taki leciutki, rzekłbyś że się uczy latać. Haha! ma szczęście, że się począł i urodził w bogactwie; coby się stało z takim marnotrawcą! Patrz, rzuca ten rogalik, dlatego że dotknął nim koldry. O, o, patrz, rozlewa mleko; czekaj, niech ci założę serwetę, bo nie dasz sobie rady; w życiu nie widziałam czegoś tak głupiego i niezgrabnego jak ten chłopiec”. Wówczas rozlegał się regularniejszy szmer strumienia Marji Gineste, która, wściekła, lajała siostrę: „Słuchaj Celesto, będziesz ty cicho. Czyś ty zwarzowała, żeby mówić do pana w ten

sposób?” Celesta uśmiechała się tylko, że zaś nie cierpiałem aby mi wiązano serwetę, odpowiadała: „Ale nie, Marjo, przypatrz się mu dobrze: o, patrz, jak się wyprężył cały, niczem ten wąż. Istny wąż, powiadam tobie”. Sypała zresztą jak z rękawa porównania zoologiczne; twierdziła że nigdy się nie wie kiedy ja śpię: bujam całą noc jak motyl, a w dzień jestem zwinny jak wiewiórka. „Wiesz, Marjo, te wiewiórki u nas, takie zwinne, że nawet oczami ich nie zgoni. — Celesto, wiesz, że on nie lubi serwety na szyi kiedy je. — To nie to że nie lubi; tylko żeby pokazać, że nie da się zmienić jego woli. To jest pan, chce pokazać że jest pan. Zmieni prześcieradła dziesięć razy jeżeli trzeba, ale nie ustąpi. Wczorajsze już powędrowały do brudów, ale dzisiejsze dopiero obleczone, a już trzeba będzie je zmienić. Ha ha! miałem rację, że jemu nie było pisane urodzić się biedakiem. Popatrz jak mu się włosy nastroszyły z gniewu jak pióra u ptaka. Biedne ptaszysko!”

Tutaj nietylko Marja protestowała, ale i ja sam, bo nie czułem się wcale „panem”. Ale Celesta nie wierzyła nigdy w szczerą moją skromność i przerywała mi wołając: „A, szelma! co za słodycz, co za perfidja! chytrą nad chytrąściami, szelma nad szelmami! A, Molier! (było to jedyne nazwisko pisarza jakie знаła, ale stosowała je do mnie, rozumiejąc przez to kogoś, kto byłby zarazem zdolny pisać na scenę i grać). — Celesto! — krzyczała Marja, która, nie znając nazwiska Moliera, bała się, czy to nie jest nowa zniewaga.

Celesta znów się uśmiechała. „Czy ty nigdy nie widziała w szufladzie jego fotografii, kiedy był dzieckiem? On chciałby w nas wmówić, że zawsze go ubierano bardzo z prosta. A tu patrz, z tą laseczką, same futra i koronki, jak żaden książę. Ale to jeszcze nic, przy jego wspaniałym majestacie i jeszcze głębszej dobroci. — Ładne rzeczy! — szemrał strumień Marji — więc ty mu plondrujesz po szufladach?”

Aby ulagodzić obawy Marji, spytałem, co myśli o sprawach pana Bernard z tym... „Och, proszę pana, to są takie rzeczy, że nigdybym nie uwierzyła że takie coś istnieje: trzeba było przyjechać tutaj!” I bijąc tym razem Celestę głębokością ujęcia, dodała: „Cóż, widzi pan, nie można nigdy wiedzieć, co się kryje w czyjem życiu”.

Aby zmienić temat, opowiadałem im o życiu mego ojca, pracującego dzień i noc. „Tak, tak, proszę pana, są takie żywoty, w których człowiek nie zachowuje nic dla siebie, ani minuty, ani przyjemności, wszystko jest samem poświęceniem, to są życia *rozdane*. — Popatrz, Celesto, nic tylko połóż rękę na kołdrze i weźmie ten rogalik; co za dystynkcja! Może robić najzwyklejsze rzeczy, a i tak powiedziałyby się że całe szlachectwo Francji, aż do Pirenejów, wlaźło w każdy jego ruch”.

Zmiażdżony tym tak nieprawdziwym portretem, milczałem; Celesta widziała w tem nową chytrą: „Ha! to czoło które wygląda takie czyste, a które kryje tyle sekretów; policzki lube i szczerze jak ten migdał, pluszowe rączyny, paznokcie jak pazurki, etc. Marjo, patrz, jak on pije mleczko, tak nabożnie, że człowieka bierze ochota pomodlić się. Co za poważna mina! Powinno się go wymalować teraz. Czyste dziecko. Czy to z tego zachował taką jasną cerę, że pije mleko jak dzieci? Och, młodość, och, ładna skórka. Nie zestarzeje się nigdy. Ma szczęście, nie będzie nigdy potrzebował podnieść ręki na nikogo, bo ma oczy, które umieją nakazać swoją wolę. Oho! już wpada w gniew. Wyprostował się, patrz, jak ten paragraf”.

Franciszka bardzo nie lubiła, aby te — jak je nazywała — *zwozdzicielki*, zachodziły do mnie na gawędy. Dyrektor, który przez swoich podwładnych śledził wszystko co się dzieje w hotelu, zwrócił mi poważnie uwagę, że nie jest godne klienta przestawać z pokojówkami. Ja który cenilem „zwozdzicielki” wyżej od wszystkich dam zamieszkałych w hotelu, poprostu roześmiałem mu się tylko w nos, pewien że nie zrozumiałby moich wyjaśnień. I siostry wciąż zachodziły do mnie: „Popatrz, Marjo, na te delikatne rysy. O, cudowna miniatura, piękniejsza niż za gąbłotką, bo on ma ruchy i słowa takie, żeby się ich słuchało całe noce i całe dni”.

To cud, że cudzoziemska dama zdołała je zabrać, bo nie znając historii ani geografii, nie cierpiała na ślepo Anglików, Niemców, Rosjan, Włochów, cudzoziemskiego „robactwa”, kochając — z wyjątkami — tylko Francuzów. Twarz ich tak zachowała wilgoć plastycznej gliny ich rzek, że kiedy się mówiło o jakimś mieszkającym w hotelu cudzoziemcu, na to aby powtórzyć coś co on powiedział, Celesta i Marja wcielały się w jego twarz, ich usta zmieniały się w jego usta, oczy w jego oczy; miałyby się ochotę utrwalić te cudowne maski. Celesta nawet, udając że tylko powtarza to co powiedział dyrektor lub któryś z moich przyjaciół, stroiła swoje opowiadanie w zmyślane wstawki, w których,

ot tak, od niechcienia, streszczała złośliwie wszystkie wady Blocha, prezydenta sądu, etc. Był to zawsze niezrównany portrecik, wykonany w ramach prostego zlecenia, którego się uprzejmie podjęła. Nie czytała nigdy nic, nawet dziennika. Ale pewnego dnia znalazły na mojem łóżku książkę. Były to cudowne, ale ciemne poezje Saint-Léger Léger. Celesta przeczytała kilka stron i powiedziała: „Ale czy pan jest całkiem pewny, że to są wiersze; może to prędzej zagadki? Oczywiście, dla osoby, która nauczyła się w dzieciństwie tylko jednego wiersza: *Ici bas tous les lilas meurent...* brakowało jakiegoś ogniwa. Sądzę, że ów upór w tem aby się niczego nie uczyć, był trochę w związku z ich niezdrową okolicą. Były jednak równie utalentowane jak niejeden poeta, z większą skromnością niż się zdarza u poetów. Bo jeżeli Celesta powiedziała coś godnego uwagi i kiedy, nie mogąc sobie tego przypomnieć, prosiłem jej o powtórzenie, kłęła się że zapomniała. Nie będą nigdy czytały książek, ale nie popełnią ich także.

Franciszka była dość przejęta wiadomością, że z dwóch braci tych tak prostych kobiet jeden zaślubił siostrzenicę arcybiskupa w Tours, drugi krewną biskupa Rodez. Dyrektorowi nie powiedziałoby to nic. Celesta wyrzucała czasami swemu mężowi że jej nie rozumie, a ja dziwiłem się, że on z nią może wytrzymać. Bo w pewnych momentach, dygocąca, wściekła, niszcząca wszystko, była okropna. Uczeni twierdzą, że słony płyn, jakim jest nasza krew, jest jedynie wewnętrznem przetrwaniem pra-elementu morza. Sądzę że tak samo Celesta, nietylko w atakach furji, ale także w chwilach depresji, zachowała rytm swoich rodzimych strumieni. W momentach wyczerpania, była również podobna do nich; wysychała poprostu. Nic nie mogłoby jej wówczas ożywić. Potem nagle krążenie wracało w jej wielkiem, wspaniałem i lekkim ciele. Woda płynęła pod opalową przezroczystością błękitnej skóry. Uśmiechała się do słońca i robiła się jeszcze błękitniejsza. W tych chwilach Celesta była naprawdę — jak jej imię — niebiańska.

Blochowie nie domyślili się nigdy racji, dla której wuj ich nie śniadał nigdy w domu i brali to zawsze za manję starego kawalera (może jakiś stosuneczek z aktorką?); natomiast dla dyrektora hotelu w Balbec wszystko co tyczyło pana Nissima Bernard, było „tabu”. I oto czemu, nawet bez porozumienia się z wujem, dyrektor nie odważył się w rezultacie potępić jego siostrzenicy; zalecił jej jedynie pewną oględność. Młoda panna i jej przyjaciółka bały się przez kilka dni, że je wykluczą z kasyna i z Grand-Hotelu; widząc że się wszystko szczęśliwie ułożyło, rade były pokazać „ojcom rodziny” którzy się od nich odwracali, że mogą sobie bezkarnie na wszystko pozwolić. Zapewne, nie posunęły się do powtórzenia publicznej sceny, która tak zgorszyła wszystkich. Ale stopniowo wróciły do swoich obyczajów. I pewnego wieczora, kiedym wychodził z nawpół ciemnego już kasyna z Albertyną i ze spotkanym tam Blochem, one minęły nas splecione uściskiem, nie przestając się całować, a zrównawszy się z nami, zaczęły wydawać mlaskania, śmiechy i nieprzystojne krzyki. Bloch spuścił oczy, aby nie pokazać że poznał siostrę<sup>9</sup>, a ja cierpiałem męki, na myśl że ten specjalny i okrutny język odnosił się może do Albertyny.

Inny wypadek zwrócił jeszcze bardziej moją uwagę w stronę Gomory. Spotkałem kiedyś na plaży piękną, młodą kobietę, wysmukłą i bladą, z której oczu tryskały tak geometrycznie lśniące promienie, że spojrzenie jej budziło myśl o jakiejś konstelacji. Pomyślałem, o ile ta dziewczyna piękniejsza jest od mojej przyjaciółki, i jak rozsądne byłoby wyrzec się Albertyny. Co najwyżej, przez twarz tej pięknej kobiety przeszedł niewidzialny hebel nikczemności życia, godzenia się z plugawymi środkami, tak że oczy jej, mimo iż szlachetniejsze od reszty twarzy, musiały promieniować jedynie apetyty i żądze. Otóż nazajutrz, kiedy ta młoda kobieta znalazła się w kasynie bardzo blisko nas, ujrzałem że nie przestaje prażyć Albertyny klującymi ogniami spojrzeń. Można by rzec, że jej daje znaki, jak zapomocą latarni morskiej. Drżałem, że Albertyna ujrzy iż ktoś na nią tak zwraca uwagę; bałem się czy raz po raz zapalane spojrzenia nie oznaczają w umownym języku schadzki na jutro. Kto wie? ta schadzka nie była może pierwsza. Młoda kobieta z promiennymi oczami mogła być już dawniej w Balbec? Jeżeli się ważyła ślać jej te sygnały, to może dlatego, że Albertyna uległa już pragnieniom jej samej lub pragnieniom którejs z jej przyjaciółek? W takim wypadku nietylko żądały czegoś teraz, ale czuły się do tego uprawnione słodkimi godzinami przeszłości. W takim razie owa schadzka nie byłaby

<sup>9</sup>Bloch (...) poznał siostrę — ta „siostra Blocha” raz jest siostrą, raz „kuzynką”. Takich przeoczeń (lub rozmyślnych oznak nieważności „realiów”) bywa u Prousta sporo. [przypis redakcyjny]

pierwsza, ale stanowiłaby dalszy ciąg wspólnych przeżyć poprzednich lat. I czy w istocie spojrzenia te nie mówiły: „Chcesz?” Z chwilą gdy młoda kobieta spostrzegła Albertynę, zwróciła głowę i błysnęła oczami naładowanymi pamięcią, tak jakby się bała i zdumiewała zarazem, że tamta może sobie nie przypominać. Albertyna, która widziała ją bardzo dobrze, siedziała flegmatycznie i bez ruchu, tak że nieznajoma zaprzestała swojej gry, z tą samą dyskrecją, z jaką mężczyzna, widząc swoją dawną miłość z nowym kochankiem, przestaje na nią patrzeć i zachowuje się tak jakby nie istniała.

Ale w kilka dni później zyskałem dowód gustów młodej kobiety, a także dowód prawdopodobieństwa, że ona znała Albertynę niegdys. Często w sali kasyna, kiedy dwie młode dziewczyny pragnęły się wzajem, powstawało jakby zjawisko świetlne, rodzaj fosforyzującej smugi między nimi. Powiedzmy mimochodem, że zapomocą takich materjalizacyj — choćby były nieważkie — przez te astralne i płomienne znaki rozprószone Gomora stara się w każdym mieście i miasteczku zespolić swoje mieszkanki, odbudować biblijne miasto, gdy równocześnie nostalgiczni, obłudni, odważni niekiedy wygnańcy Sodomy podejmują wszędzie te same wysiłki, bodaj w celu dorywczej jej odbudowy.

Raz ujrzałem tę nieznajomą (której Albertyna zdawała się nie poznawać) właśnie w chwili gdy przechodziła kuzynka Blocha. Oczy młodej kobiety rozgwieździły się, ale widać było, że nie zna młodej izraelitki. Widziała ją pierwszy raz, uczuła pociąg do niej, prawie bez wątpliwości, ale nie z tą pewnością co wobec Albertyny, Albertyny, na której pobratymstwo musiała tak bardzo liczyć, że wobec jej chłodu odczuła zdumienie, jak cudzoziemiec, znający dobrze Paryż, gdy, przybywszy tam znowu na kilka tygodni, ujrzy iż na miejscu teatrzyku, gdzie spędzał miłe wieczory, zbudowano bank.

Kuzynka Blocha usiadła przy stoliku i zaczęła przeglądać jakieś pisma. Niebawem młoda kobieta siadła z roztargnioną miną koło niej. Ale pod stołem można było niebawem widzieć ich zmagające się stopy, potem zaplatające się nogi i ręce. Potem przyszły słowa, zawiązała się gawędka i naiwny mąż młodej kobiety, który jej szukał wszędzie, bardzo się zdumiał, zastawszy ją w towarzystwie nieznajomej mu młodej dziewczyny, z którą robiła plany na wieczór. Żona przedstawiła mu kuzynkę Blocha jako przyjaciółkę z dzieciństwa, pod niezrozumiałym nazwiskiem, bo zapomniała spytać jej jak się nazywa. Ale obecność męża posunęła o krok dalej ich zażyłość, bo zaczęły się tykać, jako koleżanki z klasztoru; — epizod z którego śmiały się później do rozpuku, zarówno jak z oszukanego męża, a wesołość ta stała się im sposobnością do nowych czułości.

Co się tyczy Albertyny, nie mogę powiedzieć, aby gdziekolwiek, w kasynie czy na plaży, zachowywała się wobec którejś z dziewcząt zbyt swobodnie. Okazywała nawet zbyt chłodu i obojętności, co mi się zdawało nietylko dobrem wychowaniem, ile komedią mającą odwrócić podejrzenia. Jakiejś pannie naprzykład odpowiadała szybko, lodowato i skromnie, bardzo głośno: „Tak, będę koło piątej na tenisie. Będę się jutro kąpała rano koło ósmej”, poczem opuszczała natychmiast osobę do której zwróciła te słowa; sposób straszliwie wyglądający na fintę i na to że naznaczała schadzki, albo raczej że naznaczywszy ją pocichu, rzucała głośno te blahe zdania, aby „było naturalniej”. I kiedy następnie widziałem jak siada na rower i puszcza się pędem, nie mogłem zdławić myśli, że ona śpieszy na spotkanie osoby, do której ledwie się odezwała.

Conajwyżej, kiedy jaka młoda piękność wysiadła z auta koło plaży, Albertyna nie mogła się powstrzymać aby się nie odwrócić. I tłumaczyła mi zaraz: „Patrzałam na nową flagę wywieszoną przy kąpielach. Mogliby się zdobyć na porządniejszą. Dawna była dość szmatława, ale ta to bodaj jeszcze większa tandeta”.

Raz Albertyna nie ograniczała się do chłodu i zadała mi tem większy ból. Wiedziała iż mnie to drażni, że mogłaby czasami spotykać przyjaciółkę ciotki, wyglądającą „podejrzenie” i spędzającą czasem parę dni u pani Bontemps. Albertyna rzekła pocziwie, że już się jej nie będzie klaniać. A kiedy ta osoba zjawiała się w Incarville, Albertyna mówiła: „A propos, wiesz że ona jest tutaj. Czy ci już mówiono?” jakby dla dowiedzenia, że jej nie widuje pokryjomu. Pewnego dnia, mówiąc to, dodała: „Tak, spotkałam ją na plaży, i umyślnie, chcąc być niegrzeczna, prawie otarłam się o nią, potrąciłam ją”. Kiedy Albertyna tak mówiła, przypomniało mi się pewne powiedzenie pani Bontemps, o którym nigdy później nie myślałem: kiedy mianowicie opowiadała przy mnie pani Swann, jaka jej siostrzenica jest bezczelna (tak jakby to była zaleta) i jak wypaliła jakiejś żonie urzędnika, że jej ojciec był kuchcią. Ale słowa osoby, którą kochamy, nie przechowują



się długo w czystym stanie; psują się, gniją. W dzień czy dwa później, znów myślałem o odezwaniu się Albertyny i już nie wydawało mi się ono cechą złego wychowania (którem się pyszniła i z którego mogłem się jedynie uśmiechnąć), ale zupełnie czem innym; pomyślałem, że Albertyna, może nawet bez określonego celu, aby podrażnić zmysły owej damy lub przypomnieć jej złośliwie dawne propozycje może przyjęte niegdyś — otarła się o nią szybko, myślała że ja się może dowiedziałem o tem (skoro to było publiczne) i chciała z góry uprzędzić niekorzystną interpretację.

Zresztą zazdrość moja, spowodowana przez kobiety, które Albertyna może kochała, miała nagle ustać.

\*

Siedzieliśmy we dwoje z Albertyną na stacji kolejki w Balbec. Przybyliśmy tam omnibusem hotelowym, z powodu niepogody. Niedaleko nas znajdował się p. Nissim Bernard; miał podbite oko. Zdradzał od jakiegoś czasu swoje dziecię z chórów *Atalji* na rzecz parobka sąsiedniej dosyć uczęszczanej fermy *Pod wiśniami*. Ten czerwony chłopak o grubych rysach robił zupełnie wrażenie, że zamiast głowy ma pomidor, ściśle podobny pomidor służył za głowę jego bliźniemu bratu. W takich doskonałych podobieństwach dwóch bliźniaków dosyć piękne dla bezinteresownego widza jest to, że natura, rzekłbyś chwilowo zindustrializowana, wydaje niejako seryjne produkty. Na nieszczęście, punkt widzenia pana Nissim Bernard był inny, a to podobieństwo było czysto zewnętrzne. O ile pomidor nr. 2 lubował się frenetycznie w wyłącznym uszczęśliwianiu dam, o tyle pomidor nr. 1 godził się zstępować do gustu niektórych panów. Otóż, za każdym razem, kiedy, wzruszony pamięcią szczęsnych chwil spędzonych z pomidorem nr. 1, p. Bernard zjawiał się *Pod wiśniami*, stary izraelita krótkowidz (i bez tego można było pomylić tych braci), grając bezwiednie *Amfitrjona*, zwracał się do bliźniaka i mówił: „Chcesz się ze mną pobawić dziś wieczór?” I dostawał natychmiast tęgie lanie. Powtarzało się to nawet w czasie jednego podwieczorku, gdy z drugim *podmiodorem* kontynuował rozmowę zaczęta z pierwszym. Z czasem obrzydziło mu to, przez skojarzenie pojęć, pomidory, nawet jadalne; tak że, ilekroć zdarzyło mu się słyszeć że jakiś gość przy sąsiednim stoliku zamawia w Grand-Hotelu pomidory, szeptał: „Przepraszam pana, że się ośmielam wtrącić, choć nieznamy. Ale słyszałem, że pan zamawia pomidory. Są dziś zgniłe. Mówię to w pańskim interesie, mnie to jest obojętne, nie jadam ich nigdy”. Obcy dziękował gorąco bezinteresownemu i życzliwemu sąsiadowi, odwoływał garsona, udawał że się rozmyślił. „Nie, stanowczo, pomidorów nie chcę”. Aimé, który znał tę scenę, śmiał się w duchu i myślał: „Ten stary pajac Bernard znów zdołał obrzydzić gościowi”.

P. Bernard, czekając na spóźniony pociąg, nie kwapił się witać z nami; żenowało go podbite oko. Nam jeszcze mniej było pilno do rozmowy. Byłoby to jednak nieuniknione, gdyby w tej chwili nie wpadł na nas pędem rower; zeskoczył z niego zdyszany lift-boy. W chwilę po naszym wyjeździe, pani Verdurin zatelefonowała żeby do niej przyjechał pojutrze na obiad; okaza się niebawem czemu. Następnie, przekazawszy mi szczegóły telefonu, chłopiec opuścił nas; jak owi demokratyczni „funkcjonariusze”, którzy wobec burżujów udają niezależność, między sobą zaś przywracają zasadę autorytetu, chcąc powiedzieć że odźwierny i stangret mogliby się wściekać w razie gdyby się spóźnił, dodał: „Muszę wracać z powodu moich zwierzchników”.

Przyjaciółki Albertyny wyjechały na jakiś czas. Chciałem ją rozerwać. Nawet przyjąwszy, że znajduje szczęście w spędzaniu popołudni tylko ze mną, wiedziałem że takie szczęście nigdy nie jest pełne, i że Albertyna, jeszcze będąc w wieku (pewni ludzie nie wyrastają z tego wieku nigdy) kiedy się nie odkryło, iż ta niedoskonałość tkwi w osobie doznającej szczęścia a nie w tej która je daje, mogłaby mnie przypisywać przyczynę swego zawodu. Woląłem raczej, aby ją przypisywała okolicznościom, które, skombinowane przezemnie, nie dawałyby nam łatwości pozostawiania sam na sam, nie pozwalając jednak Albertynie bywać bezemnie w kasynie i na didze. Toteż prosiłem ją tego dnia, aby mi towarzyszyła do Doncières, gdzie miałem odwiedzić Roberta. W tej samej myśli zatrudnienia Albertyny, doradziłem jej malarstwo, którego się uczyła niegdyś. Zajęta pracą, nie zastanawiała się nad tem, czy jest szczęśliwa czy nie. Byłbym ją także chętnie brał od czasu do czasu na obiad do Verdurinów lub do Cambremerów (i ci i ci przyjełliby

z pewnością chętnie osobę przedstawioną przezemnie), ale na to trzeba mieć pewność, że niema jeszcze w la Raspelière pani Putbus. Mogłem to sprawdzić jedynie na miejscu; że zaś wiedziałem, iż pojutrze Albertyna musi jechać w sąsiedztwo z ciotką, skorzystałem z tego aby wysłać depeszę do pani Verdurin z zapytaniem, czy mogłaby mnie przyjąć we środę. Gdybym zastał tam panią Putbus, postarałbym się zobaczyć jej pokojówkę, upewnić się czy grozi przyjazd jej do Balbec i w takim razie dowiedzieć się kiedy, aby tego dnia wywieźć Albertynę gdzieś daleko.

Kolejka robiła pętlę, która nie istniała jeszcze kiedy nią jechałem z babką; przejeżdżała obecnie przez Doncières-la-Goupil, wielką stację, skąd już wyjeżdżały prawdziwe pociągi, między innymi ekspress, którym przybyłem niegdyś do Roberta z Paryża i którym wróciłem. I z powodu niepogody, omnibus hotelowy odwiózł Albertynę i mnie na stację *Balbec-plage*.

Kolejki jeszcze nie było, ale widziało się leniwy i gnuśny pióropusz dymu który została w drodze a który teraz — niezbyt lotna chmura — zdany na własne środki wspinał się wolno po zielonych stokach Criquetot. Wreszcie małe pociąg — który ów dym wyprzedził, aby się wzbici pionowo — przybył z wolna. Czekający podróżni usunęli się aby mu zrobić miejsce, bez pośpiechu, wiedząc że mają do czynienia z pocziwym piechurkiem — niemal ludzką istotą — który, prowadzony, niby rower początkującego cyklisty, życzliwymi sygnałami naczelnika stacji, pod potężną opieką maszynisty, nie groził wywróceniem nikogo i zatrzymałby się w razie potrzeby.

Depesza tłumaczyła telefon Verdurinów i trafiła doskonale, ile że we środę (pojutrze była właśnie środa) był stale wielki obiad u pani Verdurin w la Raspelière, jak w Paryżu, o czym nie wiedziałem. Pani Verdurin nie wydawała „obiadów”, ale miała „środy”. Jej środy to były dzieła sztuki. Wiedząc że nie mają nigdzie równych sobie, pani Verdurin wprowadzała w nie odcienie. „Ostatnia środa była mniej udana od poprzedniej — mówiła. Ale sądzę, że następna będzie jedną z najlepszych, jakie u siebie pamiętam”. Czasem przyznawała się wprost: „Ta środa nie była na wysokości. Ale obiecuję wam wielką niespodziankę na następną”. W ostatnich tygodniach paryskiego sezonu, przed wyjazdem na wieś, pani domu oznajmiała koniec *śród*. Była to sposobność do pobudzenia wiernych. „Już tylko trzy środy, już tylko dwie — mówiła tonem takim, jakby się świat miał skończyć. Nie opuści pan chyba przyszłej środy: to będzie pożegnalna”. Ale ten pożegnalny charakter był sztuczny, bo pani Verdurin uprzedzała: „Oficjalnie nie ma już *śród*. To była ostatnia w tym roku. Ale i tak będę w domu we środę. Będziemy środowali w swoim kółku; kto wie, te małe prywatne środy będą może najprzyjemniejsze”. W la Raspelière środy były z konieczności ograniczone; że zaś, spotkawszy jakiegoś znajomego bawiącego przejazdem, zapraszało się go na ten lub inny wieczór, środa była prawie codzien. „Nie przypominam już sobie dokładnie nazwisk, ale wiem, że będzie margrabina de Camembert”, powiedział *lift*; wszelkie wyjaśnienia dotyczące Cambremerów nie zdołały wyprzeć w nim dawnej nazwy, której znane i pełne znaczenia sylaby przychodziły z pomocą młodemu funkcjonariuszowi, kiedy miał kłopot z tem trudnym nazwiskiem, i natychmiast przekładał je nad tamte i wracał do nich, nie przez lenistwo i nałóg, ale przez potrzebę logiki i jasności, jakiej sylaby te czyniły zadość.

Śpieszyliśmy czempredzej zająć pusty wagon, gdziebym mógł całować Albertynę przez całą drogę. Nie znalazłszy takiego, wsiedliśmy do przedziału, gdzie już była zainstalowana dama o olbrzymiej twarzy, brzydka, stara i jakby męska, bardzo wysztafirowana i czytająca „Revue des Deux-Mondes”. Mimo całej pospolitości, była pretensjonalna w swoich gustach; dociekałem dla zabawy, do jakiej klasy społecznej mogłaby należeć; zdecydowałem rychło, że to musi być jakaś gospodyni wielkiego domu publicznego, stręczycielka w podróży. Jej twarz, jej wzięcie krzyczały wprost o tem. Nie wiedziałem tylko, że owe damy czytają „Revue des Deux-Mondes”. Albertyna wskazała mi ją z uśmiechem, nie bez znaczącego przymrużenia oka. Dama zachowała minę nadzwyczaj godną; że zaś ja znowuż miałem świadomość, iż jestem na jutro proszony — krańcowy punkt kolejki — do sławnej pani Verdurin, że na pośredniej stacji oczekuje mnie Robert de Saint-Loup i że nieco dalej zrobiłbym wielką przyjemność pani de Cambremer zjeżdżając na dłużej do Féterne, oczy moje błyszczały ironią na widok tej imponującej damy, uważającej widocznie, że jej wyszukana toaleta, pióra na kapeluszu i „Revue des Deux Mondes” czynią

z niej figurę ważniejszą odemnie! Miałem nadzieję, że dama ta nie zostanie w wagonie o wiele dłużej od pana Nissima Bernard i że wysiądzie bodaj w Toutainville; ale nie. Pociąg zatrzymał się w Evreville, ona wciąż siedziała. Tak samo w Montmartin-sur-Mer, w Parville-la-Bingard, w Incarville; tak iż z rozpaczy, kiedy pociąg opuścił Saint-Frichoux, ostatnią stację przed Doncières, zacząłem ścisnąć Albertynę, nie troszcząc się o damę. W Doncières, Saint-Loup wyszedł po mnie na dworzec, z największymi trudnościami, jak powiedział, bo mieszkał u ciotki, depeszę moją dostał dopiero w tej chwili, i nie przygotowawszy się na to zawczasu, mógł mi poświęcić ledwie godzinę. Ta godzina wydała mi się, niestety, o wiele za długa, bo ledwie wysiedliśmy z wagonu, Albertyna zajęta była już tylko Robertem. Nie rozmawiała ze mną, ledwo odpowiadała kiedym się do niej zwracał, odepchnęła mnie kiedym się zbliżył. W zamian za to z Robertem śmiała się swoim kusicielskim śmiechem, paplała z nim bez końca, bawiła się z jego psem, a drażniąc się ze zwierzęciem, ocierała się umyślnie o pana. Przypomniałem sobie, że w dniu kiedy Albertyna pozwoliła mi się pierwszy raz pocałować, przesałem uśmiech wdzięczności nieznanemu uwodzicielowi, który spowodował w niej zmianę tak głęboką i tak mi ułatwił zadanie. Teraz myślałem o nim ze zgrozą.

Robert musiał sobie zdać sprawę, że Albertyna nie jest mi obojętna, bo nie odpowiadał na jej zaloty, co ją nastroiło wrogo dla mnie; potem zaczął rozmawiać ze mną tak jakbym był sam, co znów podniosło mnie w oczach Albertyny, kiedy to spostrzegła. Robert spytał, czy nie mam ochoty spotkać się z kolegami, z którymi jadaliśmy swego czasu co wieczór w Doncières; z tymi przynajmniej, którzy tam byli jeszcze. Że zaś sam nasiąkł drażniaco-pretensjonalną gwarą, którą potępiał, mówił: „Na co ci się zdało tak wytrwale *uprawiać* na nich *swoje czary*, jeżeli nie chcesz ich widzieć?” Odmówiłem, bo nie chciałem się rozstawać z Albertyną, ale także dlatego, że już odszedłem od nich. Od nich, to znaczy od siebie. Pragniemy namiętnie aby istniało drugie życie, gdziebyśmy byli podobni do tego czem jesteśmy na ziemi. Ale nie zastanawiamy się, że nawet nie czekając drugiego życia, w obecnym naszym życiu, po upływie kilku lat, jesteśmy niewierni temu czem byliśmy przedtem, czem pragnęliśmy zostać wiecznie. Nawet przyjmując że śmierć zmieniałaby nas nie więcej niż te zmiany zachodzące w ciągu życia, gdybyśmy w tem drugim istnieniu spotkali owo ja którym byliśmy niegdyś, odwróciłibyśmy się od siebie samych, niby od osób, z którymi było się w stosunkach niegdyś, ale których nie widziało się od dawna — jak naprzykład przyjaciół Roberta, których tak miło było mi spotykać co wieczór w *Faisan Doré*, a których towarzystwo byłoby mi teraz uciążliwe i męczące. Z tego punktu widzenia, i dlatego żem wolał nie szukać tego co mi niegdyś było miłe, wycieczka do Doncières mogłaby mi zawczasu uprzytomnić przybycie do Raju. Dużo się marzy o Raju, lub raczej o licznych kolejnych rajach, ale to są wszystko — o wiele przed naszą śmiercią — raje stracone, gdzieby się człowiek czuł jak zabłąkany.

Saint-Loup zostawił nas na stacji. „Ale ty możesz tu mieć blisko godzinę czekania — rzekł. Jeżeli spędzisz tę godzinę tutaj, ujrzysz z pewnością wuja Charlus, który ma jechać pociągiem paryskim, dziesięć minut przed twoim. Już się z nim pożegnałem, bo muszę wracać przed odejściem jego pociągu. Nie mogłem mu powiedzieć o tobie, bo nie dostałem jeszcze wówczas twojej depeszy”.

Na wymówki, jakimi obsypałem Albertynę kiedy nas Saint-Loup pożegnał, odpowiedziała, że chłodem swoim w stosunku do mnie chciała na wszelki wypadek zatrzeć wrażenie jakie Robert mógłby odnieść, w razie gdyby, w chwili gdy pociąg stawał, widział mnie wspartego o nią i obejmującego ją czule. Saint-Loup zauważył w istocie tę pozę (nie spostrzegłem go, inaczej byłbym usiadł przyzwoiciej) i zdążył szepnąć mi do ucha: „Więc to są te gąski, o których mi mówiłeś, co to nie chciały zadawać się z panną de Stermaria, bo uważały że ma podejrzane maniery?” Powiedziałem w istocie Robertowi, i bardzo szczerze — wówczas kiedym się wybrał do niego z Paryża do Doncières i kiedysmy wspominali Balbec — że nie da się nic wskórać z Albertyną, że to wcielona cnota. A teraz, kiedym się oddawna przekonał osobiście, że to nieprawda, tembardziej pragnąłem, aby Robert tak myślał. Wystarczyłoby mi powiedzieć Robertowi, że kocham Albertynę. Był z rzędu ludzi, zdolnych sobie odmówić przyjemności, aby oszczędzić przyjacielowi cierpień, któreby odczuli jak własne. „Tak, ona jest straszny dzieciak. Ale ty nie wiesz o niej nic? — dodałem niespokojnie. — Nic, poza tem, że was widziałem gruchających jak para gąłbków”.

— Twoje zachowanie się nie zatarło nic a nic — rzekłem do Albertyny, gdy Saint-Loup nas pożegnał.

— To prawda — rzekła; — byłam niezręczna, zrobiłam ci przykrość, bardziej nad cię cierpię od ciebie. Zobaczysz, że już nigdy nie będę taka, daruj — rzekła, podając mi rękę ze smutną minką.

W tej chwili, z głębi sali czekalnej, gdzieśmy siedzieli, ujrzałem przechodzącego z wolna pana de Charlus, za którym w pewnej odległości tragarz niósł walizy.

W Paryżu, gdzie go spotykał tylko na wielkich przyjęciach, nieruchomego, opiętego we frak, wyprostowanego dumnie i utrzymywanego w tej postawie żądzą podobania się, racami swojej wymowy, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się postarzał. Teraz, gdy w jasnym ubraniu podróżnym, które go pogrubiało, szedł wyginając się, kołysząc wypukły brzuszeczek oraz niemal symboliczne siedzenie, wszystko to, co w sztucznym świetle imitowałoby świeżość cery młodego jeszcze człowieka, w okrucieństwie jasnego dnia rozkładało się na wargach na szminkę, na nosie na puder utrwalony coldkremem, a na czernidło na malowanych wąsach, których hebanowy kolor klócił się z siwiejącymi włosami.

Rozmawiając z baronem, ale krótko (bo pociąg jego odchodził), zerkalem ku Albertynie, dając znak, że zaraz przyjdę. Kiedym się znów zwrócił do pana de Charlus, poprosił, abym zechciał zawołać żołnierza, jego krewnego, który stał po przeciwnej stronie szyn, tak jakby miał wsiąść do naszego pociągu, ale w odwrotnym kierunku, w kierunku oddalającym się od Balbec. „On służy w muzyce pułkowej — rzekł p. de Charlus. — Jesteś, szczęśliwco, na tyle młody, ja zaś natyle stary, że mógłbyś mi oszczędzić kłopotu przechodzenia przez szyny”. Posłusznie udałem się w kierunku żołnierza i w istocie po haftowanych lirach na kołnierzu poznałem że służy w muzyce. Ale w chwili gdy się miał wywiązać ze zlecenia, jakież było moje zdumienie — mogę rzec radość kiedym stwierdził, że to jest Morel, syn kamerdynera mojego wuja, nasuwający mi tyle wspomnień. Zapomniałem o zleceniu pana de Charlus. „Jakto, pan w Doncieres? — Tak, wcielono mnie do muzyki w pułku artylerji”. Morel powiedział to oschle i wyniośle. Zrobił się wielki „pozer”, a oczywiście mój widok, przypominając mu zawód ojca, nie był mu przyjemny. Naraz ujrzałem pana de Charlus spadającego na nas. Zwłoka zniecierpliwiła go widocznie. „Chciałbym dziś posłuchać trochę muzyki — rzekł bez wstępów do Morela; — daję 500 franków za wieczór; możeby to zainteresowało kogoś z pańskich przyjaciół, o ile pan ich ma w pułkowej orkiestrze”. Mimo iż znałem impertynencję pana de Charlus, zdumiałem się, że on się nawet nie przywitał ze swoim młodym przyjacielem. Baron nie zostawił mi zresztą czasu na refleksje. Podając mi przyjaźnie rękę, rzekł: „Do widzenia, drogi panie”, aby zaznaczyć, że się mam zabierać. Zostawiłem zresztą aż nazbyt długo drogą Albertynę. „Patrz — rzekłem jej wracając do wagonu — życie kąpielisk i podróży dowodzi, że teatr świata rozporządza mniejszą ilością dekoracji niż aktorów, i mniejszą ilością aktorów niż »sytuacją«. — Z powodu czego to mówisz? — Bo p. de Charlus prosił mnie, żebym mu sprowadził jednego z jego przyjaciół, w którym właśnie przed chwilą, na peronie, poznałem znajomego”.

Ale, mówiąc to, zastanawiałem się, w jaki sposób baron mógł odgadnąć dysproporcję socjalną, o której nie pomyślałem. Przyszło mi zrazu na myśl, że to przez Jupiena, którego córka (jak czytelnik pamięta) wydawała się zajęta skrzypkami. Bardziej jeszcze zdumiało mnie, że na pięć minut przed odjazdem do Paryża, baron pragnie słuchać muzyki. Ale oglądając w pamięci córkę Jupiena, zaczynałem uważać, że „spotkania” wyrażałyby przeciwnie znaczną część życia, gdybyśmy się umieli posunąć do prawdziwej romantyczności; naraz doznałem olśnienia; zrozumiałem, że był bardzo naiwny. P. de Charlus nie znał ani trochę Morela, ani Morel pana de Charlus, który, olśniony ale zarazem onieśmielony mundurem — mimo że Morel miał na wyłogach tylko lirę — prosił mnie, w swoim wzruszeniu, abym mu sprowadził tego młodego człowieka, nie podejrzewając że go mogę znać. W każdym razie, ofiarowane pięćset franków musiało zastąpić u Morela brak uprzednich stosunków, bo ujrzałem jak rozmawiali z baronem dalej, nie myśląc o tem że są tuż koło naszego pociągu. Przypominając sobie sposób, w jaki p. de Charlus podszedł do Morela i do mnie, ujrzałem w tem podobieństwo z niektórymi krewnymi barona, kiedy zaczepiali kobietę na ulicy. Przedmiot zmienił jedynie płęć. Począwszy od pewnego wieku — nawet przy bardzo specjalnej ewolucji charakteru — im bardziej się człowiek

staje sobą, tem silniej akcentują się w nim rysy rodzinne. Bo natura, tkając harmonijnie desenę swego dywanu, urozmaica monotonię kompozycji, dzięki różnaitości krzyżujących się wzorów. Zresztą wyniosłość z jaką p. de Charlus potraktował skrzypka, jest względna, zależnie od punktu widzenia jaki zajmujemy. Zrozumiałoby ją trzy czwarte światowców, którzy się gięli przed baronem, ale nie prefekt policji, który w kilka lat później kazał go nadzorować.

„Pociąg do Paryża wjeżdża, proszę pana — rzekł tragarz niosący walizy barona. — Ależ ja nie jadę, proszę oddać to wszystko na bagaż, cóż u diabła!” — wykrzyknął p. de Charlus, dając dwadzieścia franków tragarzowi, zdumionemu nagłą odmianą i oczarowanemu napiwkami. Hojność ta ściągnęła natychmiast kwiaciarke. „Niech pan weźmie te goździki, o jaka piękna róża, mój dobry panie, to panu przyniesie szczęście”. P. de Charlus, zniecierpliwiony, wręczył jej dwa franki, w zamian za co kobieta ofiarowała swoje błogosławieństwa, i kwiaty w naddatku. „Mój Boże, gdyby ona mogła nas zostawić w spokoju — rzekł p. de Charlus zwracając się ironicznym i boleściwym tonem, jak człowiek mocno zdenerwowany, do Morela, znajdując słodycz w tem, aby w nim szukać opieki. — To co sobie mamy do powiedzenia jest i tak dosyć skomplikowane”. Może zawiadowca stacji był jeszcze za blisko, a panu de Charlus nie zależało na licznych audytorjum; może te dygresje pozwalały jego wyniosłej nieśmiałości nie formułować zbyt nagle swoich propozycji. Zwracając się ze stanowczą i rozkazującą miną do kwiaciarke, muzyk podniósł dłoń, jakgdyby odsuwając ją i stwierdzając że jej kwiaty są niepożądane i że ma się coprędzej wynosić. P. de Charlus ujrzał z zachwytem ten stanowczy i męski gest, wyrażony zgrabną ręką, dla której zdawał się jeszcze za ciężki, zbyt masywny i brutalny; ręką zdradzającą ową przedwczesną energię i gibkość, które czyniły tego gołowasa podobnym do młodego Dawida, zdolnego podjąć walkę z Goljatem. Podziw barona mimowoli łączył się z owym uśmiechem, jaki mamy widząc u dziecka wyraz powagi ponad jego wiek. „Lubiłbym mieć takiego chłopca do towarzystwa w podróży i do pomocy w interesach. Jakby on uprościł moje życie!” — pomyślał p. de Charlus.

Pociąg paryski (do którego baron nie wszedł) odjechał. Potem my wsiedliśmy z Albertyną do naszego, tak iż nie mogłem wiedzieć, co się stało z panem de Charlus i z Morelem.

— Nie powinniśmy się już nigdy gniewać z sobą, przepraszam cię jeszcze raz — rzekła Albertyna, robiąc aluzję do sceny z Robertem. — Trzeba żebyśmy zawsze byli dobrzy dla siebie — rzekła czule. — Co się tyczy twojego przyjaciela, jeżeli sądzisz, że on mnie interesuje w jakiejbądź mierze, bardzo się mylisz. Podoba mi się w nim tylko to, że on ciebie wyraźnie tak kocha.

— Bo to jest bardzo dobry chłopiec — rzekłem strzegąc się użyć Robertowi urojonych przewag, czego bym nie omieszkał uczynić przez przyjaźń dla niego, w razie gdybym mówił do kogo innego, nie do Albertyny. — To człowiek zacny, szczery, oddany, lojalny, na którego można we wszystkim liczyć.

Mówiąc to, ograniczyłem się — powściągnięty zazdrością — do mówienia o Robertcie prawdy, ale też to com mówił było prawdą. Otóż, prawda ta wyrażała się ściśle w tych samych określeniach, jakich, mówiąc o nim, użyła pani de Villeparisis, wówczas gdy jeszcze nie znałem Roberta, kiedym go sobie wyobrażał tak innym, tak wyniosłym, i kiedym sobie powiadał: „Mówi się że jest dobry, bo jest wielki pan”. Tak samo, kiedy mi pani de Villeparisis powiedziała: „Byłby tak szczęśliwy”, wyobraziłem sobie, ujrawszy Roberta wsiadającego przed hotelem do kabrioletu, że słowa ciotki były prostym towarzyskim banałem, mającym mi pochlebić. I zrozumiałem później, że ona mówiła szczerze, myśląc o tem co mnie interesowało, o moich lekturach, dlatego że wiedziała że właśnie Robert ubóstwia to wszystko, tak samo jak mnie się zdarzyło powiedzieć szczerze komuś piszącemu historję swego przodka La Rochefoucauld, autora *Maksym*, i pragnącemu prosić Roberta o radę: „Będzie tak szczęśliwy”. Bo nauczyłem się go znać. Ale widząc go pierwszy raz, nie przypuszczałem, aby inteligencja pokrewna mojej mogła się łączyć z takim wykwintem stroju i wzięcia. Sądziłem Roberta z jego upierzenia jak istotę innego gatunku. I teraz Albertyna, może trochę dlatego, że Saint-Loup, przez dobroć dla mnie, był z nią tak chłodny, powiedziała to, com ja myślał niegdyś: „A, taki jest oddany! Uważam, że odkrywa się zawsze wszystkie cnoty w ludziach, kiedy są z arystokracji”. Otóż, o tem że Saint-Loup jest arystokratą, że jest z faubourg Saint-Germain, o tem nie pomyśla-

lem ani razu w ciągu tych lat, w których odzierając się ze swoich przewag, ukazał mi swoje przymioty. Typowa zmiana perspektywy w patrzeniu na ludzi, już bardziej uderzająca w przyjaźni niż w zwykłych stosunkach, ale o ileż bardziej jeszcze w miłości, gdzie pragnienie posiada tak szeroką skalę, tak wyolbrzymia najłżejsze oznaki chłodu, że wystarczyło mi ich o wiele mniej niż w pierwszej chwili poznania Roberta, abym od razu uwierzył że Albertyna mną gardzi, abym sobie wyroił jej przyjaciółki jako istoty cudownie nieludzkie, i abym jedynie pobłażaniem Elstira dla urody i dla pewnej elegancji tłumaczył sobie jego sąd, kiedy mówił o małej „bandzie” zupełnie w tym samym duchu co pani de Villeparisis o Robercie: „To dobre dziewczęta”. Otóż czyż ten sąd nie pokrywał się z sądem, jaki byłbym skłonny wydać teraz, kiedym usłyszał z ust Albertyny te słowa: „Niech będzie wreszcie jaki chce, mam nadzieję nie ujrzeć go już na oczy, skoro był powodem zwady między nami. Nie trzeba się już kłócić. To nie ładnie”.

Fakt że Albertyna zdawała się pożądliwie spoglądać na Roberta, uleczył mnie niemal na jakiś czas z posądzania jej o skłonność do kobiet; jedno wydawało mi się nie do pogodzenia z drugim. I wobec gumowego płaszcza Albertyny, w którym była jakby inną osobą, niestrudzoną pielgrzymką dżdżystych dni, płaszcza który, przylegający ściśle, podatny i szary, zdawał się w tej chwili nietyle chronić jej suknię od wody, ile, zmoczony wodą, oblepiać ciało tak jakby miał zdejmować odcisk jej kształtów dla jakiego rzeźbiarza, zdarłem tę tunikę, zazdrośnie obejmując upragnioną pierś, i przyciągając Albertynę, rzekłem: „Czy nie chcesz, ty, senna podróżniczko, pomarzyć skłoniwszy głowę na moim ramieniu?” Tak rzekłem, ujmując jej głowę w ręce i wskazując wielkie łąki zalane i nie-me, rozciągające się w zapadającym zmierzchu aż po widnokrąg, zamknięty równoległymi łańcuchami dalekich i sinych pagórków.

Pojutrze, w sławną środę, w tej samej kolejce, do której wsiadłem w Balbec aby się udać na obiad do Raspelière, pilnowałem się bardzo, aby nie przesłepić doktora Cottard w Graincourt-Saint-Vast, gdzie, w myśl nowego telefonu od pani Verdurin, miałem go spotkać. Miał wsiąść do mojego pociągu i pokazać mi gdzie trzeba wysiąść aby zastać powozy, wysłane z la Raspelière na stację. Ponieważ kolejka zatrzymywała się tylko chwilę w Graincourt (pierwszej stacji po Doncières), zawczasu stanąłem w oknie, tak dalece się bałem, że nie zobaczę Cottarda lub że on mnie nie zobaczy. Próżne obawy! Nie zdałem sobie sprawy, do jakiego stopnia „klanik” urobił wiernych wedle jednego wzoru, tak że wszystkich — zresztą w galowych strojach — łatwo było rozpoznać na peronie po specjalnym wyrazie pewności siebie, szyku i poufaleści, po spojrzaniach, które przebywały — niby pustą przestrzeń, niczem nie zatrzymującą uwagi — zwarte szeregi pospolitej publiczności, śledząc pojawienie się jakiegoś wiernego, który wsiadł na poprzedniej stacyjce, i iskrząc się zawczasu bliską rozmową. Ta cecha wybranych, którą koleżeństwo obiadów naznaczyło członków „paczki”, odróżniała ich nietylko wówczas, kiedy, będąc w przeważającej liczbie, skupili się, tworząc świetniejszą plamę pośród gromady podróżnych — Brichot nazywał ich *pecus* — na których martwych twarzach nie można było wyczytać żadnej wiedzy o Verdurinach, ani nadziei obiadu w la Raspelière. Zresztą ci pospolici podróżni mniej byliby przejęci odemnie, gdyby przy nich wymówiono nazwiska „wiernych”, mimo że niektóre były sławne: co do mnie, podziwiałem, że oni wciąż chodzą na prośzone obiady, gdy wielu z nich czyniło to — wedle tego com wiedział z tradycji — przed moim urodzeniem, w epoce natyle odległej i mglistej zarazem, że byłem skłonny przeceniać jej dawność. Kontrast między trwaniem nietylko ich sposobu życia ale i pełni ich sił, a zagładą tylu przyjaciół, którzy już w moich oczach znikli, budził we mnie to samo uczucie, jakiego doznajemy, kiedy w „ostatnich wiadomościach” dziennika wyczytamy nowinę, którejśmy się najmniej spodziewali, naprzykład o jakimś zgonie przedwczesnym i dla nas przypadkowym, bo jego przyczyny pozostały nam nieznanne. Rodzi się stąd uczucie, że śmierć nie dosięga równocześnie wszystkich ludzi, ale że dalej wysunięta fala jej tragicznego przypływu porywa życie znajdujące się na poziomie innych, które długo jeszcze oszczędzą następne fale. Ujrzymy zresztą później, że rozmaitość krążących niewidzialnie śmierci jest przyczyną specjalnej niespodzianki, jaką stanowi w dziennikach rubryka nekrologów.

Następnie zrozumiałem, że z czasem nietylko rzeczywiste dary, mogące współlistnieć z najgorszą trywialnością rozmowy, ujawniają się i narzucają, ale również to że mierne jednostki dochodzą do wysokich stanowisk, związanych w wyobraźni naszego dziecięc-

twa z jakimiś sławnymi starcami, przyczem nie zastanawialiśmy się, że po pewnej ilości lat staną się nimi ich uczniowie, zostawszy mistrzami i budzący teraz cześć i lęk, jakie sami odczuwali niegdyś. Ale jeżeli *pecus* nie znał nazwisk wiernych, wygląd ich wszelako ściągał oczy gminu. Nawet w pociągu (kiedy traf zgromadził ich owego dnia razem, tak że mieli już tylko zabrać na najbliższej stacji jakiegoś „odyńca”), wagon w którym znaleźli się społem, sygnowany przez lokicie rzeźbiarza Skiego, powiewający flagą *Temps* w rękach Cottarda, zakwitał zdaleka jak luksusowy wóz i wabił na właściwej stacyjce zapóźnionego kompana. Jedynym, którego uwagi mogłyby ująć te znaki ziemi obiecanej, był Brichot, a to z przyczyny całkowitej niemal ślepoty. Ale też jeden z wiernych obejmował dobrowolnie wobec niewidomego profesora funkcje czatownika: z chwilą gdy ujrano jego słomkowy kapelusz, zielony parasol i niebieskie okulary, kierowano go łagodnie i z pośpiechem ku uprzywilejowanemu wagonowi. Tak iż nie zdarzało się, aby który z wiernych, bez ściągnięcia najcięższych posądzeń o „lumpkę” lub wręcz o to że nie przyjechał pociągiem, nie odnalazł kompanów w ciągu drogi. Czasem zdarzało się coś przeciwnego: wierny musiał jechać dość daleko w ciągu popołudnia i tem samym odbył część drogi sam, zanim się połączył z gromadką; ale nawet odosobniony w ten sposób, sam ze swego gatunku, sprawiał pewne wrażenie. Przyszłość ku której płynął, zwracała nań uwagę osoby siedzącej naprzeciwko, która powiadała sobie: „To musi być nie byle kto”; dostrzegła, bodaj dokoła miękkiego kapelusza Cottarda lub rzeźbiarza lekką aureolę i nie była zanadto zdziwiona, kiedy na następnej stacji elegancki tłum (o ile to był końcowy punkt podróży) witał „wiernego” u drzwiczek wagonu i szedł wraz z nim do czekających na stacji powozów, wśród niskich ukłonów urzędnika stacji Doville. O ile to było na wcześniejszej stacji, tłum ten wdzierał się do wagonu. Co właśnie uczyniła — i to z pośpiechem, bo wielu przybyło późno, w chwili gdy pociąg już stojący na stacji miał ruszać — gromada, którą Cottard wiódł biegiem ku wagonowi, widząc w oknie moje sygnały.

Brichot, znajdujący się pośród tych „wiernych”, stał się tem wierniejszy w ciągu lat, które zmniejszyły gorliwość wielu innych. Słabnący stopniowo wzrok kazał mu, nawet w Paryżu, coraz bardziej ograniczać wieczorną pracę. Nie czuł zresztą sympatji do Nowej Sorbony, w której niemiecka ścisłość naukowa zaczynała górować nad humanizmem. Ograniczał się teraz wyłącznie do wykładów i do komisji egzaminacyjnych, toteż mógł wiele czasu poświęcić życiu światowemu, to znaczy wieczorom u Verdurinów, lub tym, które ktoś z wiernych, drżąc z emocji, wyprawiał czasem dla Verdurinów. Prawda, że na dwa zawody miłość omal nie sprawiła tego, czego nie mogła już uczynić praca, grożąc wyrwaniem Brichota z „paczki”. Ale pani Verdurin miała oko; zresztą, przywykły do tego dla dobra swego salonu, z czasem zaczęła znajdować bezinteresowną przyjemność w tego rodzaju dramatach i egzekucjach. Poróżniła tedy Brichota bez ratunku z niebezpieczną osobą, umiejac — jak mówiła — „zrobić porządek” i „wypalić ranę rozżarzonem żelazem”. Z jedną z niebezpiecznych osób poszło jej łatwo, ile że to była poprostu praczka Brichota: pani Verdurin, mającej o każdej porze wstęp na piąte piętro profesora, szkarłatnego z dumy kiedy raczyła wstąpić pod jego dach, wystarczyło poprostu wyrzucić za drzwi tę prostą kobietę. „Jakto — rzekła pryncypałka do Brichota — kobieta taka jak ja czyni panu ten zaszczyt że bywa u pana, a pan przyjmuje taką kreaturę?” Brichot nie zapomniał nigdy usługi, jaką mu oddała pani Verdurin, nie pozwalając jego starości ugrzęznąć w błocie; przywiązywał się do niej coraz bardziej, podczas gdy przez kontrast z tym przyływem przyjaźni i może z jego powodu — pryncypałka zaczęła sobie brzydzić nazbyt uległego „wiernego”, oraz posłuszeństwo, którego pewna była zgóry.

Ale zadowienie u Verdurinów dawało Brichotowi blask, który go wyróżniał wśród kolegów w Sorbonie. Byli olśnieni opowiadaniem o obiadach, na które sami nie dostaną się nigdy, wzmiankami o Brichocie w artykułach lub jego portretem w Salonie — pióra głośnego pisarza lub pendzla malarza, których talent inne filary Fakultetu ceniły, nie mając widoków ściągnięcia ich uwagi. Imponowała im wreszcie elegancja światowego filozofa, którą brali zrazu za zaniedbanie, aż im kolega dobrotliwie wytłumaczył, że cylinder można stawiać w czasie wizyty na podłodze, nie jest zaś on na miejscu na wsi, choćby na najwytworniejszym obiedzie: wówczas zastępuje go miękki kapelusz, bardzo odpowiedni do smokinga.

Przez pierwsze sekundy kiedy gromadka pakowała się do wagonu, nie mogłem nawet mówić z Cottardem, zdyszany nie tyle tem że biegł aby dopaść pociągu, ile tem że go złapał na czas. To było więcej niż radość że się coś powiodło; była to niemal wesołość z udanego figla. „Haha, to paradne! — rzekł doktor ochłonawszy nieco. — Jeszcze chwila! Tam do licha! to nazywam znaleźć się w kropce!” — dodał mrużąc oko, nie aby wyrazić wątpliwość czy wyrażenie jest trafne — bo doktor aż kipiał pewnością siebie — ale aby dać folgę swemu zadowoleniu.

Wreszcie profesor mógł mnie zapoznać z resztą „paczki”. Z przykrością ujrzałem, że prawie wszyscy są w stroju, który w Paryżu nazywa się smokingiem. Zapomniałem, że Verdurinowie zaczynali odbywać nieśmiałą ewolucję w kierunku „świata”, opóźnioną przez sprawę Dreyfusa, przyspieszoną przez „nową” muzykę; ewolucję której zresztą przeczyli i której mieli przeczyć aż do osiągnięcia celu. To były niby operacje wojenne, które wódz oznajmia aż wówczas kiedy ich dokonał, aby nie wyglądać na pobitego o ile mu się nie udadzą. Świat był zresztą bardzo skłonny wyjść naprzeciw Verdurinów. Na razie widział w nich ludzi, u których nie bywa nikt z towarzystwa, ale którzy się tem bynajmniej nie martwią. Salon ich uchodził za świątynię muzyki. To tam — twierdzono — Vinteuil znalazł natchnienie, zachętę. Otóż, o ile sonata Vinteuila była wciąż całkowicie niezrozumiana i prawie nieznaną, nazwisko jego, wymawiane jako nazwisko największego współczesnego muzyka, miało ogromny urok. Niektórzy panicze z arystokracji uznali że powinni być tak wykształceni jak „osoby z miasta”; było między nimi trzech, którzy studjowali muzykę i u których sonata Vinteuila cieszyła się olbrzymią reputacją. Wróciwszy do domu, opowiadali o niej inteligentnej matce, której zawdzięczali bodziec artystyczny. I matki te, interesując się studjami synów, patrzyły na koncercie z odcieniem szacunku na panią Verdurin, która w łoży tuż przy scenie śledziła partyturę.

Dotąd, ta utajona światowość Verdurinów wyraziła się dopiero dwoma faktami. Z jednej strony, pani Verdurin mówiła o księżnej de Caprarola: „O, to osoba inteligentna, bardzo miła kobieta. Czego nie mogę znieść, to głupców, nudziarzy; przyprowadzają mnie o szaleństwo”. Z czego sprytniejszy trochę człowiek odgadłby może, że księżna de Caprarola, osoba z największego świata, była z wizytą u pani Verdurin. Wymówiła nawet nazwisko Verdurinów w czasie wizyty kondolencyjnej, jaką złożyła pani Swann po śmierci męża, i spytała Odety czy ich zna. „Jak pani powiada? — odparła Odeta z miną nagle posmutniałą. — Verdurin. — Och, już wiem — rzekła boleściwie tamta — nie znam ich, lub raczej znam ich pośrednio, spotykałam ich niegdyś u znajomych, dawno temu, to mili ludzie”. Skoro księżna de Caprarola wyszła, Odeta żalowała, że nie powiedziała po prostu prawdy. Ale doraźne kłamstwo nie było wynikiem rachuby, lecz syntezą jej obaw i pragnień. Przeczyła nie temu czemu zrzęcniej było zaprzeczyć, ale temu co chciałaby wymazać, nawet gdyby interlokutor miał się dowiedzieć za godzinę, że naprawdę istniało. Wkrótce potem odzyskała pewność siebie, uprzedzała nawet pytania, aby się nie zdawało że się ich boi: „Pani Verdurin? ależ oczywiście, znałam ją bardzo dobrze” mówiła z afektowaną prostotą wielkiej damy, która opowiada że wsiadła do tramwaju. „Dużo mówią o Verdurinach od jakiegoś czasu” — mówiła pani de Souvré. Na co Odeta z uśmiechem arystokratycznej wzgardy odpowiadała: „Ależ tak, zdaje się w istocie że dużo o nich mówią. Od czasu do czasu zjawiają się w towarzystwie tacy nowi ludzie” — mówiła, bez poczucia że sama jest jedną z najnowszych. „Księżna de Caprarola była u nich na obiedzie podjęła pani de Souvré. — A, odparła Odeta podkreślając słowa uśmiechem — to mnie nie dziwi. Zawsze od księżnej Caprarola zaczynają się te rzeczy, a potem przychodzi druga, na przykład hrabina Molé”. Odeta mówiła z odcieniem najwyższej wzgardy dla tych dwóch wielkich dam, mających zwyczaj „osuszać tynk” w świeżo otwartych salonach. Czuć było z tonu, że to znaczy, iż jej samej, jak i pani de Souvré, nie wzięłoby się na to.

Po uznaniu dla inteligencji księżnej Caprarola, jakie wyraziła pani Verdurin, drugim znakiem, że Verdurinowie mieli świadomość swego przyszłego losu, był fakt, iż bardzo tego pragnęli (rozumie się nie żądali tego formalnie) aby przychodzić do nich na obiad w wieczorowym stroju. Siostrzeniec pana Verdurin, ten którego „naprhali”, mógłby mu się teraz ukłonić bez wstydu.

Wśród osób, które wsiadły do mojego wagonu w Graincourt, znajdował się Saniette, którego niegdyś wypędził od Verdurinów krewny jego Forcheville ale który wrócił. Jego



wady, że światowego punktu widzenia były niegdyś — mimo cennych przymiotów — nieco pokrewne z wadami Cottarda; nieśmiałość, chęć przypochlebiania, bezpłodne wysiłki w tym celu. Ale, o ile życie, dając przywdziać Cottardowi (jeżeli nie u Verdurinów, gdzie — przez sugestję jaką wywiera na nas przeszłość, kiedy się znajdziemy w dawnym środowisku — został potrosze ten sam, to przynajmniej w jego praktyce, w szpitalu, w Akademii medycznej) pozory chłodu, wzgardy, powagi, silniej zaakcentowane wówczas gdy produkował przed chętnymi uczniami swoje kalambury, stworzyło istną przepaść między dawnym a obecnym Cottardem, przeciwnie te same wady spotęgowały się u Saniette'a, w miarę jak się z nich starał poprawić. Czując że często nudzi, że go nie słuchają, zamiast zwolnić dykcję, tak jakby to zrobił Cottard, zamiast apodyktycznym tonem wymusić uwagę, Saniette nie tylko starał się żarcikami okupić zbyt poważny charakter swoich enuncjacji, ale mówił coraz prędzej, zamazywał słowa, używał skrótów aby być zwięźlejszy i swobodniejszy, i osiągał tylko tyle, że jego opowiadania, niezrozumiałe, wlokły się tem samym bez końca. Nie miał tej pewności siebie co Cottard, który mroził pacjentów; kiedy ktoś później słał uprzejmość profesora w towarzystwie, odpowiadali: „Tak, ale to jest inny człowiek kiedy cię przyjmuje w swoim gabinecie, kiedy siedzisz w pełnym świetle a on plecami do światła i kiedy cię świdruje oczami. Natarczywość Saniette'a nie imponowała; czuć było że kryje zbyt wiele nieśmiałości, że lada co wystarczyłoby aby ją spłoszyć. Saniette, któremu przyjaciele zawsze mówili że za mało ufa sobie i który w istocie widział, jak ludzie niewątpliwie od niego niżsi z łatwością osiągają jemu niedostępne sukcesy, rozpoczynając jakąś historyjkę, sam uśmiechał się zgóry, z obawy iż poważna mina zgasiłaby humor opowiadania. Czasem, na kredyt wesołości, którą mina Saniette'a zdawała się wróżyć, słuchano go w powszechnym milczeniu. Ale dowcip stale pudłował. Jakiś poczciwy sąsiad słał czasem Saniette'owi prywatną, niemal sekretną zachętę zawartą w uśmiechu, użyczając mu jej ukradkiem, dyskretnie, tak jak się wsuwa banknot. Ale nikt nie posuwał się aż do przyjęcia odpowiedzialności, do zaryzykowania publicznej aprobaty wybuchem śmiechu. A kiedy historyjka była już skończona i pogrzebana, zrozpaczony Saniette długo uśmiechał się do siebie, jakgdyby znajdując w swoim dowcipie osobistą — niby to wystarczającą mu — przyjemność, której inni nie doznali.

Rzeźbiarza Ski zwano tak dla trudności jaką sprawiało jego polskie nazwisko i ponieważ on sam, od czasu jak żył w tem kółku, udawał że nie chce aby go mieszano z krewnymi, którzy byli bardzo dobrze sytuowani, trochę nudni i nader liczni. Przy swoich czterdziestu pięciu latach i wybitnej brzydocie, miał on rodzaj chłopięcego rozpieszczenia, które zachował stąd, że był, do dziesiątego roku życia, uroczem cudownym dzieckiem, ulubieńcem dam. Pani Verdurin twierdziła, że on jest bardziej artystą od Elstira. Miał zresztą z Elstirem pewne wspólne cechy, ale czysto zewnętrzne. Wystarczyły one, aby Elstir, który raz spotkał Skiego, powziął doń ową głęboką odrazę, jaką budzą w nas, bardziej jeszcze od istot całkiem od nas różnych, ci co są do nas podobni w gorszym wydaniu, ujawniający to co w nas jest lichsze, wady z którychśmy się wyleczyli; tacy przypominają nam w przykry sposób to, czem mogliśmy się wydawać niektórym ludziom, nim staliśmy się czem jesteśmy. Ale pani Verdurin uważała, że Ski ma więcej fantazji niż Elstir, ponieważ nie było rodzaju sztuki, w którym by nie osiągał łatwych sukcesów. Pani Verdurin wierzyła, że ta łatwość uzyskiwała wspaniałe wyniki, gdyby Ski był mniej leniwy. Lenistwo to wydawało się pryncypałe jednym darem więcej, jako przeciwieństwo pracy, którą uważała za los ludzi bez talentu. Ski malował co kto chciał, na spinkach do mankietów, na supraportach; śpiewał bez głosu, grał z pamięci dając na fortepianie złudzenie orkiestry, nietylę swoją wirtuozyją, ile przez fałszywe basy, zastępujące niezdolność zaznaczenia że w danym miejscu ma być piston, który zresztą Ski naśladował ustami. I tak jak opóźniał akord, który zablagożywał później, powiadając „Ping!”, aby dać złudzenie blachy, tak samo dobierał słów mających sugerować ciekawe wrażenie, dzięki czemu uchodził za wspaniałą inteligencję, mimo że idee jego były w rzeczywistości skąpe i ubogie. Znudzony swoją reputacją oryginała, uparł się dowiedzieć, że jest człowiekiem praktycznym, rzeczowym, stąd zwycięska manja fałszywej precyzji, fałszywego zdrowego rozsądku — obciążone brakiem pamięci i stałą nieścisłością informacji. Jego ruchy głowy, szyi, nóg, byłyby pełne wdzięku, gdyby miał jeszcze dziewięć lat, pukle blond, wielki koronkowy kołnierz i czerwone safianowe buciki.

Przybywszy wcześniej z Cottardem i Brichotem na stację Graincourt, zostawili Brichota w poczekalni i poszli się przejść trochę. Kiedy Cottard chciał wracać, Ski odpowiedział: „Ależ jest masa czasu. Dziś nie jest pociąg lokalny, ale departamentalny”. Zachwycony wrażeniem, jakie ta precyzja wywarła na Cottardzie, Ski dodał, mówiąc o sobie: „Tak, dlatego że Ski kocha sztukę, że paćka się w glinie, wszyscy myślą, że on nie może być praktyczny. Nikt nie zna tej linii lepiej odemnie”. Mimo to, kiedy wracali na stację, naraz spostrzegając dym nadjeżdżającej kolejki, Cottard ryknął: „Prędko, prędko, wyciągać pedały!” W istocie ledwo zdążyli, bo różnica między pociągiem lokalnym a departamentalnym istniała jedynie w wyobraźni rzeźbiarza.

— Ale czy księżnej niema w pociągu? — spytał donośnym głosem Brichot, którego ogromne okulary — błyszczące jak owe reflektory które laryngolog przymocowuje na czole aby oświetlić gardło chorego — zdawały się czerpać życie z oczu profesora i — może wskutek wysiłku, jaki wkładał w to aby zestroić swój wzrok z niemi — zdawały się same, nawet w zupełnie obojętnych momentach, patrzeć z wytężoną bacznością i napięciem. Zresztą choroba, odbierając pomału wzrok Brichotowi, odsłoniła mu uroki tego zmysłu, jak często aby docenić jakiś przedmiot, aby go żałować, trzeba się rozstać z nim, darować go naprzykład.

— Nie, nie, księżna odwoziła do Maineville gości pani Verdurin na pociąg paryski. Możliwe nawet jest, że pani Verdurin, która miała coś załatwić w Saint-Mars, wybrała się z nią! W ten sposób jechałaby z nami, odbylibyśmy drogę wszyscy razem, to byłoby urocze. Trzeba będzie dobrze wypatrywać oczy w Maineville. Haha, bagatela, można powiedzieć, żeśmy o mało co nie przegapili sprawy. Kiedym zobaczył pociąg, zatknęło mnie poprostu. To się nazywa przybyć w momencie psychologicznym. Pomyślcie tylko, gdybyśmy nie złapali pociągu, pani Verdurin patrzy, patrzy, a tu powozy zajeżdżają bez nas: awantura! — dodał doktor, który jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia. To się nazywa historia nie banalna. Powiedz pan, profesorze, co pan sądzi o naszej eskapadzie? — spytał doktor z odcieniem dumy.

— Na honor — odparł Brichot — w istocie, gdybyście nie złapali pociągu, to byłby (jakby powiedział nieboszczyk Villemain) cios w samo serce Francji.

Ale ja, zaabsorbowany z początku obecnością tylu nieznajomych, przypomniałem sobie nagle to, co mi Cottard rzekł w sali małego kasyna; jakgdyby niewidzialne ogniwo mogło połączyć jakiś zmysł z obrazami pamięci, widok Albertyny opierającej się piersiami o piersi Anny zabolął mnie straszliwie w sercu. Ból ten nie trwał długo: myśl o przypuszczalnych jej stosunkach z kobietami nie wydawała mi się już możebna od przedwczoraj, odkąd jej zalotność w stosunku do Roberta wzniciła we mnie nową zazdrość, zasuwając w cień poprzednią. Miałem naiwność ludzi, którzy sądzą, że jedna skłonność wyklucza nieodzownie inną.

W Haranbonville, ponieważ pociąg był pełny, wieśniak w niebieskiej bluzie, mający bilet trzeciej klasy, wsiadł do naszego przedziału. Doktor, uważając że nie można dopuścić aby księżna jechała z tym człowiekiem, sprowadził konduktora, pokazał swoją kartę lekarza wielkiego towarzystwa kolejowego i zmusił naczelnika stacji do usunięcia wieśniaka. Scena ta zasmuciła i zaniepokoiła do tego stopnia trwożliwego Saniette, że zaraz z początku, bojąc się, dla mnogości chłopów znajdujących się na peronie, aby nie doszło do awantury, udał że go brzuch boli i, aby oddalić od siebie wszelką odpowiedzialność za brutalność doktora, wymknął się na korytarz, udając że szuka tego, co Cottard nazywał *water*. Nie znalazłszy, przyglądał się krajobrazowi z drugiego końca pociągu.

— Jeżeli to są pańskie pierwsze kroki u pani Verdurin — rzekł do mnie Brichot, który chciał rozwinąć talenty przed nowicjuszem — zobacz pan, że niema środowiska, gdzieby się bardziej czuło „słodczy życia”, jak powiadał niegdyś jeden z wynalazców dyletantyzmu, sceptycyzmu, wielu słów kończących się na „izm”, ulubionych naszym snobinetkom; mam na myśli *Monsieur le prince de Talleyrand*.

Bo, kiedy Brichot mówił o owych wielkich panach z przeszłości, uważał za dowcipne i „w kolorze epoki” poprzedzać ich tytuł słowem *Monsieur* i powiadał *Monsieur le duc de la Rochefoucauld*, *Monsieur le Cardinal de Retz*, których nazywał również od czasu do czasu: „Ten *struggle-for-lifer* Gondi”, ten „bulanżysta Marcillac”. I kiedy mówił o Monteskiuszu, nie omieszkał nigdy nazywać go z uśmiechem: „pan prezydent Secondat de Montesquieu”. Inteligentnego światowca drażniłby może ten pedantyzm bakałarza. Ale w doskonałych

manierach światowca — gdy mówi o którymś z panujących — jest także pedantyzm, zdradzający odrębną kastę, tę gdzie się poprzedza imię Wilhelm tytułem „cesarz”, i gdzie się mówi do książęcej Wysokości w trzeciej osobie.

— Inna rzecz — ciągnął Brichot mówiąc o „*Monsieur le prince de Talleyrand*” — że przed tym panem trzeba się nisko uklonić. To jest protoplasta!

— To urocze środowisko! — rzekł do mnie Cottard — znajdzie pan tam potrosze wszystko, bo pani Verdurin nie jest ekskluzywna. Znajdzie pan znakomitych uczonych, jak Brichot, wysoką arystokrację jak np. księżna Szerbatow, wielka dama rosyjska, przyjaciółka Wielkiej księżnej Eudoksji, którą widuje nawet sam na sam w porze gdy Wielka Księżna nikogo nie przyjmuje.

W istocie, Wielka księżna Eudoksja, nie mając zbytnej ochoty, aby księżna Szerbatow, której oddawna nikt nie przyjmował, odwiedzała ją wtedy kiedy mogli być goście, poleciła jej przychodzić jedynie bardzo wcześnie, kiedy Jej Wysokość nie miała u siebie nikogo z przyjaciół, dla których spotkanie z księżną Szerbatow byłoby równie krępujące jak dla niej. Od trzech lat, ledwie wyszedłszy — niby jaka manikurzystka — od Wielkiej księżnej, pani Szerbatow spieszyła do pani Verdurin (która dopiero co się obudziła) aby jej już nie opuścić. Można rzec, że wierność księżnej Szerbatow przewyższała nieskończenie nawet wierność Brichota, tak pilnego wszelako na tych *środach*, gdzie miał tę rozkosz, że się czuł w Paryżu niby Chateaubriandem w Abbaye-aux-Bois, na wsi zaś wyobrażał sobie, że się stał ekwiwalentem tego, czem mógłby być u pani du Châtelet ten, którego nazywał zawsze, z filuternością i zadowoleniem humanisty, „panem de Voltaire”.

Brak stosunków pozwolił księżnej Szerbatow dochowywać od wielu lat Verdurinom wierności, która czyniła z niej więcej niż zwykłą „wierną”; wierność doprowadzoną do ideału, który długo pani Verdurin uważała za nieosiągalny, a który, doszedłszy krytycznego wieku, znalazła wreszcie wcielony w tę nową zdobycz kobiecą. Mimo iż najgorliwsi wierni znali zachłanność pryncypalki, nie zdarzało się, aby nie „puścili jej” niekiedy. Najbardziej zadomowieni ulegli pokusie jakiejś podróży, najsurowsi wdali się w jakiś romansik; najzdrowsi mogli załapać grypę, najmniej czynni mogli mieć ćwiczenia wojskowe, najmniej czuli musieli zamknąć oczy umierającej matce. I napróżno pani Verdurin powiadała im wówczas, jak cesarzowa rzymska, że ona jest jedynym wodzem, którego powinna słuchać jego legja, jak Chrystusa lub Kaizera; że ten co kocha ojca i matkę tyle co ją, wzdrażając się opuścić ich aby iść za nią, nie jest jej godny; że zamiast rozpieszczać się leżeniem w łóżku lub dać się wodzić za nos dziewczce, lepiejby uczynili pędząc czas z nią, jedynym lekarstwem i jedyną rozkoszą. Ale los, który lubi czasami upiększyć schylek przydługich istnień, pozwolił pani Verdurin spotkać księżnę Szerbatow. Poróżniona z rodziną, wygnana z kraju, nie znając już nikogo poza baronową Putbus i wielką księżną Eudoksją, księżna Szerbatow chodziła do nich tylko rano, bo o ile ona sama nie miała ochoty spotykać przyjaciółek baronowej, Wielka księżna znowuż nie miała ochoty aby jej przyjaciółki spotykały księżnę Szerbatow. O tej porze pani Verdurin jeszcze spała. Księżnej nie zdarzyło się zostać bodaj przez jeden dzień w domu, od czasu kiedy, mając dwanaście lat przeszła odrę. Jednego roku, dnia 31 grudnia, kiedy pani Verdurin, bojąc się że będzie osamotniona, spytała księżnej, czy nie mogłaby u niej zostać niespodzianie na noc, mimo Nowego Roku, ta odparła: „Ależ, droga pani, cóżby mnie mogło od tego wstrzymać w jakikolwiek dzień roku? Zresztą, to jest dzień przeznaczony dla rodziny, a pani jesteś moją rodziną”. Mieszkając w pensjonacie i zmieniając pensjonat o ile Verdurinowie się przeprowadzali, układając wedle nich swoje wilegiatury, księżna tak dobrze zrealizowała dla pani Verdurin wiersz Alfreda de Vigny

Tyś mi ziściła cel pragnień jedyne,

że pryncypalka, pragnąc sobie zapewnić „wierną” nawet po śmierci, wymogła że ta z nich, która przeżyje drugą, każe się pochować obok niej. Obcym — a do *obcych* trzeba zawsze liczyć osobę, której kłamiemy najwięcej, jako tej której wzgarda byłaby nam najprzykrejsza: nas samych — księżna Szerbatow starała się wmówić, że jej trzy jedyne przyjaźnie — Wielka księżna, Verdurinowie, baronowa Putbus — są w istocie jedyne; nie dlatego że niezależnie od jej woli kataklizmy ocaliły je pośród generalnego rozbicia, ale mocą wolnego wyboru. Ten wybór jakoby kazał księżnej przelożyć te stosunki nad

wszystkie inne, wrodzone zaś upodobanie w samotności i prostocie kazało się jej do nich ograniczyć. „Nie widuję *nikogo* więcej” — powiadała, kładąc nacisk na niezłomny charakter tego faktu, mającego oblicze raczej reguły jaką ktoś sobie nakłada, niż konieczności której ulega. Dodawała: „Bywam jedynie w trzech domach”; jak autorowie, którzy bojąc się, że nie zdołają dociągnąć do czwartego wieczoru, oznajmiają, że ich sztuka pójdzie tylko trzy razy. Czy oboje państwo Verdurin wierzyli w tę fikcję czy nie, faktem jest, że pomogli księżnej wszczepić ją w umysły wiernych. Ci wierzyli święcie i w to, że księżna Szerbatow, pośród tysiąca stosunków, jakie miała do wyboru, wybrała jedynych Verdurinów, i w to, że Verdurinowie, daremnie oblegani przez cały wielki świat, zgodzili się uczynić tylko jeden wyjątek na rzecz księżnej Szerbatow.

W ich oczach, księżna, zbyt przerastająca umysłem swoją sferę aby się w niej mogła nie nudzić, wśród tylu ludzi z którymi mogłaby przestawać, upodobała sobie jedynie Verdurinów, a nawzajem ci, nieczuli na awanse całej arystokracji, która im otwierała ramiona, zgodzili się uczynić tylko jeden wyjątek na rzecz wielkiej damy, inteligentniejszej od innych — księżnej Szerbatow.

Księżna była bardzo bogata; miała na wszystkich premierach wielką parterową lożę, dokąd, z upoważnieniem pani Verdurin, zapraszała wiernych, i nikogo poza nimi. Pokazywano sobie tę zagadkową i bladą osobę, która zestarzała się nie siwiejąc, raczej rudziejąc, jak niektóre trwale i pomarszczone owoce na krzewie. Podziwiano zarazem jej wpływy i skromność, mając bowiem zawsze z sobą akademika Brichot, sławnego uczonego Cottard, pierwszego pianistę epoki, a później pana de Charlus wybierała jednak umyślnie lożę najciemniejszą, siedziała cały czas w głębi, nie zajmowała się w najlżejszej mierze widzami, żyła wyłącznie dla małej gromadki, która, nieco przed końcem przedstawienia, opuszczała lożę, idąc za tą dziwną władczynią, nie pozbawioną nieśmiałości, fascynującego i zwiedłego wdzięku. Otóż, jeżeli pani Szerbatow nie patrzyła na salę, jeżeli pozostawała w cieniu, to aby starać się zapomnieć, że istnieje świat żywych, który namiętnie — i daremnie — pragnęła poznać: stałe towarzystwo w loży było dla niej tem, czem jest dla pewnych zwierząt niemal że trupia martwota w obliczu niebezpieczeństwa. Mimo to, pociąg do nowości i ciekawość trawiące ludzi światowych, były przyczyną, że ci użyczyli może więcej uwagi tajemniczej nieznałomej, niż sławom z frontowych łóż, gdzie wszyscy składali wizyty. Wyobrażano sobie, że ona jest inna niż osoby które się znało; że jakaś cudowna inteligencja połączona z subtelną dobrocią wiąże do niej tę grupkę ludzi niepospolitych. Czasem, kiedy przy niej mówiono o kimś lub kiedy jej przedstawiano kogoś, księżna musiała udawać lodowaty chłód, aby podtrzymać fikcję swego wstępu do świata. Mimo to, przy pomocy Cottarda lub pani Verdurin, paru nowym osobom udało się ją poznać; wówczas, upojona tą znajomością, zapomniała legendy dobrowolnego samotnictwa i zgrywała się bez miary dla przybysza. Jeśli to było jakieś zero, wszyscy się dziwili. „Szczególna rzecz — mówiono że księżna, która nie chce znać nikogo, robi wyjątek dla tej tak mało interesującej figury”. Ale te zapładniające znajomości były rzadkie, księżna żyła ściśle skazana na wiernych.

Cottard mawiał o wiele częściej: „Zobaczę Iksa we środę u Verdurinów”, niż: „Zobaczę Iksa we wtorek w Akademji”. Mówił o środach jak o zatrudnieniu równie ważnym i równie nieuchronnym. Zresztą, Cottard należał do tych niezbyt rozrywanych ludzi, którzy poczytują sobie za obowiązek stawić się na zaproszenie, tak jakby to był rozkaz, wezwanie wojskowe lub sądowe. Musiał mieć bardzo ważne konsyljum, aby „puścić” Verdurinów we środę; przyczem o ważności decydowało raczej stanowisko chorego niż ciężkość choroby. Bo Cottard, mimo iż dobry człowiek, wyrzekł się słodczy środy nie dla udaru sercowego prostego robotnika, ale dla kataru ministra. A i wówczas mówił do żony: „Pamiętaj mnie wytłumaczyć przed panią Verdurin. Uprzedź ją, przyjdę później. Ta Ekscelencja mogłaby wybrać sobie inny dzień na swój katar”. Kiedy pewnej środy stara kucharka Cottardów przecięła sobie żyłę na przedramieniu, doktor, już wybierający się w smokingu do Verdurinów, wzruszył ramionami, kiedy go żona nieśmiało spytała, czy nie mógłby opatrzyć rannej: „Ależ nie mogę, Leontyno — wykrzyknął boleściwie; widzisz przecie, że mam białą kamizelkę”. Aby nie drażnić męża, pani Cottard sprowadziła coprędzej z kliniki asystenta. Ten, aby przybyć prędzej, wziął fiakra, tak że wehikul jego wjeżdżał w dziedziniec w chwili gdy doktor wyjeżdżał powozem do Verdurinów; stracono pięć minut na mijaniu się, cofaniu. Pani Cottard była zażenowana tem, że asystent widzi

męża w wieczorowym stroju. Cottard kłął na spóźnienie, może przez wyrzut sumienia, i pojechał w fatalnym humorze, tak iż trzeba było wszystkich rozkoszy środy, aby ten zły humor rozprószyć.

Jeżeli pacjent Cottarda pytał: — „Czy pan widuje kiedy Guermantów?” profesor z najlepszą wiarą odpowiadał: „Może nie specjalnie Guermantów, sam nie wiem. Ale spotykam cały ten światek u swoich przyjaciół. Słyszał pan z pewnością o Verdurinach. Znają cały świat. A przytem oni, to przynajmniej nie są fummy na goło. Ludzie odpowiedzialni. Powszechnie szacują panią Verdurin na trzydzieści pięć milionów. Ba, trzydzieści pięć milionów, to jest coś! Toteż ona nie żałuje omasty. Mówił pan o księżnej Guermantes. Powiem panu różnicę: pani Verdurin to całą głębią dama, u księżnej de Guermantes jest z pewnością bryndza. Rozumie pan ten odcień, nieprawdaż? W każdym razie, czy Guermantowie bywają u pani Verdurin czy nie, ona przyjmuje lepszych; Szerbatow, Forcheville, *tutti quanti*, ludzie najwyższej sfery, kwiat Francji i Nawarry, ludzie z którymi rozmawiam sobie za panbrat. Zresztą ten gatunek osób chętnie poszukuje towarzystwa potentatów wiedzy” — dodał z uśmiechem błęgiego zadowolenia, płynącego nietyle stąd, że epitet będący niegdyś przywilejem Potainów i Charcotów przypada teraz jemu, ile że umie wreszcie we właściwy sposób użyć wszystkich uświęconych zwrotów, które, po długich studjach, posiadał na wylot. Toteż, zacytował mi księżną Szerbatow między osobami które przyjmuje pani Verdurin, Cottard dodał, mrużąc oko: „Rozumie pan typ tego domu, pojmuje pan co ja chcę powiedzieć?” Chciał powiedzieć, że to jest ostatni wyraz „szyku”. Otóż, przyjmować rosyjską damę, która znała tylko Wielką księżną Eudoksję, to było bardzo niewiele. Ale gdyby nawet księżna Szerbatow nie znała Wielkiej księżnej, nie umniejszałoby to opinii, jaką miał Cottard co do arcy-elegancji salonu Verdurinów, ani jego rozkoszy bywania u nich, świetność, jaką przybierają w naszych oczach salony, nie bardziej jest autentyczna, niż świetność wielkich figur w teatrze: zupełnie zbyteczne jest, aby dyrektor teatru wydawał setki tysięcy na autentyczne kostiumy i prawdziwe klejnoty, które nie zrobiłyby żadnego efektu, podczas gdy artysta dekorator da wrażenie tysięcy razy wspanialszego zbytku, rzucając promień sztucznego światła na grubą płócienny kaftan usiany kawałkami szkła i na płaszcz uszyty z papieru. Niejeden spędził życie pośród możnych tego świata, którzy byli dlań tylko nudnymi krewnymi lub uprzykrzonymi znajomymi, bo przyzwyczajenie od dziecka odarło ich z wszelkiego blasku. Ale wzamian wystarczyło, że ten blask oblał jakimś przypadkiem najpokątniejsze osoby, aby niezliczeni Cottardowie żyli olśnieni utytułowanymi kobietami, których salon brali za centrum arystokratycznej elegancji, podczas gdy one nie były nawet tem, czem była pani de Villeparisis i jej przyjaciółki (zdegradowane wielkie damy, z którymi arystokracja, chowana z niemi od dziecka, nie chciała przestawać); gdyby tacy pisali pamiętniki i przytoczyli imiona owych kobiet (których przyjaźń była ich dumą), oraz tych co tam bywali, nikt — zarówno pani de Cambremer jak pani de Guermantes — nie zdołałby ich zidentyfikować. Ale cóż to znaczy! Jakiś Cottard ma w ten sposób swoją markizę, która jest dlań „baronową”, jak u Marivaux, baronową, której nazwiska nie wymawia się nigdy, tak że wogóle nie przychodzi na myśl, że ona ma jakieś nazwisko. I Cottard myśli, że w niej streszcza się arystokracja — która nie wie o istnieniu tej damy — tem bardziej, że im tytuły wątpliwsze, tem więcej zajmują miejsca korony na szkle, na srebrze, na papierze listowym, na kuferkach. Liczni Cottardowie, którzy myśleli iż pędzą życie w sercu faubourg Saint-Germain, mieli wyobraźnię bardziej może urzeczoną feudalnymi marzeniami, niż ci co naprawdę żyli blisko z książętami krwi, tak samo jak kupczyk, który wybierze się czasem w niedzielę oglądać architekturę „starych czasów”, często najbardziej podziwia średniowiecze w tych budowlach, w których wszystkie kamienie są nowoczesne, sklepienie zaś pomalowali na niebiesko i usiali złotem gwiazdami uczniowie Viollet-le-Duca.

— Księżna wsiądzie w Maineville. Będzie jechała z nami. Ale nie przedstawię pana zaraz. Lepiej że by to zrobiła sama pani Verdurin. Chyba że znajdę sposobność jakiegoś nawiązania: w takim razie może pan być pewny, że ją pochwycę.

— O czem mówiliście panowie — spytał Saniette, który udał, że chciał odetchnąć powietrzem.

— Cytowałem — rzekł Brichot — słówko — zna je pan z pewnością — tego, który jest, mojem zdaniem, pierwszym *schyłkowcem* (ze schyłku wieku XVIII, rozumie się), rze-

czonego Charles Maurice, abbe de Perigord. Zaczął od tego, że się zapowiadał na pierwszorzędnego dziennikarza. Ale wykoleił się; chcę powiedzieć, że został ministrem! Życie miewa takie katastrofy. Polityk zresztą mało skrupulatny, który z dezinwolturną urodzonego arystokraty, nie wahał się pracować chwilami *dla króla Prus* — to przysłowie nadaje się tu idealnie — i skończył w skórze lewego centrowca.

W Saint-Pierre-des-Ifs wsiadła wspaniała młoda dziewczyna, która niestety nie należała do naszej gromadki. Nie mogłem oderwać oczu od jej magnoljowego ciała, czarnych oczu, od wspaniałej i dumnej postaci. Po sekundzie chciała otworzyć okno, bo było trochę gorąco w przedziale; nie chcąc zaś prosić o pozwolenie wszystkich, ponieważ ja jeden byłem bez płaszcza, rzekła do mnie szybkim, świeżym i roześmianym głosem: „Czy nie zaszkodzi panu trochę powietrza?” Miałem ochotę odpowiedzieć: „Niech pani jedzie z nami do Verdurinów”. Albo: Niech mi pani powie swoje nazwisko i adres”. Odpowiedziałem: „Nie, pani, powietrze mi nie szkodzi”. Poczem, nie ruszając się z miejsca, rzekła: „A czy dym nie szkodzi pańskiemu towarzystwu?” I zapaliła papierosa. Na trzeciej stacji wysiadła jednym susem. Nazajutrz, spytałem Albertyny, ktoby to mógł być. Bo, w swojej głupocie, sądząc że można kochać tylko jedno, zazdrosny o zachowanie się Albertyny z Robertem, uspokoiłem się co do kobiet. Albertyna odpowiedziała — zdaje się bardzo szczerze — że nie wie. „Tak bym ją chciał odnaleźć! — wykrzyknąłem. — Uspokój się, ludzie się zawsze odnajdują” — odparła Albertyna. W tym wypadku myliła się, nigdy nie odnalazłem ładnej dziewczyny z papierosem, ani nie dowiedziałem się o niej. Pokaże się zresztą, czemu przez długi czas musiałem przestać jej szukać. Ale nie zapomniałem. Zdarza mi się często, myśląc o niej, odczuwać szaloną tęsknotę. Ale te nawroty pragnień uprzytomniają nam, że gdyby się chciało odnaleźć taką młodą dziewczynę z równą przyjemnością, trzeba by również cofnąć się w rok, od którego upłynęło dziesięć innych lat, w czasie których dziewczyna miała czas zwiędnąć. Można niekiedy odnaleźć jakąś istotę, ale nie zniweczyć czas. Wszystko to, aż do nieprzewidzianego dnia, smutnego jak noc zimowa, kiedy się już nie szuka tej, ani żadnej innej, kiedy znalezienie jej przeraziłoby nas może! Bo nie czujemy w sobie dość powabów aby się podobać, ani dość siły aby kochać. Nie dlatego, rozumie się, aby się było w ścisłym znaczeniu słowa „impotentem”. A co się tyczy kochania, kochałoby się bardziej niż kiedykolwiek. Ale czuje się, że to za wielkie przedsięwzięcie na tych niewiele sił, jakie nam zostało. Wiekuisty spokój narzucił nam już okresy, w których nie podobna nam wyjść z domu ani mówić. Postawić nogę na właściwym schodzie, to sukces taki, jak nie chybić *salto mortale*. Pokazać się w tym stanie dziewczynie którą się kocha, nawet jeśli się zachowało dawną twarz i wszystkie blond włosy młodzieńca! Nie sposób już podjąć fatygi dotrzymywania kroku młodości. Tem gorzej, jeżeli fizyczne pożądanie zdwaja się zamiast słabnąć! Sprowadza się dla jego zaspokojenia kobietę, której nie silimy się podobać, która podzieli przez jeden wieczór nasze łóżko i której nie ujrzemy już nigdy.

— Wciąż nie ma nowin o naszym skrzypku — rzekł Cottard. Zdarzeniem dnia w „paczce” było w istocie zniknięcie ulubionego skrzypka pani Verdurin. Ów, odbywając służbę wojskową koło Doncières, przybywał trzy razy w tygodniu na obiad do Raspelière, bo miał stałą przepustkę do północy. Otóż, przedwczoraj, pierwszy raz wierni nie zdołali go odszukać w kolejce. Przypuszczano że się spóźnił. Ale daremnie pani Verdurin posyłała na następny pociąg, w końcu na ostatni, powóz wrócił próżny.

— Z pewnością musiał załapać areszt, niema innego wytłumaczenia. Ba, wiadomo, w wojsku wystarczy złego humoru sierżanta.

— Jeżeli Morel skrewi jeszcze tym razem — rzekł Brichot — to będzie bardzo przykre dla pani Verdurin. Nasza miła gosposia ma właśnie pierwszy raz na obiedzie sąsiadów, od których wynajęła la Raspelière: margrabiostwo de Cambremer.

— Dziś wieczór margrabiostwo de Cambremer! — wykrzyknął Cottard. Ależ ja nic nie wiedziałem. Oczywiście, wiedziałem, jak i wy, że mają być kiedyś, ale nie wiedziałem że

tak prędko. Do paralusza — rzekł zwracając się do mnie — cóż ja panu mówiłem: księżna Szerbatow, margrabiostwo de Cambremer! — I, powtórzywszy parę razy te nazwiska, upajając się ich melodią, doktor dodał:

— Widzi pan, że my tu sobie nie odmawiamy niczego. Niema co, jak na pierwszą wizytę, dobrze pan trafił. To będzie zebranko szczególnie udane.

I, obracając się do Brichota, dodał:

— Pryncypalka musi być wściekła. Ostatni czas, żebyśmy jej przybyli z odsieczą.

Od czasu jak pani Verdurin bawiła w la Raspelière, udawała wobec wiernych, że jest istotnie zmuszona, ku swojej rozpacz, zaprosić jeden raz właścicieli tej posiadłości. Użyła w ten sposób lepsze warunki na przyszły rok (mówiła); robi to wyłącznie z interesu. Ale twierdziła, że tak się tego boi, że tak przerażające dla niej jest mieć na obiedzie ludzi z poza swojej „paczki”, że wciąż to odkłada. Przerażała ją to zresztą trochę z pobudek jakie głosiła przesadnie; z drugiej strony, zachwycało ją z racji snobistycznych, które wołała zataić. Była tedy nawpół szczerą; wierzyła, że jej paczka jest czemś tak jedynym, zespołem na którego stworzenie trzeba było wieków, że drżała na myśl wprowadzenia w nią mieszkańców prowincji, nieznających *Tetralogji* ani *Norymberskich* nie zdolnych odegrać swojej partji w koncercie ogólnej rozmowy i mogących, przybyciem swoim do pani Verdurin, zniweczyć jedną ze sławnych śród, nieporównanych i kruchych arcydzieł, podobnych do owych weneckich szkieł, które jedna fałszywa nuta może strzaskać.

— Co więcej, to muszą być ludzie jak tylko może być *anty* (anty dreyfusisci, oczywiście) i militaryści — rzekł p. Verdurin.

— Och, co to, to mi wszystko jedno, za długo już zajmuje się świat tą historją — odparła pani Verdurin, która, będąc szczerą dreyfusistką, byłaby jednak rada w sławie swego dreyfusistowskiego salonu znaleźć światową rekompensatę. Otóż, dreyfusizm tryumfował politycznie, ale nie światowo. Labori, Reinach, Picquart, Zola, to wciąż byli dla ludzi światowych „zdraycy” i mogli ich jedynie odstręczyć. Toteż po tym wypadzie w politykę, pani Verdurin pragnęła wrócić do sztuki. Zresztą d’Indy, Debussy, czy nie byli nieprawomyślni w tej sprawie?

— Co się tyczy Sprawy, wystarczy ich poprostu posadzić koło Brichota — rzekła (profesor — jedyny z wiernych — trzymał stronę generalnego sztabu, co go bardzo zdeprecjonowało w oczach pani Verdurin). Nie musi się wечно mówić o Dreyfusie. Nie, doprawdy, nudzą mnie te Cambremery!

Co się tyczy „wiernych”, równie podnieconych skrytą żądzą poznania Cambremarów, jak oszukanych udaniem znudzeniem pani Verdurin tą wizytą, ci, rozmawiając z nią, powtarzali codziennie płaskie argumenty, jakimi ona sama tłumaczyła to zaproszenie. I powtarzając te argumenty, starali się zwiększyć ich wagę.

— Niech się pani raz zdecyduje — powtarzał Cottard — a zyska pani opust na komornem; zapłacą ogrodnika, będzie pani miała używalność łąki. Wszystko to warte jest aby się przenudzić jeden wieczór. Mówię tylko dla pani — dodał, mimo że serce zabiło mu kiedy raz, jadąc powozem pani Verdurin, minął landarę starej pani de Cambremer, a zwłaszcza że się czuł upokorzony wobec funkcjonarjuszy kolejowych, kiedy się znalazł na stacji w pobliżu margrabięgo. Cambremerowie znowuż byli zbyt daleko od prawdziwego „świata” aby móc się nawet domyślać, że niektóre eleganckie kobiety mówiły z uznaniem o pani Verdurin; toteż wyobrażali sobie, że to jest kobieta żyjąca w towarzystwie samych cyganów (może nawet „nieślubna”) i, co się tyczy ludzi „urodzonych”, nie mająca nadziei oglądania nikogo prócz nich, państwa de Cambremer. Zdecydowali się na ten obiad jedynie dla zachowania dobrych stosunków z lokatorami, których spodziewali się zatrzymać na szereg lat, zwłaszcza dowiedziawszy się przed miesiącem, że Verdurinowie odziedziczyli tyle milionów. W milczeniu tedy i bez niesmacznych żarcików, gotowali się na nieszczęsny dzień. „Wierni” nie spodziewali się już aby ten dzień przyszedł kiedy, tyle razy pani Verdurin oznajmiała im wciąż przesuwaną datę. Wahania te miały na celu nietylko popisanie się wstąpieniem do owego obiadu, ale trzymanie w gotowości tych członków paczki, którzy mieszkali w sąsiedztwie a którzy lubili czasem „chodzić na wagary”. Nie iżby pryncypalka zgadywała, że ów wielki dzień jest dla nich równie upragniony jak dla niej samej, ale dlatego, że przekonawszy ich iż ten obiad jest dla niej najokropniejszą piłą, mogła się odwołać do ich poświęcenia:

— Nie zostawicie mnie przecie samą z tymi chińczykami! — mówiła. — Przeciwnie, trzeba nam być jak najliczniej, aby znieść te nudy. Oczywiście, nie będziemy mogli mówić o niczem co nas interesuje. Ot, jedna środa zmarnowana, cóż robić!

— W istocie — odparł Brichot, zwracając się do mnie — sądzę, iż pani Verdurin, która jest bardzo inteligentna i lubi wypieścić każdą ze swoich *śród*, nie miała zbytnej ochoty zapraszać tych szlachciurów wysokiego rodu ale skąpego dowcipu. Nie mogła się zdobyć na zaproszenie starej margrabiny, ale pogodziła się z wizytą młodszych państwa.

— A, ujrzemy młodą markizę de Cambremer? — rzekł Cottard z uśmiechem, który czuł się w obowiązku zabarwić jurnością i *mariwodazem*, mimo iż nie wiedział, czy pani de Cambremer jest ładna czy nie. Ale sam tytuł *markizy* budził w nim ponętne i frywolne obrazy.

— A! ja ją znam — rzekł Ski, który spotkał raz panią de Cambremer towarzysząc na spacerze pani Verdurin.

— Nie zna jej pan w sensie biblijnym — rzekł, rzucając z pod binokli dwuznaczne spojrzenie, doktor (był to jego ulubiony żarcik).

— Inteligentna jest — rzekł do mnie Ski. — Oczywiście — rzekł, widząc że ja nic nie mówię i podkreślając uśmiechem każde słowo — jest inteligentna i nie jest, brakuje jej wykształcenia; jest pusta, ale ma pewien zmysł artystyczny. Może milczeć, ale nie powie żadnego głupstwa. A przytem ładna jest w kolorze. To byłby zajmujący portret do zrobienia — dodał przymykając oczy, jakgdyby ją widział pozującą.

Ponieważ miałem poglądy wręcz przeciwne tym, które Ski wyrażał z takim bogactwem odcieni, ograniczyłem się do nadmienienia, że margrabina jest siostrą wybitnego inżyniera, pana Legrandin.

— Hehe, no i widzi pan, będzie pan przedstawiony ładnej kobiecie — rzekł do mnie Brichot; a nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Kleopatra nie była nawet wielką damą, to była mała kobietka, niepoczytalna i groźna mała kobietka w stylu naszego Meilhaca, a widzi pan, co z tego wynikło nietylko dla tego dudka Antonjusza, ale dla całej starożytności.

— Byłem już przedstawiony pani de Cambremer — odparłem.

— Och, w takim razie znajdzie się pan w swoim kółku.

— Tem bardziej się cieszę na to spotkanie — odparłem — że pani de Cambremer obiecała mi dziełko dawnego proboszcza z Combray, traktujące o nazwach miejscowości w tych stronach, i będę mógł jej przypomnieć obietnicę. Bardzo mnie interesuje ten ksiądz, a także etymologje.

— Niech pan zanadto nie polega na tych, które on podaje — odparł Brichot. Dziełko, które znajduje się w la Raspeliere i które przeglądałem potrosze dla zabawy, niewiele budzi we mnie zaufania, roi się od błędów. Dam panu przykład. Słowo *Bricq* wchodzi w formację mnóstwa nazw miejscowości w tych stronach. Zaczny ksiądz wpadł na dosyć dziki pomysł, że ono pochodzi od *Briga*, wyżyna, miejsce warowne. Widzi je już u starodawnych ludów celtyckich, u Latobrigów, Nemetobrigów; doszukuje się go zgola w nazwiskach takich jak Briand, Brion, etc... Aby wrócić do miejscowości, którą mam przyjemność mijać w tej chwili wraz z panem, *Bricquebose* znaczyłoby laszek na wzgórzu, *Bricqueville* osadę na wzgórzu, *Bricquebec*, gdzie się zatrzymamy na chwilę przed Maineville, wyżynę w pobliżu strumienia. Otóż to wcale nie jest tak, z tej przyczyny że *bricq* to jest stare słowo normandzkie, oznaczające poprostu most. To samo słowo *fleur*, które protegowany pani de Cambremer łączy z nieskończonym trudem to ze skandynawskimi *floi*, *flo*, to z irlandzkim *ae*, *aer*, jest przeciwnie, bez żadnej wątpliwości, duńskim *fiordem* i znaczy port. Tak samo przezacny ksiądz sądzi, że stacja Saint-Martin-le-Vêtu, sąsiadująca z la Raspeliere, znaczy święty Marcin stary (*vetus*). To pewna że słowo *vieux* odegrało wielką rolę w toponymji tej okolicy. *Vieux* pochodzi naogół od *vadum* i oznacza bród, jak w miejscu zwanem *Les Vieux*. To jest to, co Anglicy nazywali *ford* (Oxford, Hereford). Ale w danym wypadku *vieux* nie pochodzi od *vetus*, ale od *vastatus*, miejsce ogołocone, nagie. Ma pan niedaleko stąd Sottevast, czyli *vast* Setolda, Brillevast czyli *vast* Berolda. Jestem tem pewniejszy omyłki proboszcza, ile że Saint-Martin-Le-Vieux nazywało się niegdyś Saint-Martin-du-Gast a nawet Saint-Martin-de-Terregate. Otóż *v* i *g* w tych słowach, to jest ta sama litera. Mówi się *déuaster* — niszczyć — ale także *gacher*. *Jâchères* (ugór) i *gatine* (od hochdeutsch: *wastinna*) mają to samo znaczenie: za tem



*Terregate*, to jest *terra vasta*. Co do Saint-Mars, niegdyś (uczciwszy uszy) Saint-Merd, to jest *Sanctus Medardus* który jest kolejno Saint-Médard, Saint-Mard, Saint-Marc, Cirq-Mars, a nawet zgoła Dammas. Nie trzeba zresztą zapominać, że bardzo blisko stąd, miejscowości noszące to samo imię Marsa stwierdzają poprostu pochodzenie pogańskie (bóg Mars), które pozostało żywe w tej okolicy, ale którego ów świątobliwy człowiek wzbrania się uznać. Wyniosłości poświęcone bogom są specjalnie bardzo liczne, jak góra Jowisza (Jeumont). Proboszcz nie chce tego widzieć; w zamian za to, wszędzie gdzie chrystianizm zostawił ślady, przeocza je również. Dotarł w swoich wyprawach do *Loc-tudy*: nazwa barbarzyńska (powiada), podczas gdy to jest *Locus sancti Tudenii*; toż samo w Sammarcoles nie odgadł *Sanctus Martialis*. Pański proboszcz — ciągnął Brichot, widząc że mnie zajął — wyprowadza słowa na *hon, home, holm*, od *holi* (hullus), pagórek, (*colline*), podczas gdy one pochodzą od normandzkiego *holm*, wyspa, które pan odnajdzie łatwo w *Stockholm*, a które w całej tej okolicy jest tak rozpowszechnione: la Houleme, Engohomme, Tahoume, Robehomme, Néhomme, Quettehon, etc.

Te nazwy przypomniały mi dzień, w którym Albertyna chciała jechać do Amfreville-la-Bigot (od nazwiska dwóch kolejnych dziedziców, objaśnił mnie Brichot), poczem, jak mi proponowała, mieliśmy zjeść obiad w Robehomme. Co się tyczy Montmartin, mieliśmy tamtędy przejeżdżać za chwilę.

— Czy Néhomme — spytałem — nie leży blisko Carquehuit i Clitourps?

— Oczywiście; Néhomme to jest *holm*, wyspa lub półwysp sławnego wicehrabiego Nigela, którego nazwisko przetrwało także w *Néville*. Carquethuit i Clitourps, które pan wspomniął, są dla protegowanego pani de Cambremer okazją do nowych błędów. Bez wątpienia, on rozumie, że *Carque* to kościół, niemieckie *Kirche*. Zna pan Querqueville, nie mówiąc o Dunkerque. Bo lepiej byłoby w takim razie zatrzymać się przy tem sławnem słowie *Dun*, które dla Celtów oznaczało wyżynę. I to odnajdzie pan po całej Francji. Pańskiego księdza urzekło *Duneville*, powtarzające się w departamencie Eureet-Loire; znalazłby Châteaudun, Dun-le-Roi w departamencie Cher, Duneau w Sarthe, Dun w Ariège, Dune-les-Places w Nièvre, etc, etc. To *Dun* nasuwa mu ciekawy błąd w tem co dotyczy Douville, gdzie zaraz wysiadziemy i gdzie nas czekają wygodne pojazdy pani Verdurin. Douville, po łacinie *don villa* — powiada ksiądz. W istocie, Douville znajduje się u stóp znacznych wyniosłości. Pański proboszcz, który wie wszystko, czuje jednak że strzelił baka. Przeczytał w istocie w jakimś starym rejestrze beneficjów: *Domvilla*. Zatem cofa się; Douville, wedle niego, to jest lenno opata — *Domino Abbati* z Mont-Saint-Michel. Ucieszył się z tego, co jest dosyć dziwne, kiedy się pomyśli o skandalicznym życiu, jakie od czasu *Kapitularda* Sainte-Claire prowadzono w Mont-Saint-Michel i byłoby nie bardziej dziwne, niż widzieć króla duńskiego suzerenem całego tego wybrzeża, gdzie o wiele gorliwiej szerzył kult Odina niż kult Chrystusa. Z drugiej strony, przypuszczenie że *n* zmieniło się w *m* nie razi mnie i jest mniejszą deformacją niż bardzo poprawny Lyon, który również pochodzi od *Dun* (Lugdunum). Ale koniec końców, ksiądz się myli. Douville nigdy nie zwało się Douville, ale Denville, *Eudonis Villa*, wioska Eudes. Douville nazywało się niegdyś Escacleiff, schody zbocza. Około r. 1223 Eudes Piwniczny, pan na Escacleiff, wybrał się do Ziemi Świętej; w chwili wyjazdu przekazał kościół opactwu Blanchelande. Przez wzajemną kurtuazję, wioska przybrała jego imię, stąd obecnie *Douville*. Ale dodam, że toponymia, w której jestem zresztą bardzo ciemny, nie jest wiedzą ścisłą; gdybyśmy nie mieli tego historycznego świadectwa, Douville mogłoby bardzo dobrze pochodzić od wody: *Ouille*, to znaczy *Les Eaux*. Formy na *ai* (Aigues-Mortes) od *aqua*, woda, zmieniają się bardzo często na *eu* albo na *ou*. Otóż w pobliżu Douville były słynne wody Carquebut. Wyobraża pan sobie, jak proboszcz był uszczęśliwiony, że znalazł tam ślad chrześcijański, mimo że ten kraj musiał być dość oporny dla ewangelji, trzeba było aby się nad nim męczyli kolejno święty Ursal, święty Gofroi, święty Barsanore, święty Wawrzyniec z Bredent, który w końcu „puścił passę” na rzecz mnichów z Beaubec. Ale co do *tuit*, autor się myli, widzi w tem formę *toft*, rudera, jak w Criquetot, Ectot, Yvetot, podczas gdy to jest *thveit*, karczowisko, jak w Braquetuit, Thuit, Regnetuit, etc. Tak samo, o ile poznaje w Clitourps normandzkie *thorp*, co znaczy wioskę, chce aby pierwsza część nazwy pochodziła od *clivus*, spadek, podczas gdy pochodzi od *cliff*, skała. Ale najgrubsze baki proboszcza wynikają nietylę z jego niewiedzy, ile z jego uprze-

dzeń. Choćby się było najlepszym Francuzem, czyż można przeczyć oczywistości i brać Saint-Laurent en Bray za tak znanego księdza rzymskiego, wówczas gdy chodzi o Saint-Lawrence "Toot, arcybiskupa Dublina. Ale bardziej jeszcze od uczuć patriotycznych, uprzedzenia religijne pańskiego przyjaciela popychają go do grubych błędów. I tak, niedaleko od naszych gospodarzy z la Raspelière masz pan dwa Montmartin: Montmartin-sur-Mer i Montmartin-en-Graignes. Co do Graignes, zacny ksiądz nie popełnił błędu; zgadł że Graignes, po łacinie *Grania*, po grecku *Krene*, znaczy stawy, bagna; ileż można by zacytować Cresmays, Croen, Gremeville, Lengronne? Ale co do Montmartin, pański rzekomy lingwista uparł się, że to chodzi o parafie poświęcone świętemu Marcinowi. Opiera się na tem, że ów święty jest ich patronem; ale nie zdaje sobie sprawy, że wzięto go za patrona dopiero *ex post*; lub raczej zaślepiony jest nienawiścią do pogaństwa; nie chce widzieć, że gdyby chodziło o świętego Marcina, mówionoby Mont-Saint-Martin, jak się mówi Mont-Saint-Michel; podczas gdy nazwa Montmartin odnosi się w sposób o wiele bardziej pogański — do świątyni poświęconych bogowi Marsowi, świątyni których nie posiadamy to prawda innych śladów, ale którym ich niezaprzeczona obecność w sąsiedztwie rozległych obozów rzymskich dawałaby wszelkie prawdopodobieństwo nawet bez nazwy Montmartin, rozstrzygającej wątpliwość. Widzi pan, że ta książeczka, którą pan znajdzie w la Raspelière, nie należy do najlepszych.

Nadmieniłem, że jednak proboszcz z Combray często podawał nam ciekawe etymologie.

— Był może bardziej na swoim gruncie, podróż do Normandji wykoleiła go.

— A nie wyleczyła — dodałem — bo przybył tu z neurastenią, a wrócił z reumatyzmem.

— A! więc to wina neurastenji! Popadł z neurastenji w filologię, jakby powiedział mój dobry mistrz Pocquelin, zwany Molierem. Powiedz pan, profesorze Cottard, czy pan sądzi, że neurastenja może mieć ujemny wpływ na filologię, filologia kojący wpływ na neurastenję, a wyleczenie z neurastenji czy może prowadzić do reumatyzmu?

— Najzupełniej, reumatyzm i neurastenja to są dwie zastępcze formy neuroartrytyzmu. Można przejść z jednego w drugie w drodze metastazy.

— Nasz znakomity profesor — rzekł Brichot — wyraża się, niech mi Bóg odpuści, we francuszczyźnie równie zaprawnej łaciną i greką, jakby to mógł uczynić sam molierowski pamięci pan Czyściel! Przybywaj, wujaszku, chcę powiedzieć nasz Sarceyu narodowy...

Ale nie mógł dokończyć. Profesor podskoczył i wydał ryk:

— Do stu kaduków — wykrzyknął, przechodząc wreszcie do artykułowanej mowy — przepuściliśmy Maineville (he! he!) a nawet Renneville.

Spostrzegł w tej chwili, że pociąg zatrzymuje się w Saint-Mars-le-Vieux, gdzie prawie wszyscy pasażerowie wysiadali.

— Nie mógł przecież przejechać stacji. Musieliśmy nie zauważyć, rozmawiając o Cambrerach.

— Słuchaj mnie, Ski, zaczekaj pan, powiem panu „dobrą nowinę”; — rzekł Cottard, który upodobał sobie to wyrażenie, używane w niektórych kołach lekarskich. — Księżna musi być w pociągu, nie zauważyła nas i wsiadła do innego wagonu. Chodźmy jej szukać. Byle to wszystko nie spowodowało jakiejś kalaputryny.

I profesor pociągnął nas na poszukiwanie księżnej Szerbatow. Znalazł ją w kącie pustego wagonu, czytając „Revue des Deux Mondes”. Księżna przyjęła od wielu lat, z obawy afrontów, zwyczaj siedzenia na swoim miejscu, trzymania się w kącie — tak w życiu jak w pociągu — i czekania z podaniem ręki aż ją ktoś pierwszy przywita. Czytała ciągle, kiedy wierni weszli do wagonu. Poznałem ją natychmiast: ta kobieta, która straciła może dawną sytuację, ale która była bądź co bądź osobą wysokiego rodu, a w każdym razie perłą salonu Verdurinów, była damą, którą w tym samym pociągu wziąłem przedwczoraj za gospodynię domu publicznego. Jej tak niepewna osobowość stała mi się natychmiast zrozumiała, kiedy usłyszałem nazwisko, tak jak, namęczony się nad zagadką, dowiadujemy się wreszcie słowa, które czyni jasnym przedtem ciemne. Tem słowem jest nazwisko. Dowiedzieć się na trzeci dzień, kim była osoba, z którą się jechało w pociągu, nie mogąc ustalić jej światowej rangi, stanowi niespodziankę o wiele zabawniejszą, niż wyczytać w świeżym numerze tygodnika rozwiązanie zagadki z poprzedniego nume-

ru. Wielkie restauracje, kasyna, kolejki lokalne, są istnem muzeum tych towarzyskich zagadek.

— Księżno, nie spostrzeżliśmy księżnej w Maineville! Pozwoli księżna, abyśmy zajęli miejsce w tym przedziale?

— Ależ jakże! — rzekła księżna, która słysząc że Cottard mówi do niej, podniosła dopiero wzrok z nad Revue. Oczy jej, podobnie jak oczy pana de Charlus — mimo iż łagodniejsze od nich — widziały bardzo dobrze osoby, których obecności księżna zdawała się nie spostrzegać. Cottard, uznawszy fakt że jestem zaproszony razem z Cambremerami za wystarczającą rekomendację, zdecydował się po chwili przedstawić mnie księżnej; ukloniła się bardzo grzecznie, ale tak jakby pierwszy raz słyszała moje nazwisko. „Kroć djasków — krzyknął doktor — żona zapomniała zmienić mi guzików przy białej kamizelce. Och, te kobiety, nie myśli to nigdy o niczem. Nie żęń się nigdy, młody człowieku!” — rzekł do mnie. Że zaś był to jeden z dowcipów, które uważał za właściwe stosować, kiedy się nie miało nic do powiedzenia, doktor zerknął na księżnę i na innych wiernych, którzy, ponieważ był profesorem i Akademikiem, uśmiechnęli się podziwiając jego wesołość i naturalność. Księżna poinformowała nas, że młody skrzypek odnalazł się. Leżał w łóżku poprzedniego dnia z powodu migreny, ale przybędzie dziś wieczór i przyprowadzi starego przyjaciela rodziny, którego spotkał w Doncieres. Księżna dowiedziała się o tem od pani Verdurin, u której była rano na śniadaniu, jak nam to oznajmiła pospiesznym głosem, w którym spółgłoska *r* z rosyjska łagodnie szemrała w jej gardzieli, jakby to było nie *r* ale *l*.

— A, jadła dziś z nią pani śniadanie — rzekł Cottard do księżnej, ale patrząc na mnie, bo słowa jego miały zwrócić uwagę, jak księżna jest blisko z „pryncypalką”. — Pani jest naprawdę wierna!

— Tak, lubię to małe kółko inteligentne, miłe, nie złośliwe, prłoste, bez snobizmu i trłyskające dowcipem.

— Tam do licha, musiałem zgubić bilet, muszę go znaleźć — wykrzyknął Cottard, nie zbyt zresztą zaniepokojony. Wiedział, że w Douville, gdzie miały na nas czekać dwa landa, urzędnik przepuści go bez biletu i ukloni mu się tem niżej, aby wytłumaczyć tym ukłonem swoją pobłażliwość, świadczącą iż poznał w panu Cottard stałego gościa Verdurinów. — Nie wsadzą mnie do aresztu — zakonkludował Cottard.

— Mówił pan — spytałem Brichota — że niedaleko stąd były słynne wody: skąd to wiadomo?

— Nazwa sąsiedniej stacji dowodzi tego, obok wielu innych świadectw. Zowie się Fervaches.

— Nie rłozumiem, co on chce powiedzieć — zaszemrała księżna tonem takim, jakby mi mówiła przymilnie: „Nudzi nas, prawda?”

— Ależ księżno, Fervaches znaczy gorące wody, *Fervidae aquae*. — Ale, *à propos* młodego skrzypka — ciągnął Brichot — zapomniałem panu, profesorze, oznajmić wielką nowinę. Czy pan wie, że nasz biedny przyjaciel Dechambre, dawny ulubiony pianista pani Verdurin, umarł. To okropne.

— Jeszcze był młody — odparł Cottard — ale musiał mieć jakiś mankament w wątrobie, musiał mieć jakieś świństwo w tym interesie, fatalną fizys miał od jakiegoś czasu.

— Ależ on nie był taki młody — rzekł Brichot; — w czasie kiedy Elstir i Swann bywali u pani Verdurin, Dechambre był już paryską sławą i rzecz zadziwiająca, nie przywiózł swego sukcesu z zagranicy. Tak, ten Dechambre nie był wyznawcą Ewangelji wedle świętego Barnuma.

— Myli pan; nie mógł bywać w owym czasie u pani Verdurin, był jeszcze na mamkach.

— Ależ, o ile mnie moja stara pamięć nie zawodzi, zdaje mi się, że Dechambre grywał sonatę Vinteuila dla Swanna, wówczas, gdy ten klubowiec, wycofawszy się z arystokracji, nie przeczuwał iż będzie pewnego dnia zmieszczanionym księciem-małżonkiem naszej narodowej Odety.

— To niemożliwe, sonatę Vinteuila grano u pani Verdurin w długi czas po zniknięciu stamtąd Swanna — rzekł doktor (doktor był jak wielu ludzi, którzy pracując dużo i sądząc iż zachowują w pamięci wiele rzeczy rzekomo użytecznych, zapominają wielu innych, co

im pozwala zachwycać się pamięcią ludzi nie mających nic do roboty). — Ujmę czyni pan swojej wiedzy, a nie jest pan przecie zramolizowany — dodał z uśmiechem doktor.

Brichot uznał swój błąd. Pociąg zatrzymał się. Była to la Sogne. Ta nazwa intrygowała mnie. „Jak jabym lubił wiedzieć, co znaczą wszystkie te nazwy — rzekłem do Cottarda. — Niechże się pan spyta pana Brichota, on może wie. — Ależ la Sogne, to Cicogne, *Siconia*, — odparł Brichot, budząc we mnie szaloną ochotę pytania o inne nazwy.

Zapominając że lubi swój „kącik”, pani Szerbatow ofiarowała się uprzejmie zamienić ze mną miejsce, abym mógł lepiej rozmawiać z Brichotem, którego chciałem spytać o inne intrygujące mnie etymologie. Księżna zapewniła, że jej jest wszystko jedno, jechać przodem, tyłem, stojąc, etc... Trzymała się w pozycji obronnej, dopóki nie znała intencji nowoprzybyłych; ale kiedy zrozumiała że są przyjazne, starała się na wszelki sposób zrobić każdemu przyjemność. Wkońcu pociąg zatrzymał się na stacji Doville-Féterne, która, położona mniej więcej w równej odległości od Féterne i od Doville, nosiła z powodu tej właściwości obie nazwy. „A, do licha — wykrzyknął doktor Cottard, kiedyśmy się znaleźli w przejściu gdzie odbierano bilety, udając że dopiero teraz się spostrzegł — nie mogę odnaleźć biletu, musiałem go gdzieś zgubić”. Ale funkcjonariusz, zdejmując kaszkiet, upewnił że to nic i uśmiechnął się z szacunkiem. Księżna (dając wyjaśnienia stangretowi, tak jakby to czyniła jakaś dama dworu pani Verdurin, bo sama pani Verdurin z powodu Cambremerów nie mogła przybyć na stację, co zresztą czyniła rzadko) zabrała mnie, zarówno jak Brichota, do jednego z powozów. W drugi wsiedli doktor, Saniette i Ski.

Stangret, mimo że bardzo młody, był „starszym stangretem” Verdurinów, jedynym prawdziwym ich stangretem z urzędu; woził ich zawsze w ciągu dnia na spacer, bo znał wszystkie drogi, a wieczór przywoził i odwoził „wiernych”. Towarzyszyli mu donajęci stangreci (których dobierał w razie potrzeby). Był to dzielny chłopiec, trzeźwy i zręczny, ale jego smutna twarz i skupione spojrzenie świadczyły o skłonności do irytacji a nawet do melancholji. Ale w tej chwili był bardzo szczęśliwy, bo udało mu się ulokować u Verdurinów brata, również poczciwego chłopca.

Najpierw przebyliśmy Doville. Porosłe trawą pagórki schodziły do morza dużemi zwalami, którym nasycenie wilgocią i solą daje gęstość, miękkość i szczególną żywość koloru. Wysepki i wyżębienia Rivebelle, o wiele bliższe tutaj niż w Balbec, dawały tej partii morza nowy dla mnie wygląd plastycznej mapy. Minęliśmy domki, zajęte prawie wszystkie przez malarzy, skreśliśmy w dróżkę, gdzie pasące się wolno krowy, równie przestraszone jak nasze konie, zatarasowały nam na dziesięć minut przejazd, poczem skreśliśmy w drogę wśród skał.

— Ale na bogów nieśmiertelnych — spytał nagle Brichot — wróćmy do biednego Dechambre; czy sądzicie, że pani Verdurin *wie?* czy *powiedziano* jej?

Pani Verdurin, jak prawie wszyscy ludzie światowi, właśnie dlatego że potrzebowała towarzystwa drugich, nie myślała już o nich ani dnia z chwilą gdy, wyzionawszy ducha, nie mogli już przychodzić na środy ani na soboty ani na obiadek w małym kółku. I nie można było powiedzieć o „paczce”, będącej w tem obrazem wszystkich salonów, że składa ją więcej umarłych niż żywych, ile że, z chwilą śmierci, było tak jakby się nigdy nie istniało. Ale, aby uniknąć obowiązkowej nudy mówienia o nieboszczykach, a nawet może — rzecz niemożliwa dla pryncypalki — przerwania obiadów z powodu żałoby, p. Verdurin udawał, iż śmierć wiernych tak wzrusza jego żonę, że przez wzgląd na jej zdrowie nie trzeba o tem mówić. Zresztą, może właśnie dlatego że śmierć drugich zdawała mu się tak definitywnym i pospolitym wypadkiem, myśl o własnej śmierci przejmowała go grozą, unikał też wszelkich refleksyj w tej mierze. Brichot, dobry człowiek i ściśle wierzący w to co Verdurin mówił o żonie, bał się dla przyjaciółki tych bolesnych wzruszeń.

— Tak, *wie wszystko* od dziś rana — rzekła księżna — *nie można jej było ukryć*.

— Och, tysiąc gromów Zeusa — wykrzyknął Brichot — och, to musiał być straszliwy cios: przyjaciel od dwudziestu pięciu lat! Człowiek tak zrośnięty z naszą paczką!

— Oczywiście, oczywiście, cóż pan chce — rzekł Cottard. — To są okoliczności zawsze przykre; ale pani Verdurin to silna kobieta, to głowa w wyższym jeszcze stopniu niż serce.

— Nie zupełnie jestem zdania doktorla — rzekła księżna, która przy swojej pospiesznej dykcji i niedbalej wymowie, robiła wrażenie zarazem dąsu i filuterności. — Pani Ver-

durin pod pozorami chłodu kryje skarby uczucia. Jej mąż mówił mi, że wiele miał trudu z tem, aby jej nie dać jechać do Paryża na pogrzeb; musiał skłamać, że wszystko odbywa się na wsi.

— A do djaska, chciała jechać do Paryża! Ależ ja wiem, ta kobieta ma serce, może za wiele serca. Biedny Dechambre! Toż nie dalej niż dwa miesiące temu, pani Verdurin mówiła: „Przy nim Plante, Paderewski, nawet Risler idą w ką”. Och, ten mógł powiedzieć, słuszniej niż to kabotyniszczcze Neron, który potrafił zbujać nawet naukę niemiecką: *Qualis artifex pereo!* Ale przynajmniej Dechambre musiał umrzeć pełniąc swoje kapłaństwo, *in odore sanctitatis* beethoveniańskiej, i mężnie, nie wątpię o tem; po sprawiedliwości, ten apostoł niemieckiej muzyki wart był umrzeć celebrując mszę *D dur*. Ale to był pozatem człowiek zdolny powitać kostuchę trylem, bo ten genialny wirtuoz odnajdywał czasami w swojej rasie sparyżanizowanego szampańczyka jurność i elegancję francuskiego gwardzisty.

Z wysokości na któreśmy się znaleźli, morze nie wydawało się już, jak z Balbec, podobne do falistych gór, ale przeciwnie, wyglądało tak, jak ze szczytu góry lub z okrążającej ją drogi wygląda siny lodowiec lub olśniewająca równina, położone niżej. Deseń wirów zdawał się znieruchomiony tak jakby na zawsze wykreślił swoje koncentryczne koła; nawet emalja morza zmieniającego nieznacznie kolor przybierała w głębi zatoki, tam gdzie było ujście rzeki, sinawą białość mleka, w którym małe czarne łodzie, nie posuwając się naprzód, zdawały się grzęznąć jak muchy. Nie wyobrażałem sobie, aby mógł skądś być rozleglejszy widok. Ale za każdym zakrętem przybywała nowa partja, a kiedyśmy się znaleźli u rogatki Doville, ostroga skały, dotąd zasłaniająca pół zatoki, cofnęła się, i ujrzałem nagle po lewej, część zatoki równie głęboką jak ta którą miałem dotąd przed sobą, ale zmieniającą jej proporcje i zdwajającą piękno. Powietrze na tej wyżynie nabierało upajającej ostrości i czystości. Kochałem w tej chwili Verdurinów; to że wysłali po nas powóz, zdawało mi się aktem rozczulającej dobroci. Byłbym uściskał księżnę. Oświadczyłem jej, że nie widziałem nic równie pięknego. Wyznała, że również kocha ten krajobraz bardziej niż wszelki inny. Ale ja czułem, że dla niej, jak dla Verdurinów, główną sprawą było nie podziwiać ten widok oczami turysty, ale organizować smaczne obiady, gościć wybrane towarzystwo, pisać listy, czytać, słowem żyć tam, raczej biernie kąpiąc się w tem pięknie, niż czyniąc zeń przedmiot swoich zainteresowań.

Minąwszy rogatkę, powóz zatrzymał się chwilę na takiej wysokości ponad morzem, że, niby ze szczytu, widok sienie otchłani przyprawiał niemal o zawrót głowy. Spuściłem szybę; wyraźny plusk każdej łamiącej się fali miał w swojej słodyczy i czystości coś wzniosłego. Czyż nie był jakgdyby wskaźnikiem skali, która, obalając nasze zwykłe wrażenia, ukazuje nam, że, nawspak przyzwyczajeniom naszej myśli, odległości prostopadłe mogą się kojarzyć z poziomymi; i że, zbliżając niejako do nas niebo, odległości te nie są wielkie; są nawet mniejsze dla dźwięku który je przebywa, jak plusk tych małych fal, bo środowisko które ma przebyć jest czystsze. I w istocie, wystarczyło się cofnąć od rogatki, bodaj o dwa metry wstecz, aby już nie rozróżniać tego plusku fal, któremu dwieście metrów pionowego urwiska nie odjęło delikatnej, drobniawej i łagodnej wyrazistości. Powiedziałem sobie, że babka odczułaby tutaj ów podziw, jaki w niej budziły wszystkie przejawy natury lub sztuki, w prostocie swojej wyrażające wielkość. Egzaltacja moja sięgała szczytu i ogarniała wszystko co mnie otaczało. Rozczulało mnie, że Verdurinowie posłali po nas na stację. Powiedziałem to księżnej, która najwidoczniej uznała że mocno przeceniam zwykłą uprzejmość. Wiem (zwierzyła się potem Cottardowi), że się jej wydał bardzo egzaltowany; Cottard odrzekł, że jestem zbyt pobudliwy i że potrzebowalibyśmy środków uspokajających i robótek na drutach. Zwracałem uwagę księżnej na każde drzewo, na każdy domek tonący w różach, kazałem jej wszystko podziwiać, byłbym ją samą rad przycisnął do serca. Rzekła, że widzi we mnie zmysł malarski, że powinienbym rysować; dziwiła się, że mi jeszcze tego nie mówiono. I przyznała, że w istocie ta okolica jest malownicza.

Przebyliśmy wioskę Englesqueville, uczeponą skal. — *Engleberti Villa*, — objaśnił Brichot. — Ale czy księżna jest pewna, że dzisiejszy obiad odbędzie się mimo śmierci Dechambre'a? — dodał, nie zastanawiając się, że obecność powozów na stacji stanowiła już odpowiedź. — Tak, odparła księżna, panu Verldurlin specjalnie zależało na tem żeby nie odkładano obiadu; nie chce dać żonie „myśleć”. Przytem, po tylu latach, w ciągu

których nigdy nie przepuściła żadnej środy, ta zmiana przyzwyczajęń mogłaby ją wzruszyć. Jest bardzo nerwowa w ostatnich czasach. Verdurin jest szczególnie rad że pan przyjeżdża dzisiaj, bo wie że to będzie wielka rozrywka dla niej — rzekła księżna, zapominając że niby to nie słyszała o mnie. — Sądzę, że dobrze by pan zrobił, nie *wspominając o niczem* przy pani Verdurin — dodała zwracając się do Brichota.

— Och, dobrze księżna robi, że mi to mówi — odparł naiwnie Brichot. — Uprzedzę Cottarda.

Powóz zatrzymał się na chwilę. Ruszył dalej, ale turkot kół ustał. Wjechaliśmy w aleję la Raspelière, gdzie pan Verdurin czekał nas przed gankiem. — Dobrzem zrobił, że włożył smoking — rzekł stwierdzając z przyjemnością że wierni są w smokingach skoro mam do czynienia z takimi elegantami. — A kiedy ja przeprosiłem, że jestem w marynarce, rzekł: — Ale cóż znowu, to znakomicie. Jesteśmy przecie między kolegami. Pożyczylbym panu chętnie jakiegos mojego smokinga, ale nie nadałby się panu. — Pełne wzruszenia *shake hand*, jakim, wchodząc do sieni, Brichot obdarzył pryncypała w charakterze kondolencji z powodu śmierci pianisty, nie wywołało żadnego komentarza. Wyraziłem panu Verdurin zachwyt nad tą miejscowością: — A, ślicznie, ale pan jeszcze nic nie widział, pokazemy to panu. Czemu by pan nie miał przyjechać tu na kilka tygodni, powietrze jest wyborne. — Brichot bał się, że jego uścisk dłoni nie został zrozumiany. — I co! ten biedny Dechambre! rzekł, ale półgłosem, z obawy aby pani Verdurin nie było gdzie w pobliżu. — To okropne, odparł rzeźko p. Verdurin. — Tak młodo... — podjął Brichot. Zniecierpliwiony próżną zwłoką, p. Verdurin odparł żywo, jakgdyby z jękiem, ale nie bólu lecz irytacji: — No więc tak, ale cóż pan chce, nic na to nie poradzimy, nasze słowa go nie wskrzeszą, prawda? — I już, wraz z jowialnością, wracała mu pogoda: — No, kochany Brichot, niech pan złoży prędko swoje rzeczy. Mamy *bouillabaisse*, która nie lubi czekać. Tylko na imię nieba, niechże pan nie wspomina o Dechambrze przed żoną. Pan wie, ona głęboko kryje to co czuje, ale to fakt, że jest przytem niebezpiecznie wrażliwa. Doprawdy, przysięgam panu, kiedy się dowiedziała że Dechambre umarł, omal się nie rozplakała — rzekł Verdurin z głęboką ironją. Słyszac go, możnaby sądzić że trzeba być bez mała obłąkanym, aby żałować przyjaciela którego się widywało od trzydziestu lat; a z drugiej strony odczuwało się, że w tem wiekuistem współżyciu Verdurin jednak zawsze sądził żonę, a często go drażniła. — Jeżeli pan jej o tem wspomni, gotowa się znów rozchorować. Toby było fatalne, w trzy tygodnie po jej bronchicie. W takich razach, to ja jestem pielęgniarką. Może pan zgadnąć, że i mnie nie uszło na sucho. Bolej pan w sercu nad losem Dechambre'a, ile się panu podoba. Myśl o nim, ale nie mów. Kochałem bardzo Dechambre'a, ale nie może mi pan brać za złe, że jeszcze więcej kocham żonę. O, idzie Cottard, może się go pan spytać.

I w istocie Verdurin wiedział, że lekarz domowy umie oddawać drobne usługi, jak naprzykład przepisać że nie trzeba się martwić.

Posłuszny Cottard powiedział pryncypałce: — Niech się pani tak przejmuj, a jutro zawali *mi* pani 39 stopni gorączki, — tak jakby powiedział kucharcze: „Jutro zrobisz mi potrawkę cielęcą”. Medycyna, nie mogąc uleczyć, bawi się w zmienianie sensu czasowników i zaimków.

Verdurin z zadowoleniem ujrzał, że Saniette, mimo szykan doznanych dwa dni wprzódy, nie skrewił. W istocie bezczynność wszczęła pani Verdurin i jej mężowi okrutne instynkty, którym wielkie okazje — zbyt rzadkie — już nie wystarczały. Udało się nigdyś poróżnić Odetę ze Swannem, Brichota z kochanką, powtórzyłyby się to z innymi, rozumie się samo przez się. Ale taka sposobność nie nastęczała się codzień. Saniette natomiast, dzięki swojemu przeczuleniu, dzięki swojej łatwo płochliwej nieśmiałości, był dla nich codzienną ofiarą. Toteż, z obawy aby im nie uciekł, zapraszano go zawsze uprzejmie i dobrodusznie, słowami takimi, jakie mają w liceum „weterani”, w pułku „stara wiara” dla rekruta, którego chce się zwabić w pułapkę jedynie poto aby się nad nim znęcać i robić mu dotkliwe kawały, wówczas gdy się już nie będzie mógł wymknąć.

— Zwłaszcza — przypomniał Cottard Brichotowi, który nie słyszał słów gospodarza — sza przed panią Verdurin. — Bądź bez obawy, o Cottardzie, masz do czynienia z mędrce, jak powiada Teokryt. Zresztą Verdurin ma rację; na co zdadzą się nasze skargi — dodał profesor, ponieważ, zdolny przyswoić sobie wyrażenia i pojęcia, ale pozbawiony subtelności, podziwiał w słowach pana Verdurin stoiczny hart. To fakt, że zeszedł ze

świata wielki talent. — Jakto, wy jeszcze o tym Dechambre! — rzekł Verdurin, który nas wyprzedził i widząc że nie idziemy za nim, wrócił się. Słuchaj pan — rzekł do Brichota — nie trzeba w niczem przesadzać. To że umarł, to nie jest powód aby zeń robić genjusza, którym nie był. Grał dobrze, zgoda, był zwłaszcza tutaj w dobrej ramie; przeszczepiony w inne otoczenie — nie istniał. Żona zapaliła się do niego i stworzyła mu reputację. Wiecie, jaka ona jest! Powiem więcej: w interesie własnej reputacji, on umarł w punkcie, *à point*, jak będą, mam nadzieję, *à point* racuszki caeńskie, usmażone wedle niezrównanych recept Pampilles'a (chyba, że zamysłacie, przy swoich jeremiadach, tkwić na wieki w tej sieni, otwartej na wszystkie wiatry). Nie chcecie przecie, żebyśmy wszyscy zdechli dlatego że umarł Dechambre, który od roku, mając dać koncert, musiał ćwiczyć gamy aby odzyskać chwilowo, bardzo chwilowo, giętkość palców. Zresztą usłyszycie dziś wieczór, lub przynajmniej zobaczycie — bo ten hultaj dość często zdradza po obiedzie sztukę dla partyjki pokera — kogoś, kto jest grubo większym artystą niż Dechambre: chłopczyna, którego żona odkryła (jak odkryła Dechambre'a i Paderewskiego, i innych): Morel. Jeszcze nie zjawił się, ladaco. Będę musiał po niego posłać powóz na ostatni pociąg. Przyjeżdża ze starym przyjacielem rodziny, którego odnalazł i który go nudzi jak djabli, ale inaczej musiałby — aby nie znosić później zrzędzeń ojca — tkwić w Doncieres i dotrzymywać mu towarzystwa. Nazywa się baron de Charlus.

Weszli wierni. Verdurin, zostawszy ze mną z tyłu podczas gdym zdejmował palto, wziął mnie żartobliwie pod ramię, jak robi, idąc do obiadu, gospodarz domu z gościem któremu zbrakło pary. „Miał pan dobrą podróż? — Tak, p. Brichot mówił rzeczy, które mnie bardzo interesowały — rzekłem myśląc o etymologjach, a także dlatego, że słyszałem iż Verdurinowie bardzo admirują Brichota. — Dziwiłbym się, gdyby on pana czego nie nauczył; to człowiek tak chowający się w cień i tak mało mówiący o rzeczach które wie”. Ta pochwała nie wydała mi się zbyt trafna. „Przemily jest, rzekłem. — Uroczy, rozkoszny, bez cienia pedantyzmu, pefen polotu, lekki, żona ubóstwa go, ja też! — odparł Verdurin przesadnym tonem tak jakby recytował lekcję. Wówczas dopiero zrozumiałem, że to co mówił o Brichocie było ironiczne. I pomyślałem w duchu, czy Verdurin, od owych dawnych czasów o których słyszałem, nie wyzwolił się z pod kurateli żony.

Rzeźbiarz bardzo się zdziwił, że Verdurinowie godzą się przyjąć pana de Charlus. W faubourg Saint-Germain, gdzie p. de Charlus był tak znany, nigdy nie mówiono o jego obyczajach: większość nic o nich nie wiedziała, inni wątpili o nich, raczej tłumacząc je wybrykami egzaltowanych ale platonicznych przyjaźni, nieostrożnością; świadomsi taili starannie prawdę, wzruszając ramionami, kiedy jakaś niezyczliwa Gallardon zaryzykowała insynuację. Natomiast obyczaje te, znane ledwo paru najbliższym, były przeciwnie osławione zdala od sfery w której żył baron, jak owe strzały armatnie, słyszalne aż poza zasięgiem strefy ciszy. Zresztą w mieszczańskich i artystycznych kołach, gdzie baron uchodził za wcielenie zbroczenia, jego wspaniała sytuacja światowa, wysokie urodzenie, były zupełnie nieznanne; objaw podobny temu, który sprawia że w Rumunji nazwisko Ronsarda znane jest jako nazwisko magnata, natomiast jego poezja jest nieznaną. Co więcej, szlachectwo Ronsarda opiera się w Rumunji na pomyłce. Podobnie, jeżeli w świecie malarzy, aktorów, p. de Charlus miał tak złą reputację, wynikało to stąd, że go mylono z niejakim hrabią Leblois de Charlus, który nie był nawet żadnym jego krewnym (albo bardzo dalekim) i którego aresztowano — może przez pomyłkę — w głośniejszej obławie policyjnej. W rezultacie, wszystkie historie, które opowiadano o panu de Charlus, odnosiły się do owego fałszywego. Wielu zawodowców przysięgało, że mieli stosunki z panem de Charlus, i to w dobrej wierze, myśląc że fałszywy Charlus jest prawdziwy, fałszywy zaś podsycił może, częścią przez snobizm, częścią przez hipokryzję zbrocieńca, ten zamęt, który prawdziwemu znanemu nam baronowi de Charlus długo przynosił szkodę. Później, kiedy sam baron de Charlus stoczył się niżej, alibi to stało mu się wygodne, bo i on mógł mówić: „To nie ja”. Obecnie w istocie nie był on tym, o którym mówiono. Wreszcie — co jeszcze pogłębiało fałszywość komentarzy prawdziwego faktu (skłonności barona) — był on swego czasu bliskim a zgoła niewinnym przyjacielem pewnego pisarza, który w świecie teatralnym miał, niewiedomo czemu, tę niezasłużoną reputację. Kiedy ich widziano razem na premierze, powiadano: „Aha!” tak jak wierzono, że księżnę Oriannę łączą występne stosunki z księżną Parmy; legenda niezniszczalna, bo rozprószyłaby ją jedynie styczność z temi dwiema damami, którą ludzie powtarzający ową plotkę mogli

osiągnąć tylko lornetując je w teatrze i spotwarzając przed sąsiadem. Z obyczajów pana de Charlus rzeźbiarz tem kategorycznie wnioskował, że towarzyska sytuacja barona musi być równie licha, ile że o rodzinie pana de Charlus, o jego tytule i nazwisku, nie miał żadnych wiadomości. Jak Cottard myślał, że wszyscy wiedzą, iż tytuł doktora medycyny jest niczem a tytuł *interna* czemś, tak ludzie światowi wyobrażają sobie mylnie, że każdy jest w tym samym stopniu co oni sami i ludzie z ich sfery świadom socjalnych walorów ich nazwiska.

Książę d'Agriente uchodził za „niebieskiego ptaka” w oczach portjera z klubu, któremu był winien dwadzieścia pięć ludwików; odyskiwał swoją wartość dopiero w faubourg Saint-Germain, gdzie miał trzy siostry diuszessy. Wielki pan, jeżeli komu imponuje, to nie ludziom skromnym, nie doceniającym jego „państwa”, ale ludziom świetnym, zdolnym ściśle oszacować jego pozycję. Baron miał zresztą jeszcze tego wieczora zauważyć, że „pryncypał” (Verdurin) ma o najznakomitszych rodach książęcych pojęcia dość mętne. Przekonany że Verdurinowie „wsypią się”, pozwalając do swego tak *select* salonu wprowadzić indywiduum o podejrzanej reputacji, rzeźbiarz uważał za potrzebne wziąć pryncypałkę na bok. — Myli się pan najzupełniej, zresztą ja nigdy nie wierzę w podobne rzeczy; a ostatecznie, gdyby to i była prawda, powiem panu, że to nie byłoby zbyt kompromitujące dla mnie! — odparła pani Verdurin, wściekła, bo Morel był głównym elementem jej śród, zależało jej tedy na tem, aby go nie zrazić. Co się tyczy Cottarda, nie mógł wyrazić swego zdania, bo udał się w tej chwili, jak oznajmił, „załatwić małe zlecenie” w „*buen retiro*”, a potem napisać w gabinecie pana Verdurin bardzo pilny list do pacjenta.

Pewien wielki wydawca z Paryża, zjawiwszy się z wizytą i myśląc że go zatrzymają, odjechał pośpiesznie wściekły, zrozumiałwszy że nie jest dość wytworny dla tej „paczki”. Był to człowiek wysoki i tęgi, silny brunet, pracowity i dość apodyktyczny. Robił wrażenie hebanowego noża do przecinania kartek.

Pani Verdurin, która, aby nas przyjąć w olbrzymim salonie, gdzie trofea świeżo zerwanych traw, maków, kwiatów polnych, przeplatały się z tym samym motywem malowanym „*en camaïeu*” dwa wieki wprzód przez wykwintnego artystę, wstała na chwilę od partyjki ze starym przyjacielem, poprosiła nas o dwie minuty na jej dokończenie, przyczem nie przestała rozmawiać z nami. Nie zupełnie była zadowolona z wrażeń, które jej zwierzyłem. Po pierwsze, ujrzałem ze zgorzeniem że ona i jej mąż wracają co dnia do domu o wiele przed porą zachodów słońca, które miały być tak piękne z tego brzegu, a bardziej jeszcze z tarasu w la Raspelière, i dla których ja byłbym szedł całe mile. — Tak, to nieporównane, rzekła zdawkowo pani Verdurin, spoglądając na olbrzymie oszklone drzwi. Można patrzeć na to codzień i nie sprzykrzy się; — i znów spojrziała w karty.

Otóż, entuzjazm mój czynił mnie wymagającym. Ubolewałem, że z salonu nie widać skał Darnetal (których czar wysławiał mi Elstir), w momencie gdy łamią tyle kolorów. — A, stąd nie zobaczy ich pan, trzebaby iść na koniec parku, do *widoku na zatokę*. Z ławki, która tam stoi, ogarnia pan całą panoramę. Ale nie może pan iść sam, zablądziłby pan. Ja pana zaprowadzę, jeżeli pan chce — dodała miękko. — Ale nie, słuchaj, czy nie dosyć ci newralgji, jakiej napytałaś się kiedyś, chcesz dostać nowej? Pan wróci przecie, zobaczy widok na zatokę innym razem. — Nie nalegałem, zrozumiałem, że Verdurinom wystarczy wiedzieć że zachód słońca znajduje się w ich salonie lub jadalni, niby wspaniały obraz, niby szacowna emalja japońska, usprawiedliwiający wysoką cenę, jaką opłacali la Raspelière wraz z meblami; ale rzadko spoglądali na ten zachód; grunt było dla nich żyć przyjemnie, jeździć na spacer, dobrze jeść, rozmawiać, przyjmować miłych ludzi, z którymi dzielili partyjki bilardu, smaczne obiadki, wesołe podwieczorki. Ujrzałem jednak później, jak inteligentnie nauczyli się znać okolicę, dostarczając gościom spacerów równie nieogranych, jak muzyka którą ich raczyli. Rola, jaką kwiaty w la Raspelière, drogi nad morzem, stare domy, nieznanne kościoły, grały w życiu pana Verdurin, była tak wielka, że ludzie którzy go widywali tylko w Paryżu i dla których miejski zbytek zastępował życie nad morzem i na wsi, zaledwie mogli zrozumieć jego zadowolenie z siebie, oraz ważność, jaką te przyjemności dawały mu we własnych oczach. Ważność ta urastała jeszcze przez fakt, że Verdurinowie byli przeświadczeni, iż la Raspelière, którą zamierzali kupić, jest, jako posiadłość, czemś jedynem. Wyższość, jaką ich miłość własna darzyła la Raspelière, usprawiedliwiła w ich oczach mój entuzjazm, który inaczej byłby ich podrażnił trochę,



z powodu zawodów, które krył w sobie (jak te, które niegdyś sprawiła mi Berma), a do których przyznawałem się im szczerze.

— Słyszę, że powóz wraca — szepnęła nagle pryncypalka. Powiedzmy w jednym słowie, że pani Verdurin, nawet poza nieuniknionymi zmianami wynikłymi z wieku, nie była już podobna do osoby w której salonie Swann i Odeta słuchali sławnej „frazy”. Nawet kiedy grano tę frazę, nie potrzebowała się już zmuszać do ekstatycznego wyrazu, jaki przybierała niegdyś, bo ten wyraz stał się jej twarzą. Pod wpływem niezliczonych newralgji, o jakie przyprawiała ją muzyka Bacha, Wagnera, Vinteuila, Debussy’ego, czoło pani Verdurin przybrało olbrzymie proporcje, jak członki, które reumatyzm zniekształca w końcu. Skronie jej, podobne do dwóch pięknych płonących, obolałych i mlecznych półkul, w których toczy się nieśmiertelnie Harmonja, odrzuciły na obie strony srebrne kosmyki i bez potrzeby słów głosiły za właścicielkę: „Wiem, co mnie czeka dziś wieczór”. Rysy jej nie silily się już wyrażać nadmiaru estetycznych wrażeń, bo same były niejako stałym ich wyrazem na zniszczonej i pysznej twarzy. Ten wyraz rezygnacji na wciąż bliskie cierpienia zadawane przez Piękno, oraz męstwo, jakim było ubrać się, kiedy się ledwo przeżyło ostatnią sonatę, sprawiły, że pani Verdurin, nawet słuchając najokrutniejszej muzyki, zachowywała twarz wzgardliwie obojętną i kryła się nawet z polknięciem dwóch łyżeczek aspiryny.

— Och, tak, są, są! — wykrzyknął pan Verdurin z ulgą, widząc że drzwi otwierają się dla Morela, za którym kroczył p. de Charlus. Baron, dla którego obiad u Verdurinów nie był zgoła wizytą światową, ale podejrzaną eskapadą, był onieśmielony jak uczeń, który znalazł się pierwszy raz w zamtuzie i traktuje gospodynię z bezmiernym szacunkiem. To też zwykła tendencja pana de Charlus do okazania męskości i chłodu ustąpiła (kiedy się baron zjawił w drzwiach) tradycyjnym pojęciem grzeczności, budzącym się z chwilą gdy nieśmiałość zburzy sztuczne wzięcie i sięgnie do warstw podświadomości. Kiedy u jakiegoś Charlusa — czy to będzie wielki pan czy plebejusz — przyjdzie do głosu takie uczucie instynktownej i atawistycznej grzeczności wobec nieznajomych, zawsze dusza jakiejś żeńskiej krewniaczki, nakształt opiekuńczej bogini lub wcielonego sobowtóra, śpieszy wprowadzić go do nowego salonu i dyktować mu zachowanie się, zanim dotrze do pani domu. Tak, młody malarz, wychowany przez świętobliwą ciotkę protestantkę, wejdzie z pochyloną na bok i trzęsącą się głową, z oczami wzniesionymi ku niebu, z rękami wsuniętymi w niewidzialną muflę, której urojony kształt oraz istotna i opiekuńcza obecność pomogą zalęknionemu artyście przebyć bez agorafobji najeżoną przepaściami przestrzeni z przedpokoju do saloniku. Pobożna krewniaczka, której wspomnienie wiedzie go dzisiaj, wchodziła tak przed wielu laty i z miną tak żałosną, że każdy zadawał sobie pytanie, co ona za nieszczęście zwiastuje, zanim przy pierwszych słowach zrozumiało się, że — jak teraz malarz — przychodzi poprostu z *diżestją*. Jestto jakgdyby prawo, które żąda, aby życie, dla celów niespełnionego jeszcze aktu, wezwano, spożytkowało, zniekształciło — w wiekuiestej prostytucji — najczcigodniejsze, czasem najświętsze, czasem tylko najniewinniejsze dziedzictwa przeszłości — mimo iż rodzi wówczas odmienne obrazy. I tak, pewien bratanek pani Cottard, który martwił rodzinę zniewieściałem wzięciem i dwuznacznymi stosunkami, wkraczał zawsze radośnie, jakby chciał zrobić niespodziankę lub oznajmić spadek, rozpromieniony szczęściem, o którego przyczynę daremnie byłoby pytać, ile że tkwiła w nieświadomej dziedziczności i zmyślonej płci. Szedł na paluszkach, sam z pewnością zdziwiony że nie ma w ręku portfeliu z biletami wizytowani, podawał rękę z buzią w ciup, jak to widział z pewnością u ciotki; a niespokojne jego spojrzenie kierowało się w stronę lustra, jakby chciał sprawdzić — mimo że był z gołą głową — czy mu się kapelusz (tak jak pewnego dnia pani Cottard spytała o to Swanna) nie przekrzywił.

Co się tyczy pana de Charlus, towarzystwo w jakim się obracał dostarczyło mu w tej krytycznej minucie odmiennych wzorów, innych arabesków dworności, a także zasady, że trzeba w pewnych wypadkach, na intencję skromnych mieszczan, umieć wydobyć i rozwinąć najrzadsze i zazwyczaj w zapasie chowane uroki. Toteż, krygując się, wdzięcząc, z tą samą płynnością, z jaką spódnice byłyby poszerzyły i skrępowały jego kołysanie się, skierował się ku pani Verdurin z miną tak szczęśliwą i zaszczyconą, że możnaby rzec iż znaleźć się w jej domu jest dla barona najwyższą łaską.

Pochyloną jego twarz, na której zadowolenie walczyło z poprawnością, marszczyła się w drobne fałdki uprzejmości. Możliwe, że to idzie pani de Marsantes, tak dale-

ce ujawniała się w tej chwili kobieta, którą błąd natury pomieścił w ciele pana de Charlus. Niewątpliwie, baron ciężko pracował nad tem aby pokryć tę pomyłkę i przybrać pozór męski. Ale zaledwie do tego doszedł — zachowawszy przez ten czas te same skłonności — nawyk czucia po kobiecemu dał mu nowy pozór kobiecy, zrodzony już nie z dziedziczności, ale z życia indywidualnego. Że zaś doszedł stopniowo do tego, że myślał — nawet w rzeczach towarzyskich — po kobiecemu, i to bez świadomości (bo nie w miarę jak kłamie innym, ale także w miarę jak kłamie samemu sobie, człowiek przestaje spostrzegać że kłamie), mimo iż nakazywał swemu ciału, aby rozwinęło (w chwili gdy wchodził do Verdurinów) całą kurtuazję wielkiego pana, owo ciało, tak dobrze pojmujące to co p. de Charlus przestał rozumieć, roztoczyło wszystkie uroki damy i to w tym stopniu, że baron zasłużyłby na epitet *lady-like*. Zresztą, czyż można całkowicie oddzielić wygląd pana de Charlus od faktu, że synowie, nie zawsze będąc podobni do ojca, nawet gdy nie są zбочeńcami i mają pociąg do kobiet, ziszczają w twarzy Profanację własnej matki. Ale poniechajmy tutaj to, co zasługiwałoby na osobny rozdział: sprofanowane matki.

Mimo że inne racje patronowały przeobrażeniu pana de Charlus i że czysto fizyczne fermenty kazały burzyć się w nim materji i przenosiły stopniowo jego ciało w kategorię ciał kobiecych, zmiana, jaką zaznaczamy tutaj, była jednak pochodzenia duchowego. Człowiek, który się uważa za chorego, staje się nim, chudnie, nie ma siły wstać, ma nerwowe niezłyty jelit. Siłą tkliwego myślenia o mężczyznach mężczyzna staje się kobietą, i urojona suknia pęta jego kroki. Obsesja myśli może w tych wypadkach przeobrazić pleć, jak w innych zdrowie.

Morel, który szedł tuż za baronem, przywitał się ze mną. Od tej chwili, wskutek podwójnej zmiany, jaka w nim zaszła, sprawił na mnie złe wrażenie, którego, niestety, nie umiałem dość wcześnie wziąć w rachubę. Oto czemu. Wspomniałem, że Morel, wyzwoliwszy się z ojcowskiego służalstwa, lubował się naogół w lekceważącej poufalości. W owym dniu, kiedy mi przyniósł fotografie, traktował mnie bardzo bezceremonjalnie. Jakież było moje zdumienie, kiedy, u pani Verdurin, ujrzałem, że mi się kłania bardzo nisko — tylko mnie jednemu — i kiedy usłyszał, zanim się z czemś odezwał, zwrócone do mnie wyrazy „szacunku, bardzo głębokiego szacunku”: nigdybym nie przypuszczał, aby mnie kiedy uczył takim zwrotem, piśmiennie lub ustnie. Odrazu wyczułem, że chce mnie o coś prosić. Za chwilę Morel wziął mnie na bok.

— Oddałby mi pan wielką przysługę — rzekł ceremonjalnie — gdyby pan raczył całkowicie przemilczeć przed panią Verdurin i jej gośćmi stanowisko, jakie mój ojciec zajmował u pańskiego szanownego wuja. Lepiej byłoby natrącić, że pełnił w pańskiej rodzinie funkcje intendenta, i to posiadłości tak rozległych, że go to stawiało na stopie równej z pańskimi krewnymi.

Prośba Morela była mi bardzo nie na rękę, nie przez to że mi kazała podwyższać sytuację jego ojca (co mi było obojętne), ale że musiałem zwiększać rzekomy majątek mego ojca, co mi się wydawało śmieszne. Ale Morel robił wrażenie człowieka tak zgnębnego, tak nalegał, że nie umiałem odmówić. „Ale koniecznie przed obiadem — rzekł błagalnie; ma pan tysiąc pozorów, aby wziąć na bok panią Verdurin”. Zrobiłem to w istocie, starając się, o ile mogłem, podnieść blask ojca Morela, nie przesadzając „stopy życia” i „posiadłości” moich rodziców. Przeszło gładko, mimo zdziwienia pani Verdurin, która swego czasu znała trochę mego dziadka. Że zaś nie miała taktu i nienawidziła rodzin (rozkładowego elementu jej „paczki”), przeto, powiedziawszy mi że widziała niegdyś mego pradziadka i wyraziwszy się o nim mniejwięcej jak o kompletnym idjocie, który nie byłby nic rozumiał z jej klanu i który, wedle jej wyrażenia, był „z innej parafji”, rzekła: „To zresztą taka nudna rzecz, rodzina. Człowiek tylko marzy, aby się z tego wydostać”. Zaraz potem opowiedziała mi o ojcu mego dziadka fakt, którego nie znałem, mimo że w domu (nie znałem pradziadka, ale mówiono wiele o nim) podejrzewałem jego rzadkie skąpstwo (w przeciwieństwie do ostantacyjnej nieco hojności wuja Adolfa, przyjaciela różowej damy i chlebobawcy ojca Morela). Pani Verdurin rzekła tedy:

— Skoro pańscy dziadkowie mieli tak szykownego intendenta, to dowód, że zdarzają się w rodzinach ludzie wszelkiej maści. Ojciec pańskiego dziadka był tak skąpy, że prawie zidjociawszy na schyłku życia — mówiąc między nami, nigdy nie miał zbyt tegiej głowy; pan gasi ich wszystkich — nie mógł się nigdy zdobyć na to, aby wydać trzy su na omnibus. Tak iż trzeba było posyłać za nim służącego, który płacił osobno konduktorowi i wmówił

w starego kutwę, że jego przyjaciel, p. de Persigny, minister Stanu, uzyskał dlań prawo darmowej jazdy omnibusem. Zresztą bardzo jestem rada, że ojciec *naszego* Morela był człowiekiem tak dystygowanym. Zdawało mi się, że on był profesorem liceum; to nic, widocznie źle zrozumiałam. Ale to niewiele znaczy, bo powiem panu, że my tu cenimy jedynie wartość ludzką, wkład osobisty, to co ja nazywam wtajemniczeniem. Byleby się żyło w sztuce, słowem byle się należało do bractwa, o resztę mniejsza.

Sposób, w jaki Morel należał do „bractwa” — o ile zdołałem się dowiedzieć — polegał na tem, że kochał na tyle kobiety i mężczyzn, aby móc zrobić przyjemność każdej płci przy pomocy tego czego się nauczył od drugiej — jak to się okaże później. Ale godne zanotowania jest, że z chwilą gdy mu przyrzekł interwenjować u pani Verdurin, z chwilą zwłaszcza kiedym to uczynił i to bez możliwości cofnięcia się, „szacunek” Morela dla mnie ulotnił się jakby czarami, pełne uszanowania formuły znikły, i nawet przez pewien czas skrzypek unikał mnie, podkreślając swoje lekceważenie. Tak że kiedy pani Verdurin chciała żebym mu coś powiedział, żebym go poprosił o zagranie jakiego utworu, on rozmawiał którymś z „wiernych”, potem z innym, zmieniał miejsce gdym chciał podejść do niego. Musiano mu zwracać uwagę że do niego mówię, wówczas odpowiadał niechętnie i krótko, chyba żeśmy byli sami. W takim razie był rozlewny, przyjacielski, bo miał urocze strony charakteru. Niemniej wywnioskowałem z tego pierwszego wieczoru, że on musi mieć brzydką naturę, że się nie cofnie w potrzebie przed żadną podłością, że wdzięczność jest dlań uczuciem obcem. W czem podobny był do ogółu ludzi. Że jednak ja miałem w sobie coś ze swojej babki i bawiłem się rozmaitością ludzi, nie spodziewając się od nich niczego ani nie mając do nich o nic żalu, zignorowałem nikczemność Morela, cieszyłem się przy okazji jego wesołością, a nawet tem co, jak sądzę, było objawem szczerzej przyjaźni z jego strony, kiedy, wyczerpawszy swoje fałszywe pojęcia o naturze ludzkiej, pojmował (chwilami, bo miał osobliwe nawroty pierwotnej i ślepej dzikości), że moja dlań pobłażliwość jest bezinteresowna, że moja wyrozumiałość nie płynie ze ślepoty, ale z tego co on nazywał dobrocią. Zwłaszcza zachwycała mnie jego sztuka, będąca bez mała tylko cudownym wirtuozostwem, ale dająca mi (mimo iż Morel nie był w intelektualnym sensie słowa prawdziwym artystą) słyszeć lub poznawać tyle pięknej muzyki. Zresztą jego *manager*, p. de Charlus (nie znałem tych jego talentów, mimo iż pani de Guermantes, pamiętająca go bardzo innym za młodu, powiadała, że napisał dla niej sonatę, wymalował wachlarz, etc...), skromny w tem co tyczyło jego istotnych przewag i rzetelnych darów, umiał poddać tę wirtuozję rygorom artystycznego smaku, bogacąc ją dziesięciokrotnie. Wyobraźcie sobie jakiegoś poprostu zręcznego tancerza z rosyjskiego baletu, wyrobionego, wykształconego, rozwiniętego w każdym sensie przez Diagilewa.

Wywiązałem się wobec pani Verdurin ze zlecenia, jakim mnie obarczył Morel i rozmawiałem z panem de Charlus o Robercie de Saint-Loup, kiedy wpadł do salonu Cottard, oznajmiając, tak jakby się paliło, że jadą Cambremerowie. Pani Verdurin, nie chcąc aby się wydawało wobec *nowych*, jak p. de Charlus (którego Cottard nie spostrzegł) i jak ja, że ona przywiązuje tyle wagi do wizyty Cambremerów, nie zareagowała na tę nowinę słowem ani gestem; rzekła jedynie do doktora, wachlując się z wdziękiem, tym samym sztucznym tonem, co jakaś margrabina w Komedji Francuskiej: „Baron powiadał nam właśnie...”.

To było za wiele dla Cottarda! Mniej żywo niżby to uczynił niegdyś, bo wiedza i wysokie godności zwolniły jego dykcję, ale bądź co bądź z tem wzruszeniem, jakie odnajdywał u Verdurinów, wykrzyknął: „Baron! Gdzie baron, co za baron? Mówiąc to, rozglądał się ze zdumionem niedowierzaniem. Pani Verdurin, z udaną obojętnością pani domu, której służący stłukł przy gościach cenny wazon, oraz ze sztuczną intonacją laureatki Konserwatorium, grającej Dumasa-syna, odpowiedziała wskazując wachlarzem protektora Morela: „Ależ baron de Charlus, któremu zaraz przedstawię pana: profesor Cottard”. Pani Verdurin była zresztą widocznie rada, że ma sposobność grać wielką damę. P. de Charlus podał dwa palce, które profesor uściśnął z życzliwym uśmiechem „książęcia wiedzy”. Ale wrósł w podłogę na widok wchodzących Cambremerów, podczas gdy p. de Charlus pociągnął mnie w kąt, aby mi coś powiedzieć nie bez pomacania — manierą niemiecką — moich muskułów.

P. de Cambremer nie był wcale podobny do starej margrabiny. Wdał się, jak matka powiadała z czułością, „całkowicie w papę”. Kogoś, kto jedynie słyszał o nim, lub nawet

o jego listach, żywych i zręcznych, fizys jego mogła przyprawić o zdziwienie. Z pewnością trzeba się było do niej przyzwyczaić. Ale jego nos, na to aby się umieścić na bakier nad ustami, wybrał — spośród tylu innych — jedyną może linię skośną, której nie przyszłoby nikomu na myśl wykreślić na twarzy; linię oznaczającą pospolitą głupotę, uwydatnioną jeszcze normandzką cerą rumianą jak jabłko. Może oczy pana de Cambremer zachowały nieco nieba Cotentin, tak słodkiego w piękne słoneczne dni, kiedy przechadzając się lubimy oglądać i liczyć przystające na skraju drogi setki cieniów topoli; ale ciężkie, kaprawe i nieforemne powieki przeszkodziłyby samej inteligencji przedostać się przez nie. Toteż widz, zbity z tropu nikłością błękitnego spojrzenia, przechodził do wielkiego nosa na bakier. Przez jakąś osobliwą transpozycję zmysłów, pan de Cambremer patrzył nosem. Ten nos pana de Cambremer nie był brzydki, raczej nieco za piękny, za duży, zbyt dumny ze swojej powagi. Garbaty, strojny, błyszczący, lśniący nowy, nos ten był nader skłonny wyrównać duchowe ubóstwo spojrzenia; na nieszczęście, o ile oczy są czasami organem, w którym odbija się inteligencja, nos (jakakolwiek byłaby zresztą tajemna solidarność i niepodejrzewane oddziaływanie rysów na siebie) nos jest naogół organem, w którym rozpościera się najsładniej głupota.

Mimo że dyskretny smak ciemnych ubrań, jakie nosił zawsze — nawet rano — p. de Cambremer, uspokajał tych, których olśniewał i drażnił arogancki blask plażowych kostjumów nieznanym gości, nie podobna było zrozumieć, że żona prezydenta Sądu oświadczyła z miną i z powagą znawczyni, jak osoba bardziej od was obyta w wielkim świecie Alençon, że w panu de Cambremer czuje się natychmiast, zanim się jeszcze wie kim jest, człowieka wysoce dystyngowanego, doskonale wychowanego, odbijającego od stylu Balbec, słowem człowieka przy którym można oddychać. Był dla niej, zatrutej w Balbec tyloma turystami, którzy nie znali jej świata, niby flakon trzeźwiących soli. Ja uważałem przeciwnie że to by ktoś, kto by się babce wydał bardzo pospolity; że zaś nie rozumiała snobizmu, byłaby z pewnością zdumiona, że mu się udało zaślubić pannę Le-grandin, która musiała być wybredna na punkcie dystynkcji i której brat był „tak dobrze”. Conajwyżej możnaby powiedzieć o płaskiej brzydocie pana de Cambremer, że jest jakby „tutejsza” i ma w sobie coś bardzo staroświecko-lokalnego; patrząc na te sfuzerowane rysy, które chciałoby się poprawić, myślało się o nazwach normandzkich miasteczek, co do których etymologii nasz proboszcz się mylił, ponieważ chłopci, źle wymawiając lub fałszywie rozumiejąc normandzkie lub łacińskie słowo, utrwalili w jakimś barbarzyzmie — znajdującym się już w *cartulariach*, jakby powiedział Brichot — fałsz i błąd wymowy.

Życie w tych starych miasteczkach bywa zresztą bardzo przyjemne, a pan de Cambremer musiał mieć swoje zalety; bo, o ile było naturalną rzeczą u matki że stara margrabina wolała syna od synowej, godne uwagi było, że, mając kilkoro dzieci — z tych bodaj dwoje lub troje dość udanych — oświadczała często, iż margrabia był, jej zdaniem, ozdobą rodziny. W ciągu krótkiego czasu, który spędził w wojsku, koledzy, uważając że Cambremer jest za długie, dali mu przydomek *Cancan*, na który zresztą nie zasłużył niczem. Umiał uświetnić obiad, na który go zaproszono, powiadając w momencie ryby (choćby była nieświeża) lub pieczystego: „Bagatela, ależ to piękna sztuka!” I żona jego, która wchodząc w dom Cambremerów, przejęła wszystko, co jej się zdawało „stylem” owego świata, dostrajała się do tonu przyjaciół męża (a może starała się mu podobać, jak kochanka), tak jakby niegdyś brała udział w jego kawalerskim życiu, mówiąc o nim swobodnie do oficerów: „Zaraz zjawi się Cancan. Cancan pojechał do Balbec, ale wróci przed wieczorem”. Była wściekła, że się pospolituje tego wieczora u Verdurinów; uczyniła to jedynie na prośbę teściowej i męża, w interesie najmu. Ale, mniej dobrze wychowana od nich, nie tała swoich pobudek i naigrawała się z przyjaciółkami z tego obiadu:

— Wiecie, że my dziś mamy obiad u naszych lokatorów. To będzie warte podwyżki czynszu. W gruncie jestem dość ciekawa przekonać się, co oni mogli zrobić z naszej poczciwej starej Raspelière (całkiem tak jakby się tam urodziła i mieściła tam wszystkie wspomnienia rodzinne). Stary leśnik mówił mi jeszcze wczoraj, że nic już nie można poznać! Nie śmiem ani pomyśleć, co się tam musi dziać. Sądzę, że będzie nam trzeba zdezinfekować wszystko, zanim tam zamieszkamy z powrotem.

Przybyła wyniosła i sztywna, z miną wielkiej damy, której zamek okupowany jest w czasie wojny przez nieprzyjaciół, ale która i tak czuje się u siebie i chce pokazać zwycięzcom że są intruzami.

Pani de Cambremer nie mogła mnie ujrzyć zrazu, bo stałem we framudze z panem de Charlus, który powiadał mi, że się dowiedział od Morela, iż jego ojciec był intendentem w mojej rodzinie; on sam, p. de Charlus, spodziewa się po mojej inteligencji i wielkoduszności (termin wspólny jemu i Swannowi), że sobie potrafię odmówić niskiej i lichej przyjemności, jakiej pospolite głuptasy (to było dość znaczące!) nie omieszkalyby szukać na moim miejscu, zdradzając naszym gospodarzom szczegóły przynoszące Morelowi ujmę w ich oczach. „Sam ten fakt, że ja się nim interesuję i rozciągam na niego swoją protekcję, jest wystarczający i zaciera przeszłość” — zakończył baron. Słuchając barona i obiecując milczenie, które byłbym zachował nawet bez pokwitowania mojej „inteligencji i wielkoduszności”, przyglądałem się równocześnie pani de Cambremer. I z trudem mogłem rozpoznać owo coś soczystego i smakowitego, co miałem niedawno temu koło siebie w godzinie podwieczorku, na tarasie w Balbec, w oglądanym obecnie twardym jak kamień normandzkim placku, w którym „wierni” próżno sililiby się zatopić zęby.

Podrażniona z góry dobroduszością, którą jej mąż miał po matce i która kazała by mu z pewnością przybrać minę zaszczyconą, kiedyby mu przedstawiano gromadkę „wiernych”, pani de Cambremer pragnęła jednak dopełnić obowiązków światowej damy. Kiedy jej przedstawiono Brichota, chciała go zapoznać z mężem, bo widziała że tak postępują jej wytworniejsze przyjaciółki, ale wściekłość lub duma przeważały ostentację *savoir vivre*; powiedziała tedy, nie jak należało: „Pozwoli pan, że panu przedstawię męża”, ale: „Przedstawię pana memu mężowi”, dzierżąc w ten sposób wysoko sztandar Cambremerów, wbrew nim samym, bo margrabia skłonił się przed Brichotem tak nisko jak to przewidywała. Ale zły humor pani de Cambremer odmienił się nagle, kiedy ujrziała pana de Charlus, którego znała z widzenia. Nigdy nie udało się jej osiągnąć tego aby się jej baron pozwolił przedstawić, nawet w czasach jej stosunku ze Swannem. Bo p. de Charlus, biorąc zawsze stronę kobiet, stronę swojej bratowej przeciw kochankom pana de Guermantes, Odety (jeszcze nie zamężnej wówczas, ale dawnej kochanki Swanna) przeciw nowym kochankom Swanna, jako surowy obrońca cnoty i wierny protektor małżeństw, przyrzekł Odecie (i dotrzymał tego), że nigdy nie da się przedstawić pani de Cambremer. I z pewnością nie przypuszczała, że u pani Verdurin pozna wreszcie tego tak niedostępnego człowieka.

P. de Cambremer wiedział iż to jest dla niej tak wielka radość, że sam uczuł się wzruszony; popatrzał na żonę tak jakby mówił: „Kontenta jesteś, żeś się zgodziła przyjechać, co?” Mówił zresztą bardzo mało, wiedząc że zaślubił kobietę wyższą. „Ja, niegodny” — powiadał co chwila, i chętnie cytował jedną bajkę La Fontaine’a i jedną Floriana, które mu pozwalały kokietować swoją ignorancją, a z drugiej strony pozwalały mu, w formie wzgardliwego ustępstwa, pokazać uczeńcom nie należącym do Jockey-klubu, że można polować a czytywać bajki. Nieszczęściem, znał ich zaledwie dwie, toteż powtarzały się często.

Pani de Cambremer nie była głupia, ale miała różne drażniące nawyki. Zniekształcanie nazwisk nie miało u niej absolutnie nic z arystokratycznej wzdąrdy. Z pewnością nie ona, jak księżna Oriana de Guermantes (którą urodzenie powinno by bardziej niż panią de Cambremer uchronić od tej śmieszności), powiedziała by — iżby się nie wydawało że zna mało wytworne nazwisko (dziś będące nazwiskiem jednej z najekskluzywniejszych kobiet) Julien de Monchâteau: „pani... pani... Pic de la Mirandole”. Nie, kiedy pani de Cambremer fałszywie cytowała nazwisko, to jedynie przez życzliwość, aby się nie wydawało że coś wie; równocześnie zaś przez szczerość podkreślała tem dobitniej to co niby ukrywała. Jeżeli naprzykład broniła jakiejś kobiety, starała się utaić — nie chcąc zarazem skłamać komuś, kto ją błagał, aby powiedziała całą prawdę — że pani taka a taka jest obecnie kochanką pana Sylvain Levy; wówczas mówiła: „Nie... absolutnie nic nie wiem o niej; zarzucano jej podobno, że rozkochała w sobie jakiegoś pana, którego nazwiska nie wiem, coś jak Cahn, Kohn, Kuhn, zresztą zdaje mi się że ten pan umarł od dawna i że nigdy nic między nimi nie było”. Ten proceder — mimo iż odwrotny — podobny jest do systemu kłamców, którzy myślą że, zniekształcając to co zrobili, kiedy to opowiadają kochance lub poprostu przyjacielowi, sprawią iż tamci nie zgadną natychmiast, że jakiś zdanie (tak samo jak owo Cahn, Kohn, Kuhn) jest sztucznie wstawione, że jest z innego gatunku niż te które składają rozmowę, że ma podwójne dno.

Pani Verdurin spytała męża na ucho: „Czy ja mam podać ramię baronowi de Charlus? Skoro ty będziesz miał po prawej panią de Cambremer, należałoby to może wyrównać. — Nie — rzekł Verdurin; skoro tamten ma wyższy stopień (chciał przez to powiedzieć, że p. de Cambremer jest margrabią), Charlus jest w sumie czemś mniej od niego. — Więc dobrze, posadzę go przy naszej księżnej”. I pani Verdurin przedstawiła panu de Charlus panią Szerbatow; baron i księżna skłonili się sobie w milczeniu, z miną świadczącą że wiedząc dużo nawzajem o sobie, przyrzekają sobie wzajemny sekret. P. Verdurin przedstawił mnie panu de Cambremer. Zanim jeszcze margrabia odezwał się swoim silnym i lekko zająkliwym głosem, wysoka jego postać i rumiana twarz zdradzały swoim drganiem marsowe wahania wodza, który stara się uspokoić cię i powiada: „Mówiono mi już, załatwimy to jakoś, postaram się żeby panu darowano karę; nie jesteśmy ludożercy, wszystko będzie dobrze”. Następnie, ściskając mi rękę, rzekł: „Zdaje się, że pan zna moją matkę. Słowo „zdaje się” uważał widać za bardziej odpowiadające ceremonjałowi prezentacji, ale bynajmniej nie wyrażało ono wątpliwości, gdyż margrabia dodał: „Mam właśnie od niej list do pana”.

P. de Cambremer wyrażał naiwną radość, że ogląda siedzibę, w której żył tak długo. „Odnajduję się tutaj” — rzekł do pani Verdurin, podczas gdy zachwycone jego spojrzenie poznawało kwiaty na supraportach i marmurowe biusty na wysokich cokołach. Mógł zresztą czuć się tu obco, bo pani Verdurin przywiozła z domu dużo starych pięknych rzeczy. Z tego punktu widzenia, pani Verdurin, uchodząc w oczach Cambremerów za burzycielkę, była nie rewolucjonistką ale inteligentną konserwatorką, w sensie którego oni nie rozumieli. Niesłusznie również obwiniali ją, że nienawidzi starej siedziby i że ją hańbi prostym płótnem zamiast ich bogatego pluszu, jak ciemny proboszcz zarzuca djeceznalnemu architektowi, że przywraca stare drewniane rzeźby porzucone w lamusie, w których miejsce ksiądz uważał za właściwe wstawić ornamenty kupione na placu Saint-Sulpice. Równocześnie skromne grządki zaczynały zastępować przed pałacem bogate klomby, stanowiące dumę nie tylko Cambremerów ale i ich ogrodnika. Ogrodnik, który uważał Cambremerów za swoich jedynych państwa i jęczał pod jarzmem Verdurinów, tak jakby posiadłość była chwilowo zajęta przez najeźdźcę i przez hordę żołdaków, nosił w sekrecie swoje lamenty wydziedziczonej właścicielce, oburzał się na wżgardę w jaką popadły jego araukarje, begonje, kaktusy, jego wspaniałe dalje, i to że ośmielono się w tak zamożnej siedzibie sadzić kwiaty równie pospolite jak rumianek i nagietki. Pani Verdurin czuła ten głuchy sprzeciw, i była zdecydowana, w razie gdyby przedłużyła najem lub nawet kupiła la Raspelière, postawić za warunek dymisję ogrodnika, na którym starej właścicielce przeciwnie bardzo zależało. Służył jej za darmo w krytycznych czasach, uwielbiał ją; ale przez dziwną dwoistość sądów ludu, w których najgłębsza wżgarda sąsiaduje z najnamiętniejszym szacunkiem, splecionym znowuż ze staremi niezniszczalnymi urazami, powiadał często o pani de Cambremer, która w r. 1870, w swoim zamku położonym na kresach wschodnich, zaskoczona inwazją, musiała cały miesiąc znosić kontakt z Niemcami: „Bardzo to miano za złe pani margrabinie, że w czasie wojny trzymała stronę Prusaków i nawet ich gościła w zamku. W innym momencie, tobym rozumiał, ale w czasie wojny nie godziło się! To było nie pięknie”. Tak że był swojej pani wierny do śmierci, czcił ją za jej dobroć i rozgłaszał że się dopuściła zdrady.

Pani Verdurin była dotknięta, że p. de Cambremer tak dobrze (jak mówił) poznał la Raspelière. „Musi pan przecież spostrzegać pewne zmiany odparła. — Popierwsze, były tu te wielkie brzozy Barbedienne i te zakazane pluszowe krzeselka, które coprędzej wyprawiłam na strych, jeszcze zbyt honorowy dla nich!” Po tej ostrej ripoście, podała panu de Cambremer ramię, aby przejść do jadalni. Zawahał się chwilę, powiadając sobie: „Nie mogę przecież wejść przed panem de Charlus”. Ale pomyślawszy że baron musi być starym przyjacielem domu (skoro mu nie dano honorowego miejsca), zdecydował się przyjąć ramię gospodyni. Oświadczył pani Verdurin, jak dumny jest, że go dopuszczono do tej *biesiady* (w ten sposób nazywał małą „paczkę”, nie bez uśmiechu niejakiego zadowolenia, że zna ten termin).

Cottard, który siedział obok pana de Charlus, przyglądał mu się z pod binokli, aby wzręć znajomość i „przełamać lody”; przyczem mruganie jego było o wiele natarczywsze niż byłoby niegdyś i nie przerywane falami nieśmiałości. Zachęcające spojrzenia doktora, podkreślone uśmiechem, nie mieściły się już w szklach binokli, kipiały na wszystkie

strony. Baron, który łatwo dostrzegał wszędzie podobnych sobie, nie wątpił, że Cottard jest z ich liczby i że robi doń oko. Natychmiast osadził w miejscu profesora owym chłodem zbrojeńców, równie wzdurliwych dla tych którym sami się podobają, jak nadskakujących tym którzy im się podobają. Bezwątpienia, mimo iż każdy mówi kłamliwie o zawsze odmawianej przez los słodyczy budzenia miłości, ogólnem prawem, obowiązującym zgoła nie samych Charlusów, jest, że istota, której nie kochamy a która nas kocha, wydaje się nam nieznośna. Od takiej istoty, od takiej kobiety, o której nie powiemy że nas kocha, ale że się nas *czepia*, wolimy towarzystwo jakiegobądź innej, nie posiadającej ani jej uroku, ani jej zalet, ani jej inteligencji. Odzyska je dla nas dopiero wówczas, kiedy przestanie nas kochać. W tym sensie, irytacja zbrojeńca wobec człowieka, który mu się nie podoba a który mu nadskakuje, mogłaby się wydać jedynie komiczną transpozycją tej powszechnej reguły; ale występuje ona wówczas o wiele silniej. Toteż, podczas gdy ogół ludzi stara się ukrywać tę irytację (mimo iż jej doznaje), zbrojeniec daje ją bezlitośnie uczuć temu kto ją wywołał, tak jakby jej z pewnością nie dał uczuć kobiecie (naprzykład p. de Charlus księżnej Marji de Guermantes, której uczucie nudziło go, ale mu pochlebiało). Ale kiedy widzą że inny człowiek objawia w stosunku do nich specjalną skłonność, wówczas, czy to przez niezrozumienie że to jest ten sam gust co ich własny; czy przez niemile przypomnienie, że ten sam gust, wyidealizowany przez nich gdy go odczuwają sami, uważany jest za zbrojeniec; czy przez chęć zrehabilitowania się brutalnym protestem w sytuacji w której to ich nic nie kosztuje; czy z obawy że ich ktoś może odgadnąć, obawy zbudzone nagle, kiedy żądza nie gna ich już z zawiązanymi oczami z szaleństwa w szaleństwo; czy z wściekłości, że dwuznaczne zachowanie się kogoś drugiego przynosi im szkodę, której własnem postępowaniem, w razie gdyby ów drugi podobał się im, nie wahałoby się mu wyrządzić, oni którzy nie robią sobie skrępułów aby gonić za młodym człowiekiem całe mile, nie spuszczać go z oczu w teatrze nawet kiedy jest z przyjaciółmi, ryzykując że go tem poróżnią z nimi — ci sami, skoro tylko ktoś kto się im nie podoba spojrzy na nich, powiadają wręcz: „Za kogo mnie pan bierze?” (jedynie dlatego że ich ktoś bierze za to czem są); „Nie rozumiem pana, proszę mnie zostawić w spokoju, pan się myli”; posuwają się w potrzebie do spoliczkowania natręta i wobec kogoś, kto zna nieostrożnego zalotnika, oburzają się: „Jakto, pan zna tego świntucha? Ten człowiek ma dziwny sposób przyglądania się!... Także maniery!”.

P. de Charlus nie posunął się tak daleko, ale przybrał wyraz obrażony i lodowaty, jaki mają kobiety, kiedy ktoś je weźmie niezasłużenie (a tembardziej jeżeli zasłużenie) za osoby lekkiego prowadzenia. Zresztą, zbrojeniec, znalazłszy się w towarzystwie innego zbrojeńca, widzi nietylko przykry obraz samego siebie, obraz martwy, zdolny jedynie udęczyć jego miłość własną, ale drugiego siebie, żywego, działającego w tym samym duchu, a więc zdolnego pokrzyżować jego amory. Toteż, wiedziony zmysłem samozachowawczym, będzie mówił źle o możebnym rywalu bądź z ludźmi, którzy mogą zaszkodzić tamtemu (przyczem zbrojeniec nr. 1 nie boi się uchodzić za kłamcę, obciążając w ten sposób zbrojeńca nr. 2 w oczach osób, które mogą być uświadomione co do niego samego), bądź z młodym człowiekiem, którego „wziął na oko”, którego tamten może mu zdmuchnąć i któremu trzeba wytłumaczyć, że to co jest bardzo godziwe czynione z nim samym, stałoby się katastrofą w razie gdyby to robił z innym.

Dla pana de Charlus, myślącego o niebezpieczeństwach (bardzo urojonych), jakimi obecność profesora Cottard, którego uśmiech fałszywie rozumiał, groziłaby Morelowi, zbrojeniec który mu się nie podobał był nietylko karykaturą jego samego, ale i notorycznym rywalem. Kupiec pracujący w jakiejś rzadkiej branży, przybywając do prowincjonalnego miasta gdzie chce się osiedlić, kiedy ujrzy, że na tym samym rynku, właśnie nawprost niego, konkurent uprawia ten sam rodzaj handlu, nie bardziej jest stropiony, niż jakiś Charlus, pragnący ukryć swoje miłości w spokojnej okolicy, kiedy w dniu swego przybycia spostrzeże ziemianina lub fryzjera, których wygląd i wzięcie nie zostawiają mu żadnej wątpliwości. Kupiec powźmie często do swego konkurenta nienawiść; nienawiść ta wyradza się nieraz w melancholję, i jeżeli spotka się bodaj trochę z obciążeniem dziedzicznym, zdarzało się w małych miasteczkach, że taki kupiec zdradza początki szaleństwa, które można wyleczyć jedynie skłaniając go aby sprzedał swój interes i wysiedlił się. Wściekłość zbrojeńca jest jeszcze bardziej piękąca. Zrozumiał, że od pierwszej sekundy ziemianin lub fryzjer pożądamy jego młodego towarzysza. Daremnie powtarza to

razy dziennie swemu przyjacielowi, że fryzjer i ziemianin to są bandyci, których zbliżenie szańbiliby go; musi jak Harpagon dzień i noc czuwać nad swoim skarbem: wstaje w nocy; aby sprawdzić czy mu go ktoś nie odbiera. I to — z pewnością bardziej jeszcze niż żądza lub nawyki zażyłości i prawie tyleż samo co owo doświadczenie czerpane z samego siebie, jedyne prawdziwe — sprawia, że zboczeniec wykrywa drugiego zboczeńca z szybkością i pewnością prawie nieomylną. Może się omylić na chwilę, ale intuicja zwraca go szybko na dobrą drogę. Toteż omyłka pana de Charlus była krótka. Boskie rozeznanie ukazało mu po chwili, że Cottard nie jest z tej rasy i że niema się co obawiać jego awansów ani dla siebie (co by barona jedynie zirykowało) ani dla Morela, co by było poważniejsze. Odzyskał spokój, że zaś był jeszcze pod czarem przejścia *Venus androgyne*, uśmiechał się chwilami blade do Verdurinów, nie zadając sobie trudu powiedzenia słowa, ściągając na chwilę usta, i na sekundę rozświecał oczy, on tak rozkochany w męskości, zupełnie tak jakby to zrobiła jego bratowa, księżna Oriana.

— Pan dużo poluje? — spytała pani Verdurin wzgardliwie pana de Cambremer.

— Czy Ski opowiadał pani, że nam się zdarzył paradny kawał? — spytał Cottard pryncypalki.

— Poluję zwłaszcza w lesie Chantepie — odparł pan de Cambremer.

— Nie, nic nie opowiadałem — odparł Ski.

— Czy zasługuje na swoją nazwę — spytał Brichot pana de Cambremer, popatrzawszy na mnie z pod oka, bo przyrzekł mi mówić o etymologiach, prosząc równocześnie, abym nie zdradził Cambremerom jego ujemnego sądu o etymologiach proboszcza.

— Widać nie jestem zdolny tego ogarnąć, ale nie rozumiem pańskiego pytania — rzekł pan de Cambremer.

— Mam na myśli: czy śpiewa tam dużo srok? — odparł Brichot<sup>10</sup>.

Tymczasem Cottard cierpiał, że pani Verdurin nie wie, iż oni omal nie spóźnili się na pociąg. „No, no — rzekła pani Cottard do męża, aby go zachęcić: opowiedz swoją odyseję”.

— W istocie, to przekracza zwykle granice — rzekł doktor, który podjął na nowo opowiadanie. — Kiedym ujrzał, że pociąg stoi na stacji, zatknęło mnie! A wszystkiemu zawinił Ski. Pan masz mocno karkołomne informacje, drogi panie! A ten Brichot, który czekał nas na stacji!

— Sądziłem — odparł uczony, rzucając dokoła siebie resztki spojrzenia i uśmiechając się wąskimi wargami — że jeżeli się pan zapóźnił w Graincourt, to że pan spotkał jakąś perypatetyczkę.

— Będziesz pan cicho, gdyby moja żona pana usłyszała! — rzekł profesor. — *Moja szona ona być zastraszona.*

— A! ten Brichot — wykrzyknął Ski, w którym ryzykowny żarcik Brichota obudził tradycyjną wesołość — zawsze ten sam (mimo że doprawdy nie wiedział, czy Brichot był kiedy lampartem). I podkreślając te sakramentalne słowa rytualnym gestem, udał że się nie może oprzeć chęci uszczyplenia go w nogę. — Nic się nie zmienia ten hultaj! — ciągnął Ski, i nie zastanawiając się ile ślepotą profesora daje smutnego i komicznego tym słowom, dodał: „Zawsze to spiczaste oczko w stronę kobiet.”

— Widzi pan — rzekł pan de Cambremer — co to jest spotkać uczonego! Piętnaście lat poluję w lesie Chantepie i nigdy nie przyszło mi na myśl, co ta nazwa oznacza.

Pani de Cambremer rzuciła mężowi surowe spojrzenie; nie była rada, że się tak upokarza przed Brichotem. Bardziej jeszcze była niezadowolona, kiedy wobec każdego „gotowego” zwrotu jakiego użył Cancan, Cottard, który znał słabe i silne strony tych wyrażań, bo się ich pracowicie wyuczył, wykazywał margrabiemu, który kapitulował bezradnie, że one nic nie znaczą: „Czemu głupi jak but? Czy pan myśli, że buty są głupsze od innych przedmiotów? Powiada pan: »powtarzać sto razy jedno i to samo«. Czemu właśnie sto? Czemu »śmiać się jak koń?« »Djabeł w ukropie?« Czemu »ni w pięć ni w dziewięć?« Wówczas Brichot brał pana de Cambremer w obronę, tłumacząc pochodzenie każdego zwrotu.

Ale pani de Cambremer była zwłaszcza zajęta badaniem zmian, wprowadzonych przez Verdurinów w la Raspelière, aby móc krytykować jedne, wprowadzić do Féterne inne, lub

<sup>10</sup>w lesie Chantepie (...) czy śpiewa tam dużo srok? (fr.) — chanter: śpiewać, pie: sroka. [przypis redakcyjny]



może te same. „Zastanawiam się, co to jest ten świecznik umocowany na bakier. Ledwo poznając moją starą Raspelière” — dodała tonem poufale arystokratycznym, tak jakby mówiła o słudze, chcąc nietylko określić jego wiek, ile wyrazić że patrzyła na jej urodzenie. Że zaś była zawsze trochę książkowa w swoim słownictwie, dodała półgłosem: „Bądź co bądź, wydaje mi się, że gdybym mieszkała w cudzym domu, nie ośmieliłabym się wyważać tak z posad wszystkiego”.

— To wielka szkoda, że pan nie przyjechał z tymi panami — rzekła pani Verdurin do pana de Charlus i do Morela, w nadziei że p. de Charlus przystanie do „wiernych” i nagnie się do reguły przyjeżdżania wspólnym pociągiem.

— Czy pan jest pewny, Brichotku, że Chantepie oznacza śpiewającą srokę? — dodała, aby okazać że, jako wielka kapłanka salonu, bierze udział we wszystkich rozmowach naraz.

— Niech mi pan coś powie o tym skrzypku — rzekła do mnie pani de Cambremer; interesuje mnie; uwielbiam muzykę, i zdaje mi się że słyszałam coś o nim, niech mnie pan oświeci.

Dowiedziała się, że Morel przybył z panem de Charlus; toteż, ściągając do siebie skrzypka, miała nadzieję zbliżyć się z baronem. Jednakże, iżby nie mógł odgadnąć tej racji, dodała: „Brichot tak że mnie interesuje”. Bo, o ile była bardzo wykształcona, o tyle, jak pewne osoby skłonne do otyłości, które mało co jedzą i używają ruchu cały dzień, nie przestając mimo to tyć w oczach, tak pani de Cambremer daremnie zgłębiała — zwłaszcza w Féterne — filozofję coraz to bardziej ezoteryczną, muzykę coraz to ucześniejszą, porzucała te studia jedynie poto, aby motać intrygi, któreby jej pozwalały „splawiać” mieszczańskie przyjaźnie młodości a zawiązywać stosunki, o których zrazu myślała, że stanowią towarzystwo rodziny jej męża, zanim się przekonała później, iż znajdują się o wiele wyżej i dalej. Filozof, który nie był dla niej dość nowoczesny, Leibniz, powiedział, że długa jest droga wiodąca od rozumu do serca. Tej drogi pani de Cambremer, tak samo jak jej brat, nie zdolna była przebyć. Porzucając lekturę Stuarta Milla dla lektury Lacheliera, im mniej wierzyła w realność świata zewnętrznego, tem pracowiej siliła się wyrobić w nim sobie przed śmiercią pocześniejsze miejsce. Osobie tej, zakochanej w sztuce realistycznej, żaden przedmiot nie wydawał się zbyt skromny na to aby służyć za model malarzowi lub pisarzowi. „Światowy” obraz lub powieść przyprawiłyby ją o mdłości; muzyk Tolstoja, wieśniak Milleta, to była ostateczna granica społeczna, której nie pozwalała artyście przekroczyć. Ale przebyć tę, która ograniczała własne jej stosunki, wznieść się aż do świata mitry, było celem jej wszystkich wysiłków, tak bardzo djeta duchowa, jakiej się poddawała wgłębiając się w arcydzieła, była bezsilna wobec rosnącego wrodzonego i chorobliwego snobizmu. Snobizm ten uleczył w końcu nawet niejaki skłonności do skąpstwa i cudzołóstwa, jakim podlegała za młodu, podobny w tem do osobliwych i trwałych stanów patologicznych, które dotkniętą niemi osobę zdają się immunizować przeciw innym chorobom. Słuchając pani de Cambremer, musiałem oddać sprawiedliwość wyrafinowanej subtelności jej wyrażań, nie znajdując w nich zresztą żadnej przyjemności. Były to zwroty, których używają w danej epoce wszystkie osoby jednego zasięgu intelektualnego, tak że subtelne wyrażenie pozwala natychmiast, niby odcinek obwodu koła, opisać i określić cały obwód. Toteż te wyrażenia sprawiają, iż osoby, które ich używają, nudzą mnie natychmiast jak ktoś już znany, ale zarazem uchodzą za osoby niepospolite, i często mi je ofiarowywano przy stole jako rozkoszne a niedocenione sąsiadki.

— Wiadomo pani, że wiele leśnych okolic bierze nazwę od zwierząt, które je zaludniają. Obok lasu *Chantepie*, ma pani lasek *Chantereine*.

— Nie wiem o jaką królowę (*reine*) chodzi, ale nie jest pan dla niej zbyt dworny — rzekł pan de Cambremer.

— Masz za swoje, Brichotku, — rzekła pani Verdurin. — A poza tem droga dobrze się odbyła?

— Spotkaliśmy tylko mętne egzemplarze ludzkie, które wypełniały pociąg. Ale odpowiadam na pytanie pana de Cambremer: *reine* nie oznacza tutaj małżonki króla, lecz żabę. Jest to nazwa, która zachowała się długo w tych stronach, jak o tem świadczy stacja Renneville, która powinna się pisać Reineville.

— Cóż za wspaniała sztuka! — rzekł p. de Cambremer, pokazując rybę. Był to jeden z tych komplementów, zapomocą których margrabia sądził iż płaci swoją „cechę” za obiad

i kwituje się. „Zapraszać ich, to zbytuczne — mówił często o niektórych znajomych do żony. Byli uszczęśliwieni, że nas mieli u siebie. To oni mi dziękowali”.

— Zresztą muszę panu powiedzieć, że ja od wielu lat jeżdżę prawie codziennie do Renneville i nie widziałem tam więcej żab niż gdzieindziej. Pani de Cambremer sprowadziła tutaj proboszcza z parafii gdzie ma rozległe dobra, posiadającego, o ile mi się zdaje, te same upodobania co pan. Napisał dzieło.

— Wiem, oczywiście, przeczytałem je z wielkim zainteresowaniem — rzekł obłudnie Brichot. Zadowolenie, jakie duma pana de Cambremer znalazła pośrednio w tej odpowiedzi, wywołało jego długi śmiech.

— Haha, otóż autor, jak mam powiedzieć, tej geografii, tego słowniczka, rozprawia długo o nazwie miejscowości, która była niegdyś — nie wiem jak się mam wyrazić — naszym lennem, a która się zwie Pont-à-Coulevre. Hm, jestem oczywiście pospolitym ignorantem wobec tej studni wiedzy, ale byłem tysiąc razy w Pont-à-Coulevre (gdzie on był tylko raz), i niech mnie licho porwie, jeżeli widział bodaj jedną z tych brzydkich żmij; powiadam brzydkich, mimo pochwały, jaką im oddaje dobry La Fontaine (*Człowiek i żmija*, to była jedna z dwóch bajek).

— Nie widział pan, i to pan miał lepszy wzrok — odparł Brichot. — Niewątpliwie, uczony, o którym pan mówi, zna do gruntu swój przedmiot, napisał książkę niepospolitą.

— Myśle! — wykrzyknęła pani de Cambremer — ta książka — wyrażenie będzie tu na swoim miejscu — to istna praca benedyktyna.

— Niewątpliwie musiał zaglądać do starych pergaminów (mam na myśli listy beneficjów i probostw w każdej diecezji), co mogło mu dostarczyć nazwisk świeckich patronów oraz duchownych kolatorów. Ale są i inne źródła. Jeden z moich najuczuczeńszych przyjaciół czerpał w nich. Odkrył, że to samo miejsce nazywano *Pont-à-Quileuvre*. Ta dziwaczna nazwa kazała mu sięgnąć jeszcze dalej do łacińskiego tekstu, gdzie most, który pani przyjaciel uważa za utrapiony żmijami, nazwany jest: *Pons cuit aperi*. Most zamknięty, który otwierał się tylko za przyzwoitą opłatą.

— Mówi pan o żabach. Ja, znajdując się pośród osób tak uczonych, mam uczucie *żaby przed areopagiem* (to była druga bajka La Fontaine'a) rzekł Cancan, który często, śmiejąc się przytem obficie, popełniał ten drugi żarcik, dzięki czemu — jak mniemał — przyznawał się do ignorancji i popisywał się wiedzą, łącząc pokorę z dowcipem.

Co się tyczy Cottarda, ten, zakneblowany milczeniem pana de Charlus i próbując zrobić sobie luz z innej strony, zwrócił się do mnie i zadał mi jedno z owych pytań, które uderzały jego chorych o ile doktor trafił dobrze i okazał w ten sposób że wchodzi niejako w ich ciało; o ile zaś trafił źle, pozwalało mu to skorygować pewne teorie, rozszerzyć dawne punkty widzenia.

— Kiedy pan się znajdzie w takim miejscu stosunkowo wysoko położonym, jak to gdzie bawimy w tej chwili, czy pan uważa, że to zwiększa pańską skłonność do duszności? — spytał, pewny że albo obudzi podziw, albo uzupełni swoją wędzę.

Pan de Cambremer usłyszał pytanie i uśmiechnął się:

— Nie umiem panu powiedzieć, jak mnie to bawi, że pan ma duszności — rzucił mi przez stół. Nie chciał przez to powiedzieć że go to rozwesela, mimo że w istocie tak było. Bo ten przezacny człowiek nie mógł usłyszeć o cudzem nieszczęściu, aby nie odczuć zadowolenia i spazmu wesołości, które rychło ustępowały miejsca współczuciu płynącemu z dobrego serca. Ale zdanie to miało inny sens, sprecyzowany w następnym: „To mnie bawi — rzekł — bo właśnie siostra moja ma także astmę”. W sumie, bawiło go to tak, jakgdybym zacytował jako jednego ze swoich przyjaciół kogoś kto często u nich bywał. „Jaki świat jest mały” oto refleksja, którą p. de Cambremer sformułował w myśli i którą wyczytałem na jego uśmiechniętej twarzy, gdy Cottard wspominał o mojej astmie. I ta astma stała się od tego obiadu niby wspólny znajomy, o którego pan de Cambremer nigdy nie omieszkał mnie pytać, choćby poto aby zanieść te nowiny siostrze.

Odpowiadając na pytania pani de Cambremer tyczące Morela, myślałem o swojej rozmowie z matką w ciągu popołudnia. Nie odradzając mi wizyty u państwa Verdurin (o ile mnie to mogło rozerwać), matka przypominała mi, że to jest środowisko, któreby się nie podobało memu dziadkowi i kazałoby mu krzyknąć: „Bacność! — poczem dodała:

— Słuchaj, prezydent Toureuil i jego żona powiedzieli mi, że spotkali gdzieś na śniadaniu panią Bontemps. Nie pytali mnie o nic. Ale mogłam zgadnąć, że małżeństwo twoje

z Albertyna byłoby marzeniem jej ciotki. Sądzę, iż prawdziwym powodem jest to, że ty jesteś im wszystkim bardzo sympatyczny. Bądź co bądź, zbytek jakim wedle ich mniemania mógłbyś ją otoczyć, stosunki nasze które mniej lub więcej znają, również, sądzą, grają w tem rolę, mimo iż drugorzędną. Nie wspominałabym ci o tem, bo mnie na tem nie zależy; ale ponieważ wyobrażam sobie, że będą z tobą o tem mówili, wolałam cię uprzedzić.

— A tobie, mamo, jak ona się wydaje? — spytałem.

— Cóż ja, przecie nie ja mam się z nią żenić. To pewna, że mógłbyś zrobić tysiąc razy lepszą partję. Ale sądzą, że babcia nie byłaby lubiła żeby wpływać na ciebie. W tej chwili nie mogę ci powiedzieć jak mi się wydaje Albertyna; wcale mi się nie wydaje. Powiem ci jak pani de Sévigné: „Ma swoje przymioty, przynajmniej tak sądzą. Ale na razie mogę ją chwalić jedynie negatywnie. Nie jest taka a taka, nie ma akcentu z Rennes. Z czasem powiem może: jest taka a taka. I zawsze będzie mi dobra, jeżeli tobie da szczęście”.

Ale same słowa matki, składające w moje ręce decyzję o mojem szczęściu, pogrzyżyły mnie w tym stanie wahania, w jakim znalazłem się niegdyś, kiedy mi ojciec pozwolił iść na *Fedre*, a zwłaszcza zostać literatem, i kiedy uczułem nagle zbyt wielką odpowiedzialność, lęk przed sprawieniem mu przykrości, oraz tę melancholję, jaka nas ogarnia, kiedy — przestając słuchać rozkazów, które z dnia na dzień kryły nam przyszłość — zdajemy sobie sprawę, żeśmy wreszcie rozpoczęli na dobre, jak dorosła osoba, życie — jedyne życie jakie każdy z nas ma do rozporządzenia.

Może najlepiej byłoby poczekać trochę, zacząć widywać Albertynę jak niegdyś, aby sprawdzić czy ją naprawdę kocham. Mógłbym ją ściągnąć do Verdurinów, dla rozerwania jej. To mi przypomniało, że ja sam wybrałem się tam tego wieczora jedynie dla stwierdzenia czy pani Putbus mieszka u nich lub czy ma przybyć. W każdym razie nie było jej na obiedzie.

— A propos pańskiego przyjaciela Saint-Loup — rzekła pani de Cambremer, posługując się zwrotem, który dowodził więcej konsekwencji w jej myśli, niżby słowa pozwalały przypuszczać; bo mówiąc o muzyce, myślała o Guermantach; wie pan, wszyscy mówią o jego małżeństwie z siostrzenicą księżnej Marji. Powiem panu, że co do mnie, nie interesuję się *w żadnej mierze* temi plotkami.

Przełąknęłem się, że się wyrażałem wobec Roberta dość bezceremonjalnie o tej młodej dziewczynie fałszywie oryginalnej, równie ograniczonej jak niepohamowanej. Nie ma prawie nowiny, któraby nam nie kazała żałować jakichś słów. Odpowiedziałem pani de Cambremer (co zresztą było prawdą), że nic o tem nie wiem i że zresztą oblubienica ta wydaje mi się jeszcze bardzo młoda.

— Może dlatego to nie jest jeszcze oficjalne; w każdym razie mówią o tem dużo.

— Wolę panią uprzedzić — rzekła sucho pani Verdurin usłyszawszy że pani de Cambremer mówi ze mną o Morelu (kiedy ściszyła głos, aby mówić o zaręczynach Roberta, pani Verdurin sądziła, że ona jeszcze mówi o Morelu). Tutaj nie uprawia się żadnej muzyki. W sztuce, wie pani, moi środowi wierni — moje dzieci, jak ich nazywam — są przerażająco postępowi — dodała pani Verdurin, z miną dumnego przerażenia. — Powiadają im czasami: moi drodzy ludkowie, idziecie ostrzej niż wasza pryncypałka, która przecież nie uchodzi za tchórza. Co rok, to dalej; przewiduję niedługo dzień, że już nie zechcą słyszeć o Wagnerze i o d'Indym.

— Ależ to bardzo pięknie być postępowym, nie można nim być nigdy nadto — rzekła pani de Cambremer, robiąc oczami przegląd jadalni, starając się rozpoznać rzeczy które zostawiła jej teściowa, te które przywiozła pani Verdurin, i doraźnie złapać panią Verdurin na złym smaku. Wśród tego starała się sprowadzić mnie na temat, który ją interesował najbardziej, na pana de Charlus. Wydało się jej wzruszające, że on proteguje skrzyпка.

— Wygląda inteligentnie — rzekła.

— Jest nawet pełen werwy, jak na człowieka już starszego.

— Starszego? Ależ on nie wygląda na starszego; niech pan patrzy, jaki włos pozostał młody.

(Od paru lat, bezimienni wynalazcy, którzy lansują mody literackie, zaczęli używać słowa „włos” w liczbie pojedynczej, i wszystkie osoby na długość promienia pani de Cambremer mówiły „włos” — nie bez afektowanego uśmiechu. Obecnie mówi się jeszcze „włos”, ale z nadużycia liczby pojedynczej odrodzi się liczba mnoga).

— Co mnie zwłaszcza interesuje w panu de Charlus — dodała — to że czuje się u niego wrodzony dar. Powiem panu, że ja mało cenię wiedzę. To, czego się można nauczyć, nie interesuje mnie. (Słowa te nie są w sprzeczności ze swoistymi walorami pani de Cambremer, które były wybitnie naśladowane i nabyte. Ale właśnie jedną z rzeczy, które należało wiedzieć w owym czasie, było to, że wiedza jest niczem i że nie waży ani źdźbła wobec oryginalności. Pani de Cambremer nauczyła się — jak wszystkiego innego — tego, że nie trzeba się niczego uczyć.) — Dlatego — rzekła — Brichot, który ma swoje ciekawe strony (bo ja nie gardzę pewną soczystą erudycją), interesuje mnie o wiele mniej.

Ale w tej chwili Brichot pochłonięty był tylko jednym: słysząc, że się mówi o muzyce, drżał, aby ten temat nie przypomniął pani Verdurin śmierci Dechambre'a. Chciał coś powiedzieć, aby oddalić to żalosne wspomnienie. P. de Cambremer dostarczył mu sposobności pytaniem:

— Zatem miejsca lesiste zawsze noszą nazwy zwierząt?

— Ależ bynajmniej — odparł Brichot, szczęśliwy że może rozwinąć swoją wiedzę wobec tylu nowych, wśród których udało mu się zainteresować bodaj jednego. — Wystarczy zauważyć, jak dalece nawet w nazwiskach osób zachowuje się drzewo, niby paproć w węglu. Jeden z naszych *patres conscripti* nazywa się de Saulces de Freycinet, co znaczy, jeśli się nie mylę, miejsce obsadzone wierzbami i jesionami, *salix et fraxinetum*; jego siostrzeniec, pan de Selves, gromadzi jeszcze więcej drzew, skoro się zowie de Selves, *sylva*, las.

Saniette śledził z radością ożywienie rozmowy. Ponieważ Brichot mówił cały czas, Saniette mógł zachować milczenie, chroniące go od żarcików obojga Verdurin. I tem wrażliwszy w swoim radosnem poczuciu swobody, wzruszył się, słysząc jak Verdurin — mimo pompy takiego obiadu — poleca kamerdynerowi, aby postawił karafkę wody przed nim, Saniettem, który pijał tylko wodę. (Generałowie, którzy tracą najwięcej żołnierzy, dbają o to, aby ich dobrze żywić). Wreszcie, pani Verdurin uśmiechnęła się raz do Saniette'a. Stanowczo, to są dobrzy ludzie. Nie będą go już dręczyć. W tej chwili przerwał obiad jeden z gości, którego zapomniałem wspomnieć, znakomity filozof norweski, który mówił po francusku dobrze ale bardzo wolno, z podwójnej przyczyny, raz dlatego, że nauczywszy się tego języka od niedawna i nie chcąc popełniać błędów (robił ich jednak trochę), sprawdzał każde słowo jakby w wewnętrznym słowniku; powtóre dlatego że jako metafizyk, mówiąc, obmyślał zawsze to co chciał powiedzieć, co nawet u Francuza zwalnia wysłowienie. Był to zresztą, uroczy człowiek, mimo iż z pozoru podobny do wielu innych, poza jednym punktem. Ten człowiek mówiący tak wolno (czynił pauzę po każdym słowie), rozwijał zawrotną szybkość w tem aby zniknąć, skoro się raz pożegnał. Za pierwszym razem pośpiech jego budził podejrzenie że go żołądek boli, albo że go przyparła jeszcze naglejsza potrzeba.

— Mój drogi kolego — rzekł do Brichota, rozważywszy w myśli, czy *kolega* jest terminem właściwym — mam pewne pragnienie — wiedzieć czy istnieją inne drzewa w nomenklaturze waszego pięknego języka — francuskiego — łacińskiego — normandzkiego. Pani (miał na myśli panią Verdurin, mimo że nie śmiał na nią spojrzeć) wspomniała mi, że pan wie wszystko. Czy to nie jest właśnie chwila...

— Nie, to jest chwila żeby jeść — przerwała pani Verdurin, widząc że obiad się przeciąga.

— A, dobrze! — odparł Skandynawczyk, spuszczać głowę w talerz ze smutnym i zrezygnowanym uśmiechem. — Ale muszę pani zwrócić uwagę, że pozwoliłem sobie na ten kwestjonariusz — przepraszam, na tę kwestę — dlatego że mam jutro wrócić do Paryża na obiad w la Tour d'Argent albo w Hôtel Meurice. Mój kolega — francuski — pan Boutroux ma nam mówić o seansach spirytystycznych — przepraszam, o spirytualjach, które kontrolował.

— Nieświetna jest ta restauracja la Tour d'Argent — rzekła pani Verdurin zniecierpliwiona. — Zdarzało mi się tam jeść fatalnie.

— Ale czy ja się mylę, czy też żywność, którą się jada u pani, jest najwytworniejszą kuchnią francuską?

— Mój Boże, nie jest szczególnie zła — odparła pani Verdurin ulagodzona. — A jeżeli pan przyjdzie na przyszłą środę, będzie lepsza.

— Ale ja jadę w poniedziałek do Algieru, a stamtąd na Przylądek Dobrej Nadziei. I kiedy będę na Przylądku Dobrej Nadziei, nie będę już mógł spotkać mego znakomitego kolega, przepraszam, nie będę mógł spotkać mego konfratra.

I przez posłuszeństwo, załatwiwszy te wsteczne przeprosiny, zaczął jeść z zawrotną szybkością. Ale Brichot był nazbyt szczęśliwy, że może przytoczyć dalsze roślinne etymologie; to zaś co mówił zainteresowało Norwega tak, iż znowu przestał jeść, dając znak że mogą mu zabrać pełny talerz i przejść do następnego dania.

— Jeden z czterdziestu nieśmiertelnych nazywa się Houssaye, czyli miejsce obsadzone ostrokrzewem (*boux*); w nazwisku bystrego dyplomaty pana d'Ormesson odnajdzie pan wiąz, *orme*, *ulmus*, drogi Wergilemu, dający nazwę miastu Ulm; w nazwisku jego kolegów, pana de la Boulaye, *bouleau*, brzozę; u pana d'Aunay, *l'aune*, olchę, u pana de Bussiere, *buis*, bukszpan; u pana Albaret, *l'aubier*, białodrzew (przyrzekłem sobie powtórzyć to Celeście); u pana de Cholet *choux*, kapustę, jabłoń zaś w nazwisku pana de la Pommeraye, którego prelekcję słyszeliśmy — przypominasz sobie, Saniette — w czasach kiedy dobrego Porela wysłano na krańce świata jako prokonsula Odeonji?

— Powiedział pan, że Cholet pochodzi od *choux* — rzekłem. — Czy stacja, którą minąłem przed przybyciem do Doncières, Saint-Frichoux, również pochodzi od kapusty?

— Nie, Saint-Frichoux, to *sanctus Fructuosus*, tak jak *Sanctus Ferreolus* wydał Saint-Fargeau, ale to wcale nie jest normandzkie.

— On wie za dużo rzeczy, nudzi nas — zaseplenila łagodnie rosyjska księżna.

— Tyle jeszcze innych nazw interesuje mnie, ale nie mogę pana pytać o wszystko naraz. I, zwracając się do Cottarda, spytałem: — Czy pani Putbus jest tutaj? Słyszac nazwisko Saniette'a, wymówione przez profesora Brichot, Verdurin rzucił na żonę i na doktora Cottard ironiczne spojrzenie, które zbiło z tropu płochliwego gościa. — Nie, Bogu dzięki odpowiedziała pani Verdurin, która dosłyszała moje pytanie. — Postarałam się odwrócić jej wilegaturę ku Wenecji, uwolniliśmy się od niej na ten rok.

— Ja sam będę miał prawo do dwóch drzew rzekł p. de Charlus — bo niemal że już nająłem domek między Saint-Martin-du-Chêne a Saint-Pierre-des-Ifs.

— Ależ to bardzo blisko stąd! Mam nadzieję, że pan będzie często zaglądał do nas w towarzystwie Charlie Morel. Trzeba się tylko porozumieć z naszą gromadką co do pociągów; jest pan o dwa kroki od Doncières — rzekła pani Verdurin, która nie znośła aby ktoś przyjeżdżał innym pociągiem i nie o tych godzinach, na które wysyłała powozy. Wiedziała, jak dalece stroma droga do Rafespeliere, nawet jeżeli się objeżdżało poza Féterne (co opóźniało przyjazd o pół godziny), jest ciężka, i bała się, że ci co przyjadą osobno, nie znajdą wehikulów, lub też, nie ruszywszy się w istocie z domu, wezmą za pretekst to że jakoby nie znaleźli koni w Douville-Féterne a nie czuli się na siłach wspinania się pieszo. P. de Charlus odpowiedział na zaproszenie jedynie niemym ukłonem.

— Nie musi być łatwy na codzien, ma minę strasznie nadętą — szepnął do Skiego doktor, który sam bardzo prosty mimo powierzchownej warstwy dumy, nie starał się ukryć, że Charlus drażni jego snobizm. — Nie wie z pewnością, że we wszystkich miejscach kąpielowych, a nawet w Paryżu w klinikach, lekarze, dla których jestem oczywiście „wielkim mogolem”, uważają sobie za zaszczyt przedstawiać mnie wszelkiej arystokracji która się przydarzy i która ze mną nie dmie. To mi nawet dosyć uprzyjemnia pobyt w miejscach kąpielowych — dodał niedbale. — Nawet w Doncières, lekarz pułkowy, który jest domowym lekarzem pułkownika, zaprosił mnie z nim na śniadanie, upewniając, że moja sytuacja daje mi tytuły do obiadu z samym generałem. A ten generał, to był jegomość *de* coś tam. Nie wiem, czy jego pergaminy nie są dawniejsze od papierów tego barona. — Niech pan się nie gorącuje dla tych głupich siedmiu pałek — odparł półgłosem Ski i dodał coś dwuznacznego, czego nie dosłyszałem zajęty słuchaniem tego, co Brichot mówił do barona.

— Nie, prawdopodobnie — z żalem muszę to panu powiedzieć — ma pan tylko jedno drzewo, bo o ile Saint-Martin-du-Chêne jest oczywiście *Sanctus Martinus juxte quercum*, w zamian za to słowo *if* to może być poprostu źródłosłów, *ave, eve*, co znaczy „wilgotny”, jak w Aveyron, Lodève, i co się przechowało w słowie *évier*, zlew. To woda, *l'eau*, która po bretońsku zwie się Ster, Stermaria, Sterlaer, Sterbouest, Ster-en-Dreuchen.

Nie słyszałem końca, bo mimo całej przyjemności jaką mi sprawiło nazwisko Stermaria, mimowoli słyszałem Cottarda, koło którego siedziałem, szepczącego do Skiego:

— A, ależ ja nie wiedziałem. W takim razie to jest jegomość, można powiedzieć obrotny. Jakto! on należy do tego cechu. A przecie nie ma worków pod oczami. Będę musiał uważać na swoje nogi pod stołem, mógł by jeszcze zapalać do mnie. Zresztą, to mnie nie dziwi zbyttnio. Widuję wielu „dobrze urodzonych” pod tuszem, w stroju Adama; wszystko mniej lub więcej degeneraci. Nie gadam z nimi, bo ostatecznie jestem osobą urzędową, toby mi mogło zaszkodzić. Ale wiedzą doskonale, kto ja jestem.

Saniette, którego przestraszyło odezwanie się Brichota, zaczynał oddychać, jak ktoś kto, bojąc się burzy, widzi, że po błyskawicy nie nastąpił żaden pomruk grzmotu; naraż usłyszał pana Verdurin, zadającego mu pytanie i prażącego nieszczęśliwca wzrokiem w czasie odpowiedzi, tak aby go z punktu zbić z tropu i nie dać mu przyjść do siebie.

— Ale pan się zawsze z tem tań, że pan uczęszcza na poranki do Odeonu, Saniette?

Drżąc niby rekrut przed sierżantem sadystą, Saniette skurczył swoją odpowiedź do najmniejszych rozmiarów iżby laniej mogła się umknąć ciosom: „Raz, na *Chercheuse*”.

— Co on gada! — ryknął Verdurin, z miną zarazem zbrzydzoną i wściekłą, marszcząc brwi, jakgdyby trzeba było całej jego uwagi na to aby pojąć coś niezrozumiałego. Po pierwsze, nikt nie rozumie co pan mówi: co pan tam masz takiego w ustach? — spytał Verdurin, coraz to brutalniejszy, robiąc aluzję do „klusków w gębie” Saniette’a.

— Biedny Saniette, ja nie chcę żeby go dręczyć — rzekła pani Verdurin tonem fałszywie litosnym, raczej poto aby nikomu nie zostawić wątpliwości co do obrażających intencji męża.

— Byłem na Ch... Che... che... che... staraj się pan mówić jasno — rzekł Verdurin; nawet pana nie słyszę.

Prawie wszyscy wierni pękali ze śmiechu, robiąc wrażenie bandy ludożerców, w których rana zadana białemu rozbudziła smak krwi. Bo zmysł naśladownictwa i brak odwagi rządzą skupieniami towarzyskimi tak jak tłumami. I wszyscy śmieją się z kogoś, kto jest przedmiotem kpin, choćby go mieli podziwiać w dziesięć lat później w kole gdzie jest przedmiotem podziwu. W taki sam sposób lud wypędza lub wita okrzykami królów.

— No, to nie jego wina — rzekła pani Verdurin.

— I nie moja; nie chodzi się na obiady, kiedy się już nie umie mówić.

— Byłem na *Chercheuse d’esprit* Favarta.

— Co! to *Chercheuse d’esprit* nazywa pan *Chercheuse*? A! to wspaniale, mógłbym sto lat myśleć i nie wpadłbym na to — wykrzyknął Verdurin, który, w innym wypadku, byłby z miejsca uznał że ktoś nie jest kulturalny, że „nie chwyta”, usłyszawszy że ów ktoś wymawia pełny tytuł niektórych dzieł. Naprzykład trzeba było mówić *Chory*, albo *Mieszczanin*, i ktoś ktoby dodał „z urojenia”, albo „szlachcicem”, dowiódł by że „nie należy do cechu”, tak samo jak w salonie ktoś dowodzi że nie jest człowiekiem z towarzystwa, mówiąc Montesquiou-Fezensac, zamiast Montesquiou<sup>11</sup>.

— Ależ w tem nie ma nic osobliwego — rzekł Saniette zdyszany z emocji ale uśmiechnięty, mimo iż nie miał do tego ochoty. Na to pani Verdurin wybuchnęła. — Och! owszem! — wykrzyknęła parszkając śmiechem. — Może pan być pewny, że nikt w świecie nie zgadłby iż chodzi o *Chercheuse d’Esprit*.

Verdurin podjął łagodnym głosem, zwracając się równocześnie do Brichota i do Saniette’a: — To ładna rzecz zresztą, ta *Chercheuse d’Esprit*.

To proste, poważnie wygłoszone zdanie, w którym nie możnaby znaleźć cienia złośliwości, sprawiło biednemu Saniette nieopisaną ulgę i wznieciło w nim tyleż wdzięczności co gdyby to była uprzejmość. Nie mógł wyrzec ani słowa, trwał w pełnym szczęścia milczeniu. Brichot był wymowniejszy.

— To prawda, odparł; i gdyby ją podać za utwór jakiego sarmackiego lub skandynawskiego autora, możnaby przeprzeć kandydaturę tej *Chercheuse d’Esprit* na wakans arcydzieła. Ale, powiedzmy to bez uchybienia ceniom milego Favart, on nie miał nic ibsenowskiego. (Tu Brichot zacerwienił się po uszy, pomyślawszy o norweskim filozofie, który miał minę nieszczęśliwą, bo napróżno starał się dojść co za roślinę mógł przedstawiać „buzszpan”, który Brichot zacytował przed chwilą *à propos* pana Bussiere). Zresztą satrapia Porela jest teraz zajęta przez funkcjonarjusza, który jest prawowiernym tolsto-

<sup>11</sup>Montesquiou — hr. Robert de Montesquiou, do którego często spotyka się aluzje w tym utworze, był wieloletnim przyjacielem Prusta i mistrzem jego młodości. [przypis redakcyjny]

jowcem, bardzo więc możliwe jest, że ujrzymy pod sklepieniami Odeonu *Annę Kareninę* lub *Zmartwychwstanie*.

— Znam portret Favarta, o którym pan mówi — rzekł Charlus. — Widziałem jego ładną odbitkę u hrabiny Molé.

Nazwisko hrabiny Molé wywarło silne wrażenie na pani Verdurin.

— A, pan bywa u pani de Molé! — wykrzyknęła. Myślała, że mówi się *hrabina Molé*, *pani Molé*, jedynie przez skrót, tak jak słyszała że się mówi *Roban*, albo, jak ona sama mówiła wgardliwie *pani La Trémoille*. Nie wątpiła, że hrabina Molé, znająca królową grecką i księżną de Caprarola, ma więcej niż ktokolwiek prawo do „partykuły”, i na ten raz zdecydowała się przyznać ją osobie tak świetnej, która okazała się dla niej bardzo uprzejma. Toteż, aby okazać że mówi tak umyślnie i nie żałuje hrabinie owego „de”, ciągnęła: — Ależ ja wcale nie wiedziałam, że pan zna panią de Molé! (tak jakby to było podwójnie niezwykle, i to że p. de Charlus zna ową damę, i to iż pani Verdurin nie wiedziała że on ją zna. Otóż „świat” — lub przynajmniej to co p. de Charlus tak nazywał — tworzy całość stosunkowo jednolitą i zamkniętą. O ile zrozumiałe jest, że w mieszanym ogromie mieszczaństwa adwokat powie komuś, kto zna jego szkolnego kolegę: „Ale skąd, u licha, może pan go znać?” o tyle wzamian podziwiać traf, który mógł zetknąć pana de Charlus z hrabiną Molé, jest mniej więcej tem samem, co dziwić się, że ktoś rozumie sens słowa *kościół* lub *las*. Co więcej, nawet gdyby taka znajomość nie wypływała całkiem naturalnie z praw świata, nawet gdyby była przypadkowa, cóż byłoby dziwnego, że pani Verdurin nie wie o tem, skoro widziała barona pierwszy raz, a stosunki jego z panią Molé nie były zgola jedyną rzeczą, której o nim nie wiedziała, bo, ściśle mówiąc, nie wiedziała o nim nic).

— Kto to grał tę *Chercheuse d'esprit*, mój drogi Saniette? — spytał Verdurin.

Mimo iż czując że burza minęła, ex-archiwista wahał się z odpowiedzią.

— Ale bo też — rzekła pani Verdurin — ty go onieśmielasz; kpisz sobie ze wszystkiego co powie, a potem chcesz, żeby odpowiadał! No Saniette, powiedz pan kto to grał, dostanie pan galantyny do papierka — rzekła pani Verdurin, robiąc złośliwą aluzję do ruiny, w jaką Saniette popadł samochcąc, ratując jednego z przyjaciół.

— Przypominam sobie tylko, że Samary grała Zerbinę.

— Zerbinę? Co to takiego! — wrzasnął pan Verdurin tak jakby się paliło.

— To *emploi* starego repertuaru, styl kapitana Fracasse, tak jakby ktoś powiedział *Waligóra*, *Pedant*.

— Sameś pedant, Zerbina! Nie, ależ on ma fioła — krzyczał Verdurin.

Pani Verdurin patrzyła na gości śmiejąc się, tak jakby chciała usprawiedliwić Saniette'a.

— Zerbina! on sobie wyobraża, że wszyscy odrazu wiedzą co to znaczy. Jesteś jak pan de Longepierre, najgłupszy człowiek jakiego znałem, który powiedział tu kiedyś potocznie „Banat”. Nikt nie wiedział, o czym on mówi. W końcu dowiedziano się, że to jest prowincja Serbji.

Aby położyć koniec męce Saniette'a, którą odczuwałem bardziej od niego samego, spytałem Brichota, czy wie co znaczy Balbec.

— Balbec jest prawdopodobnie zepsute Dalbec — odparł. — Trzebaby zbadać akty królów Anglji, suzerenów Normandji, bo Balbec zawisłe było od baronji Duwru, z której to przyczyny powiadano często Balbec d'outre-mer, Balbec-en-Terre. Ale sama baronja Duwru była zawisła od biskupstwa Bayeux i mimo praw, jakie mieli czasowo Templariusze nad opactwem począwszy od Ludwika d'Harcourt, patriarchy Jerozolimy i biskupa Bayeux, biskupi tej djecezji byli kolatorami w dobrach Balbec. Wyjaśnił mi to dziekan z Doville, człowieczek łysy, wymowny, narwany i smakosz, żyjący w obserwancji reguł Brillat-Savarina; ten wyłożył mi, w terminach ociupinkę sybilińskich, owe dość niepewne mądrości, racząc mnie równocześnie cudownymi „frytkami”.

Podczas gdy Brichot uśmiechał się aby podkreślić humor mieszczący się w łączeniu rzeczy tak rozbieżnych i używaniu dla rzeczy pospolitych języka ironicznie górnego, Saniette siłił się ulokować jakiś dowcip, zdolny zatrzeć jego poprzednie upokorzenie. Dowcip był z gatunku zwanego niegdyś *kalamburem*, ale w zmienionej formie, ponieważ istnieje ewolucja kalamburów jak ewolucja rodzajów literackich, epidemij które znikają zastąpione innymi, etc... Niegdyś formą konceptu były t. zw. „szczyty”. Ale ten rodzaj był przestarzały, nikt go już nie używał, jedynie Cottard zdolny był czasem powiedzieć

przy partyjce pikiety: „Czy pan wie, jaki jest szczyt roztargnienia? Wziąć edykt nantejski (*l'édit de Nantes*) za angielską lady”.

Szczyty zastąpiono przydomkami. W gruncie, był to zawsze ten sam stary rodzaj, ale ponieważ przydomki były w modzie, nie widziano tego. Nieszczęściem dla Saniette'a, kiedy te koncepty były nie jego, a najczęściej były nie znane „paczce”, wygłaszał je tak nieśmiało, że mimo śmiechu jakim je kończył aby podkreślić ich humorystyczny charakter, nikt nie rozumiał. A jeżeli przeciwnie koncept był jego, ponieważ zwykle Saniette wpadł na niego w rozmowie z którymś z wiernych, ów powtarzał przywłaszczając go sobie, tak że koncept był już znany, ale nie pod autorstwem Saniette'a. I kiedy wyruszył z takim dowcipem, koncept okazywał się znany; ale przez to właśnie że Saniette był jego autorem, pomawiano go o plagjat.

— Otóż — ciągnął Brichot — *Bec* po normandzku znaczy strumień: istnieje opactwo *Bec*, *Mobec* czyli strumień na bagnie (*Mor* albo *Mer* znaczyło *marais*, bagno, jak w *Morville*, albo w *Bricquemar*, *Alvimare*, *Cambremer*). *Bricquebec*, strumień z wyżyn, pochodzi od *Briga*, miejsce warowne, jak w *Briqueville*, *Bricquebosc*, *Brie*, *Briand*, lub od *brice*, most, to samo co *bruck* po niemiecku (*Innsbruck*), a w angielskim *bridge*, które kończy nazwy tylu miejscowości (*Cambridge* itd.). Ma pan w Normandji jeszcze wiele innych *bec*: *Caudebec*, *Bolbec*, *Robec*, *Bec-Hellouin*, *Becquerel*. To jest normandzka forma germańskiego *Bach*, *Offenbach*, *Ansbach*. *Varaguebec*, od starego słowa *varaigne*, równoważnego z *garenne*, lasy, stawy chronione. Co się tyczy *Dal* — podjął Brichot — to jest forma *thal*, *vallée*, dolina: *Darnetal*, *Rosendal*, a nawet — aż koło *Louviers* — *Beccal*. Rzeka, która dała nazwę miejscowości *Dalbec*, jest zresztą urocza. Widziana ze skał nadbrzeżnych (*falaise*, po niemiecku *fels*: ma pan nawet niedaleko stąd na wyżynie ładne miasteczko *Falaise*), sąsiaduje niemal z iglicami wież kościoła — w rzeczywistości bardzo odległego — i robi wrażenie że je odbija.

— Wyobrażam to sobie — rzekłem — to efekt optyczny, który *Elstir* specjalnie lubi. Widziałem to na kilku jego szkicach.

— *Elstir*! Pan zna naszego „mistrza”? — wykrzyknęła pani *Verdurin*. Wie pan, że ja z nim byłem bardzo, bardzo blisko. Dzięki niebu, już go nie widuję. Nie, ależ spytajcie *Cottarda*, *Brichota*: miał u mnie stale swoje nakrycie przy stole, przychodził codziennie. To człowiek, o którym można powiedzieć, że mu nie posłużyła zdrada naszej paczki. Pokażę panu za chwilę kwiaty, które malował dla mnie; zobaczy pan, co za różnica z tem co robi teraz i czego nie lubię wcale, ale to ani ani! Jaktó! przecie namalował na moje zamówienie portret *Cottarda*, nie licząc mnóstwa moich portretów i szkiców.

— I zrobił profesorowi włosy lila — rzekła pani *Cottard*, zapominając że wówczas mąż jej nie był nawet docentem. — Nie wiem, proszę pana, czy pan znajduje, że mąż ma włosy lila.

— To nic — rzekła pani *Verdurin* podnosząc głowę z miną pełną wzdargy dla pani *Cottarda* a podziwu dla artysty; to był kawał tęgiego kolorysty, wspaniałego malarza. Podczas gdy teraz — rzekła, zwracając się do mnie — nie wiem czy pan nazwie malarstwem wszystkie te kompozycje, te wielkie kobyły, które wystawia od czasu jak nie bywa u mnie! Dla mnie to malatura, szablon, brak temu plastyki, indywidualności. Odnalazłoby się tam wszystkich potrosze.

— On wskrzesza wdzięk XVIII wieku, ale unowocześniony — rzekł spiesźnie *Saniette*, zelektryzowany i zachęcony moją uprzejmością. Ale mnie bliższy jest *Helleu*.

— Nie ma żadnego związku między tem a *Helleu* — rzekła pani *Verdurin*.

— Owszem, to jest XVIII wiek z gorączką. To *Watteau* parowy.

I *Saniette* zaczął się śmiać.

— Och, znane, arcyznane, od lat mnie tem częstują — rzekł *Verdurin*, któremu w istocie *Ski* zaprodukował swego czasu ten koncept, ale jako swój własny. To jest prawdziwy pech, że kiedy pan raz coś powiedział zrozumiale i coś dość zabawnego, to jest nie pańskie.

— Szczerze mnie to martwi — podjęła pani *Verdurin* — bo to był zdolny człowiek, zmarnował wcale ładny temperament malarski. Ba, gdyby został tutaj! Wyszedłby na pierwszego pejzażystę naszych czasów. I to kobieta ściągnęła go tak nisko! Nie dziwi mnie to zresztą, bo on jako człowiek był miły, ale pospolity. W gruncie, natura raczej mierna. I powiem panu, że m to wyczuła odrazu. Bogiem a prawdą, nie interesował mnie



nigdy. Lubiłam go, to wszystko. Przytem co za brudas. Czy pan lubi ludzi, którzy się nigdy nie myją?

— Co to jest, takie ładne w tonie, co myjemy? — spytał Ski.

— To się nazywa mus truskawkowy — rzekła pani Verdurin.

— Ależ to jest cza-ru-jące. Trzebaby do tego wydobyć parę butelek Château-Margaux, Château-Laffite, Porto.

— Nie umiem wam powiedzieć, jak on mnie bawi, on nie pije nic prócz wody — rzekła pani Verdurin, uciechą, jaką znajdowała w tym żarcie, chcąc pokryć przestach, o jaki przyprowadziła ją ta rozrzutność.

— Ale to nie poto żeby pić — odparł Ski; — napełni pani wszystkie kieliszki, przyniosą cudowne brzoskwinie, olbrzymie morele, o tam, nawprost zachodu słońca, to będzie przepych w stylu najpiękniejszego Veronese.

— I będzie kosztowało prawie równie drogo — mruknął Verdurin.

— Ale zabierzcie te sery tak brzydkie w tonie — rzekł Ski, starając się wydrzeć talerz „pryncypałowi”, który bronił swego *gruyère* ze wszystkich sił.

— Pojmuje pan, że ja nie tęsknię za Elstirem — rzekła pani Verdurin; nasz Ski to inny gatunek artysty! Elstir, to praca, to człowiek który nie umie się oderwać od swego płótna. To dobry uczeń, prymus konkursowy. Ski, ba, ten nie zna nic poza swoją fantazją. Potrafi zapalić papierosa w pół obiadu.

— W gruncie rzeczy, ja nie wiem, czemu pani nie chciała przyjmować jego żony — rzekł Cottard — byłby tu dotąd jak dawniej.

— Słuchaj-no pan, profesorze, czy pan nie raczy być grzeczny? Ja nie przyjmuję tutaj ladacznic — rzekła pani Verdurin, która przeciwnie uczyniła co mogła aby ściągnąć z powrotem Elstira, choćby z żoną. Ale zanim się pobrali, starała się ich pokłócić; powiedziała Elstirowi, że kobieta którą kocha jest głupia, brudna, puszczańska, że kradła. Na jeden raz nie udało się jej pokłócić ich. Elstir zerwał, ale z salonem Verdurinów; i wieszował sobie tego, jak nawróceni błogosławią chorobę lub nieszczęście, które ich odwróciły od świata i ukazały im drogę zbawienia.

— Wspaniały jest profesor — mówiła pani Verdurin. — Niech pan powie odrazu, że mój salon to dom schadzek! Można by rzec, że pan nie wie, kto to jest pani Elstir. Wolalabym raczej przyjąć ostatnią z dziewczyn publicznych! O, nie, na takie rzeczy ja nie idę. Zresztą, powiem panu, że byłoby z mojej strony tem większem głupstwem wdawać się w kompromisy z żoną, skoro mąż mnie już nie interesuje. To staromodne, to już nawet nie jest narysowane!

— To zadziwiająco u człowieka o takiej inteligencji — rzekł Cottard.

— Och, nie — odparła pani Verdurin — nawet w epoce kiedy miał talent — bo on go miał, ladaco, miał go po dziurki w nosie — co drażniło u niego, to absolutny brak inteligencji.

Aby wydawać ten sąd o Elstirze, pani Verdurin nie czekała zwady z malarzem, ani tego aby przestała lubić jego malarstwo. A to stąd, że nawet w czasie kiedy należał do „paczki”, zdarzało się Elstirowi spędzać całe dnie z jakąś kobietą, którą, słusznie czy niesłusznie, pani Verdurin uważała za „gęś”, co, wedle jej zdania, nie przystało człowiekowi inteligentnemu.

— Nie — rzekła tonem sędziego odmierzającego sprawiedliwość — sędzę że on i jego żona są jak stworzeni dla siebie. Bóg świadkiem, nie znam w świecie czegoś nudniejszego niż ona: oszalałabym, gdyby mi przyszło spędzić z nią dwie godziny. Ale powiadają, że on ją ma za bardzo inteligentną. Bo też trzeba sobie powiedzieć, nasz „mistrz” był zwłaszcza *potężnie głupi*: widziałam go, jak bywał olśniony osobami wprost nie do pojęcia, pocziwami idjotkami, których za nic nie ścierpiałoby się w naszej paczce. I co powiecie! on pisywał do nich, rozprawiał z niemi, on, Elstir! To nie przeszkadza, że miał strony urocze, och! urocze, urocze, i rozkosznie niedorzeczne oczywiście. (Bo pani Verdurin była przekonana, że ludzie naprawdę wybitni robią tysiące szaleństw. Fałszywy pogląd, w którym jest jednak coś prawdy. Niewątpliwie, owe „szaleństwa” są nieznośne. Ale zwichnięcie równowagi, które objawia się dopiero na dłuższą metę, jest skutkiem owładnięcia mózgu ludzkiego przez subtelnosci, do których nie jest pospolicie stworzony. Tak iż dziwactwa uroczych ludzi przywodzą do rozpacz, ale nie ma prawie uroczych ludzi, którzy by skądinąd nie byli dziwakami).

— O, zaraz będę mogła panu pokazać jego kwiaty — rzekła do mnie pani Verdurin, widząc iż mąż daje jej znaki, że można wstać. I podała znów ramię panu de Cambremer. Verdurin chciał się z tego powodu usprawiedliwić przed panem de Charlus, z chwilą gdy baron opuścił panią de Cambremer; chciał mu podać swoje racje, zwłaszcza dla przyjemności porozmawiania o tych światowych odcieniach z człowiekiem utytułowanym, chwilowo niższym od tych, którzy mu wyznaczyli miejsce wedle swego uznania. Ale na początek chciał pokazać panu de Charlus, że intelektualnie ceni go zbyt wysoko, aby przypuszczać iż on może zwracać uwagę na takie drobnostki.

— Niech pan daruje, że mówię o tych błahostkach — zaczął — bo zgaduję, jak mało pan do nich przykłada wagi. Mieszczkańskie dusze zwracają na to uwagę, ale inni, artyści, ludzie którzy-są naprawdę z „cechu” kpią sobie z tego. A od pierwszych słów, jakieśm zamienili, zrozumiałem, że pan jest z tych...

P. de Charlus, który dawał temu wyrażeniu sens zgoła odmienny, wzdrygnął się. Po oczkowaniach doktora, brutalna szczerłość pana domu zatknęła go. „Niech pan nie protestuje, drogi panie, należy pan, to jasne jak dzień — podjął Verdurin. — Niech pan zauważy, ja nie wiem, czy pan uprawia jaką sztukę, ale to nie jest konieczne. To nawet nie zawsze jest wystarczające. Degrange, który właśnie umarł, grał doskonale, z pierwszorzędną techniką, ale nie był „z tych”; czuło się zaraz, że on nie należy do cechu. Brichot też nie. Morel tak, moja żona tak, czuję że pan tak...

— Co mi pan miał powiedzieć — przerwał p. de Charlus, który uspokoił się nieco co do intencji Verdurina, ale wolałby aby gospodarz mniej głośno krzyczał te dwuznaczne słowa.

— Posadziliśmy pana po lewej stronie — odparł Verdurin.

Z wyrozumiałym, dobrodusznym i impertynenckim uśmiechem p. de Charlus odpowiedział: „Ale cóż znowu! To nie ma żadnego znaczenia, *tutaj!* I zaśmiał się śmiechem, który mu był właściwy — śmiechem odziedziczonym prawdopodobnie po jakiejś bawarskiej lub lotaryńskiej babce, która go znowuż odziedziczyła w zupełnie identycznym brzmieniu po swojej babce, tak iż śmiech ów rozlegał się, nieodmienny, od sporej ilości wieków, w starych małych dworach Europy i że smakowano jego szacowną jakość, niby ton dawnych instrumentów, dziś już niezmiernie rzadkich. Są chwile, w których aby kogoś całkowicie odmalować, trzeba by dołączyć do opisu fonetyczną imitację: i tak, opis osobowości pana de Charlus zawsze będzie niekompletny przez brak tego tak subtelnego, tak lekkiego śmiechu; podobnie jak niektórych dzieł Bacha nigdy nie odda się wiernie, bo orkiestrom brak owych trąbek o tak specjalnym dźwięku, na które autor pisał którąś partję.

— Ale — wyjaśnił Verdurin dotknięty — zrobiliśmy to umyślnie. Ja nie przywiązuję żadnego znaczenia do tytułów — dodał z owym wzdrygniętym uśmiechem, jaki tyle znajomych mi osób miało (w przeciwieństwie do mojej babki i matki) wobec czegoś czego nie posiadają, aby w ten sposób ludziom posiadającym to odmówić wyższości. Ale ostatecznie — ciągnął Verdurin — skoro właśnie jest u nas pan de Cambremer i skoro on jest margrabią, a pan tylko baronem...

— Przepraszam pana — odparł wyniośle p. de Charlus zdumionemu Verdurinowi, ale ja jestem także dukiem Brabancji, damoiseau de Montargis, księciem d'Oleron, de Carency, de Viazeggio i des Dunes. Zresztą to jest absolutnie bez znaczenia. Niech się pan tem nie trapi — dodał baron z subtelnym uśmiechem, który zakwitnął na jego ustach przy tych ostatnich słowach. Od razu poznałem, że pan nie jest obyty.

Pani Verdurin podeszła do mnie, aby mi pokazać kwiaty Elstira. O ile sam akt prozowanego obiadu, oddawna mi tak obojętny, wprowadził mnie przeciwnie — w tej formie, która go odnawiała całkowicie: droga nad morzem, następnie wspinanie się powozem na dwieście metrów nad poziom — w rodzaj pijaństwa, pijaństwo to nie rozprószyło się w la Raspelière. „O, niech pan spojrzysz — rzekła pani Verdurin, pokazując duże i wspaniałe róże Elstira, których tłusty szkarłat i pienista białosc odcinały się nieco zbyt śmietankowym refleksem od żardiniery w której tkwiły. Czy pan myśli, że on miałby jeszcze dość wigoru, żeby go uchwycić? Czy to nie jest kapitalne! A przytem, jakie to piękne jako materja, miałyby się ochotę pomacać. Nie umiem panu powiedzieć, jakie to było zabawne przyglądać się jak on to malował. Czuć było, jak go pasjonuje szukanie tego efektu.

I spojrzenie pryncypalki zatrzymało się marząco na podarku artysty, streszczającym nie tylko jego wielki talent, ale ich długą przyjaźń, przetrwała już tylko w tych pamiątkach; poza kwiatami, zerwanymi niegdyś przez artystę dla niej, zdawało się pani Verdurin, że widzi piękną rękę, która je namalowała, w ciągu jednego ranka, w pełni ich kraszy; tak iż jedne na stole, drugie oparte o fotel jadalni, mogły figurować wówczas nawprost siebie przy śniadaniu pryncypalki: róże jeszcze żywe i ich nawpół podobny portret. Tylko nawpół, bo Elstir nie mógł spojrzeć na kwiat inaczej niż przenosząc go równocześnie w ten wewnętrzny ogród, w którym trzeba nam na zawsze pozostać. Pokazał w tej akwareli zjawę róż takich jakie widział i jakich bez niego nie poznałoby się nigdy; tak iż można powiedzieć, że ten malarz, jak zmysłny ogrodnik, wzbogacił rodzinę róż nową odmianą.

— Z dniem w którym opuścił naszą paczkę, to był człowiek skończony. Podobno moje obiady kradły mu czas, tamowałam rozwój jego *geniuszu* — rzekła ironicznie pani Verdurin. — Jakgdyby obcowanie z kobietą taką jak ja mogło nie być zbawienne dla artysty! — wykrzyknęła z dumą.

Tuż obok nas, p. de Cambremer, który już był usiadł, widząc stojącego pana de Charlus, zaznaczył lekko gestem, że chce wstać i ustąpić krzesła. Gotowość ta była może wyrazem jedynie intencji margrabiego, zdawkowej grzeczności. P. de Charlus wolał nadać jej sens powinności, do jakiej prosty szlachcic poczuwa się wobec udzielnego księcia; ale uznał, iż najlepszym sposobem stwierdzenia swoich praw, będzie uchylić się od tego przywileju. Toteż wykrzyknął: „Ale cóż znowu! Ależ panie! Co za pomysł!” Podstępnie żywy ton tego protestu miał już coś bardzo Guermantes, a bardziej jeszcze rozkazujący, zbyteczny i poufały gest, jakim p. de Charlus zaciążył obiema rękami — jakgdyby chcąc go zmusić aby usiadł — na ramionach pana de Cambremer (który wcale nie wstał):

— Cóż znowu, drogi panie! — nalegał baron — jeszczeby tego brakowało! Nie ma żadnej racji! W naszych czasach chowa się to dla książąt krwi.

Tak samo jak pani Verdurin tak i Cambremerom nie sprawiłem przyjemności swoim entuzjazmem dla ich siedziby: pozostałem bowiem zimny wobec piękności, na które oni zwracali moją uwagę, a egzaltowałem się mętnymi reminiscencjami; czasem nawet wyznawałem im swój zawód, znajdując jakąś rzecz w niezgodzie z tem, o czym nazwa jej kazała roić. Oburzyłem panią de Cambremer, mówiąc że myślałem iż la Raspelière jest bardziej wiejska. W zamian za to, zatrzymałem się z upojeniem, aby wdechać wiatr, który wiał przez szparę w drzwiach. „Widzę że pan lubi przeciągi!” rzekli. Pochwała zielonej lustryny, zasłaniającej stłuczoną szybę, również nie zyskała powodzenia. „Cóż za ohyda!” wykrzyknęła margrabina. Szczytem było, kiedy powiedziałem: „Największą radość miałem zaraz z początku. Kiedy usłyszałem własne kroki rozbrzmiewające w sieni, miałem wrażenie że się znalazłem w kancelarii wiejskiego urzędu gminnego, gdzie wisi mapa powiatu”. Tym razem, pani de Cambremer stanowczo odwróciła się plecami.

— Nie zasmuciło cię zbytnio to wszystko? — spytał jej mąż z tą samą współczującą troskliwością, z jaką by się informował jak żona zniosła żałobną ceremonję. Są tu ładne rzeczy. Ale, o ile pewne reguły niezawodnego smaku nie zakreślą nieżyczliwości nieodpartych granic — potrafi ona wszystko skrytykować w osobach lub w domu ludzi, którzy zajęli wasze miejsce. Toteż pani de Cambremer odparła: „Tak, ale nie są na swoim miejscu. I zaprawdę, czy w istocie takie ładne?”

— Zauważyłaś — rzekł p. de Cambremer ze smutkiem nie pozbawionym pewnego hartu — są w tym salonie płótna Jouy, wytarte aż do nitki, rzeczy, do cna zużyte!

— A ta materja w wielkie róże, jak derka chłopska! — rzekła pani de Cambremer, której nawskroś sztuczna kultura uznawała jedynie transcendentalną filozofję, impresjonistyczne malarstwo i muzykę Debussy’ego. I aby krytykować nie tylko w imię zbytku i lecz i w imię smaku, dodała: — I dali w oknach zazdrostki! Cóż za pogwałcenie stylu! Cóż chcesz, ci ludzie nie mają o tem pojęcia, gdzież mieli się nauczyć? To muszą być bogaci hurtownicy, którzy się wycofali z interesów. I tak nieźle, jak na nich.

— Świeceńniki są wcale ładne — rzekł margrabia, przyczem nikt by nie zgadł, czemu wyłącza świeceńniki, tak samo jak nieuchronnie, za każdym razem kiedy była mowa o kościele — czy to była katedra w Chartres, w Reims, w Amiens lub kościół w Balbec — zawsze wychwalał skwapliwie: „organy, ambonę i dzieła miłosierdzia”.

— Co się tyczy ogrodu, nawet nie mówmy... — rzekła pani de Cambremer. — To istna katastrofa. Te ścieżki całkiem zwichrowane!

Skorzystałem z tego że pani Verdurin kazała podać kawę, aby rzucić okiem na list, który mi oddał pan de Cambremer a w którym matka jego zapraszała mnie na obiad. W tych kilku wierszach, pismo zdradzało indywidualność, którą odtąd miałem rozpoznać wśród wszystkich innych, bez potrzeby uciekania się do hipotezy specjalnych piór, tak samo jak malarz, dla wyrażenia oryginalnej wizji, nie potrzebuje rzadkich i tajemniczo sporządzanych farb. Nawet paralityk, dotknięty po ataku agrafją i patrzący na litery jedynie jak na niezrozumiałe rysunek, odgadłby, że pani de Cambremer wiezie się ze starej rodziny, gdzie entuzjastyczny kult literatury i sztuki przewietrzył nieco szlacheckie tradycje. Odgadłby również, około którego roku margrabina nauczyła się równocześnie pisać i grać Chopina. Była to epoka, gdy ludzie dobrze wychowani obserwowali reguły uprzejmości oraz epoka t. zw. *trzech przymiotników*. Pani de Cambremer kombinowała obie. Jeden pochwalny przymiotnik nie wystarczał jej; zawsze po nim następował (po kresce) drugi; potem (po drugiej kresce) trzeci. Ale właściwością jej było, że wbrew ich towarzyskiemu i literackiemu celowi, kolejność trzech przymiotników przybierała w bicikach pani de Cambremer postać nie progresji ale *diminuendo*. Pani de Cambremer powiadała np. w tym pierwszym liście, że widziała Roberta de Saint-Loup i że bardziej niż kiedykolwiek oceniła jego przymioty „jedyne — rzadkie — istotne”; że Saint-Loup ma być jeszcze u niej z jednym z przyjaciół (właśnie z tym, który kochał się w jej synowej), i że, jeżeli zechce przyjechać z nimi lub bez nich na obiad do Féterne, będzie *zachwycona — szczęśliwa — rada*. Może to płynęło stąd, że chęć uprzejmości była u niej większa niż żyzność wyobraźni i bogactwo słownika; pani de Cambremer uważała za potrzebne wydawać trzy wykrzykniki, ale w drugim i w trzecim umiała dać jedynie wåtlesze echo pierwszego. Niechby się znalazł bodaj jeszcze czwarty, a z pierwotnej uprzejmości nicby już nie zostało. Wreszcie, przez pewne wyrafinowanie prostoty, które z pewnością musiało robić wrażenie w rodzinie a nawet wśród znajomych, pani de Cambremer przywykła zastępować słowo „szczerzy” (które mogłoby się w końcu wydawać kłamliwe) słowem „prawdziwy”. I aby tem lepiej okazać, że w istocie chodzi o coś szczerzego, łamała konwencjonalny szyk, który kazałby kłaść *prawdziwy* przed rzeczownikiem, i kładła go mężnie po nim. Listy jej kończyły się tak: „Niech pan wierzy w moją przyjaźń prawdziwą. Niech pan wierzy w moją sympatję prawdziwą”. Na nieszczęście, zmechanizowało się to tak, że afektowana szczerłość robiła wrażenie kłamliwej grzeczności bardziej niż staroświeckie formuły, o których sensie już się nie myśli. Utrudniał mi zresztą czytanie zgiełk rozmów, nad które wybijał się donośniejszy głos pana de Charlus; ten nie poniechał swojego tematu i mówił do pana de Cambremer:

— Nalegając abym zajął pańskie miejsce, przypomniał mi pan pewnego jegomościa, który wystosował dziś do mnie list, adresując na kopercie: *Jego Wysokość baron de Charlus*, a zaczął list od *Wasza Dostojność*.

— W istocie, pański korespondent przesolił trochę — odparł p. de Cambremer pozwalając sobie na dyskretną wesołość.

P. de Charlus sprowokował tę wesołość, ale jej nie podzielił. — W gruncie — rzekł — drogi panie, zważ pan, iż, biorąc heraldycznie, on miał rację. Nie robię z tego — jak się pan domyśla — kwestji osobistej; mówię tak, jakby chodziło o kogo innego. Ale cóż pan chce, historia jest historją; nic na to nie poradzimy i nie w naszej mocy jest ją zmienić. Nie będę panu cytował cesarza Wilhelma, który w Kiel cały czas świadczył mi *Monseigneur*. Słyszałem, że on tak tytułuje wszystkich diuków francuskich, co jest omyłką i co stanowi może tylko delikatną galanterję, ponad naszemi głowami przeznaczoną dla Francji.

— Delikatną i mniej lub więcej szczerą — rzekł pan de Cambremer.

— Och, nie jestem pańskiego zdania. Zauważ pan, że osobiście, figura tak podrzędna jak ten Hohenzollern, co więcej protestant, i który wyzuł z jego ziem mego kuzyna króla Hanoweru, nie jest człowiekiem, któryby budził moje sympatje dodał p. de Charlus, któremu Hanower zdawał się bardziej leżeć na sercu od Alzacji i Lotaryngji. Ale sądzę, że sympatja, która skłania cesarza ku nam, jest bardzo szczerą. Głupcy powiedzą panu, że to jest cesarz z operetki. On jest, przeciwnie, niesłychanie inteligentny. Nie zna się na malarstwie i zmusił pana Tschudi do usunięcia Elstirów z muzeów państwowych. Ale Ludwik XIV nie lubił malarstwa holenderskiego, też kochał się w paradzie i w rezultacie

był wielkim monarchą. A jeszcze Wilhelm II uzbroił swój kraj w zakresie armji i marynarki tak, jak Ludwik XIV nigdy tego nie zrobił, i mam nadzieję, że jego panowanie nie zazna nigdy klęsk, ćmiących koniec rządów tego, którego zowie się banalnie Królem-Słońce. Republika popełniła mojem zdaniem wielki błąd, odtrącając uprzejmości Hohenzollerna lub dawkując mu je kropłomierzem. On sam zdaje sobie z tego wybornie sprawę i powiada z właściwą sobie celnością słowa: „Ja chcę uścisku dłoni, a nie machnięcia kapeluszem”. Jako człowiek jest Świnia; opuścił, wydał, zaparł się najlepszych przyjaciół, w okolicznościach, w których jego milczenie było równie podle jak ich milczenie było wielkie — ciągnął p. de Charlus, który, wciąż party swoją naturą, osuwał się ku sprawie Eulenburga i przypominał sobie to, co mu powiedział jeden z najdostojniejszych oskarżonych: „Jakież zaufanie musi cesarz pokładać w naszej delikatności, aby się ważyć na podobny proces! I nie pomylił się, ufając naszej dyskrecji. Milczelibyśmy nawet na rusztowaniu”. Zresztą, wszystko to nie ma nic wspólnego z tem co chciałem powiedzieć, mianowicie, że w Niemczech my, jako książęta nie djatygowani, mamy tytuł *Durchlaucht* i że we Francji nasz stopień *Altesse* był uznany publicznie. Saint-Simon utrzymuje, żeśmy go sobie przywłaszczyli, w czem się myli najzupełniej. Racja, jaką podaje, mianowicie że Ludwik XIV zabronił się nam tytułować *królem bardzo chrześcijańskim* i kazał się zwać poprostu królem, dowodzi tylko, żeśmy byli zawiśli od niego, nie zaś żeśmy nie mieli praw książęcych. Inaczej trzebaby ich odmówić księciu Lotaryngji i tyłu innym! Zresztą, wiele naszych tytułów przeszło na nas z domu lotaryńskiego przez Teresę d’Espinoy, moją prababkę, która była córką damoiseau de Commercy.

Spostrzegłszy że go Morel słucha, p. de Charlus rozwinął szerzej racje swoich pretensyj:

— Zwróciłem uwagę bratu, że nie w trzeciej części gotajskiego almanachu, ale w drugiej, aby nie rzec w pierwszej, powinnyby figurować nasza rodzina — rzekł baron, nie zdając sobie sprawy z tego, że Morel nie wie, co to almanach gotajski. Ale to sprawa brata; on jest moim wojennym panem i z chwilą kiedy się z tem godzi i toleruje tę rzecz, nie pozostaje mi nic, jak tylko przymknąć oczy.

— Pan Brichot bardzo mnie zajął — rzekłem do pani Verdurin, która podeszła do mnie; przyczem schowałem list pani de Cambremer do kieszeni.

— To światły umysł i zacny człowiek — odparła chłodno. — Brak mu oczywiście oryginalności i smaku, ma zato straszliwą pamięć. Mówiono o „przodkach” osób, które mieliśmy dziś na obiedzie, o emigrantach, że „niczego nie zapomnieli”. Ale oni mieli przynajmniej tę wymówkę — rzekła przywłaszczając sobie koncept Swanna — że się niczego nie nauczyli. Podczas gdy Brichot wie wszystko i ciska nam na głowę przy obiedzie całą mądrość dykjonarzy. Sądzę, że nazwa żadnego miasta ani wioski nie ma już dla pana tajemnic.

Podczas gdy pani Verdurin mówiła, ja myślałem, że sobie postanowił spytać jej o coś, ale nie mogłem sobie przypomnieć o co.

— Jestem pewien, że mówicie o naszym Brichot. Hę, Chantepie, Freycinet, nic wam nie darował. Cały czas patrzałem na naszą kochaną pryncypalkę.

— Widziałam świetnie, omal nie parsknęłam.

Nie umiałbym dziś powiedzieć, jak pani Verdurin była ubrana owego wieczora. Może w danej chwili też nie wiedziałem, bo nie mam zmysłu obserwacji. Ale czując że toaleta jej nie jest bez pretensyj, powiedziałem na ten temat coś miłego, wyraziłem nawet zachwyt. Pani Verdurin była jak prawie wszystkie kobiety, które sobie wyobrażają, że zwrócony do nich komplement jest ścisłym wyrazem prawdy i że to jest sąd wydany bezstronnie, nieodparcie, tak jakby chodziło o dzieło sztuki nie związane z niczyją osobą. Toteż z powagą, która kazała mi się zarumienić za swoją hipokryzję, zadała mi to naiwne i dumne pytanie, zwyczajne w podobnych okolicznościach: „Podoba się panu?”

— Mówicie, jestem tego pewny, o Chantepie — rzekł zbliżając się do nas Verdurin.

Byłem jedyny, który, myśląc o zielonej lustrynie i o zapachu lasów, nie zauważył, że snując swoje etymologie, Brichot ośmieszył się w oczach zebranych. Że zaś wrażenia, rozstrzygające dla mnie o wartości rzeczy, były z rzędu tych, których inne osoby nie doznają lub też uprzątają je z myśli jako coś bez znaczenia (tem samem, gdybym mógł ich udzielić, pozostałyby niezrozumiałe lub wzgardzone), wrażenia te były dla mnie

czemś zupełnie nie do spożytkowania; co więcej, miały tę wadę, że czyniły ze mnie głupca w oczach pani Verdurin, która ujrzała, że ja „leczę” na Brichota. Podobnie wydałem się już pierwaj głupcem pani de Guermantes, bom lubił towarzystwo pani d’Arpajon. Ale co się tyczy Brichota, była tu inna racja. Nie należałem do „paczki”. A we wszelkiej „paczce” — czy będzie światowa, polityczna, literacka — nabiera się perwersyjnej zdolności odkrywania w rozmowie, w oficjalnem przemówieniu, w noweli, w sonecie, wszystkiego tego, czegoby prostoduszny czytelnik nigdy nie dojrzał. Ileż razy zdarzyło mi się, gdy przeczytałem z pewnem wzruszeniem powiastkę, zręcznie ułożoną przez jakiegoś wymownego i nieco staromodnego Akademika, że, kiedy miałem powiedzieć Blochowi lub pani de Guermantes: „Jakie to ładne!” oni, zanim jeszcze otworzyłem usta, wykrzykiwali, każde w odmiennym języku: „Jeżeli pan chce mieć chwilę uciechy, niech pan przeczyta nowelę Iksa. Idjotyzm ludzki nigdy nie zaszedł tak daleko”. Wzgarda Blocha pochodziła zwłaszcza stąd, że niektóre efekty stylu, mile zresztą, były trochę zwiędłe; wzgarda pani de Guermantes stąd, że powiastka dowodziła jakoby czegoś wręcz przeciwnego temu co autor chciał powiedzieć z racji które księżna zręcznie wywodziła, ale o których nigdy bym nie był pomyślał. Byłem równie zdziwiony, widząc ironię, jaką kryła pozorna uprzejmość Verdurinów dla Brichota, co słysząc w kilka dni później w Féterne Cambremerów, odpowiadających na moje entuzjastyczne pochwały Raspelière: „To nie możliwe żeby pan był szczery. Po tem wszystkim co oni tam zrobili!” Przyznali, co prawda, że serwis był ładny. Nie zauważyłem go, tak samo jak „skandalicznych” zazdrostek.

— Przynajmniej teraz, kiedy pan wróci do Balbec, będzie pan wiedział, co znaczy Balbec — rzekł ironicznie pan Verdurin.

Otóż właśnie te rzeczy, których dowiadywałem się od Brichota, interesowały mnie. Co się tyczy tego, co zwano jego dowcipem, inteligencją, były one ściśle te same które tak ceniono niegdyś w „paczce”. Mówił z tą samą drażniącą łatwością, ale słowa jego „nie brały” już, miały do pokonania wrogie milczenie lub niezyczliwe echa; zmienilo się nie to co on mówił, ale akustyka salonu i nastrój słuchaczy.

— Uwaga! — rzekła półgłosem pani Verdurin, wskazując Brichota. Ten, zachowawszy słuch ostrzejszy od wzroku, objął pryncypalkę szybkim spojrzeniem krótkowidza i filozofa. Jeżeli oczy jego się popsuly, w zamian oczy ducha ogarniały rzeczy szerzej. Widział, jak niewiele można oczekiwać od ludzkich przywiązań i pogodził się z tem. Bolało go to, zapewne. Zdarza się, że nawet ten, który pewnego wieczora, w kółku gdzie zazwyczaj był mile widziany, zgaduje, że się wydał albo pusty, albo ciężki, albo niezręczny, albo zbyt śmiały etc., wraca do domu zbolany. Często kwestja przekonań lub teoryj jest przyczyną że się wydał drugim głupi lub niemodny. Często wie doskonale, że owi drudzy nie dorosli do niego. Z łatwością mógłby zanalizować sofizmaty, przy pomocy których potępiono go milcząco, chce wybrać się z wizytą, napisać list; zmadrzawszy, nie czyni tego, czeka zaproszenia na następny tydzień. Bywa iż taka niełaska, zamiast skończyć się na jednym wieczorze, trwa całe miesiące. Wynikła z niestałości sądów świata, pomnaża ją jeszcze. Bo ten, kto wie, że pani X go lekceważy a czuje w zamian, że go cenią u pani Y, oświadcza że pani Y jest osobą o wiele wartościowszą i przenosi się do jej salonu. Zresztą, nie tu jest miejsce malować owych ludzi, wyższych nad życie światowe, ale niezdolnych się zrealizować poza niem, szczęśliwych że ich przyjmują, zgorzkniałych że ich nie doceniają, odkrywających co rok wady pani domu, którą okadzali, oraz geniusz tej, której nie doceniali, gotowi wrócić do swego pierwszego kultu, kiedy ucierpią od uciążliwości drugiego, braki zaś pierwszego ulegną prawu zapomnienia. Z tych krótkich stanów niełaski, można ocenić zgrzyotę, jaką sprawiła Brichotowi niełaska, o której wiedział że jest ostateczna. Wiedział, że pani Verdurin śmieje się czasami publicznie z niego, nawet z jego niedomagają, ale wiedząc jak niewiele trzeba się spodziewać od ludzkich przywiązań, pogodziwszy się z tem, uważał mimo to „pryncypalkę” za swoją najlepszą przyjaciółkę. Ale z rumieńca, jaki oblał twarz Akademika, pani Verdurin zrozumiała że słyszał i przyrzekła sobie być dlań uprzejma w ciągu wieczora. Nie mogłem się powstrzymać, aby jej nie zwrócić uwagi, jaka jest niedobra dla Saniette’a.

— Jakto nie dobra! Ależ on nas ubóstwia; pan nie wie, czem my jesteśmy dla niego. Męża drażni czasem jego głupota — i trzeba przyznać, że może drażnić — ale czemuż on się wtedy nie broni, zamiast przybierać minę zbitego psa? To nie jest szczere. Nie lubię tego. To nie przeszkadza, że ja się zawsze staram uspokajać męża, bo gdyby się posunął

za daleko, Saniette mógłby poprostu przestać bywać, a tego bym nie chciała, bo powiem panu, że on już nie ma ani grosza, potrzebuje tych obiadów. A potem, ostatecznie, jeżeli go to obraża, niech nie wraca, to nie moja rzecz; kiedy ktoś potrzebuje drugich, stara się nie być tak głupim!

— Księstwo Aumale było długo w naszej rodzinie, zanim przeszło do domu Francji — tłumaczył p. de Charlus panu de Cambremer wobec olśnionego Morela, dla którego w istocie cała ta dysertacja była przeznaczona. Mieliśmy krok przed wszystkimi cudzoziemskimi książętami; mógłbym panu dać tego sto przykładów. Kiedy księżna de Croy chciała na pogrzebie *Monsieur* uklęknąć obok mojej prababki, ta zwróciła jej ostro uwagę, że nie ma prawa do poduszki, kazała zabrać poduszkę przez służbowego oficera i przedłożyła rzecz królowi, który polecił pani de Croy przeprosić panią de Guermantes w jej własnym domu. Kiedy książę Burgundji przybył do nas w otoczeniu marszałków trzymających podniesione laski, uzyskaliśmy u króla to że je kazał opuścić. Wiem, że nie bardzo przystoi mówić o cnotach swoich bliskich. Ale dobrze wiadome jest, że nasi byli zawsze na przedzie w godzinie niebezpieczeństwa. Nasze zawołanie wojenne, kiedyśmy porzucili zawołanie książąt Brabancji, było *Passavant*. Tak iż w sumie dość słuszne jest, że to prawo pierwszeństwa, któregośmy się domagali przez tyle wieków na wojnie, przypadło nam następnie na dworze. I to fakt, że nam je zawsze przyznawano. Zacytuję panu jeszcze jako dowód księżnę Badeńską. Kiedy się zapomniała do tego stopnia, że próbowała się spierać o miejsce z tą samą księżną de Guermantes, o której przed chwilą mówiłem, i korzystając z odruchu wahania, jaki może miała moja krewna, (mimo że nie było do tego powodu), pierwsza chciała wejść do króla, król krzyknął żywo: „Wejdz, wejdz, kuzynko; księżna Badeńska zbyt dobrze wie co ci jest powinna”. I tę rangę miała jako księżna de Guermantes, mimo że sama z siebie była dosyć wielkiego rodu, będąc przez matkę siostrzenicą królowej polskiej, królowej węgierskiej, elektora Palatynatu, księcia Savoie-Carignan i księcia Hanoweru, potem króla angielskiego.

— *Maecenas atavis edite regibus!* — rzekł Brichot, zwracając się do pana de Charlus, który lekkim skinieniem głowy odpowiedział na tę galanterję.

— Co pan powiada? — spytała pani Verdurin Brichota, wobec którego chciała naprawić niedawny wybryk.

— Mówiłem, niech mi Bóg odpuści, o dandysie, który był samą śmietanką arystokracji (pani Verdurin zmarszczyła brwi) za czasów Augusta (pani Verdurin, uspokojona odległością tej *śmietanki*, rozpogodziła się nieco); o przyjacielu Wirgiliusza i Horacego, którzy posuwali pochlebstwo do tego stopnia, aby mu w żywe oczy wysławiać jego parantele więcej niż arystokratyczne, królewskie, słowem mówiłem o Mecenasie, szczerze bibliotecznym, przyjacielu Horacego, Wirgiliusza, Augusta. Pewien jestem, że p. de Charlus wie bardzo dobrze — i w każdym sensie — kto był Mecenas.

P. de Charlus zerkał wdzięcznie na panią Verdurin, bo słyszał jak się umawia na pojutrze z Morelem i bał się, że jego nie zaprosi. — Sądzę — rzekł — że Mecenas był czemś w rodzaju Verdurina starożytności.

Pani Verdurin ledwie zdołała powściągnąć uśmiech zadowolenia. Podeszła do Morela.

— Sympatyczny jest ten przyjaciel pańskich rodziców — rzekła. — Widać, że to człowiek wykształcony, dobrze wychowany. Nada się do naszej paczki. Gdzie on mieszka w Paryżu?

Morel zachował wyniosłe milczenie i zaproponował tylko partyjkę kart. Pani Verdurin przed tem żądała trochę skrzypców. Ku powszechnemu zdziwieniu, p. de Charlus, który nigdy nie mówił o swoich talentach, zaakompanjował Morelowi w najczystszy styl ostatnią część (niespokojną, nerwową, szumanowatą, ale bądź co bądź wcześniejszą od sonaty Francka) sonaty skrzypcowej Fauré'go. Zrozumiałem, że baron dałby Morelowi, cudownie uzdolnionemu co się tyczy tonu i techniki, właśnie to, czego mu brakło: kulturę i styl. Ale równocześnie dumalem z ciekawością nad tem, co w tym samym człowieku może kojarzyć skazę fizyczną z darami ducha. P. de Charlus nie był zbyt różny od swego brata, księcia de Guermantes. Nawet przed chwilą (co mu się zdarzało rzadko), posłużył się równie złą francuzczyzną co książę. Wyrzucając mi (zapewne w tym celu, abym ciepło mówił o Morelu wobec pani Verdurin), że nigdy do niego nie zachodzę, kiedy ja się tłumaczył iż czynię to przez delikatność, odparł: „Ależ skoro ja pana o to proszę, jedynie ja *mógłbym się formalizować*”. To mógłby powiedzieć książę de Guermantes.

Ostatecznie, p. de Charlus był tylko Guermantem. Ale wystarczyło, aby natura zwichnęła w nim system nerwowy, tak aby zamiast kobiety (jakby to czynił jego brat, książę Błażej) wolał wirgiliańskiego pasterza lub ucznia Platona, a natychmiast nieznane księciu de Guermantes a często kojarzące się z tem zboczeniem cechy uczyniły z pana de Charlus uroczego pianistę, malarza-amatora nie pozbawionego smaku, subtelnego *causeura*. Słyszając chyży, nerwowy, uroczy rytm, w jakim p. de Charlus grał szumanowski ustęp sonaty Fauré'go, któżby poznał, że ten styl ma swój odpowiednik — nie śmiem powiedzieć przyczynę — w czysto fizycznych właściwościach, w nerwowych skazach pana de Charlus. Później wytłumaczymy to słowo „skazy nerwowe” i powiemy dla jakich przyczyn, Grek z epoki Sokratesa, Rzymianin z czasów Augusta, mogli być tem, czem wiadomo że byli, pozostając ludźmi absolutnie normalnymi, nie zaś mężczyznami skobieconymi, jakich się widzi dzisiaj. Tak samo jak p. de Charlus miał rzetelne choć niedonoszone skłonności artystyczne, tak samo bardziej od księcia Błażeja kochał matkę, kochał żonę, i nawet po latach, kiedy mu o nich wspomniano, miał w oczach łzy, ale powierzchowne, niby pocenie się zbyt otyłego człowieka, którego czoło rosi się z lada powodu kroplami potu. Z tą różnicą, że tym ludziom mówi się: „Jak panu gorąco”, podczas gdy udajemy że nie widzimy łez tamtego. „My”, to znaczy świat; bo lud wzrusza się płaczem, tak jakby szloch był czemś poważniejszym od krwotoku. Smutek, w jaki baron popadł po śmierci żony, nie wykluczał — dzięki nawykowi kłamstwa — życia, nie będącego w zgodzie z tą żalobą. Później nawet baron posunął się do tej ohydy, aby dawać do zrozumienia, że w czasie pogrzebu zdołał spytać o nazwisko i adres małego ministranta, może to była prawda!

Po skończeniu utworu, pozwoliłem sobie zażądać Francka, co zdawało się sprawiać taki ból pani de Cambremer, że nie nalegałem. „Pan tego nie może lubić” — rzekła. Prosiła zamiast tego o *Fêtes Debussy'ego*, co wywołało od pierwszej nuty okrzyki: „Och! wspaniale, boskie!” Ale Morel spostrzegł się, że umie tylko pierwsze takty, i przez pustotę, bez najmniejszego zamiaru mistyfikacji, zaczął marsz Meyerbeera. Na nieszczęście, ponieważ zrobił to prawie bez przejścia i nie zapowiadając, wszyscy myśleli, że to jeszcze Debussy i dalej krzyczeli: „Wspaniale!” Oznajmiając iż autorem utworu był nie twórca *Pellasa* lecz autor *Roberta Djabla*, Morel zmroził nieco słuchaczy. Pani de Cambremer nie miała czasu odczuć tego osobiście, bo właśnie odkryła zeszyt Scarlattiego i rzuciła się na nie go z impetem histeryczki. „Och, niech pan to zagra, niech pan to weźmie, to boskie!” — krzyczała. A przecież to, co ona w swoim gorączkowym podnieceniu wybrała z owego długo pogardzanego, a od niedawna wyniesionego na szczyty autora, to był jeden z owych przeklętych kawałków, które tak często nie dały wam spać i które bezlitosna uczenica powtarza bez końca o piętro nad nami. Ale Morel miał dosyć muzyki, że zaś miał ochotę zagrać w karty, p. de Charlus, pragnąc wziąć udział w partii, zaproponował wista.

— Powiedział przed chwilą pryncypałowi, że on jest księciem — rzekł Ski do pani Verdurin; ale to nie prawda; to jest drobne mieszczaństwo, jacyś architekci.

— Chcę wiedzieć, co pan mówił o Mecenasie. To mnie bawi, no tak! — powtórzyła pani Verdurin Brichotowi, przez uprzejmość która go upoiła. Toteż, aby błysnąć przed pryncypalką i może przedemną, rzekł:

— Ależ, prawdę rzekłszy, proszę pani, Mecenas interesuje mnie zwłaszcza tem, że był pierwszym wybitnym apostołem owego chińskiego boga, który dziś liczy we Francji więcej wyznawców niż Brahma, niż sam Chrystus: bardzo potężnego boga Mam-Whas Kcieś.

Pani Verdurin nie poprzestawała już w takich wypadkach na utopieniu głowy w rękach. Rzuciła się z nagłością owych owadów zwanych jętkami na księżnę Szerbatow; jeżeli ta była niedaleko, pryncypalka czepiała się pachy księżnej, zatapiała w nią paznokcie, i kryła na jakiś czas głowę, jak dziecko grające w chowanego. Zasłoniona tym opiekuńczym parawanem, robiła wrażenie że się śmieje do łez, i mogła w ten sposób nie myśleć o niczem, jak ludzie, którzy modląc się nieco dłużej, mają tę roztropność aby utopić twarz w rękach. Pani Verdurin naśladowała ich słuchając kwartetów Beethovena, aby równocześnie dowieść, że je uważa za modlitwę i nie okazać że śpi.

— Mówię bardzo poważnie, proszę pani — rzekł Brichot. — Sądzę, że zbyt wielka jest dziś liczba ludzi, trawiących czas na patrzeniu w swój pępek, tak jakby tam było



centrum świata. Teoretycznie, nie mam nic do zarzucenia jakiejś *nirwanie*, zmierzającej do tego aby nas rozpuścić w wielkiej Wszystkości (która, jak Monachium i Oxford, znajduje się o wiele bliżej Paryża niż Asnières lub Bois-Colombes), ale nie jest rzeczą ani dobrego Francuza ani nawet dobrego Europejczyka, dziś, kiedy Japończycy są może u wrót naszego Bizancjum, aby zsocjalizowani antymilitaryści poważnie dyskutowali kardynalne cnoty wolnego wiersza.

Pani Verdurin uznała, iż może puścić udręczone ramię księżnej i ukazała z powrotem twarz, udając że sobie ociera oczy i zaczerpnąwszy parę razy tchu. Ale Brichot chciał, abym i ja dostał swoją porcję, zapamiętawszy zaś z egzaminów doktorskich które umiał prowadzić jak nikt, że niczem się tak nie głaszcze młodzieży jak karcąc ją, przyznając jej ważność, zyskując u niej epitet wsteczniaka: „Nie chciałbym bluźnić bogom Młodości rzekł — rzucając na mnie owo przelotne spojrzenie, jakim mówca ukradkiem darzy na zgromadzeniu kogoś obecnego, którego nazwisko cytuje. — Nie chciałbym być potępiony jako heretyk i recydywista herezji w kapliczce malarmejskiej, gdzie nasz nowy przyjaciel, jak wszyscy jego rówieśnicy, musiał służyć do mszy izoretycznej, przynajmniej jako ministrant i okazać się zgniłkiem lub Różokrzyżowcem. Ale doprawdy, za dużo widzieliśmy tych intelektualistów uwielbiających sztukę przez wielkie S, którzy, kiedy im nie wystarczy alkoholizować się Zolą, robią sobie zastrzyki Verlaine’a. Popadłszy w eteromanję przez dewocję baudelairovską, nie byłiby już zdolni do męskiego wysiłku, jakiego ojczyzna może któregoś dnia zażądać, znieczuleni przez wielką newrozę literacką, w upalnej, wyczerpującej, ciężkiej od niezdrowych wyziewów atmosferze symbolizmu rodem z palarni opium”.

Niezdolny udać ani cienia zachwyty dla niedorzecznej i napstrzonej tyrady Brichota, odwróciłem się do Skiego i zapewnilem go, że się absolutnie myli co do rodziny pana de Charlus. Odpowiedział, że jest pewny tego co mówi, i dodał, że ja sam mówiłem, iż prawdziwe nazwisko barona jest Gandin, Le Gandin.

— Powiedziałem — odparłem — że pani de Cambremer jest siostrą inżyniera, pana Legrandin. Nigdy nie mówiłem z panem o panu de Charlus. Między nim a panią de Cambremer jest nie więcej pokrewieństwa niż między Wielkim Kondeuszem a Racinem.

— A! myślałem! — rzekł swobodnie Ski, tak samo nie tłumacząc się ze swego błędu, jak kilka godzin wprzód z omyłki przez którą omal nie spóźniliśmy się na pociąg.

— Czy pan ma zamiar długo zabawić nad morzem? — pytała pani Verdurin pana de Charlus, w którym przeczuwała „wiernego” i drżała aby nie wrócił zbyt wcześnie do Paryża.

— Mój Bóże, nigdy nie wiadomo — odparł nosowym i rozwlekłym tonem p. de Charlus. — Chciałbym zostać do końca sierpnia.

— Ma pan rację — odparła pani Verdurin; to moment pięknych burz.

— Prawdę mówiąc, nie toby mnie zdecydowało. Nadto zaniedbałem od jakiegoś czasu Archanioła Michała, mego patrona, i chciałbym mu to wynagrodzić, pozostając aż do jego święta, 29 września, w *Abbaye du Mont*.

— Bawią pana takie historie? — spytała pani Verdurin, która zdołałaby może uciścić swój zraniony antyklerykalizm, gdyby się nie zlekła że tak długa wycieczka może spowodować czterdziestoosmiodzinną dezercję skrzypka i barona.

— Pani cierpi może na okresową głuchotę — rzekł impertynencko p. de Charlus. — Mówiłem, że święty Michał jest jednym z moich chlubnych patronów. Poczem, uśmiechając się w błogiej ekstazie z oczami utkwionymi w dal, z głosem nabrzmiałym egzaltacją, więcej niż estetyczną, raczej religijną: — To takie piękne w momencie Podniesienia, kiedy Michał stoi koło ołtarza, w białej sukni, kołysząc złotą kadzielnicą, z taką obfitością kadzidel, że woń wzbija się aż do nieba...

— Można by się wybrać całą gromadką — podsunęła pani Verdurin, mimo swego wstrętu do sutanny.

— W tej chwili, od momentu Podniesienia — podjął p. de Charlus, który z innych przyczyn ale w ten sam sposób jak dobrzy mówcy w Izbie nie odpowiadał nigdy na przerywania i udawał że ich nie słyszy — byłoby czarujące słyszeć naszego młodego przyjaciela, wykonującego Palestrynę lub Air Bacha. Oszałały z radości, nasz zacny proboszcz także, i to jest największy hołd — przynajmniej największy hołd publiczny — jaki mógłbym

oddać memu świętemu patronowi. Co za zbudowanie dla wiernych! Pomówimy o tem zaraz z naszym młodym Fra Angelico smyczka, żołnierzem jak święty Michał.

Saniette, zaproszony na czwartego, oświadczył, że nie umie grać w wista. Zaczem Cottard, widząc że niewiele jest już czasu do pociągu, zasiadł czemprowadz do partyjki *écarté* z Morelem. Verdurin, wściekły, podszedł ze straszliwą miną do Saniette'a. „Więc pan wcale nie umie grać! — krzyknął, wściekły że stracił sposobność zagrania w wista, a rad, że ma okazję zelżenia ex-archiwisty. Ów, steroryzowany, przybrał dowcipną minę: „Owszem, na fortepianie” — odparł.

Cottard i Morel siedli naprzeciw siebie. „Pan święci — rzekł Cottard. — Gdybyśmy się zbliżyli trochę do stołu gry — rzekł do pana de Cambremer p. de Charlus, zaniepokojony widokiem skrzypka z Cottardem. — To jest conajmniej równie interesujące jak te kwestje etykiety, które w naszej epoce nie wiele już znaczą. Jedyni królowie, którzy nam zostali, we Francji przynajmniej, to królowie karciani i zdaje mi się że się pchają garściami do ręki młodego wirtuoza” — dodał baron przez podziw dla Morela, rozciągający się na jego sposób grania w karty; przyczem zarówno chciał mu pochlebić jak usprawiedliwić ruch, jakim się pochylił do ramienia skrzypka.

— *Bzedzinam* — rzekł udając cudzoziemski akcent Cottard, którego dzieci parsknęły śmiechem tak jak czynili studenci i pierwszy asystent, kiedy nawet przy łóżku ciężko chorego, profesor puszczał, z niewzruszoną maską epileptyka, którąś z uświęconych faccyj.

— Nie bardzo wiem co zagrać — rzekł Morel radząc się pana de Cambremer.

— Co pan chce, będzie pan pobity na wszelki sposób; tak czy tak, to jest *egal*.

— Egal... Ingalli? — rzekł doktor, śląc w stronę pana de Cambremer usilne i życzliwe spojrzenie. — To była co się zowie prawdziwa *diva*, to było marzenie, Carmen taka jakiej się już nie zobaczy. To była wymarzona kobieta do tej roli.

Margrabia wstał z owem lekceważącym chamstwem ludzi dobrze urodzonych, nie rozumiejących że obrażają pana domu kwestjonując jego gości i szukających w angielskim zwyczaju pogardliwego zwrotu: „Kto to jest ten jegomość, który gra w karty, co on robi w życiu, co *sprzedaje*? Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, by się nie zadawać z byle kim. Otóż nie słyszałem jego nazwiska, kiedy mi pan uczynił ten zaszczyt, aby mnie przedstawić”.

Gdyby pan Verdurin, biorąc asumpt z ostatnich słów, w istocie przedstawił pana de Cambremer swoim gościom, ów byłby to mu bardzo wziął za złe. Ale wiedząc że było przeciwnie, pozwalał sobie kokietować miną dobroduszną i skromną bez ryzyka. Duma, jaką Verdurin czerpał w swojej zażyłości z Cottardem, wzrosła jeszcze od czasu jak doktor został znakomitością; ale nie wyrażała się już w dawnej naiwnej formie. Kiedy Cottard był prawie nieznany, wówczas, jeśli ktoś wspomniał panu Verdurin o newralgjach jego żony, Verdurin odpowiadał z naiwną próżnością ludzi, którzy sądzą, że wszystko co ich dotyczy jest znakomite i że cały świat zna nazwisko metra śpiewu ich córki. „Nic się nie da zrobić! Gdyby miała jakiegoś podrzędnego lekarzynę, możnaby próbować innej kuracji; ale kiedy ten lekarz nazywa się Cottard (wymawiał to nazwisko tak, jakby to był Bouchard lub Charcot), trzeba poprostu cierpieć”. Obecnie, pewien że p. de Cambremer z pewnością słyszał o sławnym profesorsze Cottard, p. Verdurin użył odwrotnej taktyki, przybrał skromną minę: „To nasz lekarz domowy, zacny człowiek, którego uwielbiamy i który dałby się porąbać za nas; to nie lekarz, to przyjaciel; nie sądzę aby go pan znał lub aby jego nazwisko coś panu mówiło; w każdym razie, dla nas, to nazwisko bardzo zacnego człowieka, bardzo kochanego przyjaciela: Cottard”.

Nazwisko to, szepnięte ze skromną miną, zmyliło pana de Cambremer, który myślał że chodzi o kogo innego. „Cottard? pan nie mówi o profesorsze Cottard?” Właśnie rozległ się głos rzeczzonego profesora, który, zakłopotany zrzuceniem, powiadał trzymając karty: „Tędy go wiedli”.

— A tak, właśnie, jest profesorem — rzekł pan Verdurin.

— Jaktó! profesor Cottard! Pan się nie myli? Pan jest pewny, że to ten sam? ten co mieszka przy ulicy du Bac!

— Tak, właśnie, du Bac, 43. Pan go zna?

— Ależ cały świat zna profesora Cottard. To sława! To tak jakby mnie pan spytał, czy znam Bouffe de Saint-Blaise albo Courtois-Suffit. Zauważyłem, przysłuchując się, że to jest nie byle kto, i dlatego ośmieliłem się pana spytać.

— Więc co to trzeba grać, atu? — pytał Cottard. Potem nagle, z pospolitością, która byłaby drażniąca nawet w heroicznych okolicznościach gdy żołnierz chce dać rubaszny wyraz pogardzie śmierci, ale która stawała się dubeltowo głupia w niewinnej grze w karty, Cottard, decydując się zagrać atu, przybrał ponurą minę straceńca i głosem człowieka ryzykującego gardło, rzucił kartę, tak jakby chodziło o życie, wołając: „Raz kozie śmierć!” Nie tę kartę trzeba było zagrać, ale miał choć pociechę.

Na środku salonu, w szerokim fotelu, pani Cottard, ulegając nieodpartemu działaniu obiadu, poddała się po daremnych wysiłkach szerokiemu i lekkiemu snowi, który ją ogarniał. Daremnie prostowała się chwilami aby się uśmiechnąć, czy nibyto drwiąc z samej siebie, czy w obawie że mogłaby zostawić bez odpowiedzi jakieś zwrócone do niej miłe słówko; — mimo tej walki stawała się pastwą nieubłaganej i rozkosznej choroby. Jeżeli co mogło ją zbudzić na sekundę, to nie hałas, ale spojrzenie (przez czułość widziała je nawet z zamkniętymi oczami, przewidywała je, bo ta sama scena powtarzała się co wieczór i nawiedzała jej sen, jak godzina o której trzeba będzie wstać) — spojrzenie, jakim profesor ukazywał śpiącą żonę obecnym. Z początku poprzestawał na tem aby na nią popatrzeć i uśmiechnąć się, bo o ile jako lekarz potępiał poobiednią drzemkę (przynajmniej podawał tę naukową rację, aby się pogniewać w końcu; ale nie jest pewne, czy racja ta była rozstrzygająca, tak dalece poglądy profesora były na tym punkcie zmienne), jako wszechpotężny i przekorny mąż lubił sobie drwić z żony, budzić ją zlekka tak aby znów usnęła i aby mieć przyjemność budzić ją na nowo.

Teraz pani Cottard spała całkiem. „Hop hop! Leontyno, tyś ucieła śpika! — krzyczał profesor. — Słucham, co mówi pani Swann, mój drogi — odpowiedziała słabo pani Cottard, popadając w letarg. — To absurd! wykrzyknął Cottard; za chwilę będzie w nas wmawiać, że ona wcale nie spała. To jak pacjenci, co przychodzą na konsultację i mówię że nie śpią nigdy. — Może sobie to wyobrażają, rzekł śmiejąc się p. de Cambremer.

Ale doktor równie lubił sprzeciwiać się jak droczyć, a zwłaszcza nie uznawał, aby profan odzywał się w sprawach medycyny. — Nie można sobie wyobrażać, że się nie śpi, orzekł dogmatycznym tonem.

— A! — odparł kłaniając się z szacunkiem margrabia, tak jakby to niegdyś zrobił Cottard.

— Widać zaraz, że pan nigdy nie przepisywał, jak ja, do dwóch gramów trionalu, nie mogąc wywołać śpiączki.

— W istocie, w istocie — odparł margrabia śmiejąc się zadowolony z siebie; nigdy nie zażywałem trionalu, ani żadnej z tych mikstur, które rychło przestają działać, ale niszczą człowiekowi żołądek. Kiedy się, jak ja, polowało cały dzień w lasach Chantepie, upewniam pana, że nie potrzeba trionalu żeby zasnąć.

— Tak mówią ignoranci — odparł profesor. — Trional podnosi czasem w wybitny sposób tonus nerwowy. Mówi pan o trionalu; ale czy pan choć wie, co to jest?

— Ależ... słyszałem, że to jest lekarstwo na sen.

— Nie odpowiada pan na pytanie — podjął magistralnym tonem profesor, który trzy razy na tydzień zasiadał w komisji egzaminacyjnej. Nie pytam, czy to działa na sen, ale co to jest. Może mi pan powiedzieć, ile zawiera części amylu i etylu?

— Nie — odparł pan de Cambremer zakłopotany. — Wolę dobry kieliszek koniaku albo nawet *porto* 345.

— Które są dziesięć razy bardziej toksyczne — przerwał profesor.

— Co się tyczy trionalu — bąknął pan de Cambremer — żona moja zaabonowana jest na to wszystko, lepiej niech pan pomówi z żoną.

— Która wie o tem mniej więcej tyle co pan. W każdym razie, jeżeli pańska żona bierze trional poto żeby zasnąć, widzi pan, że moja tego nie potrzebuje. No, Leontyno, porusz się, zdrętwiejesz: powiedz, czy ja spiam po obiedzie? Co będziesz robiła po sześćdziesiątce, jeżeli już teraz śpisz jak stara! Utyjesz, upośledzasz sobie krążenie krwi. Nie słyszy nawet!

— To nie dobre dla zdrowia takie drzemki po obiedzie, prawda doktorze? — rzekł p. de Cambremer, aby się zrehabilitować w oczach profesora. — Zjadłszy porządnie, trzeba by mieć trochę ruchu.

— Facecje! — odparł doktor. — Zbadano równą ilość pożywienia z żołądka psa który leżał spokojnie i z żołądka psa który biegał; u pierwszego trawienie było dalej posunięte.

— Więc to sen upośledza trawienie?

— To zależy, czy chodzi o trawienie przełykowe, żołądkowe, kiszkowe; nie ma celu dawać panu wyjaśnień, których by pan nie zrozumiał, skoro pan nie studjował medycyny. No, Leontyno, naprzód m...arsz! czas jechać.

To nie była prawda, bo doktor miał jeszcze kończyć partyjkę, ale spodziewał się przeciąć w ten sposób tem brutalniej sen niemej, do której zwracał najuczęńsze napomnienia, nie mogąc uzyskać odpowiedzi. Czy że wola walki ze snem przetrwała u pani Cottard nawet we śnie, czy że fotel nie dawał głowie oparcia, głowa jej wahała się mechanicznie z lewej strony na prawą i z dołu do góry, w próżni, niby bezwładny przedmiot; i kiwając tak głową, pani Cottard robiła wrażenie to że słucha muzyki, to że weszła w ostatnią fazę agonji. Tam gdzie najgwałtowniejsze napomnienia męża zawiodły, osiągnęło skutek poczucie własnego absurdu:

— Kąpiel ma dobrą temperaturę, ale pióra w słowniku... — wykrzyknęła, prostując się. — Och, Boże! jaka ja głupia. Co ja mówię, myślałam o swoim kapeluszu, musiałam powiedzieć głupstwo, jeszcze trochę a byłabym zasnęła, to ten nieszczęsny ogień na kominku!

Wszyscy zaczęli się śmiać, bo nie było ognia.

## *Sodoma i Gomora*

# CZEŚĆ DRUGA, TOM TRZECI

## ROZDZIAŁ II

(*Ciąg dalszy*)

— Żartujecie sobie ze mnie — rzekła sama się śmiejąc pani Cottard, która z lekkością magnetyzera i zręcznością kobiety poprawiającej fryzurę starła z czoła ostatnie śladu snu; — muszę przeprosić unieżenie kochaną panią Verdurin i dowiedzieć się od niej prawdy.

Ale uśmiech jej posmutniał, bo profesor, który wiedział iż żona stara mu się podobać i drży że się jej to nie uda, krzyknął:

— Spójrz w lustro, jesteś czerwona jakbyś miała ognipiór, wyglądasz jak stara chłopka.

— Wiecie, że nasz profesor jest uroczy — rzekła pani Verdurin; — ma taką przemiłą figlarną dobroduszość. A przytem, on wrócił mego męża z tamtego świata, kiedy cały fakultet już go skazał. Trzy noce spędził przy nim, nie kładąc się. Toteż dla mnie, wiecie państwo, Cottard — dodała poważnie, prawie groźnie, podnosząc rękę ku dwóm okolonym białemi kosmykami półkulom swoich muzykalnych skroni, i tak jakbyśmy się chcieli targnąć na doktora — Cottard, to świętość. Mógłby zażądać czego by chciał. Zresztą, ja go nie nazywam doktor Cottard: ja go nazywam doktor Bóg! I jeszcze, mówiąc tak, spotwarzam go, bo ten bóg naprawia w zakresie możliwości cząstkę nieszczęść, za które odpowiedzialny jest tamten.

— Graj pan atu — rzekł do Morela z wniebowziętą miną p. de Charlus.

— Dla wymacania — rzekł skrzypek.

— Trzeba było najpierw zapowiedzieć króla — rzekł p. de Charlus; — roztargniony pan jest, ale świetnie pan gra!

— Mam króla — rzekł Morel.

— Bardzo przystojny król — odparł profesor.

— Co to jest za historia z temi tyczkami — spytała pani Verdurin pana de Cambremer pokazując wspaniałą tarczę wyrzeźbioną nad kominkiem. Czy to pański *herb* — dodała z ironiczną wzdrgnącą.

— Nie, to nie nasz — odparł pan de Cambremer. My mamy pole złote z trzema pasami czerwonych blanków każdy o pięciu zębach ze złotą koniczą. Nie, to jest herb Arrachepelów, którzy nie byli z naszego pnia, ale po których odziedziczyliśmy ten dom, i nigdy nikt z naszej linii nie chciał tu nic zmieniać. Arrachepel (dawniej Pelvilain, jak powiadają) mieli złote pole z pięcioma zastrzonymi czerwonymi palami. Kiedy się skojarzyli z Féterne'ami, tarcza ich zmieniła się ale pozostała pokratkowana w dwadzieścia podwójnych krzyżyków z gronostajowem skrzydłem po prawej.

— Masz kiedyś chciała — szepnęła z cicha pani de Cambremer.

— Moja prababka była z domu d'Arrachepel albo de Rachepele, jak pani woli, bo istnieją oba nazwiska w starych dokumentach — ciągnął p. de Cambremer, czerwieniąc się żywo, bo dopiero wówczas powziął myśl, którą przypisała mu żona, i zląkł się, aby pani Verdurin nie wzięła do siebie słów, które bynajmniej w nią nie godziły. — Historia twierdzi, że w jedenastym wieku pierwszy Arrachepel, Macé, zwany Pelvilain, objawił przy obleganiu miast szczególną zręczność w wyrywaniu pali. Stąd przydomek *Arrachepel*, pod jakim go uszlachcono, oraz pale, które tu pani widzi, przetrwały przez wieki w herbie. Chodzi o ostrokoły, które, dla umocnienia fortyfikacji, wsadzano, wtykano (przepraszam za wyrażenie) w ziemię, spajając je z sobą. Dobrze je pani nazwała: tyczki; w każdym razie nie miały nic wspólnego z pływającymi kijami dobrego Lafontaine'a. Bo wierzono, że one czynią miejsce niezdołanym. Oczywiście, to budzi uśmiech wobec dzisiejszej artylerji. Ale trzeba pamiętać, że chodzi o wiek jedenasty.

— Tak, to nie grzeszy aktualnością — rzekła pani Verdurin — ale ta wieżyczka ma charakter.

— Ma pan — rzekł Cottard — łajdackie szczęście. Czy pan wie, czemu król karowy jest uwolniony od wojska?

— Chciałbym być na jego miejscu — rzekł Morel, którego nudziła służba wojskowa.  
— A, zły patryjota — wykrzyknął Charlus, który nie mógł się wstrzymać, aby nie uszczyptać skrzyпка w ucho.

— Nie, nie wie pan, czemu król karowy jest zwolniony — podjął Cottard, który nie łatwo zrezygnował ze swoich konceptów: dlatego, że ma jedno oko.

— Ma pan do czynienia z tęgim graczem, doktorze — rzekł p. de Cambremer, aby okazać że wie kim profesor jest.

— Ten młody człowiek jest zdumiewający — przerwał naiwnie p. de Charlus, wskazując Morela. Gra jak młody bóg.

Ta uwaga nie spodobała się zbyt doktorowi, który odparł:

— *Vederemo*. Trafi kosa na kamień. *Chi lo sa?*

— Dama, as — oznajmił tryumfalnie Morel, któremu los sprzyjał.

Doktor pochylał głowę, jakby nie mogąc zaprzeczyć temu szczęściu, i wyznał olśniony:

— To piękne.

— Byliśmy bardzo radzi, żeśmy spotkali tutaj pana de Charlus — rzekła pani de Cambremer do pani Verdurin.

— Pani go nie znała? Jest dosyć przyjemny, oryginalny jest, ma coś z *epoki* (była-by w wielkim kłopotcie, gdyby jej przyszło powiedzieć z której) odparła pani Verdurin z zadowolonym uśmiechem amatorki, sędziego i gospodyni domu.

Pani de Cambremer spytała mnie, czy przyjadę z Robertem do Féterne. Mimowoli krzyknąłem z zachwyty, widząc księżyc niby pomarańczowy lampion nad sklepieniem dębów ciągnącym się od zamku.

— To jeszcze nic; za chwilę, kiedy księżyc będzie wyżej i oświetli dolinę, to będzie tysiacy razy ładniejsze. Nie macie czegoś podobnego w Féterne! — rzekła pani Verdurin lekceważąco do pani de Cambremer, która nie wiedziała co odpowiedzieć, nie chcąc deprecjonować własnej posiadłości, zwłaszcza wobec lokatorów.

— Czy pani zostaje jeszcze jakiś czas w tych stronach? — spytał p. de Cambremer pani Cottard, co mogło uchodzić za mglisty zamiar zaproszenia jej a uwalniało na razie od większej precyzji.

— Och, z pewnością, proszę pana; bardzo mi dla dzieci zależy na tym corocznym exodusie. Niech kto mówi co chce, dzieci potrzebują powietrza. Fakultet chciał mnie wysłać do Vichy, ale tam jest za duszno; pomyślę o swoim żołądku wówczas kiedy te chłopaki podrosną. A potem profesor z temi egzaminami, wciąż jak na uwięzi, a upały męczą go bardzo. Uważam, że człowiek potrzebuje rozprężyć ramiona, kiedy tak jak on cały rok spędził na wyłomie. W każdym razie, zostaniemy jeszcze dobry miesiąc.

— Och, w takim razie spotkamy się jeszcze.

— Zresztą ja jestem tem bardziej zmuszona zostać tutaj, bo mąż planuje wycieczkę do Sabaudji i dopiero za dwa tygodnie znajdzie się na posterunku.

— Ja jeszcze bardziej lubię stronę doliny niż stronę morza — podjęła pani Verdurin.

— Będziecie państwo mieli wspaniały czas na powrót.

— Trzebaby nawet zajrzeć, czy powozy są zaprzężone, w razie gdyby pan koniecznie chciał dziś wracać do Balbec — rzekł do mnie pan Verdurin — bo co do mnie, nie widzę konieczności. Odwiozłoby się pana jutro rano. Będzie z pewnością ładnie. Drogi są wspaniałe.

Powiedziałem, że to niemożliwe.

— W każdym razie, jeszcze macie czas — nadmieniła pryncypałka. Zostaw ich w spokoju, jest masa czasu. Dużo im z tego przyjdzie, że przyjadą o godzinę wcześniej na stację! Lepiej im tutaj. I pan, mój młody Mozarcie — rzekła do Morela, nie śmiejąc się zwracać wprost do pana de Charlus — nie chce pan zostać? Mamy piękne pokoje z widokiem na morze.

— Ale on nie może — odparł p. de Charlus za pochłoniętego grą Morela, który nie słyszał. Ma przepustkę tylko do północy. Musi wracać do łóżeczka, jak dzidzius bardzo posłuszny, bardzo grzeczny, dodał życzliwym, zmanierowanym, nalegającym głosem, tak jakby znajdował jakąś sadystyczną rozkosz w tem niewinnem porównaniu, a także w tem aby muskać w przelocie głosem coś co tyczyło Morela, dotykać go, jeżeli nie ręką, to słowami, które zdawały się go obmacywać.

Z kazania, które mi zaaplikował Brichot, p. de Cambremer wywnioskował, że jestem stronnikiem Dreyfusa. Ponieważ sam był do ostatnich granic „anty”, zaczął mi — przez kurtuazję dla wroga — wychwalać jakiegoś pułkownika żyda, który był zawsze bardzo sprawiedliwy dla kuzyna państwa de Chevrigny i dał mu zasłużony awans. „A mój kuzyn wyznawał poglądy absolutnie przeciwne — rzekł p. de Cambremer, prześlizgując się nad tem, co to były za poglądy, ale uczulem że muszą być równie stare i tępe jak jego fizys, poglądy, które parę rodzin w pewnych małych miasteczkach musi przechowywać od bardzo dawna.

— I wie pan, doprawdy, mnie się to wydaje bardzo piękne — zakończył p. de Cambremer.

P. de Cambremer nie używał słowa „piękne” w znaczeniu estetycznym, któreby dla jego matki lub żony oznaczało dzieła różne, ale zawsze dzieła sztuki. Raczej posługiwał się tym przymiotnikiem, winszując np. osobie wątlej, która trochę przytyła: „Jakto, przybyło panu w dwa miesiące trzy kilo! Wie pan, że to bardzo pięknie!”

Podano chłodniki. Pani Verdurin zapraszała panów, aby każdy sam wybrał napój, jaki mu odpowiada. P. de Charlus podszedł aby wypić swoją szklankę, poczem szybko wrócił do stołu gry i już się nie ruszył. Pani Verdurin spytała: „Czy pan kosztował mojej oranżady?” Wówczas Charlus z wdzięcznym uśmiechem, krystalicznym głosem (jaki miewał rzadko), z tysiącem minek i krygowań się, odparł: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową jak sądzę, to rozkoszne.” Osobliwe jest, że pewna grupa tajemnych aktów uzewnętrznia się w sposobie wysłowienia lub gestykulacji, w których się zdradza. Jeżeli ktoś wierzy lub nie wierzy w niepokalane poczucie, w niewinność Dreyfusa lub w wielość światów i chce zamilczyć o tem, nie znajdzie się w jego głosie ani chodzie nic, coby zdradzało jego myśl. Ale, słysząc pana de Charlus jak mówi dyszkantem, z tym uśmiechem i z tym gestem: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową”, można było sobie powiedzieć: „O, ten leci na mężczyznę”, z tą samą pewnością, jaka każe sędziemu skazać zbrodniarza mimo iż się nie przyznał, lekarzowi wydać wyrok na kandydata do paraliżu, nie znającego może swojej choroby, która wywołała taki a taki błąd w wymowie, pozwalający wnioskować, że do trzech lat pacjent nie będzie żył. Ludzie, którzy ze sposobu powiedzenia: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową”, stawiają diagnozę miłości t. zw. *przeciwnej naturze*, nie potrzebują może aż tak głębokiej wiedzy. Ale—bo tutaj związek między oznaką rozpoznawczą a sekretem jest prostszy. Nie określając sobie tego jasno, czujemy, że odpowiada nam słodka i uśmiechnięta dama, która wydaje się nam zmanierowana, bo podaje się za mężczyznę, a nie przywykliśmy, aby mężczyzna tak się mizdrzył. I może szlachetniej jest myśleć, że od wieków pewna ilość anielskich kobiet została objęta przez pomyłkę płcią męską; i wygnane w tę sferę trzepocą napróżno skrzydłami ku mężczyznom budząc w nich fizyczną odrazę, umieją urządzić salon, komponują „wnętrza”.

P. de Charlus nie troszczył się o to że pani Verdurin stoi: siedział w fotelu, aby być bliżej Morela.

— Niech pan powie — rzekła pani Verdurin do barona — czy to nie jest zbrodnia, że ta istota, która mogłaby nas czarować swojemi skrzypcami, siedzi tutaj przy *écarté*. Kiedy się tak gra na skrzypcach jak on!

— I w karty gra dobrze, wszystko robi dobrze, jest taki inteligentny — rzekł Charlus, śledząc równocześnie partję, aby móc radzić Morelowi.

Nie była to zresztą jedyna racja, że baron nie wstał dla pani Verdurin. W osobliwym amalgamacie, jaki sobie stworzył ze swoich pojęć socjalnych równocześnie wielkiego pana i miłośnika sztuki, baron, zamiast być grzeczny w ten sam sposób w jaki byłby grzeczny człowiek z jego świata, komponował sobie w duchu Saint-Simona rodzaj żywych obrazów; i w tej chwili grał dla siebie rolę marszałka d’Uxelles, który go interesował również innemi rysami, a o którym powiedziane jest, że był tak pyszny, iż nie wstawał z krzesła — niby przez lenistwo — bodaj dla największych figur na dworze.

— Powiedz, baronie — rzekła pani Verdurin, która zaczynała się poufalić — czy nie masz w swoim świecie jakiego starego zrujnowanego szlachcica, który mógłby mi się zdać na odzwiernego?

— Ależ owszem... ależ owszem — odparł p. de Charlus uśmiechając się dobrodusznie — ale nie radziłbym go pani.

— Czemu?

— Bałbym się, że eleganccy goście utkwiliby w jego izdebce i nie zaszliby dalej.

Była to ich pierwsza utarczka. Pani Verdurin zaledwie zwróciła na to uwagę. Miały, niestety, nastąpić inne w Paryżu.

Charlus wciąż nie wstawał z krzesła. Mimowoli uśmiechał się nieznacznie, widząc jak dalece uległość pani Verdurin — tak łatwo uzyskana — potwierdza jego ulubione maksymy o uroku arystokracji i o nikczemności mieszczaństwa. Pryncypalka nie wydawała się wcale zdziwiona formami barona i jeżeli go opuściła, to jedynie dlatego, że z niepokojem ujrzała iż p. de Cambremer znów mnie zagarnął. Ale przedtem chciała wysświetlić stosunki pana de Charlus z hrabiną Molé.

— Mówił pan, że pan zna panią de Molé. Czy pan bywa u niej? — spytała, dając tym słowom „bywać” znaczenie: mieć prawo bywania u niej, być upoważnionym do odwiedzania jej.

P. de Charlus odpowiedział z akcentem lekceważenia, z afektacją ścisłości i śpiewnym tonem: „Ależ czasem.” To „czasem” obudziło wątpliwości pani Verdurin, która spytała:

— Czy pan spotkał tam kiedy księcia de Guermantes?

— A, nie przypominam sobie.

— O — rzekła pani Verdurin — pan nie zna księcia de Guermantes?

— Jakżebym go miał nie znać — odparł pan de Charlus z uśmiechem, który zadrgał mu na ustach. Uśmiech ten był ironiczny, ale ponieważ baron bał się, że nim odsłoni złoty ząb, utopił uśmiech w fali swoich warg, tak iż linia, która stąd wypadła, wyraziła życzliwość.

— Czemu pan mówi: „jakżebym go miał nie znać?”

— No bo to jest mój brat — rzekł niedbale pan de Charlus, zostawiając panią Verdurin pogrążoną w zdumieniu i niepewności, czy gość sobie z niej kpi, czy też jest nieprawem dzieckiem lub z innego łoża. Myśl, że brat księcia de Guermantes mógłby się nazywać baron de Charlus, nie powstała w jej głowie. Zwróciła się do mnie:

— Słyszałam przed chwilą, że p. de Cambremer zaprasza pana na obiad. Mnie, pojmuję pan, mnie to jest obojętne. Ale w pańskim interesie mam nadzieję, że pan nie pojedzie. Po pierwsze, roi się u nich od nudziarzy. Och, jeżeli pan lubi towarzystwo prowincjonalnych hrabiów i margrabiów których nikt nie zna, znajdzie pan ich tam dosyta.

— Sądzę, że będę musiał się wybrać raz czy dwa. Nie jestem zresztą bardzo wolny, bo mam młodą kuzynkę, której nie chcę zostawiać samej (uważałem, że to rzekome pokrewieństwo ułatwi mi bywanie z Albertyną). Ale co się tyczy państwa de Cambremer, ponieważ już im ją przedstawiłem...

— Zrobi pan co pan zechce. Ja mogę panu powiedzieć tyle: to bardzo niezdrowe miejsce; kiedy pan złapie katar płuc albo porządny reumatyzm, dużo pan na tem wygra?

— Ale podobno miejscowość jest bardzo piękna?

— Thiiii... Jak ktoś uważa... Ja wyznaję szczerze, że sto razy wolę widok stąd na tę dolinę. Zresztą, choćby nam dopłacono, nie bylibyśmy wzięli tamtego domu, wiatry od morza fatalne są dla męża. Jeżeli pańska kuzynka jest bodaj trochę nerwowa... Ale zresztą pan jest nerwowy, zdaje mi się... miewa pan duszności... Ano cóż, zobaczy pan. Niech pan tam jedzie raz, nie będzie pan spał przez tydzień, ale to nie nasza rzecz.

I nie myśląc o tem, że to nowe zdanie klóci się z poprzednimi, dodała:

— Jeżeli to pana bawi obejrzeć dom, który jest niebrzydki — ładny, toby było za wiele powiedziane, ale ostatecznie ciekawy jest ze swoją fosą, ze starym mostem zwodzonym — ponieważ trzeba mi będzie się poświęcić i wybrać się tam raz na obiad, więc dobrze, niech się pan też wybierze tego dnia, postaram się ściągnąć całe moje kółko, wówczas będzie tam miło. Pojutrze jedziemy do Harambouville powozami. Droga wspaniała, jest tam rozkoszny jablecznik. Niech pan jedzie z nami. Brichot, pan także. I ty także, Ski. To jest wycieczka, którą zresztą mąż planował oddawna. Nie bardzo wiem kogo on zaprosi. Panie de Charlus, czy pan należy do cechu?

Baron, który nie słyszał ostatnich zdań i nie wiedział że była mowa o wycieczce do Harambouville, podskoczył na krześle.

— Dziwne pytanie — mruknął drwiącym tonem, którym pani Verdurin uczuła się urażona.

— Zresztą, rzekła, nim przyjdzie czas na obiad u Cambremerów, czemuż by pan nie przywiózł tutaj swojej kuzynki? Czy ona lubi konwersację, ludzi inteligentnych? Czy jest



miła? Och, w takim razie bardzo dobrze. Niech pan przyjedzie z nią. Nie tylko jedni Cambremer są na świecie. Rozumiem, że oni rwą się do tego aby ją zaprosić, ci ludzie nie mogą ściągnąć do siebie nikogo. Tutaj będzie miała dobre powietrze, zawsze spotka ludzi inteligentnych. W każdym razie, liczę, że pan nie skrewi w przyszłą środę. Słyszałam, że pan ma podwieczorek w Rivebelle ze swoją kuzynką, z panem de Charlus i nie wiem już z kim. Niech się pan postara przewieźć ich wszystkich tutaj; to byłoby milutkie taki kulig. Komunikacja świetna, drogi czarujące; w potrzebie posłałabym po was. Nie wiem zresztą, co pana może ciągnąć do Rivebelle: roi się od komarów. Wierzy pan może w „placek normandzki?” Mój kucharz robi go grubo lepiej. Poczęstuję pana prawdziwym plackiem normandzkim — prawdziwym — i kruchem ciastem także: będzie pan palce lizał. Och, jeżeli panu zależy na gniecech, jakie podają w Rivebelle, tego ja panu nie dam, nie zwykłam truć swoich gości, drogi panie, a nawet gdybym chciała, kucharz nie zgodziłby się robić tego świństwa, raczej podziękowałby za służbę. Tamtejsze placuszki, nie wiadomo z czego to robione. Znam biedną dziewczynę, która dostała z tego zapalenia otrzewnej i poszła!... w trzy dni. Miała ledwie siedemnaście lat. Co za cios dla jej biednej matki — dodała pani Verdurin z melancholią kryjącą się pod półkulami jej skroni, narbrzmiałych doświadczeniem i boleścią. Ale ostatecznie, niech pan jedzie na podwieczorek do Rivebelle, jeżeli pan ma ochotę być odartym ze skóry i wyrzucać pieniądze przez okno. Tylko, proszę pana — powierzam panu tę misję skoro wybije szósta, przywiezie mi pan całą kompanię tutaj; niech pan nie pozwoli żeby każdy wracał do siebie luzem. Może pan przywieść kogo pan zechce. Nie powiedziałabym tego każdemu. Ale ja jestem pewna, że pańscy przyjaciele są sympatyczni: widzę odrazu, że my się rozumiemy. Poza naszą paczką, będą właśnie we środę bardzo przyjemni ludzie. Nie zna pan młodej de Longpont. Jest czarująca i pełna dowcipu, ani trochę nie snobka; zobaczy pan, że się panu bardzo spodoba. I ona także ma sprowadzić całą gromadę przyjaciół — dodała pani Verdurin, aby dowieść że to jest przyjęte i aby mnie zachęcić przykładem. Pokaże się, kto będzie miał więcej wpływu i kto mi sprowadzi więcej ludzi, Baśka Longpont czy pan. I zdaje mi się, że mają także przywieźć Bergotte’a, dodała niepewnie, ile że ten udział „sławy” był mało prawdopodobny wobec notatki, jaka się rano ukazała w dziennikach, że stan zdrowia wielkiego pisarza budzi największe obawy. Słowem, zobaczy pan, że to będzie jedna z najudańszych śród: nie chcę mieć nudnych kobiet. Zresztą, niech pan nie sądzi wedle dzisiejszej środy, była zupełnie chybiona. Niech pan nie zaprzecza, nie mógł się pan nudzić bardziej odemnie, ja sama uważałam, że to było rozpaczliwe. Ale nie zawsze będzie tak jak dziś, wie pan. Nie mówię już o Cambremerach, którzy są niemożliwi, ale znałam ludzi światowych, którzy uchodzili za przyjemnych: i niech mi pan wierzy, przy mojej paczce, to nie istniało poprostu! Słyszałam, jak pan raz mówił, że pan ma Swanna za człowieka inteligentnego. Po pierwsze, uważam że to grubo przesadzone, ale nie mówiąc nawet o charakterze człowieka, który mi się zawsze wydawał głęboko antypatyczny, chytry, nieszczerzy, często miałam go u siebie we środę na obiedzie. No i co, może pan spytać innych, nawet przy Brichocie, który nie jest żaden orzeł — ot, sobie poczciwy profesor gimnazjalny, którego ja wpakowałam do Instytutu — nawet przy nim Swann był wielkie nic. Szary, nudny!...

I na mój sprzeciw, pani Verdurin dodała:

— Ależ tak. Nie chcę nic mówić przeciwko niemu, skoro to był pański przyjaciel; zresztą on pana bardzo lubił, mówił o panu przemile rzeczy, ale niech się pan spyta tych tam, czy on kiedy przy obiedzie powiedział coś zajmującego? A ostatecznie, to jest próba człowieka. No i co, nie wiem czemu, ale Swann w moim domu to było nic, dosłownie nic. A jeszcze i to niewiele co był wart, zacerpnął tutaj.

Zapewniłam panią Verdurin, że był bardzo inteligentny.

— Nie, nie, pan w to wierzy, bo go pan znał mniej dawno niż ja. W gruncie, bardzo szybko dochodziło się do dna. Mnie on nudził śmiertelnie. (Tłumaczenie: był u księstwa La Tremoille i u Guermantów i wiedział, że ja tam nie bywam.) A ja mogę wszystko znieść, z wyjątkiem nudy. Och, tego nie!

Wstręt do nudy był teraz u pani Verdurin racją mającą tłumaczyć skład „paczki”. Nie przyjmowała jeszcze wielkich dam, bo niezdolna była się nudzić, tak jak sobie odmawiała podróży jachtem z powodu morskiej choroby. Powiedziałem sobie, że to, co mówiła pani Verdurin, nie było całkiem fałszywe. Podczas gdy Guermantowie ogłosiliby Brichota

największym głupcem jakiego w życiu widzieli, ja nie byłem pewny, czy on w gruncie nie przestał, jeżeli nie Swanna, to przynajmniej ludzi obdarzonych „dowcipem Guermantów”, ludzi mających tyle smaku aby unikać jego pedantycznych facecji i tyle wstydu aby się za nie rumienić. Zadawałem sobie to pytanie, tak jakby moja odpowiedź mogła poniekąd rozjaśnić naturę inteligencji; dumałem nad tem z całą powagą jansenisty, stawiającego sobie problem Łaski.

— Zobacz pan — ciągnęła pani Verdurin — kiedy się skonfrontuje światowców z ludźmi naprawdę inteligentnymi, z ludźmi naszego kółka, światowiec najdowcipniejszy w królestwie ślepych jest tutaj tylko jednookim. Przytem ci obcy tracą tutaj kontenans. Tak dalece, że zastanawiam się, czy zamiast próbować tych kombinacji, które psują wszystko, nie będę urządziła seryj wyłącznie dla nudziarzy, aby się móc dosyta cieszyć swoją paczką. Zatem, konkluzja: przyjedzie pan z kuzynką. Postanowione. Dobrze. Przynajmniej tutaj starczy dla was obojga jedzenia. W Féterne panuje wieczny głód i pragnienie. A, zato jeżeli pan lubi szczury, niech pan tam zaraz jedzie, będzie pan ich miał dosyta. I zostanie pan jak długo pan zechce. Fakt, że pan umrze z głodu. Zresztą ja, kiedy tam będę jechała, zjem obiad w domu. Powinienby pan po mnie wstąpić, będzie weselej. Zjedlibyśmy smaczny podwieczorek, a kolację za powrotem. Lubi pan placek z jabłkami? No więc! Nasz kucharz robi go jak nikt. Widzi pan, że miałam rację, mówiąc, że pan jest stworzony do mieszkania tutaj. Niechże się pan tu sprowadzi. Wie pan, u mnie jest o wiele więcej miejsca niż na to wygląda. Nie opowiadam tego, aby nie ściągać nudziarzy. Mógłby pan przywieźć na dłużej swoją kuzynkę. Miała by tu inne powietrze niż w Balbec. Tutejszem powietrzem sędzę że uleczyłabym nieuleczalnych. I leczyłam ich, i nie od dziś. Bo ja mieszkalam niegdyś tutaj zaraz obok: odkryłam to, wynajęłam za grosze, i miało to grubo więcej charakteru niż ta ich Raspelière. Pokażę to panu, kiedy się wybierzemy na spacer. Ale uznaję, że nawet tutaj powietrze jest naprawdę ożywcze. Nie chcę zresztą wiele o tem mówić, paryżanie gotowi się zapalić do mojego kącika. To był zawsze mój los. Koniec końców, niech pan to powie swojej kuzynce. Da się wam dwa ładne pokoje z widokiem na dolinę; zobaczy pan rano, słońce we mgle! A co to jest ten Robert de Saint-Loup, o którym pan mówił — dodała niespokojnie, bo słyszała że się wybieram do niego do Doncières i bała się aby mnie nie odciągnął. — Mógłby go pan raczej przywieźć z sobą, o ile to nie jest nudziarz. Słyszałam o nim od Morela; zdaje się, że to jego wielki przyjaciel — rzekła pani Verdurin, kłamiąc jak z nut, bo Saint-Loup i Morel nie wiedzieli nawet o mojem istnieniu. Ale usłyszawszy, iż Saint-Loup zna pana de Charlus, pomyślała że poznał go przez skrzypka i chciała zrobić wrażenie dobrze poinformowanej. — Czy on nie uprawia przypadkiem medycyny albo literatury? Wie pan, gdyby pan potrzebował protekcji przy egzaminach, Cottard może wszystko, a ja robię z nim co zechcę. Co się tyczy Akademji na później — bo nie sędzę aby dziś miał wiek potemu — mam sporo głosów do dyspozycji. Pański przyjaciel byłby tutaj między swymi, byłby może ciekaw poznać ten dom. Doncières, to nie jest zbyt zabawne. Słowem, zrobi pan jak pan zechce, jak panu będzie wygodniej — zakończyła, nie nalegając, aby się nie zdawało że lasa jest na arystokratyczne znajomości i dlatego że miała pretensję, aby tyrania, jaką nakładała swoim wiernym, nazywała się wolnością. — No, co tobie jest? — rzekła, widząc pana Verdurin, który z oznakami zniecierpliwienia wyszedł na taras biegnący wzdłuż salonu nad doliną, jak człowiek który się dławi z wściekłości i potrzebuje zaczerpnąć powietrza. To znów Saniette cię zirytował? Ależ skoro wiesz że to idiota, pogódź się z tem, nie doprowadzaj się do takiego stanu. Nie lubię tego — rzekła pani Verdurin do mnie — bo to jest dla męża niebezpieczne, to go przyprawia o kongestję. Ale też zgadzam się że trzeba czasem mieć anielską cierpliwość aby znieść Saniette'a, a zwłaszcza aby pamiętać że trzymać go to jest obowiązek miłosierdzia. Co do mnie, przyznaję, że pełnia jego głupoty napawa mnie raczej rozkoszą. Słyszał pan, zdaje mi się, jego powiedzenie po obiedzie: „Nie umiem grać w wista, ale umiem grać na fortepianie”. Czy to nie piękne! To wielkie jak świat; zresztą kłamstwo, bo tak samo nie ma pojęcia o jednym jak o drugim. Ale mąż pod pozorami szorstkości jest bardzo wrażliwy, bardzo dobry, i rodzaj egoizmu Saniette'a, wciąż zajętego obmyśleniem efektu, wyprowadza go z równowagi. — No, mój drogi, uspokój się; wiesz przecie, Cottard mówił, że to niedobrze na twoją wątrobę. I to na mnie wszystko spadnie — rzekła pani Verdurin. Jutro Saniette będzie miał swój atazek nerwów i łez. Biedny człowiek! Jest bardzo chory. Ale ostatecznie, to nie jest racja aby zabijał innych.

A potem, nawet w chwilach gdy zanadto cierpi, kiedyby się go chciało żalować, głupota jego paraliżuje wszelkie współczucie. Jest za głupi! Powiedz mu poprostu bardzo uprzejmie, że od tych scen chorujecie obaj, żeby nie przychodził, a że tego się najbardziej boi, będzie to miało kojący wpływ na jego nerwy — podszeptała pani Verdurin mężowi.

Zaledwie rozróżniało się morze przez okna po prawej. Ale przez okna z drugiej strony widać było dolinę, na którą spadł teraz śnieg księżycy. Od czasu do czasu dochodziły głosy Morela i Cottarda. „Ma pan atu? — *Yes*. — Wpadł pan! — rzekł p. de Cambremer do Morela w odpowiedzi na jego pytanie, bo widział w ręku doktora pełno atutów. — Oto kobita trefna — rzekł doktor. — Mam zaszczyt przedstawić to jako atu: ja bila, ja miała lewą. — Trefelki, kolorek niewielki — rzekł doktor do pana de Cambremer. — Czekaj pan — dodał pokazując przeciwnika, teraz urządzimy mu Waterloo.

I Waterloo musiało dobrze wypaść dla doktora, bo śmiejąc się w upojeniu zaczął rozkosznie poruszać ramionami, co było w jego rodzinie, w „plemieniu” Cottard, zoologiczną niemal oznaką zadowolenia. W poprzednim pokoleniu towarzyszył temu ruchowi gest zacierania rąk, tak jakby się je mydliło. Sam Cottard posługiwał się zrazu tą podwójną mimiką; ale pewnego pięknego dnia, niewiadomo dzięki jakiej interwencji — małżeńskiej, może profesorskiej? — zacieranie rąk znikło. Nawet grając w domino, kiedy zmuszał partnera do tego aby kapitulował i brał *podwójne sześć* — co było dla niego szczytem rozkoszy — Cottard zadowalał się ruchem ramion. A kiedy — możliwie najrzadziej — wpadał na kilka dni w rodzinne strony, wówczas, ujrawszy stryjecznego brata, który jeszcze trwał przy zacieraniu rąk, powiadał za powrotem do żony: „Pocziwy Michał wydał mi się bardzo pospolity”.

— Czy pan ma młode? — rzekł zwracając się do Morela. — Nie? Więc ja gram tego starego Dawida.

— Ale w takim razie pan ma pięć, wygrał pan!

— Piękne zwycięstwo, doktorze — rzekł margrabia.

— Zwycięstwo *à la* Pyrrus — rzekł Cottard, obracając się do margrabiego i patrząc nań z nad binokli, aby ocenić wrażenie tego cytatu. — Jeżeli mamy jeszcze czas — rzekł do Morela — dam panu rewanz. Ja robię. A, nie, już zajęchali, odłóżmy to do piątku, wytnę panu sztukę, sztukę mięsa.

Państwo Verdurin wyprowadzili nas. Pryncypalka była szczególnie miła dla Saniette'a, aby mieć pewność że wróci jutro. „I co, malcze, będzie panu dość ciepło? — rzekł do mnie Verdurin, któremu wiek pozwalał na tę ojcowską nomenklaturę. — Moznaby rzec, że czas się odmienił.” Słowa te napełniły mnie radością, tak jakby głębokie życie natury, wyrażające się przyplływem nowych kombinacji, miało oznajmiać inne zmiany w moim życiu, stwarzając w niem nowe możliwości. Już otwierając drzwi do parku w momencie odjazdu, czuło się, że inny „czas” wypełnia od paru chwil scenę; czuło się w świerkowym lesie (gdzie niegdyś pani de Cambremer marzyła o Chopinie), jak chłodny wietrzyk, rozkosz lata, rozpoczyna, ledwie wyczuwalnie, w pieszczotliwych skrętach, w kapryśnych wirach, swoje lekkie nokturny. Podziękowałem za pled, który w następane wieczory, będąc w towarzystwie Albertyny, miałem przyjmować raczej dla osłonięcia sekretów rozkoszy niż dla ochrony przed chłodem. Napróżno szukano norweskiego filozofa. Czy dostał boleści? Czy bał się spóźnić na pociąg? Czy zajęchał po niego samolot? Czy dostał cudu wniebowstąpienia? Fakt jest, że znikł, zanim ktoś miał czas się spostrzec — jak bóg.

— Żle pan robi — rzekł do mnie p. de Cambremer — jest psie zimno.

— Czemu psie? — spytał doktor.

— Niech się pan strzeże astmy — dodał margrabia. — Moja siostra nigdy nie wychodzi wieczorem. Zresztą ona jest teraz w nieszczęśliwej skórce. W każdym razie, niech pan tak nie stoi z gołą głową, niech pan prędko włoży kapelusz.

— To nie jest duszność *a frigore* — rzekł sentencjonalnie Cottard.

— A! a! — rzekł p. de Cambremer z ukłonem — skoro to jest pańska opinia...

— Opinia publiczna — rzekł doktor rzucając z nad binokli jowialne spojrzenie.

P. de Cambremer zaśmiał się, ale przekonany że ma rację, nalegał:

— Jednak — rzekł — ile razy siostra wyjdzie wieczór, ma atak.

— Tere fere! — odparł doktor, nie zdając sobie sprawy ze swojej niegrzeczności. Zresztą ja nie praktykuję nad morzem, chyba że mnie wezwą na konsylium. Jestem na wakacjach.

Był zresztą na wakacjach bardziej może niżby pragnął. Kiedy p. de Cambremer powiedział, siadając z doktorem do powozu: „Mamy szczęście posiadać w pobliżu (nie z pańskiej strony zatoki, z przeciwnej strony, ale jest tak wąska w tym miejscu) drugą sławę lekarską: doktora du Boulbon”, Cottard, który przez *deontologię* nie pozwalał sobie zazwyczaj na krytykowanie kolegów, nie mógł się wstrzymać od okrzyku, jak w ów nieszczęsny dzień, gdyśmy zaszli razem do małego kasyna:

— Ależ to nie jest lekarz! On uprawia medycynę literacką; to jest terapijka fantazyjna, szarlataneria. Zresztą, jesteśmy z sobą w najlepszych stosunkach. Wsiadłbym na statek, aby go odwiedzić któregoś dnia, gdybym nie musiał czasowo dezertować z tych stron.

Ale z miny jaką przybrał Cottard, mówiąc o doktorze du Boulbon, uczułem, że statek którym by go chętnie odwiedził, bardzo byłby podobny do owego statku, który, aby zniszczyć wody odkryte przez innego lekarza-literata, Wirgiliusza (odebrał im też całą klientelę), wynajęli doktorzy z Salerno, ale który zatonął wraz z nimi podczas przeprawy.

— Do widzenia, drogi Saniette, nie zapomnij pan wpaść jutro, pan wie, jak mąż pana lubi. Ceni pański dowcip, pańską inteligencję; ależ tak, pan wie najlepiej; on lubi parskać, zrzedzić, ale nie może się obyć bez pana. Zawsze pierwsze pytanie, które mi zadaje, to: „Czy Saniette będzie, tak go lubię widzieć u siebie.”

— Nigdy tego nie mówiłem — rzekł do Saniette’a Verdurin z udaną szczerością, która zdawała się wybornie godzić słowa pryncypalki ze sposobem w jaki on sam traktował Saniette’a. Potem, patrząc na zegarek, zapewne aby nie przeciągać pożegnań w wieczornym chłodzie, zalecił stangretom aby się nie wlekli, ale aby byli ostrożni przy zjeździe, i zapewnił że zdążymy przed pociągiem. Pociąg ten miał nas wysadzić grupkami na kolejnych stacjach, kończąc na mnie, bo nikt więcej nie jechał do samego Balbec, a zaczynając od Cambremerów. Wsiadali pierwsi: aby nie męczyć po nocy koni aż do Raspeliere, wsiadli na pociąg z nami w Douville-Féterne. W istocie nie była to najbliższa stacja od nich (była dość odległa od wsi, a bardziej jeszcze od zamku); najbliższa była Sogne. Za przybyciem na stację Douville-Féterne, pan de Cambremer chciał „wynadgrodzić”, jak mówiła Franciszka, stangreta Verdurinów (właśnie tego sympatycznego subtelnego stangreta o melancholijnych nastrojach), bo margrabia był hojny i pod tym względem raczej „wdał się w mamę”. Ale wmieszała się w to „strona papy”; może dając zląkł się bądź omyłki swojej (gdyby np. źle widząc dał susa zamiast franka), bądź omyłki obdarowanego, gdyby ów nie spostrzegł rozmiarów datku. Toteż podkreślił go: „Daję ci franka, prawda” — rzekł do stangreta obracając w świetle srebrnika, tak aby wierni mogli to powtórzyć pani Verdurin. — Nieprawdaż, franka, bo to jest nieduży kurs.”

P. de Cambremer z żoną pożegnali nas w Sogne.

— Powiem siostrze — rzekł jeszcze na rozstaniu — że pan ma astmę, to ją z pewnością zainteresuje.

Zrozumiałem, że chce powiedzieć: „to jej zrobi przyjemność”. Co do pani de Cambremer, ta, żegnając się ze mną, użyła dwóch skrótów, które raziły mnie wówczas nawet w liście, mimo że później przyzwyczajono się do nich, ale które w mówieniu dziś jeszcze mają dla mnie w swoim rozmyślnym zaniedbaniu, w swojej sztucznej poufalości, coś nieznośnie pedanckiego: „Rada ze spędzonego z panem wieczoru — rzekła; — serdeczności Saint-Loup, jeśli go pan zobaczy.” Mówiąc to, pani de Cambremer wymawiała *Saint-Loupe*. Nigdy nie dowiedziałem się, kto tak wymawiał przy niej, lub co jej kazało wnosić że tak trzeba wymawiać. Faktem jest, że przez kilka tygodni wymawiała *Saint-Loupe*, i że człowiek, który miał dla niej wielki podziw i stanował z nią niejako jedno, czynił tak samo. Jeżeli inne osoby mówiły *Saint-Lou*, oni oboje akcentowali z tem większym naciskiem *Saint-Loupe*, czy aby dać pośrednio lekcję drugim, czy aby się odróżnić. Ale z pewnością kobiety świetniejsze od pani de Cambremer powiedziały jej, lub dały pośrednio do zrozumienia, że nie trzeba tak wymawiać, i że to, co ona bierze za oryginalność, jest błędem zdolnym jej wyrobić opinię osoby mało *au courant* „świata”, bo wkrótce potem pani de Cambremer zaczęła mówić *Saint-Lou*, a jej wielbiciel również poniechał wszelkiego oporu, czy że go wymustrowała, czy że zauważywszy iż ona już

nie wybija ostatniej głoski, powiedział sobie, że skoro kobieta tej wartości, tej energii i ambicji ustąpiła, musiała to uczynić z ważnych powodów.

Najgorszym z jej wielbicieli był własny mąż. Pani de Cambremer lubiła sobie pozwalać wobec drugich na żarciki często bardzo niegrzeczne. Skoro tylko zaatakowała w ten sposób bądź mnie bądź kogo innego, p. de Cambremer patrzył na ofiarę, śmiejąc się. Ponieważ margrabia zezował — co daje wesołości nawet głupców pozór dowcipu — śmiech ściągał nieco żrenicy na białko, które inaczej byłoby całkiem białe. Podobnie okno wśród obłoków wprowadza trochę błękitu w niebo watowane chmurami. Zresztą monokl margrabiego chronił niby szkło na cennym obrazie ten delikatny proces. Co do samej intencji śmiechu, nie wiedziało się zbytnio czy była uprzejma: „A, hultaj! Doprawdy, godzien jesteś zazdrości. Masz łaski u kobiety djablo inteligentnej.” Albo szelmoska: „Hehe, drogi panie, widzę że sobie kpią z pana na potęgę”; albo usłużna: „Bądź pan spokojny, ja jestem tutaj, biorę rzecz na wesoło, bo to jest czysty żart, ale nie pozwoliłbym się znęcać nad panem”; albo pełna okrutnego współnictwa: „Nie mogłem jeszcze sam panu dosolić, ale widzi pan, pękam ze śmiechu ze wszystkich szpileczek które panu aplikuje żona. Kulam się ze śmiechu, zatem apróbuję, ja, mąż. Toteż, gdyby panu przyszła ochota się obrażać, miałbyś ze mną do czynienia, paniczu. Najpierw wyciąłbym ci parę tęgich policzków, a potem skrzyżowałibyśmy szpady w lasach Chantepie.”

Jakibądź miały sens te różne interpretacje wesołości męża, wyskoki żony kończyły się rychło. Wówczas p. de Cambremer przestawał się śmiać, przelotna żrenica znikła, że zaś widz odzwyczaił się od paru minut od całkowicie białego oka, dawało ono temu czerwonemu normandczykowi coś zarazem bezkrwistego i ekstatycznego, tak jakby margrabiego świeżo zoperowano, lub jakby z pod monokla błagał niebo o palmę męczeńską.

### ROZDZIAŁ III

*Smutki pana de Charlus. — Fikcyjny pojedynek. — Stacje „Transatlantyku”. — Zmęczony Albertyną, chcę z nią zerwać.*

Upadłem z senności. Zawiózł mnie windą na piętro nie windziarz, ale zezowaty grom, który wdał się ze mną w rozmowę, aby mi opowiedzieć, że siostra zawsze „się trzyma” z owym bogatym Panem, i że raz, kiedy miała ochotę wrócić do domu zamiast żyć przykładnie, Pan odszukał matkę zezowatego grooma i innych szczęśliwych dzieci, która-to matka corychlej odprowadziła tę warjatkę do jej protektora. „Pan wie, proszę pana, moja siostra to wielka dama! Gra na fortepianie, mówi po hiszpańsku. I czego by pan nie przypuszczał po siostrze prostego funkcjonariusza, który pana wiezie windą, nie odmawia sobie niczego, ma pokojówkę, nie dziwiłbym się gdyby miała kiedy własny powóz. Gdyby ją pan widział: jest bardzo ładna, trochę dumna, ale to można zrozumieć. Bardzo jest też dowcipna. Kiedy wyjeżdża z hotelu, zawsze się wypróżni do szafy, do komody, żeby zostawić pamiątkę pokojówce, która będzie musiała sprzątać. Czasami nawet załatwia to w dorożce i zapłaciwszy kurs chowa się gdzieś w kącie, żeby się uśmieć na widok pyskującego fiakra, który musi czyścić wehikuł. Ojciec też miał dobry pomysł, że wynalazł dla mego młodszego brata tego indyjskiego księcia, którego znał z dawniejszych czasów. Oczywiście, to inny rodzaj. Ale pozycja wspaniała. Gdyby nie podróże, toby był szczyt! Jedynie ja dotąd zostałem na lodzie. Ale nie można wiedzieć. Moja rodzina ma szczęście; kto wie, czy nie będę kiedy prezydentem Republiki. Ale ja tu gawędzę z panem (nie rzekłem ani słowa i zaczynałem zasypiać słuchając). Dobranoc panu. Och! dziękuję. Gdyby wszyscy mieli takie serce jak pan, nie byłoby biedaków. Ale, jak powiada siostra, zawsze będą potrzebni po to, żebym teraz, kiedy jestem bogata, miała na kogo d... wypinać. Daruje pan wyrażenie. Dobranoc panu”.

Być może, iż co wieczór przyjmujemy ryzyko przeżycia we śnie cierpień, które mamy za blahe i nie istniejące, dlatego że będziemy je odczuwali w czasie snu, który uważamy za pozbawiony świadomości. W istocie, w owe wieczory kiedy wracałem późno z la Raspeliere, byłem bardzo śpiący. Ale od czasu gdy nastaly chłody, nie mogłem zaraz zasnąć, bo ogień świecił tak jakby się paliła lampa. Tylko że ten blask trwał krótko: to nazbyt żywe światło — również jak lampa, jak dzień z zapadnięciem wieczoru — przygasła niebawem; zaczęłam pogrążać się we śnie, będącym niby drugie mieszkanie, dokąd,

opuściwszy swój dom, poszlibyśmy spać. Ma ono swoje dzwonki, i czasami budzi nas gwałtownie ich dźwięk, doskonale słyszalny dla naszych uszu, mimo iż nikt nie dzwonił. Ma swoją służbę, swoich osobliwych gości, którzy zachodzą aby nas zabrać z sobą, tak iż gotowi jesteśmy wstać, kiedy musimy stwierdzić, na skutek naszego prawie natychmiastowego przeniesienia do innego mieszkania — owego z wczoraj — że pokój jest pusty, że nikt nie przyszedł. Plemię, które go zamieszkuje, jest — jak plemię pierwszych ludzi — obojnacze. Mężczyzna przybiera tam po chwili postać kobiety. Przedmioty zdolne są stawać się ludźmi, ludzie przyjaciółmi i wrogami. Czas, który upływa dla śpiącego w chwili takich snów, jest absolutnie różny od czasu w którym spełnia się życie człowieka na jawie. To bieg jego jest o wiele szybszy — kwadrans wydaje się dniem — to znów o wiele dłuższy; człowiek myśli że uciał lekką drzemkę, a spał cały dzień. Wówczas, na rydwanie snu, zstępujemy w głębinę, gdzie wspomnienie nie może go już osiągnąć i od których duch musiał zawrócić z drogi. Zaprzęg snu, podobny do zaprzęgu słońca, biegnie krokiem tak równym, w atmosferze gdzie nie może go już powstrzymać żaden opór, że trzeba jakiegoś małego obcego nam aerolitu (ciśniętego z lazuru przez coś Nieznanego), aby osiągnąć regularnego snu (który inaczej nie miałby żadnego powodu aby się przerwać i biegłby jednakim rytmem aż po wieki wieków) i kazać mu gwałtownym zwrotem wrócić do rzeczywistości, mijać postoje, przebyć regiony sąsiadujące z życiem, gdzie niebawem śpiący usłyszy jego odgłosy, jeszcze mętne ale już rozpoznawalne mimo iż zniekształcone — i wylądować nagle w przebudzeniu. Wówczas budzimy się z głębokich snów w jakiejś jutrzence, nie wiedząc kim jesteśmy, nie będąc niczem, nowi, gotowi do wszystkiego z mózgiem opróżnionym z owej przeszłości, która była dotąd życiem. A może jest jeszcze piękniej, kiedy lądowanie w jawę spełnia się brutalnie i kiedy nasze myśli sennie, wymknąwszy się przez klapę zapomnienia, nie mają czasu wrócić stopniowo, zanim sen ustanie. Wówczas z czarnej burzy, którą — jak nam się wydaje — przebyliśmy (ale nie mówimy nawet *my*) wypływamy otepiali, bez myśli — jakiegoś „my” wyzute z wszelkiej treści. Cóż za cios maczugi otrzymała ta istota lub rzecz, że oto nie wie nic — ogłupiała aż do chwili gdy nadbiegająca pamięć wróci jej świadomość lub osobowość? Ale gdy chodzi o te dwa sposoby budzenia się, nie trzeba zasypiać — nawet głęboko — pod znakiem przyzwyczajenia. Bo przyzwyczajenie czuwa nad wszystkim cokolwiek ujmie w swoje sieci; trzeba mu się wymknąć, zażyć snu w chwili gdy się myślało że się robi raczej wszystko inne niż śpi, słowem gdy sen nie znajduje się pod opieką przewidywania, w towarzystwie — bodaj ukrytem — refleksji. W tych przebudzeniach przynajmniej, takich jak je tu opisałem (a przeważnie były takie nazajutrz po obiedzie w la Raspelière), wszystko się działo właśnie tak: mogę to poświadczyć, ja, dziwny człowiek, który, czekając aż go śmierć oswobodzi, żyje przy zamkniętych okiennicach, nie wie nic o świecie, tkwi nieruchomo jak sowa, i jak sowa widzi nieco jedynie w ciemnościach. Wszystko się dzieje właśnie tak; ale może jedynie warstwa pakuł nie pozwoliła śpiącemu dosłyszeć wewnętrznego dialogu wspomnień oraz nieustannej paplaniny snu. Albowiem (co może się zresztą tłumaczyć równie dobrze w pierwszym systemie, obszerniejszym, bardziej tajemniczym, bardziej astralnym), w chwili gdy następuje przebudzenie, śpiący słyszy wewnętrzny głos, który mu powiada: „Czy przyjdiesz dziś na obiad, drogi przyjacielu, jakby to było miło?” — i myśli: „Tak, jakby to było miło, pójdę”; potem, kiedy się przebudzenie posuwa, przypomina sobie nagle: „Babcia ma tylko kilka tygodni do życia, powiada doktor”. Dzwoni, płacze na myśl, że to nie jak dawniej babka — umierająca babka — ale obojętny służący zjawi się na wezwanie. Zresztą, kiedy sen unosił go tak daleko poza świat zamieszkały przez wspomnienie i przez myśli, poprzez jakiś eter gdzie był sam, bardziej niż sam, nie mając nawet *samemu siebie*, tego towarzysza w którym uświadamiamy się sobie — był poza czasem i jego miarą. Już służący wchodzi i on nie śmie spytać go o godzinę, bo nie wie czy spał, ile godzin spał (pyta sam siebie, czy to nie jest „ile dni”, tak dalece powraca stamtąd zmęczony ciałem a wypoczęty duchem, z sercem pełnym tęsknoty, niby z podróży zbyt dalekiej aby mogła nie trwać długo). Z pewnością, można twierdzić, że istnieje tylko jeden czas, dla tej błahej przyczyny, że, patrząc na zegar, stwierdziliśmy, iż to, cośmy uważali za dzień, było tylko kwadransiem. Ale w chwili kiedy to stwierdzamy, jesteśmy właśnie człowiekiem obudzonym, zanurzonym w czasie ludzi obudzonych, zbiegliśmy z innego czasu. Może nawet więcej niż z innego czasu: z innego życia. Przyjemności, których kosztujemy we śnie, nie wliczamy do przyjemności

doznawanych w ciągu naszego istnienia. Aby wspomnieć jedynie najgrubiej zmysłową ze wszystkich, któż z nas, przy przebudzeniu, nie odczuwał nieco irytacji, że doznał w czasie snu rozkoszy, której — jeżeli się nie chce zbyt zmęczyć — nie może, obudzony, powtarzać tego dnia nieograniczenie. To jest niby stracone dobro. Mieliliśmy przyjemność, ale w innym życiu, które nie jest naszym. Jeżeli wprowadzamy w bilans cierpienia i rozkosze snu (które naogół pierzchają bardzo szybko po przebudzeniu), to nie w bilans bieżącego życia.

Powiedziałem *dwa czasy*; może jest tylko jeden, nie iżby czas człowieka na jawie obowiązujący był dla śpiącego, ale może dlatego, że drugie życie — to w którym śpimy — nie podlega — w głębszej warstwie — kategorjom czasu. Wyobrażałem to sobie, kiedy, po owych obiadach w la Raspelière, zasypiałem tak całkowicie. Oto czemu. Zaczynałem wpadać w rozpacz po przebudzeniu, kiedy, mimo że dzwonił dziesięć razy, służący nie przychodził. Po jedenastym dzwonku zjawiał się. I to był pierwszy dzwonek. Dziesięć innych, to były jedynie szkice — zrobione jeszcze w czasie snu — szkice aktu dzwonięcia, który chciałem wykonać. Moje zdrewniałe ręce nawet się nie poruszyły. Otóż, w te poranki (i to mnie utwierdza w mniemaniu, iż może sen nie zna praw czasu) wysiłek mój dla przebudzenia się polegał zwłaszcza na wysiłku, aby ciemny nieokreślony blok snu, który właśnie przeżyłem, wprowadzić w ramy czasu. To nie jest łatwe zadanie; sen, który nie wie czyśmy spali dwie godziny czy dwa dni, nie może nam dać żadnego punktu zaczepienia. A jeżeli nie znajdziemy go poza sobą, wówczas, nie mogąc wrócić w czas, znów zasypiamy — na pięć minut, które się nam zdają trzema godzinami.

Mówiłem zawsze — i doświadczyłem tego — że najpotężniejszym z środków nasennych jest sen. Skoro się prześpi głęboko dwie godziny, nawalczy z tyłoma olbrzymami i zawiąże na zawsze tyle przyjaźni, o wiele trudniej jest obudzić się, niż po zażyciu kilku gramów weronalu. Toteż, wnioskując z jednego o drugim zdziwiłem się, dowiadując się przez norweskiego filozofa, który usłyszał o tem od pana Boutroux, „swego znakomitego kolega — przepraszam, kolegi” — co pan Bergson myśli o swoistych zmianach pamięci pod wpływem środków nasennych. „Oczywiście — miał powiedzieć Bergson do Boutroux, jeżeli wierzyć norweskiemu filozofowi — środki nasenne, zażyte od czasu do czasu w umiarkowanych dawkach, nie mają wpływu na solidną pamięć naszego codziennego życia, tak dobrze w nas ugruntowaną. Ale istnieją inne pamięci, wyższe, a także mniej stałe. Jeden z moich kolegów wyklada historię starożytną. Powiedział mi, że jeżeli w wilję wziął proszek na spanie, trudno mu w czasie wykładu odnaleźć w głowie potrzebne greckie cytaty. Doktor, który mu zalecił te proszki, zapewnił go, że są bez wpływu na pamięć. „Widocznie pan nie potrzebuje greckich cytatów”, odpowiedział historyk nie bez ironicznej dumy.

Nie wiem, czy ta rozmowa pana Bergsona z p Boutroux jest ścisła. Norweski filozof, mimo iż tak głęboki i jasny, i tak żarliwie uważny, mógł źle zrozumieć. Mnie osobiście, doświadczenie dało przeciwne wyniki. Chwile zapomnienia, będące następstwem pewnych narkotyków, mają częściowe tylko ale niepokojące podobieństwo z zapomnieniem, panującym w czasie naturalnego i głębokiego snu. Otóż w jednym i w drugim wypadku, zapomnienie tyczy nie jakiegoś wiersza Baudelaire’a, który mnie raczej nuży „jak cymbały”; nie tezy któregoś z cytowanych wyżej filozofów; ale samej rzeczywistości pospolitych rzeczy które mnie otaczają we śnie, a których nie percypowanie robi ze mnie warjata; nęka mnie — kiedy się obudzę i tem samem wyrwę się ze sztucznego snu — nie system Porfirjusza lub Plotyna, o których mogę dysputować nie gorzej niż zwykle, ale odpowiedź na jakieś zaproszenie, którą przyrzekłem dać a której pamięć zajęła kompletna luka. Myśli wyższej kategorii zostały na swoim miejscu; jeżeli co unicestwił środek nasenny, to zdolność działania w drobnych rzeczach, we wszystkim co wymaga energii aby pochwycić na czas i odnaleźć jakieś wspomnienie codziennego życia. Mimo wszystko co możnaby rzec o trwaniu życia po zniweczeniu mózgu, stwierdzam, że każdemu uszkodzeniu mózgu odpowiada jakiś fragment śmierci. Posiadamy wszystkie nasze wspomnienia, choćby utopione w stanie niepamięci — powiada za Bergsonem wielki filozof norweski, którego wysłowienia nie staram się naśladować, aby nie zwalniać jeszcze opowiadania. Ale co znaczy wspomnienie, którego się nie pamięta? Albo też idźmy dalej. Nie przypominamy sobie swoich wspomnień z ostatnich trzydziestu lat, ale cali jesteśmy w nich zanurzeni; czemu zatem ograniczać się do tych trzydziestu lat, czemu nie przedłużyć tego dawniej-

szego życia poza urodzenie? Z chwilą gdy nie znam całej partji wspomnień będących za mną, z chwilą gdy są dla mnie niewidzialne, kiedy nie mam zdolności przywołania ich do siebie, kto mi powie, czy w owej nieznannej mi masie nie ma takich, któreby sięgały o wiele poza moje ludzkie życie? Jeżeli mogę mieć w sobie i dokoła siebie tyle wspomnień, których sobie nie przypominam, zapomnienie to (przynajmniej zapomnienie faktyczne, skoro nie mam zdolności widzenia czegokolwiek) może się odnosić do życia, którem przeżył w ciele innego człowieka, nawet na innej planecie. Jednakże zapomnienie wymazuje wszystko. Ale wówczas, cóż znaczy ta nieśmiertelność duszy, o której rzeczywistości upewnia norweski filozof? Istota, którą będę po śmierci, tak samo nie ma racji przypominać sobie o człowieku którym jestem od urodzenia, jak ten nie przypomina sobie czem byłem przed nim.

Wchodził służący. Nie mówiłem mu, że dzwoniłem wiele razy, bom sobie zdawał sprawę, że dotąd tylko mi się śniło że dzwonił. Przeraziła mnie wszelako myśl, że ten sen miał jasność świadomości. Czyżby świadomość miała — naodwrot — nierealność snu?

W zamian za to pytałem go, kto tak dzwonił w nocy. Odpowiadał że nikt, i mógł tak twierdzić, bo „tabela” dzwonek byłaby to zaznaczyła. Mimo to, słyszałem odgłosy powtarzające się, niemal wściekle, które drgały mi jeszcze w uszach i które miałem odczuwać przez szereg dni. Bądź co bądź, rzadko się zdarza, aby tak w życiu na jawie sen wtrącił wspomnienia, nie umierające wraz z nim. Można policzyć te aerolity. Jeżeli to jest jakaś myśl wytworzona przez sen, rozkłada się ona szybko na drobne, nie podobne do odnalezienia fragmenty. Ale tu sen sfabrykował dźwięki. Materjalniejsze i prostsze, trwały one dłużej. Zdziwiła mnie wczesna stosunkowo godzina, którą mi oznajmił służący. Czulem się, mimo to, wypoczęty. Raczej lekkie sny trwają długo, bo będąc czemś pośredniem między jawą a snem, zachowując z jawy zatartą nieco ale ciągłą świadomość, potrzebują nieskończenie więcej czasu aby nam przynieść wypoczynek; natomiast sen głęboki może być krótki. Czulem się bardzo dobrze z innej przyczyny. O ile wystarcza sobie przypomnieć że się jest zmęczonym aby odczuć dotkliwie zmęczenie, w zamian powiedzieć sobie „wypocząłem” wystarczy aby stworzyć uczucie wypoczynku. Otóż, śniło mi się że p. de Charlus ma sto dziesięć lat i że wyciął właśnie kilka policzków własnej matce; że pani Verdurin kupiła za pięć miliardów bukietek fiołków; byłem tedy pewny, że spałem głęboko, że śniłem nawspak pojęciom jakie mogłem mieć na jawie oraz wszystkim możliwościom bieżącego życia; to wystarczało, abym się czuł doskonale wypoczęty.

Zdziwiłbym bardzo matkę, która nie mogła zrozumieć nadszkakiwań pana de Charlus Verdurinom, gdybym jej opowiedział (właśnie w dniu gdy zamówił toczek Albertyny, nic nie mówiąc, żeby jej zrobić niespodziankę), z kim p. de Charlus przyszedł na obiad na salę w Grand Hotelu w Balbec. Gościem był nie kto inny, jak lokaj kuzynki Cambremérów. Lokaj ów ubrany był bardzo wytwornie i kiedy mijał z baronem hall, robił „świat” (jakby powiedział Saint-Loup) na intencję gości hotelowych. Nawet młodzi strzelcy, „lewicy” w tej chwili schodzący tłumem po stopniach świątyni (bo to był moment zmiany służby), nie zwrócili uwagi na dwóch przybyłych, z których jeden, p. de Charlus, miał oczy spuszczone, aby okazać, że i on nie interesuje się nimi. Robił wrażenie, że sobie toruje drogę pośród nich. „Kwitnij, droga nadziejo świętego narodu” — powiadał, przypominając sobie wiersze Racine’a, użyte w całkiem innym sensie. „Co proszę?” spytał lokaj niezbyt obyty z klasykami. P. de Charlus nie odpowiedział mu, bo wkładał niejaką dumę w to aby się nie liczyć z pytaniami i aby iść przed siebie prosto tak jakby nie było innych gości w hotelu i jakby istniał w świecie tylko on jeden, baron de Charlus. Ale ciągnąc dalej wiersze Josabety: „Pójdźcie, pójdźcie, dziewczęta”, uczuł niesmak i nie dodał jak ona: „Trzeba je zawołać”, bo ta młodzież nie doszła jeszcze wieku, w którym pleć jest całkiem zdeklarowana i który podobał się panu de Charlus. Zresztą, jeżeli napisał do lokaja pani de Chevreigny (ponieważ nie wątpił o jego gotowości), wyobrażał go sobie bardziej męskim. Zbliża wydał mu się bardziej zniewieściałą, niżby baron pragnął. Oznajmił mu, iż myślał że chodzi o kogo innego, bo znał z widzenia innego lokaja pani de Chevreigny, którego w istocie zauważył na kozle. Tamten był kawal ordynarnego chłó-



pa, całkowity kontrast tego, który przeciwnie, uważając własne mizdrzenie za szczególny urok i nie wątpiąc że to jego światowa dystynkcja uwiodła pana de Charlus, nie domyślił się nawet, o kim baron mówi. „Ależ ja nie mam innych kolegów, prócz jednego, który nie mógł pana zainteresować, jest okropny, robi wrażenie skończonego chama”. I na myśl, że to może tego chama baron zauważył, doznał ukłucia miłości własnej. Baron odgadł to, ale, prowadząc dalej swoją ankietę, rzekł:

— Ależ ja nie zrobiłem specjalnego ślubu, żeby znać tylko ludzi pani de Chevreigny. Czy mógłbyś mi przedstawić — tu, czy w Paryżu — skoro niebawem wracasz — swoich kolegów ze znajomych ci domów?

— Och, nie — odparł lokaj — ja nie żyję z nikim z mojej klasy. Odzywam się do nich jedynie w służbie. Ale jest ktoś *bardzo dobrze*, z kim mógłbym pana zapoznać.

— Kto taki? — spytał baron.

— Księżę Gilbert de Guermantes.

P. de Charlus uczuł się urażony, że mu proponują jedynie człowieka w tym wieku i do którego nie potrzebował zresztą polecenia lokaja. Toteż oschle uchylił tę propozycję i nie zrażając się światowymi pretensjami fagasa, zaczął mu jeszcze raz tłumaczyć, czego by on chciał, rodzaj, typ, może być żokiej, etc... Bojąc się, czy rejent, który przechodził właśnie, nie dosłyszał, udał niby to sprytnie, że mówi całkiem o czym innym niżby można było przypuszczać i rzekł dobitnie i głośno, tak jakby ciągnął poprzednią rozmowę:

— Tak, mimo swoich lat, wciąż jestem namiętym kolekcjonerem, palę się wprost do ładnych drobiazgów, zdolny byłbym do szaleństw dla starego brązu, dla antycznego świecznika. Ubóstwiam Piękno.

Ale, aby uprzytomnić lokajowi zmianę tematu dokonaną tak szybko, p. de Charlus kładł taki nacisk na każde słowo, co więcej, aby być słyszany przez rejenta, krzyczał tak mocno, że cała ta komedia wystarczałaby aby zdradzić jego sekret uszom bystrzejszym niż uszy tego stróża praw. Rejent nie domyślił się niczego, tak samo jak inni goście; wszyscy ujrzeli w świetnie ubranym lokaju jedynie wytwornego turystę. Ale, o ile ludzie światowi złapali się na to i wzięli go za szykownego Amerykanina, służba hotelowa — zaledwie się pokazał — odgadła go tak, jak galernik poznaje galernika, a nawet szybciej jeszcze zwęszyła go na odległość, jak zwierzę poznaje węchem inne zwierzę. Starsi kelnerzy podnieśli głowy, Aimé rzucił podejrzliwe spojrzenie. Wzruszając ramionami i zasłaniając usta bo uważał że to jest grzeczniej, piwniczny sformułował kategoryczny sąd w sposób słyszalny dla wszystkich. I nawet nasza stara Franciszka, której wzrok podupadała a która przechodziła w tej chwili przez hall idąc na obiad do kredensu, podniosła głowę, poznała lokaja niepodejrzewanego przez hotelowych gości — jak stara niańka Euryklea poznaje Ulissesa o wiele wprzód niż zalotnicy gotujący się do uczty — i widząc jak p. de Charlus kroczy z nim poufale, przybrała wyraz przygnębienia, tak jakby nagle wszystko złe co słyszała i w co nie wierzyła, nabrało w jej oczach smutnego prawdopodobieństwa. Nie mówiła nigdy o tem zająsci mnie ani nikomu, ale musiało ono zadać jej mózgowi znaczną pracę, bo później, za każdym razem kiedy miała w Paryżu sposobność widzieć „Juljana” którego dotąd tak lubiła, była z nim zawsze uprzejma ale chłodna i z wielką rezerwą.

To samo wydarzenie skłoniło przeciwnie kogoś innego do zwierzeń, mianowicie Aimégo. Kiedym minął pana de Charlus, baron, który nie spodziewał się mnie spotkać, skinął mi ręką rzucając „dobrywieczór” z obojętnością (pozorną przynajmniej) wielkiego pana, który sądzi że mu wszystko wolno i woli udawać że się nie kryje przed nikim. Otóż, Aimé, który w tej chwili obserwował nieufnie barona i ujrzawszy że ja się kłaniam towarzyszowi osobnika pachnącego dłoń na miłą lokajem, spytał mnie tego wieczora, kto to taki. Bo od jakiegoś czasu, Aimé lubił rozmawiać, lub raczej, jak on to nazywał (bezwątpienia aby zaznaczyć charakter — wedle niego filozoficzny — tych gawęd), lubił „dyskutować” ze mną. Że zaś powiadałem mu często, iż mnie to krępuje aby on stał koło mnie podczas gdy jem obiad, zamiast żeby usiadł i podzielił mój posiłek, oświadczył że nigdy nie widział gościa, któryby „miał tak zdrowe poglądy”. Aimé rozmawiał w tej chwili z dwoma garsonami. Ukłonili mi się; nie wiem czemu twarze ich były mi nieznanne, mimo iż brzmienie głosów nie było mi całkiem nowe. Aimé lajał obu z powodu ich zaręczyn które potępiał. Wziął mnie na świadka; rzekłem, iż nie mogę mieć zdania, skoro ich nie znam. Przypomnieli mi swoje imiona i że często obsługiwali mnie w Rivebelle. Ale jeden zapuścił wąsy, drugi ogolił je i dał się ostrzyć; i z tej przyczyny, mimo iż na ich ramionach spoczy-

wała dawna głowa (nie zaś inna, jak w błędnych rekonstrukcjach kościoła Notre-Dame), stała mi się ona równie niewidzialna jak owe przedmioty, które umykają się najdrobiazgowszym poszukiwaniom, walają się poprostu na oczach wszystkich — nie widzialne tym oczom — na kominku. Z chwilą kiedy usłyszał ich imiona, ściśle rozpoznałem nieuchwytną muzykę ich głosu, bom ujrzał dawne twarze, które ją określały. „Chcą się żenić, a nie umieją nawet po angielsku!” — wykrzyknął Aimé, któremu nie przyszło na myśl, że ja słabo jestem obznajomiony z zawodem hotelarskim i nie zdaję sobie sprawy, że o ile ktoś nie zna obcych języków, nie może liczyć na „stanowisko”.

Sądząc iż Aimé dowiedziałby się łatwo, że nowy gość jest baronem de Charlus i wyobrażając sobie nawet, że on go sobie musi przypominać (ile że podawał do stołu, kiedy, za mego pierwszego pobytu w Balbec, baron zjawił się, aby odwiedzić panią de Villeparisis), nie robiłem sekretu z jego nazwiska. Otóż, nietylko Aimé nie przypominał sobie barona de Charlus, ale to nazwisko najwidoczniej wywarło na nim głębokie wrażenie. Powiedział mi, że nazajutrz poszuka w swoich rzeczach listu, który zdołałbym mu może wytłumaczyć. Czulem się tem bardziej zdziwiony, ile że p. de Charlus, kiedy mi chciał dać książkę Bergotte’a w pierwszym roku Balbec, specjalnie kazał wezwać Aimégo, później zaś musiał go spotkać w owej restauracji w Paryżu, gdzie byłem na śniadaniu z Robertem i jego kochanką i gdzie nas Charlus szpiegował. Prawda, że Aimé nie mógł osobiście dopełnić tych misyj, bo za pierwszym razem już spał, a za drugim był w trakcie obsługiwanego. Miałem wszelako wielkie podejrzenia co do jego szczerości, kiedy twierdził, że nie zna pana de Charlus. Z jednej strony mógł wpaść w oko baronowi. Jak wszyscy garsoni w hotelu w Balbec, jak wielu lokajów księcia Gilberta, Aimé należał do rasy dawniejszej niż rasa księcia, zatem szlachetniejszej. Kiedy się prosiło o gabinet, myślało się zrazu że się jest samym. Ale niebawem spostrzegano się w kredensie posagowego kamerdynera, z owego etrusko-rudego rodzaju, którego Aimé był typem, nieco postarzałego od nadużyć szampana i czującego zbliżającą się kurację w Contrexeville. Nie wszyscy klienci żądali od nich tylko obsługi. Młodzi garsoni, pełni skrupułów, spieszący się, mający kochankę na mieście, wymykali się. Toteż Aimé wyrzucał im, że nie biorą życia serjo. Miał prawo. On był człowiekiem serjo. Miał żonę i dzieci, i miał dla nich ambicję. Toteż nie odpychał awansów jakie mu robił gość żeński lub męski, choćby trzeba było zostać całą noc. Bo praca przedewszystkiem. Był tak dalece w typie, który się mógł podobać panu de Charlus, że podejrzewałem go o kłamstwo, kiedy mi powiedział że nie zna barona. Myliłem się. Całkiem szczerze groom powiedział wówczas baronowi, że Aimé (który mu zmył głowę nazajutrz) położył się (lub wyszedł), a innym razem, że jest w służbie. Ale wyobraźnia roi ponad rzeczywistość. I zakłopotanie grooms obudziło zapewne w panu de Charlus co do szczerości jego wymówek wątpliwości, które zraniły w nim uczucie nie podejrzewane przez Aimégo. Widziano też, że Saint-Loup nie pozwolił Aimému iść do powozu, gdzie p. de Charlus, który, sam nie wiem jak, wystarał się o nowy adres kelnera, doznał jeszcze raz zawodu. Aimé, który nie zauważył barona, odczuł łatwe do pojęcia zdziwienie, kiedy wieczorem tego samego dnia gdy byłem na śniadaniu z Robertem i jego kochanką, otrzymał list zapieczętowany herbem Guermantów. Zacytuję tu kilka ustępów listu, jako przykład cząstkowego szaleństwa u inteligentnego człowieka zwracającego się do zdrowego na umyśle głupca.

„Łaskawy panie, mimo starań które zdziwiły by wielu, zabiegających napróżno o moją znajomość i o mój ukłon, nie mogłem uzyskać tego, abyś pan wysłuchał paru wyjaśnień. Nie żądałeś ich pan odemnie, ale uważałem za sprawę mojej i pańskiej godności udzielić mu ich. Napiszę zatem to, co byłoby mi łatwiej powiedzieć ustnie. Nie będę ukrywał, że za pierwszym razem, kiedy go ujrzałem w Balbec, fizjognomja jego wydała mi się wręcz antypatyczna”. (Następowały refleksje o podobieństwie — zauważyłem aż na drugi dzień ze zmarłym przyjacielem, do którego p. de Charlus był bardzo przywiązany). „Powziąłem wówczas myśl, że pan mógłby, nie ponosząc żadnych szkód w swoim zawodzie, zająć do mnie czasem na partyjkę kart, która wesołością swoją zdołałaby rozproszyć mój smutek, dałaby mi złudzenie, że on nie umarł. Nie myślę dochodzić natury mniej lub więcej głupich przypuszczeń, jakie pan zapewne uczynił, bardziej dostępnych dla sługusa (nie godnego nawet tego miana, skoro nie chciał służyć) niż zrozumienie tak wzniosłego uczucia. Chciał pan sobie przydać wagi, niby to nie wiedząc kim i czym jestem, każąc mi odpowiedzieć, kiedy go prosił o książkę, że już śpi: otóż błędem z jego strony jest

przypuszczać, że chamstwo może dodać wdzięku, którego pan jesteś zresztą całkowicie pozbawiony. Byłbym na tem skończył, gdybym przypadkiem nie spotkał pana nazajutrz rano. Pańskie podobieństwo do mego biednego przyjaciela zaakcentowało się tak bardzo — zacierając nawet przykry kształt pańskiej wystającej brody — iż zrozumiałem, że to zmarły w tej chwili użycza ci swego pocziwego wyrazu twarzy, aby ci dać możliwość przedjednania mnie i nie stracenia jedynej szansy, jaka się panu nastęrcza. W istocie, mimo że nie chcę — skoro wszystko już jest bezprzedmiotowe i skoro już nie będę miał sposobności spotkać pana w życiu — mieszać w to brutalnych spraw materialnych, z radością uległbym prośbom zmarłego (wierzę bowiem w świętych obcowanie i w ich współudział w losie żywych), aby z panem postąpić tak jak z nim samym. Otóż trzeba abyś pan wiedział, że on miał swój powóz i służbę, i całkiem naturalne było, żem na niego obracał większą część dochodów, skorom go kochał jak syna. Rozstrzygnąłeś pan inaczej. Na moją prośbę, abyś mi przyniósł książkę, kazałeś odpowiedzieć, żeś musiał wyjść. I dziś rano, kiedym pana kazał wezwać do powozu, zaparłeś się mnie pan — jeśli wolno mi tak rzec bez świętokradztwa — po raz trzeci. Daruje pan, że nie wkładam do tej koperty wygórowanych napiwków które spodziewałem się mu wręczyć w Balbec i do których byłoby mi zbyt ciężko ograniczyć się w stosunku do kogoś, z kim pragnąłem przez chwilę podzielić wszystko. Conajwyżej mógłbyś mi pan oszczędzić w swojej restauracji czwartego daremnego kroku, do którego cierpliwość moja się posunie. (Tutaj, p. de Charlus podał adres, godziny w których go można zastać, etc.) Żegnam pana, Ponieważ sądzę, iż będąc tak podobny do mego zmarłego przyjaciela, nie może pan być całkowitym idjotą (inaczej fizjognomika byłaby wiedzą żałośnie kłamiwą), jestem przekonany, że kiedyś, jeśli pan sobie przypomnisz to zdarzenie, nie będzie to bez pewnego żalu i wyrzutu. Co do mnie, niech mi pan wierzy, że bardzo szczerze nie zachowuję żadnej urazy. Wolałbym abyśmy się rozstali z mniej gorzkim wspomnieniem niż ten trzeci daremny krok; ale będzie on rychło zapomniany. Jesteśmy jak owe okręty, któreś pan musiał widzieć czasem w Balbec: — skrzyżowały się przez chwilę, byłoby może z korzyścią dla obu zatrzymać się, ale jeden z nich uznał inaczej; rychło nie dojrzą się nawet na widnokręgu, wszelki ślad spotkania się zatrze; ale przed ostatecznym rozstaniem, pozdrawiają się wzajem — oto co właśnie czyni, życząc mu powodzenia, baron de Charlus.”

Aimé nie przeczytał nawet do końca tego listu, nie rozumiejąc nic, bojąc się mistyfikacji. Kiedym mu wytłumaczył kim jest baron, zadumał się chwilę i odczuł ów żal, który mu p. de Charlus przepowiadał. Nie przysiągłbym nawet, czy nie napisał wówczas listu z przeprosinami do człowieka, który rozdaje powozy swoim przyjaciółom! Ale tymczasem p. de Charlus poznał Morela. Co najwyżej — wobec tego że stosunki z Morelem były może platoniczne — p. de Charlus szukał czasem na jeden wieczór towarzystwa, jak to, w którym spotkałem go w hału. Ale nie mógł już odwrócić od Morela gwałtownego uczucia, które kilka lat wprzód gotowe było skupić się na osobie Aimégo, dyktując baronowi ten list, za który wstydzilem się za niego. List ten — jako objaw wzgardzonej przez społeczeństwo miłości którą płonął p. de Charlus, był tem bardziej uderzającym przykładem ślepej i potężnej siły, jaką mają te porywy, w których zakochany, niby pływak bezwiednie unoszony prądem, rychło traci ziemię z oczu. Bezwątpienia, miłość człowieka normalnego również pozwala niekiedy zmierzyć dość znaczne odchylenie dwóch ramion cyrkla, kiedy kochanek, pod wpływem kolejnego działania pragnień, żalów, zawodów, projektów, zbuduje cały romans o nieznaomej kobiecie; jednakże to swoiste rozchylenie zwiększało się tu szczególnie wskutek charakteru namiętności przeważnie nie podzielanej i wskutek przepaści socjalnej między panem de Charlus a Aimém.

Codziennie robiłem spacer z Albertyną. Zdecydowała się wrócić do malarstwa; jako model wybrała zrazu kościół Saint-Jean de la Haise, nie odwiedzany już przez nikogo a znany mało komu, trudny do dopytania się, niepodobny do odnalezienia bez przewodnika, daleki w swoim osamotnieniu, blisko o pół godziny od stacji Epreville, bardzo odległy od ostatnich domów Quelleholme. (Co się tyczy nazwy Epreville, nie mogłem uzgodnić książki proboszcza z objaśnieniami Brichota. Wedle jednego, Epreville to była dawna *Spreuilla*; drugi podawał etymologię *Aprivilla*.) Za pierwszym razem wsiedliśmy do kolejki w kierunku przeciwnym Féterne, to znaczy w stronę Grattevaste. Ale był wielki upał, tak iż ciężko było jechać zaraz po śniadaniu. Byłbym raczej wolał nie opuszczać domu tak wcześnie; rozżarzone i skwarne powietrze skłaniało do spoczynku i chłodu. Wypeł-

niało nasze pokoje — matki i mój — zależnie od ich położenia, różną temperaturą, niby kabiny kąpielowe. Gotownia mamy, ustrojona w festony przez słońce o olśniewającej i mauretańskiej białości, robiła wrażenie jakby ją wpuszczono w głąb studni, z powodu czterech tynkowanych ścian na które wychodziła, podczas gdy w samej górze, w próżnym kwadracie, niebo, po którym ślizgały się miękkie i spiętrzone fale, zdawało się (z powodu ochoty jaką budziło) sadzawką bądź położoną na jakim tarasie, bądź widzianą na wywrót w lustrze przymocowanym do okna, pełną błękitnej wody przeznaczonej na ablucje.

Mimo tego żaru, wybraliśmy się na pociąg odchodzący o pierwszej. Ale Albertynie było bardzo gorąco w wagonie, bardziej jeszcze w drodze pieszo; bałem się, aby się nie zziębiła siedząc potem nieruchomo w tym wilgotnym parowie, dokąd nie dochodzi słońce. Z drugiej strony, zdawszy sobie sprawę, od czasu pierwszych naszych wizyt u Elstira, że ona oceniłaby nie tylko zbytek ale nawet pewien komfort, którego pozbawiał ją brak pieniędzy, porozumiałem się z przedsiębiorcą z Balbec, aby codzień przysyłał po nas powóz. Aby było mniej gorąco, jechaliśmy lasem Chantepie. Niewidzialność niezliczonych ptaków — niektórych nawpół morskich — nawołujących się koło nas w drzewach, dawał to samo wrażenie spokoju, jakie się ma z zamkniętymi oczami. Siedząc obok Albertyny, okolony jej ramionami w głębi powozu, słuchałem tych Oceanid. I kiedy przypadkiem spostrzegłem którego z tych muzyków przemykających się z jednego liścia pod drugi, związek między nim a jego śpiewem był tak nieuchwytny, że zaledwie mogłem dojrzeć przyczynę śpiewu w małym ciałku podskakującym, pokornym, dziwnym i pozbawionym spojrzenia.

Powóz nie mógł nas zawieźć aż do kościoła. Kazałem stanąć tuż za Quetteholme i żegnałem się z Albertyną. Bo ona przestraszyła mnie, mówiąc o tym kościele, jak o innych zabytkach, o pewnych obrazach: „coby to była za przyjemność oglądać to z tobą!” Nie czułem się zdolny dać jej tej przyjemności. Odczuwałem ją wobec pięknych rzeczy jedynie wówczas gdy byłem sam, lub udawałem że jestem sam i milczałem. Ale skoro ona sądziła że mogłaby doznać dzięki mnie wrażeń artystycznych nie udzielających się w ten sposób, uważałem za przeczniejsze pożegnać ją, powiedzieć że przyjadę po nią przed wieczorem, ale że teraz muszę wracać powozem aby jechać do pani Verdurin lub do Cambremérów, lub nawet aby spędzić godzinę z mamą w Balbec — ale nigdy dalej. Przynajmniej w pierwszych czasach. Bo kiedy Albertyna powiedziała raz przez kaprys: „To głupie, że natura tak źle rozmieściła wszystko, że kościół Saint-Jean de la Haise jest z jednej strony a la Raspelière z drugiej i że się jest na cały dzień uwięzionym w miejscu, które się wybrało”; wówczas, z chwilą gdy nadszedł toczek i woal, zamówiłem, na swoje nieszczęście, samochód w Saint-Fargeau (*Sanctus Ferreolus*, wedle książki proboszcza). Albertyna, nie wiedząc o niczem, przyszedłszy do mnie, zdziwiła się, słysząc przed hotelem warczenie motoru; wpadła w zachwyty, kiedy powiedział, że to dla nas. Zaprowadziłem ją na chwilę do pokoju. Skakała z radości.

— Pojedziemy z wizytą do Verdurinów — rzekła.

— Tak, ale lepiej byłoby, żebyś nie jechała w tym stroju, skoro masz mieć swoje auto. O, tak będzie ci bardziej do twarzy.

I wyjąłem toczek i woal z ukrycia.

— To dla mnie! Och, jakiś ty milusi — krzyknęła, rzucając mi się na szyję.

Aimé, który spotkał nas na schodach, dumny z elegancji Albertyny i z naszego środka lokomocji (bo auta były dość rzadkie w Balbec), odprowadził nas z widoczną przyjemnością. Albertyna pragnęła, aby ją widziano w nowej toalecie; prosiła żebym kazał spuścić daszek, który podniesie się potem abyśmy mogli być swobodnie razem.

— No, ty — rzekł Aimé do szofera, którego nie znał zresztą i który się nie ruszył — nie słyszysz, że masz spuścić daszek? — Bo Aimé, wyrobiony w życiu hotelowem, w którym zdobył sobie zresztą wybitne stanowisko, nie był tak nieśmiały jak stangret, dla którego Franciszka była „damą”; mimo braku uprzedniej prezentacji, tykał bez ceremonii plebejuszów, których nigdy wprzód nie widział, przyczem trudno było osądzić, czy to jest z jego strony arystokratyczna wzgarda czy ludowe braterstwo.

— Nie jestem wolny — odparł szofer, który mnie nie znał. Zamówiono mnie dla panny Simonet. Nie mogę jechać z tym panem.

Aimé wybuchnął:

— Ech! słuchaj ty ciemnego — odparł szoferowi, którego przekonał natychmiast; — to jest właśnie panna Simonet, a ten pan, co ci każe spuścić budę, to właśnie twój gość.

Że zaś Aimé, mimo iż nie mając osobiście sympatji do Albertyny, dumny był za mnie z jej toalety, mruknął do szofera: „Woziłbyś codzień takie księżniczki, gdybyś tylko mógł, hę?”

Tym pierwszym razem, nie sam udałem się do la Raspelière, jak codzień gdy Albertyna malowała; postanowiła jechać tam ze mną. Myślała, że moglibyśmy się zatrzymać tu i ówdzie po drodze, ale nie przyszło jej na myśl, abyśmy mogli zacząć od jazdy do Saint-Jean de la Haise, to znaczy w innym kierunku, tem samem zrobić spacer, który zdawał się przeznaczony na inny dzień. Otóż, dowiedziała się od szofera, że niema nic łatwiejszego niż udać się do Saint-Jean, gdzie będziemy w dwadzieścia minut, i że moglibyśmy tam zostać, gdybyśmy chcieli, kilka godzin, albo zapuścić się o wiele dalej, bo z Quetteholme do la Raspelière nie byłoby więcej niż 35 minut. Zrozumieliśmy to z chwilą gdy wehikuł, zerwawszy się z miejsca, przebył jednym susem dwadzieścia kroków wybornego konia. Odległości są jedynie stosunkiem przestrzeni do czasu i zmieniają się wraz z nim. Trudność, jaką nam sprawia przeniesienie się w jakieś miejsce, wyrażamy w systemie mil, kilometrów, który staje się fałszywy z chwilą gdy się ta trudność zmniejsza. Sztuka również zmienia się przez to, skoro wieś, która zdawała się położona w różnym świecie od jakiejś innej, staje się jej sąsiadką w krajobrazie o zmienionych wymiarach. W każdym razie, wiadomość że istnieje może wszechświat, w którym 2 a 2 czynią 5 i gdzie linja prosta nie jest najkrótszą drogą łączącą dwa punkty, o wiele mniej zdziwiłaby Albertynę, niż oświadczenie szofera, że łatwo jest w ciągu popołudnia być w Saint-Jean i w la Raspelière, w Douville i w Quetteholme, w Saint-Mars le Vieux i w Saint-Mars le Vêtu, w Gourville i w Balbec le Vieux, w Tourville i w Féterne — miejscowościach dotąd równie hermetycznie uwieczonych i zamkniętych w komórkach oddzielnych dni jak niegdyś Méséglise i Guermantes; miejscowościach na których te same oczy nie mogły spocząć w ciągu jednego popołudnia, a które, oswobodzone teraz przez olbrzyma w siedmiomilowych butach, skupiły dokoła godziny podwieczorku swoje wieże i dzwonnice, stare ogrody, które skwapliwie odsłonił sąsiedni las.

Przybywszy do stóp drogi na Corniche, auto puściło się pod górę, z przeciągłym hałasem, podobnym do szmeru ostrzonego noża, podczas gdy zniżające się morze rozszerzało się u naszych stóp. Stare i sielskie chaty Montsurvent nadbiegły tuląc do siebie krzewy winne lub różane; świerki la Raspelière, rozkolysane bardziej niż przy wieczornym wietrze, biegały na wszystkie strony aby nas uniknąć, a nowy lokaj, którego jeszcze nigdy nie widziałem, wybiegł na ganek aby nam otworzyć drzwi, podczas gdy syn ogrodnika, zdradzając przedwczesne skłonności, pochłaniał oczami motor. Ponieważ to nie był poniedziałek, nie wiedzieliśmy czy zastaniemy panią Verdurin, bo z wyjątkiem tego dnia kiedy przyjmowała, niebezpiecznie było odwiedzać ją znienacka. Bezwątpienia, siedziała w domu „w zasadzie”, ale to wyrażenie (którego pani Swann używała w czasie gdy i ona starała się stworzyć sobie „paczkę” i ściągnąć gości nie ruszając się z domu, choćby się jej to miało często nie opłacić, i które opacznie wyrażała przez „dla zasady”) oznaczało tylko ogólną regułę, tem samem podlegającą licznym wyjątkom. Nietylko bowiem pani Verdurin lubiła wyjeżdżać z domu, ale posuwała bardzo daleko obowiązki gospodyni i kiedy miała gości na śniadaniu, zaraz po kawie, likierach i cygarach (mimo chwili odrętwienia upałem i trawieniem, kiedy wołałoby się poprzez liście na tarasie patrzeć na okręt do Jersey, przesuający się po emalii morza), program obejmował cykl spacerów, w trakcie których gości, siłą usadowionych w powozach, wiozło się mimo ich woli do któregoś z licznych „widoków” dokoła Douville. Ta druga część biesiady nie była zresztą (skoro już zdobyli się na wysiłek wstania od stołu i usadowienia się w powozach) niemila gościom; przygotowani już przez smakowite potrawy, przez dobre wina lub musujący jablecznik łatwo dawali się upoić wiatrowi od morza i wspaniałości widoków. Pani Verdurin obwoziła przybyszów niby po partjach (mniej lub więcej odległych) swojej posiadłości, których niepodobna było nie obejrzyć z chwilą gdy się było u niej na śniadaniu i których naodwrot nie poznałoby się, gdyby się nie było gościem „pryncypalki”. Ta pretensja do wyłącznej władzy nad spacerami, jak nad muzyką Morela a niegdyś Dechambre’a, oraz do wciągania krajobrazów w skład „paczki”, nie była zresztą tak niedorzeczna jakby się zrazu zdawało. Pani Verdurin drwiła sobie z braku gustu, jaki, wedle niej, Cambremerowie zdradzali

w umeblowaniu la Raspelière i w urządzeniu ogrodu, a również z ich braku inicjatywy w spacerach jakie podejmowali sami lub w towarzystwie gości. Tak samo jak, wedle pani Verdurin, la Raspelière zaczynała się stawać tem czem powinnaby być dopiero od chwili kiedy była siedzibą „jej klaniku”, tak samo twierdziła, że Cambremerowie, powtarzając wiecznie w swoim landzie, wzdłuż kolei żelaznej, nad brzegiem morza, jedyną brzydką drogę jaka istniała w okolicy, zamieszkiwali te strony od zawsze, ale ich nie znali. Było coś prawdy w tem twierdzeniu. Przez rutynę, przez brak wyobraźni i zubożenie na okolicę, która wydaje się oklepana bo jest tak bliska, Cambremerowie ruszali się z domu jedynie poto aby jechać zawsze w te same miejsca i tą samą drogą. Oczywiście, śmieli się serdecznie z pretensyj Verdurinów do pokazywania im ich własnych stron. Ale gdyby ich przyprzeć do muru, oni, a nawet ich stangret, niezdolni byłiby zawieźć nas we wspólnie, ustronne nieco miejsca, w które nas wiodł pan Verdurin, tu podnosząc barjerę jakiejś posiadłości prywatnej lecz opustoszałej, gdzie ktoś inny wzdragałby się wtargnąć, ówdzie wysiadając z powozu aby iść pieszo drogą niemożliwą dla wehikułu — wszystko z niezawodną nagrodą cudnego widoku. Powiedzmy zresztą, że ogród w la Raspelière był poniekąd skrótem wszystkich spacerów na wiele kilometrów dokoła; raz z racji wysokiego położenia, z widokiem z jednej strony na dolinę, z drugiej na morze; następnie, bo nawet z jednej strony, od strony morza naprzykład, wycięto wśród drzew perspektywę w ten sposób, że z jednego miejsca obejmowało się taki horyzont, z drugiego znów inny. Przy każdym z tych punktów była ławka; siadało się naprzemian tam skąd było widać Balbec, albo Parville, albo Doville. I nawet w jednym i tym samym kierunku umieszczano ławki to wysunięte ku skarpię wybrzeża, to znów bardziej cofnięte. Patrząc z dalszych ławek, miało się przed sobą pierwszy plan zieleni, oraz horyzont, który już zdawał się możliwie najszerszy, ale który powiększał się jeszcze nieskończenie, skoro, idąc ścieżką, doszło się do następnej ławki, skąd oko ogarniało cały krąg morza. Stamtąd słyszało się wyraźnie szum fal, nie dochodzący natomiast do głębszych partyj ogrodu, gdzie fale było jeszcze widać, ale już ich nie było słyhać. Te miejsca wypoczynku nosiły w la Raspelière dla państwa domu nazwę „widoków”. I w istocie, skupiały dokoła zamku najpiękniejsze „widoki” sąsiednich okolic, plaż lub lasów, widzianych w znacznem pomniejszeniu wskutek odległości, tak jak Hadrian zgromadził w swojej willi pomniejszenia najslawniejszych budowli rozmaitych krajów. Nazwa towarzysząca słowu „widok” nie była koniecznie nazwą miejscowości na wybrzeżu, ale często nazwą miejscowości na przeciwległym brzegu zatoki, którą oglądało się jakgdyby w ramie, mimo rozległości widoku. Tak samo jak się brało z biblioteki pana Verdurin książkę aby iść godzinkę poczytać przy „widoku Balbec”, tak samo, kiedy była pogoda, szło się na likiery do „widoku Rivebelle”, pod warunkiem aby nie było zbytniego wiatru, bo mimo zasłony drzew powietrze było tam ostre.

Mówiliśmy o spacerach powozem, które pani Verdurin organizowała na popołudnia. Jeżeli za powrotem pryncypalka zastała bilet jakiegoś światowca bawiącego przelotnie nad morzem, udawała radość, ale była w rozpaczę że ją minęła wizyta i kazała corychlej mężowi prosić przybyśza na obiad na najbliższą środę. (Wówczas przyjeżdżano jeszcze tylko dla obejrzenia „domu”, lub dla nieobowiązującego poznania na jeden dzień kobiety, której salon artystyczny był sławny, ale *niemożliwy* w Paryżu). Ponieważ często turysta musiał wyjechać wcześniej lub obawiał się późnego powrotu, pani Verdurin ustaliła, że w soboty zastanie się ją zawsze w porze podwieczorku. Te podwieczorki nie były zbyt liczne; znałem w Paryżu świetniejsze, u księżnej Marji de Guermantes, pani de Gallifet lub pani d’Arpajon. Ale właśnie tu nie był Paryż i piękno ramy podnosiło dla mnie nietylko urok zebrania ale i jakość gości. Spotkanie jakiegoś światowca, które w Paryżu nie sprawiało mi żadnej przyjemności, tu, w la Raspelière, dokąd ów gość przybył zdaleka przez Féterne lub przez las Chantepie, zmieniało swój charakter i wagę, stawało się miłym zdarzeniem. Czasami był to ktoś, kogo znałem bardzo dobrze i dla kogo nie zrobiłbym ani kroku, aby go spotkać np. u Swannów. Ale nazwisko jego inaczej brzmiało na tym urwistym brzegu, jak nazwisko aktora, oglądanego często w teatrze, inaczej brzmi wydrukowane odmiennym kolorem na afiszu galowego przedstawienia, gdzie sława jego mnoży się nagle przez niezwykłość kontekstu. Ponieważ na wsi odpada wiele ceremonij, gość pozwalał sobie często sprowadzić przyjaciół u których mieszkał, tłumacząc się pochichu przed panią Verdurin tem, że, mieszkając u nich, nie mógł ich opuścić; naodwrot zaś gospodarzom swoim fundował niejako w monotonii życia plażowego tę rozrywkę,

wprowadzając ich w inteligentne kółko, dając sposobność ujrzenia wspaniałej rezydencji i spożycia wybornego podwieczorku. Stwarzało to zaraz zebranie kilkorga osób, jakotako wartościowych; otóż, jeżeli skrawek ogrodu z paroma drzewami, który wydałby się mizerny na wsi, nabiera niezwykłego uroku przy avenue Gabriel lub ulicy de Monceau, gdzie tylko multimilionerzy mogą sobie na niego pozwolić, naodwrot znakomitości drugoplanowe na raucie w Paryżu nabierały pełnej wartości w poniedziałek popołudniu w la Raspelière.

Ledwie usiedli dokoła stołu nakrytego czerwono haftowanym obrusem, pod międzyscieżkami „*en camaïeu*”, podawano im placek normandzki, kruche ciasto, placki w kształcie łódki wypełnione koralowymi wiśniami, inne zwane „dyplomatami”; i natychmiast owi goście, znalazłszy się w pobliżu głębokiej czary lazuru, na którą otwierały się okna i której nie podobna było nie widzieć równocześnie z nimi, ulegali głębokiemu przeobrażeniu, zmieniającemu ich w coś cenniejszego. Co więcej, zanim się ich nawet ujrzało, kiedy się przybywało w poniedziałek do pani Verdurin, ludzie, którzy w Paryżu znudzonem spojrzeniem obejmowali wytworne zaprzęgi przed wspaniałym pałacem, tu czuli że im serce bije żywiej na widok paru lichych dorożek pod świerkami la Raspelière. Niewątpliwie, było to stąd, że ta wiejska rama była inna; dzięki tej transpozycji, wrażenia światowe odzyskały świeżość. Było to także dlatego, że lichy powozik wynajęty dla odwiedzenia pani Verdurin łączył się z pojęciem pięknego spaceru i poważnego „ryczałtu” zgodzonego z woźnicą, który zażądał „tyle” za cały dzień. Ale ciekawość, lekko zaostrzona obecnością gości jeszcze nie podobnych do zidentyfikowania, płynęła także stąd, że każdy pytał sam siebie: „Kto to może być taki?” — pytanie, na które trudno było odpowiedzieć, nie wiedząc kto mógł zjechać na tydzień do Cambremerów lub gdzieindziej, a które zawsze lubimy sobie zadawać w sielskim i samotnym życiu, gdzie spotkanie ludzkiej istoty oddawna nie widzianej lub poznanie kogoś nieznanego przestaje być ową rzeczą uprzykrzoną jaką jest w Paryżu i rozkosznie przerywa pustkę samotnością, w której nawet godzina poczty staje się czemś milem.

W dniu kiedyśmy przybyli autem do la Raspelière, ponieważ to nie był poniedziałek, oboje państwo Verdurin musieli być pastwą tej potrzeby widzenia ludzi, która nawiedza tak mężczyzn jak kobiety i budzi ochotę wyskoczenia oknem w chorym, zamkniętym, zdala od swoich, celem kuracyjnej izolacji. Bo nowy służący, o bardziej chyżych stopach i już oswojony ze światowymi formułami, odpowiedział nam, że o ile pani nie wyszła, musi być przy „widoku Doville” i że „pójdzie popatrzeć”, wrócił natychmiast oznajmić, że pani prosi.

Zastaliśmy panią Verdurin trochę rozczochraną, bo wracała z ogrodu, z podwórka i z sadu, gdzie karmiła swoje pawie, kury, szukała jaj, rwała owoce i kwiaty dla przystrojenia stołu, przez który biegła dróżka przypominająca w miniaturze aleję parkową; ale z tą różnicą, że na stole skupiała jedynie rzeczy użyteczne i smaczne; dokoła bowiem innych darów ogrodu, jak gruszki, jajka ubite na pianę, wznosiły się wysokie łodygi floksów, goździków, róż i lwich paszczy, między którymi niby między nabożnymi i kwitnącymi drogowskazami widziało się na morzu statki, przesuujące się za szybą.

Ze zdumienia, jakie, na widok Albertyny i mnie, okazali państwo Verdurin (porzucając kwiaty po to aby witać oznajmionych gości), zrozumiałem, że nowy służący, pełen zapału ale jeszcze nie oswojony z moim nazwiskiem, źle je powtórzył i że pani Verdurin, słysząc nazwisko nieznanych osób, kazała i tak prosić, czując potrzebę widzenia byle kogo. Nowy służący patrzył z drzwi na tę scenę, aby sobie zdać sprawę z roli, jaką odgrywamy w tym domu. Poczem oddalił się pędem, bo był tam w służbie dopiero od wczoraj.

Kiedy Albertyna dosyta pokazała Verdurinom toczek i woal, wpiła we mnie wzrok, aby mi przypomnieć, że nie mamy zbyt wiele czasu na to cośmy sobie planowali. Pani Verdurin chciała nas przetrzymać do podwieczorku, wymówiliśmy się. Nagle wyłonił się projekt, który unicestwiłby wszystkie rozkosze, jakie sobie obiecywałem po spacerze z Albertyną. „Pryncypałka”, nie mogąc się zdecydować opuścić nas lub może wyrzec się nowej rozrywki, zapragnęła jechać z nami. Oddawna przyzwyczajona że tego rodzaju propozycje z jej strony nie budzą entuzjazmu, widocznie nie pewna czy nam sprawi przyjemność, ukryła swoją nieśmiałość pod nadmiarem pewności siebie. Komunikując nam swoje intencje i nie dopuszczając nawet myśli aby odpowiedź mogła być wątpliwa, nie spytała nas, ale oznajmiła mężowi, tak jakby nam wyświadczała łaskę: „Odprowa-

dżę ich”. Równocześnie przystroiła usta uśmiechem, nie będącym ściśle jej własnością; uśmiechem jaki widywałem już u pewnych osób, kiedy filuternie mówiły do Bergotte’a: „Kupiłem pańską książkę, tak drogi panie, tak”; jednym z tych kolektywnych, uniwersalnych uśmiechów, które, w razie zapotrzebowania — tak jak się posługujemy koleją żelazną lub wozami meblowymi — ludzie wypożyczają sobie, z wyjątkiem jednostek bardzo wyrafinowanych, jak Swann lub p. de Charlus, na których wargach nigdy nie widziałem tego uśmiechu.

Z tą chwilą, wizyta była dla mnie zatruta. Udałem, że nie zrozumiał. Po chwili, stało się jasne, że i p. Verdurin zabierze się z nami.

— Może to będzie za daleko dla pana Verdurin — rzekłem.

— Ale nie — odparła pani Verdurin uspokajającym i rozbawionym tonem; mąż mówi, że mu będzie bardzo miło powtórzyć z młodymi tę drogę, którą niegdyś tyle razy odbywał; w potrzebie siądzie obok wattmana, to go nie przeraża, a potem wrócimy oboje cnotliwie kolejką, jak dobre, stare małżeństwo. Patrzcie tylko, jaką ma zachwyconą minę.

Mówiła o nim niby o starym wielkim malarzu, który, dobroduszny i młodszy od młodych, bazgrze coś, aby zabawić wnuczeta. Smutek mój pogłębiało to, że Albertyna nie zdawała się go podzielać; widocznie bawiła ją myśl takiego spaceru w towarzystwie państwa Verdurin. Co do mnie, nadzieja rozkoszy, której spodziewałem się z nią kosztować, była tak despotyczna, że nie chciałem dać pryncypałce zepsuć jej sobie; wymyślałem jakieś kłamstwa, usprawiedliwione natręctwem pani Verdurin, ale udaremnione, niestety, przez Albertynę.

— Mamy przecie wizytę przed sobą — rzekłem.

— Co za wizytę? — spytała Albertyna.

— Wytłumaczę ci, nie możemy się od tego uchylić.

— No więc, zaczekamy na was — rzekła pani Verdurin, zrezygnowana na wszystko.

W ostatniej chwili, bolesne uczucie że mi wydzierają tak upragnione szczęście, dało mi odwagę impertynencji. Odmówiłem wręcz, zwierając się do ucha pani Verdurin, że Albertyna ma zmartwienie i że pragnie w tym przedmiocie zasięgnąć mojej rady; musimy tedy koniecznie być sami. Pryncypałka przybrała ton obrażony.

— Dobrze, nie pojedziemy — rzekła do mnie głosem drżącym z gniewu.

Uczulem, że jest tak obrażona, iż, aby wyglądało że mięknię, natrąciłem:

— Ale możeby się dało...

— Nie — odparła ze zdwojoną wściekłością — kiedy ja mówię nie, to nie.

Myślałem, że to jest zerwanie, ale odwołała nas od drzwi, aby nam absolutnie polecić najbliższą środę i żebyśmy nie przyjeżdżali tą maszyną, która jest niebezpieczna w nocy, ale pociągami, razem z całą gromadą. I jeszcze kazała zatrzymać auto już w ruchu, bo służący zapomniiał włożyć do auta placka i ciasteczek, które kazała zapakować dla nas.

Ruszyliśmy, eskortowani przez chwilę domkami, które nadbiegły wraz, strojne w kwiaty. Fizjognomja okolicy wydawała się nam całkiem zmieniona, tak dalece w topograficznym obrazie, jaki sobie tworzymy o każdym pejzażu, pojęcie przestrzeni odgrywa zgoła nie najważniejszą rolę. Powiedzieliśmy, że pojęcie czasu bardziej je rozsuwa. I też nie ono jedno. Pewne miejsca, które widzujemy zawsze oddzielnie, nie mają dla nas wspólnej miary z resztą, są prawie poza światem, jak owi ludzie, których znaliśmy w specjalnych okresach naszego życia, w wojsku, albo w dzieciństwie, i których nie wiążemy z niczem. Z pierwszego roku mego pobytu w Balbec, pamiętałem wzgórze, gdzie pani de Villeparisis lubiła nas wozić, bo stamtąd widać było tylko wodę i las, nazywało się to Beaumont. Ponieważ droga, którą zwykle kazała tam jechać i która się jej zdawała najładniejsza z powodu starych drzew, pięła się cały czas pod górę, powóz musiał jechać stępa i bardzo długo. Przybywszy na szczyt wzgórza, wysiadaliśmy, przechadzaliśmy się trochę, wsiedliśmy do powozu i wracaliśmy tą samą drogą, nie spotkawszy żadnej wioski, żadnego dworu. Wiedziałem, że Beaumont to coś bardzo ciekawego, bardzo dalekiego, bardzo wysokiego; nie miałem najmniejszego pojęcia o kierunku w którym się to znajduje, ile że nigdy nie jechałem przez Beaumont udając się gdzieindziej; to był zresztą dobry kawał drogi powozem. Leżało to Beaumont oczywiście w tym samym departamencie (lub w tej samej prowincji) co Balbec, ale znajdowało się dla mnie na innym planie, zażywało specjalnego przywileju exterytorjalności. Ale auto, które nie szanuje żadnej tajemnicy, ledwie minąwszy Incarville, którego domy miałem jeszcze w oczach, wpadło na zбочce



kończące się w Parville (*Paterni villa*): widząc morze z wysokości na którejsmy się znaleźli, spytałem, jak się nazywa ta miejscowość; ale zanim jeszcze szofer zdążył mi odpowiedzieć, poznałem Beaumont, obok którego przejeżdżałem, nie wiedząc o tem, za każdym razem kiedym jechał kolejką, bo było o dwie minuty od Parville. Jak oficer z mojego pułku, któryby mi się zdawał specjalną istotą, zbyt życzliwy i prosty aby być z wielkiej rodziny, zbyt odległy już i tajemniczy aby być poprostu z wielkiej rodziny, a o którym bym się dowiedział, że jest szwagrem lub kuzynem osób, z którymi świeżo spotkałem się gdzieś na obiedzie — tak Beaumont, nagle złączone z miejscowościami od których zdawało mi się tak odrębne, straciło swoją tajemnicę i zajęło miejsce w okolicy, każąc mi myśleć ze zgrozą, że pani Bovary i Sanseverina wydałyby się może istotami podobnymi do innych, gdybym je spotkał gdzieindziej niż w zamkniętej sferze powieści.

Może się zdawać, że moje upodobania do czarodziejskich podróży koleją powinny by mnie wstrzymać od dzielenia zachwyków Albertyny nad samochodem, który wiedzie nawet chorego tam gdzie ów chory chce, i nie pozwala uważać — jak to czyniłem dotąd — położenia za indywidualną cechę niewzruszonych pięknością, za ich niezastąpioną istotę. I bez wątpienia auto nie czyniło z tego położenia — jak niegdyś kolej przypadkowości zwykłego życia, niemal idealnego przy wyjeździe, idealnego nawet w momencie przybycia, przybycia do tej wielkiej budowli, gdzie nie mieszka nikt i która nosi jedynie nazwę miasta — do dworca. (Dworzec kolei — jako cel — przyrzeka niejako dostępność, której staje się materjalizacją). Nie, auto nie wiodło nas równie czarodziejsko do miasta, którebyśmy widzieli zrazu w całości streszczonej w jego nazwie, ze złudzeniami widza w teatrze. Wprowadzało nas w kulisy ulic, zatrzymywało się dla uzyskania jakiejś informacji od przechodnia. Ale jako kompensatę tego poufalego stopniowania ma się bodaj wahania szofera niepewnego drogi, cofającego się raz po raz, krzyżowania się perspektyw, każące grać zamkowi w „cztery kąty” z pagórkami, kościołem i morzem podczas gdy się zbliżamy do niego, mimo że się napróżno kryje pod odwiecznymi drzewami; te coraz to ciasniejsze kręgi, jakie opisuje samochód dokoła urzeczzonego miasta, które uciekało we wszystkich kierunkach aby umknąć i na które wreszcie wali wprost, przez dolinę, gdzie ono leży rozciągnięte na ziemi; tak iż samochód, napozór odzierając to położenie z tajemnicy kurjerskich pociągów, daje przeciwnie wrażenie, że je odkrywamy, że je określamy sami jak cyrklem, że dzięki niemu miłośniej badawczą ręką, z subtelniejszą precyzją, czujemy prawdziwą geometrię, poetycki wymiar ziemi.

Jednej rzeczy na nieszczęście nie wiedziałem w tej chwili i dowiedziałem się aż w dwa lata później; mianowicie że jednym z klientów mego szofera był p. de Charlus; że Morel, mając polecone płacić mu (przyczem chował część pieniędzy dla siebie, w ten sposób że kazał szoferowi liczyć trzykrotną i pięciokrotną ilość kilometrów), bardzo się z nim zaprzyjaźnił (udając przy ludziach, że go nie zna) i odbywał jego autem dalekie wycieczki. Gdybym był to wiedział wówczas, i to iż zaufanie jakiego niebawem Verdurinowie nabrali do tego szofera, pochodzi, bez ich wiedzy, z tego źródła, zdołałbym może uniknąć wielu zgrzytów mego przyszłorocznego paryskiego życia, wielu nieszczęść wiążących się z Albertyną. Ale ja o tem nie miałem pojęcia. Same w sobie, przejażdżki pana de Charlus z Morelem nie interesowały mnie bezpośrednio. Ograniczały się zresztą najczęściej do jakiegoś śniadania lub obiadu w restauracji na wybrzeżu, gdzie p. de Charlus uchodził za starego zrujnowanego lokaja, a Morel, który miał polecone płacenie rachunków, za nazbyt łaskawego panicza. Opowiem jedną z tych biesiad, zdolną dać pojęcie o innych. Było to w restauracji, mieszczącej się w podłużnym budynku w Saint-Mars-le-Vêtu.

— Czy nie możnaby tego sprzątnąć — spytał p. de Charlus Morela, aby się nie zwracać wprost do garsonów. Owo „to”, to były trzy zwiędłe róże, którymi troskliwy gospodarz uważał za właściwe ozdobić stół.

— Owszem... — odpowiedział Morel zakłopotany. — Pan nie lubi róż?

— Moja prośba dowodziłaby przeciwnie, że je lubię, bo tu przecie nie ma żadnych róż (Morel uczynił gest zdziwienia); ale istotnie, nie przepadam za różami. Jestem dość wrażliwy na nazwy; z chwilą zaś, gdy trafi się na ładną różę, dowiaduje się człowiek, że ona się nazywa *baronne de Rothschild* albo *Maréchale Niel*; to wystarcza aby zmrozić. Czy ty lubisz nazwy, nazwiska, tytuły? Czyś znalazł ładne tytuły dla swoich utworów?

— Jeden nazywa się *Poemat smutku*.

— To ohydne — odparł p. de Charlus głosem ostrym i świszczącym jak policzek. — Prosiłem o szampan? — rzekł do garsona, który sądził iż właśnie go podaje, stawiając przed klientami dwa kieliszki napełnione musującym winem.

— Ależ, proszę pana...

— Zabierzcie tę okropność, która nie ma żadnego związku z najgorszym szampnem. To środek na wymioty, zwany *cup*, gdzie zazwyczaj moczy się trzy zgniłe truskawki w mieszaninie octu i wody sodowej. Tak — ciągnął zwracając się do Morela — ty najwidoczniej nie wiesz, co to jest tytuł. A nawet w interpretacji tego co grasz najlepiej, nie spostrzegasz strony medjumicznej.

— Jak pan powiada? — spytał Morel, który, nie rozumiawszy absolutnie nic ze słów barona, bał się stracić jakąś pożyteczną informację, jak na przykład zaproszenie na śniadanie. Ponieważ p. de Charlus nie raczył uznać tego „jak pan powiada?” za pytanie, Morel, nie otrzymawszy odpowiedzi, uważał za właściwe odmienić rozmowę i dać jej charakter zmysłowy:

— Och, niech pan patrzy na tę blondaskę, sprzedającą kwiaty których pan nie lubi; to dziewczę ma z pewnością jakąś młodą przyjaciółkę. A ta stara, która je obiad w głębi, także.

— Ale skąd ty wiesz to wszystko? — spytał p. de Charlus, oczarowany wszechwiedzą Morela.

— Och, w sekundę zgaduję takie rzeczy. Gdybyśmy się tak przeszli we dwójkę w tłumie, zobaczyłby pan, że nie pomyliłbym się ani dwóch razy.

I ktoby w tej chwili widział Morela i jego dziewczęcą minę w pełni męskiej piękności, zrozumiałby nieokreśloną wymowę, która sygnalizowała go pewnym kobietom, tak jak te kobiety jemu. Miał ochotę wyparować Jupiena, w mglistej ochocie pomnożenia swojego „*fixe*” sumami, które, jak przypuszczał, ex-krawiec wyciągał z barona.

— Na żygolakach znam się jeszcze lepiej, oszczędził bym panu wszelkich pomyłek. Niedługo będzie jarmark w Balbec, znaleźlibyśmy to i owo. A w Paryżu, zobaczyłby pan, dopiero by się pan zabawił!

Ale dziedziczna ostrożność lokajka kazała mu dać inny tok zdaniu, które już rozpoznał. Tak iż p. de Charlus myślał że wciąż chodzi o dziewczęta.

— Widzi pan — mówił Morel, pragnąc, w sposób mniej dla siebie kompromitujący (mimo że w gruncie bardziej niemoralny) podniecić zmysły barona — mojem marzeniem byłoby znaleźć dziewczynę bardzo czystą, zyskać jej miłość i uszczknąć cnotę.

P. de Charlus nie mógł się wstrzymać, aby nie uszczypnąć czule Morela w ucho, ale dodał naiwnie:

— Na co by ci się to zdało? Jeśli byś ją naruszył, musiałbyś się z nią żenić.

— Żenić się! — wykrzyknął Morel, który odczuł podniecenie barona, nie miał zaś świadomości, że mówi z człowiekiem w sumie bardziej skrupulatnym niż sądził. — Żenić się? Bujda! Przyrzekłbym jej, ale po załatwieniu operacyjki puściłbym ją kantem jeszcze tego wieczora.

Kiedy panu de Charlus fikcja mogła dać przelotną zmysłową rozkosz, zwykł był się z nią godzić, gotów jednak cofnąć swoją zgodę w chwilę później, gdy rozkosz wygaśnie.

— Doprawdy, zrobiłbyś to? — rzekł do Morela, śmiejąc się i przysuwając się bliżej.

— I jak! — rzekł Morel, widząc że nie razi barona szczerością swoich istotnych pragnień.

— To niebezpieczne — rzekł p. de Charlus.

— Spakowałbym rzeczy zawczasu i dałbym nogę nie zostawiając adresu.

— A ja? — spytał p. de Charlus.

— Zabrałbym pana z sobą, rozumie się — skwapliwie powiedział Morel, który nie pomyślał o tem coby się stało z baronem, jako że to była najmniejsza jego troska. O, wie pan, jest dziewczyna, któraby mi się bardzo nadała; szwaczucia, ma sklep w pałacu księcia Błażeja.

— Córka Jupiena — wykrzyknął baron w chwili gdy się zjawił garson. — Och, za nic! — dodał, czy że obecność trzeciej osoby ostudziła go, czy że nawet w tego rodzaju czarnych mszach, w których lubował się plugawieniem rzeczy najświętszych, nie zdolny był poświęcić osób, które darzył sympatią. — Jupien jest zacny człowiek, ta mała jest urocza, to byłoby szkaradnie skrzywdzić ich.

Morel uczuł iż zaszedł za daleko i zamilkł, ale spojrzenie jego dalej ściagało w próżni dziewczynę, przy której pragnął swego czasu być przezemnie tytułowany per „drogi wielki artysto” i u której zamówił kamizelkę. Bardzo pracowita z natury, dziewczyna nie wyjechała na wakacje, ale dowiedziałem się później, że podczas gdy skrzypek bawił w okolicach Balbec, ona nie przestawała myśleć o jego pięknej twarzy, uświetnionej w jej oczach tem, że widząc Morela ze mną, wzięła go za „panicza”.

— Nigdy nie słyszałem samego Chopina — rzekł baron — a przecie mogłem go słyszeć; brałem lekcje u Stamatiego, ale zabronił mi chodzić do ciotki Chimay, aby słuchać mistrza Nokturnów.

— Cóż za cymbał! — wykrzyknął Morel.

— Przeciwnie — odparł świszczącym głosem p. de Charlus. — Dowiódł tem inteligencji. Zrozumiał, że ja, przy swojej wrażliwej naturze, byłbym uległ wpływowi Chopina. To nie ma znaczenia, wobec tego że bardzo młodo porzuciłem muzykę, jak wszystko inne. A zresztą, człowiek nadrabia wyobraźnią — dodał baron nosowym głosem, rozwlekając sylaby; — są zawsze ludzie którzy go słyszeli, którzy mogą dać pojęcie. Wreszcie Chopin był mi tylko pretekstem, aby wrócić do strony medjumicznej, którą ty zaniedbujesz.

Czytelnik zauważył, że po dygresji w języku pospolitym, styl pana de Charlus stał się nagle z powrotem równie wyszukany i wyniosły jak był zazwyczaj. Bo myśl, że Morel bez skrupułów „puściłby kantem” zgwałconą dziewczynę, dała mu nagle zakosztować kompletnej rozkoszy. Z tą chwilą, zmysły jego ukoili się na jakiś czas; sadysta (naprawdę medjumiczny), który zajął na chwilę miejsce Charlusa, znikł i wrócił głos prawdziwemu Charlusowi, pełnemu artystycznych wyrafinowań, wrażliwości, dobroci.

— Grałeś któregoś dnia transkrypcję XV kwartetu na fortepian, co już jest idjotyzm, bo nie ma rzeczy mniej fortepianowej. Przyrządzono go dla ludzi, których uszy rażą zbyt napięte struny ogłuchłego geniusza. Otóż właśnie ten mistycyzm, niemal cierpki, jest boski. W każdym razie, grałeś to bardzo lichy, zmieniając wszystkie tempa. Trzeba grać tak, jakbyś to komponował: młody Morel, dotknięty chwilową głuchotą i nieistniejącym geniuszem, trwa jakiś czas bez ruchu. Potem, o władnięty świętym szałem, gra, tworzy pierwsze takty: wyczerpany wysiłkiem, zapada się, strząsając wdzięczny pukiel włosów, aby oczarować panią Verdurin; co więcej, zyskuje w ten sposób czas, aby odnowić olbrzymią ilość szarej substancji zużytej na pityjskie wcielenie. Wówczas, odzyskawszy siły, porwany nowym i nadziemskim transem, rzuca się na boską niewygasłą frazę, którą berliński wirtuoz (zdaje się, że p. de Charlus określał w ten sposób Mendelsohna) miał niestrudzenie naśladować. Oto w jaki sposób — jedyny naprawdę transcendentalny i twórczy — będziesz to musiał zagrać w Paryżu.

Kiedy p. de Charlus dawał Morelowi wskazówki tego rodzaju, skrzypek był o wiele bardziej przerażony niż widząc jak garson zabiera wzgardzone róże i *cup*; zastanawiał się z niepokojem, jakie to wrażenie zrobi w „klasie”. Ale nie mógł się oddać tym refleksjom, bo p. de Charlus rzekł rozkazująco:

— Spytaj się garsona, czy ma chrześcijanki.

— Chrześcijanki?... Nie rozumiem.

— Widzisz, że jest pora na owoce, chodzi o gruszkę. Możesz być pewien, że pani de Cambremer, jako prawa hrabina d’Escarbagnas, ma te bonkretki. Pan Thibaudier posyła jej gruszki, a ona powiada: „*Voilà du bon chrétien, qui est fort beau*”.

— Nie, nie wiedziałem.

— Widzę, widzę, że ty nic nie wiesz. Jeżeliś ty nie czytał nawet Moliera... No i co, skoro, obok innych braków, nie umiesz rozkazywać, poproś poprostu o gruszki, które rodzą się właśnie w tych stronach: *Louise-Bonne d’Avranches*...

— Louise jak?...

— Zaczekaj, skoro jesteś tak niezdarny, ja sam zażądam innych, które wolę. Garson, macie tutaj *la Doyennee des Comices*? Charlie, powinienbyś przeczytać uroczy ustęp, jaki napisała o tej gruszce księżna Emilia de Clermont-Tonnerre.

— Nie, proszę pana, nie mamy.

— Macie *Triomphe de Jodoigne*?

— Nie, proszę pana.

— *Virginie-Dallet*? Nie? a *Passe-Colmar*? Nie, w takim razie, skoro nie macie nic, trzeba się nam zabierać. *Duchesse d'Angouleme* jeszcze nie jest żrała; chodź, Charlie, idziemy.

Nieszczęściem dla pana de Charlus, jego brak zrównoważenia, może przypuszczalna niewinność jego stosunków z Morelem, kazały mu się wysilać od tego czasu na obsypywanie skrzypka osobliwymi łaskami, których ten nie mógł zrozumieć i które natura jego, warjacka na swój sposób, ale niewdzięczna i małostkowa, mogła odpłacić jedynie oschłością lub brutalnością. Przejawy te, wciąż rosnące, grążyły pana de Charlus — niegdyś tak dumnego, teraz spłoszonego — w napadach prawdziwej rozpacz. Ujrzymy, jak w najmniejszych rzeczach, Morel, który uważał że sam stał się panem de Charlus, ale tysiąc razy ważniejszym, fałszywie zrozumiał (biorąc je dosłownie) wyniosłe nauki barona w przedmiocie arystokracji. Powiedzmy poprostu na razie (podczas gdy Albertyna czeka na mnie w Saint-Jean de la Haise), że jeżeli było coś, co Morel stawiał powyżej urodzenia (i to było u niego w zasadzie dość szlachetne, zwłaszcza jak na człowieka, którego przyjemnością było polować na małe dziewczynki — „ani widu ani słyhu” — z szoferem), rzeczą tą była jego reputacja jako artysty i sąd jego klasy skrzypiec. Bez wątpienia, brzydkie było zapierać się ostentacyjnie barona, drwić sobie z niego, dlatego że Morel czuł w panu de Charlus całkowite oddanie. Podobnie ze mną: odkąd mu przyrzekłem sekret co do funkcji jego ojca u mojego wuja, zaczął mnie traktować z góry. Ale z drugiej strony firma dyplomowanego artysty — Morel — zdawała mu się czemś więcej od „nazwiska”. I kiedy p. de Charlus, w swoich marzeniach o platonicznej czułości, chciał go obdarzyć jednym z tytułów będących w posiadaniu jego rodziny, Morel stanowczo odmówił.

Kiedy Albertyna decydowała się przez rozsądek zostać w Saint-Jean de la Haise aby malować, zabierałem auto; wówczas, zanim wróciłem po nią, mogłem się puszczać nietylko do Gourville i do Féterne, ale do Saint-Mars le Vieux, nawet do Criquetot. Udając że jestem zajęty czem innym niż ona i że ją muszę opuszczać dla innych przyjemności, myślałem tylko o niej. Często jechałem nie dalej niż do wielkiej równiny nad Gourville, że zaś równina ta podobna jest nieco do tej, która się rozciąga powyżej Combray, w kierunku Méséglise, tedy nawet dość daleko od Albertyny myślałem z radością, że o ile moje spojrzenia nie mogą dobiec do niej, ten potężny i luby wiatr od morza, przepływający obok mnie i sięgający dalej od nich, dotrze, niewstrzymany niczem, aż do Quetteholme; poruszy gałęzie drzew kryjących kościół Saint Jean de la Haise w swojej zieleni, pieszcząc zarazem twarz mojej przyjaciółki; i w ten sposób stworzy podwójny węzeł między nami w tem rozprzestrzenionem bezkresnie zaciszu, ale bez ryzyka, jak w owych grach dzieciennych, gdzie dwoje dzieci znajduje się chwilami poza wzajemnym zasięgiem głosu i wzroku, i gdzie, mimo że oddalone, są jednakże z sobą.

Wracałem temi drogami, skąd widać morze i gdzie niegdyś, zanim się zjawilo poprzez gałęzie, zamykałem oczy, aby sobie uświadomić iż to co mam ujrzeć, to jest skarżąca się macierz ziemi, miotająca się, jak w czasach gdy nie było jeszcze żywych istot, w obłądnym i wiekuistym ruchu. Teraz drogi te były dla mnie już tylko sposobem dotarcia do Albertyny; kiedym je poznawał, zupełnie takie same, wiedząc dokąd biegna prosto, gdzie skręca, przypominałem sobie, że jechałem niegdyś niemi, myśląc o pannie de Stermaria. I myślałem również, że tę samą niecierpliwosć co teraz w stosunku do Albertyny, odczuwałem w Paryżu, idąc ulicami które mi zwykła chodzić pani de Guermantes; te drogi nabierały dla mnie jakiejś głębokiej monotonji, uzmysławiały mi jakgdyby linję mojego charakteru. Było to naturalne, a jednak nie było obojętne; przypominały mi, że losem moim jest ścigać jedynie cienie, istoty których realność mieściła się przeważnie w mojej wyobraźni. Są takie jednostki — i ja należałem do nich od młodu — dla których wszelka wartość stała, dostępna sprawdzeniu, jak majątek, powodzenie, stanowisko, nie istnieje; trzeba im właśnie cieniów. Poświęcają dla nich resztę, wprawiają wszystko w ruch, do wszystkiego się uciekają, aby spotkać jakiś cień. Ale ten cień rozwiewa się; wówczas gonią za innym, choćby mieli wrócić potem do tamtego.

Nie pierwszy to raz szukałem Albertyny, dziewczyny ujranej przed paru laty nad morzem. Prawda że inne kobiety wcisnęły się między Albertynę pokochaną zrazu, a tę, z którą prawie nie rozstawałem się teraz; inne, zwłaszcza księżna Oriana. Ale, powie ktoś, poco było tyle się gryźć z powodu Gilberty, poco było zadawać sobie tyle trudu dla pani de Guermantes, skoro, kiedym się z nią zaprzyjaźnił, to jedynie poto, aby myśleć już nie

o niej, lecz wyłącznie o Albertynie. Swann byłby mógł przed śmiercią odpowiedzieć na to, on który był miłośnikiem cieniów.

Tak, drogi w Balbec pełne były tych cieniów, cieniów ściganych, zapomnianych, szukaných na nowo czasem dla jednego widzenia, poto aby dotknąć jakiegoś nierealnego życia, które natychmiast uciekało. Myśląc że te przydrożne drzewa, grusze, jabłonie, tamarzki przeżyją mnie, miałem uczucie, że mi dają radę abym się wreszcie wziął do pracy, zanim jeszcze wybiła godzina wiecznego spoczynku.

Wysiadłem z wehikułu w Quetteholme, biegłem stromym wąwozem, przebywałem strumień po kładce i znajdowałem Albertynę, malującą przed kościołem o mnóstwie wieżyczek, kolczastym i czerwonym, kwitnącym jak krzak róży. Jedyne tympan był gładki; na pogodnej kamiennej ścianie wykwiwały anioły, które wobec nas, młodej pary z XX wieku, wciąż odprawiały, ze świecami w ręku, obrzędy z wieku XIII. Ich kształty właśnie starała się Albertyna oddać na rozpiętym płótnie; naśladowując Elstira, machała szeroko pendzlem, starając się odtworzyć szlachetny rytm, który — jak rzekł wielki mistrz — czyni te anioły czemś tak odmiennem od wszystkiego co znał. Potem zbierała swoje rzeczy. Wsparci o siebie, wracaliśmy pod górę wąwozem, opuszczając kościółek równie spokojny co gdyby nas nie widział, nadsłuchujący wiecznego szumu strumienia. Niebawem auto pomykało, wracając inną drogą niż ta którąśmy przyjechali. Przejeżdżaliśmy koło dumnej Marcouville. Na kościele wpół nowym wpół odnowionym, zachodzące słońce kładło swoją patynę, równie piękną jak patyna wieków. Poprzez tę patynę, widniały wielkie płaskorzeźby, jakgdyby poprzez warstwę płynu, pół ciekłą pół świetlną: Matka Boska, święta Elżbieta, święty Joachim, kąpali się jeszcze w nieuchwytnym prądzie, prawie na sucho, na powierzchni wody lub słońca. Wyłaniając się w gorącym pyłe, nowoczesne posągi wznosiły się na kolumnach aż do połowy złożonych zasłon zachodu. Przed kościołem rósł wielki cyprys niby w jakimś poświęconym zakolu. Wysiadaliśmy na chwilę aby nań popatrzeć i szliśmy kilka kroków. Albertyna miała żywą świadomość swego kapelusika z włoskiej słomki i jedwabnego woala (będących dla niej organicznym ośrodkiem dobrego samopoczucia) i czerpała z nich, obchodząc kościół dokoła, podniecie, wyrażającą się w zadowoleniu biernem, ale nie pozbawionem wdzięku. Ten woal i toczek były dla mnie jedynie cząstką mojej przyjaciółki, świeżą, przygodną, ale już mi drogą; śledziłem oczami ich smugę koło cyprysa w atmosferze wieczoru. Ona sama nie mogła widzieć, ale domyślała się że w tych wykwiatach jest jej ładnie, bo uśmiechała się do mnie, zestrajając ruch głowy z jej nakryciem i dopełnieniem. „Nie podoba mi się ten kościół, odrestaurowany”, rzekła, wskazując kościół i przypominając sobie to, co mówił Elstir o niedoścignionem pięknie starych kamieni. Albertyna umiała natychmiast poznać ślad restauracji. Podziw mogła budzić jej pewność smaku w architekturze, w porównaniu z żalonym gustem, jaki zachowała w muzyce.

Jak Elstir, nie lubiłem tego kościoła. Chłodno patrzałem na jego zalaną słońcem fasadę, która zjawiała się przed memi oczami; wysiadłem, aby spojrzeć na nią jedynie przez uprzejmość dla Albertyny. Mimo to, uważałem, że wielki impresjonista przeczy samemu sobie; czemu ten fetyszizm obiektywnej wartości architektury, nie uwzględniający przeobrażenia kościoła w zachodzie słońca?

— Nie, stanowczo — rzekła Albertyna — nie lubię go, lubię jego nazwę: „pyszny”. Ale trzeba się będzie zapytać Brichota, czemu Saint-Mars nazywa się „*le Vêtu*”. Pojedziemy tam następnym razem, prawda? — rzekła, patrząc na mnie czarnymi oczami, na które toczek zsunął się jak niegdyś „polo”. Woal bujał. Wsiadłem z nią do auta, szczęśliwy że jutro mamy jechać razem do Saint-Mars. W ów gorący czas, kiedy myślało się tylko o kąpeli, dwie starożytne rdzawe wieże, kryte rombami dachówek, lekko pochylone i jakby drgające, robiły wrażenie starych śpiczastych ryb, inkrustowanych łuską, omszonych i rudych, wznoszących się bez ruchu w przezroczystej i błękitnej wodzie. Opuszczając Marcouville, dla zyskania na czasie, skręciliśmy w boczną drogę, przy której, na skrzyżowaniu, znajdowała się ferma. Czasem Albertyna prosiła aby się zatrzymać i posyłała mnie abym przyniósł do auta coś do picia, calvadosu lub jabłecznika, który, jak upewniano, nie miał się pienić a który obryzgiwał nas całych pianą. Siedzieliśmy przytuleni do siebie. Ludzie z folwarku ledwie mogli dojrzeć Albertynę w zamkniętym wehikule; oddawałem im butelki, jechaliśmy wieść dalej owo podejrzwane przez nich życie we dwoje, życie kochanków, w którym ten postój był tylko nieznaczną chwilą. Podejrzenie to wy-

dałoby się tem bliższe prawdy, gdyby nas widziano później, skoro Albertyna wysączyła już butelkę jabłecznika; wówczas możnaby sądzić, że już nie może znieść między sobą a mną najlżejszego oddalenia; przez płócienną spódnicę nogi jej przyciskały się do moich, zbliżała do moich policzków swoje, które stawały się blade, ciepłe i zaczerwienione na kościach policzkowych, z odcieniem czegoś gorącego i zwiędłego, niby u dziewczyny ulicznej. W momentach tych, Albertyna zmieniała nie tylko osobowość ale i głos; traciła własny, aby przybrać jakiś inny, schrypiły, zuchwały, niemal plugawy. Wieczór zapadał. Co za rozkosz czuć ją przy sobie z jej woalem i toczkiem, przypominając sobie, że zakochane pary zawsze widuje się tak przytulone do siebie. Kochałem może Albertynę, ale nie śmiałem jej okazać tej miłości, mimo że, o ile we mnie istniała, to chyba tylko jak prawda pozbawiona wartości, dopóki się jej nie sprawdzi doświadczeniem; otóż, miłość ta wydawała mi się czemś nieziszczalnym, czemś poza płaszczyznę życia.

Co się tyczy mojej zazdrości, kazała mi ona możliwie najmniej rozstawać się z Albertyną, mimo iż wiedziałem że całkowicie może ją uleczyć aż zupełne zerwanie. Mogłem czuć zazdrość nawet przy niej, ale wówczas starałem się unikać okoliczności, która ją we mnie wzbudziła. I tak, pewnego pogodnego dnia wybraliśmy się na śniadanie do Rivebelle. Wielkie oszklone drzwi długiego hału gdzie się piło zazwyczaj podwieczorek, otwierały się wprost na złote od słońca trawniki, tak iż obszerna, lśniąca restauracja zdawała się stanowić ich część. Garson z różową twarzą, z czarnymi włosami skręconymi jak płomień, rzucał się w tę rozległą przestrzeń mniej chyżo niż dawniej, bo już był nie pikolem, lecz całym kelnerem; mimo to, wskutek jego wrodzonej ruchliwości, czasem zdaleka w jadalni, czasem bliżej ale na dworze (gdy obsługiwał gości, lubiących śniadać w ogrodzie) widziało się go to tu, to tam, niby kolejne posągi młodego biegnącego boga, jedne w dobrze zresztą oświetlonym wnętrzu budynku przedłużającego się w zielone gazon, to znów wśród drzew, w blasku życia pod gołym niebem. Przez chwilę znalazł się obok nas. Albertyna odpowiadała mi z roztargnieniem. Patrzała na niego rozszerzonymi oczami. Przez kilka minut czułem, że można być obok osoby, którą się kocha, a jednak nie mieć jej przy sobie. Robili oboje wrażenie jakiegoś tajemniczego sam na sam, oniemionego moją obecnością; następstwo może dawnych schadzek, których nie znałem, lub tylko zamienionego spojrzenia, którego byłem krępującym i zbytecznym świadkiem. Nawet kiedy garson, odwołany nagle przez gospodarza, oddalił się, Albertyna robiła wrażenie, że restauracja i ogród są dla niej jedynie promienną bieżnią, gdzie zjawia się, to tu, to tam, na różnym tle, biegnący czarnowłosy bóg. Przez chwilę nie byłem pewny, czy ona nie zostawi mnie samego, aby biec za nim.

Ale w następnych dniach, rychło zacząłem zapominać na zawsze tego przykrego wrażenia, bom postanowił nigdy nie wracać do Rivebelle; kazałem sobie przyrzec Albertynie (upewniła mnie, że była tam pierwszy raz), że nie wróci tam nigdy. A ja przeczyłem aby garson o chyżych stopach wypatrywał na nią oczy, iżby nie sądziła, że moja obecność pozbawiła ją jakiejś przyjemności. Zdarzyło mi się czasem wpaść do Rivebelle, ale same-mu, i pić tam za dużo, jak bywało dawniej. Wypróżniając ostatni kieliszek, patrzyłem na rozetę wymalowaną na białej ścianie, skupiałem na niej wszystką rozkosz chwili. Jedynie ta rozeta istniała dla mnie; ścigałem ją oczami, dosięgałem jej i gubiłem ją naprzemian przelotnym spojrzeniem, obojętny na przyszłość, zadowolając się tą rozetą, niby motyl gdy krąży dokoła motyla, z którym ma dokonać życia w akcie szczytowej rozkoszy. Chwila była może szczególnie nadająca się dla wyrzeczenia się kobiety, gdy żadne świeże i dotkliwe cierpienie nie kazało mi błagać jej o ów balsam przeciwko bólowi, który posiadają te co ból sprawiły. Uspokajały mnie same owe spacer; mimo iż w danej chwili były dla mnie jedynie oczekiwaniem jutra, które znowuż, mimo pragnień jakie we mnie budziło, nie miało być czemś różnym od wczoraj, posiadały ten urok, że były wyrwane z miejsc, gdzie dotąd żyła Albertyna i gdzie mnie z nią nie było, u jej ciotki, u przyjaciółek. Był to urok, bardzo mocny zresztą, nie pozytywnej radości, ale tylko uśmierzenia niepokoju. Bo w kilka dni potem, kiedym znów myślał o fermie w której piliśmy jabłecznik, o spacerze koło Saint-Mars le Vêtu, kiedym sobie przypomniał Albertynę idącą koło mnie w swoim toczku, poczucie jej obecności przydało nagle tyle wartości obojętnemu obrazowi nowego kościoła, że w chwili gdy zalana słońcem fasada zjawiała się niejako sama z siebie w moim wspomnieniu, miałem wrażenie jakby to był wielki kojący kompres, przyłożony na moje serce.

Wysadzałem Albertynę w Parville, aby znów spotkać się z nią wieczór i wyciągnąć się obok niej w ciemności nad morzem. Oczywiście, nie widywałem jej codziennie, ale mogłem sobie choć powiedzieć: „Gdyby miała opowiedzieć swoje dni, swoje życie, i tak ja zajmowałbym w niem najwięcej miejsca.” Spędzaliśmy z sobą długie godziny, przepajające moje dni taką słodyczą, że nawet kiedy w Parville Albertyna wyskakiwała z auta, które miałem jej odesłać za godzinę, nie czułem się w aucie bardziej sam, niż gdyby wysiadając zostawiła w niem kwiaty. Byłbym się mógł obejść bez widywania Albertyny codziennie; żegnałem ją szczęśliwy, czułem iż końące działanie tego szczęścia może się rozciągać na kilka dni. Ale wówczas słyszałem jak Albertyna, rozstając się ze mną, mówiła do ciotki lub przyjaciółki:

— Zatem jutro o wpół do dziewiątej. Tylko się nie spóźnij, oni będą gotowi już o kwadrans na dziewiątą.

Mowa kobiety którą się kocha podobna jest do gruntu kryjącego podziemną i niebezpieczną wodę; w każdej chwili czuje się poza słowami obecność i wnikliwy chłód niewidzialnej tafli wodnej; widzi się tu i ówdzie zdradliwą wilgoć, ale samej wody nie. Ledwie usłyszał słowa Albertyny, przepadł mój spokój. Chciałem ją prosić o spotkanie nazajutrz rano, aby nie mogła iść o wpół do dziewiątej na tę tajemniczą schadzkę, o której mówiła przy mnie półsłówkami. Usłuchałaby mnie z pewnością w pierwszych czasach, mimo iż żałując zepsutych projektów; potem odkryłaby moją ciągłą potrzebę niweczenia ich; stałbym się człowiekiem, przed którym ukrywa się wszystko. Bardzo być może zresztą, że te zabawy, z których mnie wykluczono, nie miały w sobie nic szczególnego; może mnie nie zapraszano z obawy iż któraś z uczestniczek mogłaby mi się wydać pospolita lub nudna. Nieszczęściem, owo moje życie tak splecione z życiem Albertyny miało wpływ nie tylko na mnie; mnie dawało spokój, matkę zaś przyprawiało o niepokoje, których zwierzenie zniweczyło znowuż mój spokój. Kiedy wracałem zadowolony, zdecydowany skończyć lada dzień tryb życia, którego koniec (sądziłem) zależał wyłącznie od mojej woli, matka, słysząc że każę szoferowi jechać po Albertynę, rzekła:

— Jak ty wyrzucasz pieniądze! (Franciszka, w swoim prostym wyrazistym języku, mówiła: „pieniądze lecą”). Staraj się — ciągnęła mama — nie być podobnym do młodego Sévigné, o którym matka mówiła: „Pieniądz topi mu się w ręce jak w tyglu”. I wiesz... zdaje mi się, że ty doprawdy nadużywasz tego obnoszenia się z Albertyną. Upewniam cię, że to przesada, że to nawet dla niej może się wydać bez sensu. Byłam bardzo rada, że cię to bawi; nie proszę cię abyś ją całkiem przestał widywać; ale ostatecznie, wolałabym abyście byli mniej nierozłączni.

Moje życie z Albertyną, życie pozbawione — przynajmniej w moim odczuciu — wielkich przyjemności, owo życie, które zamierzałem odmienić lada dzień, korzystając z godziny spokoju, stało mi się nagle na jakiś czas potrzebne, z chwilą gdy było zagrożone przez te słowa mamy. Powiedziałem matce, że słowa jej opóźniły może o dwa miesiące pożądaną decyzję, która bez nich byłaby zapadła przed końcem tygodnia. Mama zaczęła się śmiać (aby mnie nie zasmucać) z doraźnego skutku swoich rad; przyrzekła mi nie mówić już o tem, aby nie przeszkadzać odrodzeniu się moich intencji. Ale od śmierci babki, za każdym razem kiedy mama zaczynała się śmiać, wnet śmiech jej urywał się i kończył wyrazem niemal bolesnego łkania, czy to przez wyrzut że mogła na chwilę zapomnieć, czy wskutek nawrotu, którym owo tak krótkie zapomnienie wzmogło jeszcze jej okrutną żalność. Ale ze zgryzotą którą jej sprawiało wspomnienie babki, obecne w matce bez przerwy, uczułem, że tym razem łączy się inna zgryzota, związana z tem, że matka bała się następstw mojej zażyłości z Albertyną; zażyłości, której nie śmiała jednak krępować z powodu tego com jej powiedział. Ale nie zdawała się przekonana że ja się nie łudzę. Przypominała sobie, przez ile lat babka i ona sama nie wspominały mi już o pracy ani o higieniczniejszym sposobie życia, do którego, jak powiadałem, jedynie zdenerwowanie wywołane przez ich morały stało mi na zawadzie, a którego, mimo ich posłusznego milczenia, nie podjąłem.

Po obiedzie, auto przywoziło Albertynę; jeszcze było dość widno a już mniej gorąco, ale po upalnym dniu marzyliśmy oboje o nieznanym chłodzie; wówczas ukazywał się naszym zgorączkowanym oczom księżyc zrazu całkiem wąski (podobny księżycowi z owego wieczora, kiedy byłem na raucie u księżnej Marji i kiedy Albertyna później telefonowała do mnie), niby lekka i cienka skórka, potem jak świeża ćwiartka owocu obieranego na

niebie niewidzialnym nożem. Czasem znowuż wówczas trochę później — ja jechałem po Albertynę; miała mnie oczekiwać przed arkadami hali targowej w Maineville. W pierwszej chwili nie poznałem jej; niepokoiłem się już że nie przyjdzie, że mnie źle zrozumiała. Naraz zjawiała się w białej bluzce w niebieskie groszki, sadawiła się przy mnie w aucie lekkim skokiem raczej młodego zwierzęcia niż młodej dziewczyny. I również jak szczeniak zaczynała mnie pieścić bez końca.

Kiedy całkiem już zapadła noc i kiedy, jak powiadał dyrektor, niebo było całe uszatkowane gwiazdami, często jechaliśmy na spacer do lasu z butelką szampana; albo, nie troszcząc się o spacerowiczów włóczących się jeszcze po słabo oświetlonej didze, skąd nie było nic widać o dwa kroki na czarnym piasku, wyciągaliśmy się u stóp diuny. Trzymałem tuż około siebie, pod wspólnym pledem, nad brzegiem nieruchomego morza przedzielnego drżącym promieniem, ciało jej, gibkością swoją streszczające cały kobiecy, morski i sportowy wdzięk młodych dziewcząt, które ujrzałem pierwszy raz przeciągające nad widnokregiem fal; i słuchaliśmy bez znużenia tego morza, z jednaką przyjemnością, czy kiedy wstrzymywało oddech, na tyle zawieszony aby można było myśleć że odpływ się zatrzymał, czy kiedy gasło wreszcie u naszych stóp oczekiwanym i spóźnionym szmerem.

W końcu odwoziłem Albertynę do Parville. Skorośmy przybyli pod dom, trzeba było przerwać pocałunki, z obawy aby ktoś nas nie ujrzał; nie mając ochoty spać, Albertyna wracała ze mną do Balbec, skąd odwoziłem ją jeszcze raz do Parville; w owych pierwszych czasach automobilu, szoferzy to byli ludzie, którzy się kładli o dowolnej godzinie. I faktycznie wracałem do Balbec aż z pierwszą wilgocią ranną, wreszcie sam, ale jeszcze spowity obecnością przyjaciółki, zaopatrzony na długo w zapas pocałunków. Zastawałem na stole depezę lub kartę pocztową — jeszcze od Albertyny! Napisała do mnie z Quetteholme, podczas gdy ja odjechałem sam autem — aby mi powiedzieć, że myśli o mnie. Kładłem się do łóżka, odczytując jej słowa. Wówczas spostrzegłem nad frankami smugę jasnego dnia i powiadałem sobie, że musimy się chyba kochać, skorośmy spędzili noc na całowaniu się.

Kiedy nazajutrz rano spotykałem Albertynę na didze, tak się bałem jej odpowiedzi że nie jest tego dnia wolna i że nie będzie wspólnego spaceru, żem opóźniał swoją propozycję możliwie najdłużej. Byłem tem bardziej niespokojny, bo Albertyna miała wyraz chłodny, nieobecny; kręca się jej znajomi, z pewnością ma na popołudniu plany, z których mnie wykluczono. Patrzałem na nią, patrzałem na to urocze ciało, na różową główkę Albertyny, przeciwstawiającą mi niemo zagadkę swoich planów, nieznaną decyzję, która miała stanowić szczęście lub nieszczęście mojego popołudnia. Był to cały stan duszy, cała przyszłość istnienia, które przybrało w moich oczach alegoryczny i złowrogi kształt młodej dziewczyny. I kiedym się wreszcie zdecydował, kiedy możliwie najobojętniej spytałem: „Czy pojedziemy na spacer teraz i wieczorem”, ona zaś odpowiedziała: „Bardzo chętnie”, wówczas całe nagle przeobrażenie się — na tej różowej twarzy — mego długiego niepokoju w rozkoszny spokój czyniło mi jeszcze droższymi te kształty, którym bezustannie zawdzięczałem ową błogość, owo ukojenie, podobne temu jakiego się doznaje po burzy. Powtarzałem sobie: „Jaka ona miła, co za czarująca istota!” — w podnieceniu mniej płodnym niż alkoholowe, ledwie że głębszem niż egzaltacja przyjaźni, ale o wiele wyższem od wzruszeń życia światowego.

Odmawialiśmy auto jedynie w dniu kiedy był obiad u Verdurinów, lub kiedy, w razie przeszkód ze strony Albertyny, dawałem znać osobom pragnącym mnie odwiedzić, że zostaję w Balbec. Upoważniłem Roberta do odwiedzania mnie w te dni, ale tylko w te. Bo pewnego razu, kiedy się zjawił niespodzianie, wolałem się raczej wyrzec widzenia Albertyny niż ryzykować jej spotkanie z Robertem, narażać właściwy mi od jakiegoś czasu stan szczęśliwego spokoju i dopuszczać do nowych paroksyzmów zazdrości. I nie uspokoiłem się aż Saint-Loup wyjechał. Toteż zobowiązał się z żalem, ale skrupulatnie, nie zjawiać się nigdy w Balbec bez upoważnienia. Niegdyś, myśląc z zazdrością o godzinach, jakie spędza z Robertem pani de Guermantes, przywiązywałem taką cenę do widywania go! Ludzie zmieniają wciąż miejsce w stosunku do nas. W niedostrzegalnem ale wiekuistem posuwaniu się świata, zdają się nam nieruchomi w momencie wizji, zbyt krótkim abyśmy mogli odczuć ruch który ich unosi. Ale wystarczy nam wybrać w pamięci dwa obrazy zdjęte z nich w chwilach różnych ale na tyle bliskich aby dana osoba nie zmieniła



się wyraźnie sama w sobie, a różnica tych obrazów uzmysłowi nam jej przemieszczenie w stosunku do nas.

Saint-Loup zaniepokoił mnie straszliwie, wspominając o Verdurinach. Bałem się, aby mnie nie poprosił o wprowadzenie do nich, co by wystarczyło — z powodu mojej nieustannej zazdrości — aby zepsuć całą przyjemność czerpaną tam w towarzystwie Albertyny. Szczęściem, Robert zwierzył mi się, że wprost przeciwnie, za nic nie chce ich poznać. „Nie — powiedział — ten typ klerykalnych środowisk wydaje mi się okropny.” Nie zrozumiałem zrazu przymiotnika „klerykalny” w zastosowaniu do Verdurinów; ale dalsze słowa Roberta oświeciły mi jego myśl, jego koncesje dla modnych zwrotów, które nas dziwią często w ustach inteligentnych ludzi.

— To są środowiska — rzekł — gdzie wszyscy stanowią niby jedno plemię, gdzie się tworzy kongregacja, kapliczka. Nie powiesz mi, że to nie jest mała sekta; smaruje się tam miodem każdego kto do niej należy, smaga wzdąta tych co nie należą. Pytanie nie jest — jak dla Hamleta — *być albo nie być*, ale być albo nie być częścią „paczki”. Ty jesteś, wuj Charlus także. Cóż chcesz, ja tego nigdy nie lubiłem, to nie moja wina.

Rozumie się, iż zasadę, jaką nałożyłem Robertowi, aby mnie nie odwiedzał nie wzwany, zastosowałem równie ściśle do wszystkich osób z którymi zbliżyłem się w la Raspeliere, w Féterne, w Montsurvent i gdzieindziej; i kiedy spostrzegłem z hotelu dym przybywającego o trzeciej pociągu, który w skałach Parville gubił swój trwały pióropusz, długo uczepiony stoków zieleni, nie miałem żadnych wątpliwości co do osoby gościa, który przybywał na podwieczorek i który jeszcze, naksztalt jakiegoś boga, krył się przedemną w tej chmurze. Muszę wyznać, że tym gościem, z góry upoważnionym przeze mnie do przybycia, nie był prawie nigdy Saniette, co sobie często wyrzucałem. Ale świadomość własnej nudy (oczywiście jeszcze bardziej kiedy przyjeżdżał z wizytą, niż kiedy opowiadał jakąś historyjkę), sprawiała, iż Saniette, mimo że wykształceńszy, inteligentniejszy i lepszy od wielu innych, nie tylko nie sprawiał swoim towarzystwem żadnej przyjemności, ale przynosił wręcz z sobą nieznośny spleen, psujący człowiekowi całe popołudnie. Gdyby Saniette otwarcie wyznał swoją obawę znudzenia kogoś, wizyty jego nie byłyby tak groźne. Nuda jest jednym z najmniej poważnych cierpień; jego nuda istniała może tylko w wyobraźni innych, lub zaszczerpiono mu ją w drodze sugestji, której nie zdołała się oprzeć jego miła skromność. Ale tak bardzo pragnął utaić że nie jest chętnie widziany, iż nie śmiał się narzucać. Z pewnością dobrze czynił, nie naśladowując owych ludzi, co tak skwapliwie rozdają ukłony w miejscu publicznym, że, mimo iż was oddawna nie widzieli, spostrzegłszy was w łoży z wysoko położonymi osobami których nie znają, rzucają wam dorywcze i hałaśliwe „jak się masz!”, tłumacząc się przyjemnością, wzruszeniem jakiego im sprawił twój widok i sposobność stwierdzenia żeś znów pojawił się w „świecie”, że dobrze wyglądasz etc. Saniette, przeciwnie, miał za mało tupetu. Mógłby, czy u pani Verdurin czy w kolejce, powiedzieć mi, że gdyby się nie lękał być natrętnym, chętnie by mnie odwiedził w Balbec. Taka propozycja nie przestraszyłaby mnie. Przeciwnie, on nie proponował nic, ale ze zniechęcaną twarzą, ze spojrzeniem niezniszczalnym jak emalia, ale kryjącym gorączkową żądzę odwiedzenia mnie (o ile mu się nie trafiło coś przyjemniejszego) a zarazem chęć nie okazania tej żądzę, mówił swobodnie:

— Nie wie pan, co pan będzie robił w tych dniach, bo ja będę prawdopodobnie w pobliżu Balbec? Ale nie, to nie ma znaczenia, pytałem ot tak.

Ten wyraz twarzy nie mylił, odwrotnie zaś znaki, za pomocą których wyrażamy swoje uczucia przez ich przeciwieństwo, są tak czytelne, że trudno nam pojąć, jakim cudem istnieją jeszcze ludzie, powiadający naprzykład: „Mam tyle zaproszeń, że nie mogę sobie dać rady”, aby pokryć to, że nie są zaproszeni. Ale co więcej, ta swobodna mina, zapewne z powodu wszystkiego co wchodzi w jej mętny skład, przyprawia was o to, czego nie zdołałyby sprawić obawa znudzenia lub szczere wyznanie chęci widzenia was; rodzaj niesmaku, odrazy, będących, w zakresie stosunków towarzyskich, tem, czem jest w miłości pośrednia propozycja widzenia się nazajutrz, jaką zakochany robi nie kochającej go damie, starając się zarazem okazać że mu na tem nie zależy. Czasem jest to nawet nie propozycja, ale odcień fałszywego chłodu. Natychmiast z osoby Saniette’a wydzielano się coś, co sprawiało, że mu się odpowiadało najczulej w świecie: „Niestety, w tym tygodniu nie; wytłumaczę to panu”... I zapraszałem w jego miejsce ludzi, którzy nie dorastali go wartością, ale nie mieli jego nabrzmiałego melancholią wzroku i ust skurczonych całą goryczą

wizyt, które miał ochotę (głęboko zamilczaną) złożyć. Niestety rzadko się zdarzało, aby Saniette nie spotkał w kolejce gościa jadącego do mnie; czasami sam ów gość mówił do mnie u Verdurinów: „Niech pan nie zapomni, że mam być u pana we czwartek” — właśnie w dniu gdy dla Saniette’a nie byłem wolny. Tak że w końcu Saniette wyobrażał sobie życie jako pasmo rozrywek organizowanych bez jego wiedzy, o ile wręcz nie przeciwko niemu. Z drugiej strony, ponieważ nigdy nie jesteśmy całkiem jednolici, ten człowiek nazbyt dyskretny był chorobliwie niedyskretny. Jedyny raz, kiedy przypadkowo Saniette odwiedził mnie bez mojej woli, jakiś list — nie wiem już od kogo — wałęsał się na stole. Po chwili zauważyłem, że Saniette ledwo słucha tego co do niego mówię. Ów list, którego pochodzenia Saniette absolutnie nie znał, niepokoił go! zdawało się, że jego emaliowane źrenice wyrwą się ze swoich orbit, aby osiągnąć list, obojętny, ale namagnesowany jego ciekawością. Rzekłbyś ptak, który rzucił się nieuchronnie na węża. W końcu nie mógł wytrzymać; przesunął list, niby to robiąc porządek. To mu nie wystarczyło: wziął list, kręcił go; obracał, jakby machinalnie. Inną formą jego niedelikatności było to, że przypiąwszy się do ciebie, nie umiał odejść. Ponieważ byłem tego dnia cierpiący, prosiłem go aby odjechał najbliższym pociągiem odchodzącym za pół godziny. Nie wątpił że cierpię, ale rzekł: „Zostanę jakąś godzinę, potem pojedę”. Od tego czasu dręczyło mnie, że go nie zapraszał przy każdej sposobności. Kto wie? Możebym odczynił jego zły urok, może zaprosiliby go inni, dla których byłby mnie niezwłocznie rzucił, tak iż moje zaproszenia miałyby podwójną korzyść: jemu wróciłyby radość życia, a mnie uwolniłyby od niego.

W dniu następujące po takiej recepcji, nie spodziewałem się oczywiście wizyt; i znów zajeżdżało auto po Albertynę i po mnie. A kiedyśmy wracali, Aimé, stojąc w progu, nie mógł się wstrzymać aby nie śledzić namiętnym, ciekawym i łakomym wzrokiem, ile napiwku dają szoferowi. Daremnie kryłem sztukę monety lub banknot w zamkniętej dłoni; spojrzenia Aimégo rozsuwały moje palce. Po sekundzie odwracał głowę, bo był dyskretny, dobrze wychowany i zadowalał się dość skromnymi obrywkami. Ale pieniądze dawane innemu budziły w nim niezrozumiałą ciekawość, sprowadzały mu ślinę do ust. Podczas tych krótkich chwil, miał uważną i zgorączkowaną minę dziecka czytającego powieść Verne’a lub minę gościa siedzącego opodal w restauracji, gdy, widząc iż krają dla was bażanta, na którego on nie chce lub nie może sobie pozwolić, porzuca na chwilę poważne myśli, aby wlepić w ptaka rozpromienione miłością i żądzą spojrzenie.

Tak więc, moje spacerowanie autem powtarzały się codzień. Ale raz, w chwili gdy wracał windą, chłopiec oznajmił mi: „Ten pan był u pana, zostawił zlecenie”. Wyrzekł te słowa głosem absolutnie złamanym, kaszląc i plując mi w twarz. „Co ja za katar złapałem!” — dodał, tak jakbym ja tego nie mógł zauważyć sam. „Doktor powiada, że to jest koklusz” — i dalej zaczął kaszleć i pluć na mnie. „Proszę się nie trudzić mówieniem” — rzekłem z dobrocią, niestety udaną. Bałem się zarazić kokluszem, który — przy mojej skłonności do astmy — byłby dla mnie nader uciążliwy. Ale on — jak wirtuoz który nie chce poddać się chorobie — wkładał swoją ambicję w to aby mówić i pluć cały czas. „Nie, to nic — rzekł (dla ciebie może — pomyślałem — ale nie dla mnie). Zresztą niedługo wracam do Paryża. (Tem lepiej, byle mi tylko nie wpakował choroby wcześniej). Zdaje się — ciągnął — że Paryż to coś bardzo wspaniałego. To ma być jeszcze wspanialsze niż nasz hotel i niż Monte Carlo, mimo że pikolaki, a także goście, i nawet kelnerzy, którzy bywali w Monte-Carlo w sezonie, mówili mi często, że Paryż jest mniej wspaniały niż Monte-Carlo. Może im się tak zwidziało, chociaż żeby być starszym kelnerem, człowiek nie może być głupi; przyjmować zamówienia, rezerwować stoliki, na to trzeba mieć głowę! Mówią, że to jeszcze cięższe niż pisać sztuki do teatru i książki.”

Dojechaliśmy prawie na moje piętro, kiedy windziarz ściągnął mnie na sam dół, bo uważał że guzik źle funkcjonuje. W mgnieniu oka poprawił go. Oświadczyłem, że wolę wracać pieszo, w czym taίło się wyznanie, że wolę nie dostać koklusza. Ale on, serdecznym i zaraźliwym atakiem kaszlu, wtrącił mnie z powrotem do windy. „Teraz już pan nic nie ryskuje, naprawiłem guzik” — rzekł. Widząc że nie przestaje gadać, ciekawszy nazwiska gościa oraz zlecenia jakie mi zostawił, niż porównań piękności Balbec, Paryża i Monte-Carlo, rzekłem chłopcu (jak tenorowi, który cię męczy Benjaminem Godard, mówi się: „zaśpiewaj pan lepiej coś Debussy’ego”):

— Ale kto się pytał o mnie?

— Ten pan, z którym pan jeździł wczoraj. Poszukam kartki, została u odźwiernego.

Ponieważ w wilię odwoziłem Roberta na stację Doncières zanim się udałem po Albertynę, sądziłem że chłopiec mówi o Robercie; ale to był szofer. Określając go słowami: „Ten pan, z którym pan jeździł wczoraj”, windziarz uprzytomnił mi zarazem, że robotnik jest równie dobrze „panem” jak człowiek światowy. Lekcja tycząca jedynie słów. Bo, co do samej rzeczy, nigdy nie robiłem różnic między klasami. A jeżeli, słysząc że ktoś nazywa szofera „panem”, objawiłem to samo zdziwienie co hrabia X, który, będąc hrabią dopiero od tygodnia, kiedyś doń powiedział: „Hrabina wydaje się zmęczona”, obrócił głowę aby zobaczyć o kim mówię, było to jedynie przez nieobycie ze słownikiem; nie robiłem nigdy różnic między robotnikami, mieszczaństwem i wielkimi panami, i mógłbym się bez różnicy przyjaźnić z tymi lub tamtymi, z pewną predylekcją do robotników a potem do wielkich panów, nie z upodobania, ale przez świadomość, że można od nich wymagać więcej grzeczności wobec robotników niż się jej można spodziewać u mieszczan; czy że wielcy panowie nie gardzą robotnikami jak mieszczenie, czy że są chętnie grzeczni wobec każdego, jak ładne kobiety rade są darzyć wszystkich uśmiechem, w poczuciu że zawsze będzie przyjęty z radością. Ten mój obyczaj, aby osoby z ludu traktować narówni z osobami ze świata, o ile spotykał się z uznaniem światowców, o tyle nie mogę powiedzieć, aby zawsze przypadł do smaku matce. Nie znaczy to, aby, biorąc po ludzku, robiła kiedy różnicę między ludźmi. Jeżeli kiedy Franciszka miała zgryzotę lub była cierpiąca, mama pielęgnowała ją i pocieszała tak samo czule, z takim samym poświęceniem, co najlepszą przyjaciółkę. Ale matka zanadto była córką mego dziadka, aby nie uznawać kast. „Ludzie z Combray” mogli mieć serce, wrażliwość, mogli sobie przyswoić piękne teorie równości; ale kiedy któryś służący pozwolił sobie odezwać się do mnie przez „vous”, emancypując się nieznacznie z mówienia w trzeciej osobie, matka przyjmowała uzurpację z tem samym niezadowolaniem, jakie wybucha w *Pamiętnikach* Saint-Simona za każdym razem kiedy magnat jakiś, nie mający do tego prawa, uzurpuje sobie tytuł *Altesse* w urzędowym akcie, lub nie oddaje diukom tego co im powinien a od czego stopniowo się zwalnia. Istniał „duch Combray”, tak uparty, że trzeba będzie wieków dobroci (dobroć mamy była nieskończona) i teoryj socjalnych, aby go zneutralizować. Muszę przyznać, że u mamy pewne cząstki tego ducha pozostały nierozpuszczalne. Równie trudno podałaby rękę lokajowi, jak łatwo dawała mu dziesięć franków (które mu zresztą sprawiały znacznie więcej przyjemności). Mimo żeby tego może nie przyznała, panowie to byli dla niej panowie, a służba to byli ludzie co jadają w kuchni. Kiedy widziała, jak szofer jadł ze mną obiad w jadalni, nie była zbyt rada i mówiła: „Zdaje mi się, że mógłbyś znaleźć odpowiedniejszego przyjaciela”, tak jakby powiedziała, gdy chodziło o małżeństwo: „Mógłbyś znaleźć lepszą partję”.

Szofer (na szczęście nigdy nie przyszło mi na myśl zaprosić tego szofera) przyszedł oznajmić, że przedsiębiorstwo samochodowe, które go wysłało na sezon do Balbec, każe mu wracać już jutro do Paryża. Rację tę wzięliśmy za szczerą prawdę, zwłaszcza że szofer był uroczy i że wyrażał się tak prosto, iż słowa jego budziły zawsze wiarę naksztalt słów ewangelji. Było to prawdą jedynie w połowie. Nie miał w istocie już nic do roboty w Balbec. I w każdym razie, przedsiębiorstwo, mając tylko połowiczne zaufanie do prawdomówności młodego ewangelisty, wspartego na swoim symbolicznym kole, pragnęło go ujrzyć co rychlej w Paryżu. I w istocie, o ile młody apostoł cudownie skutecznie mnożenie kilometrów licząc je panu de Charlus, w zamian za to, kiedy chodziło o zdanie rachunków swojej władzy, dzielił przez sześć to co zarobił. W rezultacie, przedsiębiorstwo, myśląc że albo już nikt nie jeździ na spacer w Balbec (co o tej porze było prawdopodobne), albo że zachodzi ewentualność kradzieży, uznało, w obu wypadkach, że najlepiej będzie odwołać szofera do Paryża, gdzie zresztą też nie wiele było roboty. Pragnieniem szofera było uniknąć o ile możebne martwego sezonu. Wspomniałem — czegom nie wiedział wówczas a czego świadomość oszczędziłaby mi wielu zgryzot — że on był bardzo blisko z Morelem, mimo iż nigdy nie zdradzili że się znają. Począwszy od dnia kiedy odwołano szofera (nie wiedząc jeszcze, że on znajdzie sposób aby nie pojechać), musieliśmy przestać na spacerach najętym powozem, lub czasem wierzchem dla rozerwania Albertyny, która lubiła jazdę konną. Powozy były liche. „Co za gruchot!” — mówiła Albertyna. Często byłbym zresztą wołał być w powozie sam. Nie chcąc określać sobie daty, pragnąłem aby się skończyło owo życie, które winiłem że mnie okradał nietyłe z pracy ile z przyjem-

ności. Ale zdarzało się również, że przyzwyczajenia, które mnie wiązały, znikaly nagle, najczęściej kiedy jakiś dawny *ja*, żądny życia i wesela, zastępował na chwilę obecne *ja*. Odczułem tę potrzebę ucieczki zwłaszcza pewnego dnia, kiedy, zostawiwszy Albertynę u ciotki, wybrałem się konno do Verdurinów i puściłem się przez las dziką drogą, której piękność mi zachwalali. Naginając się do konturów skalistego brzegu, droga to wspinała się w górę, to znów, wcisnięta w bukiety gęstych drzew, zapuszczała się w dzikie wąwozy. Przez chwilę, otaczające mnie nagie skały, morze widziane przez ich blanki, migaly mi przed oczami niby fragmenty innego świata; poznałem górzysty i morski pejzaż, jak Elstir dał za tło dwom cudownym akwarelom: „Poeta spotykający muzę” i „Młody człowiek spotykający centaury”, które widziałem u księżnej Oriany. Wspomnienie ich przenosiło oglądane przezemnie miejsca tak dalece poza świat obecny, że nie zdziwiłbym się, gdybym, jak przedhistoryczny młody człowiek u Elstira, minął w czasie przechadzki jaką mitologiczną osobę. Naraz, koń stanął dęba; usłyszał szczególny hałas, ledwie go zdołał opanować i nie spaść na ziemię; zaczem podniosłem oczy pełne łez ku punktowi skąd zdawał się pochodzić hałas, i ujrzałem, na pięćdziesiąt metrów nad sobą, w słońcu, między dwoma lśniącymi stalowymi skrzydłami, istotę, której niewyraźna twarz zdała mi się podobna do twarzy człowieka. Byłem równie wzruszony jak mógłby być wzruszony Grek, ujrawszy pierwszy raz półboga. Płakałem również, bo byłem gotów płakać od chwili gdym poznał, że hałas płynie z nad mojej głowy — samoloty były jeszcze rzadkie w owej epoce — na myśl, że to co widzę pierwszy raz, to jest samolot. Wówczas — jak wtedy kiedy się czuje że zbliża się w dzienniku wzruszające słowo — czekałem tylko widoku samolotu, aby się zalać łzami. Tymczasem lotnik zdawał się wahać w drodze; czułem, że się otwierają przed nim — przedemną, gdyby przyzwyczajenie nie uczyniło mnie więźniem — wszystkie drogi przestrzeni, życia; pomknął dalej, bujał jakiś czas nad morzem, poczem, powziąwszy nagle decyzję, zdając się ustępować jakiemuś odwrotnemu do praw ciężkości przyciąganiu, jakgdyby wracając w swoją ojczyznę, lekkim ruchem złotych skrzydeł pomknął prosto ku niebu.

Ale wróćmy do szofera. Zażądał od Morela nietylko tego, aby Verdurinowie zastąpili swój breack autem (co, zważywszy hojność Verdurinów w stosunku do wiernych, było stosunkowo łatwe), ale zażądał rzeczy trudniejszej: mianowicie aby w miejsce stangreta (owego młodego człowieka wrażliwego i skłonnego do melancholji) wzięli jego samego. Spełniło się to w ciągu kilku dni w następujący sposób. Na początek, Morel postarał się aby stangretowi ukradziono wszystko co było potrzebne do zaprzęgu. Jednego dnia nie znalazł wędzidła, drugiego dnia łańcuszka. To znowuż znikła poduszka z kozła; wreszcie bat, koc, gąbka, skóra zamiszowa. Ale zawsze dał sobie jakoś radę, pożyczył od sąsiadów, tyle tylko że zajeżdżał późno, co drażniło pana Verdurin, jego zaś samego grążyło w smutku i melancholji. Szofer, któremu pilno było objąć miejsce, oświadczył Morelowi, że wraca do Paryża. Trzeba było zadać stanowczy cios. Morel wmówił w służbę pana Verdurin, iż młody stangret odgrażał się że ich wszystkich wciągnie w pułapkę i że da sobie rady bodaj z sześcioma; Morel wytłumaczył im, że tego nie mogą puścić płazem. On sam nie może się w to mieszać, ale uprzedza ich, aby się załatwili ze śmiałkiem. Ułożono, że podczas gdy państwo Verdurin i goście będą na spacerze, oni wezmą się w stajni do nieboraka. Wspomnę — mimo iż to była tylko okazja do tego co się miało zdarzyć, ale dlatego że te osoby interesowały mnie później — że tego dnia bawił u Verdurinów jakiś przyjaciel, na którego cześć, przed jego wyjazdem, postanowionym na ten właśnie wieczór, ułożono pieszy spacer.

Bardzo mnie zdziwiło, kiedyśmy szli na przechadzkę, że właśnie tego dnia Morel, który miał iść z nami pieszo i grać na skrzypcach w lasku, powiedział mi:

— Słuchaj pan, ręka mnie boli, nie chcę tego mówić pani Verdurin, ale niech ją pan poprosi, aby wzięła kogoś ze służby, na przykład Howslera, zanieś moje skrzypce.

— Sądzę, że inny lepiej by się nadał — rzekłem. — Howsler usługuje do obiadu.

Wyraz gniewu przebiegł twarz Morela.

— Ale nie, nie mam ochoty powierzać skrzypiec byle komu.

Zrozumiałem później rację tego wyboru. Howsler był ukochanym bratem młodego stangreta i gdyby został w domu, mógłby mu pospieszyć z pomocą. W czasie przechadzki, Morel rzekł cicho, tak aby starszy Howsler nie mógł nas usłyszeć:

— To bardzo pocziwy chłopak. Zresztą brat jego również jest pocziwy. Gdyby nie miał tego fatalnego nałogu picia...

— Jakto, picia? — rzekła pani Verdurin, blednąc na myśl, że ma stangreta który pija.

— Pani tego nie zauważyła? Zawsze sobie powtarzam, że to cud, że jemu się nie zdarzył wypadek w czasie gdy z panią jedzie...

— Ależ on jeździ i z innymi?

— Niech się pani spyta, ile on razy wywrócił; twarz ma dziś całą posiniaczoną. Nie wiem, jakim cudem się nie zabił; połamał dyszel.

— Nie widziałam go dzisiaj — rzekła pani Verdurin, drżąc na samą myśl tego, co się jej mogło przytrafić — martwi mnie pan.

Chciała skrócić przechadzkę, aby wracać do domu. Aby ją zatrzymać, Morel zaczął grać *Air* Bacha, przeciągając grę nieskończonymi warjacjami. Za powrotem, pani Verdurin poszła do wozowni, ujrzała nowy dyszel i Howslera we krwi. Chciała mu powiedzieć, nie robiąc wymówek, że nie potrzebuje już stangreta i wypłacić go, ale on sam, nie chcąc obwiniać kolegów, których niechęci przypisywał wstecz codzienną kradzież upręży, a widząc że dalsza cierpliwość mogłaby go kosztować życie, oznajmił że chce odejść, co rozwiązało sytuację. Szofer zgodził się od jutra, później zaś pani Verdurin (która musiała wziąć innego) była z niego tak zadowolona, że mi go gorąco poleciła jako człowieka absolutnie pewnego. Nie wiedząc o niczem, wziąłem go na dniówkę w Paryżu. Ale za nadto uprzedzam wypadki: wszystko to znajdzie się w historii Albertyny. W tej chwili jesteśmy w la Raspelière, dokąd przybyłem na obiad pierwszy raz z moją przyjaciółką, a p. de Charlus z Morelem, domniemanym synem „intendenta”, mającego trzydzieści tysięcy franków stałej pensji, własny powóz i mnogość marszałków dworu, urzędników, ogrodników, rządców i dzierżawców pod swymi rozkazami. Ale, skoro tak bardzo uprzedziłem wypadki, nie chcę zostawiać czytelnika pod wrażeniem absolutnej niegodziwości Morela. Był on raczej pełen przeciwieństw, zdolny w pewnych dniach do prawdziwej dobroci.

Byłem oczywiście bardzo zdziwiony, dowiadując się, że stangreta oddalono, a bardziej jeszcze widząc jego następcę szofera, który woził Albertynę i mnie. Ale ów opowiedział mi skomplikowaną historję, wedle której rzekomo wrócił do Paryża, skąd go wezwano do Verdurinów; ani na chwilę nie wątpiłem o prawdzie jego opowieści. Dymisja stangreta była przyczyną, że Morel wdał się ze mną w rozmowę, aby wyrazić żal z powodu odprawy tego dzielnego chłopca. Zresztą nawet poza chwilami gdy byłem sam i kiedy Morel rzucał się dosłownie na mnie z wybuchem radości, skrzypek, rozumiejąc że jestem mile widziany w la Raspelière i czując że się dobrowolnie wyrzeka przyjaźni z kimś kto nie jest dlań niebezpieczny (skoro mi kazał spalić mosty i pozbawił mnie wszelkiej możliwości przybierania wobec niego protekcyjnych tonów, czego zresztą bynajmniej nie zamierzałem czynić), przestał mnie unikać. Przypisałem tę zmianę wpływowi pana de Charlus, który w istocie czynił Morela na niektórych punktach mniej ograniczonym, bardziej artystą; na innych zato, w których Morel dosłownie stosował wielomowne, kłamliwe i kapryśne zresztą zasady mistrza, ogłupił go jeszcze bardziej. To, co mu mógł mówić p. de Charlus, było zresztą jedyną rzeczą, której się mogłem domyślać. Jak mógłbym zgadnąć wówczas to, czegom się dowiedział później (i czegom nigdy nie był pewny, ile ze wszelkie relacje Anny w przedmiocie Albertyny, zwłaszcza późniejsze, zdawały mi się zawsze mocno podejrzone, bo, jak widzieliśmy niegdyś, Anna nie kochała szczerze Albertyny i była o nią zazdrosna), a co w każdym razie, jeżeli było prawdą, oboje ukrywali przedemną bardzo starannie: mianowicie że Albertyna znała się dobrze z Morelem.

Nowy system, jaki, w epoce odprawienia stangreta, Morel przybrał w stosunku do mnie, pozwolił mi zmienić o nim zdanie. Zachowałem o jego charakterze brzydkie pojęcie, powzięte z uniżoności tego młodego człowieka w chwili gdy mnie potrzebował, a następnie — skoro tylko oddałem mu usługę — ze wzgardy posuwającej się do ignorowania mnie. Przybywała do tego oczywistość jego przedajnych stosunków z panem de Charlus, a także bestjańskich instynktów, których niezaspokojenie (kiedy się to zdarzyło) lub wywołane niemi komplikacje powodowały jego smutek; ale ten charakter nie był tak jednolicie brzydki i pełen sprzeczności. Podobny był do starej średniowiecznej książki, pełnej błędów, niedorzecznych tradycji, obsceniów — był nadzwyczaj złożony. Sądziłem zrazu, że sztuka, w której stał się istotnie mistrzem, dała Morelowi coś, co przekracza technikę wirtuoza. Jednego razu, kiedym wyrażał pragnienie wzięcia się do

pracy, Morel rzekł: „Pracuj pan, stań się pan wielki. — Kto to powiedział? — spytałem. — Fontanes do Chateaubrianda.” Znal także korespondencję miłosną Napoleona. Dobrze, pomyślałem; odczytany jest. Ale to zdanie, wyczytane niewiadomo gdzie, było z pewnością jedynem które znalazłem z całej starej i nowej literatury, bo mi je powtarzał co wieczór. Innem zdaniem, które mi powtarzał częściej, aby mnie powstrzymać od mówienia o nim czegokolwiek, był cytat, który on uważał również za literacki, a który zaledwie jest francuski lub raczej niema żadnego sensu, chyba dla maskującego się lokaja: „Nie ufajmy nieufnym”. W gruncie, idąc od tej idjotycznej maksymy aż do słów Fontanes’a do Chateaubrianda, możnaby przebiec całą partję charakteru Morela, różnorodną ale mniej sprzeczną niżby się zdawało. Chłopiec ten, który, byle widział w tem korzyść pieniężną, zrobiłby wszystko, i to bez wyrzutów sumienia — może nie bez szczególnej przykrości, dochodzącej do ataków nerwowych, ale niezbyt podpadającej pod pojęcie „wyrzutów”; który gdyby w tem znalazł korzyść, pogrążyłby w zgryzocie, nawet w żalobie, całe rodziny; ten chłopak, stawiający pieniądze ponad wszystko, ponad (nie mówiąc już o dobroci) najnaturalniejsze uczucia prostej ludzkości, ten sam chłopak stawiał jednak ponad pieniądze swój dyplom laureata konserwatorjum oraz swoją opinię w klasie fletu lub kontrapunktu. Toteż jego najwścieklejsze wybuchy, najbardziej ponure i niesprawiedliwione złe humory pochodziły z tego, co (generalizując z pewnością kilka wypadków niechęci) nazywał powszechnem szelmstwem. Pochlebiał sobie, że go uniknie, nie mówiąc nigdy o nikim, kryjąc swoje intencje, wystrzegając się całego świata. (Na moje nieszczęście — co miało się okazać po moim powrocie do Paryża — nieufność Morela nie stosowała się do szofera z Balbec, w którym z pewnością wyczuł podobnego sobie, to znaczy, sprzecznie z maksymą Morela, nieufnego w dobrem pojęciu słowa, nieufnego który milczy uparcie wobec porządných ludzi a natychmiast znajduje porozumienie z szują). Zdawało mu się — co nie było absolutnie fałszywe — że ta nieufność pozwoli mu zawsze wyjść z korzyścią z każdej sytuacji, przemknąć się bez niebezpieczeństw przez najdrażliwsze przygody, tak aby mu nie można było niczego nietylko dowieść ale nawet zarzucić w instytucie przy ulicy Bergère. Będzie pracował, stanie się sławny, zostanie może wciąż nieskazitelny, czcigodny — prezesem skrzypcowego *jury* na konkursach tego tak imponującego Konserwatorjum!

Ale rozbierając te sprzeczności, przypisujemy może za wiele logiki mózgowi Morela. W rzeczywistości, natura jego była doprawdy jak papier tak pognieciony na wszelkie sposoby, że niepodobna było coś odczytać. Zdawał się mieć zasady dość górne i posiadając wspaniały charakter pisma, zeszczonego straszliwą ortografią, spędzał całe godziny na pisaniu do brata że źle postąpił z siostrami, że jest ich starszym bratem, podporą, a do siostr, że popełniły jakąś niewłaściwość wobec niego samego.

Niebawem, pod koniec lata, kiedy się wysiadało z kolejki w Douville, słońce przyćmione mgłą tworzyło już tylko czerwony krąg na niebie jednostajnego koloru lila. Wielkiemu spokojowi, który zstępował na te gęste i słone łąki i który skłaniał wielu paryżan, przeważnie malarzy, do spędzania lata w Douville, towarzyszyła wilgoć, każąca im wcześniej wracać do małych will. W wielu mieszkaniach już się paliła lampa. Jedynie kilka krów zostawało na dworze; patrzyły na morze rycząc, gdy inne, bardziej zainteresowane ludzkością, kierowały swoją uwagę na nasze powozy. Jeden tylko malarz, ustawivszy stalugi na małej wyniosłości, pracował, starając się oddać ten wielki spokój, to uciszone światło. Może krowy miały mu nieświadomie i dobrowolnie posłużyć za modele, bo ich zaduma i ich samotna obecność, kiedy ludzie weszli już do domów, przyczyniała się na swój sposób do przemożnego wrażenia spoczynku, jakie wydziela wieczór.

W kilka tygodni później, transpozycja była nie mniej przyjemna, kiedy, z posuwaniem się jesieni, dni stały się bardzo krótkie i trzeba było odbywać tę drogę w nocy. Jeżeli byłem na jakiej wycieczce popołudniu, należało wracać się ubrać, najpóźniej o piątej, kiedy słońce, teraz okrągłe i czerwone, zeszło już do połowy skośnego lustra — niegdyś nienawistnego — i niby jakiś grecki ogień zapalało morze w szybach wszystkich szaf na książki. Podczas gdy wkładał smoking, jakiś czarnoksiężski gest wskrzesił owo żwawe i płochę *ja*, będące mojem *ja* wówczas gdy jechał z Robertem na obiad do Rivebelle, lub owego wieczora kiedym wierzył że zawiozę pannę de Stermaria na wyspę do Lasku; nuciłem bezwiednie tę samą melodię co wówczas; i dopiero spostrzegając to, poznawałem po piosence przygodnego śpiewaka, umięjącego w istocie tylko tę jedną. Za pierwszym

razem kiedyś nucił tę piosnkę, zaczynałem kochać Albertynę, ale sądziłem że jej nie poznam nigdy. Później, w Paryżu — wówczas gdy przestał ją kochać, i w kilka dni po tem jak ją posiadałem pierwszy raz. Teraz śpiewałem to samo kochając ją na nowo, w chwili gdy jechał z nią na obiad, ku wielkiemu żalowi dyrektora, obawiającego się że ja w końcu zamieszkać w la Raspelière i porzucę jego hotel: jakoż upewniał mnie, iż słyszał że tam panuje febra, idąca z bagien Bac i z ich „stagnancji”. Byłem szczęśliwy z tej wielorakości życia rozwijającego się na trzech planach; a przytem, kiedy się znów stajemy na chwilę dawnym człowiekiem, to znaczy różnym od tego jakim jesteśmy tak długo, wrażliwość, nie stepiona już przyzwyczajeniem, odczuwa najłżejsze wstrząsy tak żywych wrażeń, które każą błędnać wszystkiemu co je poprzedzało i których, dla ich siły, czepiamy się z dorywczym entuzjazmem pijaka.

Była już noc, kiedyśmy siadali do omnibusu lub wehikułu, mającego nas zawieźć na kolejkę. W hallu, prezydent z Caen powiadał:

— A, jedzcie państwo do la Raspelière! Dalipan, ma tupet ta pani Verdurin, kazać się wam tłuc godzinę po nocy poto aby zjeść poprostu obiad. A potem znów robić tę drogę o dziesiątej wieczór przy tym wietrze jak wszyscy djabli. Widać zaraz, że nie macie nic do roboty — dodał zacierając ręce.

Z pewnością prezydent mówił tak z urazy że go nie zaproszono, a także przez zadowolenie, jakie czerpią ludzie „zajęci” — choćby najgłupszą pracą — stąd że „nie mają czasu” na to co robi ktoś inny.

Niewątpliwie, godziwą rzeczą jest, że człowiek, który układa raporty, sumuje cyfry, odpowiada na listy w interesach, śledzi kursy giełdowe, że człowiek taki doznaje miłego uczucia wyższości, kiedy wam mówi podśmiechując się: „To dobre dla ludzi, co jak pan nie mają nic do roboty”. Ale ta wyższość objawiałaby się równie wzgardliwie, bardziej nawet (bo ostatecznie i ludzie zajęci chodzą na proszone obiady), gdyby waszą rozrywką było pisać *Hamleta*, lub bodaj czytać go. I w tem owi ludzie „zajęci” nie mają racji. Bo bezinteresowna kultura, która — zaskoczona niejako „na gorącym uczynku” — wydaje się im pociesznym zabijaniem czasu dla próżniaków, jest — o czem winnyby pomyśleć — tą samą, która w ich własnym zawodzie wyróżnia ludzi, może nie lepszych urzędników lub administratorów od nich samych, ale nakazujących szacunek swoim szybkim awansem, co sprawia że się o nich mówi: „Zdaje się, że to człowiek wszechstronnie wykształcony, człowiek zupełnie niepospolity.” Ale zwłaszcza prezydent nie zdawał sobie sprawy, że w tych obiadach w la Raspelière mnie się podobało właśnie to, że — jak sam powiadał słusznie, ale w sensie ujemnym — stanowiły one „istną podróż”, podróż której urok zdawał mi się tem żywszy przez to że nie była sama w sobie celem, że nie szukało się w niej przyjemności — ile że ta przyjemność wiązała się ze spodziewanem zebraniem, bardzo znowuż odmiennem od innych przez otaczającą atmosferę.

Była już teraz noc, kiedyśm zamieniał ciepło hotelu, będącego dla mnie ogniskiem domowym na wagon, do którego wsiadaliśmy i gdzie odbłask latarni na szybie oznajmiał, w momentach przystanku dychawicznej kolejki, że się przybyło na jakąś stację. Nie słysząc nazwy stacji i aby nie ryzykować że nas Cottard nie spostrzeże, otwierałem okno, ale zamiast „wiernych” wdierał się do wagonu tylko wiatr, deszcz, zimno. W ciemności widziałem wieś, słyszałem morze, byliśmy w szczerem polu. Zanim złączyliśmy się z gromadką, Albertyna przeglądała się w lusterku, wyjętem ze złotego nesaseru, który brała z sobą. W czasie pierwszych wizyt pani Verdurin prowadziła ją do gotowalni aby się ogarnęła przed obiadem; wówczas, w pełni głębokiego spokoju, w jakim żyłem od jakiegoś czasu, doznawałem lekkiego odruchu niepokoju i zazdrości że muszę rozstać się w sieni z Albertyną; przez czas który pozostawałem sam w salonie, pośród małego klanu, byłem tak niespokojny, tak wciąż zadawałem sobie pytanie co ona robi na górze, że nazajutrz, poprosiwszy pana de Charlus o wskazówki w tej mierze, zamówiłem telegraficznie u Cartiera najwykwintniejszy nesaser, który stał się radością Albertyny, a także i moją. Był dla mnie zakładem spokoju, a także starań mojej przyjaciółki. Bo ona z pewnością zgadła, że ja nie lubię kiedy znika bezemnie z panią Verdurin i zawsze dopełniała w wagonie przedobiedniej toalety.

Wśród „wiernych” pani Verdurin najwierniejszym ze wszystkich był obecnie od kilku miesięcy p. de Charlus. Regularnie trzy razy na tydzień, podróżni tkwiący w poczekalniach lub na peronie Doncierres-Ouest widzieli tego otyłego mężczyznę z siwymi włosami

mi, czarnymi węsami, z wargami ożywionymi szminką, mniej widoczną z końcem sezonu niż w lecie, kiedy jasny dzień uwydatniał jej barwy, a upał czynił ją wpół płynną. Kierując się do kolejki, baron nie mógł się wstrzymać — jedynie z nawyku znawcy, bo teraz miał w sercu uczucie, gwarantujące jego czystość lub bodaj (przeważnie) wierność — aby nie objąć tragarzy, żołnierzy, młodych ludzi w tenisowym stroju, ukradkowem, badawczem i nieśmiałem spojrzeniem, poczem spuszczał natychmiast powieki przymykając oczy, z namaszczaniem duchownego odmawiającego różaniec, z surowością nieskazitelnej małżonki lub dobrze wychowanej panienki. Wierni byli przekonani, że baron ich nie widział, tem bardziej że wsiadał do innego przedziału (często postępowała tak i księżna Szerbatow), jak człowiek, który nie wie, czy ktoś byłby rad pokazywać się w jego towarzystwie i zostawia każdemu swobodę zbliżenia się doń — o ile ktoś ma ochotę. Ochoty tej nie doświadczał w samych początkach doktor, który wołał, abyśmy barona zostawili samego w przedziale. Zręcznie maskując niezdecydowany charakter od czasu swej wielkiej kariery lekarskiej, profesor przechylał się z uśmiechem w tył; spoglądając z ponad binokli na Skiego, poczem rzekł przez złośliwość lub aby wydobyć opinię towarzyszy:

— Rozumiecie, gdybym był sam, gdybym był kawalerem... ale chodzi mi o żonę... Po tem coś mi pan powiedział, nie wiem doprawdy, czy nam wypada jechać z nim razem?... szepnął doktor.

— Co ty powiadasz? — spytała pani Cottard.

— Nic, nic, to ciebie nie obchodzi, to nie jest dla kobiet — odpowiadał mrużąc oko doktor z owem majestatycznym zadowoleniem z siebie, które było czemś pośrednim między jego z cicha pęk miną wobec uczniów i pacjentów a niepokojem towarzyszącym niegdyś jego dowcipom u Verdurinów. I dalej mówił cicho. Pani Cottard usłyszała jedynie słowa „bractwo” i „tapette”<sup>12</sup>, że zaś w słownictwie doktora pierwsze oznaczało rasę żydowską a drugie „wyparzoną gębę”, pani Cottard wywnioskowała z tego, że p. de Charlus musi być gadatliwym izraelitą. Nie zrozumiała, czemu to ma być powód aby trzymać barona na uboczu; toteż uważała za swój obowiązek naczelniczki klanu żądać aby go nie zostawiano samego. Puściliśmy się wszyscy ku przedziałowi pana de Charlus, prowadzeni przez niespokojnego wciąż Cottarda. Z kąta gdzie czytał tom Balzaka, p. de Charlus spostrzegł to wahanie; nie podniósł oczu. Ale jak głuchoniemi poznają z niewyczuwalnego dla innych przeciągu że ktoś zbliża się do nich z tyłu, tak on odznaczał się przeczuleniem, ostrzegającym go o czyimś chłodzie wobec niego. Przeczulenie to, jak się to zdarza we wszystkich dziedzinach, zrodziło w panu de Charlus imaginacyjne cierpienia. Jak neuropaci, którzy, czując najłżejszy chłód, wnoszą stąd że musi być okno otwarte o piętro wyżej, wpadają we wściekłość i zaczynają kichać, tak p. de Charlus, jeżeli ktoś miał przy nim nieswoją minę, wnioskował, że temu komuś powtórzono jakieś jego słowa o nim. Ale nie było nawet potrzeba aby ktoś miał minę roztargnioną, ponurą lub roześmianą; sam wymyślał te miny. W zamian za to, serdeczność łatwo maskowała mu obmowę o której nie wiedział. Odgadł za pierwszym razem wahanie się Cottarda; jakoż, o ile, ku zdziwieniu wiernych którzy nie sądzili aby baron, czytający ze spuszczonej oczami, mógł ich zauważyć, podał im rękę skoro się znaleźli w przyzwoitej odległości, wobec doktora poprzestał na lekkim ukłonie, ręką w szwedzkiej rękawiczce nie ujmując dłoni którą doktor doń wyciągał.

— Chcieliśmy koniecznie jechać razem z panem i nie zostawiać pana samego w tym kąciuku. To wielka przyjemność dla nas — rzekła pocziwie pani Cottard.

— Czuję się bardzo zaszczycony — wyrecytował baron kłaniając się chłodno.

— Byłam bardzo szczęśliwa, dowiedziawszy się, że pan definitywnie obrał tę okolicę aby w niej pomieścić swoje tabern... Miała powiedzieć *tabernakula*, ale to słowo wydało się jej nazbyt hebrajskie, niedelikatne wobec żyda, który mógłby w niem dostrzec aluzję. Toteż opamiętała się, aby wybrać inne ze swoich zwyczajnych uroczystych wyrażań; „aby tam pomieścić, chciałam powiedzieć, pańskie penaty” (prawda, że te bóstwa również nie należały do religii chrześcijańskiej, ale do innej, umarłej od tak dawna, że nie ma już wyznawców których możnaby urazić). My, na nieszczęście, ze szkołami chłopców, ze szpitalem profesora, nie mogliśmy się nigdy zdomowić dłużej w jednym miejscu”.

I pokazując pudło, dodała:

<sup>12</sup>*tapette* — franc. wyrażenie gwarowe może oznaczać albo gadułę albo pederastę. [przypis redakcyjny]



— Widzi pan zresztą, o ile my, kobiety, jesteśmy nieszczęśliwsze od was, panów świata: nawet jadąc tak blisko do przyjaciół, musimy się obarczać całą gamą impedimentów.

Patrzałem przez ten czas na tom Balzaka w rękę barona. Nie był to egzemplarz broszurowany, kupiony przygodnie jak tom Bergotte'a, który p. de Charlus pożyczył mi za pierwszym pobycem. To była książka z jego biblioteki i jako taka nosiła dewizę: „Należy do barona de Charlus”, którą zastępowało niekiedy, świadcząc o książkowych upodobaniach Guermantów: *In proeliis non semper*, lub: *Non sine labore*. Ale ujrzymy niebawem, że zjawią się inne, a to dla zrobienia przyjemności Morelowi. Po jakimś czasie, pani Cottard obrała temat, który uważała za bardziej interesujący dla barona.

— Nie wiem, czy pan jest mojego zdania — rzekła po chwili — ale ja mam bardzo szerokie poglądy; wedle mnie, każda religja jest dobra, byle ją praktykować szczerze. Nie jestem jak ci ludzie, których widok... protestanta przyprawia o atak wścieklizny.

— Nauczono mnie, że moja religja jest prawdziwa — odparł p. de Charlus.

— To fanatyk! pomyślała pani Cottard; Swann, wyjąwszy ostatnie lata życia, był bardziej tolerancyjny; prawda że on był chrzczony.

Otóż, wręcz przeciwnie, baron był nie tylko, jak wiadomo, chrześcijaninem, ale był pobożny na sposób średniowiecza. Dla niego, jak dla rzeźbiarzy XIII wieku, kościół chrześcijański był, w żywym znaczeniu słowa, zaludniony tłumem istot, które baron uważał za całkowicie realne, proroków, apostołów, aniołów, świętych wszelkiego rodzaju, otaczających wcielone Słowo, jego matkę i jej małżonka, Ojca Wiekuistego, wszystkich męczenników i doktorów, podobnych tym, co rzeźbionym tłumem cisną się w kruchcie lub wypełniają nawę katedr. Pośród nich wszystkich, p. de Charlus wybrał sobie za patronów i pośredników archaniołów Michała, Gabryjela i Rafała, i miewał z nimi częste rozmowy, iżby przekazali jego modły Ojcu przedwiecznemu, przed którego tronem przebywają. Toteż omyłka pani Cottard bardzo mnie ubawiła.

Aby opuścić teren religijny, powiedzmy, że doktor, przybywszy do Paryża ze szczupłym zasobem rad matki wieśniaczki, pochłonięty później przez ściśle fachowe studia, jakim ci, co chcą się wybić w karierze lekarskiej, zmuszeni są oddawać się przez szereg lat, nigdy nie starał się o głębszą kulturę. Nabył więcej autorytetu, ale nie więcej wyrobienia; wziął tedy dosłownie zwrot barona: „zaszczycony”; równocześnie sprawiło mu to przyjemność bo był próżny i przykrość bo był poczciwy. Biedny ten Charlus! — rzekł wieczorem do żony: przykro mi się zrobiło, kiedy powiedział, iż się czuje zaszczycony tem że jedzie z nami. Znać, że ten nieborak nie ma żadnych stosunków, płaszcy się.”

Ale niebawem, nie potrzebując nawet miłosiernej inspiracji pani Cottard, wierni zdolali poskromić niemiłe uczucie, jakiego wszyscy mniej lub więcej doznawali zrazu w towarzystwie pana de Charlus. Bezwątpienia, w obecności barona wciąż mieli w pamięci rewelacje Skiego o nieprawomyślności seksualnej ich towarzysza podróży. Ale sama ta osobliwość wywierała na nich pewien urok. Dawała ona rozmowie barona (zresztą niepospolitej, ale w rzeczach, których oni przeważnie nie mogli ocenić) smak, sprawiający, że przy niej konwersacja najbardziej zajmujących ludzi, nawet samego Brichot, zdawała się nieco mdła. Od początku zresztą zgodzono się, że baron jest inteligentny. „Geniusz może sąsiadować z szaleństwem” — wygłosił doktor; i nawet gdy księżna Szerbatow, żadna objaśnień, nalegała, nie rzekł w tym przedmiocie nic więcej, ile że ten aksjomat stanowił wszystko co doktor wiedział o geniuszu i nie zdawał mu się zresztą równie dowiedziony jak coś co tyczy tyfusu lub artretyzmu. Że zaś doktor zrobił się pyszny a pozostał źle wychowany, odpowiedział: „Żadnych pytań, księżno; proszę mnie nie męczyć, jestem nad morzem dla wypoczynku. Zresztą nie rozumiałaby pani, nie zna pani medycyny.” I księżna milkła, przepraszając doktora, uważając go za uroczonego człowieka i rozumiejąc że sławy nie zawsze są przystępne.

W tym pierwszym okresie uznano tedy pana de Charlus inteligentnym, mimo jego przywary, lub tego co się tak powszechnie nazywa. Teraz, nie zdając sobie z tego sprawy, właśnie z powodu tej przywary uważano go za inteligentniejszego od innych. Najprostsze zdania, jakie, zręcznie wyciągany na słowo przez akademika lub przez rzeźbiarza, p. de Charlus wygłaszał o miłości, zazdrości, piękności, miały, z powodu jego osobliwego, tajemnego, wyrafinowanego i monstualnego doświadczenia, ów urok zmiany klimatu, jaki psychologia — analogiczna do tej, którą nas karmiła zawsze nasza literatura dramatyczna — przybiera w jakiejś sztuce rosyjskiej lub japońskiej, granej przez tamtejszych

artystów. Czasem, kiedy baron nie słyszał, pozwalano sobie jeszcze na jakiś tani żarcik: „Och! — szeptał rzeźbiarz, widząc młodego funkcjonariusza kolejowego o długich rękach bajadery, za którym p. de Charlus bezwiednie pobiegł oczami — jeżeli baron zacznie robić oko do konduktora nie prędko zajedziemy, pociąg gotów jechać wspaniale. Spójrzcie tylko, jak on na niego patrzy; ten pociąg to istny pociąg płciowy”. Ale w gruncie, kiedy pana de Charlus nie było, czuło się niemal zawód podróżowania wśród ludzi takich jak wszyscy, nie mając przy sobie tej wymalowanej brzuchatej i skrytej osobistości, podobnej do jakiejś puszkii o egzotycznym i podejrzanym pochodzeniu, wydającej dziwny zapach owoców, samą myślą o ich spożyciu przyprawiającej o mdłości. Z tego punktu, wiernych płci męskiej czekały żywsze satysfakcje w krótkiej drodze między Saint-Martin-du-Chêne, gdzie wsiadał p. de Charlus, a Doncières, gdzie przybywał Morel. Bo dopóki skrzypka nie było z nimi (i jeżeli panie, oraz Albertyna, skupiając się osobno aby nie krępować rozmowy, trzymały się zdala), p. de Charlus nie krępował się, aby nie robić wrażenia że unika pewnych tematów i dość swobodnie mówił o tem, „co jest przyjęte nazywać *podejrzaniem obyczajami*”. Albertyna nie mogła go krępować, bo trzymała się zawsze z paniami, przez delikatność panny, która nie chce tamować swobody swoją obecnością. Co do mnie, znośłem łatwo brak jej bezpośredniego sąsiedztwa, ale pod warunkiem, żeby była w tym samym przedziale. Nie czując już wcale zazdrości a miłości niewiele, nie myślałem o tem co Albertyna robi w dni gdy jej nie widzę; ale kiedy z nią był razem, proste przepierzenie mogące w ostateczności osłaniać zdradę, było mi czemś nie do zniesienia. Kiedy Albertyna szła z paniami do sąsiedniego przedziału, po chwili, nie mogąc wytrzymać w miejscu, nie dbając o osobę mówiącą coś właśnie — Brichota, Cottarda, lub Charlusa, którym nie mogłem wyjaśnić przyczyn mojej dezercji — wstawiałem, zostawiałem ich i szedłem do przedziału obok, aby się przekonać, czy tam się nie dzieje nic podejrzanego. Aż do Doncières, p. de Charlus, nie bojąc się zgorzyc nikogo, mówił czasem bardzo jaskrawo o obyczajach, które, jego zdaniem, nie są same w sobie niczem dobrem ani złem. Robił to przez spryt, aby okazać szerokość poglądów, przekonany że jego własne obyczaje nie budzą podejrzeń w gromadce wiernych. Wiedział, że istnieje we wszechświecie kilka osób, „nie mających (wyrażenie, do którego później przywykłem) wątpliwości na jego punkcie”. Ale wyobrażał sobie, że tych osób jest nie więcej niż trzy lub cztery i że ani jedna z nich nie bawi nad morzem. To złudzenie może dziwić ze strony kogoś tak inteligentnego, tak czujnego. Nawet co do tych, których baron uważał za mniej lub więcej poinformowanych, pochlebiał sobie, że te ich pojęcia są jedynie mgliste i miał nadzieję, wedle tego co im w jakimś wypadku powie, uchronić daną osobę od podejrzeń interlokutora, przez grzeczność udającego że przyjmuje wersję barona. Nawet domyślając się co ja mogę wiedzieć lub przypuszczać, baron wyobrażał sobie, że opinia, którą uważał u mnie za znacznie dawniejszą niż była w istocie, jest bardzo mglista. Sądził iż wystarczy mu zaprzeczyć w tem lub owem, aby mu wierzone, podczas gdy przeciwnie, o ile świadomość ogólna wyprzedza zawsze znajomość szczegółów, ułatwia ona nieskończenie odkrycie tych szczegółów: zniweczywszy dar niewidzialności, nie pozwala już podejrzanemu osobnikowi ukrywać wszystkiego co mu się podoba. Z pewnością, kiedy p. de Charlus, zaproszony na obiad przez którego z „wiernych” lub przyjaciela wiernych, zachodził z daleka, aby wśród dziesięciu wymienionych nazwisk przemycić nazwisko Morela, nie domyślał się prawie, że pod zawsze inne motywy korzyści lub przyjemności jakimi baron motywował chęć spotkania u kogoś Morela, gospodarze, udając że mu całkowicie wierzą, podstawiali rację jedyną, zawsze tę samą (którą on uważał za nieznaną nikomu), mianowicie tę, że baron kocha skrzypka. Toż samo pani Verdurin, udając że zawsze całkowicie uznaje pół artystyczne pół humanitarne pobudki, jakimi p. de Charlus tłumaczył swoje zainteresowanie się Morelem, nie przestawała serdecznie dziękować baronowi za jego wzruszającą — jak mówiła — dobroć dla skrzypka. Otóż, jakżeby się zdziwił p. de Charlus, gdyby, pewnego dnia kiedy Morel i on spóźnili się i nie przyjechali kolejką, usłyszał, jak pryncypalka mówi: „Czekamy już tylko na trzecią pleć”. Baron byłby zdumiony tem bardziej, iż nie ruszając się prawie z la Raspelière, pełnił tam funkcje kapelana, klasycznego *labusia*, i czasami (kiedy Morel miał urlop na dwie doby) nocował tam dwa dni zrzędu. Pani Verdurin dawała im dwa połączone pokoje i aby ich ośmielić, powiadała: „Jeżeli macie ochotę muzykować, nie krępujcie się, mury są grube jak w fortecy, nikt nie mieszka na tem piętrze, a mój mąż

śpi jak susel.” W te dnię, p. de Charlus luzował księżnę jadąc po gości na pociąg, tłumaczył nieobecność pani Verdurin jej stanem zdrowia, który opisywał tak wymownie, że goście wchodzili z odpowiednimi minami i wydawali krzyk zdumienia, widząc witającą ich pryncypalkę, rzeżką, w wygorsowanej sukni.

Bo p. de Charlus stał się chwilowo dla pani Verdurin wiernym z wiernych, drugą księżną Szerbatow. Pani Verdurin była o wiele mniej pewna pozycji światowej barona niż pozycji księżnej, wyobrażając sobie, że jeżeli księżna żyje jedynie w tem małym kółku, to przez wzgardę dla innych a przez predylekcję do tych wybranych. Ponieważ ta mistyfikacja była właśnie specjalnością Verdurinów, którzy traktowali jako „nudziarzy” wszystkich u których nie mogli być, ledwie do wiary jest, aby pryncypalka mogła uważać księżnę za duszę niezłomną, nienawidzącą „szyku”. Ale faktem jest, że wierzyła w to, przekonana iż ta wielka dama również szczerze i przez skłonności intelektualne unika nudziarzy.

Ilość „nudziarzy” zmniejszała się zresztą w pojęciu Verdurinów. Życie kąpielowe odejmowało wizycie u nich konsekwencje, jakeimi taka wizyta groziłaby w Paryżu. Światowi ludzie, bawiący w Balbec bez żon (co ułatwiało sytuację), rozwijali w la Raspelière wszystkie uroki i z nudziarzy stawali się przemili. Tak było z księciem Gilbertem, którego nieobecność żony nie skłoniłaby do „kawalerskiej” wyprawy do Verdurinów, gdyby magnes dreyfusizmu nie był tak potężny, że jednym zamachem kazał mu przebyć stoki wiodące do la Raspelière. Nieszczęściem, tego dnia pryncypalki nie było w domu. Zresztą pani Verdurin nie była pewna, czy księżę Gilbert i p. de Charlus są z jednego świata. Baron powiedział wprawdzie, że księżę Błażej jest jego bratem, ale to było może kłamstwo awanturnika. Mimo iż okazał się tak elegancki, tak miły, tak „wierny”, pryncypalka wahała się niemal, czy go prosić razem z księciem Gilbertem. Poradziła się Skiego i Brichota.

— Baron i księżę de Guermantes, czy to idzie razem?

— Nawet bez mydła.

— To mnie nie obchodzi — podjęła pani Verdurin z irytacją, ja się pytam, czy oni pasują z sobą.

— Och, pani, to są rzeczy, które bardzo trudno wiedzieć...

Pani Verdurin nie miała żadnej ukrytej myśli. Nie miała wątpliwości co do obyczajów barona; ale wyrażając się w ten sposób, nie myślała o tem; chodziło jej tylko o to, czy można zaprosić księcia Gilberta i pana de Charlus, czy to się godzi z sobą. Nie wkładała żadnej dwuznaczności w te zwroty, mające kurs w cyganerii artystycznej. Aby się popisać księciem Gilbertem, chciała go zabrać po śniadaniu na dobroczynny bazar, gdzie miejscowi marynarze mieli inscenizować odpływanie okrętu. Ale nie mając czasu zająć się wszystkim, przekazała swoje funkcje wiernemu z wiernych, baronowi. „Rozumie pan, chodzi o to żeby nie tkwili nieruchomo jak kołki, niech się kręcą, niech się wiercą, żeby widać było ruch, nie wiem jak się nazywa to wszystko. Ale pan bywa tak często w porcie, mógłby pan, bez zbyteznego kłopotu, kazać zrobić próbę. Musi się pan rozumieć na tem lepiej odemnie, panie de Charlus, jak się postępuje z majtkami. Ale ostatecznie, za wiele sobie zadajemy kłopotu dla pana de Guermantes. To może jakiś głupiec z Jockey-clubu. Och, Boże, ja się tak wyrażam o Jockey-clubie, a zdaje mi się, że pan też jest z tej paczki. He, baronku, nie odpowiadasz, jesteś pan z tej paczki? Nie chce pan iść z nami? O, ma pan książkę, którą właśnie dostałam: myślę, że to pana zajmie. To nowy Roujon. Tytuł wcale ładny: „Wśród mężczyzn.”

Co do mnie, byłem bardzo rad, że dość często powierzano panu de Charlus funkcję księżnej Szerbatow, bo byłem bardzo źle z księżną, z racji błażej a głębokiej zarazem. Pewnego dnia, kiedy się znalazł w kolejce, jak zawsze obsypując uprzejmościami księżną Szerbatow, ujrzałem wsiadającą panią de Villeparisis. Przybyła w istocie spędzić kilka tygodni u księżnej de Luxembourg, ale przykuty codzienną potrzebą widzenia Albertyny, nigdy nie uczyniłem zadość mnogim zaproszeniom margrabiny i jej dostojnej gospodyni. Uczułem wyrzut, widząc przyjaciółkę babki, i przez prosty obowiązek (nie opuszczając księżnej Szerbatow) rozmawiałem dość długo z panią de Villeparisis. Nie wiedziałem zresztą absolutnie, że pani de Villeparisis wie doskonale kim jest moja sąsiadka, ale że nie chce jej znać. Na następnej stacji, pani de Villeparisis opuściła wagon; wyrzuciłem sobie nawet, że nie pomogłem jej wysiąść; siadłem z powrotem przy księżnej. Ale możnaby rzec, iż dokonała się nagle zmiana: kataklizm częsty u osób, których sytuacja jest

niepewna i które boją się że się słyszało o nich co złego, że się nimi gardzi. Zatopiona w *Revue des Deux-Mondes*, pani Szerbatów ledwie odpowiadała na moje pytania i oświadczyła w końcu, że ją przyprawiam o migrenę. Nie miałem pojęcia, w czym dopuściłem się zbrodni. Kiedym się żegnał z księżną, zwyczajny uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy, sucho skinęła głową, nie podała mi nawet ręki i nigdy nie odezwała się do mnie od tego czasu. Ale musiała coś mówić — nie wiem co — Verdurinom; bo z chwilą gdy się ich pytał, czy nie dobrze by było żebym zrobił jakąś grzeczność księżnej Szerbatow, wszyscy wykrzyknęli chórem: „Nie, nie, nie! za nic! ona nie lubi grzeczności!” Nie czyniono tego poto aby mnie z nią poróżnić, ale zdołała wmówić, że jest niewrażliwa na nadskakiwania, niedostępna próżnościom świata. Znacie polityka, który uchodzi za najbardziej niezłomnego, nieprzejednanego, nieprzystępnego od czasu jak jest przy władzy; otóż, trzeba go było widzieć w czasie niełaski, jak nieśmiało, z istic miłosnym uśmiechem, żebrał wyniosłego ukłonu byle dziennikarza; trzeba było widzieć przeobrażenie się Cottarda, którego nowi pacjenci brali za człowieka ze stali, i wiedzieć jakie zawody, jakie kłęski snobizmu stworzyły pozorną dumę, powszechnie uznany antysnobizm księżnej Szerbatow, aby zrozumieć, iż regułą — z wyjątkami oczywiście — jest fakt, że ludzie twardzi to są odrzuceni przez świat słabeusze, i że jedynie silni, mało się troszczący o to czy świat ich chce czy nie, posiadają ową dobroć którą gmin bierze za słabość.

Zresztą nie powinienem sądzić surowo księżnej Szerbatow. Jej wypadek jest tak częsty! Pewnego dnia, na pogrzebie któregoś z Guermantów, wybitny człowiek, znalazłszy się koło mnie, wskazał mi jakiegoś smukłego i urodziwego pana. „Ze wszystkich Guermantów — rzekł — ten jest najniesłychańszy, najosobliwszy. To brat księcia Błazeja.” Odpowiedziałem niebacznie, że się myli, że ten pan, nawet nie żaden krewny Guermantów, nazywa się Fournier-Sarlovéze. Wybitny człowiek odwrócił się plecami i nigdy mi się odtąd nie odklonił.

Wielki muzyk, członek Instytutu, wysoki dygnitarz i znajomy Skiego, przejeżdżał przez Harembouville, gdzie miał siostrzenicę i zjawił się na środzie u Verdurinów. P. de Charlus był z nim specjalnie miły, na prośbę Morela, a zwłaszcza dlatego, aby, za powrotem do Paryża, Akademik ów pozwolił mu asystować na różnych prywatnych produkcjach, próbach etc., gdzie grywał Morel. Ujęty tem Akademik, zresztą przemiły człowiek, przyrzekł i dotrzymał słowa. Baron był bardzo wzruszony uprzejmością dygnitarza (osobiście zresztą wyłącznie i głęboko kochającego kobiety); ułatwieniami jakich mu dostarczył w widywaniu Morela w owych oficjalnych miejscach, dokąd profani nie wnikają, sposobnościami popisu dostarczonemi przez sławnego artystę młodemu wirtuozowi, którego specjalnie forytował w głośniejszych audycjach. Takie okazje pozwalają się artyście wybić z pomiędzy innych, choćby równych talentem. Ale p. de Charlus nie domyślał się, że winien był mistrzowi tem większą wdzięczność, ile że ów doskonale znał stosunki łączące skrzypka z jego szlachetnym protektorem: zasługa zatem była podwójna, lub, jeśli ktoś woli, podwójna wina. Mistrz faworyzował te stosunki, z pewnością bez sympatji, nie zdolny zrozumieć innej miłości niż miłość kobiety, która natchnęła całą jego muzykę; ale czynił to przez indyferentyzm moralny, przez zawodową uczynność i usłużność, przez światową uprzejmość, przez snobizm. Tak dalece nie miał wątpliwości co do charakteru tych stosunków, że od pierwszego obiadu w la Raspeliere, mówiąc o panu de Charlus i o Morelu, zapytał Skiego, tak jakby pytał o normalną parę kochanków: „Czy oddawna są z sobą?” Ale był zanadto dobrym światowcem, aby cośkolwiek okazać samym zainteresowanym; w razie gdyby wśród kolegów Morela wszczęły się komeraże, gotów był poskromić je i uspokoić Morela, powiadając po ojcowsku: „Mówią to dziś o wszystkich.”

I nie przestawał świadczyć baronowi grzeczności, które panu de Charlus wydawały się urocze ale naturalne; baron niezdolny był przypuścić u dostojnego mistrza tyle zepsucia lub tyle cnoty. Bo nikt nie był dość nikczemny, aby powtórzyć baronowi dwuznaczni ki jakie puszczano o Morelu poza jego plecami. Mimo to, prosta ta sytuacja wystarczy jako dowód, że nawet owa powszechnie zozydzona rzecz, która nie znalazłaby nigdzie obrońcy: „plotka”, posiada swoją wartość psychologiczną, czy kiedy dotyczy nas samych i staje się nam przez to osobliwie nieprzyjemna, czy kiedy nam powiada coś nowego o kimś trzecim. Plotka nie pozwala umysłowi usypiać się sztucznym obrazem, stanowiącym pozór rzeczywistości. Odwraca ten obraz z magiczną zręcznością idealistycznego filozofa i ukazuje nam nagle niepodejrzewaną podszewkę. Czyż mógłby p. de Charlus

wyobrazić sobie te słowa, wyrzeczone przez pewną czułą krewniaczkę: „Jak chcesz, aby Mémé kochał się we mnie, zapominasz że jestem kobietą!” A przecież osoba ta była szczerze, głęboko przywiązana do pana de Charlus. Jak się zatem dziwić, że u Verdurinów, na których przywiązanie i dobroć nie miał żadnego prawa liczyć, słowa mówione poza jego plecami (a nie były to, jak się okaże, tylko słowa) były tak różne od tego co sobie wyobrażał, to znaczy od prostego odbicia tego co mówiono w jego obecności. Jedyne to stroiło przyjaznymi godłami idealny domek, gdzie p. de Charlus zachodził czasami marzyć w samotności, kiedy odtwarzał sobie na chwilę wyobraźnią pojęcie Verdurinów o nim. Atmosfera była tak sympatyczna, tak serdeczna, odpoczynek tak krzepiący, że kiedy p. de Charlus, przed zaśnięciem, zaszedł tam odpocząć chwilę po swoich troskach, nie wychodził stamtąd nigdy bez uśmiechu. Ale dla każdego z nas ten rodzaj domku jest podwójny: nawprost tego, który uważamy za jedyny, znajduje się drugi, zazwyczaj niewidzialny naszym oczom — prawdziwy, symetryczny z tym który znamy — ale bardzo odmienny; nieoczekiwana ornamentacja tego drugiego domku przeraziłaby nas wstrętami symbolami niepodjętą przez nas wrogości. Co za zdumienie dla pana de Charlus, gdyby, dzięki jakiejś plotce wszedł do tego przeciwległego domku, niby przez kuchenne schody, gdzie widnieją sprośne napisy, nabazgrane koło drzwi ręką niezadowolonych sklepikarzy lub oddalonych służących. Ale, tak samo jak nam brakuje owego zmysłu orientacji, który posiadają niektóre ptaki, tak samo brak nam zmysłu widzialności, a także zmysłu odległości; wyobrażamy sobie, że mocno się nami interesują ludzie, którzy przeciwnie nigdy o nas nie myślą, a nie podejrzewamy, że przez ten czas jesteśmy znowuż jedyną troską innych. I tak p. de Charlus żył w błędzie, jak ryba przeświadczona iż woda w której pływa ciągnie się poza szybą akwarjum ukazującą jej odbicie, podczas gdy nie widzi, tuż koło siebie, w cieniu, przechodnia z rozbawieniem śledzącego jej obroty, lub wszechpotężnego hodowcy, który, w nieprzewidzianej i złowrogiej chwili, odległej jeszcze dla barona (owym hodowcą stanie się dlań w Paryżu pani Verdurin), wyjmie ją bez litości z miłego jej środowiska, aby ją rzucić w inne. Co więcej, narody, brane jedynie jako zbiorowisko jednostek, mogą przedstawiać rozleglejsze, ale identyczne w szczegółach przykłady tej głębokiej, upartej i niepokojącej ślepoty. Aż dotąd, ślepotą ta, będąca przyczyną że p. de Charlus wygłaszał w małej „paczce” rzeczy zbyt chytre lub zuchwałe, budzące kryjome uśmiechy, nie miała jeszcze dlań (ani nie miała mieć w Balbec) poważnych następstw. Trochę białka, cukru, lekka arytmia, nie przeszkadzają życiu iść zwykłym trybem u kogoś kto tego nawet nie spostrzega, gdy jedynie lekarz widzi zapowiedź katastrof. Obecnie, platoniczny lub mniej platoniczny pociąg pana de Charlus do Morela kazał baronowi wychwalać jedynie w nieobecności Morela jego urodę, w przekonaniu że to będzie rozumiane całkiem niewinnie. Postępował w ten sposób jak człowiek inteligentny, który, stając przed sądem, nie lęka się wejść w szczegóły, na pozór dlań niekorzystne, ale właśnie dlatego naturalniejsze i mniej pospolite niż melodramatyczne zakłęcia o swojej niewinności. Z tą samą swobodą, wciąż między Doncières-Ouest a Saint-Martin-du-Chêne — lub odwrotnie — p. de Charlus chętnie mówił o ludziach mających podobno bardzo szczególne obyczaje, i dodawał nawet: „Ostatecznie, mówię *szczególne*, sam nie wiem czemu, bo nie ma w tym nic tak szczególnego”; aby dowieść samemu sobie, jak się czuje swobodny wobec słuchaczy. I był w istocie swobodny, pod warunkiem że on sam kierował rozmową i że był pewien niemej i uśmiechniętej publiczności, rozbrojonej łatwością lub dobrem wychowaniem.

Kiedy p. de Charlus nie mówił z podziwem o piękności Morela, tak jakby ona nie miała żadnego związku z pewną skłonnością — zwaną *zбочzeniem* — rozprawiał o tem zбочzeniu, ale tak jakby ono nie miało z nim nic wspólnego. Czasem nawet nie wahał się nazwać go po imieniu. Kiedy, spojrzawszy na piękną oprawę Balzaka, spytałem barona co najwyżej ceni z *Komedji ludzkiej*, odpowiedział, jakgdyby ścigając swoją *idée fixe*:

— Oba rodzaje, miniatury jak *Proboszcz Z Tours* lub *Kobieta porzucona*, albo wielkie freski jak serja *Straconych złudzeń*. Jaktó! pan nie zna *Straconych złudzeń*! To takie piękne. Chwila, gdy w *Cierpieniach wynalazcy* Karlos Herrera pyta o nazwę zamku, który mija właśnie jego powóz: to Rastignac, gniazdo młodego człowieka, którego kochał niegdyś. I wówczas ksiądz popada w zadumę, którą Swann nazywał — bardzo dowcipnie *Tristesse*

d'Olympio pederastji. A śmierć Lucjana! nie przypominam sobie kto taki<sup>13</sup> — musiał to być człowiek pełen smaku — kiedy go pytano, jakie wydarzenie najbardziej go zmartwiło w życiu, odpowiedział: „Śmierć Lucjana de Rubembré w *Blaskach i nędzach*”.

— Wiem, że Balzak modny jest w tym roku, jak w zeszłym roku pesymizm — przerwał Brichot. — Ale choćbym miał zasmucić dusze cierpiące na kult balzakowski, nie pretendując, Boże chroń, do roli żandarma literatury ani mając zamiar sporządzić inwentarz błędów gramatycznych, przyznaję, że ten obfity improwizator, którego zdumiewające elukubracje zdaje się pan osobliwie przeceniać, wydał mi się zawsze skrybą niedość skrupulatnym. Czytałem te *Stracone złudzenia*, o których pan mówi, baronie; czytałem, siląc się wykrzesać z siebie zapal adeptę, i wyznaję w prostocie ducha, że te felietonowe romanse, kwintesencja patosu i galimatjasu do ikstej potęgi (*Szczęście Estery*, *Dokąd prowadzą złe drogi*, *Po czemu miłość wypada starcom*), robiły na mnie zawsze wrażenie misterjów budy jarmarcznej, wyniesionych niewytłumaczonym faworem chwili do wyżyn arcydzieła.

— Mówi pan to, bo pan nie zna życia — rzekł baron, podwójnie podrażniony, bo czuł, że Brichot nie zrozumiałby ani jego racyj artystycznych ani innych.

— Rozumiem — odparł Brichot — że, mówiąc słownikiem mistrza Rabelego, chce pan rzec, że jestem sorbonistą, sorbonitrąbą i sorbonosłem. Jednakże, tak samo jak inni tu obecni, lubię aby mi książka dawała wrażenie szczerości i życia, nie jestem z gatunku tych klerków...

— Kwadransik Rabelego — przerwał doktor Cottard, już nie tonem wahania, ale dowcipnej pewności.

— ...którzy uprawiają kult literatury wedle reguły *Abbaye-aux-Bois* w obediencji dla pana wicehrabiego de Chateaubriand, wielkiego mistrza dętolu, wedle ścisłej reguły humanistów. Pan wicehrabia de Chateaubriand...

— Chateaubriand? z kartofelkami? — przerwał Cottard.

— To jest patron tego bractwa — ciągnął Brichot, nie zwracając uwagi na koncept doktora, który w zamian, przerażony zwrotem Akademika, spojrział niespokojnie na pana de Charlus. Cottard uważał, że Brichot okazał brak taktu, natomiast kalambur Cottarda sprowadził subtelną uśmiech na wargi księżnej Szerbatow.

— Z naszym profesorem gryząca ironia doskonałego sceptyka nigdy nie traci swoich praw — rzekła uprzejmie, aby okazać, że „dowcip” lekarza nie przeszedł niezauważony.

— Mędrzec jest z konieczności sceptykiem — odparł doktor. „Cóż ja wiem”? *gnoti seauton*, powiadał Sokrates. To bardzo słuszne, nadmiar we wszystkim jest wadą. Ale głupieję z podziwu, kiedy pomyślę, że to wystarczyło, aby przechować imię Sokratesa do naszych czasów. Cóż takiego jest w tej filozofji? Ostatecznie, nie wiele. Kiedy się pomyśli, że Charcot i inni dokonali prac tysięcy razy wybitniejszych — i które przynajmniej opierają się na czymś — zanik reakcji źrenic jako objaw paraliżu postępowego — i że ich prawie że zapomniano! W rezultacie, Sokrates, to nie żadna nadzwyczajność. To są ludzie, którzy nie mieli nic do roboty, pędzili życie przechadzając się i bawiąc w dysputy. To tak jak Chrystus: „Kochajcie się nawzajem”, to bardzo ładne.

— Mój drogi — prosiła pani Cottard.

— Oczywiście, żona protestuje, to są wszystko neuropatki.

— Ależ mężusiu, nie jestem neuropatką — szepnęła pani Cottard.

— Jakto! nie jest neuropatka! kiedy syn jest chory, ona zdradza symptomy bezsenności. Ale ostatecznie uznaję, że Sokrates *et consortes* to jest potrzebne dla wyższej kultury, żeby mieć cytaty na pokaz. Cytuję zawsze *gnoti seauton* uczniom z pierwszego kursu. Stary Bouchard, dowiedziawszy się o tem, powińszował mi.

— Nie należą do fanatyków formy dla formy, tak jak nie snobowałbym się w poezji na wyrafinowane rymy — podjął Brichot. Ale, bądź co bądź, *Komedja ludzka* — bardzo mało ludzka — za wiele wykazuje przeciwieństwa do tych dzieł, w których forma przerasta treść, jak powiada pocziwy drań Owidjusz. I wolno wybrać ścieżkę pośrednią, która wiedzie do probostwa w Meudon lub do pustelni w Ferney, w równej odległości od *Vallée-aux-Loups*, gdzie René wspaniale dopełniał obowiązków pontyfikatu bez litosierdzia, i od

<sup>13</sup>nie przypominam sobie kto taki — Oskar Wilde. [przypis tłumacza]

les Jardies, gdzie Honoré de Balzac, szarpany przez komorników, nie przestawał gryzmolić na intencję swojej Polki, jako gorliwy apostoł galimatjasu.

— Chateaubriand jest o wiele żywszy niż pan sądzi, a Balzac jest i tak wielki pisarz — odparł p. de Charlus, jeszcze zbyt nasiąknięty gustem Swanna, aby móc cierpliwie znosić Brichota. Balzac znał nawet te namiętności, które cały świat ignoruje, albo bada jedynie po to aby je piętnować, Nie mówiąc o nieśmiertelnych *Straconych złudzeniach*, *Sarazine*, *Dziewczyzna o złotych oczach*, *Namiętność w pustyni*, nawet dość enigmatyczna *Żółta kochanka*, starczą na poparcie tego co mówię. Kiedym wspomniał Swannowi o tej *wynaturzonej* stronie Balzaca, powiedział: „Jest pan tego samego zdania co Taine.” Nie miałem zaszczytu znać pana Taine — dodał p. de Charlus z tym drażniącym zwyczajem niepotrzebnego „pan”, jaki mają ludzie światowi, tak jakby uważali, że tytułując wielkiego pisarza *per* pan, wyświadczają mu zaszczyt, może zachowują dystans i stwierdzają jasno, że go nie znają. — Nie znałem pana Taine, ale czułem się bardzo zaszczycony, że jesteście tego samego zdania.

Zresztą, mimo tych śmiesznych światowych nawyków, p. de Charlus był bardzo inteligentny i gdyby jakieś dawne małżeństwo spokrewniło jego rodzinę z rodziną Balzaka, prawdopodobnie sprawiłoby mu to (nie mniej zresztą niż samemu Balzakowi) zadowolenie, którym nie omieszkałby jednak paradować jako oznaką cudownej łaskawości.

Czasami na stacji tuż pod Saint-Martin-du-Chêne, jacyś młodzi ludzie wsiadali do pociągu. P. de Charlus nie mógł się wstrzymać od przyglądania się im, że jednak równocześnie maskował to zainteresowanie, robiło ono wrażenie, że pokrywa jakiś sekret, specjalniejszy nawet od prawdziwego sekretu; możnaby rzec że baron ich zna, okazywał to nawet mimowoli dopełniwszy ofiary, zanim się odwrócił do nas, niby dzieci, którym, naskutek zwady między rodzicami, zabroniono się witać z kolegą, ale które, skoro go spotkają, nie mogą się powstrzymać od ruchu głowy, zanim się poddadzą dyscyplinie preceptora.

Po zacerpniętem z greczyzny słowie, jakiego p. de Charlus użył w aluzji do *Tristesse d'Olympio* w *Blaskach i nędzach*, Ski, Brichot i Cottard spojrzeli po sobie z uśmiechem mniej może ironicznym niż nacechowanym zadowoleniem, jaki mieliby przy obiedzie ludzie, którym udało się rozgadać Dreyfusa o jego własnej sprawie, lub cesarzową Eugenję o latach jej panowania. Spodziewano się pociągnąć barona za język na ten temat, ale już było Doncieres, gdzie Morel miał się z nami spotkać. Wobec niego, p. de Charlus bardzo pilnował się w rozmowie i kiedy Ski chciał go sprowadzić na miłość Karlosa Herrery do Lucjana de Rubempré, baron przybrał minę niezadowoloną i tajemniczą, w końcu zaś, widząc że go nie słuchają, surową i karcącą minę ojca, słyszącego że ktoś mówi nieprzyzwoitości przy jego córce. Kiedy Ski upierał się przy tym temacie, p. de Charlus, wybałuszając oczy, podnosząc głos i pokazując Albertynę (która zresztą nie mogła słyszeć, zajęta rozmową z panią Cottard i z księżną Szerbatow), rzekł znacząco tonem człowieka, który chce dać lekcję ludziom źle wychowanym:

— Sądzę, że byłby czas przejść na tematy, zdolne interesować tę młodą panienkę.

Ale zrozumiałem jasno, że dla barona młodą panienką była nie Albertyna lecz Morel; dowiódł zresztą później ścisłości mojej interpretacji wyrażeniami, któremi się posłużył, prosząc aby nie prowadzić tych rozmów przy Morelu. „Wie pan — rzekł do mnie — on nie jest wcale tem co by pan mógł przypuszczać; to chłopak bardzo uczciwy, do dziś pozostał bardzo moralny, bardzo serjo”. I czuło się przy tych słowach, że p. de Charlus uważał inwersję za niebezpieczeństwo równie groźne dla młodych ludzi jak prostytucja dla kobiet, i że jeżeli się posługuje dla Morela epitetem „serjo”, to w tym sensie, jaki on przybiera w zastosowaniu do młodej robotniczki.

Aby odmienić rozmowę, Brichot spytał mnie, czy jeszcze długo zamierzam zostać w Incarville. Daremnie kilka razy zwróciłem mu uwagę, że ja mieszkam nie w Incarville lecz w Balbec, wciąż popadał w ten błąd, określając tę część wybrzeża nazwą Incarville albo Balbec-Incarville. Bywają ludzie, którzy mówią o tych samych rzeczach co my, oznaczając je nazwą nieco odmienną. Pewna dama z *faubourg Saint-Germain* pytała mnie zawsze, mając na myśli panią de Guermantes, czy dawno widziałem Zenaidę lub Oriane-Zenaidę, co sprawiało że w pierwszej chwili nie wiedziałem o kim mówi. Prawdopodobnie musiał być czas, kiedy jakaś krewna pani de Guermantes nazywała się Oriana, dla uniknięcia

omyłek nazywano tedy ją samą Orianą-Zenaidą. Może też był dawniej dworzec tylko w Incarville, i stamtąd się jechało końmi do Balbec.

— O czemż takim panowie mówili? — spytała Albertyna, zdziwiona uroczystym i ojcowskim tonem pana de Charlus.

— O Balzaku — skwapliwie odpowiedział baron — a pani ma dziś wieczór właśnie toaletę w stylu księżnej de Cadignan, nie tę pierwszą, z obiadu, ale tę drugą.

Podobieństwo wynikało stąd, że w wyborze toalet Albertyny kierowałem się smakiem, jaki ona sobie wyrobiła dzięki Elstirowi, Elstir zaś bardzo cenił dyskrecję, którą możnaby nazwać brytyjską, gdyby jej nie łagodziło coś ze słodyczy i miękkości francuskiej. Najczęściej suknie, które przekładał nad inne, tworzyły harmonijną kombinację kolorów szarych jak w sukni Diany de Cadignan<sup>14</sup>. Jeden bez mała p. de Charlus zdolny był zrozumieć i ocenić istotne wartości toalet Albertyny; oczy jego zaraz odkrywały to co stanowiło ich rzadkość; cenę; nieomylnie umiał wymienić nazwę materji, poznać krawca. Tylko baron lubił — dla kobiet — trochę więcej blasku i koloru, niż ich znosił Elstir. Toteż tego wieczoru Albertyna rzuciła mi uśmiechnięte i niespokojne zarazem spojrzenie, marszcząc nosk różowy jak u kotki. W istocie, jej szary szewiotowy żakiecik, zapięty na szarej spódnicy *crêpe de chine*, pozwalał wnosić, że Albertyna cała jest na szaro. Ale, dając mi znak abym jej pomógł (ponieważ buffy u rękawów wymagały aby je przypląszczyć lub podnieść), zdjęła żakiet; że zaś rękawy były w szkocką kratę, bardzo delikatną, różową, bładoniebieską, zielonkawą, perłową, robiło to wrażenie, jakby na szarem niebie ukazała się tęcza. I Albertyna nie była pewna, czy się to spodoba panu de Charlus.

— Och! — wykrzyknął baron zachwycony — oto promień, pryzmat barw. Winszuję, winszuję.

— To zasługa tylko tego pana — rzekła Albertyna wskazując na mnie, bo lubiła chwalić się tem co miała odemnie.

— Jedynie kobiety nie umiejące się ubrać boją się kolorów — odparł p. de Charlus. Można być jaskrawą bez pospolitości i słodką bez mdłości. Zresztą pani nie ma tych samych przyczyn co pani de Cadignan, aby chcieć się wydać obcą życiu, bo to było pojęcie, jakie chciała wszczepić d'Arthezowi swoją szarą toaletą. Albertyna, którą zainteresowała ta niema wymowa sukien, spytała pana de Charlus o księżnę de Cadignan.

— Och, to urocza nowela — rzekł baron marzącym tonem. — Znam ogródek, gdzie Diana de Cadignan przechadzała się z panem d'Espard. To ogród jednej z moich kuzynek.

— Wszystkie te „ogrody kuzynki” — mruknął Brichot do Cottarda — mogą mieć wartość dla zacnego barona, tak jak jego genealogia. Ale co to obchodzi nas, którzy nie mamy przywileju przechadzania się w tym ogródku, nie znamy tej damy i nie posiadamy pergaminów?

Bo Brichot nie podejrzewał, aby można się było interesować suknią i ogrodem jak dziełem sztuki, i że p. de Charlus jakgdyby poprzez Balzaka oglądał ogródek pani de Cadignan.

Baron ciągnął:

— Ależ zna ją pan — rzekł aby mi pochlebić, zwracając się do mnie, jak do kogoś, kto, wygnany do „klaniku”, był dla pana de Charlus jeżeli nie z jego świata, to bodaj kimś kto bywa w jego świecie. W każdym razie, musiał ją pan widzieć u pani de Villeparisis.

— Margrabina de Villeparisis, do której należy zamek de Baucreux? — spytał Brichot z zainteresowaniem.

— Tak, zna ją pan? — spytał sucho pan de Charlus.

— Ani trochę — odparł Brichot — ale nasz kolega Norpois spędza co lato jakiś czas w Baucreux. Miałem sposobność pisać tam do niego.

Powiedziałem Morelowi, myśląc że go to zainteresuje, że pan de Norpois jest przyjacielem mego ojca. Ale żaden odruch nie zaświadczył aby Morel usłyszał, tak dalece uważał moich rodziców za ludzi mało znaczących i nie umywających się nawet do tego czem był wuj, u którego ojciec jego był kamerdynerem i który zresztą, w przeciwieństwie do reszty rodziny, lubiąc paradę, zostawił olśniewające wspomnienie służbie.

<sup>14</sup>Diana de Cadignan — bohaterka opowiadania Balzaka, do którego p. de Charlus robi aluzję (*Sekrety księżnej de Cadignan*). [przypis redakcyjny]



— Zdaje się, że pani de Villeparisis jest kobietą niepospolitą, ale nigdy nie miałem zaszczytu sprawdzenia tego osobiście, jak zresztą żaden z moich kolegów. Norpois, przeżył w Instytucie, nie przedstawił żadnego z nas margrabinie. Wiem, że bywał u niej jedynie nasz przyjaciel Thureau-Dangin, którego z nią łączyły dawne stosunki rodzinne, a także Gaston Boissier; margrabina chciała go poznać w związku z jakąś pracą, która ją specjalnie zainteresowała. Był u niej raz na obiedzie i wrócił pod urokiem. Ale pani Boissier nie zaproszono.

Na te nazwiska, Morel uśmiechnął się z rozczuleniem:

— A! Thureau-Dangin — rzekł do mnie z miną wyrażającą w tym samym stopniu zainteresowanie, w jakim mina, którą przyjął wzmiankę o margrabim de Norpois i o moim ojcu, zdradzała obojętność. Thureau-Dangin, to była para przyjaciół z pańskim wujem. Kiedy jakaś dama chciała mieć dobre miejsce na przyjęcie w Akademji, pański wuj mówił: „Napiszę do mego Thureau-Dangin.” I oczywiście miejsce zaraz było, bo rozumie pan, że Thureau-Dangin nie odważyłby się niczego odmówić wujowi, któryby mu potrafił dać byka za indyka. Bawi mnie też słyszeć nazwisko Boissier, bo tam właśnie wuj pański robił wszystkie zakupy dla dam koło Nowego Roku. Wiem o tem, bo znam osobę, która załatwiała te sprawunki.

Więcej niż *znał*, bo to był jego ojciec. Niektóre serdeczne aluzje Morela do pamięci wuja, potraçały o fakt, że my nie zamierzaliśmy pozostać w pałacu Guermantes, gdzieśmy zamieszkali jedynie dla babki. Mówiło się czasem o możliwej zmianie mieszkania. Otóż, aby zrozumieć rady, jakie mi dawał w tej mierze Morel, trzeba wiedzieć, że niegdyś wuj mieszkał pod numerem 40 *bis* przy boulevard Malesherbes. Z tego wynikło, że, ponieważ odwiedzaliśmy często wuja Adolfa aż do nieszczęsnego dnia kiedym poróżnił z nim rodziców opowiadając o różowej damie, zamiast mówić „do wuja”, mówiło się w rodzinie „pod 40 *bis*.” Kuzynki mamy mówiły najnaturalniej w świecie: „A, w niedzielę nie będziesz w domu, masz obiad pod 40 *bis*.” Kiedym szedł odwiedzić jaką krewną, zalecano mi najpierw iść „pod 40 *bis*”, aby się wuj nie obraził, że się nie zaczęło od niego. Był właścicielem tego domu i bardzo był trudny w wyborze lokatorów, którzy wszyscy byli lub stawali się jego przyjaciółmi. Pułkownik baron de Vatry zachodził codziennie wypalić z wujem cygaro, aby łatwiej uzyskać remont. Brama wjazdowa była zawsze zamknięta. Jeżeli w jakim oknie wuj dojrzał bieliznę, dywan, wpadał we wściekłość i kazał je sprzątać energiczniej niż to dziś czynią posterunkowi. Ale ostatecznie i tak odnajmował część domu, zachowując dla siebie tylko dwa piętra i stajnie. Mimo to, wiedząc że lubi aby chwalić staranne utrzymanie domu, sławiło się komfort „pałacyku”, tak jakby wuj sam jeden go zajmował; on zaś przyjmował to, nie zakładając (jakby się godziło) formalnego protestu. „Pałacyk” był niewątpliwie komfortowy (wuj wprowadzał tam wszystkie nowe udogodnienia), ale nie było w nim nic nadzwyczajnego. Jedyny wuj, powiadając z fałszywą skromnością „moja nora”, był przekonany (lub conajmniej wszczepił swemu kamerdynerowi, jego żonie, stangretowi, kucharce, to pojęcie), że nie istnieje w Paryżu nic, coby w zakresie komfortu, zbytku i przyjemności można porównać z jego „pałacykiem”. Młody Morel wzrósł w tej wierze i zachował ją. Toteż nawet kiedy nie rozmawiał specjalnie ze mną, jeżeli w pociągu wspominałem komuś o możliwości przeprowadzki, uśmiechał się i mrugając porozumiewawczo, mówił: „Och! państwu by trzeba czegoś w rodzaju 40 *bis*! Tam by było dobrze! To fakt, że wuj pański rozumiał się na tem. Jestem pewien, że w całym Paryżu niema nic, coby można równać z 40 *bis*”

Z melancholijnej miny, jaką baron przybrał mówiąc o księżnej de Cadignan, odczułem, że ta nowela przywodzi mu na myśl nie tylko ogródek dosyć obojętnej kuzynki. Popadł w zadumę i jakby do samego siebie wykrzyknął:

— *Sekrety księżnej de Cadignan!* Arcydzieło! jakie to głębokie, bolesne, ta zła reputacja Djany, drżącej, aby człowiek, którego kocha, nie dowiedział się o niej. Co za wiekuista prawda, powszechniejsza niż się zdaje; jak to daleko sięga!

P. de Charlus wyrzekł te słowa ze smutkiem, czuło się jednak, że ten smutek jest dlań nie bez uroku. Z pewnością baron, nie wiedząc ściśle w jakiej mierze jego obyczaje są znane, drżał od jakiegoś czasu, że, skoro wróci do Paryża i pokaże się z Morelem, rodzina skrzypka gotowa się w to wdąć i wówczas szczęście jego będzie narażone. Ewentualność ta przedstawiała mu się zapewne dotąd wyłącznie jako coś bardzo przykrego i ciężkiego. Ale baron był w wysokim stopniu artystą. I teraz, kiedy od paru chwil utożsamiał swo-

je położenie z sytuacją opisaną przez Balzaka, chronił się poniekąd w to opowiadanie; w nieszczęściu, które mu może groziło — a w każdym razie przerażało go — miał tę pociechę, że znajduje we własnym lęku to, co Swann, a także Saint-Loup nazwaliby czemś „bardzo balzakowskim”. Owo utożsamienie się z księżną de Cadignan stało się łatwe dla pana de Charlus dzięki duchowej transpozycji, do której przywykł i której dawał już nieraz przykłady. Transpozycja ta wystarczała zresztą, aby samo zastąpienie kobiety jako przedmiotu ukochania — młodym człowiekiem, stworzyło natychmiast dokoła niego cały splot komplikacji socjalnych, jakie się rozwijają dokoła zwykłego stosunku. Kiedy, z jakiegoś powodu, wprowadza się trwałą zmianę w kalendarzu lub w zegarach, jeżeli rok zaczyna się o kilka tygodni później, lub północ bije o kwadrans wcześniej, wszystko co wynika z miary czasu pozostanie identyczne, bo dzień i tak będzie miał dwadzieścia cztery godzin, a miesiąc trzydzieści dni. Wszystko mogło się zmienić bez żadnego wstrząsu, bo stosunki cyfr pozostały wciąż jednakie. Tak samo u tych którzy przyjmują „czas średnio-europejski” lub kalendarz wschodni. Zdaje się nawet, że miłość własna, którą głaszcząc stosunek z aktorką, grała rolę i tutaj. Kiedy od pierwszego dnia p. de Charlus wywiedział się kim jest Morel, z pewnością stwierdził, że jest niskiego pochodzenia; ale i dama z półświatka którą pokochamy, nie traci przecież dla nas uroku przez to że jest córką biedaków. W zamian za to, znani muzycy, do których baron się zwrócił — odpowiedzieli mu — nawet nie z rozmysłu, ale ot, jak owi przyjaciele, którzy, przedstawiając Odecie Swanna, odmalowali mu ją jako trudniejszą i bardziej poszukiwaną niż była w istocie przez zdawkową banalność ludzi sławnych, łaskawych dla debiutanta: „Och! Wielki talent, duża sytuacja, zważywszy oczywiście że jest młody, ceniony przez znawców, ma przed sobą karierę.” I przez ową manję, z jaką ludzie nieznający zbroczeń mówią o męskiej urodzie, ten i ów dodał: „A przytem, ładny jest kiedy gra; świetnie wygląda na estradzie, ładne włosy, ruchy dystyngowane, czarująca głowa, wygląda jak z portretu.” Toteż p. de Charlus, podniecany zresztą przez Morela, który mu nie taił, ilu propozycji jest przedmiotem, dumny był, że go przywozi z sobą, że mu uściele gniazdko do któregoby skrzypek lubił wracać. Bo pozatem baron chciał aby Morel był wolny, co było konieczne dla kariery, której — mimo pieniędzy, jakie mu gotów był dawać — p. de Charlus pragnął dla Morela, bądź to z powodu tego poglądu — bardzo w stylu „Guermantes” — że trzeba aby mężczyzna coś robił, że człowiek jest coś wart jedynie przez swój talent, szlachectwo zaś lub pieniąż to są jedynie zera, które mnożą wartość, bądź że się bał, iż, nie mając zajęcia i będąc wciąż przy nim, skrzypek znudziłby się. Wreszcie, baron nie chciał się pozbawiać przyjemności, jakiej doznawał w czasie wielkiego koncertu, powiadając sobie: „Ten, którego oklaskują w tej chwili, będzie u mnie dziś w nocy.” Ludzie światowi, kiedy są zakochani — bez względu na gatunek miłości — wkładają swoją próżność w to, co może zniwieczyć dawniejsze ich przewagi, w których próżność ich znalazłaby zadowolenie.

Morel, czując że ja mu źle nie życzę, szczerze przywiązany do pana de Charlus, a z drugiej strony fizycznie absolutnie obojętny w stosunku do nas obu, nabral w końcu do mnie owej gorącej sympatii, jaką ma kokotka do kogoś, kto się do niej nie zaleca i w kim kochanek jej ma szczerego przyjaciela, nie starającego się go z nią poróżnić. Nietylko mówił ze mną ściśle tak jak niegdyś Rachela, kochanka Roberta, ale także — wedle tego co mi powtarzał p. de Charlus — mówił mu o mnie w mojej nieobecności mniej więcej to samo, co niegdyś Rachela Robertowi. Słowem, p. de Charlus powtarzał: „On pana bardzo lubi”, jak Robert mówił: „Ona cię bardzo lubi.” I jak Robert w imieniu kochanki, tak teraz wuj jego w imieniu Morela często zapraszał mnie we trójkę na obiad. Było zresztą między nimi nie mniej burz niż między Robertem a Rachelą. Niewątpliwie, kiedy Charlie (Morel) wyszedł, p. de Charlus nie szczędził mu pochwał, powtarzając — co pochlebiali jemu samemu — że skrzypek jest dlań taki dobry! Mimo to, widoczne było, że często Charlie, nawet wobec „wiernych”, zdradzał irytację, zamiast się wydawać zawsze szczęśliwy i uległy, jakby tego pragnął baron. Później — naskutek słabości, z jaką p. de Charlus przebaczał Morelowi wszystkie nietakty — irytacja ta posunęła się tak daleko, że skrzypek nie starał się jej ukryć a nawet afszował ją. Widziałem, jak p. de Charlus wchodził do wagonu, gdzie Charlie siedział z kolegami z wojska; muzyk przyjmował go wzruszeniem ramion, robiąc oko w stronę towarzyszków. Lub udawał że śpi, jak ktoś, kogo ta obecność napelnia nieodpartą nudą. Albo zaczynał kaszleć; tamci śmiali się, przedrzeźniali specyficzne mizdrzenie się pana de Charlus; odciągali w ką Morela, który w końcu

jakby pod przymusem wracał do barona. Wszystkie te grotty przeszywały nawskroś serce barona. Niepojęte jest, że je znosił; i te wciąż odmienne formy cierpienia stwarzały wciąż na nowo dla pana de Charlus problemat szczęścia, zmuszały go nie tylko do żądania więcej, ale do pragnienia czego innego, ile że poprzednia kombinacja nasiąkła okropnym wspomnieniem. I mimo iż te sceny stały się później tak przykre, trzeba przyznać, że w pierwszym okresie instynkt dziecka francuskiego ludu natchnął Morela formami uroczej prostoty, pozornej szczerości, nawet szlachetnej dumy, która zdawała się zrodzona z bezinteresowności. To było fałszywe, ale wszystkie korzyści tej postawy przypadają Morelowi tem bardziej, że ten co kocha wciąż musi atakować, silić się na coś, gdy przeciwnie temu co nie kocha łatwo jest zachować linię prostą, nieugiętą i wdzięczną. Istniała ona, mocą przywileju rasy, w tak otwartej twarzy Morela, człowieku o tak zamkniętym sercu; twarzy strojnej neohelleńskim wdziękiem, kwitnącym w bazylikach Szampanji. Mimo swojej sztucznej dumy, często, spostrzegając pana de Charlus w chwili gdy się tego nie spodziewał, Morel zażenowany był wobec „paczki”; rumienił się, spuszczał oczy, ku zachwytowi barona, widzącego w tem cały romans. Były to poprostu oznaki irytacji i wstydu. Irytacja ta dawała sobie niekiedy folgę, mimo bowiem iż zazwyczaj spokojny, męski i skromny, Morel wypadł niekiedy z roli; czasem nawet, na jakieś odezwanie się barona, wybuchał ostro i zuchwale, ku zgorszeniu obecnych. P. de Charlus spuszczał smutno głowę, nie odpowiadał nic i dalej mimo to śpiewał pochwały skrzypka, gotów wierzyć — jak wierzą zbyt słabi rodzice, że nikt nie zauważył chłodu i grubiaństwa ich dzieci. Nie zawsze zresztą był p. de Charlus równie uległy, ale bunty jego nie osiągały zazwyczaj celu, zwłaszcza że, żyjąc zawsze w kołach światowych, w obliczaniu ewentualnej reakcji uwzględniał nikczemność, jeżeli nie wrodzoną, to bodaj nabytą przez wychowanie. Otóż, zamiast tego, spotykał u Morela jakiś plebejski powiew chwilowej obojętności.

Nieszczęściem dla siebie, p. de Charlus nie rozumiał, że dla Morela wszystko znika z chwilą gdy wchodzi w grę konserwatorjum (i dobra opinja w konserwatorjum, ale ten wzgląd — poważniejszy — nie nastroczał się jeszcze w tej chwili). Tak naprzykład, mieszczenie łatwo zmieniają nazwisko przez próżność, a wielcy panowie dla korzyści. Przeciwnie, dla młodego skrzypka nazwisko Morel było nierozłączne z uzyskaną pierwszą nagrodą skrzypcową, zatem niepodobne do zmienienia. P. de Charlus byłby chciał, aby Morel miał od niego wszystko, nawet nazwisko. Wiedząc że Morelowi jest na imię Charles, co brzmiało podobnie do *Charlus* i że posiadłość w której się widywali nazywała się *les Charmes*, chciał przekonać Morela, że ładne i mile brzmiące nazwisko jest połową artystycznej reputacji, i że powinien bez wahania przybrać nazwisko *Charmel* — dyskretna aluzja do miejsca ich schadzek. Morel wzruszył ramionami. Jako ostatni argument, p. de Charlus dodał nieszczęśliwie, że ma kamerdynera, który się tak nazywa. Obudził tem jedynie furję młodego człowieka.

— Był czas, gdy moi przodkowie byli dumni z tytułu pokojowca, marszałka królewskiego dworu — mówił baron.

— Był inny czas — odparł dumnie Morel — gdy moi przodkowie ucięli głowę pańskim.

Po odrzuceniu nazwiska „Charmel”, p. de Charlus gotów był już adoptować Morela i dać mu jeden z tytułów rodu Guermites jakimi rozporządzał, ale — jak się okaże — okoliczności nie pozwoliły mu ofiarować skrzypkowi tego tytułu; zresztą p. de Charlus przekonałby się, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że Morel byłby odmówił, wciąż przez wzgląd na reputację artystyczną, związaną z nazwiskiem Morel i na komentarze, jakieby to wywołało w jego klasie. O tyle wyżej stawał ulicę Bergère od faubourg Saint-Germain. Narazie, trzeba się było panu de Charlus zadowolić wymianą symbolicznych pierścionków, noszących starożytny napis: *PLUS ULTRA CAROL'S*. Niewątpliwie, w obliczu przeciwnika z rodzaju którego nie znał, p. de Charlus powinien był zmienić taktykę. Ale kto to potrafi? Zresztą, jeżeli p. de Charlus popełniał niezręczności, nie zbywało ich i Morelowi. O wiele bardziej niż sama okoliczność, która spowodowała zerwanie, zgubić, bodaj prowizorycznie (ale to prowizorjum okazało się definitywnem), Morela wobec pana de Charlus miało to, że w tym chłopcu była nie tylko sama nikczemność, każąca mu się płaszczyć wobec brutalności a odpłacać zuchwalstwem dobroć. Równoległe z tą wrodzoną nikczemnością, była w nim neurastenja, skomplikowana złem wychowaniem, która, budząc się za każdym razem kiedy Morel zawinił lub kiedy stawał się ciężarem,

sprawiała iż właśnie w chwili kiedyby potrzebował całego swego wdzięku, wesołości, słodczy, aby rozbroić barona, Morel stawał się chmurny, zaczepny, wszczynał beznadziejne dyskusje, podtrzymywał swój wrogi punkt widzenia z nicością argumentów a zarazem z brutalnością, która pogłębiała jeszcze tę nicość. Bo bardzo szybko wyczerpawszy argumenty, wymyślał nowe, w których ujawniał cały bezmiar swojej ignorancji i głupoty. Wady te ledwie przeświecały wówczas kiedy Morel był miły i starał się podobać. Przeciwnie, w napadach złego humoru, wady te z niewinnych stawały się wstrętne, przesłaniały wszystko inne. Wówczas p. de Charlus popadał w rozpacz; całą nadzieję pokładał jedynie w lepszym jutrze, podczas gdy Morel, zapominając o zbytku jaki zawdzięczał baronowi, mówił z uśmiechem ironicznego politowania:

— Nigdy nie przyjąłem nic od nikogo; toteż niema człowieka, któremu bym był winien jakąkolwiek wdzięczność.

Narazie, i tak jakby miał do czynienia z człowiekiem z towarzystwa, p. de Charlus dalej dawał upust swoim gniewom, prawdziwym lub udanym, ale daremnym. Nie zawsze zresztą. I tak, pewnego dnia (już w dalszym okresie tego stosunku), kiedy baron wracał z Morelem i ze mną ze śniadania u Verdurinów, sądząc że spędzi wieczór ze skrzypkiem w Doncières, Morel, wysiadając z wagonu, pożegnał go słowami: „Nie, jestem zajęty.” Sprawilo to panu de Charlus zawód tak silny, że mimo iż próbował uzbroid serce przeciw srogości losu, ujrzałem jak lzy stopiły szminkę na jego rzesach, podczas gdy stał ogłupiały koło pociągu. Boleść jego była taka, że ponieważ zamierzaliśmy z Albertyną zakończyć dzień w Doncières, szepnąłem jej, że baron ma wyraźnie jakieś zmartwienie i że nie chciałbym go zostawiać samego. Kochana dziewczyna zgodziła się chętnie. Spytałem wówczas pana de Charlus, czy nie chce abym został trochę przy nim. Zgodził się, ale nie chciał fatygować mojej kuzynki. Znalazłem pewną słodycz (i zapewne ostatni raz, skoro byłem zdecydowany zerwać z Albertyną) w tem, aby jej nakazać łagodnie, tak jakby była moją żoną: „Wracaj sama, zajdę do ciebie wieczór”, i otrzymać tak jakby od żony — zgodę na to abym postąpił jak uważam za stosowne, w razie gdyby p. de Charlus, którego Albertyna bardzo lubiła, mnie potrzebował. Zaszliśmy we dwóch z baronem (przyczem on kołysał swoje wielkie ciało, ze spuszczonei jezuicko oczami, a ja szedłem za nim) do kawiarni, gdzie nam podano piwo. Czulem, że oczy pana de Charlus ścigają niespokojnie jakiś plan. Nagle baron zażądał papieru i atramentu i zaczął pisać z niezwykłą szybkością. Podczas gdy zapisywał ćwiartkę po ćwiartce, oczy jego błyszczały marzeniem i wściekłością. Napisawszy osiem stronic, rzekł do mnie:

— Czy mogę pana prosić o wielką przysługę? Niech pan daruje, że zakleję ten list. Ale tak trzeba. Weźmie pan fiakra, auto jeśli pan znajdzie, aby być prędzej. Zastanie pan z pewnością Morela w domu, poszedł się przebrać. Biedny chłopiec, fanfaronował w chwili gdy nas opuszczał, ale może pan być pewny, że jemu jest jeszcze ciężej niż mnie. Odda mu pan list, a jeśli zapyta gdzie mnie pan widział, powie pan, że się pan zatrzymał w Doncières (co jest zresztą prawda) aby się widzieć z Robertem (co nie jest może prawda), ale że mnie pan spotkał z kimś kogo pan nie zna, żem był wyraźnie bardzo zirytowany; ma pan wrażenie, że pan słyszał coś o posyłaniu świadków (biję się w istocie jutro). Zwłaszcza niech pan nie mówi, że ja go wzywam, niech się go pan nie stara sprowadzić; ale gdyby chciał przyjść z panem, proszę mu tego nie bronić. Idź, dziecko, to dla jego dobra, możesz oszczędzić wielkiego dramatu. Podczas gdy pan uda się do niego, ja napiszę do moich świadków. Zepsulem panu spacer z kuzynką. Mam nadzieję, że nie będzie miała o to żalu, nawet jestem tego pewny. Bo to jest szlachetna dusza, i wiem, że jest z tych, które umieją zrozumieć doniosłość sytuacji. Musi pan jej podziękować odemnie. Jestem jej osobiście zobowiązany i cieszę się z tego.

Bardzo mi było żal pana de Charlus; zdawało mi się, że Charlie powinienby zapobiec temu pojedynkowi, którego był może przyczyną. Jeżeli tak było, czulem się oburzony że on odszedł obojętnie, zamiast towarzyszyć swemu protektorowi. Oburzenie moje wzrosło, kiedy, przybywszy do domu gdzie mieszkał Morel, poznałem głos skrzypka, który, potrzebując dać upust wesołości, śpiewał na całe gardło: „Sobota wieczór, po fajerancie!” Gdyby biedny p. de Charlus słyszał, on który chciał aby wierzone i wierzył zapewne, że Morel jest w tej chwili smutny! Na mój widok, Charlie zaczął tańczyć z uciechy.

— Och, mój stary (daruje pan, że go tak nazywam, w tem przekłętym życiu wojskowym człowiek nabiera plugawych manjer), co za gratka, że pana widzę. Nie mam co

robić z wieczorem, błagam, chodźmy gdzie razem. Zostaniemy tutaj, jeżeli pan woli, albo popływamy łódką, albo będziemy muzykowali, co tylko pan chce.

Powiedziałem, że muszę wracać na obiad do Balbec; miał ochotę abym go zaprosił, ale nie zrobiłem tego.

— Ale skoro panu tak spieszą, poco pan przyszedł?

— Przynoszę panu list barona.

W tej chwili wesołość Morela pierzchła, twarz mu się skurczyła.

— Jakto! jeszcze tutaj mnie ściga! Więc ja jestem niewolnik? Drogi panie, niech pan będzie poczciwy. Nie otwieram listu. Powie pan, że mnie pan nie zastał.

— Czy nie lepiej otworzyć, zdaje mi się że tam jest coś ważnego.

— Ale nie! pan nie zna kłamstw, piekielnych sztuczek tego starego plugawca. To finta wymyślona na to, żebym poleciał do niego. Ale nie, nie pójdę, chcę mieć spokój dzisiaj.

— Ale przecież on ma pojedynek jutro? — spytałem, sądząc że Morel jest świadomy rzeczy.

— Pojedynek? — odparł zdumiony. — Nie wiem o tem ani słowa. Ostatecznie, mam to gdzieś, niech się ten stary pluch da wypaproszyć, skoro ma ochotę. Ale wie pan, to mnie intryguje: otworzę ten list. Powie mu pan, że mi go pan zostawił na wszelki wypadek, w razie gdybym wrócił do domu.

Podczas gdy Morel mówił, patrzałem ze zdumieniem na cudowne książki — dar pana de Charlus — walające się po pokoju. Skrzypek nie chciał przyjąć książek, które miały napis: „Należę do barona etc...”; dewiza ta zdawała mu się obrażająca dla niego jako znak przynależności; zaczął baron, z sentymentalną pomysłowością, w której lubuje się nieszczęśliwa miłość, zastąpił te godła innymi, odziedziczonymi po przodkach, ale zamówionymi u introligatora w duchu melancholijnej przyjaźni. Czasami były krótkie i ufne, jak *Spes mea* albo *Expectata non eludet*. Czasem tylko zrezygnowane, jak „Zaczekam”. Niektóre frywolne, jak „*Mesmes plaisir du mestré*”, lub doradzające czystość, jak ta zapożyczona od rodziny Simiane, usiana błękitnymi wieżami i kwiatami lilji i odarta ze swego sensu: *Sustendant lilia tures*. Inna wreszcie, zropaczona i dająca schadzki w niebie temu, który go nie chciał na ziemi: *Manet ultima coelo*. W innej, znajdując nazbyt zielonem grono którego nie mógł dosięgnąć, udając że się nie ubiega o to czego nie otrzymał, p. de Charlus powiadał: *Non mortale quod opto*. Ale nie miałem czasu obejrzyć wszystkich.

Jeżeli p. de Charlus, kreśląc ten list, zdawał się pastwą demona prowadzącego mu pióro, Morel, złamawszy pieczęć *Atavis et armis*, opatrzoną lampartem w sąsiedztwie dwóch czerwonych róż, zaczął czytać z gorączką równą tej z jaką p. de Charlus pisał; oczy jego biegały po zabazgranych stronicach nie mniej szybko niż pióro barona.

— Och, Boże! tylko tego brakowało! ale gdzie go znaleźć! Bóg wie, gdzie on jest teraz.

Poddałem myśl, że pospieszywszy się, zastałoby się może jeszcze barona w piwiarni, gdzie sobie kazał dać piwa aby ochłonić. „Nie wiem, czy wrócę, rzekł Morel do gospodyni; i dodał *in petto*: to będzie zależało od obrotu rzeczy.” W kilka minut przybyliśmy do kawiarni. Zauważyłem wyraz pana de Charlus w chwili gdy mnie spostrzegł. Uczułem iż na widok że nie idę sam, wraca mu oddech, życie. Będąc tego wieczora w takim nastroju że się nie mógł obyć bez Morela, zmyślił, że — jak mu doniesiono — dwaj oficerowie z pułku Morela źle mówili o nim z powodu skrzypka i że on wyprawił do nich świadków. Morel dojrzał w tem skandal, uniemożliwienie swego życia w pułku; zadrzał. W czem niezupełnie był w błędzie. Bo, aby uczynić swoje kłamstwo prawdopodobniejszym, p. de Charlus napisał już do dwóch przyjaciół (jednym z nich był Cottard), prosząc ich na sekundantów. I gdyby skrzypek się nie zjawił, można być pewnym, że taki warjat jak p. de Charlus (aby zmienić swój smutek we wściekłość) wysłałby ich na oślep do jakiegoś oficera, z którym pojedynek sprawiłby mu ulgę. Przez ten czas, p. de Charlus, przypominając sobie że jest z krwi czystszej niż krew królów Francji, myślał że śmieszne jest tyle się dręczyć dla syna kamerdynera, z którego panem nie raczyłby utrzymywać stosunków. Z drugiej strony, o ile znajdował już upodobanie tylko w przestawianiu z mętami, zakorzeniony u ludzi tego pokroju zwyczaj aby nie odpowiadać na listy, nie przyjść na schadzki bez uprzedzenia, bez wytłumaczenia się później, dawał baronowi — ponieważ często chodziło o miłości — tyle wzruszeń, a skądinąd przyprawiał go o tyle irytacji, kłopotów i wściekłości, że często zdarzało mu się żałować mnogości zbytecznych listów, punktualności ambasadorów i monarchów, którzy, o ile mu byli niestety obojętni, dawali mu mimo wszystko uczucie

wytchnienia. Przyzwyczajony do manier Morela, wiedząc jak mało ma nań wpływu i jak dalece był niezdolny wcisnąć się w życie, w którym pospolite ale obowiązujące stosunki zabierały zbyt wiele miejsca i czasu aby można było znaleźć godzinę dla wzgardzonego magnata, dumnego i błagającego napróżno, p. de Charlus był tak dalece przekonany że muzyk nie przyjdzie, tak bardzo się bał że się z nim na zawsze poróżnił posuwając się za daleko, że ledwie mógł wstrzymać krzyk na jego widok. Ale, czując się zwycięską, chciał podyktować warunki pokoju, wydobyć dla siebie możliwe korzyści.

— Co pan tu robi? — rzekł do Morela. — A pan? — dodał patrząc na mnie; — mówiłem przecie żeby mi go nie sprowadzać.

— Nie chciał mnie sprowadzać — rzekł Morel śląc, w swojej naiwnej kokieterii, w stronę pana de Charlus spojrzenia konwencjonalnie smutne i tęsknie niemożne, z miną — uważał ją zapewne za nieodpartą — taką jakby chciał barona uściskać i rozplakać się. — To ja sam przyszedłem, wbrew niemu. Przychodzę w imię naszej przyjaźni, błagać pana na kolanach, aby pan nie robił tego szaleństwa.

P. de Charlus nie posiadał się z radości. Reakcja była zbyt silna na jego nerwy; mimo to, opanował ją.

— Przyjaźń na którą się pan powołujesz dosyć niewczesnie — odparł sucho — po-winnaby przeciwnie zyskać mi pańskie uznanie, za to iż nie mam ochoty cierpieć imper-tynencyj durnia. Zresztą, gdybym chciał ulec perswazjom uczucia, które bywało lepiej natchnione, nie miałbym już możliwości; listy do moich świadków już odeszły, a nie wą-pię że przyjmą misję. Postępowałeś zawsze ze mną jak głuptas. Zamiast czuć się dumny — jak miałeś prawo — z predylekcji, jaką ci okazywałem, zamiast pouczyć ciźbę sier-żantów lub fagasów, wśród których rygory wojskowe nakazują ci żyć, jakim źródłem nieporównanej dumy jest dla ciebie przyjaźń taka jak moja, starałeś się usprawiedliwiać, starałeś się niemal pysznić tem, że nie jesteś dość wdzięczny. Wiem — dodał baron, aby nie okazać jak go niektóre sceny upokorzyły — że jesteś w tem winny tylko o tyle, żeś się dał powodować zawiści innych. Ale jak ty, w swoim wieku, możesz być takim dzieckiem (i to dzieckiem dosyć źle wychowanym), aby nie pojąć odrazu, iż fakt że ja cię wybrałem, oraz wszystkie zrozumiałe korzyści płynące stąd dla ciebie, wznicią zazdrość, że wszyscy koledzy będą cię podburzali przeciw mnie, starając się równocześnie zająć twoje miej-sce. Nie uważałem za potrzebne uprzedzać cię o listach, jakie dostawałem w tej mierze od wszystkich tych, którym ty najbardziej ufasz. Gardzę zarówno nadskakiwaniami tych fagasów, jak ich bezsilnymi drwinami. Jedyna osoba, o którą dbam, to ty, bo cię bardzo kocham: ale przywiązanie ma swoje granice, powinienbyś to zrozumieć.

Słowo *fagas* musiało przykro zabrzmieć dla uszu Morela, którego ojciec był „fagasem”; ale właśnie dlatego że ojciec nim był, wytłumaczenie wszystkich konfliktów socjalnych przez „zazdrość”, wytłumaczenie prostackie i niedorzeczne, ale niepożyte i w pewnej kla-sie „chwytające” zawsze w sposób równie niezawodny jak stare sztuczki biorą publiczność teatralną, lub jak groźba klerikalnego niebezpieczeństwa bierze na wiecach, znajdowało u Morela wiarę prawie równie silną jak u Franciszki lub u służby pani de Guermantes, widzących w tem jedyne źródło nieszczęść ludzkości. Nie wątpił, że wszyscy koledzy pró-bowali mu zdmuchnąć miejsce i czuł się tem nieszczęśliwszy z powodu tego oplakanego, urojonego zresztą pojedyńku.

— Och! co za rozpacz! — wykrzyknął Charlie. Ja tego nie przeżyję. Ale czy tamci panowie nie mają się z panem spotkać, zanim pójdą do tego oficera?

— Nie wiem, sądzę że tak. Dałem znać jednemu z nich że zostanę tu dziś wieczór i że mu dam instrukcje.

— Mam nadzieję, że do jego przybycia zdołam pana przekonać; niech mi pan tylko pozwoli zostać z sobą — prosił czule Morel.

Było to wszystko, czego pragnął p. de Charlus. Nie odrazu ustąpił.

— Myliłbyś się, stosując tu przysłowie że „kto mocno kocha, mocno karci”, bo ko-chałem mocno ciebie, a skarcić zamierzam, nawet po naszym zerwaniu, tych, co nik-czemnie próbowali ci szkodzić. Na ich insynuacje, ośmielające się stawiać mi pytanie, w jaki sposób człowiek taki jak ja może obcować z żygolakiem twojego gatunku, wyro-słym z plebsu, odpowiadałem dotąd jedynie dewizą moich kuzynów La Rochefoucauld: *Taka moja ochota*. Zaznaczyłem ci już kilka razy, że ta ochota mogłaby się stać mojem

największym szczęściem, przyczem twoje samowładne wywyższenie nie stałoby się poniżeniem dla mnie. W odruchu szaleńczej pychy, baron wykrzyknął, wznosząc ręce:

— *Tantus ab uno splendor!* Zstępować, nie znaczy zniżać się — dodał spokojniej po tym wybuchu dumy i radości. Mam nadzieję bodaj, że moi dwaj przeciwnicy, mimo nierówności stanowiska, są z krwi, którą mogą przelać bez sromu. Zasięgnąłem w tej mierze dyskretnej informacji, które mnie uspokoiły. Gdybyś miał dla mnie cień wdzięczności, powinienbyś być przeciwnie dumny z tego, że z twojego powodu odzyskuję wojenny wigor przodków, mówiąc jak oni, w razie nieszczęśliwego wyniku — teraz kiedym zrozumiał coś ty jest za małe ładaco — że „Śmierć mi jest życiem”.

I p. de Charlus mówił to szczerze, nie tylko przez miłość do Morela, ale dlatego, że buńczuczny temperament (baron sądził naiwnie, że go ma po przodkach) dawał mu tyle radości na myśl o biciu się, że z żalem by się wyrzekł teraz tego pojedynku, zrazu ukartowanego jedynie po to aby sprowadzić Morela. Ilekroć miał taką sprawę, baron czuł się natychmiast nadzwyczaj dzielny i utożsamiał się ze znakomitym konetabłem de Guermantes, gdy u każdego innego fakt pojedynku wydawał mu się czemś bardzo błahem.

— Sądzę, że to będzie bardzo piękne — powiadał szczerze, akcentując każde słowo. Widzieć Sarę Bernhard w *Orlątku*, co to jest, to wielkie łajno! Mounet Sully w *Edypie*, łajno! Co najwyżej dostępuje to pewnej bladej transfiguracji, kiedy się odbywa na Arenie w Nimes. Ale co to jest w porównaniu z tą niesłychaną rzeczą: widzieć w boju rodzzonego potomka wielkiego Konetabla.

I na samą tę myśl, nie posiadając się z radości, p. de Charlus zaczął wymierzać tercje i kwarty, które przypominały Moliera i sprawiły żeśmy przezornie przysunęli do siebie kufle, bojąc się zarazem, że pierwsze skrzyżowania szpad mogłyby poranić przeciwników, lekarza i świadków.

— Co za kuszące widowisko dla malarza — ciągnął baron. — Pan, który znasz pana Elstir, powinienbyś go sprowadzić.

Odpowiedziałem, że Elstira niema na wybrzeżu. P. de Charlus poddał, że możnaby po niego zatelegrafować.

— Och, ja mówię to dla niego — dodał wobec mojego milczenia. — To zawsze interesujące dla mistrza — a mojem zdaniem to jest mistrz — utrwalić przykład podobnego etnicznego odzicia. To się nie zdarza ani raz w ciągu wieku.

Ale jeżeli p. de Charlus rozkoszował się myślą o walce którą zrazu uważał za całkowicie fikcyjną, Morel myślał ze strachem o plotkach, które, dzięki hałasowi jakiego narobi ten pojedynek, mogłyby się z muzyki pułkowej przedostać aż do świątyni przy ulicy Bergère. Widząc już „klasę” powiadomioną o wszystkim, stawał się coraz natarczywszy wobec pana de Charlus, który dalej gestykulował, upajając się ideą pojedynku. Morel błagał barona, aby mu pozwolił zostać przy sobie do pojutrze (dnia rzekomego spotkania), chcąc go pilnować i starać się mu trafić do rozsądku. Tak czuła propozycja pokonała ostatnie wahania pana de Charlus. Oświadczył, że spróbuje znaleźć furtkę, że odłoży do pojutrze ostateczną decyzję. W ten sposób, nie załatwiając sprawy odrazu, p. de Charlus miał nadzieję zatrzymać swego Charlie conajmniej dwa dni i skorzystać z tych dni, aby od niego uzyskać zobowiązania na przyszłość, w zamian za wyrzeczenie się pojedynku, zabawy która (powiadał) ęci go sama w sobie i której wyrzeka się nie bez żalu. W czem zresztą baron był szczerzy, bo zawsze znajdował przyjemność w tem aby stawać na placu, czy chodziło o skrzyżowanie szpad czy o wymianę kul.

Cottard przybył wreszcie, mimo że bardzo spóźniony; uszczęśliwiony że ma służyć za świadka ale bardziej jeszcze wzruszony, musiał się zatrzymywać przy wszystkich kawiarniach lub folwarkach po drodze, prosząc aby mu zechciano pokazać nr 100, czyli „*buen retiro*”. Skoro tylko się zjawił, baron zaprowadził go do oddzielnego pokoju, bo nie uważał za właściwe abyśmy obaj z Morelem byli obecni przy tej rozmowie, celował zaś w sztuce dania jakimkolwiek pokojowi prowizorycznego charakteru sali tronowej lub sali obrad. Znalazłszy się sam z doktorem, podziękował mu gorąco, ale oświadczył, iż zdaje się prawdopodobne, że powtórzonych słów w istocie nie wyrzeczono; w tych warunkach doktor zechce uprzedzić drugiego świadka, iż, poza ewentualnymi komplikacjami, incydent można uważać za załatwiony. Wobec oddalającego się niebezpieczeństwa, Cottard doznał uczucia zawodu. Chciał nawet przez chwilę pogniewać się, ale przypomniał so-

bie, że jeden z jego mistrzów, który zrobił swego czasu najpiękniejszą karierę lekarską, przepadłszy za pierwszym razem w Instytucie tylko dwoma głosami, przyjął wesoło to nieszczęście i poszedł uściskać rękę szczęśliwemu rywalowi. Toteż doktor oszczędził sobie wyrazów żalu, któryby już nic nie zmienił, i szepnąwszy — on, najtchórzliwszy z ludzi — że są pewne rzeczy, których się nie powinno puszczać płazem, dodał że tak będzie najlepiej i że rad jest z tego finału. P. de Charlus, pragnąc okazać wdzięczność doktorowi w ten sam sposób w jaki książę jego brat poprawiłby kołnierz u paltota mojemu ojcu, jak zwłaszcza jakaś księżna byłaby uściskała plebejuszkę, zbliżył krzesło do krzesła doktora, mimo wstrętu jaki ów w nim budził. I nie tylko bez fizycznej przyjemności, ale zwalczając psychiczną odrazę, ujął na pożegnanie doktora za rękę — jako Guermentes, nie jako zboczeniec — i pieścił jakiś czas jego dłoń z dobrocią pana gładzącego konia po pysku i dającego mu cukier. Cottard nigdy nie okazał baronowi aby słyszał coś o jego złych obyczajach, ale mimo to liczył go w duchu do klasy „anormalnych” (nawet, ze swoją zwykłą nieścisłością terminów, najpoważniejszym tonem pytał o lokaja Verdurinów: „Czy to nie jest dziewczynka barona?”). Mało obyty z temi sprawami, wyobraził sobie, że owa pieszczota dłoni jest przygrywką do zgwałcenia, dla którego pojedynek był jedynie pretekstem; że go ściągnięto w pułapkę i zaprowadzono do ustronnego pokoju, gdzie będzie zniewolony siłą. Nie śmiejąc opuścić krzesła, do którego przykuwał go strach, toczył przerażeniami oczami, jakgdyby popadł w ręce dzikiego, o którym nie jest całkiem pewny czy się nie żywi mięsem ludzkim. Wreszcie p. de Charlus puścił rękę doktora i chcąc być do końca uprzejmy, rzekł:

— Napije się pan czego z nami; jest tu coś co nazywało się niegdyś mazagran, lub „gloria”, napoje figurujące już tylko jako archeologiczne zabytki w sztukach Labiche’a i w kawiarniach w Doncières. „Gloria” byłaby dosyć zastosowana do miejsca, nieprawdaż, i do okoliczności? Co pan na to?

— Jestem prezesem ligi antyalkoholowej — odparł Cottard. — Wystarczyłoby, aby jaki prowincjonalny lekarzyna zajrzał tutaj, a będą opowiadali, że nie świecę przykładem. *Os homini sublime dedit coelumque tueri* — dodał Cottard, mimo że to nie miało żadnego związku, ale jego zapas łacińskich cytatał był dosyć ubogi, wystarczający zresztą aby olśnić studentów.

P. de Charlus wzruszył ramionami i zaprowadził Cottarda do nas, poprosiwszy go o sekret, na którym zależało mu tem więcej, iż motyw poronionego pojedyunku był całkowicie urojony. Chodziło o to, aby nie doszedł uszu oficera, samowolnie wciągniętego w grę.

Podczas gdyśmy popijali we czwórkę, pani Cottard, która czekała na męża pod drzwiami i którą p. de Charlus widział doskonale nie kwapiąc się jej zaprosić, weszła i przywitała się z baronem; podał jej rękę jak pokojówce, nie ruszając się z krzesła; trochę jak król, który przyjmuje hołdy, trochę jak snob, który nie chce aby kobieta mało elegancka siadała przy jego stoliku, trochę jak egoista, który lubi być sam z przyjaciółmi i nie chce zwracania głowy. Pani Cottard stała tedy, rozmawiając z panem de Charlus i z mężem. Ale zapewne dlatego iż grzeczność, poczucie tego co „wypada”, nie jest wyłącznym przywilejem Guermentów i może nagle oświecić i natchnąć najbardziej niepewny umysł, lub dlatego że bardzo zdradzając żonę, Cottard czuł chwilami, rodzajem kompensaty, potrzebę chronienia jej przed kimś ktoby jej uchybił, nagle doktor zmarszczył brwi, czego u niego nigdy nie widziałem, i nie troszcząc się o pana de Charlus, rzekł władczo:

— Słuchaj, Leontyno, nie stój że tak, siadaj.

— Ale czy ja panu nie przeszkadzam? — spytała nieśmiało pani Cottard barona, który, zdziwiony tonem doktora, nie odpowiedział. Nie zostawiając jej tym razem czasu, Cottard powtórzył stanowczo:

— Powiedziałem ci, siadaj.

Po chwili towarzystwo rozeszło się; wówczas p. de Charlus rzekł do Morela:

— Z tej całej historii, lepiej zakończonej niżbyś na to zasługiwał, wyciągam wniosek, że nie umiesz sobą powodować i że z końcem twojej służby wojskowej odstawię cię sam do ojca, jak archanioł Rafael zesłany przez Boga młodemu Tobiaszowi.

I baron uśmiechnął się z wyniosłą miną i z radością, której Morel, bynajmniej nie zachwycony perspektywą takiego powrotu, nie zdawał się podzielać. Upojony porównaniem siebie z archaniołem a Morela z synem Tobiasza, p. de Charlus nie myślał już o celu



swojego odezwania się, którym było zmacać grunt, aby się dowiedzieć, czy, jak baron tego pragnął, Morel zgodzi się z nim wracać do Paryża. Upojony miłością czy próżnością, baron nie widział — lub udał że nie widzi miny skrzypka, bo zostawiwszy go samego w kawiarni, rzekł do mnie z dumnym uśmiechem:

— Czy pan zauważył, jaki on był szczęśliwy, kiedy go porównał z synem Tobiasza? To dlatego, iż, będąc bardzo inteligentny, rozumiał, że Ojciec przy którym ma żyć od-tąd, to nie jego ojciec cielesny (będący zapewne jakimś okropnym fagasem), ale ojciec duchowy, to znaczy Ja. Co za duma dla niego! Jak hardo podnosił głowę! Jaką uczuł radość, że rozumiał. Jestem pewien, że będzie sobie powtarzał codziennie: „O Boże, któryś dał błogosławionego archanioła Rafała za *przewodnika* twemu słudze Tobiaszowi w długiej podróży, pozwól nam, sługom twoim, aby nas zawsze wspomagał i darzył opieką”. Nie potrzebowałem — dodał baron, mocno przekonany że będzie kiedyś zasiadał przed tronem Boga — mówić mu, że jestem niebiańskim wysłannikiem; rozumiał sam i oniemiał ze szczęścia!

I p. de Charlus (któremu przeciwnie szczęście nie odejmowało mowy), nie troszcząc się o paru przechodniów, którzy się odwracali sądząc że mają przed sobą warjata, wykrzyknął nagle z całych sił, podnosząc dłonie: „Alleluja!”

Pojednanie to położyło jedynie na jakiś czas koniec cierpieniom pana de Charlus; często Morel, wyjechawszy na manewry zbyt daleko aby go baron mógł odwiedzać lub wyprawić mnie doń jako posła, pisał zropaczone i tkliwe listy, gdzie zapewniał barona, że przyjdzie mu skończyć z życiem, ponieważ potrzeba mu, na jakąś okropną rzecz, dwudziestu pięciu tysięcy franków. Nie mówił, co to za okropna rzecz; gdyby zresztą powiedział, byłaby z pewnością zmyślona. Co do samych pieniędzy, p. de Charlus byłby je chętnie posłał, gdyby nie czuł, że to daje Morelowi możliwość obywatelstwa bez niego, a także kupienia sobie innych faworów. Toteż odmawiał, a depesze jego miały suchy i ostry ton głosu barona. Kiedy był pewny ich efektu, pragnął, aby Morel poróżnił się z nim na zawsze, bo przekonany w duchu iż będzie odwrotnie, zdawał sobie sprawę ze wszystkich przykrości, jakie wynikną z tego nieuchronnego stosunku. Ale jeżeli nie przychodziła odpowiedź od Morela, baron nie spał, nie miał już chwili spokoju, tak wielka jest w istocie ilość rzeczy które przeżywamy nie znając ich, oraz wewnętrznych i głębokich realności, które nam pozostają ukryte. Tworzył wówczas wszystkie przypuszczenia co do tej *okropności*, która sprawiała że Morel potrzebuje dwudziestu pięciu tysięcy; dawał jej wszystkie formy, łącząc z nią kolejno wiele imion własnych. Sądzę, że w tych momentach, p. de Charlus (mimo że w owym czasie jego zanikający snobizm wyrównywała już, jeżeli nie przewyższała, rosnąca ciekawość jaka zbudziła się w baronie w stosunku do ludu) musiał sobie przypominać z niejakim żalem wdzięczne i barwne kręgi światowych zebrań, gdzie najbardziej czarujące osoby — mężczyźni i kobiety — szukały jego towarzystwa jedynie dla bezinteresownej przyjemności, gdzie nikt nie myślałby o tem aby go „nabrać”, aby wymyślić „okropną rzecz”, grożącą samobójstwem, o ile nie wysze zaraz dwudziestu pięciu tysięcy. Sądzę, że wówczas — i może dlatego że baron pozostał jednak bardziej „z Combray” odemnie, przyczem zaszczepił feudalną dumę na pysze niemieckiej — musiał uważać, że nie jest się bezkarnie kochankiem od serca lokajskiego dziecka, że lud to nie jest całkiem to samo co „świat”, i w sumie nie miał tego zaufania do ludu, jakie ja miałem zawsze.

Następna stacja kolejki, Maineville, przypomina mi właśnie pewne wydarzenie dotyczące Morela i pana de Charlus. Zanim o niem wspomnę, muszę powiedzieć, że przystanek Maineville (kiedy się wiozło do Balbec eleganckiego przybysza, który, aby nie być natrętnym, wołał nie mieszkać w la Raspelière) bywał terenem scen mniej przykrych, niż tą którą opowiem za chwilę. Gość, mając swoje walizki w pociągu, uważał często że Grand Hotel jest trochę daleko; że jednak przed Balbec były tylko małe plaże z niewygodnymi willami, tedy, przez kult dobrobytu i zbytku, godził się z dalszą siedzibą. I oto, w chwili gdy pociąg stawał w Maineville, spostrzegł nagle wylaniający się *Palace*, o którym nie mógł przypuszczać, że to jest dom publiczny. „Ależ zostaniemy tutaj — mówił niechybnie do pani Cottard, osoby znanej jako charakter zaradny, praktyczny. Oto właśnie czego mi trzeba. Poco wlec się do Balbec, gdzie z pewnością nie będzie nic lepszego. Już z samego wyglądu wnoszę, że tu musi być wszelki komfort; doskonale będę mógł zaprosić tutaj panią Verdurin, bo zamierzam, wzamian za jej uprzejmości, wydać parę zebrań na

jej cześć. Będzie miała bliżej niż gdybym zamieszkał w Balbec. To mi się wydaje idealne dla niej i dla pańskiej żony, drogi profesorze. Muszą tam być salony, sprowadzimy damy. Między nami mówiąc, nie rozumiem czemu, zamiast wynajmować la Raspelière, pani Verdurin nie zamieszkała tutaj. To o wiele zdrowsze niż stare domy takie jak la Raspelière, która jest niechybnie wilgotna, nie będąc zresztą czysta; niema tam gorącej wody, nie można się porządnie umyć. Maineville wydaje mi się znacznie przyjemniejsze. Pani Verdurin doskonale grałaby tu rolę gospodyni. W każdym razie, każdy ma swoje gusty; ja zamieszkał tutaj. Pani Cottard, czy pani nie zechce wysiąść ze mną? — ale spieszymy się, bo pociąg zaraz ruszy. Oprowadzi mnie pani po tym domu, który będzie pani domem i gdzie pani musiała nieraz bawić. To rama jak stworzona dla pani.

Ledwie z największą trudnością zdołało się uciszyć gadułę, a zwłaszcza nie dać mu wysiąść. Z uporem często towarzyszącym gaffie, nieszczęsny gość nalegał, ściągał walizki i nie chciał nic słyszeć, dopóki go nie upewniono, że nigdy pani Verdurin ani pani Cottard nie przyjechałyby tam do niego. „W każdym razie, ja rozbijam namioty tutaj — mówił. — Niech pani Verdurin poprosto napisze tu do mnie”.

Wspomnienie dotyczące się Morela wiąże się ze specjalniejszym wypadkiem. Były i inne, ale ja poprzestaję tutaj, w miarę jak się kolejka zatrzymuje i jak konduktor wykrzykuje Doncierres, Gralevast, Maineville, etc., na zanotowaniu tego, co mi nasuwa mała plaża lub garnizon. Mówiłem już o Maineville (*media villa*) i o ważności jakiej nabierała ta miejscowość dzięki zbytkownemu domowi rozpusty, który tam świeżo wzniesiono, nie bez daremnych protestów ze strony żon i matek. Ale, nim powiem, w czym Maineville ma w mojej pamięci jakiś związek z Morelem i z panem de Charlus, trzeba mi zanotować dysproporcję (którą później zgłębię) między wagą, jaką przywiązywał Morel do zachowania dla siebie niektórych godzin, a błahością zatrudnień, na jakie zamierzał ich użyć, ile że ta sama dysproporcja powtarzała się w innego rodzaju wyjaśnieniach, jakie skrzypek dawał panu de Charlus. On, który zgrywał się wobec barona na bezinteresowność (i mógł się zgrywać bez ryzyka, zważywszy hojność jego protektora), ilekroć chciał spędzić wieczór na własną rękę aby udzielić jakiejś lekcji etc., nie omieszkwał poprzeć swojego pretekstu słowami wymawianymi z uśmiechem chciwości: „A przytem, to mi da czterdzieści franków zarobku. To nie byle co. Niech mi pan pozwoli tam iść, bo widzi pan, to jest zysk dla mnie. Ba, ja nie jestem bogacz jak pan, ja muszę sobie stworzyć sytuację, to jest moment aby ciulać.”

Pragnąc odbyć swoją lekcję, Morel nie był całkiem nieuczynny. Z jednej strony fałszem jest, aby pieniąż nie miał barwy. Nowy sposób zarobku przywraca blask monecie, szerniałej w obiegu. Gdyby naprawdę Morel szedł na lekcję, możebne jest, iż dwa ludwiki wręczone przez uczenicę dałyby mu inne wrażenie niż dwa ludwiki któreby mu spadły z ręki pana de Charlus. Następnie, najbogatszy człowiek zrobiłby dla dwóch ludwików kilometry, które stają się milami, jeżeli się jest synem lokaja. Ale nieraz p. de Charlus miał co do lekcji skrzypiec grube wątpliwości, zwłaszcza że często muzyk wydobywał preteksty innego rodzaju, całkowicie bezinteresowne pod względem materialnym, zresztą niedorzeczne. Morel nie mógł przeszkodzić, aby baron tworzył sobie obraz jego życia; ale dobrowolnie i mimowolnie obraz ten zaciemniał tak, że jedynie niektóre partje dało się rozpoznać. Przez miesiąc oddał się do dyspozycji pana de Charlus, pod warunkiem aby miał wieczory wolne; miał ochotę przejść pełny kurs algebry. Zająć potem do pana de Charlus? Och, to niemożliwe: kurs kończy się czasem bardzo późno. — Nawet po drugiej w nocy? — pytał baron. — Bywa i tak. Ale przecież algebry można się nauczyć z książki. — Nawet łatwiej, bo ja nie wiele rozumiem z wykładu. — Zatem co? Zresztą algebra nie zda ci się na nic. — Ja to lubię. To mi leczy neurastenję.

— Nie dla algebry bierze przepustki na noc — powiadał sobie p. de Charlus. — Czyżby on był z tajnej policji?

Bądź jak bądź, nie zważając na żadne obiekcje, Morel zachowywał sobie niektóre późne godziny, czy to z przyczyny algebry czy skrzypiec. Pewnego razu nie było to ani jedno ani drugie; poprostu książkę Gilbert, przybywszy na kilka dni na wybrzeże aby złożyć wizytę księżnej de Luxembourg, spotkał muzyka, nie wiedząc kto to jest, sam mu również nieznanym, i ofiarował mu pięćdziesiąt franków za to aby spędzić razem noc w zamtużie w Maineville; podwójna przyjemność dla Morela: zarobek od pana de Guermantes i rozkosz bliskości kobiet, których brunatne piersi widzi się bez osłonek. Nie wiem, jak p.

de Charlus wpadł na trop faktu i miejsca, ale nie osoby uwodziciela. Oszałały zazdrością i chcąc wiedzieć jego nazwisko, zatelegrafował do Jupiena, który przybył w dwa dni. Kiedy, z początkiem następnego tygodnia, Morel oświadczył że go znów nie będzie, baron spytał Jupiena, czy się podejmie przekupić gospodynię zakładu i uzyskać od niej to, aby baron z Jupieniem mogli z ukrycia asystować całej scenie. „Załatwione, ja się tem zajmę, dziubasku” — odparł Jupien. Trudno pojąć, do jakiego stopnia ten niepokój wzburzał i przez to samo wzbogacił chwilowo umysł pana de Charlus. Miłość sprawia w ten sposób istne geologiczne wzdymania się myśli. W duszy pana de Charlus, która przed kilku dniami podobna była do równiny tak jednostajnej że na najdalszym horyzoncie nie mógłby spostrzec idei wznoszącej się ponad ziemię, nagle wyrosły, twarde jak kamień, łańcuchy gór, i to gór tak wyrzeźbionych, jakgdyby jakiś rzeźbiarz, zamiast wywieźć marmur, wyczelował go na miejscu: w olbrzymich i tytanicznych grupach wily się tam Wściekłość, Zazdrość, Ciekawość, Zawzięć, Nienawiść, Cierpienie, Duma, Przerażenie i Miłość.

Tymczasem nadszedł wieczór, gdy Morel miał być nieobecny. Misja Jupiena powiodła się. Obaj z baronem mieli przyjść około jedenastej, obiecano ich ukryć. Na trzy ulice przed tym wspaniałym zamtuzem (dokąd pielgrzymowano ze wszystkich eleganckich okolic), p. de Charlus szedł na palcach, zmieniał głos, błagał Jupiena aby mówił ciszej, z obawy aby ich Morel stamtąd nie usłyszał. Otóż, z chwilą gdy weszli na palcach do sieni. p. de Charlus, nie nawykły do tego rodzaju zakładów, znalazł się, ku swej zgrozie i zdumieniu, w miejscu hałaśliwszem niż giełda lub hala licytacyjna. Próżno zalecał stłumienie głosu subretkom, które się cisnęły do niego: głos ich pokrywały zresztą krzyki i nawoływania starej makareli w peruce zbyt czarnej, o twarzy na której luszczyla się powaga rejenta lub hiszpańskiego księdza. Dama ta wykrzykiwała co minutę, z łoskotem gromu, każąc kolejno otwierać i zamykać drzwi, tak jak się reguluje ruch pojazdów: „Dajcie pana pod dwudziesty ósmy, pokój hiszpański. — Niema miejsca, komplet. — Puśćcie, ci panowie żądają panny Noemi. Oczekuje ich w salonie perskim.”

P. de Charlus wystraszony był jak prowincjusz, gdy ma przebyć bulwary; aby zaś sięgnąć po porównanie nieskończenie mniej świętokradzkie niż motyw kapitelów w kruchcie starego kościoła w Corlesville, powiedzmy iż głosy młodych służebnic powtarzały ciszej ale niestrudzenie rozkaz gospodyni, niby owe modlitwy, które uczniowie psalmodjują w ciszy wiejskiego kościoła. Choć tak spłoszony, p. de Charlus, który na ulicy drżał że go usłyszą, przekonany iż Morel stoi w oknie, mniej był może przestraszony w zgiełku tych olbrzymich schodów, pojmując że z pokojów niepodobna coś widzieć. Wreszcie, u kresu swojej udręki, znalazł pannę Noemi, która miała go ukryć z Jupieniem, ale zaczęła od tego, że zamknęła barona we wspaniałym salonie perskim, skąd nie widział nic. Oświadczyła, że Morel zażądał szklanki oranżady i że z chwilą gdy mu ją podadzą, zaprowadzi się obu gości — barona z Jupieniem — do przeźroczyściego salonu. Narazie, ponieważ ją wzywano, panna Noemi przyrzekła im, jak we frywolnej opowiadce, że, dla skrócenia czasu, przysła im „inteligentną młodą osobę”. Ją samą wzywają. Inteligentna młoda osoba miała na sobie perski peniuar, który chciała zdjąć. P. de Charlus powstrzymał ją od tego; zaczęła kazać sobie podać szampana, po 40 franków butelka.

W rzeczywistości Morel był przez ten czas z księciem Gilbertem de Guermantes; udał dla formy, że zmylił drogę, wszedł do pokoju gdzie były dwie kobiety, które coprędzej zostawiły obu panów samych. P. de Charlus nic o tem wszystkim nie wiedział, ale kłął, chciał otwierać drzwi, kazał wołać z powrotem pannę Noemi, która, usłyszawszy że inteligentna młoda osoba daje panu de Charlus co do Morela informacje niezgodne z temi jakich ona sama udzieliła Jupienowi, przepędziła ją i przysłała niebawem zamiast młodej osoby inteligentnej, „młodą osobę milusią”, która im nie pokazała nic więcej, ale stwierdziła jaki ten zakład jest „odpowiedzialny” i też zażądała szampana. Baron, piniąc się, kazał sprowadzić pannę Noemi, która oświadczyła: „Tak, to trwa trochę długo, te panie pozują się; nie wydaje się aby gość się decydował.” Wreszcie, wobec obietnic i gróźb barona, panna Noemi odeszła z niezadowoloną miną, upewniając, że nie będą czekali dłużej niż pięć minut. To pięć minut trwało godzinę, poczem Noemi zaprowadziła na palcach pijanego wściekłością pana de Charlus oraz zrozpaczonego Jupiena do uchylonych drzwi, powiadając: „Będziecie świetnie widzieli. Zresztą w tej chwili to nie bardzo interesujące; jest z trzema damami i opowiada im o życiu w pułku.”

Wkońcu, baron mógł coś dojrzyć przez szparę, a także w lustrach. Ale śmiertelny przestrach kazał mu się oprzeć o ścianę. Miał przed sobą Morela, ale jakgdyby pogańskie misterja i czary istniały jeszcze, był to raczej cień Morela, Morel zabalsamowany, nawet nie Morel wskrzeszony jak Łazarz, zjawa Morela, widmo Morela, Morel-upiór wywołany w tym pokoju (gdzie wszędzie ściany i kanapy nosiły godła czarnoksiężskie), stojący o kilka metrów od barona z profilu. Morel stracił — niby po śmierci — wszelką barwę; pośród tych kobiet, z którymi — zdawałoby się — powinienby igrać radośnie, stał błąd, zamrożony w sztucznym bezruchu; chciał wypić kubek szampana, bezsilne ramię próbowało się wyciągnąć i opadało. Miało się wrażenie owej dwuznaczności, która sprawia że jakaś religia głosi nieśmiertelność, ale rozumie pod tem coś, co nie wyklucza nicości. Kobiety oblegały Morela pytaniami: „Widzi pan — mówiła Noemi do barona; rozmawiają z nim o życiu w pułku, to zabawne, nieprawdaż — zaśmiała się — czy pan zadowolony? Spokojny jest, nieprawdaż — dodała tak jakby mówiła o umierającym. Pytania kobiet stawały się natarczywsze, wyzuty z życia Morel nie miał siły odpowiadać. Nie ziscił się cud nawet szeptu z jego ust. P. de Charlus miał tylko chwilę wahania, zrozumiał prawdę; czy to niezręczność Jupiena kiedy poszedł pertraktować, czy siła ekspansji powierzonych sekretów, która sprawia, że się ich nie dochowuje nigdy, czy wrodzona niedyskrecja takich kobiet, czy obawa policji, dość że uprzedzono Morela, iż dwaj panowie zapłacili bardzo słono za to aby go oglądać. Uprzątnięto księcia Gilberta, zmieniając go w trzy kobiety, i umieszczono tam Morela drżącego, sparaliżowanego zdumieniem, tak że o ile p. de Charlus widział go lichy, on, steroryzowany, bez głosu, nie śmiejąc nawet ująć szklanki z obawy by jej nie upuścić, widział dokładnie barona.

Historja zresztą nie skończyła się zbyt dobrze dla księcia Gilberta. Kiedy go wyprawdzono, aby go p. de Charlus nie zobaczył, księżę, wściekły za swój zawód, nie wiedząc kto jest jego sprawcą, błagał Morela — wciąż nie chcąc mu zdradzić kim jest — aby następnej nocy przybył na schadzkę do willi wynajętej umyślnie przez księcia. Mimo że nie miał zamiaru w niej pozostać, przybrał ją (manja, obserwowana już swego czasu u pani de Villeparisis) mnóstwem pamiątek rodzinnych, aby się czuć bardziej u siebie. Zatem, na drugi dzień, Morel, odwracając się co chwila, drżąc że go p. de Charlus szpieguje i tropi, wkońcu, nie spotkawszy nikogo podejrzanego, wszedł do willi. Lokaj wprowadził go do salonu, oświadczając że pójdzie uprzedzić pana (księżę Gilbert zabronił mu wymawiać tytułu „księżę”, aby nie budzić podejrzeń). Ale kiedy Morel znalazł się sam i chciał sprawdzić w lustrze, czy mu się włosy nie zburzyły, miał wrażenie jakiejś halucynacji. Fotografie na kominku, znajome skrzypkowi, bo je widział u pana de Charlus — fotografie księżnej Marji de Guermantes, księżnej de Luxembourg, pani de Villeparisis — przejęły go w pierwszej chwili dreszczem. W tej samej chwili spostrzegł fotografię pana de Charlus, trochę w tyle. Baron zdawał się wpijać w Morela dziwne i uporczywe spojrzenie. Oszalały ze strachu, Morel, ocknąwszy się z pierwszego zdumienia, nie wątpiąc iż to p. de Charlus zwabił go w pułapkę, aby doświadczyć jego wierności, zbiegł po cztery schody, wypadł z willi, puścił się pędem. Kiedy księżę Gilbert (który uważał, że przelotnego znajomego trzeba trochę wytrzymać, przyczem zastanawiał się czy to wogóle jest rozsądnie i czy to nie jest niebezpieczny osobnik) wszedł do salonu, nie zastał już nikogo. Daremnie, wraz z lokajem, z obawy rabunku, przetrząsnął z rewolwerem w dłoni niewielki domek, ogród, suteryny; towarzysza, którego obecności w domu był przecież pewny, znikł. Spotkał go kilka razy następnego tygodnia. Ale za każdym razem Morel, ów niebezpieczny osobnik, zmykał tak, jakby księżę był jeszcze niebezpieczniejszy. Utwierdziwszy się w swoich podejrzeniach, Morel nie pozbył się ich nigdy, i nawet w Paryżu widok księcia Gilberta wystarczał aby go spłoszyć. Dzięki czemu, p. de Charlus uniknął zdrady, która go przywozдила do rozpacz, oraz znalazł pomstę, nigdy nie dowiedziawszy się o niej, ani zwłaszcza jak się spełniła.

Ale już wspomnienie tej anegdoty ustępuje miejsca innym wspomnieniom, bo „samowarek”, podejmując swój kręty bieg, wciąż wysadza lub zabiera podróżnych na stacjach.

W Grattevast wsiadał czasami pan Piotr de Verjus, hrabia de Crécy (nazywano go tylko hrabią de Crécy). Wracał od siostry, która tam mieszkała. Był to szlachcic ubogi, ale nadzwyczaj dystyngowany; poznałem go przez Cambremerów, z którymi był zresztą dość daleko. Skazany był na życie nadzwyczaj skromne, prawie nędzne; czułem iż cygario

lub przekąska są dlań rzeczą tak przyjemną, że przyzwyczałem się, w dniu kiedy nie mogłem widzieć się z Albertyną, zapraszać go do Balbec. Bardzo subtelny, wystawiający się doskonale, całkiem siwy, z uroczeni błękitnymi oczami, mówił od niechcienia, bardzo delikatnie, o komforcie pańskiego życia, które najwidoczniej znał, a także o genealogjach. Kiedy go pytałem, co jest wyryte na jego pierścionku, odpowiedział ze skromnym uśmiechem: „Gałązka wina” i dodał jakby smakując: — Nasz herb to gałązka wina — symboliczna, skoro nazywam się Verjus<sup>15</sup> — z lodygą i zielonym liściem.” Ale sądzę, że doznałby zawodu, gdybym go w Balbec poczęstował tylko sokiem z niedojrzałych winogron. Lubił najlepsze wina, których był pierwszorzędnym znawcą. Toteż, kiedy go zapraszał na obiad do Balbec, hrabia układał menu z wyrafinowaną sztuką, ale jadł trochę za dużo, a zwłaszcza pił, kładąc grzać wina którym się to należy, mrozić te które wymagają lodu. Przed obiadem i po obiedzie wymieniał datę lub numer porto lub koniaku których sobie życzył, tak jak byłby cytował datę stworzenia jakiegoś margrabstwa, jemu jednemu znaną z całą ścisłością.

Ponieważ byłem ulubionym klientem Aimégo, uszczęśliwiony był, że wydają te specjalne obiady i krzyczał na garsonów: „Prędko, nakryjcie stół 25”; mówił nawet nie „nakryjcie”, ale „nakryjcie mi”, tak jakby to było dla niego. A że gwara metrdotelów jest nie zupełnie ta sama co język kelnerów, starszych kelnerów, pikolów, w chwili gdy prosił o rachunek, Aimé mówił garsonowi, który nas obsługiwał, z kilkakrotnie powtarzanym łagodzącym gestem, tak jakby chciał uspokoić konia gotowego ponieść. „Nie za ostro (z rachunkiem); łagodnie, łagodnie.” Potem, kiedy garson odchodził opatrzone tem *memento*, Aimé, bojąc się czy zalecenia będą dość ściśle wykonane, odwoływał go: „Czekaj, ja sam policzę.” A, kiedy mówiłem że to nic nie szkodzi, odpowiadał: „Mam za zasadę, że — jak się to mówi pospolicie — nie powinno się obdzierać gościa ze skóry.” Co się tyczy dyrektora, ze względu na skromny, zawsze jednaki i dość zużyty strój mojego gościa (a przecie nikt nie umiałby się ubrać tak wytwornie, niczem balzakowski elegant, gdyby miał środki), ograniczał się przez szacunek dla mnie do tego, aby zdaleka doglądać czy wszystko jest w porządku i spojrzeniem kazać podstemplować nogę stołu który się kiwał. Nie znaczy to, aby dyrektor nie umiał zakasać rękawów, mimo iż krył się z tem, że zaczął od zawodu pomywacza. Trzeba było jednak wyjątkowej okoliczności na to, aby pewnego dnia sam pokrajał indyki. Nie było mnie wówczas w hotelu, ale dowiedziałem się, że dokonał tego z kapłańskim majestatem, otoczony — w pełnej szacunku odległości od kredensu — kręgiem garsonów, którzy pragnęli przez to nietyle się nauczyć, ile pokazać się zwierzchnikowi, z twarzą obleczoną w wyraz błęgiego zachwytu. Zresztą dyrektor (zatapiający powolnym gestem nóż w łonie ofiar i nie odrywający już oczu od swojej wzniosłej czynności, tak jakby miał z niej czytać jaką wróżbę) nie widział ich zgola. Ofiarnik nie spostrzegł nawet mojej nieobecności. Kiedy się o niej dowiedział, bolał nad tem. „Jakto! nie widział pan, jak sam krajałem indyki?” Odpowiedziałem, że nie mogąc dotąd zobaczyć Rzymu, Wenecji, Sienny, Prado, galerji drezdeńskiej, Indyj, Sary Bernhardt w *Fedrze*, znam rezygnację i że mogę dołączyć jego indyki do tej listy. Porównanie ze sztuką dramatyczną (Sara w *Fedrze*) było jedynem, które zdawał się rozumieć, bo wiedział przezemnie, że w dniu galowych przedstawień sam wielki Coquelin przyjmuje „ogony”, nawet rolę w której ma do powiedzenia jedno słowo lub nic. „Wszystko jedno — rzekł — przykro mi za pana. Kiedyż będę krajał znowu! Trzebaby na to wielkiego wydarzenia, trzebaby wojny”. (W istocie, trzeba było zawieszenia broni). Od tego dnia, kalendarz uległ zmianie, liczone tak: „To było nazajutrz po dniu, kiedy sam krajałem indyka.” „Słusznie, to było w tydzień po tem jak dyrektor sam krajał indyka.” Toteż operacja ta dała, jak Narodzenie Chrystusa lub Hegir, punkt wyjścia kalendarzowi różnemu od innych, mimo iż nie zdołał się tak rozpowszechnić i utrwalić.

Smutek życia pana de Crécy płynął porówni stąd, że już nie miał koni ani smacznego stołu, jak stąd że sąsiaduje z ludźmi, zdolnymi myśleć iż Cambremer i Guermantes to jedno i to samo. Kiedy ujrzał, że wiem, iż Legrandin, który kazał się teraz nazywać Legrand de Méséglise, nie ma do tego żadnego prawa, p. de Crécy; podniecony zresztą winem, wpadł w istny szal radości. Siostra jego mówiła mi porozumiewawczo: „Brat jest zawsze taki szczęśliwy kiedy może porozmawiać z panem.” W istocie, czuł że żyje, od

<sup>15</sup>Verjus — sok z niedojrzałych winogron. [przypis redakcyjny]

czasu jak znalazł kogoś świadomego mierności Cambremerów a wielkości Guermantów, kogoś dla kogo istniał wszechświat socjalny. Tak po pożarze wszystkich bibliotek kuli ziemskiej i po wyłonieniu się rasy całkowicie ciemnej, jakiś stary latynista odzyskałby ducha i wiarę w życie, słysząc jak ktoś cytuje wiersz Horacego. Toteż, jeżeli p. de Crécy nigdy nie wysiadł z wagonu, nie powiedziawszy mi: „Kiedyż nasze miłe posiedzonko?“, wyrażało się w tem porówni łakomstwo pieczeniara co smakoszostwo erudyty; ucza w Balbec stanowiła dlań zarazem sposobność gwarzenia o rzeczach które mu były drogie a o których nie mógł mówić z nikim; coś w rodzaju owych obiadów, gdzie w oznaczone dni spotyka się Towarzystwo bibliofilów przy specjalnie smakowitym stole *Cercle de l'Union*.

P. de Crécy był bardzo skromny w tem co tyczyło jego rodziny; nie od niego dowiedziałem się, że była bardzo stara — autentyczna francuska gałąź angielskiego rodu, noszącego tytuł *de Crécy*. Kiedy się dowiedziałem, że on jest prawdziwy Crécy, opowiedziałem mu, że siostrzenica pani de Guermantes zaślubiła Amerykanina nazwiskiem Karol Crécy, wyrażając przypuszczenie, że to niema z nim żadnego związku. „Żadnego — odparł. Tak samo — mimo iż zresztą rodzina moja nie jest równie świetna — jak wielu Amerykanów, którzy nazywają się Montgomery, Berry, Chaudos albo Capel, nie ma żadnego związku z rodzinami Pembroke, Buckingham, Essex lub z księciem de Berry.” Kilka razy chciałem mu powiedzieć, dla zabawienia go, że znam panią Swann, która, jako kokotka, znana była niegdyś pod nazwiskiem Odety de Crécy; ale, mimo iż książę d'Alençon nie mógłby się urazić, gdyby się mu wspomniało o kokotce d'Alençon, nie czułem się dość blisko z panem de Crécy, aby sobie pozwolić na takie żarty. „On jest z bardzo wielkiej rodziny — powiedział mi raz p. de Montsurvent. Jego rodowe miano jest Saylor.” I dodał, że na jego starym kasztelu nad Incarville (zresztą prawie niemieszkalnym, bo p. de Crécy, mimo że z domu bardzo bogaty, był dziś zanadto zrujnowany aby móc odnowić ów zamek), widniało jeszcze stare zawołanie jego rodziny. Godło to wydało mi się bardzo piękne, czy w zastosowaniu do drapieżnej rasy usadowionej w tem gnieździe, skąd musiała niegdyś zrywać się do lotu, czy też dziś, w zastosowaniu do jej schyłku, do oczekiwania bliskiej śmierci w tem wyniosłym i dzikim odludziu. W tym podwójnym sensie w istocie igra z nazwiskiem Saylor owo zawołanie, które brzmi:

*Ne sçais l'heure* — „nie znam godziny.”

W Hermenonville wsiadał czasami p. de Chevrigny, którego nazwisko (jak nam powiadał Brichot) oznaczało, jak nazwisko arcybiskupa de Cabrieres, miejsce gdzie się gromadzą kozy. Był krewnym Cambremerów; z tej racji ci zapraszali go często do Féterne, ale przez fałszywe poczucie elegancji, tylko wówczas, kiedy nie mieli gości którychby chcieli olśnić. Żyjąc cały rok w Beausoleil, p. de Chevrigny pozostał większym prowincjuszem od nich. Toteż, kiedy mu się zdarzyło spędzić kilka tygodni w Paryżu, nie przepuścił ani dnia w oglądaniu tego „co trzeba widzieć”, tak iż czasem, nieco oszołomiony nadmiarem zbyt szybko trawionych widowisk, kiedy go pytano czy widział jaką sztukę, nie był już tego pewny. Ale ta niepewność zdarzała się rzadko, bo znał sprawy paryskie z precyzją właściwą ludziom, którzy nie często bywają w tem mieście. Radził mi „nowości” godne oglądania („to warto widzieć”), biorąc je zresztą tylko jako spędzenie wieczoru, zgoła nieświadomy punktu widzenia estetycznego, tak iż nie podejrzewał, że mogą one w istocie stanowić czasem „nowość” w historii sztuki. I tak, mówiąc o wszystkim na jednym planie, powiadał:

— Poszliśmy raz do Opéra Comique, ale to nie było nadzwyczajne. Ma tytuł *Pelleas i Melisanda*, wielkie nic. Périer gra zawsze dobrze, ale lepiej go zobaczyć w czem innym. W zamian za to, w Gymnase grają *La Châtelaine*. Byliśmy na tem dwa razy, niech pan nie zapomni tam iść, to warte widzenia; grane przytem wspaniale, Frévalles, Marie Magnier, Baton młodszy.

Cytował nazwiska aktorów, o których nigdy nie słyszałem, nie poprzedzając ich tytułem *Monsieur*, *Madame* lub *Mademoiselle*, jakby to zrobił książę Błażej, który mówił jednakim ceremonialnie wzgardliwym tonem o „piosenkach panny Yvette Guilbert” i o „doświadczeniach pana Charcot.” P. de Chevrigny postępował odwrotnie: mówił Cornaglia i Dehelly, tak jakby mówił Wolter i Montesquieu. Bo u niego, w stosunku do aktorów jak do wszystkiego co paryskie, nad chęcią okazania arystokratycznej wzgardy, górowała gorliwość prowincjusza, żadnego być paryżaninem.

Po pierwszym obiedzie, jaki spożyłem w la Raspelière z tymi których nazywano jeszcze w Féterne „młodem państwem”, mimo że państwo de Cambremer byli wcale nie pierwszej młodości, stara margrabina napisała do mnie jeden z owych listów, których styl poznaje się wśród tysiąca. Pisała: „Niech pan przywiezie swoją kuzynkę — rozkoszną — uroczą — miłą. To będzie dla nas prawdziwe szczęście — przyjemność!” chybiając zawsze tak nieomylnie progresji oczekiwanej przez adresata, że zmieniłem w końcu zdanie o charakterze tych *diminuendo*, dochodząc do wniosku, że są rozmyślnie i znalazłem w nich nawet tę samą rozpustę smaku — przeniesioną w zakres towarzyski — jaka popychała Sainte Beuve’a do łamania wszystkich powinowactw słowa, do zmieniania wszelkiego bodaj trochę utartego zwrotu. Dwie metody, przekazane z pewnością przez dwóch różnych mistrzów, zderzały się w tym stylu epistolarnym; druga z nich kazała okupywać pani de Cambremer banalność licznych przymiotników użyciem ich w gamie zstępującej, przyczem unikała zakończenia zdania doskonałym akordem. W zamian za to, byłem skłonny widzieć w tych odwrotnych stopniowaniach już nie wyrafinowanie, jak wówczas kiedy były dziełem starej margrabiny, ale niezręczność — ilekroć się niemi posługiwał jej syn lub jej kuzynki. Bo w całej rodzinie, nawet dalszej, kult i naśladownictwo ciotki Zelji utrzymywało we czci regułę trzech przymiotników, tak samo jak pewną entuzjastyczną manierę chwywania oddechu. Naśladownictwo to przeszło w krew; kiedy w rodzinie od dzieciństwa dziewczynka przerywała sobie aby przełknąć ślinę, powiadano: „Ma coś z ciotki Zelji”; przeczuwano, że wargi jej dość wcześnie będą skłonne ocienić się lekkim wąsikiem i obiecywano sobie pielęgnować jej talenty muzyczne.

Stosunki Cambremerów z panią Verdurin stały się niebawem o wiele gorsze niż ze mną, a to z wielu przyczyn. Chcieli ją zaprosić. Młoda margrabina mówiła do mnie wzgardliwie: „Nie widzę, czemu nie mielibyśmy zaprosić tej osoby; na wsi widuje się byle kogo, to nie pociąga następstw.” Ale w gruncie rzeczy dość tem przejęci, nie przestawali się mnie radzić co do sposobu w jaki należało im zrealizować swoje intencje. Pomyślałem, że skoro zaprosili na obiad Albertynę i mnie wraz z przyjaciółmi Roberta de Saint-Loup, eleganckimi ludźmi z sąsiedztwa, właścicielami zamku w Gourville (trochę więcej niż „śmietanka” normandzka, której pani Verdurin, mimo iż tego nie okazując, była łasa), poradziłem Cambremerom, aby doprosili na to wszystko „pryncypałkę”. Ale państwo z Féterne, z obawy (tacy byli nieśmiali) urażenia swoich szlachetnych przyjaciół, lub (tacy byli naiwni) z obawy że państwo Verdurin mogą się znudzić z ludźmi nie należącymi do intelektualistów, a może wreszcie (ile że sami nasiąkli rutyną, której doświadczenie nie zapłodniło) z obawy pomieszania rodzajów i popełnienia „gaffy”, oświadczyli, że to się nie klei razem, że toby nie „klapowało”, i że lepiej będzie zachować panią Verdurin (wraz z całą jej gromadką) na inny obiad. Na najbliższy — ten wykwintny, z przyjaciółmi Roberta — zaprosi się z „paczki” jedynie Morela, aby p. de Charlus dowiedział się pośrednio o świetności ich zebrań, a także aby muzyk przyczynił się do zabawienia gości, bo poproszą go żeby wziął z sobą skrzypce. Doproszono do niego Cottarda, bo p. de Cambremer orzekł, że profesor ma humor i że „dobrze robi” na obiedzie; a przy tem nieźle jest być w stosunkach z lekarzem, na wypadek choroby w domu. Ale zaproszono profesora samego, aby „nie zaczynać z żoną”. Pani Verdurin była oburzona, kiedy się dowiedziała, że dwóch członków „paczki” zaproszono bez niej na obiad w Féterne w „małym kółku”. Podyktowała doktorowi, którego pierwszym odruchem było przyjąć, dumną odpowiedź, w której pisała: „*Jesteśmy* dziś na obiedzie u pani Verdurin”: liczba mnoga, która miała być lekcją dla Cambremerów i miała im pokazać, że nie da się rozłączyć doktora z panią Cottard. Co do Morela, pani Verdurin nie potrzebowała mu wytyczać linii impertynencji, którą obrał samorzutnie. Oto czemu. O ile Morel, w tem co tyczyło własnych przyjemności, zachowywał w stosunku do pana de Charlus niezależność, która martwiła barona, widzieliśmy, iż wpływ barona bardziej dawał się uczuć w innych dziedzinach; tak np. p. de Charlus rozszerzył wiadomości muzyczne i uszlachetnił styl wirtuoza. Ale był to jeszcze — przynajmniej w tym momencie naszego opowiadania — jedynie wpływ. W zamian za to był teren, na którym każde słowo pana de Charlus spotykało się ze ślepą wiarą i posłuszeństwem Morela. Wiarą ślepą i szaloną, bo nie tylko nauki pana de Charlus były fałszywe, ale, gdyby nawet miały wartość z punktu widzenia wielkiego pana, stawały się komiczne stosowane dosłownie przez Morela. Gruntem, na którym Morel stawał się tak łatwowierny i powolny swemu mistrzowi, był teren światowy. Skrzypek, który przed

poznaniem pana de Charlus nie miał najmniejszego pojęcia o „świecie”, wziął dosłownie wyniosły i ogólnikowy szkic, jaki mu w tej mierze nakreślił baron.

— Jest pewna liczba znakomitych rodzin — powiedział p. de Charlus; — przede wszystkim Guermantowie, czternaście razy spokrewnieni z królewskim domem Francji, co jest pochlebne zwłaszcza dla domu Francji, boć przecie Aldonsowi de Guermantes, a nie Ludwikowi Otyłemu, jego przyrodniemu ale młodszemu bratu, powinien być przypaść tron Francji. Za Ludwika XIV nosiliśmy się czarno po śmierci królewskiego brata, jako mający wspólną babkę z królem. O wiele poniżej Guermantów można wszelako wymienić takich La Tremoille, pochodzących od królów Neapolu i od hrabiów de Poitiers; takich d’Uzès, niezbyt dawnych jako ród, ale najstarszych parów; takich Luynes, całkiem świeżych, ale błyszczących aliansami, wreszcie Choiseul, Harcourt, La Rochefoucauld. Dodaj jeszcze nazwisko Noailles — mimo hrabiego Tuluzy<sup>16</sup>; — dodaj Montesquiou, Castellane i — o ile czego nie zapomniałem — to już koniec. Co do wszystkich tych ichmość panów, czy się nazywają margrabiowie de Cambremerde czy Mamcięgdzieś, nie ma żadnej różnicy między nimi a ostatnim pucybutem z twojego pułku. Czy pójdziesz zrobić pipi u hrabiny Kaka czy kaka u baronowej Pipi, to na jedno wychodzi; skompromitujesz swoją reputację i weźmiesz zafajdaną ścierkę za papier klozetowy. Co jest nieapetyczne.

Morel przyjął z pietyzmem tę lekcję historii, może trochę sumaryczną; widział świat tak, jakby sam był Guermantem; łaknął sposobności spotkania się z fałszywymi La Tour d’Auvergne, aby wzgardliwym podaniem ręki dać im uczuć, że ich nie bierze zbyt serjo. Co do Cambremerów, właśnie miał sposobność pokazać im, że nie są „niczem więcej niż ostatni pucybut z jego pułku”. Nie odpowiedział na ich zaproszenie i w sam dzień obiadu wymówił się w ostatniej godzinie depeszą, zachwycony, że postąpił jak księżę krwi.

Dodajmy, że nie podobna sobie wyobrazić, do jakiego stopnia wogóle p. de Charlus mógł być nieznośny, spryka, a nawet — on, taki subtelny — głupi we wszystkich okazjach, w których wchodziły w grę wady jego charakteru. Można w istocie powiedzieć, że takie wady są rodzajem okresowego obłądzenia. Któż nie stwierdził tego faktu u kobiet, a nawet u mężczyzn obdarzonych wybitną inteligencją ale z neuropatycznym obciążeniem? Kiedy są szczęśliwi, spokojni, radzi z otoczenia, wówczas przychodzą do głosu ich cenne dary, rzekłbyś sama prawda przemawia przez ich usta. Lada migrena, lada uraz miłości własnej wystarcza, aby to wszystko zmienić. Świetna inteligencja kurczy się konwulsyjnie i nagle, odbijając już tylko jakieś inne *ja* — przeczulone, podejrzliwe, mizdrzące się, czyniące wszystko aby się przedstawić z najgorszej strony.

Cambremerowie obrazili się bardzo; równocześnie zaś inne wydarzenia sprowadziły pewne napięcie ich stosunków z „paczką”. Pewnego razu, wracaliśmy — Cottardowie, Charlus, Brichot, Morel i ja — z obiadu w la Raspelière; Cambremerowie, którzy mieli śniadanie u przyjaciół w Harambouville, jechali część drogi z nami. „Pan tak kocha Balzaka i tak umie go pan rozpoznawać we współczesnym społeczeństwie — rzekłem do pana de Charlus — iż musi pan mieć wrażenie, że ci Cambremer wyrwali się ze *Scen z życia prowincji*.” Ale p. de Charlus, absolutnie tak jakby był ich przyjacielem i jakby go uraziła moja uwaga, przerwał:

— Mówi pan to dlatego, że żona jest inteligentniejsza od męża — rzekł sucho.

— Och! nie chciałem powiedzieć, aby to była *Muza z zaścianka*, ani pani de Bargeton<sup>17</sup>, mimo że...

P. de Charlus przerwał znowu:

— Powiedz pan raczej: pani de Mortsauf<sup>18</sup>.

Pociąg zatrzymał się, Brichot wysiadł.

— Próżno dawaliśmy znaki, pan jest straszny.

— Jakto?

— Ech, czy pan nie widzi, że Brichot jest śmiertelnie zakochany w pani de Cambremer?

<sup>16</sup>Hrabia Tuluzy — nieprawdy syn Ludwika XIV i pani de Montespan. [przypis tłumacza]

<sup>17</sup>Pani de Bargeton — bohaterka *Straconych złudzeń*. [przypis tłumacza]

<sup>18</sup>pani de Mortsauf — idealna bohaterka *Lilji w dolinie* Balzaka. [przypis tłumacza]



Ujrzałem z zachowania się Cottardów i Morela, że to nie budzi cienia wątpliwości w „paczce”. Sądziłem, że to jakaś złośliwość z ich strony.

— No, czy pan nie zauważył, jaki on był zmieszany, kiedy pan mówił o niej? — podjął p. de Charlus, który lubił okazywać, że zjadł zęby na kobietach, mówiąc o uczuciach, jakie one budzą, z całą naturalnością, tak jakby to był właśnie jego zwyczajny stan duszy. Ale pewien dwuznacznie patryjarchalny ton ze wszystkimi młodymi ludźmi — mimo jego wyłącznej miłości do Morela przeczył tym aforyzmom godnym starego kobieciarza.

— Och! te dzieci — mówił baron krzykliwe, mizdrząc się; — trzeba ich wszystkiego uczyć; niewinne to jak nowonarodzone niemowlę, nie umieją nawet poznać, kiedy ktoś jest zakochany w kobiecie. W pańskim wieku, byłem większy cwaniak — dodał baron, bo lubił używać wyrażeń ze świata apaszowskiego, może przez upodobanie, może dlatego aby unikaniem ich nie stwarzać wrażenia że obraca się w świecie gdzie wyrażenia te stanowią potoczny słownik.

W kilka dni później, trzeba mi było poddać się oczywistości i uznać, że Brichot kocha się w margrabinie. Na nieszczęście, był u niej kilka razy na śniadaniu. Pani Verdurin uznała, że czas położyć temu koniec. Poza pożytkiem takich interwencji z punktu widzenia polityki „paczki”, pani Verdurin nabierała coraz to żywszego upodobania w tego rodzaju wyjaśnieniach oraz dramatach będących ich następstwem; upodobanie, które zarówno w świecie arystokratycznym jak w burżuazji rodzi się z próżniactwa. Był to dzień wielkich emocyj w la Raspeliere, kiedy ujrano, jak pani Verdurin znika na godzinę z Brichotem; rychło dowiedziano się, że mu powiedziała, iż pani de Cambremer kpi sobie z niego, że jest pośmiewiskiem jej salonu, że hańbi swoją starość, kompromituje sytuację naukową. Pani Verdurin posunęła się do tego, że mówiła mu we wzruszających słowach o praczce z którą Brichot żył w Paryżu i o ich córeczce. Zwyciężyła; Brichot przestał bywać w Féterne, ale odczuł to tak, iż przez dwa dni sądzono że całkiem straci wzrok; w każdym razie choroba posunęła się i to pogorszenie już zostało.

Tymczasem Cambremerowie, wściekli na Morela, zaprosili raz — i to umyślnie — pana de Charlus ale bez skrzyпка. Nie otrzymując odpowiedzi od barona, bali się, że popełnili gaffę; znajdując, że uraza jest złym doradcą, napisali nieco późno do Morela. Upokorzenie to spowodowało uśmiech pana de Charlus, ukazując mu jego władzę.

— Odpowiesz za nas dwóch, że przyjmuję — rzekł baron do Morela. Kiedy nadszedł dzień obiadu, czekali goście w wielkim salonie w Féterne. Cambremerowie dawali w rzeczywistości obiad dla arcy-śmietanki, jaką byli państwo Fére. Ale tak się bali dezaprobaty pana de Charlus, że mimo iż poznali państwa Fére przez pana de Chevregny, pani de Cambremer dostała niemal gorączki, kiedy w dniu obiadu ujrzała iż także p. de Chevregny przybył z wizytą do Féterne. Użyto wszystkich pozorów, aby go wyprawić możliwie najszybciej, ale nie dość szybko aby się nie minął w dziedzińcu z państwem Fére, którzy byli równie oburzeni wypędzeniem pana de Chevregny jak on sam był niem zawstydzony. Ale Cambremerowie chcieli za wszelką cenę oszczędzić panu de Charlus widoku pana de Chevregny; uważali go za prowincjusza z powodu drobnych odcieni, na które nie zważa się w rodzinie, ale które nabierają wagi wobec obcych — jedyńskich, którzy by ich właśnie nie spostrzegli. Ale nie jest miło pokazywać krewnych, którzy zostali tem, czem my zdołaliśmy przestać być.

Co się tyczy państwa Fére, byli oni w najwyższym stopniu tem, co się zwie „bardzo dobrze”. W oczach tych co ich określali w ten sposób, z pewnością Guermantowie, Rohanowie i wielu innych byli również „bardzo dobrze”, ale ich nazwisko mówiło samo za siebie. Nie wszyscy znali wysokie urodzenie matki pana Fére, oraz bardzo zamknięte kółko w jakim państwo Fére bywali; toteż, kiedy przyszło ich wymieniać, dodawano zawsze dla objaśnienia, że oni są „nie można lepiej”. Czy pospolite nazwisko narzucało im wyniosłą wstrzeźliwość? Bądź co bądź, faktem jest, że państwo Fére nie bywali u ludzi, u których bywaliby księstwo La Tremoille. Trzeba było sytuacji nadmorskiej królowej, jaką stara margrabina de Cambremer miała w okolicach la Manche, aby państwo Fére zjawili się u niej na podwieczorku raz do roku. Zaproszono ich na obiad i bardzo liczone na efekt, jaki wywrze na nich p. de Charlus. Oznajmiono dyskretnie, że jest na liście gości. Przypadkowo, pani Fére nie знаła barona. Pani de Cambremer odczuła z tego powodu żywe zadowolenie; na twarzy jej błędził uśmiech chemika, który ma zetknąć ze sobą pierwszy raz dwa nadzwyczaj ważne ciała.

Drzwi się otworzyły i pani de Cambremer omal nie zemdlą, widząc że Morel wchodzi sam. Niby sekretarz osobisty mający usprawiedliwić swego ministra, niby morgantyczna małżonka wyrażająca żal że monarcha jest cierpiący (tak czyniła pani de Clinchamp imieniem księcia d'Aumale), Morel oświadczył lekko: „Baron nie będzie mógł się zjawić. Jest trochę niedysponowany, przynajmniej tak sędzę, bo nie widziałem go jakoś w tym tygodniu” — dodał, tem bardziej przywołując ostatnimi słowami do rozpaczy panią de Cambremer, która mówiła państwu Féré, że Morel widuje barona o wszelkiej porze. Cambremerowie udali, że nieobecność barona jest dla zebrania jednym urokiem więcej i kiedy Morel nie mógł słyszeć, powiadali gościom:

— Obejdziemy się bez niego, zabawa jedynie zyska na tem.

Ale byli wściekli, podejrzewali intrygę pani Verdurin i kiedy ta znów zaprosiła ich do la Raspelière, p. de Cambremer, nie mogąc się oprzeć przyjemności oglądania swego domu i znalezienia się w małej paczce, przybył, ale sam, powiadając że margrabina jest w rozpaczy, ale lekarz zabronił jej opuszczać pokoju. Cambremerowie sądzili, że tą połowiczną wizytą dadzą lekcję panu de Charlus, a zarazem pokażą Verdurinom; iż są wobec nich zobowiązani do grzeczności jedynie w pewnej mierze, tak jak księżniczki krwi odprowadzały niegdyś diuszessy, ale tylko do połowy drugiego pokoju.

Po kilku tygodniach, stosunki stanowczo się popsuły. P. de Cambremer komentował to przedemną.

— Powiem panu, że z panem de Charlus to było trudno. On jest straszliwy dreyfusista.

— Ależ nie!

— Owszem... W każdym razie, jego kuzyn, książę Gilbert, jest za Dreyfusem, dosyć sobie na nich strzępiono języki z tego powodu. Mam krewnych bardzo drażliwych na tym punkcie. Nie mogę utrzymywać stosunków z tymi ludźmi, poróżniłbym się z całą rodziną.

— Skoro książę Gilbert jest dreyfusistą — rzekła pani de Cambremer — dobrze się składa, że Saint-Loup (który, jak mówią, żeni się z jego siostrzenicą) jest nim również. To może nawet jest racja tego małżeństwa.

— Och, moja droga, nie mów że Saint-Loup, którego bardzo kochamy, jest dreyfusistą. Nie powinno się lekkomyślnie opowiadać takich rzeczy — rzekł p. de Cambremer. Ładnie byś go urządziła w armji.

— Był, ale już nie jest — rzekłem do pana de Cambremer. Co się tyczy jego małżeństwa z panną de Guermantes-Brassac, czy to prawda?

— Wszyscy tak mówią, ale pan chyba lepiej może wiedzieć.

— Ale powtarzam panu, sam mi powiedział, że jest za Dreyfusem — rzekła pani de Cambremer. To zresztą bardzo zrozumiałe, Guermantowie są nawpół Niemcy.

— Co się tyczy Guermantów z ulicy Varenne, możesz powiedzieć, że są cali Niemcy — rzekł Cancan. Ale Saint-Loup to inna para butów; mimo że ma całą rodzinę niemiecką, ojciec jego cenił nad wszystko inne swój tytuł francuskiego magnata, wrócił do służby w r. 1871 i zginął na wojnie bardzo piękną śmiercią. Mimo że jestem na tym punkcie bardzo drażliwy, nie trzeba przesadzać ani w jednym ani w drugim kierunku. *In medio... virtus*, och, nie pamiętam już dobrze. To coś, co mówi doktor Cottard. Ten zawsze znajduje właściwe słówko. Musi być tutaj mały Larousse.

Aby uniknąć wypowiedzenia się w sprawie łacińskiego cytatu i aby porzucić temat Roberta de Saint-Loup, w którym mąż wyraźnie uważał, że żona zgrzeszyła brakiem taktu, pani de Cambremer przeszła na „pryncypałkę”, z którą zerwanie było jeszcze pilniejsze do wyjaśnienia.

— Wynajęliśmy chętnie la Raspelière pani Verdurin — rzekła margrabina. Tylko że ona wyobraziła sobie widocznie, iż wraz z domem i wszystkim co potrafiła zagarnąć — użytkowanie łąk, stare makaty, wszystko czego wcale nie było w kontrakcie nabyła co więcej prawo do stosunków z nami. Otóż to są rzeczy absolutnie różne. Nasza wina w tem, żeśmy nie załatwili rzeczy poprostu przez pośrednika lub przez agencję. W Féterne to nie ma znaczenia, ale stąd widzę, jaką minę zrobiłaby ciotka de Ch'nouville, gdyby ujrziała tryndającą się na mój żurek mamę Verdurin z rozwianym włosiem. Co do pana de Charlus, oczywiście on zna osoby *bardzo dobre*, ale zna także osoby *bardzo złe*.

Poprosiłem o wyjaśnienia. Nagłona pytaniami, pani de Cambremer powiedziała wkońcu:

— Twierdzą, że on utrzymuje jakiegoś pana Moreau, Morille, Morue, sama nie wiem. Oczywiście to nie ma żadnego związku ze skrzypkami Morelem — dodała rumieniąc się. — Kiedyś uczyła, że pani Verdurin, dlatego że jest nad morzem naszą lokatorką, wyobraża sobie, że miałyby prawo bywać u mnie w Paryżu, zrozumiałam, że trzeba to przeciąć.

Mimo tego zerwania z pryncypałą, Cambremerowie nie byli źle z „wiernymi” i wsiadali chętnie do naszego wagonu, kiedy się znaleźli w kolejce. Kiedy się dojeżdżało do Douville, Albertyna, wyjmując ostatni raz lusterko, uważała czasem za właściwe zmienić rękawiczki lub zdjęć na chwilę kapelusz i szyldkretowym grzebieniem (prezent ode mnie), tkwiącym we włosach, poprawiała loki, podnosiła węzeł i o ile było trzeba, zwijsza kok nad ondulacją, która spływała kształtnymi falami na kark. Wsiadłszy do powozów, które na nas czekały, nie wiedziało się już gdzie się jest; drogi nie były oświetlone; głośniejszy turkot kół świadczył że się przejeżdża przez wieś, myślał człowiek że już przybywa na miejsce, znów wjeżdżał w szczerze pole, słyszał dalekie dzwony, zapominał że jest w smokingu i zasypiał niemal, kiedy, na końcu tego długiego marginesu ciemności, który, mocą przebieżonego dystansu i zdarzeń charakterystycznych dla jazdy koleją, zdawał się nas nieść aż w daleko posuniętą godzinę nocy i prawie na pół drogi z powrotem do Paryża, naraz, gdy drobniejszy piasek pod kołami powozu zaznaczył fakt wjechania do parku, wybuchy — wprowadzając nas znowuż w życie światowe — błyszczące światła salonu, potem jadalni, gdzie uczuwalimy jakgdyby wstrząs, słysząc że bije ta ósma którą myśleliśmy żeśmy dawno zostawili za sobą, podczas gdy liczne dania i wykwiłne wina oczekiwały wyfraczonych panów i lekko wygorsowane damy, w czasie obiadu skapanego w świetle niby prawdziwy obiad w mieście; obiadu, który otaczała — jedynie zmieniając przez to jego charakter ciemna i osobliwa podwójna szarfa, którą utkały nocne, sielskie i morskie godziny przybycia i powrotu, odarte przez ten światowy użytek z pierwotnego dostojęstwa. Ten powrót zmuszał nas w istocie do opuszczenia błyszczącej i rychło zapomnianej jasności salonu, aby zająć miejsce w powozie, gdzie urządziłem się tak, aby się znaleźć z Albertyną, aby Albertyna nie mogła być z innymi bezemnie, a często z innej jeszcze przyczyny, a mianowicie, iż mogliśmy na wiele sobie pozwalać w ciemnym powozie, którego wstrząsy tłumaczyły nas zresztą w razie gdyby nagły promień światła zdradził że jesteśmy spleceni z sobą.

Kiedy p. de Cambremer nie był jeszcze źle z Verdurinami, pytał mnie:

— Nie sądzi pan, że przy tej mgle będzie pan miał napad astmy? Siostra miała dziś rano straszliwą duszność. A! pan także — dodał z zadowoleniem. Powiem to jej dziś jeszcze. Wiem, że za powrotem zaraz się będzie dowiadywała, czy pan dawno już nie miał astmy.

Mówił zresztą o mojej astmie wyłącznie po to, aby dojść do astmy siostry; kazał mi opisywać właściwości mojej astmy jedynie po to, aby lepiej zaznaczyć różnice, zachodzące między jedną a drugą. Ale, mimo tych różnic, ponieważ astma siostry zdawała mu się miarodajna, nie mógł uwierzyć, aby to co pomagało jej nie było wskazane dla mnie, i irytował się, że ja tego nie próbuję. Bo jeszcze trudniejszą rzeczą niż nagiąć się do jakiejś kuracji, jest nie narzucać jej drugim.

— Zresztą co ja mówię, ja profan, kiedy pan tu jest przed areopagiem, u źródła. Co myśli o tem profesor Cottard?

Odwiedziłem zresztą panią de Cambremer innym razem, ponieważ powiedziała komuś, że moja kuzynka ma szczególnie „genre”, chciałem się tedy dowiedzieć, co ona pod tem rozumie. Zapała się, ale w końcu przyznała, że mówiła o innej osobie, którą (tak się jej zdawało) spotkała z moją kuzynką. Nie znała jej nazwiska; powiedziała w końcu, że, jeśli się nie myli, to jest żona bankiera, że się nazywa Lina, Lineta, Lizeta, Lia, słowem coś w tym rodzaju. Miałem wrażenie, że „żonę bankiera” dodała jedynie dla zmylenia śladu. Chciałem spytać Albertyny, czy to prawda. Ale wolałem raczej wyglądać na takiego co wie, niż na takiego co się pyta. Zresztą Albertyna nie byłaby mi odpowiedziała nic, albo wyrzekłaby owo „nie”, w którym „n” byłoby zbyt wahające a „ie” zbyt tryumfalne. Albertyna nie opowiadała nigdy faktów mogących ją „wsypać”, ale inne, dające się wytłumaczyć jedynie tamtemi; *prawda* bowiem to są nietylko jakieś słowa które słyszymy, ile prąd płynący z tych słów i wyczuwalny mimo swej niewidzialności. I tak, kiedy upewniłem Albertynę, że kobieta, którą znała w Vichy, ma podejrzany *genre*, przysięgała

że nie i że nigdy ta kobieta nie próbowała namówić jej na coś złego. Ale innego dnia, kiedy wspomniałem, że byłbym ciekawy tego rodzaju osób, Albertyna dodała, że owa pani z Vichy ma także przyjaciółkę, której ona, Albertyna, nie zna, ale że owa pani „przrzekła jej, że je z sobą zapozna”. Skoro jej to przrzekła, to znaczy że Albertyna musiała tego pragnąć, albo że pani z Vichy, proponując, wiedziała że jej to zrobi przyjemność. Ale gdybym to zarzucił Albertynie, sprawiłbym wrażenie, że czerpię swoje rewelacje tylko od niej, zahamowałbym je natychmiast, nie dowiedziałbym się już nic, przestałbym być niebezpieczny. Zresztą byliśmy w Balbec, pani z Vichy i jej przyjaciółka mieszkaly w Mentonie; oddalenie, brak niebezpieczeństwa rychło zniweczyły moje podejrzenia.

Często, kiedy pan de Cambremer wołał mnie z peronu, korzystałem właśnie z Albertyną z ciemności, nie bez trudu zresztą, bo Albertyna broniła się trochę, bojąc się że ciemność nie jest dość głęboka.

— Wiesz, jestem pewna, że Cottard nas widział; zresztą nawet nie widząc, słyszał nasz zduszony głos i to właśnie w chwili, gdy była mowa o twojej duszności innego rodzaju — mówiła Albertyna, dojeżdżając na stację w Douville, gdzie siadaliśmy do kolejki wracając. Ale ów powrót — tak samo jak jazda w tamtą stronę — o ile, dając mi wrażenie poezji, budził we mnie żądze podróży, nowego życia i tem samem odwracał mnie od wszelkich projektów małżeństwa z Albertyną a nawet podsuwał mi myśl ostatecznego zerwania naszych stosunków, czynił również — właśnie z przyczyny sprzecznej natury tych stosunków — owo zerwanie czemś łatwiejszem. Bo w czasie powrotu, równie dobrze jak w tamtą stronę, na każdej stacji wsiadali lub witali się z nami na peronie znajomi; nad ulotnemi rozkoszami wyobraźni dominowały te ciągle przyjemności towarzyskie, tak kojące, tak usypiające. Już przed samemi stacjami, nazwy ich (które tyle wzniewały we mnie marzeń od chwili gdy je usłyszał owego pierwszego wieczora kiedym przybył z babką) obłaskawiły się, utraciły swoją osobliwość w dni gdy Brichot, na prośbę Albertyny, wytłumaczył nam dokładnie ich etymologie. Uroczy wydał mi się ów „kwiat” — *fleur* — który kończył niektóre nazwiska, jak Fiquefleur, Honfleur, Flers, Bartfleur, Hartfleur, etc., a zabawny „wół” *boeuf* — znajdujący się w zakończeniu *Bricqueboeuf*. Ale *kwiat* zniknął, a także i *wół*, odkąd Brichot (a powiedział to już pierwszego dnia w pociągu) pouczył nas że *fleur* znaczy port (jak fiord), a *boeuf* — normandzkie *budb* — chatę. Ponieważ profesor zacytował mi kilka przykładów, to co mi się wprzód zdało poszczególnie, uogólniało się; Bricqueboeuf spotykało się z Elboeuf, i nawet w nazwie napozór równie indywidualnej jak miejscowość (np. nazwa Pennedepie), gdzie osobliwości najmniej podobne do racjonalnego wytłumaczenia zdawały się stopione od niepamiętnych czasów w wyraz pospolity, soczysty i stwardniały nakształt normandzkiego sera, z rozpaczą odnalazłem gallickie *pen*, oznaczające górę i znajdujące się równie dobrze w Pennemarck jak w Apeninach.

Ponieważ za każdym przystankiem czułem, że czekają nas przyjacielskie uściski rąk (o ile nie wizyty), powiadałem do Albertyny:

— Pytaj prędko Brichota o nazwy, które chciałaś wiedzieć. Wspominałaś o Marcouville l’Orgueilleuse.

— Tak, bardzo lubię tę dumę, to jest harde miasteczko.

— Wydałoby się pani — odparł Brichot — jeszcze bardziej harde, gdyby, zamiast się sfrancuzić, lub nawet zlatynizować (w cartularium biskupa z Mayeux znajduje się *Marcouvilla superba*), objawiło się pani pod dawniejszą formą, bliższą normandzkiego *Marculplinvilla superba*, wioska, dziedzina Mareulfa. Prawie we wszystkich tych nazwach, które się kończą na *ville*, mogłaby pani ujrzeć wylaniające się jeszcze na tym wybrzeżu widmo twardych normandzkich najeźdźców. W Harembouville widziała pani przed drzwiczkami wagonu jedynie zacnego doktora, który z pewnością nie ma nic z normandzkiego wodza. Ale zamknąwszy oczy, mogłaby pani ujrzeć znamienitego Herimunda (*Herimundivilla*). Mimo iż nie wiem czemu się chodzi temi drogami ciągnięciami się pomiędzy Loigny a Balbec-Plage, nie zaś bardzo malowniczymi drózkami, które wiodą od Loigny do starego Balbec. Pani Verdurin musiała was tam może obwozić. Wówczas widzieliście Incarville, czyli wioskę Wiskara, i Tourville — przed dojazdem do pani Verdurin — to znaczy wioskę Turola. Zresztą byli to nietylko Normandowie. Zdaje się, że Niemcy zaszli aż dotąd (Aumenancourt, *Alemanicurtis*) — nie mówmy tego młodemu oficerowi, którego widzę: gotów byłby nie chcieć już odwiedzić swoich kuzynów. Byli i Saksończycy, jak

o tem świadczy źródło Sissonne (jeden z ulubionych spacerów pani Verdurin, i słusznie), równie dobrze jak w Anglii Middlesex, Wessex. Rzecz niewytłumaczona, zdaje się, że Goci, dziady (*gueux*) jak powiadano, przyszli aż tutaj, i nawet Maurowie, bo Mortagne pochodzi od *Mauretania*. Ślad tego pozostał w Gourville — *Gothorunvilla*. Jakiś ślad Latynów istnieje zresztą także, Lagny (*Latiniacum*).

— Ja poproszę o wytłumaczenie Thorpehomme — rzekł p. de Charlus. — Rozumiem *homme* (dodał podczas gdy rzeźbiarz i Cottard wymieniali porozumiewawcze spojrzenie). Ale Thorp?

— *Homme* nie znaczy bynajmniej tego co pan jesteś skłonny przypuszczać, baronie — odparł Brichot, patrząc chytrze na Cottarda i na rzeźbiarza. *Homme* nie ma nic wspólnego z płcią, której nie zawdzięczam matki. *Homme* to jest *Holm*, które oznacza wysepkę, etc... Co do *Thorp*, czyli wieś, odnajdzie się ją w stu słowach, którymi już nudziłem naszego młodego przyjaciela. Toteż w Thorpehomme nie ma imienia wodza normadzkiego, ale są słowa z normadzkiego języka. Widział pan, jak ten cały kraj był zgermanizowany.

— Ja sądzę, że profesor przesadza — rzekł p. de Charlus. — Byłem wczoraj w Orgeville.

— Tym razem zwracam panu *mężczyznę*, którego panu odebrałem w Thorpehomme, baronie. Stwierdzimy bez pedantyzmu, że akt Roberta I mówi nam zamiast Orgeville o *Otgervilla*, dziedzina Otgera. Wszystkie te nazwy, to są imiona dawnych panów. *Octeville la Venelle* powstało z Avenel. Avenelowie byli rodziną znaną w średniowieczu. Bourguenolles, dokąd pani Verdurin zawiozła nas kiedyś, pisało się *Bourg de môles*, bo ta wieś należała w XI wieku do Baldwina de Môles, zarówno jak la Chaise-Baudoin. Ale oto jesteśmy w Doncières.

— Mój Boże, ilu oficerów będzie się pchało do wagonu — rzekł p. de Charlus z udanym przerażeniem. — Mówię to za was; mnie to nie przeszkadza, skoro tu wysiadam.

— Słyszysz pan, doktorze — rzekł Brichot. — Baron się boi, aby mu oficerowie nie przeszli po brzuchu. A przecie oni są w swojej roli, znajdując się tutaj w gromadzie, bo Doncières to jest ściśle Saint-Cyr, Dominus Cyriacus. W wielu nazwach Sanctus i Sancta zastąpione są przez *dominus* i *domina*. Zresztą to spokojne i wojskowe miasteczko ma czasami fałszywe pozory Saint-Cyr, Wersalu, a nawet Fontainebleau.

W czasie tych powrotów (jak i w czasie jazdy w tamtą stronę) mówiłem Albertynie żeby się ubrała, bo wiedziałem, że w Amnancourt, w Doncières, w Êpreville, w Saint-Vast, czekają nas krótkie wizyty. Nie były mi one zresztą niemiłe, np. w Hermenonville (dziedzina Herimunda) wizyta pana de Chevregny, korzystającego z tego że wyszedł po swoich gości, aby mnie zaprosić na jutro na śniadanie do Montsurvent; albo w Doncières nagle wtargnięcie któregoś z uroczych przyjaciół Roberta, przysłanych przez niego (kiedy nie był wolny) aby mi doręczyć zaproszenie kapitana de Borodino, menaży oficerów z pod Cocq-Hardi, lub podoficerów z pod Złotego Bażanta. Saint-Loup zjawiał się często sam; wówczas przez cały czas jego obecności — ale tak że nikt nie mógł tego spostrzec — trzymałem Albertynę na uwięzi mego spojrzenia, daremnie czujnego zresztą. Raz wszakże przerwałem swoją straż. W czasie dłuższego postoju, Bloch, ukłoniwszy się nam, uciekł prawie natychmiast, spiesząc do ojca, który wziął właśnie spadek po wuju i który, wynajawszy zamek zwący się *la Commanderie*, uważał za bardziej pańskie jeździć tylko karetką pocztową z pocztylionami w liberji. Bloch prosił, żebym go odprowadził do powozu. „Ale spiesz się, bo moje bieguny są niecierpliwe; pójdź mężu miły bogom, sprawisz radość memu ojcu.” Ale zbyt ciężko było mi zostawić Albertynę z Robertem; gdybym ich nie miał na oku, mogliby rozmawiać, przejść do innego wagonu, uśmiechać się do siebie, dotykać się; spojrzenie moje, przylepione do Albertyny, nie mogło się od niej oderwać, dopóki Saint-Loup był przy niej. Spostrzegłem łatwo, że Bloch, który mnie prosił żebym się przywitał z jego ojcem, odczuł jako obojętność z mojej strony fakt że mu odmówił, mimo że nie miałem żadnej przeszkody, bo wiadomo było, że pociąg będzie stał jeszcze conajmniej kwadrans i że prawie wszyscy podróżni, bez których nie odjechałby, wysiedli. Bloch był przekonany, że powodem mojej odmowy był snobizm i postępowanie moje w tej sprawie starczyło mu za odpowiedź. Bo wiedział dobrze, z kim jestem w wagonie. W istocie, p. de Charlus (pragnąc się zbliżyć do Blocha) powiedział mi

niewco przedtem, nie pamiętając, ani się troszcząc o to, że to już zrobił niegdyś: „Niechże mi pan przedstawi swojego przyjaciela; pańskie zachowanie się świadczy o braku szacunku dla mnie”, i rozmawiał z Blochem, który wyraźnie mu się bardzo podobał, do tego stopnia że mu powiedział na rozstanie: „Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.”

— Zatem to nieodwołalne, nie chcesz zrobić tych stu kroków, aby się przywitać z ojcem, któremu by to sprawiło taką przyjemność? — rzekł Bloch.

Byłem w rozpacz: wyglądało na to, że zdradzam koleżeństwo; bardziej jeszcze gnębiła mnie myśl o przyczynie, którą Bloch sobie to tłumaczy, wyobrażając sobie, że ja, będąc w arystokratycznym towarzystwie, zmieniam się dla skromniejszych przyjaciół. Od tego dnia, objawy jego przyjaźni osłabły i co mi było przykrzejsze, zmniejszył się jego szacunek dla mego charakteru. Ale, aby wywieść Blocha z błędu co do mojej pobudki, musiałbym mu wyznać coś — mianowicie że jestem zazdrosny o Albertynę — co by mi było jeszcze bolesniejsze, niż zostawić go w przeświadczeniu o moim snobizmie. Tak oto, teoretycznie, człowiek uważa, że zawsze się powinno stawiać sytuację szczerze, unikać nieporozumień. Ale często życie kombinuje owe nieporozumienia w taki sposób, że, aby je rozprószyć — w rzadkich okolicznościach gdy to jest możliwe — trzeba by wyjawiać coś — tutaj nie było tego wypadku — co bardziej jeszcze uraziłoby przyjaciela niż nasza urojona wina, albo zdradzić sekret, którego wyjście na jaw wydaje się nam jeszcze czemś gorszym niż nieporozumienie. Znajdowałem się właśnie w tem położeniu. Zresztą, nawet nie tłumacząc Blochowi (skorom nie mógł tego uczynić) powodów, dla których go nie odprowadzam, gdybym go prosił aby się nie gniewał, zdwoiłbym jedynie jego urazę, okazując że ją spostrzegam. Nie pozostawało nic, jak tylko skłonić się przed tem fatum, które chciało, aby obecność Albertyny przeszkodziła mi odprowadzić Blocha i aby Bloch myślał, że powodem była świetność towarzystwa, które, choćby było sto razy świetniejsze, miałyby jedynie ten skutek, że byłbym się wyłącznie zajął Blochem i rozwinął dlań całą uprzejmość. Wystarczy w ten sposób, aby przygodnie, idjotycznie, przypadek (tutaj obecność Albertyny i Roberta) wszedł między dwa losy, których linje skłaniały się ku sobie, aby te linje rozeszły się, oddalając się coraz więcej i nie mając się już zbliżyć nigdy. I bywały przyjaźnie piękniejsze niż moja z Blochem, które uległy w ten sposób zniweczeniu, przyczem mimowolny autor nieporozumienia nigdy nie mógł wyjaśnić urażonemu tego, co byłoby prawdopodobnie ukoilo jego miłość własną i odzyskało sympatię.

Przyjaźnie piękniejsze od przyjaźni Blocha to by zresztą nie wiele mówiło. Bloch miał wszystkie wady, które mnie najbardziej raziły. Czułość moja dla Albertyny czyniła je przypadkowo czemś nie do zniesienia. I tak, w tej krótkiej chwili, kiedy, pilnując z pod oka Roberta, rozmawiałem z Blochem, Bloch oznajmił, że był na śniadaniu u pani Bontemps, gdzie wszyscy mówili o mnie z największymi pochwałami aż do „schyłku Heliosa”. Brawo! pomyślałem sobie; ponieważ pani Bontemps uważa Blocha za geniusza, entuzjastyczny sąd, jaki musiał o mnie wyrazić, więcej zaważy niż to co mogli mówić wszyscy inni; to dojdzie do Albertyny. Dziś czy jutro musi się o tem dowiedzieć, dziwi mnie tylko, że już ciotka nie powtórzyła Albertynie iż jestem człowiekiem „niepospolitym”.

— Tak — dodał Bloch — wszyscy piali twoje pochwały. Ja jeden zachowałem milczenie równie głębokie co gdybym w miejsce biesiady, zresztą dość miernej, jaką nas raczone, spożył mak, drogi błogosławionemu bratu Tanathosa i Lety, boskiemu Hypnosowi, który spowija słodkimi więzami ciało i język. Nie iżbym cię podziwiał mniej niż banda drapieżnych sów, z którymi mnie zaproszono. Ale ja cię podziwiam dlatego że cię rozumiem, a oni cię podziwiają nie rozumiejąc. Aby dobrze rzec, ja cię zanadto podziwiam aby mówić o tobie publicznie; wydawałoby mi się profanacją chwalić głośno to, co noszę w najgłębszym zakątku serca. Daremnie pytano mnie o ciebie; święta Wstydlivość, córa Kroniona, kazała mi zostać niemy.

Nie byłem na tyle nietaktowny, aby okazać niezadowolenie, ale ta Wstydlivość wydała mi się spokrewniona — o wiele bardziej niż z Kronionem — ze wstydlivością, która nie pozwala podziwiającemu cię krytykowi mówić o tobie, dlatego że do sekretnej świątyni, gdzie królujesz, wtargnęłaby w ten sposób horda ciemnych czytelników i dziennikarzy; ze wstydlivością ministra, który nie daje ci krzyża Legji, aby cię nie zmieszać z ludźmi, którzy ci do pięt nie dorastają; ze wstydlivością Akademika, który nie głośnie za tobą, aby ci oszczędzić hańby kolegowania z panem X, człowiekiem pozbawionym talentu; z czcigodniejszą wreszcie, a jednak bardziej zbrodniczą wstydlivością owych sy-

nów, którzy nie pozwalają nam pisać o ich ojcu, człowieku pełnym zalet, aby zapewnić mu ciszę i spokój, nie dać aby wskrzeszano życie i tworzono sławę dokoła biednego zmarłego, który rozgłos swego imienia w ustach ludzi wolałby od wieńców, bardzo nabożnie zresztą noszonych na jego grób.

O ile Bloch, zasmuciwszy mnie tem że nie mógł zrozumieć racji, broniącej mi przywitać się z jego ojcem, przywiódł mnie do rozpaczki wyznając że mnie zdyskredytował u pani Bontemps (rozumiałem teraz, czemu Albertyna nigdy nie wspominała o tem śniadaniu i zachowała milczenie, kiedy mówił o przywiązaniu Blocha), ów młody izraelita wzbudził w panu de Charlus uczucia zgoła inne.

Z pewnością Bloch wierzył teraz że ja nietylko nie mogę rozstać się ani na sekundę z ludźmi z wielkiego świata, ale że, zawistny o awanse jakie mogliby mu robić (jak p. de Charlus), staram się mu podstawić nogę i przeszkodzić w nawiązaniu stosunków. Pan de Charlus znowuż żałował, że nie mógł dłużej mówić z moim kolegą. Wedle swego zwyczaju, strzegł się to okazać. Zaczął od tego, że mi zadał od niechcienia parę pytań dotyczących Blocha, ale tak niedbale, z zainteresowaniem niby tak sztucznym, że nie przypuszczałoby się iż może słyszeć odpowiedzi. Zdawkowym tonem wyrażającym obojętne roztargnienie, rzekł jakby przez prostą grzeczność:

— Wygląda inteligentnie; mówił mi że pisze, czy ma talent?

Oświadczyłem baronowi, że bardzo uprzejmie z jego strony było powiedzieć Blochowi, że się go spodziewa spotkać. Żaden ruch nie zdradził aby baron usłyszał moje słowa; że zaś powtórzyłem je cztery razy bez odpowiedzi, zacząłem podejrzewać, czy, słysząc wprzód słowa pana de Charlus, nie byłem igraszką halucynacji.

— Mieszka w Balbec? — zaintonował śpiewnie baron, z miną tak mało pytającą, że trzeba żałować iż język francuski nie posiada innego znaku niż znak zapytania dla zakończenia tego rodzaju frazy. Prawda, że ów znak nie często przydałby się panu de Charlus.

— Nie, wynajęli niedaleko stąd „Komandorję”.

Dowiedziawszy się tego co chciał wiedzieć, p. de Charlus udał że gardzi Blochem.

— Cóż za ohyda! — wykrzyknął przywracając swemu głosowi cały jego dźwięczny wigor. Wszystkie miejscowości lub posiadłości zwane „Komandorjami” były własnością kawalerów zakonu maltańskiego (do którego należą), jak miejsca zwane *Świątynią* lub *Kawalerją* były siedzibą Templariuszów. Gdybym ja mieszkał w Komandorji, nie byłoby nic naturalniejszego. Ale Żyd! Zresztą, nie dziwi mnie to; to się wiąże z ciekawą pasją świętokradztwa, właściwą tej rasie. Z chwilą gdy Żyd ma dosyć pieniędzy aby sobie kupić zamek, zawsze wybiera taki, który się nazywa Przeorstwo, Opactwo, Monastyr, Dom Boży. Miałem interes do pewnego urzędnika Żyda: zgadnij pan, gdzie on urzędował: w Pont-l'Évêque. Popadłszy w niełaskę, postarał się o przeniesienie do Bretanji, do Pont-l'Abbé. Kiedy się daje w Wielkim Tygodniu owe nieprzystojne widowiska zwane Pasją, połowę sali zapełniają Żydzi, nie posiadają się z radości na myśl że jeszcze raz ukrzyżują Chrystusa, bodaj *in effigie*. Na koncercie Lamoureux siedziałem raz obok bogatego bankiera Żyda. Grano *Dzieciństwo Chrystusa* Berlioz, był przybity. Ale odzyskał niebawem właściwy sobie wyraz błogości, słysząc *Czary Wielkiego Piątku*. Pański nieszczęsny przyjaciel mieszka w Komandorji! Co za sadyzm! Pokaże mi pan drogę — dodał, przybierając znów wyraz obojętności — pójdę którego dnia zobaczyć, jak nasze starożytne siedziby znoszą podobną profanację. To wielka szkoda, bo jest grzeczny, wydaje się inteligentny. Brakowałoby tylko tego, żeby mieszkał w Paryżu przy ulicy du Temple!

Robiło to wrażenie, że p. de Charlus mówi to jedynie poto aby znaleźć nowy przykład na poparcie swojej teorii; ale w istocie zadawał mi pytanie obosieczne, którego głównym celem było wywiedzieć się o adres Blocha.

— W istocie — zauważył Brichot — ulica du Temple nazywała się dawniej ulicą *de la Chevalerie du Temple*. I w tym przedmiocie czy pozwoli mi pan zrobić jedną uwagę, baronie? — rzekł Akademik.

— He? Co takiego? — rzekł sucho baron, któremu ta uwaga przeszkodziła w uzyskaniu informacji.

— Nie, nic — odparł Brichot spłoszony. — To *à propos* pewnej etymologii, o którą mnie proszono. Ulica du Temple nazywała się niegdyś ulicą Barre-du-Bac, ponieważ Abbaye du-Bac w Normandji miała w Paryżu swoją *barre de justice*.

P. de Charlus nie odpowiedział i udał że nie słyszy, co było u niego jedną z form impertynencji.

— Gdzie mieszka pański przyjaciel w Paryżu? Ponieważ trzy czwarte ulic bierze swoje nazwy od jakiegoś kościoła lub opactwa, są wszelkie widoki nowego świętokradztwa. Nie można Żydom zakazać mieszkać przy boulevard de la Madeleine, w faubourg Saint-Honoré lub na place Saint-Augustin. Dopóki nie posuwają swojej perfidji do tego aby się starać mieszkać na placu du Parvis Notre-Dame, na quai de l'Archevêché, przy ulicy Kanoniczek, albo de l'Ave-Maria, trzeba uwzględnić trudności jakie mają z wyborem.

Nie mogliśmy objaśnić pana de Charlus, nie znając obecnego adresu Blocha. Ale wiedziałem, że biura jego ojca znajdują się przy ulicy des Blancs-Manteaux.

— Och! cóż za szczyt przewrotności — wykrzyknął p. de Charlus, najwyraźniej znajdując w tym wykrzyku ironicznego oburzenia głęboką satysfakcję. — Blancs-Manteaux! — powtórzył, kładąc nacisk na każdej sylabie i śmiejąc się. — Co za świętokradztwo! Pomyślcie, że te białe płaszcze, splugawione przez pana Bloch, to były płaszcze braci żebrzących, zwanych służkami Najświętszej Panny, których osadził tam święty Ludwik! I ulica zawsze należała do zakonów. Profanacja jest o tyle bardziej djaboliczna, że o dwa kroki od ulicy des Blancs-Manteaux znajduje się ulica której nazwisko mi uciekło i która jest całkowicie wydana Żydom; są tam hebrajskie szyldy, fabryki macy, rzeźnie rytualne, to istna paryska Judengasse. Tam powinienby mieszkać pan Bloch. Oczywiście — dodał tonem dość emfaticznym i wyniosłym, dając zarazem mimowoli, mocą dziedziczości, swojej hardo odrzuconej twarzy minę starego muszkietera Louis XIII — biorę to wyłącznie z artystycznego punktu widzenia. Polityka, to nie mój wydział, i nie mogę potępiać *en bloc* (skoro mówimy o panu Bloch) narodu posiadającego Spinozę wśród swoich znakomitych synów. I zanadto podziwiam Rembrandta, aby nie rozumieć piękności, jakie można zaczerpnąć z synagogi. Ale ostatecznie, ghetto jest tem piękniejsze, im bardziej jednolite i doskonale. Bądź pan pewien zresztą — tak dalece zmysł praktyczny i chciwość mieszają się u tego ludu z sadyzmem — że bliskość ulicy hebrajskiej, o której wspomniałem, wygoda posiadania pod ręką rzeźni Izraela, kazały pańskiemu przyjacielowi wybrać ulicę des Blancs-Manteaux. Jakie to ciekawe! Tam zresztą mieszkał ów dziwny żyd, który kazał gotować hostje, w następstwie czego, jak sądzę, ugotowano jego samego, co jest jeszcze dziwniejsze, skoro to miałoby znaczyć, iż ciało Żyda może być warte tyle co ciało Boże. Może dałoby się ułożyć z pańskim przyjacielem, żeby nam pokazał kościół des Blancs-Manteaux. Pomyśl pan, to tam złożono ciało Ludwika Orleańskiego zamordowanego przez Jana bez Trwogi, który nieszczęściem nie uwolnił nas od Orleanów. Jestem zresztą osobiście bardzo dobrze z moim kuzynem, księciem de Chartres, ale ostatecznie to rasa uzurpatorów, która uśmierciła Ludwika XVI, wyzuła Karola X i Henryka V. Mają to zresztą we krwi, posiadając wśród przodków owego *Monsieur* (którego tak nazywano zapewne dlatego, że był najbardziej zdumiewającą starszą damą), i Regenta i innych. Co za rodzina!

Tę rozprawę antyżydowską czy prohebrajską — wedle tego, czy się weźmie powierzchowny charakter zdań czy intencje w nich ukryte — przecięło, komicznie dla mnie, coś co mi szepnął Morel a co przywiodło do rozpaczony pana de Charlus. Morel który spostrzegł niewątpliwie wrażenie jakie wywarł Bloch, podziękował mi pocichu za to że m go „spławił”, dodając cynicznie:

— Byłby chętnie został tutaj, wszystko to jest zawiść, chciałby mi zabrać moje miejsce. To wygląda na parcha!

— Możliwe skorzystać z tego postoj, który się przeciąga, aby poprosić pańskiego przyjaciela o jakieś rytualne wyjaśnienia. Czy nie mógłby go pan złapać — spytał p. de Charlus z nerwową niepewnością.

— Nie, to niemożliwe, odjechał powozem, zresztą obraził się na mnie.

— Dziękuję, dziękuję — szepnął mi Morel.

— Idjotyczny argument, zawsze można dogonić powóz, nic by panu nie przeszkodziło wziąć auto — odparł p. de Charlus, jak człowiek przyzwyczajony że wszystko się skłania przed jego ochotą. Zauważywszy moje milczenie, rzeki impertynencją z ostatnią nadzieją:

— Cóż to za powóz mniej lub więcej urojony?

— To karetka pocztowa, która już musiała zajechać do Komandorji.



Wobec jawnej niemożliwości, p. de Charlus, zrezygnowany, obrócił rzeczy w żart i dodał: — Trudno w istocie normalnemu człowiekowi dogonić obrzezańca, lżejszy jest.

Wreszcie oznajmiono, że pociąg rusza, zaczem Saint-Loup pożegnał nas. Ale to był jedyny dzień, w którym, wsiadając do naszego wagonu, zadał mi bezwiednie ból, a to wskutek myśli, jaką miałem przez chwilę, aby go zostawić z Albertyną i odprowadzić Blocha. W inne dni, obecność Roberta nie dręczyła mnie. Bo Albertyna, aby mi oszczędzić wszelkiego niepokoju, sama z siebie siadała pod jakimś pozorem tak, że nawet mimowoli nie mogła się otrzeć o Roberta, prawie za daleko aby móc mu bodaj podać rękę; z chwilą gdy Robert był obecny, odwracała oczy i zaczynała ostentacyjnie i gorączkowo rozmawiać z kim innym, przeciągając tę grę aż do odejścia Roberta. W ten sposób, spotkania w Doncières nie sprawiały mi żadnego bólu, nawet zakłopotania, nie były wyjątkiem wśród innych, zawsze dla mnie przyjemnych, przynoszących mi poniekąd hold i zaproszenie od tej ziemi.

Już z końcem lata, w czasie naszych wypraw z Balbec do Douville, kiedy widział zdaleka tę stację Saint-Pierre des Ifs, gdzie wieczorem przez chwilę grzebień skał błyszczał różowo niby w zachodzącym słońcu śnieg górski, nie nasuwała mi już ona myśli nie mówię nawet o smutku, o jaki zjawisko jej nagłego dziwnego wzniesienia się przyprawiło mnie pierwszego wieczora, budząc gwałtowną ochotę wskoczenia do pociągu do Paryża zamiast jechać do Balbec, ani o widoku, jaki rano można mieć stamtąd (jak powiadał Elstir) tuż przed wschodem słońca, kiedy wszystkie kolory tęczy łamią się na skałach; tam właśnie tyle razy Elstir budził młodego chłopca, służącego mu jednego roku za modela, aby go malować całkiem nagiego na piasku. Nazwa Saint-Pierre des Ifs oznajmiała mi tylko że zjawi się osobliwy pięćdziesięciolatek, inteligentny i uszminekowany, z którym będę mógł mówić o Chateaubriandzie i o Balzaku. I teraz, w mgłach wieczornych, za temi skałami Incarville, które mnie tak rozmarzyły niegdyś, widziałem — tak jak gdyby starożytny kamień skał stał się przezroczyty — piękny dom wuja pana de Cambremer, z tą pewnością że zawsze mnie tam chętnie przyjmą, o ile nie zechcę być na obiedzie w la Raspelière lub wracać do Balbec.

Tak więc, nie tylko nazwy miejsc w tych stronach straciły pierwotną tajemnicę, ale same miejsca. Nazwy, już nawpół opróżnione z tajemnicy, którą etymologia zastąpiła rozumowaniem, jeszcze spadły o jeden szczebel. W ciągu naszego powrotu, w Hermonville, w Saint-Vast, w Arambouville, w chwili gdy pociąg się zatrzymywał, spostrzegaliśmy cienie, których nie poznawaliśmy zrazu i które Brichot, nie widzący już nic, mógłby wziąć w nocy za cienie Herimunda, Wiskara, Herimbalda. Ale one zbliżyły się do wagonu. To poprostu p. de Cambremer, całkiem poróżniony z Verdurinami, odprowadzał gości i imieniem matki i żony pytał mnie, czy nie dałbym się „porwać” aby zabawić kilka dni w Féterne: spodziewają się tam kolejno wybornej amatorki, która mi odśpiewa całego Glucka, oraz sławnego szachisty, z którym będę mógł sobie uciąć doskonałe partyjki, co nie przeszkodzi wyprawom z wędką ani jachtingom w zatoce, ani nawet obiadom u Verdurinów, na które margrabia zobowiązywał się honorem „wypożyczać mnie”, każąc mnie tam odwiedzić i posyłając po mnie dla większej wygody, a także pewności.

— Ale ja nie mogę uwierzyć — mówił — aby to było dobrze dla pana jechać tak wysoko. Wiem, że siostra nie zniosłaby tego. Wróciłaby w strasznym stanie! Nie tęgo zresztą miewa się w tej chwili. Doprawdy, miał pan taki silny atak! Jutro nie będzie się pan mógł utrzymać na nogach!

I pękał ze śmiechu nie przez złośliwość, ale z tej samej racji, dla której nie mógł bez śmiechu widzieć na ulicy przewracającego się kulasa lub rozmawiać z głuchym.

— A przedtem? Jakto, nie miał pan ataku od dwóch tygodni? Wie pan, że to bardzo piękne. Doprawdy, powinienby pan zamieszkać w Féterne, rozmawiałby pan o swojej astmie z siostrą.

W Incarville zjawiał się margrabia de Montpeyroux, który, nie mogąc się wybrać do Féterne, bo miał polowanie, przybył „na pociąg” w butach i w kapeluszu z bażanciem piórem, aby ucisnąć rękę odjeżdżających i mnie za jedną okazją, oznajmiając wizytę swego syna w dniu który mi będzie dogodny; dziękował z góry że go przyjmę i byłby bardzo wdzięczny, gdybym go zachęcił trochę do czytania. Lub pan de Crécy, zaszedłszy tu „dla kokocji”, jak powiadał, paląc fajkę, przyjmując odemnie cygaro lub nawet kilka, mówił:

— No i co, nie naznacza mi pan dnia na naszą następną lukullusową randkę? Nie mamy sobie nic do powiedzenia? Pozwoli pan sobie przypomnieć, żeśmy zostawili na tapecie sprawę dwóch rodzin Montgommery. Musimy dokończyć. Liczę na pana.

Inni przyszli tylko kupić dzienniki. Wielu ucinało z nami gawędę; zawsze podejrzewałem ich, że znaleźli się na najbliższej od ich dworu stacji jedynie dlatego, że nie mieli do roboty nic innego jak tylko spotkać na chwilę znajomych. Owe postoje kolejki, to rama życia światowego, w sumie tak dobra jak każda inna. Sama kolejka zdawała się mieć świadomość roli, jaka jej przypadła; nabrała jakiejś ludzkiej uprzejmości; cierpliwa, łagodna z natury, czekała ile się chciało na zapóźnionych, a nawet ruszywszy już, zatrzymywała się aby zabrać tych co jej dawali znak; biegli za nią sapiąc, w czym byli do niej podobni; ale różnili się od niej tem, że łapali ją całym pędem, gdy ona ograniczała się do roztropnej powolności.

Tak więc, Hermonville, Arambouville, Incarville, nie wskrzeszały mi już nawet okrutnych wielkości normandzkiego podboju, nie poprzestając na tem że się całkowicie wyzuły z niewytłumaczonego smutku, w jakim kąpały się dla mnie niegdyś w wilgoci wieczoru.

Doncières! Nawet kiedy je poznałem i obudziłem się z marzenia, ileż w tej nazwie zostało dla mnie — na długo — ulic przyjemnie lodowatych, jasnych witryn, soczystych sztuk drobiu. Doncières! Teraz, to już była tylko stacja, gdzie wsiadał Morel; Egleville (*Aquilaevilla*) — stacja, gdzie czekała na nas najczęściej księżna Szerbatow; Maineville — stacja, gdzie wysiadała Albertyna w pogodne wieczory, kiedy, nie zbyt zmęczona, miała ochotę przedłużyć jeszcze chwile ze mną, nie mając ścieżką o wiele dalej pieszo, niż gdyby wysiadała w Parville (*Paterni villa*). Nie tylko nie doznawałem już trwożliwego lęku osamotnienia, jaki mnie dławił pierwszego wieczora, ale nie potrzebowałem się już obawiać aby ten lęk się zbudził, ani też abym mógł się czuć obco lub samotnie na tej ziemi, rodzajnej nietylko w kasztany i tamaryski, ale w przyjaźnie, które wzdłuż tej drogi tworzyły długi łańcuch, przerywany jak łańcuch sinich pagórków, ukrytych niekiedy w załomie skały lub za lipami aleji; ale na każdym postoju delegowały uprzejmego ziemianina gotowego serdecznym uściskiem dłoni przerwać moją drogę, nie dać mi odczuć jej długości, ofiarować się w potrzebie za towarzysza. Inny znalazłby się na następnym dworcu, tak że jeżeli gwizd kolejki dawał sygnał rozstania się z przyjacielem, to jedynie po to aby pozwolić spotkać innych. Między najmniej bliskimi dworami a lokalną kolejką, która biegła wzdłuż nich niemal krokiem szybko idącej osoby, odległość była tak mała, że w chwili gdy na peronie, przed poczekalnią, wołali nas ich właściciele, mieliśmy prawie wrażenie, że robią to z progu swego domu, z okna, tak jakby kolejka departamentalna była jedynie prowincjonalną ulicą a oddzielnie stojący dworek miejskim pałacykiem; nawet na rzadkich stacjach, gdzie nie słyszałem niczyjego „dobrywieczór”, milczenie miało kojącą i odżywczą pełnię, bo wiedziałem, że powstało ze snu przyjaciół, kładących się wcześniej w pobliskim dworze, gdzie powitanoby mnie z radością, gdybym ich obudził prosząc o gościnę. Nie mówiąc iż przyzwyczajenie tak wypełnia czas, że po upływie kilku miesięcy nie mamy ani jednej chwili wolnej w miejscu, gdzie w chwili przyjazdu dzień nastęczał nam dwanaście godzin do zabicia; i gdyby przypadkiem jedna z tych godzin zawakowała, nie przyszłoby mi już na myśl obracać jej na oglądanie jakiegoś kościoła, dla którego niegdyś przybyłem do Balbec, ani nawet na konfrontowanie pejzażu Elstira ze szkicem widzianym u niego; wybrałbym się poprostu na jeszcze jedną partję szachów do pana Féré. Była w tem w istocie jakaś abdykacja z czaru, jaki miały niegdyś dla mnie okolice Balbec, w tem że stały się one dla mnie „swoją” krainą; ich rozległość, rozmaitość i rozmieszczenie wzdłuż brzegu dawały z konieczności wizytom moim u tych różnych znajomych charakter podróży, sprowadzały również podróż jedynie do towarzyskiego wdzięku szeregu wizyt. Te same nazwy miejsc, niegdyś dla mnie tak niepokojące, że prosty *Almanach zamków i dworów*, rozdział: *Departament la Manche*, przyprawiał mnie o tyle wzruszeń co kolejowy rozkład jazdy, stały mi się tak poufale, że nawet ten rozkład jazdy mógłbym oglądać na stronicy *Balbec-Douville przez Doncières* z tem samem spokojnem szczęściem co książkę adresową. W tej nazbyt towarzyskiej dolinie, z której zoczyłem wychylającą się — widzialną lub nie — gromadę licznych znajomych, poetycznym krzykiem wieczornym był już nie krzyk sowy albo rechot żab, ale „jak się pan ma!” pana de Criquetot, albo „*Kaire*” Brichota. Atmosfera tamtejsza nie budziła już niepokoju; naładowana czysto ludzkiemi fluidami była łatwa do oddychania,

zbyt kojąca nawet. Korzyść, jaką z niej wyciągałem, była bodaj ta, że widziałem rzeczy już tylko z punktu praktycznego. Małżeństwo z Albertyną zdawało mi się szaleństwem.

## ROZDZIAŁ IV

*Nagły zwrot ku Albertynie. — Rozpacz o wschodzie słońca. — Jadę bezzwłocznie z Albertyną do Paryża.*

Czekałem tylko sposobności ostatecznego zerwania. I pewnego wieczora, kiedy mama jechała nazajutrz do Combray, gdzie miała czuwać przy umierającej siostrze babki, zostawiając mnie, abym korzystał, jakby tego pragnęła babka, z morskiego powietrza, oznajmiłem nieodwołalnie, że jestem zdecydowany nie żenić się z Albertyną i że niedługo przestanę się z nią widywać. Byłem rad, że mogłem temi słowami ucieszyć mamę w wilgę wyjazdu. Nie tała, że ją to w istocie bardzo cieszy.

Trzeba było także rozmówić się z Albertyną. Kiedym z nią wracał z la Raspelière, a wierni wysiedli, jedni w Saint-Mars-le-Vêtu, inni w Saint-Pierre-des-Ifs, inni w Doncières, czując się niezwykle szczęśliwym i wyzwolonym od niej, zdecydowałem się teraz, kiedy byliśmy w wagonie tylko we dwoje, podjąć wreszcie tę rozmowę. Faktem zresztą jest, że wśród dziewcząt z Balbec, tą, którą kochałem, nieobecną w tej chwili jak jej przyjaciółki, ale mającą wrócić, była Anna; pozatem lubiłem je wszystkie, bo każda miała dla mnie, jak pierwszego dnia, coś z duszy innych, była jakby z odrębnej rasy. Za kilka dni Anna miała znów przyjechać do Balbec, z pewnością przyjdzie zaraz do mnie. Wówczas, aby zachować wolność, nie ożenić się z nią jeśli nie zechcę, aby móc pojechać do Wenecji, ale jednak mieć tutaj Annę całą dla siebie, obmyśliłem sobie, że nie okażę zbyt do niej tęsknił; tuż po jej przybyciu, kiedy będziemy rozmawiali, powiem: „Co za szkoda, że cię nie było kilka tygodni wcześniej. Byłbym cię pokochał, teraz serce moje jest zajęte. Ale to nic nie znaczy, będziemy się widywali często, bo jestem smutny, będziesz mnie pocieszała po tamtej miłości.” Uśmiechałem się w duchu, myśląc o tej rozmowie, bo w ten sposób wmówiłbym Annie że jej nie kocham naprawdę; tem samem nie sprzykrzę się jej i będę radośnie i słodko korzystał z jej czułości. Ale wszystko to zwiększało jedynie konieczność rozmówienia się wreszcie serjo z Albertyną, jak tego wymagała delikatność; skoro zaś byłem zdecydowany poświęcić się jej przyjaciółce, trzebaż aby Albertyna wiedziała, że jej nie kocham. Trzeba to jej powiedzieć zaraz, skoro Anna może przybyć lada dzień. Ale kiedyśmy się zbliżali do Parville, uczułem, że nie będziemy mieli czasu tego wieczora i że lepiej odłożyć do jutra to, co już jest nieodwołalne. Gawędziłem więc poprostu z Albertyną o obiedzie u Verdurinów, z któregośmy wracali. Kładąc płaszcz w chwili gdy pociąg opuścił właśnie Incarville, ostatnią stację przed Parville, Albertyna rzekła:

— Zatem jutro Verdurinowie *bis*; nie zapominaj, że to ty po mnie wstępujesz.

Nie mogłem się wstrzymać aby nie odpowiedzieć dość sucho:

— Tak, o ile nie puszczę ich kantem, bo doprawdy zaczyna mi się to życie wydawać idjotyczne. W każdym razie, o ile tam pojedziemy, wówczas, chcąc aby czas w la Raspelière nie był absolutnie stracony, muszę poprosić panią Verdurin o coś, coby mnie bardzo zajęło, coby mi mogło dać temat do studjów i zrobić mi przyjemność, bo mam jej w istocie w tym roku w Balbec bardzo mało.

— Nie jest uprzejme dla mnie to co mówisz, ale nie mam do ciebie żalu, bo czuję że jesteś nerwowo. Co to za przyjemność?

— Żeby pani Verdurin kazała komuś przegrać dla mnie utwory muzyka, którego dzieła zna bardzo dobrze. Ja także znam jeden, ale zdaje się, że są inne; chciałbym wiedzieć, czy to jest wydane, czy to się różni od pierwszych opusów.

— Co za muzyk?

— Kochanie, jeśli ci powiem, że się nazywa Vinteuil, czy dużo ci to mówi?

Możemy się wałęsać po wszystkich możebnych myślach nie napotykać prawdy; przychodzi ona z zewnątrz, kiedy się tego najmniej spodziewamy, aby nam zadać swoje okropne pchnięcie i zranić nas na zawsze.

— Sam nie wiesz, jak mnie bawisz — odparła Albertyna wstając, bo pociąg miał się zatrzymać. Nietylko mi to mówi o wiele więcej niż sądzisz, ale nawet bez pani Verdurin

będę ci mogła dostarczyć wszystkich objaśnień, jakich tylko zapragniesz. Przypominasz sobie, że ci mówiłam o przyjaciółce, starszej odemnie, która mi była matką, siostrą, z którą spędziłam w Trieście najlepsze lata? Mam ją za kilka tygodni spotkać w Cherbourg, skąd puścimy się razem morzem (to trochę dzikie, ale ty wiesz, jak ja kocham morze); otóż, ta przyjaciółka (och, wcale nie w rodzaju tych kobiet, którebyś mógł przypuszczać!) — patrz, jakie to nadzwyczajne — jest właśnie najlepszą przyjaciółką córki tego VinteUILa, a i tę pannę Vinteuil znam prawie równie dobrze. Nie nazywam ich nigdy inaczej, tylko „moje duże siostry”. Cieszy mnie to, przyznaję, że twoja Albertynka przyda ci się na coś w sprawach muzyki, na których — jak słusznie zresztą powiadasz — nic się nie rozumiem.

Na te słowa, wyrzeczone w chwili gdyśmy wjeżdżali na stację Parville, tak daleko od Combray i od Montjouvain, w tyle lat po śmierci VinteUILa, drgnął w moim sercu obraz, trzymany w zapasie tak długo, że nawet gdybym mógł zgadnąć, magazynując go niegdyś, że posiada złowrogą moc, sądziłbym, że z biegiem czasu moc ta ulotniła się całkowicie. Obraz ten przetrwał we mnie — jak Orestes, któremu bogowie nie pozwolili zginąć, iżby w oznaczonym dniu wrócił do kraju pomścić śmierć Agamemnona — na moją mękę, na moją karę — kto wie, może za to żem dał umrzeć babce — wyłaniając się nagle z mroku, gdzie zdawał się na zawsze zagrzebany, uderzając niby Mściciel, aby mi dać rozpocząć życie straszliwe, zasłużone i nowe, może także aby ukazać moim oczom złowrogie skutki rodzące się bez końca ze złych czynów nie tylko dla tych co je popełnili, ale dla tych, którzy sądzili że jedynie przyglądają się ciekawemu i zabawnemu widowisku, jak ja niestety! o schyłku owego odległego dnia w Montjouvain, ukryty za krzakiem, gdzie (jak wówczas kiedym z przyjemnością słuchał opowiadań o miłości Swanna) niebezpiecznie pozwoliłem się rozszerzyć we mnie złowrogiej i wróżącej boleść drodze Wiedzy. I równocześnie miałem poczucie swojej największej boleści, niemal dumne, niemal radosne; uczucie człowieka, który pod wpływem doznanego wstrząsu jednym skokiem znalazł się w punkcie, do którego żaden wysiłek nie zdołałby go wynieść. Albertyna — przyjaciółką panną Vinteuil i jej przyjaciółki, zawodowej adeptki safizmu! — była, wobec tego co sobie wyobrażałem w chwilach największych wątpliwości, tem, czem, w stosunku do małego przyrządu akustycznego z wystawy r. 1889, zaledwie w najśmielszych nadziejach zdolnego przenieść głos z jednego domu do drugiego, są telefony biegnące nad ulice, miasta, pola, morza, łączące kraje. To była straszliwa *terra incognita*, do której oto przybiłem; otwierająca się przedemną nowa faza niepodejrzewanych cierpień. A mimo to, ten potop rzeczywistości jaki nas zalewa, olbrzymi w stosunku do naszych nieśmiałych i mizernych przypuszczeń, był w nich jednakże przeczuwany. Z pewnością, to, czego się właśnie dowiedziałem, fakt przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, to było coś, czego mój umysł nie mógłby wyroić, ale czego się bałem podświadomie, kiedym się niepokoił, widząc Albertynę z Anną. Często jedynie przez brak twórczej wyobraźni nie idziemy dość daleko w cierpieniu. I najstraszliwsza rzeczywistość daje — równocześnie z cierpieniem — radość pięknego odkrycia, bo daje jedynie nową i jasną formę czemuś cośmy trawili w sobie długo, nie wiedząc o tem.

Pociąg zatrzymał się w Parville, że zaś byliśmy jedynymi pasażerami, konduktor krzyknął głosem zwątpiałym w poczucie bezużyteczności swego zadania, siłą tego samego nawyku który mu je kazał jednak spełniać i rodził w nim zarazem akuratność i indolencję, a bardziej jeszcze chęć do spania: „Parville!” Albertyna, siedząca na wprost mnie, czując się u celu podróży, podeszła kilka kroków i otworzyła drzwi. Ale ten ruch, którym gotowała się wysiąść, rozdarł mi nieznośnie serce, tak jakby, wbrew niezawisłej pozycji mego ciała, które ciało Albertyny zdawało się wypełniać z odległości dwóch kroków, ta przestrzeń między nami, którą obiektywny rysownik musiałby wyobrazić, była jedynie pozorem; gdyby ktoś chciał nas wyrysować w duchu prawdziwej rzeczywistości, musiałby umieścić teraz Albertynę nie opodal mnie, ale we mnie. Oddalając się, zadawała mi taki ból, że schwyciwszy ją za ramię, pociągnąłem ją rozpaczliwie.

— Czy byłoby fizycznym niepodobieństwem — spytałem — abyś dziś zanocowała w Balbec.

— Fizycznym, nie. Ale upadam z sennałości.

— Oddałabyś mi olbrzymią przysługę...

— Zatem dobrze, mimo że nie rozumiem, czemu nie powiedziałeś wcześniej. Więc dobrze, zostaję.

Matka spała już, kiedy ja, kazawszy dać Albertynie pokój na innym piętrze, wróciłem do siebie. Siadłem blisko okna, dławiąc łkanie, aby matka, oddzielona ode mnie jedynie cienką ścianką, nie usłyszała. Nie pomyślałem nawet o tem, aby zamknąć okiennice, bo w pewnej chwili, podnosząc oczy, ujrzałem na wprost siebie na niebie ten sam blask przygaszonej czerwieni, jaką widziało się w restauracji w Rivebelle na *Zachodzie słońca* Elstira. Przypomniałem sobie podniecenie, jakie mną owładnęło, kiedy, w dniu pierwszego przybycia do Balbec, ujrzałem ten sam obraz wieczoru, poprzedzającego nie noc ale nowy dzień. Ale żaden dzień nie byłby teraz dla mnie nowy, nie obudziłby już we mnie żądzy nieznanego szczęścia; przedłużyłby jedynie moje cierpienia, aż do punktu, w którym nie miałbym już sił ich znieść. Prawda tego, co mi Cottard powiedział w kasynie w Parville, była już dla mnie niewątpliwa. To, czegom się obawiał, o co tak długo mglisto podejrzewałem Albertynę, to co mój instynkt wyczuwał w całym jej istnieniu i czemu rozumowania moje, kierowane pragnieniem, kazały mi stopniowo zaprzeczyć, było prawdą! Poza Albertyną widziałem już nie sine pagórki morza, ale pokój w Montjouvain, gdzie ona pada w ramiona panny Vinteuil ze śmiechem, w którym rozlega się jakby nieznanym dźwiękiem jej rozkoszy. Bo, wobec urody Albertyny, jakżeby panna Vinteuil, przy swoich skłonnościach, nie zapragnęła ich zaspokoić? A dowodem że Albertyna nie uczuła się obrażona i że się zgodziła, czyż nie jest fakt, że się nie poróżniły, ale że ich zażyłość wciąż rosła. A ten wdzięczny gest Albertyny, opierającej głowę na ramieniu Rozamundy, patrzącej na nią z uśmiechem i całującej ją w kark, ten ruch, który mi przypomniał pannę Vinteuil, a w którego interpretacji wahałem się wszelako dopuścić myśl, że ta sama linia gestu płynęła nieuchronnie z tej samej skłonności — kto wie, czy Albertyna nie nauczyła się tego gestu, tego ruchu, poprostu od panny Vinteuil?

Pomału, zgaszone niebo zapalało się. Ja, który nigdy się dotąd nie budziłem bez uśmiechu do rzeczy najzwykleszych, do filiżanki kawy z mlekiem, do szmeru deszczu, do grzmotu wichru, uczulem, że dzień który wstanie za chwilę i wszystkie dni które przyjdą później, nie przyniosą mi już nigdy nadziei nieznanego szczęścia, ale przedłużenie męczeństwa. Zależało mi jeszcze na życiu; ale wiedziałem, że mogę się już od niego spodziewać tylko bólu. Pobiegłem do windy, aby, mimo niemożliwej godziny, zadzwonić na chłopca, który miał nocny dyżur. Poprosiłem go, aby poszedł do Albertyny powiedzieć, że mam jej coś ważnego do zakomunikowania, czy mogłaby mnie przyjąć. „Panienska woli przyjść sama — brzmiała odpowiedź. Będzie za chwilę”. W istocie, niebawem Albertyna weszła w szlafrocisku.

— Albertyno — rzekłem bardzo cicho, zalecając jej nie podnosić głosu, aby nie obudzić matki przez ściankę, której cienkość, niepożądana dziś i zmuszająca od szeptu, miała niegdyś, kiedy się na niej tak wymownie malowała czułość babki, coś z przejrzystości muzycznej — wstydę się, że cię niepokoję. Chodzi o to. Abyś zrozumiała, muszę ci powiedzieć coś, czego nie wiesz. Przybywając tutaj, zerwałem z kobietą, którą miałem zaślubić, która była gotowa wszystko rzucić dla mnie. Miała wyjechać dziś rano w podróż, i od tygodnia codziennie pytałem sam siebie, czy będę miał siłę nie zatelegrafować jej że wracam. Miałem tę siłę, ale byłem strasznie nieszczęśliwy, myślałem że się zabiję. Dlatego prosiłem cię wczoraj wieczór, czy nie mogłabyś zanocować w Balbec. Gdybym miał umrzeć, chciałem się pożegnać z tobą.

Tu dałem swobodny upust łzom, którym zmyślenie moje stwarzało naturalny pozór.

— Biedny mały, gdybym wiedziała, byłabym spędziła noc przy tobie — wykrzyknęła Albertyna, której nie przyszło nawet na myśl, że ja się może ożenię z tą kobietą i że tem samem przepada dla niej sposobność „dobrej partji”; tak szczerze była wzruszona zmartwieniem, którego powód był zmyślonny, ale którego rzeczywistość i siła były prawdziwe. Zresztą — dodała — wczoraj przez całą drogę z la Raspelière czułam, że ty jesteś nerwowy i smutny, bałam się czegoś.

W rzeczywistości smutek mój zaczął się aż w Parville, a nerwowość — bardzo odmienna, ale którą Albertyna szczęśliwie mieszała z tym smutkiem — wynikała z irytacji, że mam z nią jeszcze spędzić kilka dni. Albertyna dodała: „Nie opuszczę cię już, zostanie cały czas tutaj”. Ofiarowywała mi tem samem — i ona jedna mogła mi je ofiarować — jedyne lekarstwo przeciw truciznie która mnie paliła; przyczem lekarstwo i trucizna były spokrewnione z sobą, jedno słodkie, drugie okrutne, oba porównie płynące z Albertyny. W tej chwili, Albertyna — moja choroba — folgowała w zadawaniu cierpień, a zaś

Albertyna-lek czyniła mnie tklwym nakształt rekonwalescenta. Ale myślałem o tem, że ona niebawem wyjedzie do Cherbourg, a stamtąd do Triestu. Jej dawne nawyki odrodzą się. Najważniejsze było dla mnie nie dać Albertynie wsiąść na statek, starać się ją zabrać do Paryża. Zapewne, z Paryża, łatwiej jeszcze niż z Balbec, mogłaby — gdyby zechciała — pospieszyć do Triestu; ale w Paryżu zobaczymy; może mógłbym poprosić pani de Guermantes, aby odwiodła pośrednio przyjaciółkę panny Vinteuil od pozostania w Trieście, mogłaby jej znaleźć inną posadę, może u księcia de X, którego spotykałem u pani de Villeparisis i u samej pani de Guermantes? A gdyby Albertyna chciała u niego odwiedzać swoją przyjaciółkę, księżę, uprzedzony przez panią de Guermantes, mógłby temu przeszkodzić. Z pewnością, mógłbym sobie powiedzieć, że jeżeli Albertyna ma te skłonności, znajdzie w Paryżu inne osoby, z którymi będzie je mogła zaspokoić. Ale każdy odruch zazdrości jest swoisty i nosi piętno istoty która go wznieciła, — w tym wypadku przyjaciółki panny Vinteuil. Przyjaciółka panny Vinteuil była moją główną troską. Tajemniczą namiętność, z jaką niegdyś myślałem o Austrii, ponieważ był to kraj z którego pochodziła Albertyna (wuj jej był tam radcą ambasady), ponieważ właściwości geograficzne tego kraju, lud który go zamieszkiwał, jego budowle, krajobrazy, mogłem oglądać, niby w atlasie, w zbiorze widoków, w uśmiechu i wzięciu Albertyny, tę tajemniczą namiętność odczuwałem jeszcze, ale — przez paradoksalność znaków — w dziedzinie okropności. Tak, to stamtąd przybywała Albertyna. Miała pewność że tam, w każdym domu, odnajdzie bądź przyjaciółkę panny de Vinteuil bądź inne kobiety. Nawyki dzieciństwa odrodzą się, przyjaciółki spotkają się za kwartał na Boże Narodzenie, potem na Nowy Rok — daty już smutne dla mnie same przez się bezwiednem wspomnieniem zgryzoty, jakiej doznawałem niegdyś, kiedy mnie one dzieliły na cały czas noworocznych feryj od Gilberty. Po długich biesiadach, po wilji, kiedy wszyscy będą radośni, ożywieni, Albertyna będzie z tamtejszemi przyjaciółkami taka jaka była z Anną, wówczas gdy przyjaźń Albertyny i Anny była niewinna; kto wie, może powtórzy z niemi te same uściski, które splotły w moich oczach pannę Vinteuil i ścigającą ją przyjaciółkę w Montjouvain. Teraz, pannie Vinteuil, podczas gdy przyjaciółka laskotała ją, zanim się zwała na nią, dawałem rozplomioną twarz Albertyny; Albertyny, która — słyszałem ją — uciekając poto aby się poddać później, śmiała się swoim szczególnym i głębokim śmiechem. Wobec męki, którą odczuwałem, czemu była zazdrość doznana w dniu kiedy Saint-Loup spotkał nas w Doncières i kiedy go Albertyna kokietowała; i zazdrość zrodzona z myśli o nieznanym uwodzicielu, któremu mogłem zawdzięczać pierwsze pocałunki Albertyny w Paryżu, w dniu kiedy czekał listu od panny de Stermaria. Tamta zazdrość — o Roberta, o jakiegoś tam młodego człowieka — była niczem. Wówczas mógłbym próbować zwyciężyć rywala, który mnie straszyl. Ale tu rywal nie był podobny do mnie, jego broń była inna, nie mógłbym walczyć na tym samym gruncie, dostarczyć Albertynie tych samych rozkoszy — ani nawet ściśle ich pojąć! Są momenty, w których zamienilibyśmy całą przyszłość za jakąś władzę choćby skądinąd nieznaczącą. Byłbym się niegdyś wyrzekł wszystkich skarbów życia aby poznać panią Blatin, bo była przyjaciółką pani Swann. Dziś, byle Albertyna nie jechała do Triestu, zniósłbym wszystkie cierpienia, a gdyby to nie wystarczyło, zadałbym jej; odosobniłbym ją, zamknął, odebrałbym jej te trochę pieniędzy które miała, aby ich brak przeszkodził jej materialnie podjąć tę podróż. Jak niegdyś w podróży do Balbec motywem moim było pragnienie perskiego kościoła, burzy o świcie, tak teraz rozdzierała mi serce myśl, że Albertyna pojedzie może do Triestu, że spędzi tam noc wigilijną z przyjaciółką panny Vinteuil; bo wyobraźnia nasza, mimo iż zmieni naturę i obróci się we wrażliwość, nie rozporządza przez to większą ilością równoczesnych obrazów. Gdyby mi powiedziano, że owej osoby niema w tej chwili w Cherbourg ani w Trieście, że nie będzie mogła spotkać Albertyny, płakałbym ze słodyczy i ze szczęścia. Jakżeby to zmieniło moje życie i jego przyszłość! A przecież wiedziałem, że ta lokalizacja mojej zazdrości jest dowolna; że jeżeli Albertyna ma te skłonności, może je zaspokoić z innymi. Zresztą gdyby te same dziewczyny mogły ją widzieć gdzieindziej, nie odczułbym tego może tak boleśnie. To z Triestu, z tego nieznanego świata, świata — czułem to — tak lubego Albertynie, gdzie były jej wspomnienia, przyjaźnie, jej dziecinne miłości, wydzielala się owa atmosfera wroga, niewytłumaczona; jak ta która wznosiła się niegdyś aż do mego pokoju w Combray z jadalni, gdzie słyszałem mamę, rozmawiającą i śmiejącą się z obcymi w szczęku widelców, mamę która nie miała przyjąć mi powiedzieć dobranoc; jak ta, która wypełniła dla

Swanna domy, gdzie Odeta chodziła szukać na balu niepojętych uciech. Myślałem teraz o Trieście, już nie jak o rozkoszonym kraju, gdzie mieszkańcy są pełni zadumy, zachody słońca złote, dzwony smutne; ale jak o przekletem mieście, którebym chciał natychmiast spalić i usunąć z rzeczywistego świata. Owo miasto tkwiło w moim sercu jak uparta drzazga. Pozwolić Albertynie jechać niedługo do Cherbourg i do Triestu, to budziło we mnie zgrozę; a nawet zostać w Balbec. Bo teraz, kiedy świadomość zażyłości Albertyny z panną Vinteuil stała się niemal pewnikiem, zdawało mi się, że we wszystkich chwilach kiedy ona nie jest ze mną (a bywały całe dni, kiedy, z powodu ciotki, nie mogłem jej widywać) wydana jest na łup kuzynkom Blocha, może i innym. Myśl, że tego samego wieczora mogłaby widzieć kuzynki Blocha, przyprowadziła mnie do szału. Toteż, skoro mi powiedziała że mnie przez tych kilka dni nie opuści, odrzekłem:

— Ale bo ja chciałbym jechać do Paryża. Czy nie pojechałabyś ze mną? I czy nie chciałabyś pomieszkać trochę u nas w Paryżu?

Za wszelką cenę trzeba było nie dać Albertynie zostać samej, przynajmniej przez kilka dni, zatrzymać ją przy sobie, aby być pewnym że się nie może widywać z przyjaciółką panny Vinteuil. Trzeba było poprostu aby zamieszkała ze mną, bo matka, korzystając z inspekcyjnej podróży ojca, postanowiła sobie święcie wykonać wolę babki, która pragnęła aby mama spędziła kilka dni w Combray u jej siostry. Mama nie lubiła ciotki, ponieważ nie była dla babki, tak czulej dla niej, siostrą taką jakąby powinna być. Podobnie dzieci, dorósłszy, przypominają sobie z urazą tych co byli dla nich niedobrzy. Ale mama, stawszy się moją babką, była niezdolna do urazy; życie jej matki było dla niej niby czyste i niewinne dzieciństwo, gdzie miała czerpać owe wspomnienia, których słodycz lub gorzyc kierowała jej postępkami. Ciotka mogłaby dostarczyć mamie pewnych bezcennych szczegółów, ale teraz nie łatwo byłoby je uzyskać, bo ciotka zachorowała bardzo ciężko (mówiono o raku); mama wyrzucała sobie, że, chcąc dotrzymać towarzystwa ojcu, nie pojechała tam wcześniej; ale to była tylko jedna racja więcej, aby uczynić to, co byłaby zrobiła jej matka, tak jak w rocznicę śmierci ojca babki, który był tak złym ojcem, mama nosiła na grób kwiaty, dlatego że babka przywykła je nosić. Tak, wobec grobu, który miał się otworzyć, matka chciała zanieść chorej słodkie rozmowy, z jakimi owa ciotka nie przybyła do łóżka babki. Przez czas pobytu w Combray, matka miała się zająć pewnymi pracami, których babka zawsze pragnęła, ale tylko o tyle, o ileby je wykonano pod dozorem mamy. Toteż nie zaczęto ich nawet. Mama nie chciała, opuszczając Paryż przed ojcem, zanadto dać mu uczuć ciężar żaloby, w której on brał udział, ale której nie mógł odczuć równie głęboko.

— Och! to nie byłoby możeżne w tej chwili — odparła Albertyna. — Zresztą poco ty masz tak prędko wracać do Paryża, skoro ta osoba wyjechała?

— Bo w miejscu gdzie ją znałem będę się czuł spokojniejszy niż w Balbec, którego ona nigdy nie widziała i które mi obrzydło.

Czy Albertyna zrozumiała później, że owa inna kobieta nie istniała, i że, jeżeli tej nocy szczerze pragnąłem umrzeć, to dlatego, że mi niebacznie zdradziła, iż żyje blisko z przyjaciółką panny Vinteuil? Możliwe. Są chwile, że mi się to wydaje prawdopodobne. W każdym razie, tego rana wierzyła w istnienie owej kobiety.

— Ale ty powinienes się ożenić z tą osobą, kochanie; byłbyś szczęśliwy, a ona też z pewnością byłaby szczęśliwa.

Odpowiedziałem, iż myśl że mógłbym tę kobietę uczynić szczęśliwą, omal mnie w istocie nie zdecydowała; w ostatnim czasie, kiedy otrzymałem duży spadek, pozwalający mi otoczyć zbytkiem swoją żonę i uprzyjemnić jej życie, byłem skłonny przyjąć ofiarę tej którą kochałem. Byłem upojony wdzięcznością, jaką budziła we mnie poczciwość Albertyny, tuż po okrutnym cierpieniu które mi sprawiła. I tak jak przyrzekłoby się chętnie fortunę garsonowi, który nalewa nam w kawiarni szósty kieliszek wódki, powiedziałem jej, że moja żona będzie miała auto, jacht, że z tego punktu widzenia wielka szkoda że to nie ja, Albertynę, kocham; nie ja, która tak lubi wycieczki autem i spacerować jachtem; że byłbym dla niej doskonałym mężem, ale jeszcze zobaczymy, uda się nam może pędzić czas przyjemnie. Mimo wszystko — tak jak nawet po pijanemu nie zaczepia się przechodniów z obawy ciągów — nie popełniłem tej nieostrożności (o ile to była nieostrożność), aby zdradzić że to ja, Albertynę, kocham, jak byłbym to zrobił za czasów Gilberty.

— Widzisz, o mało się z nią nie ożeniłem. Nie odważyłem się jednak na to; nie osmieliłbym się skazywać młodej kobiety na życie z kimś, kto jest tak cierpiący i nudny.

— Ależ tyś oszalał, każdy chce ciebie, popatrz jak wszyscy ubiegają się o ciebie. Tylko o tobie mówią u pani Verdurin, i w największym świecie też, upewniano mnie o tem. Więc ta pani nie była dobra dla ciebie, skoro ci pozwoliła tak zwątpić o sobie. Widzę już, co to za jedna, niedobra kobieta, nie cierpię jej; och, gdybym ja była na jej miejscu!

— Ale nie, jest bardzo miła, zanadto miła. Co się tyczy Verdurinów i innych, kpię sobie z tego. Poza tą którą kocham i której się zresztą wyrzekłem, zależy mi tylko na mojej Albertynce; jedynie ona, widując mnie często, przynajmniej przez pierwsze dni (dodałem, aby jej nie przestraszyć i aby móc wiele żądać przez te dni), będzie mogła trochę mnie pocieszyć.

Zrobiłem jedynie mglistą aluzję do możliwości małżeństwa, mówiąc zarazem, że jest ono niepodobieństwem, bo nasze charaktery nie zgodziłyby się z sobą. Wciąż mimo woli ścigany w swojej zazdrości wspomnieniem stosunków Roberta z „Rachelą kiedy Pan” i Swanna z Odetą, zbyt byłem skłonny wierzyć, że skoro kocham sam, nie mogę być kochany i że jedynie interes zdolny jest wiązać do mnie kobietę. Bez wątpienia, szaleństwem było sądzić Albertynę z Odety i Racheli. Ale nie chodziło o nią, chodziło o mnie; zazdrość moja kazała mi cenić zbyt nisko uczucia, jakie mogłem budzić. I z tego sądu — może błędnego — zrodziło się bezwątpienia wiele nieszczęść, które miały się na nas zwałić.

— Zatem odrzucasz zaproszenie do Paryża?

— Ciotka nie zgodziłaby się w tej chwili na mój wyjazd. Zresztą, nawet gdybym później mogła, czy to nie wyglądałoby dziwnie, gdybym w ten sposób zamieszkała u ciebie? W Paryżu dowiedzą się prędko, że nie jestem twoją kuzynką.

— No więc w takim razie powiemy, że jesteśmy trochę zaręczeni. Co to szkodzi, skoro ty wiesz, że to nie prawda.

Szyja Albertyny, wychylająca się całkowicie z koszuli, była jędrna, złota, gładka. Ucałowałem ją tak niewinnie, jakbym ucałował matkę, aby ukoić zgryzotę dziecka, niepodobną — jak sądziłem wówczas — do wyrwania kiedykolwiek z serca. Albertyna opuściła mnie, aby się iść ubrać. Zresztą, już jej oddanie słabo; przed chwilą powiedziała mi, że mnie nie opuści ani na sekundę. (I czułem, że jej postanowienie nie potrwa długo, skoro się obawiałem, w razie gdybyśmy zostali w Balbec, że tego samego wieczoru spotka się bezemnie z kuzynkami Blocha). Otóż właśnie powiedziała mi, że chce pojechać do Maineville i że wróci do mnie popołudniu. Nie była w domu od wczoraj, mogą być listy dla niej, ciotka może być niespokojna... Odpowiedziałem:

— Jeżeli tylko o to chodzi, można posłać chłopca, żeby powiedział ciotce że jesteś tutaj i żeby przywiózł listy.

Chcąc się okazać uprzejmą, ale podrażniona tą niewolą, zmarszczyła się, poczem zaraz milutko odpowiedziała: „Wybornie”, i posłała chłopca. Ledwo Albertyna wyszła, chłopiec zapukał lekko. Nie spodziewałem się, aby w czasie przez który rozmawiałem z Albertyną zdążył pojechać do Maineville i wrócić. Oznajmił mi, że Albertyna napisała słówko od ciotki i że, jeżeli chce, może jechać od Paryża, choćby dziś.

Źle zresztą zrobiła Albertyna, że dała chłopcu zlecenie ustne, bo już, mimo wczesnej godziny, dyrektor wiedział o wszystkim i jak oszalały przybiegł pytać, czy jestem z czego niezadowolony, czy naprawdę jadę, czy nie mógłbym bodaj zaczekać kilka dni: dziś właśnie „grożą silne wiatry”.

Nie mogłem mu tłumaczyć, że chcę za wszelką cenę aby Albertyny nie było już w Balbec w porze kiedy kuzynki Blocha wychodzą na spacer, zwłaszcza gdy niema Anny, jedynej która mogłaby ją ustrzec, i że Balbec jest dla mnie jak owe miejscowości, gdzie chory, niezdolny w nich oddychać, zdecydowany jest nie spędzić ani jednej nocy dłużej, choćby miał umrzeć w drodze. Zresztą, miałem walczyć z tego samego rodzaju prośbami najpierw w hotelu, gdzie Marja Gineste i Celesta Albaret przyjęły mnie z czerwonymi oczami. (Marja wydawała poza tem łkania szybkie jak bulgot strumienia. Łagodniejsza Celesta zalecała jej spokój, ale kiedy Marja wyszeptala jedyne wiersze, jakie umiała: *Ici bas tous les lilas meurent*, Celesta nie mogła się wstrzymać i lzy polały się po jej twarzy bżowego koloru; sądzę zresztą, że zapomniały o mnie jeszcze tego wieczora). Następnie,



w kolejce, mimo wszystkich ostrożności, spotkałem pana de Cambremer, który na widok moich kuferków zbladł, bo liczył na mnie na pojutrze; zniecierpliwiał mnie ostatecznie, chcąc mnie przekonać, że moje duszności wynikają z odmiany pogody i że październik będzie dla nich doskonały; zapytał wreszcie, czy w każdym razie „nie mógłbym odłożyć wyjazdu na tydzień”, zwrot, którego głupota nie wprawiała mnie we wściekłość może jedynie dlatego, że to, co mi proponował, zadawało mi ból. I podczas gdy mówił do mnie, drżałem za każdą stacją, że się zjawią — straszliwi od Heribalda lub Guiscarda — p. de Crécy błagający o zaproszenie go na obiad, lub jeszcze groźniejsza pani Verdurin ze swemi zaproszeniami. Ale to się miało zdarzyć aż za parę godzin. Nie doszedłem jeszcze do tego punktu. Miałem stawić czoło jedynie rozpaczliwym lamentom dyrektora. Spławiłem go, bo się bałem, że nawet szepot jego gotów jest obudzić mamę. Zostałem sam w pokoju, w tym samym zbyt wysokim pokoju, gdzie byłem tak nie szczęśliwy za pierwszym przybyciem, gdzie myślałem tak tkliwie o pannie de Stermaria, gdzie czatowałem na pojawienie się Albertyny i jej przyjaciółek, niby na przelot wędrownych ptaków przysiadających na plaży; gdzie posiadałem ją tak niedbale, sprowadziwszy ją przez lift-boya, gdzie poznałem dobroć babki a potem zrozumiałem że umarła. Tutaj rozchyliłem pierwszy raz te firanki, u których stóp słało się światło poranne; rozchyliłem je, aby ujrzeć pierwsze szańce morza (te firanki, które Albertyna kazała mi zasuwac, aby nie widziano jak się całujemy). Nabierałem świadomości własnych przeobrażeń, konfrontując je z tożsamością rzeczy. Człowiek przyzwyczajają się jednak do nich jak do osób, przypomina sobie nagle odmienne znaczenie jakie zawierały, a potem, kiedy straciły wszelkie znaczenie, wypadki bardzo inne od dzisiejszych, dla których tworzyły ramę, rozmaitość czynności rozegranych pod tym samym sufitem, między temi samemi oszklonemi szafkami, zmiany w sercu i w życiu jakie ta rozmaitość niesie z sobą, wydają się jeszcze pogłębiane przez niezmienną trwałość dekoracji, spotęgowane jednością miejsca.

Parę razy odczułem przez chwilę myśl, że świat, w którym znajduje się ten pokój i te szafki i w którym Albertyna gra tak małą rolę, jest może światem intelektualnym, będącym jedyną realnością, a moja zgryzota jest czemś podobnem do zgryzoty zrodzonej z lektury romansu, z której jedynie warjat mógłby uczynić zgryzotę trwałą i ciągłą i promieniującą w jego życie; że wystarczyłoby może małego wysiłku woli aby osiągnąć ten rzeczywisty świat, wejść w niego, przeskakując boleść niby papierową obręcz, którą się przebija, i nie troszczyć się już o to co robi Albertyna, tak jak, skończywszy czytać powieść, nie troszczymy się o czyny urojonej bohaterki. Zresztą, kochanki które najbardziej kochałem nie stykały się nigdy z moją miłością do nich. Miłość ta była prawdziwa, skoro poświęcałem wszystko temu aby je widzieć, aby je mieć dla siebie samego, skoro szlochałem, kiedy, któregoś wieczora, czekałem na nie. Ale one nietylko były obrazem tej miłości, ile raczej miały zdolność budzenia jej, doprowadzania do paroksyzmu. Kiedym je widział, kiedym je słyszał, nie znajdowałem w nich nic, coby było podobne do mojej miłości i coby ją mogło wytłumaczyć. Jednakże moją jedyną radością było widzieć te kobiety, jedynem wzruszeniem oczekiwać ich. Można by rzec, że natura przydała im jakąś właściwość, nie mającą z nimi związku; i że ta siła jakgdyby elektryczna działała na mnie tak, że wzniesła moją miłość, to znaczy kierowała wszystkimi memi postępkami i rozdziła wszystkie cierpienia. Ale piękność, albo inteligencja, albo dobroć tych kobiet były od tego całkowicie odrębne. Miłości moje wstrząsały mną tak jak nami wstrząsa prąd elektryczny: przeżywałem je, czułem, ale nigdy nie zdołałem ich ujrzeć ani ich pomyśleć. Skłonny nawet jestem mniemać, że w tych miłościach (pomijam rozkosz fizyczną, która zresztą towarzyszy im zazwyczaj, ale nie wystarcza aby je obudzić) pod postacią kobiety zwracamy się niby do tajemnych bóstw, niewidzialnych sił, które jej przygodnie towarzyszą. To ich łaskawość jest nam potrzebna, ich kontaktu szukamy, nie znajdując w nim pozytywnej rozkoszy. W czasie schadzki miłosnej, kobieta wprowadza nas w styczność z temi boginiami — i to jest bodaj że wszystko. Przrzekliśmy, jako ofiarę, kosztowności, podróże; wyrzekliśmy formuły, które znaczą że uwielbiamy, lub też formuły, które znaczą że jesteśmy obojętni. Użyliśmy całej swojej mocy, aby uzyskać nową schadzkę, ale taką której by nam użyczono bez przykrości. Czyż dla samej kobiety gdyby jej nie dopełniały owe tajemne siły — zadawalibyśmy sobie tyle trudu? toż, kiedy poszła, nie umielibyśmy powiedzieć jak była ubrana i spostrzegamy żeśmy na nią nawet nie spojrzeli!

Ponieważ wzrok jest zmysłem zawodnym, ciało ludzkie — nawet kochane, jak dla mnie ciało Albertyny — wydaje się nam czemś poza nami — o kilka metrów, o kilka centymetrów. I tak samo dusza, która od niego należy. Ale niech coś zmieni nagle miejsce tej duszy w stosunku do nas, niech zdradzi że ona kocha kogoś innego, wówczas po biciu zdyszanego serca czujemy, że to nie o kilka kroków, ale w nas była druga istota. W nas, w regionach mniej lub więcej powierzchownych. Ale słowa: „Ta przyjaciółka, to panna Vinteuil”, były dla mnie sezamem, którego nie byłbym zdolny znaleźć sam, który wprowadził Albertynę w głębię mego rozdartego serca. I mógłbym przez sto lat próbować otworzyć bramę, która się zamknęła za nią, nie wiedząc jak tego dokonać.

Te słowa przestałem słyszeć przez chwilę, wówczas kiedy Albertyna była ze mną. Ścisnąc ją tak jak ścisnąłem matkę w Combray aby ukoić ból serca, wierzyłem prawie w niewinność Albertyny, lub bodaj nie myślałem bez przerwy o skazie w niej odkrytej. Ale teraz, kiedy byłem sam, słowa rozbrzmiewały na nowo jak owe wewnętrzne szmery ucha, które słyszymy gdy ktoś przestał do nas mówić. Zboczenie jej było teraz dla mnie niewątpliwe. Słońce, które miało wstać zmieniając świat dokoła mnie, dało mi na nowo — jakgdyby przemieszczając mnie na chwilę w stosunku do Albertyny — jeszcze okrutniejszą świadomość cierpienia. Nigdy jeszcze poranek nie wstawał mi piękniejszy ani tak bolesny. Myśląc o wszystkich obojętnych krajobrazach które rozbłysną i które wczoraj jeszcze napęliły by mnie jedynie chęcią zwiedzania, nie mogłem wstrzymać łkania. Naraz mechanicznie spełnionym ofiarnym gestem, który zdawał mi się symbolizować krwawą ofiarę, jaką będę musiał uczynić z wszelkiej radości, co rano, aż do końca życia, uroczycie za każdą jutrzeźną świecącą odnowę mej codziennej zgryzoty i krwawiącej rany, złote jajko słońca, jakgdyby wprawione w ruch zwichnięciem równowagi, jakie sprowadza w chwili krzepnięcia zmiana gęstości, najeżone płomieniami niby na obrazie, przebiło jednym rzutem zasłonę, za którą od paru chwil czuło się je drżące, gotowe wdrzeć się na scenę, i której tajemniczą i skrzepłą purpurę zalało falami światła. Usłyszałem własny płacz. Ale w tej chwili, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, drzwi się otwarły: z bijącym sercem doznałem wrażenia, że widzę babkę przed sobą, niby w jednej z owych zjaw, jakie już widywałem, ale tylko we śnie. Czyż to wszystko było tylko snem? Niestety, to była jawa. „Uważasz, że jestem podobna do biednej babki” — rzekła ze słodyczą mama — bo to była ona — jakgdyby chcąc uspokoić moje przerażenie, stwierdzając zresztą podobieństwo pięknym uśmiechem skromnej dumy, która nigdy nie знаła zalotności. Jej włosy w nieładzie — przyczem siwe pasma nie były schowane i kręciły się dokoła niespokojnych oczu, postarzałych policzków, szlafrok nawet babki który nosiła, wszystko to przez chwilę wprowadziło mnie w błąd i kazało mi się wahać czy ja śpię, czy też babka zmartwychwstała. Oddawna już matka podobna była do babki, o wiele bardziej niż do młodej i roześmianej mamy, którą znało moje dzieciństwo. Ale już nie myślałem o tem. Podobnie, kiedy się długo czytało, nie spostrzega się w roztargnieniu że przeszła godzina i nagle widzi się słońce takie jak było w wilję o tej samej godzinie, budzące dokoła siebie te same harmonje, te same związki przygotowujące zachód. Matka sama podkreśliła moją omyłkę z uśmiechem, bo miłe jej było takie podobieństwo do babki.

— Przyszłam — rzekła — bo zdawało mi się przez sen, że ktoś płacze. To mnie obudziło. Ale czem się dzieje, że ty nie leżysz? I oczy masz pełne łez. Co się stało?

Rzuciłem się jej na szyję.

— Mamo, boję się że ci się wydam bardzo zmienny. Ale przedewszystkiem, wczoraj mówiłem ci nie bardzo życzliwie o Albertynie; to com mówił było niesprawiedliwe.

— Ale cóż to znaczy? — rzekła matka i spostrzegając wschodzące słońce, uśmiechnęła się smutno, myśląc o swojej matce; i abym nie stracił widoku, na który, ku żalowi babki, nie patrzałem nigdy, wskazała mi okno. Ale za plażą w Balbec, za morzem, za wschodem słońca, które mama mi pokazywała, w konwulsji rozpacz, która nie uchodziła jej uwagi, widziałem pokój w Montjouvain, gdzie Albertyna, różowa, zwinięta w kłębek jak wielka kotka, z kapryśnym noskiem, zajęła miejsce przyjaciółki panny Vinteuil i mówiła z rozkosznym śmiechem:

— I co, jeżeli nas widzą, tem lepiej będzie smakowało. Ja nie odważyłabym się napluć na tę starą małpę?

To tę scenę widziałem za sceną która rozpościerała się w oknie i która była dla tamtej niby ciemna zasłona, niby odbicie. Zdawała się w istocie sama prawie nierealna, jak namalowany widok. Nawprost nas, na cyplu skał Parville, gaik gdzieśmy grali w lisa, nachylał skośnie ku morzu, pod złożonym jeszcze połyskiem wody, odbicie swej zieleni, jak w chwili kiedy często, o schyłku dnia, odbywając siestę z Albertyną, wstawaliśmy, widząc że słońce zapada. W zamęcie mgieł nocnych, które włościły się jeszcze w różowych i niebieskich strzępach po wodach zawałonych szczątkami perłowej masy świtu, statki przepływały uśmiechając się w skośnym świetle, które złościło ich żagle i dzioby, jak kiedy wracają wieczorem: scena urojona, drżąca i pusta, czysta zjawa zachodu, nie spoczywająca, jak wieczorem, na szeregu godzin dnia, które ją zazwyczaj dla mnie poprzedzały; scena wiotka, sztuczna, wątlesza jeszcze niż okropny obraz Montjouvain, którego nie zdołał unicestwić, pokryć, ukryć — poetycki i czczy obraz wspomnienia i snu.

— Ależ — rzekła matka — nie powiedziałaś o niej nic złego; powiedziałaś że cię nudzi trochę, że rad jesteś porzuciwszy myśl żenienia się z nią. To nie racja, żeby tak płakać. Pomyśl, że mama jedzie dzisiaj, i że będzie w rozpacz, zostawiając swego kociaka w tym stanie. Zwłaszcza, biedny mój mały, że nie bardzo będę miała czas cię pocieszać. Bo niby to jestem zapakowana, ale zawsze ma się za mało czasu w dniu wyjazdu.

— To nie to.

I wówczas, obliczając przyszłość, ważąc dobrze swoją wolę, rozumiejąc że taka czułość Albertyny dla przyjaciółki panny Vinteuil — i przez tak długi czas — nie mogła być niewinna, że Albertyna jest świadoma grzechu i że zresztą, jak każdy jej gest świadczył o tem, urodziła się z instynktem zboczenia, które niepokój mój aż nazbyt często przeczuwał, któremu zapewne nigdy nie przestała się oddawać (i oddaje się może w tej chwili, korzystając z mojej nieobecności), powiedziałem matce, wiedząc jaką przykrość jej sprawiam, przykrość której mi nie pokazała zdradzając ją jedynie owym wyrazem poważnego zamyślenia, jaki matka przybierała, ilekroć ważyła alternatywę mojej przykrości a mojej szkody; ów wyraz, jaki miała w Combray pierwszy raz kiedy się zgodziła spędzić noc przy mnie, w tej chwili nadzwyczaj podobny do wyrazu babki, gdy mi pozwalała pić koniak — powiedziałem tedy matce:

— Wiem, jaką ci przykrość sprawię. Po pierwsze, zamiast zostać tutaj, jak chciałaś, wyjeżdżam równocześnie z tobą. To jeszcze nic. Źle się czuję tutaj, wolę wracać. Ale słuchaj, nie martw się zbytnio. Więc tak. Omyliłem się, oszukałem cię mimowoli wczoraj, zastanawiałem się nad tem całą noc. Muszę koniecznie — i postanówmy to zaraz, ponieważ zdaję sobie teraz dobrze ze wszystkiego sprawę, ponieważ już się nie zmienię i nie mógłbym już żyć inaczej; muszę koniecznie ożenić się z Albertyną.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sodoma-i-gomora>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora, część pierwsza*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974; Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora, część druga, T. I-II*, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Katarzyna Tomczak-Tomaszewska, Milena Dyńska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0705-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.